

LUCINDA RILEY
HARRY WHITTAKER

ATLAS

HISTORIA PA SALTA



— SIEDEM  SIÓSTR —

ALBATROS

DŁUGO WYCZEKIWANY FINAL NASTROJOWEJ I PEŁNEJ MAGII SAGI RODZINNEJ „SIEDEM SIÓSTR”.

Minął rok od zagadkowej śmierci Pa Salta, adopcyjnego ojca sześciu sióstr D'Aplièse. W tym czasie każda z nich, podążając za wskazówkami, które im pozostawił, odkryła własne korzenie i swoje miejsce w życiu. Teraz wszystkie wybierają się w rejs należącym do rodziny luksusowym jachtem, by uczcić pamięć ojca.

Towarzyszy im Merry, właśnie odnaleziona siódma siostra, biologiczna córka Pa Salta. Czy jego pozostałe córki zaakceptują kobietę, która tak nagle wkroczyła w ich życie? Zwłaszcza że to jej ich tajemniczy ojciec powierzył swój pamiętnik, który może rzucić światło na całe jego życie.

ATLAS

Rok 1928. Do ogrodu podparyskiego domu należącego do słynnego rzeźbiarza, Landowskiego, trafia dziesięcioletni chłopiec, wygłodzony i wycieńczony. Rodzina artysty przyjmuje go pod swój dach, ale przerażony chłopiec nie zdradza im, kim jest, skąd przybywa i przed kim ucieka. Mimo to Landowscy zapewniają mu życie, o jakim nie śmiałyby marzyć, i pomagają rozwinąć talent muzyczny.

Chłopiec staje się mężczyzną, poznaje miłość swojego życia i stopniowo przestaje się bać. Ale poczucie bezpieczeństwa okazuje się złudne. Wróg o nim nie zapomniał. Atlas znowu będzie musiał uciekać i tułać się po świecie. A czasy temu nie sprzyjają, bo zbliża się II wojna światowa.

Swoje burzliwe życie Atlas opisuje w pamiętniku, i to dzięki niemu córki poznają losy ojca. A może dowiedzą się też, dlaczego adoptował właśnie je.

LUCINDA RILEY
HARRY WHITTAKER

ATLAS

HISTORIA PA SALTA

— SIEDEM  SIÓSTR —

Z angielskiego przełożyła
ANNA ESDEN-TEMPSKA

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

LUCINDA RILEY

(1965–2021)

Urodziła się w Irlandii. We wczesnej młodości próbowała swoich sił jako aktorka, grała zarówno na deskach teatru, jak i w filmach, pracowała też w telewizji. Pierwszą powieść napisała w wieku 24 lat. Akcję swoich książek osadzała w różnych zakątkach świata. Być może to jeden z powodów, dla których powieści Riley zyskały niezwykłą popularność na całym świecie, zostały przetłumaczone na 37 języków, a liczba sprzedanych egzemplarzy przekroczyła 40 milionów. Szczególny sukces odniosły części cyklu *Siedem Sióstr* (sprzedane w nakładzie 25 milionów egzemplarzy), który prawdopodobnie wkrótce zostanie zekranizowany.

Powieści Riley były wielokrotnie nominowane do międzynarodowych nagród, m.in. niemieckiej *Lovely Books*, włoskiej *Premio Bancarella* czy brytyjskiej *Romantic Novel of the Year Award*. W 2020 r. Lucinda Riley zdobyła nagrodę *Dutch Platinum* przyznawaną tytułom, które sprzedały się w Holandii w ponad 300 tysiącach egzemplarzy. Wcześniej otrzymała ją autorka *Harry'ego Pottera*, J.K. Rowling.

Lucinda Riley we współpracy z synem, Harrym Whittakerem, napisała serię książek dla najmłodszych czytelników.

Dom rodzinny Riley, gdzie wychowała czwórkę dzieci, znajduje się w Norfolk, w Anglii, ale w 2015 r. autorka spełniła swoje marzenia i kupiła wiejską posiadłość w irlandzkim hrabstwie Cork, które zawsze uważała za swoje miejsce na ziemi. Jej ostatnich 5 książek powstało właśnie tam.

W 2017 r. u pisarki zdiagnozowano nowotwór. Przez lata walczyła z chorobą. Zmarła w otoczeniu rodziny 11 czerwca 2021 r.

LUCINDARILEY.COM

Tej autorki

DOM ORCHIDEI
DZIEWCZYNA NA KLIFIE
TAJEMNICE ZAMKU
RÓŻA PÓŁNOCY
SEKRET LISTU
DRZEWO ANIOŁA
SEKRET HELENY
POKÓJ MOTYLI
DZIEWCZYNA Z NEAPOLU
TAJEMNICE FLEAT HOUSE

Cykl SIEDEM SIÓSTR
SIEDEM SIÓSTR
SIOSTRA BURZY
SIOSTRA CIENIA
SIOSTRA PERŁY
SIOSTRA KSIĘŻYCA
SIOSTRA SŁOŃCA
ZAGINIONA SIOSTRA
ATLAS. HISTORIA PA SALTA

Tytuł oryginału:
ATLAS. THE STORY OF PA SALT

Copyright © Lucinda Riley 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2023

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki zagranicznej: Rocío Isabel González

© Giunti Editore S.p.A., Firenze-Milano

www.giunti.it

Projekt graficzny okładki polskiej: Kasia Mieszka

Opracowanie graficzne okładki: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Zdjęcia na okładce: Eternal Aviv/Adobe Stock (*góry i niebo*);
psychoshadow/Adobe Stock (*jezioro*)

ISBN 978-83-6775-795-9

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Karol Ossowski

woblink

woblink.com

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Przedmowa

Dramatis personae

Prolog

Pamiętnik Atlasa. 1928-1929

1

2

3

4

5

Merry. W drodze z Dublina do Nicei. Czerwiec 2008

6

7

8

9

10

11

Pamiętnik Atlasa. 1929

12

13

14

15

16

Tytan. Czerwiec 2008

17

18

19

Pamiętnik Atlasa. 1936–1940

20

21

22

23

24

25

26

27

Tytan. Czerwiec 2008

28

29

30

Pamiętnik Atlasa. 1944–1951

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

Tytan. Czerwiec 2008

42

Pamiętnik Atlasa. Lata 1951–1993

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

Tytan. Czerwiec 2008

54

Ostatnie zapiski Pa Salta. Tytan. Czerwiec 2007

55

56

57

58

59

60

61

62

Tytan. Czerwiec 2008

63

64

Epilog

Podziękowania

Lucinda zadedykowała tę powieść swoim czytelnikom na całym świecie.

Ja dedykuję ją mojej matce, Lucindzie, która mnie zawsze inspirowała.

H.W.

Przedmowa

Drodzy Czytelnicy

Pozwólcie, że się przedstawię. Mam na imię Harry i jestem najstarszym synem Lucindy Riley. Niektórych z Was może zaskoczyło, że na okładce tej długo oczekiwanej książki podanych jest dwoje autorów.

Tuż przed wydaniem w 2021 roku *Zaginionej Siostry* Lucinda zapowiedziała niespodziankę – tom ósmy i końcowy cyklu *Siedem Sióstr*, historię tajemniczego Pa Salta. W nocy autorskiej na końcu siódmej książki cyklu napisała:

Ta historia jest w mojej głowie od ośmiu lat i naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie przeleję ją na papier.

Niestety, w lipcu 2021 roku Mama umarła na raka przełyku, zdiagnozowanego w 2017 roku. Może myślicie, że nie zdołała już nic spisać, ale zrządenia losu bywają zaskakujące. W 2016 roku Mama poleciała do Hollywood na zaproszenie firmy producenckiej zainteresowanej prawami do sfilmowania *Siedmiu Sióstr*. Filmowcy koniecznie chcieli się dowiedzieć, jak Mama planuje zakończenie cyklu – a brakowało wtedy jeszcze czterech tomów.

To zmusiło ją do spisania szkicu fabuły. Przedstawiła potencjalnym producentom trzydzieści stron dialogów z przełomowych punktów powieści. Pewnie nie muszę Was o tym zapewniać, ale jak można się było spodziewać, te fragmenty były świetne, interesujące, pełne dramatyzmu...

Jak wiedzą wielbicieli tej serii, Pa Salt pojawia się w każdym z tomów. Mama przez lata rejestrowała ruchy tej postaci i stworzyła spójny przewodnik po tym, co się z nim działo, gdzie i kiedy. W ten sposób wkład Lucindy w tę książkę jest większy, niż sama byłaby skłonna przyznać.

W 2018 roku razem z Mamą stworzyliśmy cykl dla dzieci Aniołki. Byliśmy współautorami czterech książek. W tym czasie poprosiła mnie, bym dokończył serię o Siedmiu Siostrach, gdyby stało się najgorsze. To, o czym rozmawialiśmy, pozostanie między nami, ale chciałbym podkreślić, że miałem być zabezpieczeniem na wypadek tego, co było nie do pomyślenia. Nie sądzę, by Mama kiedykolwiek zakładała, że naprawdę może umrzeć. Ja też nie brałem tego pod uwagę. Przecież kilka razy wbrew temu, co mówiły statystyki i medycyna, odbiła się od dna. Ale w końcu Mama zawsze była niezwykłą czarodziejką.

Po jej śmierci musiałem dotrzymać danego słowa. Wielu ludzi pytało, czy jest mi ciężko. W końcu ta powieść miała wyjaśnić tajemnice, nad którymi czytelnicy głowili się od ponad dziesięciu lat. Dokończyłem dzieła dla mojej najlepszej przyjaciółki i bohaterki. Dlatego nie było to dla mnie ciężarem, to była praca wykonana z miłości. Przypuszczam, że niektórzy będą obsesyjnie dociekać, które elementy fabuły są moje, a które Mamy. Ja uważam, że to bez znaczenia. Najprościej mówiąc: historia to historia. I wiem, że zakończenie tej książki Was usatysfakcjonuje. Mama o to zadbała.

Być może największym osiągnięciem Lucindy jest to, że nikt nigdy nie odgadł właściwie, jaki sekret kryje się u podstaw tej sagi. A teorii na ten temat były tysiące. *Atlas* nagrodzi tych, którzy pokochali tę serię od samego początku; to kolejna historia, która musi zostać opowiedziana (choć zawsze tam była, ukryta na poprzednich 4 500 stronach). Może tylko usuwam zasłonę dymną...

Praca nad *Atlasem* była dla mnie wyzwaniem i wielkim zaszczytem. To pożegnalny dar Lucindy Riley i jestem szczęśliwy, że mogłem go przekazać.

Harry Whittaker

2023

*Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horatio,
Niż się ich śniło waszej filozofii.*

William Shakespeare, *Hamlet*

Przekład Maciej Słomczyński



Dramatis personae

ATLANTIS

Pa Salt – adopcyjny ojciec sióstr

Marina (mama) – opiekunka sióstr

Claudia – gospodyni w Atlantis

Georg Hoffman – prawnik Pa Salta

Christian – szyper

SIOSTRY D'APLIÈSE

Maja

Ally (Alkione)

Star (Asterope)

CeCe (Celaeno)

Tiggy (Tajgete)

Elektra

Merry (Merope)

Prolog

Tobolsk, Syberia

1925

Zimny wiatr miotał im śniegiem w twarze. Dwaj chłopcy podciągnęli wyżej kołnierze z wyleniałego futra, by osłonić się przed zamiecią.

– Chodź! – zawołał starszy. Niedawno skończył jedenaście lat, ale jego głos już brzmiał szorstko, chrypliwie. – Wystarczy. Wracajmy.

Młodszy, zaledwie siedmioletni, podniósł stertę uzbieranego chrustu i pobiegł za oddalającym się już zdecydowanym krokiem starszym chłopcem.

Kiedy byli w połowie drogi, dotarło do nich słabiutkie popiskiwanie od strony drzew. Starszy przystanął.

– Słyszałeś to? – zapytał.

– Tak – odparł młodszy. Ręce bolały go od dźwigania ciężkiego drewna i choć stali zaledwie chwilę, zaczął dygotać z zimna. – Możemy już iść do domu? Jestem zmęczony.

– Nie jęcz. Sprawdź, co to. – Większy chłopiec podszedł do najbliższej brzozy i przyklęknął.

Mniejszy niechętnie ruszył za nim. Przed nimi, miotając się rozpaczliwie na twardej ziemi, leżała malutka jaskółka, nie większa od rublowej monety.

– Wypadła z gniazda. – Starszy chłopiec westchnął. – Albo może... Posłuchaj.

Przez chwilę stali nieruchomo na śniegu. W końcu dobiegł ich jakiś pisk z góry.

– Aha! To kukułka.

– Ten ptak z zegara?

– Tak. Ale to wcale nie są przyjazne stworzenia. Kukułka składa jaja w gniazdach innych ptaków. Kiedy pisklę się wykluwa, wypycha inne młode. – Starszy chłopiec prychnął z pogardą. – I właśnie to się tu stało.

– O nie... – Ten młodszy nachylił się i pogłodził małym palcem łebek pisklęcia. – W porządku, przyjacielu, jesteśmy z tobą. – Spojrzał na towarzysza. – Może jeśli byśmy wdrapali się na drzewo, udałoby się włożyć go tam z powrotem? – Starął się wypatrzyć, gdzie jest gniazdo. – Musi być bardzo wysoko.

Nagle usłyszał paskudne chrupnięcie. Spojrzał w dół i zobaczył, że jego towarzysz zmiażdżył pisklaka butem.

– Coś ty zrobił?! – krzyknął przerażony.

– Matka już by go nie przyjęła. Lepiej było zabić go od razu.

– Przecież... nie wiesz tego na pewno. – Brązowe oczy zapiekły młodszego chłopca od łez. – Mogliśmy spróbować.

Starszy lekceważąco machnął ręką.

– Nie ma sensu próbować, jak coś jest skazane na porażkę. To zwykła strata czasu. – Ruszył w dół zbocza. – Chodź. Wracamy.

Młodszy nachylił się i popatrzył na martwe pisklę.

– Przepraszam za brata – powiedział, szlochając. – On cierpi. Nie chciał tego zrobić.

Pamiętnik Atlasa

1928–1929



1

Boulogne-Billancourt

Paryż, Francja

Ten zeszyt to prezent od państwa Landowskich. Powiedzieli, że skoro nie mówię, a wiedzą, że umiem pisać, to byłoby dobrze, gdybym próbował notować swoje myśli. Z początku uważali, że po prostu jestem głupi, że pomieszało mi się w głowie, co zresztą w dużym stopniu jest prawdą. Ale może zwyczajnie tracili już do mnie cierpliwość. Są bardzo zmęczeni. Podobnie jak ja.

Musieli się zorientować, że zostały mi resztki rozumu, bo poprosili, żebym coś napisał, na początek imię, wiek i skąd pochodzę. Dawno jednak przekonałem się, że pisanie takich rzeczy może ściągnąć na człowieka kłopoty, a więcej kłopotów naprawdę już nie potrzebowałem. Usiadłem więc przy stole w kuchni i napisałem kawałek wiersza, którego nauczył mnie tata. Oczywiście był to jeden z tych wierszy, który nie zdradzał, skąd przybyłem, zanim wylądowałem pod żywopłotem ich ogrodu. Nie był też moim ulubionym, ale czułem, że jego słowa oddają mój nastrój i wystarczą, by pokazać tym dobrym ludziom – których los postawił na mojej drodze, kiedy upominała się o mnie śmierć – że potrafię się porozumiewać.

Napisałem:

*Dziś wieczorem patrzyłem,
jak księżyc się zniża,*

*a zaraz za nim
podążają plejady.
Noc niemal już
minęła, młodość
też mija.
Jestem w łóżku sam.*

Pisałem po francusku, angielsku i niemiecku, a żaden z tych języków nie był tym, którym mówiłem, kiedy tylko nauczyłem się artykułować słowa (nadal to potrafię, ale podobnie jak słowa napisane, słowa wypowiedziane, zwłaszcza w pośpiechu, mogą być wykorzystane przeciwko nam). Przyznam, że bawiło mnie zaskoczenie w twarzy madame Landowskiej, kiedy czytała, co napisałem, nawet jeśli nie mogło to jej pomóc odkryć, kim jestem ani skąd pochodzę. W oczach Elsy, służącej, kiedy postawiła przede mną z impetem miskę z jedzeniem, widziałem, że najchętniej odesłałaby mnie natychmiast tam, skąd przyszedłem.

Powstrzymywanie się od mówienia to nic strasznego. Już ponad rok temu opuściłem miejsce, które odkąd pamiętam, było dla mnie domem. W tym czasie używałem głosu jedynie wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne.

Siedząc tu i pisząc, mogę wyglądać przez małe okienko na poddaszu. Wcześniej obserwowałem, jak ścieżką idą dzieci Landowskich. Były w szkole i wyglądały bardzo elegancko w mundurkach – Françoise w białych rękawiczkach i słomkowym kapeluszu, który nazywają tu kanotierem, a jej bracia w białych koszulach i marynarkach. Choć często słyszę, jak monsieur Landowski narzeka na brak pieniędzy, ten duży dom, śliczny ogród i piękne stroje jego żony i córek wskazują na to, że musi być naprawdę bardzo bogaty.

Nadal gryzę ołówek. Tata próbował oduczyć mnie tego, smarując jego końcówkę różnymi paskudztwami. Kiedyś powiedział mi, że smak tego, czego użył akurat tego dnia, jest nawet dość przyjemny, ale to trucizna i jak tylko przyłożę ołówek nawet w pobliżu ust, umrę. Mimo to, gdy zastanawiałem się nad zadaniem przez niego tłumaczeniem, bezwiednie wsunąłem końcówkę między zęby. Usłyszałem krzyk, bo ojciec to zobaczył. Wywłókł mnie za kark na zewnątrz, napakował mi do ust śniegu, a potem kazał mi go wypluwać. Nie umarłem, ale od tamtej pory zastanawiam się, czy to był tylko brutalny sposób taty na wywołanie we mnie szoku, żebym wreszcie się odzwyczyił, czy to śnieg i plucie mnie ocaliły.

Choć robię, co w mojej mocy, żeby przypomnieć sobie tatę, jego obraz mi się rozmywa – tyle lat go nie widziałem.

Może to i lepiej. Tak, pod każdym względem lepiej zapomnieć wszystko, co było. Bo gdyby mnie torturowali, nie będę miał nic do powiedzenia. A jeśli monsieur i madame Landowski myślą, że napiszę różne rzeczy w zeszycie, który tak uprzejmie mi podarowali, że zaufam małemu zameczkowi z kluczykiem, który mogę trzymać w swoim skórzanym woreczku, to bardzo się mylą.

– Pamiętnik to miejsce, gdzie możesz spisywać wszystko, co czujesz albo myślisz – tłumaczyła mi łagodnie madame Landowska. – To coś bardzo osobistego, przeznaczonego tylko dla twoich oczu. Obiecuję, że nigdy nie będziemy tam zaglądać.

Pokiwałem głową, a potem uśmiechnąłem się z wdzięcznością i pobiegłem na górę do mojego pokoju na poddaszu. Nie wierzę jej. Wiem z doświadczenia, jak łatwo i zamki, i obietnice mogą zostać złamane.

„Przysięgam na pamięć twojej ukochanej matki, że po ciebie wrócę...”
„Módl się i czekaj na mnie...”

Potrząsam głową, próbując odegnać z myśli te ostatnie słowa, jakie wypowiedział do mnie tata. Ale choć inne rzeczy, które chciałbym sobie przypomnieć, rozwiewają się w powietrzu jak puszek dmuchawca i nie potrafię ich zatrzymać, to zdanie – żebym nie wiem jak się starał – powraca.

Zeszyt jest jednak oprawiony w skórę i ma mnóstwo kartek z cieniutkiego papieru. Musiał kosztować Landowskich przynajmniej franka (tak nazywają tu pieniądze) i świadczy o tym, że bardzo chcieli mi pomóc, więc powinienem go używać. Poza tym, choć nauczyłem się nie mówić, podczas długiej podróży często zastanawiałem się, czy mógłbym zapomnieć, jak się pisze. Nie miałem ani papieru, ani ołówka. Jednym ze sposobów na przetrwanie lodowatych zimowych nocy było więc recytowanie w myśli fragmentów poezji, a potem pisanie liter „oczami wyobraźni”.

Bardzo lubię to określenie – tata nazywał to oknem do świata fantazji i kiedy nie odtwarzałem w głowie wierszy, często zanurzałem się w tej przepastnej przestrzeni, gdzie jak mawiał tata, nie ma żadnych granic. Była to kraina tak wielka, jak się chciało. Ludzie o wąskich horyzontach, dodawał, mają z definicji ograniczoną wyobraźnię.

I choć Landowscy okazali się moimi ludzkimi zbawicielami, opiekowali się moją fizyczną powłoką, nadal miałem potrzebę zniknąć wewnątrz siebie, zaciskać powieki i myśleć o tym, o czym nigdy nie mógłbym pisać, bo nie byłem już w stanie zaufać żadnemu człowiekowi na świecie.

I dlatego uznałem, że jedyne, co odkryją moi gospodarze, jeśli kiedykolwiek któreś z nich to przeczyta – a byłem niemal pewny, że będą próbować, choćby z ciekawości, jeśli nie z innych powodów – to pamiętnik, który zaczyna się na dniu, kiedy odmówiłem już ostatnią modlitwę.

Tak naprawdę być może nigdy jej nie wypowiedziałem. Byłem tak nieprzytomny z gorączki, głodu i wyczerpania, że pewnie tylko mi się to śniło – w każdym razie tamtego dnia spojrzałem w najpiękniejszą kobiecą twarz, jaką widziałem w życiu.

Kiedy pisałem skrócony – ograniczający się do faktów – akapit o tym, jak ta piękna pani zabrała mnie do domu, jak szeptała mi czułe słowa i pozwoliła mi zasnąć pod dachem po raz pierwszy od Bóg jeden wie jak dawna, przypomniałem sobie, jaka była smutna, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Znałem już wtedy jej imię: Izabela, zdrobniale Bel. Ona i asystent w pracowni rzeźbiarskiej Landowskiego, monsieur Brouilly (który kazał, żebym mówił na niego Laurent, choć jako niemowa w ogóle nie mogłem się do niego zwracać), szaleńczo się w sobie zakochali. I tego wieczoru, gdy robiła wrażenie tak smutnej, przyszła się pożegnać. Nie tylko ze mną, ale też z nim.

Byłem bardzo młody, ale zdążyłem już dużo przeczytać o miłości. Po odejściu taty spenetrowałem jego bibliotekę i dowiedziałem się niezwykłych rzeczy o dorosłych. Z początku wydawało mi się, że opisywany akt fizyczny to jakaś komedia, ale potem, kiedy to się powtarzało u autorów, o których wiedziałem na pewno, że nie są satyrykami, uświadomiłem sobie, że to musi być na serio. Ale o czymś takim zdecydowanie nie zamierzałem pisać w pamiętniku!

Wyrwał mi się lekki chichot. Zakryłem usta dłońmi. To było osobliwe doznanie, bo śmiech był swego rodzaju wyrazem szczęścia. Naturalną reakcją fizyczną.

– Boże! – szepnąłem.

Dziwnie było słyszeć własny głos, który wydawał się niższy niż wtedy, kiedy ostatnio wypowiedziałem jakieś słowo. Na szczęście nikt nie mógł usłyszeć mnie tu, na poddaszu. Obie służące były na dole; szorowały,

polerowały i wiecznie robiły pranie, które wisiało potem na sznurach porozciąganych na tyłach domu. Nie wolno mi było tego robić, poddawać się radości, bo skoro byłem w stanie chichotać, to znaczyło, że mam głos i mogę mówić. Próbowałem skupić się na rzeczach smutnych, co naprawdę było dla mnie nietypowe: przecież skoro udało mi się pomimo wszystkich przeszkód dotrzeć do Francji, to tylko dlatego, że uciekałem w świat wyobraźni i starałem się koncentrować na wesołych myślach. Przez cienką ścianę na poddaszu wieczorami docierały do mnie rozmowy dwóch służących z sąsiedniego pokoju. Narzekały na marną płacę, na to, że pracują do późna, że stare materace są nierówne, a w sypialni jest strasznie zimno... Uczyłem się o klimacie Francji i choć Paryż, na którego krańcach, jak odkryłem, mieszkali Landowscy, leży na północy tego kraju, to robienie problemu z kilku stopni poniżej zera wydało mi się tak śmieszne, że o mało znów nie zachichotałem.

Skończyłem pierwszy akapit w swoim nowiutkim „oficjalnym” pamiętniku i przeczytałem to, udając, że jestem panem Landowskim z jego zabawną małą bródką i sumiastymi wąsiskami.

Mieszkam w Boulogne-Billancourt. Przygarnęli mnie dobrzy państwo Landowscy – monsieur Paul i madame Amélie. Ich dzieci to Nadine (lat 20), Jean-Max (lat 17), Marcel (lat 13) i Françoise (lat 11). Wszyscy są dla mnie bardzo mili. Mówią, że byłem bardzo chory i potrwa, zanim odzyskam siły. Elsa i Antoinette to służące. Kucharka ma na imię Berthe. Zawsze proponuje mi dokładki pysznych ciast. Mówi, że chce mnie utuczyć. Kiedy pierwszy raz nałożyła mi pełen talerz, nie zostawiłem ani okruszka i pięć minut później dostałem torsji. Wezwali do mnie lekarza; powiedział Berthe, że mój żołądek skurczył się z niedożywienia i powinna dawać mi mniejsze porcje, bo inaczej znów się pochoruję i umrę.

Myślę, że to bardzo zmartwiło Berthe, ale teraz jem już prawie normalnie i naprawdę doceniam jej kuchnię. W domu pracuje jeszcze jedna osoba, której dotąd nie poznałem, ale o której wiele się mówi w rodzinie. To madame Evelyn Gelsen. Jest gosposią. Właśnie ma urlop; pojechała do syna, który mieszka w Lyonie.

Martwi mnie, że narażam tę miłą rodzinę na koszty. Tyle teraz jem. Poza tym musi przychodzić lekarz i mnie badać. Wiem, jakie drogie są takie wizyty. Nie mam pieniędzy ani pracy i nie widzę sposobu, jak miałbym się im odpłacić, czego na pewno będą oczekiwać, i słusznie. Nie jestem pewien, jak długo pozwolą mi tu zostać, ale staram się cieszyć każdym dniem spędzonym w ich pięknym domu. Dziękuję Bogu za ich dobroć i co wieczór się za nich modłę.

Gryząc koniec ołówka, z zadowoleniem pokiwałem głową. Uprościłem język i dodałem jakieś banalne błędy ortograficzne, żeby robić wrażenie zwyczajnego dziesięciolatka. Nie byłoby dobrze, gdyby zorientowali się, jakie otrzymałem kiedyś wykształcenie. Gdy tata odszedł, robiłem, co w mojej mocy, by – tak jak mi przykazał – kontynuować naukę, lecz bez niego jako przewodnika nie było to takie proste.

Wyciągnąłem piękną kartkę czystego białego papieru z szuflady starego biurka – to, że miałem miejsce do pisania, było dla mnie niewyobrażalnym luksusem – i zacząłem pisać list.

*Landowski Atelier
rue Moisson Desroches
Boulogne-Billancourt
7 sierpnia 1928 roku*

Drodzy monsieur i madame Landowscy

Chciałbym podziękować Państwu za podarunek. To najpiękniejszy zeszyt, jaki kiedykolwiek miałem, i codziennie będę w nim pisał pamiętnik, tak jak prosiliście.

Dziękuję też za to, że przyjęliście mnie pod swój dach.

Już miałem grzecznie dodać *Z* wyrazami szacunku oraz swoje imię i nazwisko, ale w porę się powstrzymałem. Złożyłem kartkę starannie we dwoje, jeszcze raz na pół i napisałem na wierzchu *Monsieur i madame Landowscy*. Położę ją na srebrnej tacce, na której jutro będzie poczta.

Nawet jeśli nie dotarłem do miejsca, do którego zdążałem, byłem dość blisko. W porównaniu z dystansem, jaki już pokonałem, zostało mi tyle co spacer *rue Moisson Desroches* i z powrotem. Ale nie chciałem jeszcze odejść. Jak mówił kucharce doktor, musiałem odbudować siły, nie tylko fizyczne, ale też psychiczne. Nawet jeśli lekarz tego nie dostrzegał, mógłbym powiedzieć mu, że to nie fizyczne wyniszczenie jest najgorsze, ale lęk, który nadal mnie dręczył. Obie służące, może dlatego, że znudziło je już narzekanie na wszystkich pozostałych w domu, skarżyły się, że w nocy krzyczę i je budzę. Podczas długiej podróży przywykłem do strachu, a poza tym byłem tak wyczerpany, że zasypiałem natychmiast, kiedy tylko się położyłem, tutaj jednak, wypoczęty w ciepłym łóżku, zrobiłem się słaby. Często nie potrafiłem zasnąć po tym, jak budziły mnie koszmarne sny. Nie byłbym nawet pewien, czy „sny” to właściwe określenie. Okrutny umysł kazał mi wielokrotnie przeżywać od nowa to, co mi się zdarzyło.

Wstałem i ruszyłem do łóżka. *Z* pamiętnikiem w ręce naciągnąłem na siebie prześcieradło i koc, które nie były mi potrzebne, bo panowała duchota, po czym wsunąłem zeszyt do spodni piżamy, przy wewnętrznej

stronie uda. Potem zdjęłem skórzany woreczek zawieszony na szyi i schowałem go przy drugim udzie. Jeśli długa podróż czegoś mnie nauczyła, to tego, gdzie są najbezpieczniejsze kryjówki dla tak cennych rzeczy.

Położyłem się na materacu; choć Elsa i Antoinette narzekały na swoje, dla mnie był jak posłanie na chmurce z anielskich piór. Zamknąłem oczy, pomodliłem się szybko za tatę i mamę, która była w niebie, i próbowałem odpłynąć w sen.

I wtedy zaczęła dręczyć mnie pewna myśl. Choć za nic nie chciałem tego przyznać, poza chęcią wyrażenia wdzięczności był też i inny powód, dla którego napisałem list do Landowskich – wiedziałem, że muszę kontynuować podróż, lecz nie byłem jeszcze gotów zrezygnować z najcudowniejszego w świecie poczucia... poczucia bezpieczeństwa.

2

– I co o nim myślisz, młody człowieku? – zapytał mnie monsieur Landowski, gdy patrzyłem w oczy naszego Pana, a każde z nich było niemal tak duże jak ja.

Właśnie skończył dopracowywać głowę posągu, który w Brazylii nazywano Cristo Redentor, a ja Jezusem Chrystusem. Monsieur Laurent Brouilly powiedział mi, że posąg ma stanąć na górze w Rio de Janeiro. Kiedy złożą się wszystkie jego części, będzie miał trzydzieści metrów wysokości. Widziałem miniaturowe wersje rzeźby i wiedziałem, że brazylijski (i francuski) Chrystus będzie stał z otwartymi ramionami, jakby chciał przygarnąć do serca leżące w dole miasto. Ciekawe, że z daleka można było wziąć ten posąg za krzyż. To, jak przetransportować pomnik na górę i go złożyć, było przedmiotem ożywionych dyskusji i zmartwień przez ostatnich kilka tygodni. Monsieur Landowski miał zresztą problem nie tylko z jedną głową, bo jednocześnie pracował nad rzeźbą przedstawiającą Sun Jat-sena i wciąż nie był usatysfakcjonowany oczami Chińczyka. Był perfekcjonistą.

Podczas długich gorących dni ciągnęło mnie do pracowni monsieur Landowskiego. Zakradałem się tam i chowałem za kamieniami stojącymi na ziemi, czekającymi, by ukształtować je w formy. W warsztacie zwykle kręcili się praktykanci i asystenci, którzy – jak Laurent – mieli się tu uczyć od wielkiego mistrza. Większość z nich mnie ignorowała, ale mademoiselle

Margarida zawsze posyłała mi uśmiech, kiedy przychodziła rano. Była przyjaciółką Bel, wiedziałem więc, że należy do grona tych, którym można ufać.

Pewnego dnia monsieur Landowski wytropił mnie w pracowni i całkiem jak mój ojciec zganił mnie, że nie poprosiłem o pozwolenie, zanim tam wszedłem. Pokręciłem głową i wyciągnąłem przed siebie ręce, cofając się do drzwi. Wtedy dobry monsieur złagodniał i skinął, żebym podszedł.

– Brouilly mówił mi, że lubisz patrzeć, jak pracujemy. To prawda?

Skinąłem głową.

– No to nie masz powodu się ukrywać. Jeśli tylko obiecasz nic nie dotykać, jesteś tu mile widziany, chłopcze. Szkoda, że moje dzieci nie wykazują takiego zainteresowania tym, czym się zajmuję.

Od tej pory wolno mi było siedzieć przy roboczym blacie na kozłach. Dostawałem kawałek niepotrzebnego steatytu i narzędzia, których mogłem używać.

– Patrz i ucz się, chłopcze, patrz i ucz się – radził Landowski.

Tak robiłem. Nie wpływało to jednak na efekty moich prób. Waliłem młotkiem w dłuto przytknięte do kamienia i bez względu na to, jak bardzo starałem się go jakoś ukształtować – choćby w najprostszą formę – zawsze kończyłem z kupą gruzu przed sobą.

– I co, jak myślisz? – zapytał monsieur Landowski, wskazując na głowę Cristo.

Pokiwałem energicznie głową, jak zwykle czując wyrzuty sumienia, że ten dobry człowiek, który mnie przygarnął, nadal bezskutecznie próbuje wydobyć ode mnie jakąś słowną reakcję. Zasługiwał na nią, choćby ze względu na wytrwałość, ale wiedziałem, że jeśli tylko otworzę usta i zacznę mówić, znajdę się w niebezpieczeństwie.

Madame Landowski dała mi stertę papierów.

– Gdybym zadała ci pytanie, mógłbyś napisać odpowiedź?

Skinąłem głową. Od tamtej pory nasze komunikowanie się zrobiło się bardzo proste.

W odpowiedzi na pytanie monsieur Landowskiego wyjąłem ołówek z kieszeni spodnek, napisałem słowo, które zajęło prawie całą stronę, i podałem mu kartkę.

Zachichotał, kiedy je przeczytał.

– *Magnifique?* No, dziękuję, młody człowieku. Miejmy tylko nadzieję, że podobnie zareagują na Cristo inni, kiedy stanie dumnie na górze Corcovado po drugiej stronie świata... jeśli kiedykolwiek uda się nam go tam dotransportować.

– Proszę nie tracić wiary, mistrzu – odezwał się zza moich pleców Laurent. – Bel mówiła mi, że trwają już przygotowania do wykorzystania kolejki linowo-szynowej.

– Naprawdę? – Landowski uniósł jedną krzaczastą siwą brew. – Zdaje się, że wiesz więcej ode mnie. Heitor da Silva Costa powtarza, że podyskutujemy o transporcie rzeźby i ustawieniu jej, ale jakoś stale nie dochodzi do rozmów. Jest już pora na obiad? Napiłbym się trochę wina, żeby uspokoić nerwy. Zaczynam myśleć, że Cristo może być końcem mojej kariery. Byłem głupi, że w ogóle zgodziłem się na to szaleństwo.

– Przyniosę coś do jedzenia – powiedział Laurent i ruszył do małej kuchenki, której każdy szczegół będę zawsze pamiętał jako moje pierwsze bezpieczne schronienie od czasu, kiedy wiele miesięcy wcześniej opuściłem dom. Uśmiechnąłem się, obserwując, jak Laurent otwiera butelkę wina. Często, gdy budziłem się wcześnie, zakradałem się do pracowni o świcie, żeby być pośród tego całego piękna. Siedziałem tu i myślałem, jak by się uśmieł tata, jeśliby wiedział, że ze wszystkich miejsc, w które mogłem

trafić, jak choćby fabryka Renault leżąca zaledwie kilka kilometrów dalej, wylądowałem w czymś, co nazwałby świątynią sztuki. Czułem, że byłby zadowolony.

Tego ranka, kiedy siedziałem między kamieniami i patrzyłem na łagodne oblicze Cristo, usłyszałem coś w pomieszczeniu za zasłonką, gdzie jadaliśmy. Podszedłem na palcach i zjrzałem. Zobaczyłem dwie stopy wystające spod stołu. Okazało się, że ten dziwny dźwięk to delikatne pochrapywanie Laurenta. Odkąd Bel wyjechała do Brazylii, zauważyłem, że często rano wyglądał marnie, bo w nocy dużo pił. Miał czerwone, podpuchnięte oczy, bladą, szarą cerę, jakby w każdej chwili mógł zacząć wymiotować (a w tej dziedzinie miałem bardzo duże doświadczenie i naprawdę potrafiłem poznać, kiedy mężczyzna czy kobieta przesadzili z alkoholem).

Kiedy patrzyłem, jak nalewa sobie spory kieliszek, martwiłem się o jego wątrobę, która, jak mówił tata, najbardziej cierpi przez picie. Nie tylko wątroba Laurenta mnie jednak niepokoiła, ale też jego serce. Wiedziałem wprawdzie, że to niemożliwe, by ten narząd mógł ucierpieć fizycznie przez miłość, ale coś w tym mężczyźnie pękło. Może pewnego dnia zrozumie potrzebę łagodzenia rozpaczy alkoholem.

– *Santé!* – powiedzieli obaj mężczyźni, stukając się kieliszkami.

Kiedy Laurent i monsieur Landowski siedzieli przy stole, starałem się być przydatny w kuchni; układałem pieczywo, ser i kroilem dorodne czerwone pomidory, które uprawiała w ogrodzie pewna pani mieszkająca kawałek dalej.

Wiedziałem o tym, bo obserwowałem Evelyn, gosposię, kiedy pojawiła się w kuchni z ciężką skrzynką pełną warzyw. Była dość otyłą i nie najmłodszą kobietą, podskoczyłem więc do niej, by wziąć od niej skrzynkę i odstawić na bok.

– O rety, ale dziś gorąco – jęknęła.

Zasapana, opadła ciężko na drewniane krzesło. Nalałem jej szklanek wody, zanim zdążyła poprosić. Wyjąłem kawałek papieru i ołówek z kieszeni i napisałem pytanie.

– Dlaczego nie posłałam po to służących? – Spojrzała na mnie. – Bo, chłopczyku, żadna z nich dwóch nie odróżni zgniłej brzoskwini od dobrej. To miastowe dziewczuchy, nie mają pojęcia o świeżych owocach i warzywach.

Wziąłem od niej kartkę i dopisałem kolejne zdanie.

Następnym razem pójdę z panią, żeby nieść skrzynkę.

– To bardzo miło z twojej strony, młody człowieku, i jeśli ta pogoda się utrzyma, może i skorzystam z twojej propozycji.

Pogoda się utrzymała i chodziłem z Evelyn. Po drodze opowiadała mi o swoim synu; mówiła z dumą, że studiuje na uniwersytecie i zostanie inżynierem.

– Pewnego dnia będzie kimś, zobaczysz – dodała, kiedy przechodziliśmy między straganami, na których wystawiono warzywa. Ja trzymałem skrzynkę na te, które zyskały jej aprobatę. Ze wszystkich osób w gospodarstwie Landowskich najbardziej polubiłem Evelyn, choć tak bałem się jej powrotu, bo słyszałem gadanie służących zza ściany, które biadały, co to będzie, jak wróci „smoczyca”. Zostałem jej przedstawiony jako „chłopiec bez imienia, który nie umie mówić”. (To Marcel, trzynastoletni syn Landowskich, tak powiedział. Wiedziałem, że traktuje mnie podejrzliwie, co doskonale rozumiałem – moje nagłe pojawienie się w ich rodzinie musiało go zaniepokoić). Evelyn po prostu uścisnęła moją wyciągniętą dłoń i uśmiechnęła się serdecznie.

– Im nas więcej, tym weselej, jak zawsze mówię. Na co komu wspaniały wielki dom jak ten, jeśli są w nim puste pokoje?

Potem mrugnęła do mnie i jeszcze tego samego dnia, kiedy zobaczyła, jak po obiedzie popatruję na reszkę tarty z jabłkami, ukroiła mi kawałek.

To było dziwne, naprawdę, że pani w średnim wieku i ja bez słów (przynajmniej z mojej strony) nawiązaliśmy coś w rodzaju cichego porozumienia, ale wiedziałem, że tak było. Dostrzegłem w jej oczach coś znajomego, coś, co mówiło mi, że cierpi. Może i ona zobaczyła u mnie coś podobnego.

Uznałem, że jedynym sposobem na to, by domownicy nie mogli na mnie narzekać, jest albo stanie się niewidzialnym (dla dzieci i – w nieco mniejszym stopniu – dla monsieur i madame Landowskich), albo zawsze dostępnym dla tych, którym mogłem się na coś przydać, czyli przede wszystkim dla członków służby. Evelyn, Berthe, Elsa i Antoinette chyba zdawały sobie sprawę, że zyskały małego pomocnika, który był zawsze pod ręką, kiedy tego potrzebowały. W domu często to ja sprzątałem małą przestrzeń, gdzie mieszkaliśmy ja i służba. Już jako bardzo mały chłopiec dbałem, żeby wszystko było na swoim miejscu. Tata zauważył, że lubię porządek, i żartował, że kiedyś będę dla kogoś bardzo dobrą żoną. W moim rodzinnym domu zachowanie ładu było niemożliwe, bo wszystko działo się w jednej izbie, a w domu Landowskich zachwycała mnie idealna organizacja. Jednym z moich ulubionych zajęć było pomaganie Elsie i Antoinette w zdejmowaniu ze sznura wysuszonych na słońcu i wietrze prześcieradeł i ubrań. Obie śmiały się z tego, że tak pilnuję, by złożyć dokładnie każdy róg do rogu. Nie potrafiłem odmówić sobie przyjemności przytykania nosa do każdej sztuki zdejmowanego prania. Wdychałem ich świeży zapach, który był dla mnie niczym najpiękniejsze perfumy.

Teraz, kiedy pokroiłem pomidory równie precyzyjnie, jak składałem pranie, przysiadłem się do monsieur Landowskiego i Laurenta. Patrzyłem, jak odłamują kawałki bagietki i ucinają plastry sera, ale dopiero kiedy

monsieur Landowski skinął, żebym zrobił to samo, przyłączyłem się do uczty. Tata zawsze mówił mi, jak cudownie smakuje francuskie jedzenie, i miał rację. Jednak po moich atakach choroby, kiedy błyskawicznie pożerałem wszystko, co tylko mi dali, jakby to miał być ostatni posiłek, jaki w życiu dostanę, zacząłem jeść jak dżentelmen, na jakiego byłem wychowywany, a nie dzikus, jak kiedyś nazwała mnie Berthe, sądząc, że nie słyszę.

Rozmowa toczyła się nadal wokół Cristo i oczu Sun Jat-sena, ale nie przeszkadzało mi to. Wiedziałem, że monsieur Landowski jest prawdziwym artystą – latem zdobył złoty medal na Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury w Amsterdamie i podobno był znany na całym świecie. Najbardziej podziwiałem w nim to, że sława go nie zepsuła, w każdym razie tak mi się wydawało. Pracował, kiedy tylko mógł, i wielokrotnie rezygnował z kolacji, za co łąjała go żona, która uważała, że dzieci i ona powinni częściej go widywać. Jego dbałość o każdy szczegół i dążenie do doskonałości, kiedy mógł zlecić komuś dokończenie pracy, wydawały mi się bardzo inspirujące. Obiecałem sobie, że cokolwiek miałem w życiu robić, zawsze będę dawał z siebie wszystko.

– I co ty na to, chłopcze? Chłopcze?

Znów zostałem wyrwany z rozmyślań. To była przestrzeń, w której tak bardzo przywykłem przebywać, że trudno mi było przyzwyczaić się do tego, że ktoś może okazywać mi zainteresowanie.

– Nie słuchałeś, co?

Popatrzyłem na niego ze skruszonym wyrazem twarzy i pokręciłem głową.

– Pytałem, czy myślisz, że oczy Sun Jat-sena są już w porządku. Pokazywałem ci jego zdjęcie, pamiętasz?

Wziąłem ołówek, ale przemyślałem starannie odpowiedź, nim ją napisałem. Zawsze uczono mnie, żeby mówić prawdę, musiałem jednak robić to dyplomatycznie. Napisałem jedno słowo i podałem mu notes.

Prawie.

Patrzyłem, jak Landowski bierze łyk wina, a potem odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Trafiłeś w sedno, racja. W takim razie dziś po południu zrobię kolejne podejście.

Kiedy dwaj mężczyźni skończyli posiłek, uprzątnąłem ze stołu. Potem zaparzyłem im kawę, tak jak lubił monsieur Landowski. Robiąc to, utykałem resztki chleba i sera po kieszeniach spodenek. To był kolejny nawyk, z którym powinienem zerwać – ale nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi może zabraknąć jedzenia. Po podaniu kawy skinąłem głową i wróciłem na poddasze. Schowałem chleb i ser do szuflady biurka. Najczęściej resztki jedzenia, które tam trafiały, następnego dnia rano wyrzucałem ukradkiem do kubła za domem. Ale, jak powiedziałem – nigdy nie wiadomo.

Po umyciu rąk i przeczesaniu włosów zszedłem na dół, by zobaczyć, czy mogę się do czegoś przydać. Tego dnia trafiło mi się polerowanie sreber, za co z powodu mojej precyzji i cierpliwości zyskałem sobie nawet pochwałę ze strony Evelyn. Pękałem z dumy, jak ktoś, komu od bardzo dawna nikt nie prawił komplementów. Radość nie trwała jednak długo, bo gosposia przystanęła w drzwiach i obróciła się do Elsy i Antoinette, które umieszczały z powrotem sztucce w wyłożonych aksamitem pudełkach.

– Mogłybyście obie uczyć się, jak się to robi, od tego młodego człowieka – powiedziała i wyszła, zostawiając mnie z Elsą i Antoinette.

Spiorunowały mnie wzrokiem, ale że obie były leniwe i niecierpliwe, chętnie zlecały mi polerowanie. Uwielbiałem siedzieć spokojnie w dużej

jadalni przy mahoniowym stole, który zawsze błyszczał jak lustro, mieć zajęte ręce, a głowę wolną, by bujać myślami, gdzie tylko zechcę.

Najbardziej skupiałem się teraz – niemal każdego dnia, od kiedy wracałem do formy fizycznej i umysłowej – na tym, jak mógłbym zarabiać. Mimo dobroci Landowskich doskwierało mi to, że jestem zdany na ich łaskę. Nawet tego wieczoru mogli powiedzieć mi, że z jakiegoś powodu mój czas u nich dobiegł końca. Znów znalazłbym się na ulicy, w obcym kraju, bezbronny i osamotniony. Odruchowo sięgnąłem do skórzanego woreczka, który nosiłem pod koszulą. Sam dotyk znajomego kształtu dodawał mi otuchy, nawet jeśli wiedziałem, że to, co jest w sakiewce, nie należy do mnie i nie wolno mi tego sprzedać. Samo to, że udało mi się nie stracić tego podczas podróży, wydawało się cudem, lecz przedmiot ten był dla mnie błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. To przez niego znalazłem się w Paryżu i mieszkałem pod dachem obcych ludzi.

Kiedy skończyłem polerowanie srebrnego czajniczka, doszedłem do wniosku, że w tym domu jest tylko jedna osoba, której ufałem na tyle, by się poradzić. Evelyn mieszkała w czymś, co Landowscy nazywali „domkiem”, ale była to tylko dwupokojowa przybudówka przy głównej rezydencji. Jak kiedyś powiedziała mi Evelyn, przynajmniej miała własną łazienkę i – co najważniejsze – osobne wejście. Nie widziałem, jak tam jest w środku, ale tego wieczoru po kolacji postanowiłem zebrać się na odwagę i zapukać do drzwi „domku”.

*

Patrzyłem przez okno jadalni, jak Evelyn idzie do siebie – zawsze wychodziła, kiedy podano już główne danie. Podanie deseru i zmywanie pozostawiała dwóm służącym. Jadłem kolację i słuchałem rozmów rodziny. Nadine, starsza córka Landowskich, nie była jeszcze zamężna i spędzała

wiele czasu, wędrując po okolicy ze sztalugami, pędzlami i paletą. Nie widziałem żadnego jej obrazu, ale słyszałem, że projektuje też scenografie teatralne. Nigdy nie oglądałem sztuki wystawionej w teatrze, ale nie mogłem tak po prostu spytać Nadine o jej pracę. Rzadko siedziała w domu i najwyraźniej była bardzo zajęta swoimi sprawami, nie zwracała więc na mnie specjalnej uwagi, choć uśmiechała się do mnie, jeśli wpadaliśmy na siebie rano. Z Marcelem było inaczej. Pewnego dnia zastąpił mi drogę, wyprężył pierś, podpierając się pod boki, i oświadczył, że mnie nie lubi. Co oczywiście było głupie, bo mnie nie znał, ale słyszałem, jak przy młodszej siostrze, Françoise, nazwał mnie lizusem, bo pomagałem w kuchni przed kolacją. Rozumiałem, co czuł. Jego rodzice przyjęli pod dach znalezionego w ogrodzie obdartusa, który nie chciał mówić. Każdy zrobiłby się podejrzliwy.

Wybaczyłem mu jednak wszystko, kiedy pierwszy raz dobiegła mnie cudowna muzyka z pokoju na parterze. Przerwałem to, co właśnie robiłem w kuchni, i stanąłem jak zaczarowany. Choć tata grał mi na skrzypcach, co tylko potrafił, tak naprawdę nigdy nie słyszałem dźwięków, jakie może wydać fortepian, jeśli gra na nim ktoś, kto to potrafi. I to było fantastyczne. Od tamtej pory miałem lekką obsesję na punkcie palców Marcela; zastanawiałem się, jak to jest, że potrafią tak szybko, z taką precyzją przebiegać po klawiaturze. Musiałem zmuszać się, by odwracać wzrok. Zamierzałem pewnego dnia zdobyć się na odwagę i spytać, czy mógłbym popatrzeć, jak gra. Bez względu na to, jak się wobec mnie zachowywał, uważałem go za czarodzieja.

Jego starszy brat, Jean-Max, traktował mnie z całkowitą obojętnością. Był już prawie dorosły. Niewiele wiedziałem o tym, co robi poza domem, ale pewnego razu próbował pokazać mi, jak się gra w bule – to narodowa

rozrywka Francuzów. Polega na rzucaniu kul na wysypanym żwirem podwórku i nauczyłem się jej dość łatwo.

No i była jeszcze Françoise, najmłodsza córka Landowskich, niewiele starsza ode mnie. Kiedy się tu pojawiłem, traktowała mnie przyjaźnie, choć była bardzo nieśmiała. Ucieszyłem się ogromnie, kiedy bez słowa dała mi coś słodkiego w ogrodzie – cukierek na patyku. Siedzieliśmy obok siebie, liżąc każde swój smakołyk i obserwując pszczoły zbierające nektar. Françoise uczyła się gry na fortepianie jak Marcel i lubiła malować jak Nadine. Często widywałem ją siedzącą przy sztalugach koło domu. Nie miałem pojęcia, czy ma talent, czy nie, bo nigdy nie zobaczyłem nic, co namalowała, ale przypuszczałem, że uroczy sielankowy pejzaż przedstawiający pole i rzekę, który wisiał w holu na dole, wyszedł spod jej pędzla. Oczywiście nie było nam dane zostać przyjaciółmi – spędzanie czasu z kimś, z kim nie można porozmawiać, musi być dość nudne – ale często uśmiechała się i patrzyła na mnie ze współczuciem. Zdarzało się – zwykle w niedziele, kiedy monsieur Landowski nie pracował – że rodzina grywała w bule albo wybierała się na piknik. Zawsze proponowano mi, żebym się przyłączył, ale odmawiałem. Wołałem uszanować ich czas spędzany w gronie najbliższych, poza tym przekonałem się boleśnie, do czego mogą prowadzić urazy.

Po kolacji pomogłem Elsie i Antoinette przy naczyniach, a kiedy poszły na górę się położyć, wymknąłem się z kuchni i pobiegłem na tyły domu, żeby nikt nie zauważył, że wyszedłem.

Stałem przed drzwiami Evelyn z bijącym sercem. Czy to błąd? Może powinienem wrócić tą samą drogą, którą tu przyszedłem, i zapomnieć o sprawie?

– Nie – szepnąłem cicho.

Wcześniej czy później musiałem komuś zaufać, a intuicja, która utrzymała mnie przy życiu tak długo, mówiła mi, że podjąłem słuszną decyzję.

Ręka mi się trzęsła, kiedy sięgnąłem do drzwi i zapukałem nieśmiało. Nie było żadnej reakcji – co zrozumiałe, bo tylko ktoś stojący tuż za nimi mógłby mnie usłyszeć. Zapukałem więc mocniej. Po kilku sekundach zobaczyłem, jak za oknem odchyła się zasłona, a potem drzwi się otworzyły.

– No, no, kogo my tu mamy? – powiedziała Evelyn i uśmiechnęła się do mnie. – Wchodź, śmiało. Do moich drzwi rzadko pukają goście. – Zaśmiała się.

Znalazłem się chyba w najbardziej przytulnym pokoju, jaki dotąd widziałem. Choć mówiono mi, że dawniej mieścił się tu garaż monsieur Landowskiego, i choć był to tylko cementowy klocek, gdziekolwiek spojrzałem, widziałem coś pięknego. Dwa tapicerowane fotele stały zwrócone do środka pokoju, a na nich udrapowano jaskrawe narzuty. Na ścianach wisiały portrety rodzinne i martwe natury, a na czystym mahoniowym stole przy oknie pysznił się bukiet kwiatów. Małe drzwi, jak przypuszczałem, musiały prowadzić do sypialni i toalety, a na półce nad kredensem pełnym porcelany i szkła leżała sterta książek.

– Siadaj, proszę. – Evelyn wskazała mi jeden z foteli i podniosła ze swojego coś, co wyszywała. – Mogę zaproponować ci lemoniadę? Według mojego przepisu.

Skwapliwie pokiwałem głową. Przed przybyciem do Francji nie znałem smaku lemoniady i teraz nigdy nie miałem jej dosyć. Obserwowałem, jak Evelyn podchodzi do kredensu i wyjmuje dwie szklanki. Nalała bladożółtego płynu z dzbanka pełnego lodu.

– Proszę – powiedziała i usiadła. Jej pulchna postać wypełniała idealnie fotel. Uniosła szklankę. – *Santé!*

Ja też podniosłem swoją, ale jak zwykle nic nie powiedziałem.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała Evelyn.

Miałem już napisane pytanie. Wyciągnąłem kartkę z kieszeni i jej podałem.

Przeczytała, a potem popatrzyła na mnie.

– Jak mógłbyś zarobić pieniądze? O to przyszedłeś mnie spytać?

Skinąłem głową.

– No, młody człowieku, nie jestem pewna, czy potrafię ci coś poradzić. Musiałabym o tym pomyśleć. Ale dlaczego sądzisz, że potrzebujesz pieniędzy?

Pokazałem gestem, że powinna obrócić kartkę.

– *Na wypadek gdyby dobrzy Państwo Landowscy uznali, że nie mają już dla mnie miejsca* – przeczytała na głos. – Biorąc pod uwagę sukcesy pana i liczbę zamówień, jakie dostaje, to bardzo mało prawdopodobne, żeby musieli przeprowadzić się do mniejszego domu. Ale chyba rozumiem, co masz na myśli. Boisz się, że pewnego dnia mogliby po prostu dojść do wniosku, że powinienes się wynieść, tak?

Pokiwałem energicznie głową.

– I stałbyś się jeszcze jedną głodującą sierotą na ulicach Paryża. Co prowadzi do bardzo ważnego pytania: jesteś sierotą? Wystarczy mi „tak” lub „nie”.

Pokręciłem głową równie zdecydowanie, jak przed chwilą nią kiwałem.

– A gdzie są twoi rodzice?

Oddała mi papier i napisałem:

Nie wiem.

– No tak. Myślałam, że mogli zginąć podczas Wielkiej Wojny, ale skończyła się w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, więc pewnie jesteś za młody, żeby to był ten przypadek.

Wzruszyłem ramionami, starając się nie zmieniać wyrazu twarzy. Problem z dobrymi ludźmi jest taki, że człowiek traci przy nich czujność, a wiedziałem, że za wszelką cenę muszę ją zachować. Widziałem, jak Evelyn przygląda mi się w milczeniu.

– Wiem, że potrafisz mówić, jeśli chcesz, młody człowieku. Brazylijka, która tu była, mówiła nam, że powiedziałaś do niej „dziękuję” idealnym francuskim w tę noc, kiedy cię znalazła. Dlaczego więc się nie odzywasz? Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy... chyba że od tamtej pory stałeś się niemową, w co bardzo wątpię... jest takie, że za bardzo boisz się, by komukolwiek zaufać. Mam rację?

Naprawdę byłem w rozterce... Chciałem powiedzieć: „Tak, ma pani absolutną rację”, wtulić się w nią i opowiedzieć jej całą swoją historię, ale wiedziałem, że mimo wszystko nadal... nadal nie mogę. Pokazałem na migi, że potrzebowałbym więcej papieru, napisałem kilka słów i znów podałem Evelyn.

Miałem gorączkę. Nie pamiętam, żebym mówił do Bel.

Przeczytała, po czym uśmiechnęła się.

– Rozumiem, młody człowieku. Wiem, że kłamiesz, ale domyślam się, że spotkało cię coś tak strasznego, że nie potrafisz nikomu zaufać. Może pewnego dnia, kiedy będziemy się znali nieco dłużej, opowiem ci trochę o swoim życiu. Byłam pielęgniarką na froncie podczas wojny. Widziałam tyle cierpienia... nigdy tego nie zapomnę. I szczerze mówiąc, na jakiś czas straciłam wiarę... w człowieka, a nawet w Boga. Wierzysz w Boga?

Skinąłem głową, odrobinę mniej zdecydowanie. Dlatego, że nie wiedziałem, czy nadal jest religijna po załamaniu wiary, ale też dlatego, że

nie miałem pewności co do własnej wiary.

– Myślę, że może jesteś teraz w tym samym punkcie co ja wtedy – ciągnęła Evelyn. – Sporo czasu minęło, nim znów komukolwiek zaufałam. Wiesz, co sprawiło, że odzyskałam wiarę? Miłość. Miłość do mojego ukochanego syna. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Miłość pochodzi od Boga... czy jakkolwiek nazwiesz tę siłę wyższą... który łączy nas, ludzi, w powiązaną z Nim niewidzialną sieć. Nawet jeśli czasami wydaje się nam, że nas opuścił, nigdy nas nie opuszcza. A wracając do twojego pytania... Obawiam się, że nie potrafię na nie odpowiedzieć. Na ulicach Paryża jest wielu takich chłopców jak ty, radzących sobie na różne sposoby, o których wolę nie myśleć. Ale... mój Boże, tak bym chciała, żebyś zaufał mi choć na tyle, by zdradzić swoje imię. Ręczę ci, że monsieur i madame Landowscy to dobrzy mili ludzie i nigdy nie wyrzuciliby cię, ot tak, z domu.

Pokazałem, że potrzebuję kartki, i kiedy mi ją oddała, napisałem:

To co oni ze mną zrobią?

– Gdybyś mówił, pozwoliliby ci mieszkać u siebie już zawsze i posłaliby cię do szkoły jak swoje dzieci. Ale w tej sytuacji... – Wzruszyła ramionami. – To niemożliwe, prawda? Wątpię, by jakakolwiek szkoła przyjęła chłopca niemowę, bez względu na to, jaki poziom edukacji osiągnął wcześniej. Bo z tego, co o tobie wiem, wynika, że jesteś wykształcony i chciałbyś się dalej uczyć. Mam rację?

Zdobyłem się na coś w rodzaju francuskiego wzruszenia ramion, w którym wszyscy mieszkańcy tego domu byli świetni.

– Jedno, czego nie lubię, to kłamstwa, młody człowieku – zgaśniła mnie niespodziewanie Evelyn. – Wiem, że masz swoje powody, żeby zachowywać milczenie, ale przynajmniej bądź uczciwy. Chcesz kontynuować edukację czy nie?

Niechętnie skinąłem głową.

Evelyn klepnęła się po udzie.

– No to mamy to! Musisz się zdecydować, czy jesteś gotów zacząć mówić, bo jeśli to zrobisz, twoja przyszłość w domu Landowskich stanie się o wiele pewniejsza. Byłbyś normalnym dzieckiem, które może pójść do normalnej szkoły, i wiem, że traktowaliby cię dalej jak członka rodziny. A teraz... – Ziewnęła. – Jutro wcześniej zaczynam, ale miło mi było spędzić ten wieczór w twoim towarzystwie. Pukaj do moich drzwi, kiedy tylko zechcesz.

Od razu wstałem, kiwając głową w podziękę, i ruszyłem do wyjścia. Evelyn podniosła się z fotela, żeby mnie odprowadzić. Kiedy już miałem nacisnąć klamkę, poczułem na ramionach delikatne dłonie; obróciły mnie, po czym Evelyn objęła mnie i przytuliła.

– Odrobina miłości, tylko tego ci trzeba, *chéri*. A teraz dobranoc.

3

26 października 1928 roku

Dziś przed kolacją napalono w kominku jadalni. To był bardzo ekscytujący widok, choć nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak narzekają na zimno. Członkowie rodziny są w dobrym zdrowiu i mają mnóstwo zajęć. Monsieur Landowski zamartwia się transportem swojej cennej rzeźby Cristo do Rio de Janeiro. Ma też do skończenia Sun Jat-sena. Próbuję pomagać w domu, na ile potrafię, i mam nadzieję, że na coś się przydadę, a nie jestem jedynie ciężarem. Bardzo cieszę się z nowych zimowych ubrań, które dostałem po Marcelu. Materiał koszuli i spodni oraz wełna swetra są takie miłe i miękkie w dotyku. Madame Landowski wielkodusznie zdecydowała, że nawet jeśli na razie nie mogę pójść do szkoły, bo jestem niemy, powinienem się uczyć. Daje mi zadania z matematyki i robi dyktanda. Pracuję ciężko, żeby dobrze się spisać. Jestem szczęśliwy i wdzięczny, że mieszkam z dobrymi ludźmi w tym ślicznym domu.

Odłożyłem pióro i zamknąłem na kluczyk pamiętnik, z nadzieją, że żadne wścibskie oko nie dopatrzy się niczego złego w tym, co napisałem. A potem sięgnąłem pod szufladę po mały plik kartek, które przyciąłem, żeby miały ten sam rozmiar co strony zeszytu. To kartki, na których

dokumentuję swoje prawdziwe myśli. Z początku pisałem pamiętnik tylko po to, żeby sprawić przyjemność tym, którzy mnie nim obdarowali, na wypadek gdyby kiedykolwiek spytali mnie, czy go używam. Przekonałem się jednak, że coraz trudniej mi znieść niemożność wyrażania myśli i uczuć, i zapisywanie ich stało mi się potrzebne, przynosi ulgę, daje ujście. Zdecydowałem, że pewnego dnia, kiedy nie będę już mieszkał z Landowskimi, będę mógł wsunąć te kartki we właściwe miejsca, co da o wiele pełniejszy – uczciwszy – obraz mojego życia.

Myślę, że to z powodu Evelyn trudniej mi było myśleć o odejściu, bo po tym, jak powiedziała, żebym przychodził odwiedzać ją, kiedy zechcę, zacząłem to robić. I szczerze wierzyłem, że żywi wobec mnie jakieś matczyne uczucia, które wydawały się autentyczne i szczerze. Wiele razy w ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy siedziałem z nią w jej przytulnym pokoju, opowiadała mi o swoim życiu. Tak jak podejrzewałem, było wiele cierpienia. Jej mąż i starszy syn nie wrócili z Wielkiej Wojny. Mieszkając u Landowskich, wiele się dowiedziałem o tym konflikcie zbrojnym. Urodziłem się w 1918 roku, nie znałem więc tej wojny. Evelyn mówiła mi, jak wielu mężczyzn ginęło na polu walki, kiedy zmuszano ich do przekraczania granic własnych możliwości, jak wyli z bólu z porozrywanyimi, okaleczonymi ciałami. Słuchając jej, dostawałem dreszczy.

– Najbardziej boli mnie to, że moi ukochani Anton i Jacques umierali samotnie, nie mieli przy sobie nikogo, kto by ich pocieszył.

Widząc, jak oczy Evelyn zachodzą łzami, wyciągałem do niej dłoń. A tak naprawdę chciałem powiedzieć coś w rodzaju: „Tak mi przykro. Musi pani być bardzo ciężko. Ja też straciłem wszystkich, których kochałem”.

Tłumaczyła, że dlatego jest tak dumna z jedyne go syna, który jej pozostał, i tak się nim opiekuje. Gdyby go straciła, oszalałaby. Chciałem

powiedzieć jej, że ja oszalałem, ale ku mojemu zaskoczeniu powoli odzyskuję rozum.

Coraz trudniej było pozostawać niemym, zwłaszcza że dobrze wiedziałem, że gdybym zaczął mówić, poszedłbym do szkoły. A z całego serca pragnąłem kontynuować naukę. Tylko że wtedy padłyby pytania o moją przeszłość, na które nie mogłem odpowiedzieć. Albo musiałbym kłamać, a przecież ci ludzie, którzy przyjęli mnie pod swój dach, ubrali i karmili, nie zasługiwali na to, żeby ich oszukiwać.

*

– Wchodź, wchodź – powiedziała Evelyn, kiedy popchnąłem frontowe drzwi jej domku.

Wiedziałem, że ma chorą nogę, która na pewno bolała bardziej, niż Evelyn chciała przyznać. Nie tylko ja martwiłem się o swoją pozycję u Landowskich.

– Zrób kakao, dobrze, młody człowieku? Wszystko już na ciebie czeka – dodała.

Wykonując jej polecenie, wdychałem cudowny zapach napoju; byłem pewien, że w odległej przeszłości już go piłem, ale teraz i tak nigdy nie miałem go dosyć. Picie kakao z Evelyn szybko stało się dla mnie ulubionym punktem dnia.

Wziąłem dwa kubki i postawiłem jeden na stole obok niej, a drugi na kominku, w którym płonął wesoło ogień. Siadając, pomachałem dłonią przed twarzą, bo aż mi się kręciło w głowie od tego ciepła.

– Pochodzisz z bardzo zimnego kraju, co? – Evelyn zmierzyła mnie przenikliwym wzrokiem.

Wiedziałem, że próbuje mnie wybadać, skorzystać z chwili, kiedy tracę czujność.

Wziąłem kubek i zacząłem popijać, żeby dowieść, że jestem w stanie wlewać gorący płyn do rozgrzanego ciała, choć potwornie chciało mi się zedrzeć z siebie wełniany sweter.

– Och, pewnego dnia mi opowiesz. – Uśmiechnęła się. – Na razie pozostajesz enigmą.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. Nigdy jeszcze nie słyszałem słowa „enigma”, ale brzmiało ciekawie.

– To znaczy, że nikt nie wie, kim naprawdę jesteś – wyjaśniła. – I dzięki temu jesteś interesujący, przynajmniej na razie. Z czasem pewnie stanie się to w końcu dość nudne.

Auć! To naprawdę zabolalo.

– W każdym razie... wybac mi moje słowa. Mówię to tylko dlatego, że martwię się o ciebie. Cierpliwość monsieur i madame Landowskich może się w pewnym momencie wyczerpać. Słyszałam, co mówili któregoś dnia, kiedy odkurzałam w salonie. Zastanawiają się nad tym, żeby wysłać cię do psychiatry. Wiesz, kto to jest?

Pokręciłem głową.

– To... taki... lekarz umysłu. Zadaje ci pytania i stawia diagnozę na temat twojego stanu psychicznego i jego przyczyn. Na przykład, jeśli masz jakieś zaburzenia psychiczne, to może oznaczać, że trzeba będzie umieścić cię w szpitalu.

Zrobiłem wielkie oczy z przerażenia. Wiedziałem, co ma na myśli. Jeden z naszych sąsiadów, którego krzyki często słyszeliśmy, a raz widzieliśmy, jak wałęsał się nagi główną ulicą, został zabrany do tak zwanego sanatorium. Podobno to okropne miejsce. Pełne mężczyzn i kobiet wrzeszczących, krzyczących albo siedzących nieruchomo i gapiących się tępo w przestrzeń, jakby już nie żyli.

– Przepraszam, nie powinnam była ci tego mówić – dodała szybko Evelyn. – Wszyscy wiemy, że nie jesteś szalony, że tak naprawdę ukrywasz, jaki jesteś inteligentny. Oni myślą o posłaniu cię do psychiatry, żeby dowiedzieć się, dlaczego nie jesteś w stanie komunikować się z nami normalnie, choć wiemy, że potrafisz.

Jak zwykle pokręciłem zdecydowanie głową. Wszyscy znali moją odpowiedź na to pytanie – miałem wysoką gorączkę i nie pamiętałem, żebym powiedział cokolwiek do Bel. Co zresztą nie było do końca kłamstwem.

– Oni próbują ci pomóc, nie chcą cię skrzywdzić. Proszę, nie rób takiej przerażonej miny. Popatrz – Evelyn sięgnęła po coś opakowanego w brązowy papier, leżącego przy jej fotelu – to dla ciebie, na zimę.

Wziąłem paczuszkę z jej rąk i poczułem się tak, jakby były moje urodziny. Od bardzo dawna nie dostałem paczki do otwarcia. Chciałem nacieszyć się tą chwilą, ale Evelyn ponagliła mnie. W środku były kolorowy szalik w paski i wełniana czapka.

– Przymierz, młody człowieku. Zobacz, czy pasują.

Choć byłem rozgrzany jak piec, zrobiłem to. Szalik pasował idealnie – jak mógłby nie pasować? Ale wełniana czapka była nieco przyduża i kiedy ją włożyłem, opadła mi na oczy.

– Daj mi ją – rzuciła Evelyn.

Patrzyłem, jak podwija czapkę z przodu.

– Proszę. Tak będzie dobrze. Co myślisz?

Że chyba umrę z gorąca, jeśli będę w tym siedział dłużej...

Pokiwałem entuzjastycznie głową, po czym wstałem, podszedłem do Evelyn i ją uściskałem. Kiedy oderwałem się od niej, uświadomiłem sobie, że mam oczy pełne łez.

– Ojej, głuptasku, wiesz, jak uwielbiam robić na drutach. Zrobiłam setki takich rzeczy dla naszych chłopaków na froncie – dodała.

Obróciłem się, by wrócić na fotel. Cisnęło mi się na usta słowo „dziękuję”, ale trzymałem je mocno zamknięte. Zdjąłem czapkę i szalik, złożyłem i z szacunkiem zapakowałem z powrotem w papier.

– No tak, czas już, żebyśmy oboje poszli spać. – Evelyn zerknęła na zegar stojący nad kominkiem. – Ale najpierw muszę podzielić się z tobą wspaniałą nowiną, którą dzisiaj dostałam.

Zobaczyłem, że wskazuje na list zatknięty za zegarem.

– To od mojego syna, Louisa. Przyjedzie odwiedzić mnie w mój dzień wolny. I co ty na to?

Pokiwałem z zapalem głową, ale w głębi duszy uświadomiłem sobie, że jestem nieco zazdrosny o tego wspaniałego Louisa, którego matka tak bezkrytycznie ubóstwia. Pomyślałem, że mogę go znienawidzić.

– Chciałabym, żebyś przyszedł i go poznał. Zabierze mnie na obiad do miasta. Powinniśmy wrócić o wpół do czwartej. Może wpadłbyś o czwartej?

Skinąłem głową i starałem się nie zdradzić, że się dąsam. Pomachałem jej leciutko i uśmiechnąłem się szeroko, zabierając paczuszkę. Wyszedłem. Kuliłem się w łóżku, zaniepokojony przyjazdem konkurenta do uczuć Evelyn i tym, co mówiła o psychiatrze, którego być może każą mi odwiedzić Landowscy.

Nie spałem dobrze tej nocy.

*

W niedzielę po południu umyłem twarz w misce wody przynoszonej mi codziennie przez jedną ze służących. Tutaj, na poddaszu, nie mieliśmy

„udogodnień” (co było kolejnym powodem utyskiwań Elsy i Antoinette, bo musiały chodzić w nocy na dół, żeby się załatwić). Przyczesalem włosy i zdecydowałem, że nie włożę wełnianego swetra, bo skoro przyjechał syn, to Evelyn prawdopodobnie napali w kominku na całego. Zszedłem, wymknąłem się kuchennymi drzwiami i ruszyłem tą samą co zwykle drogą do domku Evelyn. Nagle usłyszałem coś i przystanąłem. Zamknąłem oczy i wsłuchałem się. Na moich wargach pojawił się uśmiech; nie potrafiłem się powstrzymać. Znałem ten utwór i choć był grany przez kogoś, kto nie był takim mistrzem jak mój ojciec, to jednak na pewno ćwiczył od wielu lat.

Kiedy muzyka umilkła, wziąłem się w garść, powlokłem noga za nogą do drzwi i zapukałem. Natychmiast zostały otwarte przez wysokiego, szczupłego młodzieńca; wiedziałem, że ma dziewiętnaście lat.

– Witaj – powiedział z uśmiechem. – To ty jesteś na pewno tym bezdomnym chłopaczkiem, który pojawił się tu po mojej ostatniej wizycie.

Gdy wpuścił mnie do środka, błyskawicznie rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu instrumentu, na którym przed chwilą grał. Skrzypce leżały na fotelu, tam gdzie zwykle siadywałem. Mimowolnie utkwilem w nich wzrok.

– Dzień dobry – odezwała się Evelyn. – To Louis, mój syn.

Skinąłem głową, lecz nadal nie mogłem oderwać oczu od tego kawałka drewna, który w magiczny sposób został przetworzony w instrument zdolny wydawać najpiękniejsze dźwięki na świecie. W każdym razie moim zdaniem.

Evelyn od razu zauważyła, że wpatruję się w skrzypce.

– Słyszałeś, jak mój syn gra? – spytała.

Skinąłem głową; aż się rwałem, by po nie sięgnąć, umieścić je zręcznie pod brodą, unieść smyczek i wydobyć kilka nut.

– Chciałbyś je potrzymać?

Podniosłem wzrok na Louisa, który przypominał mi swoją matkę w męskim wydaniu, chociaż ona była przy kości, a on szczupły. Miał ten sam uroczy uśmiech. Pokiwałem gorliwie głową. Gdy podał mi skrzypce, ująłem je z czcią niczym najcenniejszy skarb. I niemal odruchowo włożyłem instrument pod brodę.

– A więc grasz – powiedział Louis.

Nie było to pytanie, ale stwierdzenie.

Skinąłem głową.

– To posłuchajmy. – Sięgnął po smyczek i podał mi go.

Słyszałem, jak grał, więc miałem pewność, że instrument jest idealnie nastrojony, ale i tak przesunąłem smyczkiem po strunach, żeby je wyczuć. Skrzypce były cięższe od tych, na których graliśmy tata i ja, miały solidniejszą konstrukcję. Zastanawiałem się, czy zdołam wydobyć z nich właściwe nuty. Minęło bardzo dużo czasu, od kiedy miałem w rękach skrzypce. Zamknąłem oczy, zrobiłem to, czego zawsze uczył mnie tata, i pieszczotliwie musnąłem struny. Nie byłem nawet pewien, co zagram, zanim popłynęła ze mnie piękna melodia suit *Allemande* Bacha. Byłem zaskoczony, kiedy utwór dobiegł końca i zapadła cisza. A potem rozległy się oklaski.

– No, tego to bym się nigdy w życiu nie spodziewała – usłyszałem słowa Evelyn, trzepoczącej dla ochłody wachlarzem.

– Monsieur... – zaczął Louis – jesteś... naprawdę świetny. To było niezwykle jak na chłopca w twoim wieku... Gdzie nauczyłeś się grać?

Nie zamierzałem odkładać skrzypiec, żeby szukać kawałka papieru, skoro trzymałem je już w rękach, więc tylko wzruszyłem ramionami w nadziei, że poprosi, żebym zagrał coś jeszcze.

– Przecież ci powiedziałam: on nie mówi.

– To, czego może mu brakować w strunach głosowych, nadrabia z nawiązką dźwiękami, jakie potrafi wydobyć ze skrzypiec. – Louis uśmiechnął się do matki, a potem obrócił się do mnie. – Jesteś wyjątkowy jak na swój wiek. Daj, wezmę je od ciebie. Siadaj, napij się herbaty.

Kiedy zbliżył się do mnie, miałem przemożną chęć przycisnąć skrzypce do piersi, obrócić się na pięcie i uciekać.

– Nie martw się, młody człowieku – odezwała się Evelyn. – Teraz, kiedy wiem, że umiesz tak pięknie grać, będziemy cię o to prosić tak często, jak to możliwe. Widzisz, te skrzypce należały do mojego męża. On też pięknie grał. Więc trzymam je tutaj, pod łóżkiem. Możesz je tam dla mnie odłożyć – powiedziała łagodnie, wskazując na futerał, który leżał na podłodze.

Kiedy Louis nalewał herbatę, umieściłem skrzypce troskliwie w ich gniazdku. Na wewnętrznej stronie wieka zobaczyłem nazwisko lutnika. Nigdy o nim nie słyszałem, ale nie szkodzi. Jakość dźwięku nie była może tak dobra jak w instrumencie taty, ale wystarczająca. Każde skrzypce by mi wystarczyły. Evelyn w końcu nie kazała mi zanieść futerału pod łóżko, więc leżał koło mnie, kiedy piliśmy herbatę. Słuchałem, co Louis opowiada o studiach matce.

– Może kiedyś będę projektował nowe modele renault – powiedział.

– Poza tym, że byłabym z ciebie wtedy bardzo dumna, wiesz, jak bym się cieszyła. Mieszkałybyś tuż obok, a nie tak daleko, w Lyonie.

– Już niedługo. Jeszcze półtora roku i zrobię dyplom, a potem napiszę do wszystkich firm samochodowych i zobaczę, która uzna, że może skorzystać z moich umiejętności.

– Louis od dziecka pasjonował się samochodami – wyjaśniła mi Evelyn.
– W tamtych czasach nie jeździło ich wiele, ale rysował auta, które wyobrażał sobie w przyszłości, i wiesz, wyglądały bardzo podobnie do

tych, które są obecnie produkowane. Oczywiście samochody są tylko dla bogatych...

– Och, mamo, niedługo to się zmieni. Pewnego dnia każda rodzina będzie miała auto, ja też.

– Nic złego trochę pomarzyć, prawda? – powiedziała dobrodusznie. – A teraz, młody człowieku, dasz radę skończyć ciasto czy Louis ma je odłożyć na jutro?

Uznałem, że zmieszczę jeszcze trochę więcej, i wziąłem ostatni kawałek z talerza.

– A co jest twoją pasją? – zapytał Louis.

Wyciągnąłem kawałek papieru i napisałem trzy słowa.

Jedzenie!

Skrzypce

Książki (czytanie)

Podsunałem mu kartkę. Louis rzucił na nią okiem.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się. – Dwie pierwsze widziałem dziś w akcji. Czy kiedyś mówiłeś?

Nie chciałem, żeby wyglądało na to, że się zastanawiam; postanowiłem odpowiedzieć zgodnie z prawdą i skinąłem głową.

– Mogę spytać, co się stało, że teraz jesteś niemy?

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

– Może to nie nasza sprawa pytać, co? – wtrąciła Evelyn. – Powie nam, kiedy będzie na to gotowy, prawda?

Skinąłem głową, a potem zwiesiłem ją ze smutkiem. Nawet jeśli nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu, ekspresję niewerbalną opanowałem do perfekcji.

– Dołożysz do ognia, Louis? Wieczory naprawdę zaczynają się robić bardzo chłodne. – Evelyn przebiegł dreszcz. – Nie lubię zimy, a ty, młody człowieku?

Pokręciłem zdecydowanie głową.

– Ale przynajmniej Boże Narodzenie rozświecła trochę nasze domy i serca. Jest na co czekać. Lubisz Boże Narodzenie?

Patrzyłem na nią przez chwilę, a potem zamknąłem oczy. Wróciło do mnie wspomnienie dnia, kiedy płonął jasno ogień i po przyjeździe z kościoła rozdawaliśmy sobie maluteńkie prezenty. Na kolację było mięso i przygotowane specjalnie smakołyki. Cieszyłem się tym, choć obraz stający mi przed oczami przypominał bardziej ilustrację z książki niż moje autentyczne przeżycie.

– Mam nadzieję, że będę mógł pozwolić sobie na bilet, żeby przyjechać do ciebie na święta, mamó. Będę na to oszczędzał – obiecał Louis.

– Wiem, *chéri*. Ale wiesz, że to dla mnie najgorętszy okres w roku. Monsieur Landowski lubi wydawać przyjęcia dla przyjaciół, więc może lepiej byłoby odłożyć nasze spotkanie na po świętach, kiedy i przejazdy koleją mogą być tańsze.

– Może, zobaczymy. A teraz strasznie mi przykro, ale muszę już ruszać.

– Oczywiście – rzuciła Evelyn, choć widziałem smutek w jej oczach. – Czekaaj, spakuję ci trochę jedzenia na drogę.

– Mamó, nie zaprzataj sobie tym głowy, proszę – zaprotestował Louis, dając gestem znak, żeby nie wstawała. – Zjedliśmy ogromny obiad i tak opchałem się ciastem, że nie zgłodnieję, nim dotrę na miejsce, słowo. – Spojrzał na mnie. – Moja mama lubi karmić ludzi, jak pewnie zauważyłeś. – Mrugnął porozumiewawczo.

Podniosłem się, bo nie chciałem przeszkadzać w pożegnaniu matki i syna, które najwyraźniej było dla nich bolesne. Uściskałem Evelyn, po

czym podałem dłoń Louisowi.

– Bardzo miło było cię poznać i dziękuję, że dotrzymujesz mamie towarzystwa. Potrzebuje piskląt jak kwoczka, prawda, mamó? – Uśmiechnął się.

– Znasz mnie aż za dobrze. – Evelyn się zaśmiała. – Do widzenia, młody człowieku, do zobaczenia jutro.

– I może następnym razem, kiedy przyjadę, będziesz miał imię, żebyśmy wiedzieli, jak się do ciebie zwracać – dodał Louis, kiedy ruszyłem do drzwi.

Wracając do domu, myślałem o tym, co powiedział Louis. Rozważałem to wiele razy. Prawda była taka, że nie zdradziłbym prawdziwego imienia nikomu, nigdy w życiu. To znaczyło, że mogłem sobie wybrać, jakie tylko zechcę. Nie chodziło o to, żeby było lepsze od tego prawdziwego, ale ciekawie było myśleć, jak mógłbym się nazywać. Problem w tym, że jeśli kiedyś miało się imię – nawet najpaskudniejsze w świecie – to było ono twoje. A imię to często pierwsza rzecz, której ludzie się o tobie dowiadują. Więc próba oderwania się od niego okazywała się trudniejsza, niż mogłoby się wydawać. W ciągu ostatnich kilku tygodni szeptałem do siebie wiele imion, bo nie podobało mi się to, że ludzie nie wiedzą, jak się do mnie zwracać. Pomogłoby im bardzo, gdybym miał jakieś imię, i to łatwe do zapisania. Lecz choć bardzo się starałem, nic odpowiedniego nie przychodziło mi do głowy.

Odkroiłem sobie spory kawał bagietki i posmarowałem jej środek dżemem (w niedzielne wieczory nie było służby), po czym poszedłem do swojego pokoju na poddaszu. Usiadłem na łóżku i patrzyłem przez małe okno na zapadającą noc. A potem wziąłem pamiętnik, by dodać parę zdań do ostatniego akapitu.

*Przed chwilą po bardzo długiej przerwie grałem na skrzypcach.
To było coś najcudowniejszego na świecie: znowu czuć w dłoni
smyczek i być w stanie wydobywać dźwięki z instrumentu...*

Ołówek wypadł mi z ręki, bo uświadomiłem sobie, że właśnie
znalazłem idealne imię.

4

– No, nareszcie posąg skończony. – Monsieur Landowski z ulgą uderzył dłonią o blat w pracowni. – Ale teraz ten zwariowany Brazylijczyk chce, żebym zrobił mu model w skali jeden do jednego głowy i dłoni Chrystusa. Głowa ma mieć niemal cztery metry wysokości, ledwie się tu pomieści. Palce musiałyby sięgać krokwi. Będziemy tu czuć na sobie, w sensie dosłownym, rękę Chrystusa – zażartował. – A kiedy to skończę, jak mówi da Silva Costa, każe poporcjować moje dzieło na części niczym wołu, żeby przetransportować je do Rio de Janeiro. Nigdy jeszcze tak nie pracowałem. Ale – westchnął – pewnie powinienem zaufać jego szalonej wizji.

– Chyba nie masz innego wyjścia – powiedział Laurent.

– Przynajmniej dzięki temu pospłacamy rachunki, Brouilly, choć nie będę mógł przyjmować żadnych zleceń, póki głowa i dłonie naszego Pana nie opuszczą pracowni. Po prostu nie będzie na nic miejsca. No to zaczynamy. Przynieś mi odlewy dwóch damskich dłoni, które zrobiłeś parę miesięcy temu. Muszę mieć coś, od czego zacząć.

Patrzyłem, jak Laurent idzie do magazynu, by znaleźć odlewy, i uznałem, że czas się ulotnić. Wyczuwałem napięcie pomiędzy tymi dwoma mężczyznami. Wyszedłem z pracowni, usiadłem na kamiennej ławie i patrzyłem w górę na piękne pogodne nocne niebo. Nagle przebiegł mnie dreszcz i po raz pierwszy cieszyłem się, że mam na sobie wełniany sweter. Zapowiadała się mroźna noc, choć nie sądziłem, by miał padać

śnieg. A poznałbym to na pewno. Obróciłem głowę, by spojrzeć na właściwe miejsce na niebie; wiedziałem, że skoro to listopad, to o tej porze roku gwiazdy, które mnie tu prowadziły, do mojego nowego domu, pojawiają się nad półkulą północną. Widziałem je już kilka razy, jak migotały leciutko, często osłonięte chmurami, ale tej nocy...

Podskoczyłem gwałtownie, jak zawsze na dźwięk zbliżających się kroków, i starałem się rozpoznać kto to. Pojawiła się znajoma sylwetka Laurenta. Usiadł obok mnie, a ja dalej gapiłem się w niebo.

– Lubisz gwiazdy? – zapytał.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

– Tam jest Pas Oriona. – Pokazał na niebo. – A blisko niego Plejady, Siedem Sióstr, obok ich rodziców, Atlasa i Plejone, czuwających nad nimi.

Powiodłem wzrokiem za ruchem jego palców, kiedy rysował w powietrzu linie pomiędzy gwiazdami. Nie śmiałem na niego spojrzeć, żeby nie dostrzegł mojego zdziwienia.

– Mój ojciec interesował się astronomią. Miał teleskop w jednym z pokoi na szczycie naszego *château* – wyjaśnił Laurent. – Czasami, w pogodne noce, wychodził z nim na dach i uczył mnie o gwiazdach. Zobaczyłem raz spadającą gwiazdę i pomyślałem, że to coś najbardziej magicznego, co widziałem w życiu.

Popatrzył na mnie z góry i przyjrzał mi się uważnie.

– Masz rodziców?

Nie odrywałem oczu od gwiazd. Udawałem, że nie słyszę.

– No dobrze, muszę już iść. – Poklepał mnie po głowie. – Dobranoc.

Patrząc, jak odchodzi, zdałem sobie sprawę, że to był ten moment, kiedy byłem najbliższy odezwania się (poza grą na skrzypcach). Mógł mi pokazać tyle gwiazd, a wybrał właśnie te... Wiedziałem, że są znane, ale w pewien sposób zawsze wydawały mi się moją tajemnicą i nie byłem

pewien, czy podoba mi się, że dla kogoś innego są też tak wyjątkowe i bliskie.

Szukaj na niebie Plejad, synu. Zawsze gdzieś tam będą, czuwając nad tobą i ochraniając cię, kiedy ja nie będę mógł...

Znałem na wylot wszystkie związane z nimi historie. Kiedy byłem o wiele mniejszy niż teraz, słuchałem opowieści taty o tym, jak Siedmioma Siostrami fascynowano się w odległej przeszłości. Wiedziałem, że były nie tylko bohaterkami mitologii greckiej, ale też pojawiały się w wielu legendach na całym świecie, a w moich myślach przybierały realne kształty – siedmiu kobiet, które się mną opiekowały. Inne dzieci uczono, że osłaniają je skrzydła aniołów. Dla mnie Maja, Alkione, Asterope, Celaeno, Tajgete, Elektra i Merope były jak matki. Czułem się szczęściarzem, mając ich siedem, bo nawet jeśli jedna z nich w którąś noc nie świeciła zbyt jasno, to inne tak. Każda miała inne cechy, inny rodzaj mocy. Czasami myślałem, że jakby złożyło się je w jedno, być może powstałaby idealna kobieta, taka jak Matka Boska. I nawet kiedy byłem już – bo musiałem być – dorosły, nadal nie opuszczało mnie przekonanie, że to są prawdziwe istoty i w razie potrzeby pospieszą mi na pomoc. Nie chciałem zrezygnować z tej wiary. Znów popatrzyłem na nie w górę, a potem podniosłem się z ławy i pognałem do swojego pokoju na poddaszu, by wyrzeć przez okno. I tak... TAK! Stąd też były widoczne.

Myślę, że tej nocy spałem najlepiej, odkąd pamiętam, bo wiedziałem, że one tam są i świecą na mnie z góry ochronnym blaskiem.

*

W domu rozeszła się wieść, że umiem grać na skrzypcach.

– Chcą usłyszeć, jak grasz – powiedziała Evelyn. – I zagrasz im w niedzielę.

Wydałem usta, bardziej ze strachu niż z nadęsania. Co innego było grać dla Evelyn, gosposi, a co innego dla Landowskich, zwłaszcza przy Marcelu, który był tak utalentowanym pianistą.

– Nie martw się, możesz sobie na nich poćwiczyć – powiedziała Evelyn, podając mi skrzypce. – Przychodź w ciągu dnia, kiedy wszyscy są zajęci. Nie uważam, żebyś potrzebował prób, kochanie, ale może poczujesz się lepiej, jak wcześniej się przygotujesz. Znasz wiele utworów na pamięć?

Skinąłem głową.

– To musisz sobie wybrać przynajmniej dwa, trzy – poradziła, choć nie pojmowałem dlaczego.

Przez następnych kilka dni przychodziłem do domku Evelyn, gdy ona pracowała za ścianą, upewniałem się, czy wszystkie okna są szczelnie zamknięte – na wypadek gdyby ktoś wścibski chciał podsłuchiwać – i wykonywałem wszystkie swoje ulubione utwory. Evelyn miała rację. Szło mi chropawo, palce straciły zręczność, może przez to, co przeszły podczas mojej długiej wędrówki. Po głębokim namyśle wybrałem trzy utwory. Pierwszy, bo był szalenie efektowny, a tak naprawdę bardzo prosty do zagrania. Następny, bo był trudny technicznie – na wypadek gdyby ktoś z rodziny znał się wystarczająco dobrze na grze na skrzypcach, by ocenić moje umiejętności. A ostatni, bo z utworów skrzypcowych ten lubiłem chyba najbardziej i granie go sprawiało mi wielką przyjemność.

„Występ” miał odbyć się przed obiadem w niedzielę. Nawet służące zostały zaproszone. Jestem pewien, że Landowscy po prostu starali się być mili; chcieli, żebym poczuł się doceniony, ale i tak miałem wrażenie, że jestem poddawany swego rodzaju próbie, co mi się wcale nie podobało. Cokolwiek nimi kierowało – a nie miałem wątpliwości co do ich dobrych intencji – wiedziałem, że nie mam wyjścia, muszę przed nimi wystąpić. Naprawdę było to trochę straszne, bo do tej pory, w poprzednim życiu,

grywałem tylko przed domownikami i liczyła się dla mnie tylko opinia taty. Tu zaś był znany rzeźbiarz i jego utalentowana rodzina, a niektórzy jej członkowie mieli sporą wiedzę muzyczną.

W nocy poprzedzającej występ nie spałem najlepiej; rzucałem się, przewracałem z boku na bok, żałowałem, że nie mogę pobiec na dół do domku Evelyn, żeby ćwiczyć i ćwiczyć, aż skrzypce staną się przedłużeniem moich rąk. Tata mówił, że tak powinno być.

W niedzielę rano grałem tak długo, że mało mi palce nie odpadły, a potem przyszła po mnie Evelyn i powiedziała, żebym poszedł na górę się przebrać. W kuchni mnie trochę „odpicowała”, co oznaczało, że zmoczyła mi włosy, zaczesła je do tyłu i przetarła szmatką twarz.

– No już, gotowe. Możesz iść. – Uśmiechnęła się do mnie, a potem przyciągnęła mnie do siebie. – Pamiętaj tylko, jaka jestem z ciebie dumna.

Gdy mnie puściła, zobaczyłem, że ma łzy w oczach.

W salonie zastałem członków rodziny. Z kieliszkami wina w dłoniach zgromadzili się przy kominku, w którym płonął wielki ogień. Wskazano mi, bym stanął przed nimi.

– Prosimy, chłopcze. Nie ma się czym denerwować. Zagraj, kiedy będziesz gotowy – powiedział monsieur Landowski.

Wsunąłem skrzypce pod brodę i poprawiłem tak, by leżały wygodnie. Potem zamknąłem oczy i poprosiłem wszystkich, o których tata mówił, że mnie chronią – w tym jego – by się wokół mnie zgromadzili. Po czym podniosłem smyczek i zacząłem grać.

Kiedy skończyłem ostatni utwór, zapadła upiorna cisza. Cała pewność siebie opadła mi do pięt. Co mógł wiedzieć tata? Albo gosposia i jej syn, przyszły inżynier? Czułem, jak do policzków napływa mi krew i robię się czerwony ze wstydu. Chciałem uciec i płakać. Z tego nieszczęścia musiałem na chwilę ogłuchnąć, bo dopiero kiedy nieco oprzytomniałem,

usłyszałem oklaski. Nawet Marcel był poruszony; wydawało mi się, że jest pod wrażeniem.

– Brawo, młody człowieku! Brawo – powiedział monsieur Landowski.
– Szkoda tylko, że nie możesz powiedzieć nam, gdzie się tak nauczyłeś grać. A może jednak powiesz? – dodał z nadzieją.

– Naprawdę, jesteś bardzo, bardzo dobry, zwłaszcza jak na swój wiek – odezwał się Marcel, który zdołał mnie skomplementować, a jednocześnie potraktować z wyższością.

– Wspaniale – rzuciła madame Landowska; poklepała mnie po ramieniu, posyłając mi ciepły uśmiech. – A teraz – dodała, kiedy w holu zadźwięczał dzwonek – musimy iść na obiad.

Podczas przystawek wiele mówiono o moich niewiarygodnych umiejętnościach, a potem przy daniu głównym rodzina zabawiała się zadawaniem mi pytań, na które musiałem odpowiadać, kiwając albo kręcąc głową. Choć czułem się trochę niezręcznie, bo podchodzili do mojego nieznanego im życia jak do gry, wiedziałem, że żadne z nich nie miało złych intencji. Jeśli nie chciałem odpowiadać na jakieś pytanie, po prostu nie reagowałem w ogóle.

– Musimy załatwić ci lekcje, młody człowieku – stwierdził Landowski.
– Mam przyjaciela w konserwatorium. Rachmaninow będzie znał dobrego nauczyciela.

– Tato, konserwatorium nie przyjmuje studentów w tak młodym wieku – wtrącił Marcel.

– Och, przecież to nie jest jakiś tam uczeń – odparł ojciec. – Nasz młody przyjaciel ma wybitny talent. Wiek nie jest barierą dla talentu. Zobaczą, co da się zrobić – oświadczył i mrugnął do mnie.

Zauważyłem, jak niezadowolony Marcel wydyma usta.

Zanim wszyscy wstali po deserze, podjąłem decyzję. Bardzo chciałem ofiarować coś monsieur Landowskiemu za wszystko, co dla mnie zrobił. Wziąłem więc kawałek papieru i napisałem kilka słów. Kiedy inni odchodzili od stołu, wyciągnąłem rękę, by go zatrzymać. I lekko drżącymi dłońmi podałem mu kartkę. Patrzyłem, jak czyta te cztery słowa.

– No, no... – Roześmiał się. – Po tym twoim występie to imię wcale mnie nie dziwi. Jak przypuszczam, tak nazywano cię ze względu na twój talent? Jako *BON violiniste*, dobrego skrzypka?

Kiwnąłem głową.

– Świetnie. W takim razie poinformuję rodzinę. Dziękuję, że nam się z tego zwierzyłeś. Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne.

Wyszedłem do holu, a potem pobiegłem do pokoju na poddaszu. Stałem przed lustrem i patrzyłem na siebie. A potem otworzyłem usta, by wypowiedzieć te słowa.

– Mam na imię Bo.

*

Znaleziono mi nauczyciela gry na skrzypcach i po świętach miałem pojechać do Paryża, żeby dla niego zagrać. Nie wiedziałem, czy jestem bardziej podekscytowany tym, że będę grał dla prawdziwego skrzypka, czy że Evelyn zabierze mnie do miasta.

– Paryż – wymówiłem bezgłośnie, leżąc pod przykryciem. Evelyn kazała służącym dać mi grubszy wełniany koc i kulenie się pod nim w ciepłe stało się teraz główną atrakcją moich dni. Miałem też zabawne uczucie, które pamiętałem z czasów, kiedy byłem o wiele młodszy i serca nie przepelniał mi strach. To było wrażenie, jakby od brzucha do piersi wznosiły się bąbelki powodujące, że kąciki ust rozciągały się w uśmiechu. Pewnie można byłoby nazwać to „radością”, ale nie śmiałem się na nią

poważyc, bo mogła prowadzić do szczęścia, a nie chciałem się zbytnio cieszyć, bo kiedy bym się cieszył, mogłoby się stać coś strasznego, na przykład Landowscy zdecydowaliby, że nie chcą mnie już dłużej tolerować pod swoim dachem, i wtedy jeszcze trudniej byłoby mi znów znosić samotność, biedę i głód. Skrzypce mnie uratowały, sprawiły, że stałem się jeszcze bardziej „intrygujący”, jak monsieur Landowski powiedział Laurentowi w pracowni dzień po wysłuchaniu mojego małego koncertu (musałem poszukać w słowniku słowa „intrygujący”, bo go nie znałem).

Jeśli więc chciałem zostać, musiałem starać się dalej być tak intrygujący, jak to tylko możliwe, a także przydatny, co było bardzo wyczerpujące. Poza tym trwały przygotowania do świąt i mnóstwo szeptało się o prezentach. Bardzo mnie to martwiło, bo przecież nie miałem pieniędzy, żeby komukolwiek coś kupić, i byłem przerażony, że dostanę coś od tych miłych ludzi. Poradziłem się w tej sprawie Evelyn podczas jednej z wieczornych wizyt.

Przeczytała: *Jak mogę zdobyć pieniądze na prezenty?* Popatrzyła na mnie i widziałem, że się zastanawia.

– Mogłabym pożyczyć ci kilka franków, żebyś każdemu kupił jakiś drobiazg, ale wiem, że nie zechcesz ich przyjąć, a Landowscy pewnie by się dziwili, skąd wzięłeś pieniądze – powiedziała, przewracając oczami.

Na pewno chodziło jej o to, że mogliby podejrzewać mnie o kradzież, co nie przysporzyłoby mi ich sympatii.

Zamyśliła się głęboko. Kazała mi zaparzyć kakao i tak zrobiłem. Kiedy stawiałem przed nią kubek, widziałem, że już ma jakiś plan.

– Spędzasz tyle czasu w pracowni, próbując coś rzeźbić w kamieniu...

Skinąłem głową, a potem wziąłem kartkę i napisałem:

Ale bardzo marnie mi idzie.

– No bo kto może być dobry poza takim geniuszem jak monsieur Landowski? Ale masz doświadczenie w kształtowaniu form, pomyślałam więc, że może powinienes spróbować z łatwiejszym materiałem, jak drewno, i zobaczyć, czy udałoby ci się dla każdego z rodziny wyrzeźbić coś małego w prezencie gwiazdkowym. To sprawiłoby przyjemność monsieur Landowskiemu, bo wiedziałby, że miesiące spędzone w jego pracowni nie poszły na marne i nauczyłeś się czegoś przydatnego.

Pokiwałem z zapalem głową, bo choć Evelyn często powtarzała, że nie jest wykształcona, czasami naprawdę miała najlepsze pomysły.

Poszedłem więc, wybrałem sobie trochę kawałków drewna ze sterty w szopie i codziennie, zanim inni wstali, siedziałem przy stole w pracowni i ćwiczyłem. Evelyn miała rację, że powinienem zaczynać od drewna, a nie od kamienia. To było jak uczenie się gry na flecie zamiast na flażolecie. Poza tym widywałem, jak robili to inni w moim starym kraju.

Mój stary kraj... tak zaczynałem już o nim myśleć.

W trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem udało mi się wyrzeźbić każdemu członkowi rodziny coś, co jak miałem nadzieję, mogło go ucieszyć. Najdłużej zajęła mi praca nad prezentem dla monsieur Landowskiego, bo chciałem wyrzeźbić mu replikę jego ukochanego posągu Cristo. Tak naprawdę poświęciłem na nią tyle czasu, ile na wszystkie inne drobiazgi razem wzięte.

Monsieur Landowski w ostatnich tygodniach przeżywał ciężkie chwile, bo architekt stwierdził, że jedynym sposobem na przetransportowanie tego, co nazywałem płaszczem Chrystusa (betonu, który miał podtrzymywać figurę i jej wnętrze), było pocięcie go na kawałki. Z tego, co udało mi się usłyszeć, wynikało, że wtedy byłaby mniejsza groźba, że coś w posągu pęknie podczas długiej podróży z Francji do Rio. Monsieur Landowski okropnie się martwił, bo czuł, że powinien pojechać ze swoim ukochanym

Cristo, by nad nim czuwać, ale to byłaby bardzo długa podróż tam i z powrotem – a nie mógł sobie pozwolić na poświęcenie temu tyle czasu, bo nie był jeszcze zadowolony z oczu Sun Jat-sena i musiał je poprawić.

Zastanawiałem się nad idealnym rozwiązaniem dla wszystkich i wymyśliłem je: jako pielęgniarka Cristo powinien pojechać Laurent. Oznaczałoby to nie tylko, że monsieur Landowski mógłby spokojnie zostać, ale też że Laurent mógłby się spotkać w Rio z ukochaną. Pewnie wtedy byłby szczęśliwszy i przestałby spędzać noce na ulicach Montparnasse'u (miejsca, które koniecznie chciałem zobaczyć, choć monsieur Landowski zawsze biadał, że pełno tam nieudanych artystów, żebraków i złodziei). Już miałem powiedzieć o swoim pomysłe, ale na szczęście Laurent wykazał się wystarczającą trzeźwością umysłu i sam to zaproponował. Monsieur z początku nie był do tego przekonany, bo trzeba powiedzieć uczciwie, że ostatnio Laurent nie był w najlepszej formie i nie za bardzo można było na nim polegać. Ale kiedy uparcie przysięgał na wszystkie świętości, że w razie potrzeby jest gotów sypiać z kawałkami posągu w ramionach i nie tknie alkoholu, póki Cristo będzie pod jego opieką, wszyscy uznali, że to najlepsze wyjście. Cudownie było widzieć nadzieję w oczach Laurenta; przyszło mi do głowy, że chciałbym mieć kiedyś szczęście doświadczyć takiej miłości, jaka rozświetlała go od środka na myśl, że znów zobaczy mojego pięknego anioła, Bel.

Przyjemność i ból, myślałem, starannie owijając swoją rzeźbę Cristo w papier pakowy, który dała mi Evelyn.

– Nie jesteś doskonały, ale przynajmniej w jednym kawałku. – Uśmiechnąłem się do figurki, naciągając papier na jego nie całkiem symetryczną twarz.

Kiedy skończyłem pakować wszystkie wyrzeźbione drobiazgi, schowałem je w komodzie. W Wigilię, widząc, że zapada zmierzch,

ruszyłem schodami na dół i na palcach poszedłem do salonu, żeby popatrzeć na choinkę, którą ustawiono tu wcześniej. Obserwowałem, jak każdy członek rodziny wieszał na wstążeczkach sosnowe szyszki. Wszyscy zostawiliśmy pod drzewkiem po parze butów, żeby Père Noël napełnił je prezentami. Monsieur Landowski powiedział mi, że to bardzo stara francuska tradycja, którą z radością kultywują również dorośli. Poprzączepiali świece na końcach gałęzi i kiedy zrobiło się ciemno, zapalili je. To było coś najpiękniejszego, co w życiu widziałem.

– Dalej na nią patrzysz, chłopcze?

Podskoczyłem, bo właśnie myślałem o monsieur Landowskim, kiedy usłyszałem jego głos. Zwracając się do mnie, nadal nie używał mojego nowego imienia.

– Kiedy widzę choinkę, zawsze przypomina mi się muzyka Czajkowskiego – wyznał. – Znasz partyturę *Dziadka do orzechów*?

Posłużyłem się ręką, by dać odpowiedź, że tak, choć niezbyt dobrze. Tata nie przepadał za Czajkowskim. Narzekał, że pisał muzykę pod publiczność, zamiast tworzyć coś na wyższym poziomie technicznym.

– Założę się, że nie wiesz, że Czajkowski miał w Paryżu instrument nazwany czelestą, o którym, z powodu jego brzmienia, mówi się też bell piano. Wykorzystał go w Tańcu Cukrowej Wróżki i wrócił do Rosji z nowym zapalem do komponowania.

Nie wiedziałem o tym i kiwałem gorliwie głową. Chciałem, żeby ta rozmowa trwała.

– Potrafisz zagrać uwerturę?

Znów wzruszyłem ramionami na znak, że niewykluczone – bo choć dawno temu potrafiłem, to musiałbym poćwiczyć.

– Może z tym łatwiej ci będzie sobie przypomnieć. Właśnie miałem iść na górę i ci to dać. Pomyślałem, że może będzie dla ciebie krępujące, jeśli

wręcę ci je na oczach rodziny – dodał.

W mglistym świetle choinki zobaczyłem, jak wyciąga zza pleców futerał w kształcie skrzypiec i mi podaje.

– Rodzice podarowali mi je w dzieciństwie, ale niestety, nigdy nie wykazywałem talentu w tym kierunku. Trzymałem je jednak, jak to bywa w przypadku prezentu od rodziców. Mają wartość sentymentalną... no wiesz.

Wiedziałem i przez chwilę czułem się rozdarty pomiędzy smutkiem wywołanym tym wszystkim, co musiałem za sobą zostawić, uciekając, a wielką radością z tego, co monsieur Landowski chciał mi ofiarować.

– Proszę. Lepiej, żeby znalazły się w rękach tak utalentowanych jak twoje, niż kurzyły się, leżąc na mojej szafie.

Odruchowo otworzyłem usta, tak bezgranicznie oszołomiony jego wspaniałomyślnym gestem i możliwościami, jakie otwierały się przede mną, kiedy miałem własne skrzypce, że o mało się nie odezwałem. Popatrzyłem na futerał, trzymając go w dłoniach, i pocałowałem go, po czym podszedłem do monsieur Landowskiego i uściskałem go niezgrabnie. Po chwili złapał mnie za ramiona i odsunął.

– Może pewnego dnia, chłopcze, zdołasz mi zaufać i wypowiedzieć słowa wdzięczności, które cisnęły ci się na usta. A na razie... Wesołych świąt.

Pokiwałem głową i patrzyłem, jak opuszcza pokój.

Na górze, wiedząc, że służące w kuchni popijają jakiś trunek, który pachniał jak nafta, i śpiewają piosenki, które nie wydawały mi się wcale kolędami, położyłem futerał na łóżku i otworzyłem. Serce mi waliło. W środku znajdowały się skrzypce zrobione dla osoby niedużej jak ja i ich pierwszy właściciel w dawnych czasach. O wiele łatwiej było sobie z nimi radzić niż z wersją dla dorosłych, którą tak wielkodusznie pożyczała mi

Evelyn. Kiedy je wyjmowałem, dostrzegłem na nich znaki czasu – tu i ówdzie zadrapania na politurowanym drewnie orzecha, kurz pokrywający struny.

Usiadłem, uniosłem je z czcią na wysokość ust i dmuchnąwszy, patrzyłem, jak drobinki kurzu wyrwane ze swojego więzienia wirują po pokoju. Następnego dnia otworzę okno i je uwolnię. Potem wyjąłem z kieszeni chustkę do nosa i wytarłem struny. Wziąłem smyczek, po czym umieściłem skrzypce pod brodą. Pasowały jak ulał. Uniosłem smyczek, zamknąłem oczy i zagrałem.

Serce we mnie tańczyło, gotowe wyrwać się z piersi, by dołączyć do wirujących drobinek kurzu, kiedy słuchałem miękkiego brzmienia wspaniale wykonanych skrzypiec. Prawda, struny musiały się jeszcze ułożyć po latach nieużywania, ale to było proste. Zainspirowany opowieścią pana Landowskiego o *Dziadku do orzechów*, zagrałem kilka taktów uwertury. A potem roześmiałem się głośno i puściłem się w tany po pokoju przy wtórze wesołej ludowej piosenki, którą często grywałem w domu, kiedy robiło się trudniej niż zwykle. Zdyszany z emocji, poczułem nagle, że robi mi się słabo, i musiałem położyć się na chwilę na łóżku, żeby przestało mi się kręcić w głowie. Napilem się wody z butelki stojącej w szafce obok.

Pomyśleć, że w zeszłym roku o tej porze byłem przekonany, że nie doczekam kolejnej Wigilii, a jednak wszystko dobrze się dla mnie skończyło, całkiem jak w przypadku Klary, która uświadamia sobie, że to, co widziała, było tylko snem. A może to był nowy początek.

Ostatni raz z rozmachem powiodłem smyczkiem po... moim instrumencie, a potem odłożyłem go do futerału i umieściłem pod przykryciami w nogach łóżka, żeby czuć go palcami stóp.

Moszcząc się na poduszkach, uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Jestem Bo i moja historia będzie miała szczęśliwe zakończenie.

5

Po bardzo radosnym okresie, zwłaszcza przyjęciu w sylwestra, na które monsieur Landowski zaprosił wielu przyjaciół artystów, liczyłem dni do przesłuchania u skrzypka, który mógł stać się moim nauczycielem. Nikomu nie przyszło do głowy wspomnieć jego nazwisko, a mnie też niespecjalnie obchodziło, bo jeśli został zatrudniony w konserwatorium, w którym był Rachmaninow, musiał być świetny.

Ćwiczyłem, ile się da, tak często, że służące mnie łajały. Powiedziały, że przez moje „pitolenie” na tym „czymś” musiały wsadzić głowy pod poduszki, a poza tym w końcu było już „po północy”!

Przepraszalem bardzo, bo sprawdziłem na swoim zegarze i zdałem sobie sprawę, że miały rację. Kompletnie straciłem rachubę czasu.

Nadszedł wielki dzień i do mojego pokoju wparowała zaaferowana Evelyn. Dała mi szarą marynarkę po Marcelu, żebym włożył ją na koszulę i sweter.

– No dobrze, musimy już ruszać – powiedziała. – Autobus jeździ, jak chce, nie trzyma się tego, co wypisane na rozkładzie.

Trajkotała, kiedy szliśmy na przystanek, ale ja bujałem myślami daleko, nawet kiedy zaczęła nerwowo krążyć i wymieniać uwagi z innymi pasażerami na temat tego, jak to nie można polegać na naszej komunikacji i jakie to niedorzeczne, że w Boulogne-Billancourt produkują i samochody, i samoloty, a nie potrafią zapewnić autobusu na czas. Ja znajdowałem się

w innym miejscu; stały mi przed oczami nuty, starałem się przypomnieć sobie to, czego przed laty uczył mnie ojciec, o „życiu muzyką” i wyczuwaniu jej duszy. Nawet kiedy jechaliśmy już w kierunku centrum Paryża, miasta, o którym tata tyle mi opowiadał, zamknąłem oczy, wiedząc, że będzie jeszcze czas na oglądanie go i zachwycanie się jego pięknem. Na razie liczyły się jedynie skrzypce leżące na moich kolanach i tony, które z siebie wydadzą.

– Daj spokój, młody człowieku, trzymaj się mnie – ofuknęła mnie Evelyn, kiedy wysiedliśmy z autobusu, bo upierałem się, że będę przyciskał skrzypce oburącz do piersi, i nie mogła wziąć mnie za rękę.

Zobaczyłem mnóstwo ludzi na szerokich chodnikach, trochę drzew i... tak! Budowlę, którą od razu dało się rozpoznać! Wieża Eiffla. Nadal była widoczna, kiedy Evelyn się zatrzymała.

– Jesteśmy na miejscu, rue de Madrid czternaście. No to wchodzimy.

Uniosłem głowę i popatrzyłem na duży budynek z piaskowca, który ciągnął się niemal od przecznicy do przecznicy. Miał trzy piętra, wysokie okna i coś w rodzaju dodatkowych kondygnacji na poddaszu nad nimi. Napis na mosiężnej tabliczce głosił, że to rzeczywiście słynne paryskie konserwatorium.

Choć Evelyn powiedziała, że wchodzimy, musiałem poczekać, aż odświeży sobie szminkę na ustach i przygładzi włosy, które wystawały spod jej najlepszego kapelusza. W budynku znajdował się wspaniały hol obwieszony portretami kompozytorów, którzy zapisali się w historii muzyki. Pośrodku wypolerowanej drewnianej podłogi przy okrągłej recepcji siedziała kobieta. Evelyn od razu do niej podeszła. Światło wpadało przez okna wychodzące na ulicę i te na tyłach, za którymi widać było duży park.

Ucieszyłem się, kiedy surowa pani w recepcji wreszcie skinęła głową i kazała nam iść do pokoju numer cztery na drugim piętrze. Wskazała na coś, co wyglądało jak klatka na niedźwiedzia, a kiedy skręcałem na schody, które przy niej były, Evelyn pociągnęła mnie w kierunku klatki i wcisnęła guzik z jej boku.

– Chyba oszalałeś, jeśli myślisz, że będę szła dwa piętra w górę, kiedy można pojechać windą.

Chciałem zapytać, co to jest „winda”, ale zobaczyłem, jak wewnątrz klatki zjeżdża druga, i to słowo nabrało sensu. Lecz choć wyglądało to fantastycznie, nie miałem zamiaru ryzykować. Pokazałem na schody i puściłem się biegiem na górę; brałem po dwa stopnie naraz. Po Evelyn nie było śladu, kiedy dotarłem do miejsca, gdzie była taka sama klatka jak na parterze, i podejrzewałem już wszystko, co najgorsze, kiedy nagle usłyszałem stukot i na mój poziom wzniosła się wewnętrzna klatka. Drzwi się otworzyły i ukazała się Evelyn. Odciągnęła kratę na przodzie i wysiadła jakby nigdy nic.

– Jeszcze czegoś takiego nie widziałeś, co? – spytała.

Pokręciłem głową, nadal nie mogąc wyjść z podziwu nad takim cudem.

– Może przejedziesz się ze mną w drodze powrotnej. Będziesz miał na co czekać, cokolwiek się stanie na przesłuchaniu. A teraz musimy znaleźć pokój numer cztery.

Ruszyła korytarzem. Zza zamkniętych drzwi sal dobiegały dźwięki różnych instrumentów. Stanęliśmy przy pokoju numer cztery i Evelyn energicznie zapukała. Nie było odpowiedzi. Po dobrych kilku sekundach zapukała znowu.

– Nikogo nie ma. – Wzruszyła ramionami, a potem przekręciła gałkę najwolniej i najciszej, jak to możliwe, i popchnęła lekko drzwi, aż zrobiła się szpara, w którą mogła wsadzić głowę... a właściwie powinienem

powiedzieć: kapelusze... żeby zajrzeć do środka. – No nie, nikogo nie ma. Musimy chyba poczekać, co?

Więc czekaliśmy. Wiem, że ludzie przesadzają, mówiąc, że coś było najszcześniejszym albo najgorszym, albo najdłuższym momentem w ich życiu. Nie mam pojęcia, jak długo czekałem pod pokojem numer cztery na człowieka, który miał zdecydować, czy jestem dość dobry, żeby mnie uczyć, ale czas włókł się niemiłosiernie. Co gorsza, widziałem windę i za każdym razem, kiedy z łoskotem wjeżdżała na górę i przywoziła pasażera, wyobrażałem sobie, że to jest ten ktoś, kto zawyrokuje o moim losie. Za każdym razem jednak albo ruszał w przeciwnym kierunku, albo mijał nas obojętnie.

– No naprawdę – odezwała się Evelyn. Widziałem, że przestępuje z nogi na nogę, bo bolało ją, kiedy musiała dłużej stać. – Kimkolwiek jest ten nauczyciel, musi być człowiekiem bardzo źle wychowanym.

Wreszcie, kiedy już zaczynała mrużyć pod nosem, że wychodzimy i że najwyraźniej zaszło nieporozumienie, otworzyły się jedne z drzwi i na korytarz wyszedł młody, szczupły mężczyzna o bardzo bladej cerze i ciemnych włosach. Ruszył w naszym kierunku. Moim zdaniem robił wrażenie lekko pijanego. Zatrzymał się przed nami.

– Proszę wybaczyć. Miałem wcześniej lekcję z uczniem, postanowiłem chwilę odpocząć i niestety, przysnąłem.

Wyciągnął dłoń do Evelyn, a ona niechętnie podała mu swoją.

– Madame, *petit monsieur*, proszę mi wybaczyć – powiedział. – Pracuję tu codziennie przez wiele godzin, a nocami często nie mogę spać. A teraz, madame, skoro dostarczyła mi pani tę cenną przesyłkę, może zjedzie pani na dół windą i zaczeka w holu, gdzie są wygodne siedzenia? Proszę powiedzieć Violetcie, że Iwan prosi, by zaparzyła pani herbatę lub kawę, cokolwiek sobie pani życzy.

Evelyn wyraźnie ulżyło, ale nie za bardzo chciała mnie zostawiać z kimś, kogo najwyraźniej uznała za dość podejrzanego osobnika. Jednak nogi wygrały i skinęła głową.

– Kiedy skończysz, masz zejść prosto na dół, rozumiesz, Bo?

Skinąłem głową.

– Wie pan, że on jest niemy? – zwróciła się do monsieur Iwana.

– Tak, ale to muzyka ma przemówić za niego, prawda? – Spojrzał na mnie.

Nie komentując dalej, otworzył drzwi i wprowadził mnie do sali.

Nawet kiedy wieczorem pisałem w pamiętniku – a potem na moich tajemnych kartkach, czego częścią są i te słowa – miałem dość mgliste wspomnienia z czasu spędzonego z monsieur Iwanem. Wiem, że najpierw kazał mi grać to, co nazwał moimi „kawałkami popisowymi”, a potem wyciągnął nuty, by sprawdzić, jak je czytam, po czym wyjął własne skrzypce i zagrał szereg gam i pasaży, które polecił mi powtarzać. Miałem wrażenie, że to wszystko dzieje się bardzo szybko. Potem wskazał mi mały drewniany stolik z krzesłami wokół i kazał mi usiąść. Kiedy przyciągał sobie krzesło, zaklął i popatrzył na palec. Gdy dodał coś jeszcze, uświadomiłem sobie, że mówi po rosyjsku.

– Drzazga mi wlaźła, będę musiał ją sobie wyciągnąć wieczorem w domu. Najmniejsze rzeczy mogą powodować największy ból, nie sądzisz?

Skinąłem głową, bo nie miało znaczenia, czy się z nim zgadzam, czy nie. Chciałem zadowolić tego mężczyznę bardziej niż kogokolwiek, od kiedy odszedł tata.

– Jak mamy się porozumiewać, skoro nie mówisz?

Przygotowany, wyciągnąłem z kieszeni ołówek i kawałek papieru.

– Masz na imię Bo?

Tak, napisałem.

– Ile masz lat?

Dziesięć.

– Gdzie są twoi rodzice?

Matka nie żyje i nie wiem, gdzie jest ojciec.

– Skąd pochodzisz?

Nie wiem.

– Nie wierzę ci, *petit monsieur*, i mam już swoje podejrzenia, ale właściwie mnie nie znasz, a my, emigranci, nie lubimy podawać zbyt wielu informacji o sobie, racja?

Tak, napisałem, wzruszony, że rozumie i nie uważa mnie za dziwadło jak wszyscy inni.

– Kto uczył cię gry na skrzypcach?

Tata.

– Ile czasu minęło od ostatniej lekcji?

Próbowałem sobie przypomnieć, ale nie byłem pewien, więc napisałem:

Trzy, cztery lata.

– Nigdy nie spotkałem kogoś tak młodego o takich umiejętnościach. To zdumiewające, naprawdę. Jesteś bardzo muzykalny, co maskuje niedostatki w technice gry. Byłem pod wrażeniem, że nie zjadła cię trema, choć domyślałem się, że szansa nauki w konserwatorium znaczy dla ciebie wszystko, mam rację?

Tak, napisałem.

– Hm...

Obserwowałem, jak podnosi dłoń do brody i przesuwa nią do góry, w dół i na boki, jakby zastanawiał się, czy warto mnie uczyć.

– Jak sobie możesz wyobrazić, przychodzi do mnie wielu rodziców ze swoimi cudownymi dziećmi, które mają najlepsze skrzypce i nauczycieli i są zmuszane do wielogodzinnych ćwiczeń. Nawet jeśli technicznie biją cię na głowę, często czuję, że nie mają serca do muzyki, którą grają. Innymi słowy, to wytrenowane małpki, które mają spełniać ambicje rodziców. W twoim przypadku to coś kompletnie innego. Częściowo dlatego, że jesteś sierotą, nie masz rodziców, a twój opiekun to ktoś, kto raczej nie potrzebuje chłopca, który nie jest jego synem, żeby popisywać się przed przyjaciółmi, bo sam jest imponującym artystą. Więc... choć twoja gra nie jest idealna i... z całym szacunkiem dla twojego ojca, ale pewnie nie był zawodowym muzykiem?

Pokręciłem głową, czując się jednak tak, jakbym w ten sposób zdradzał tatę, bez względu na to, co zaznaczył monsieur Iwan.

– Nie rób takiej smutnej miny, *petit monsieur*, nie trzeba. Widzę, że uczył cię z miłością. Odkrył talent o wiele większy niż jego własny i chciał go rozwijać. Do jakiej szkoły teraz chodzisz?

Do żadnej. Nie mówię, więc nie mogę iść do szkoły.

– Choć to nie mój interes, powiem, że to bardzo źle. Wiem, że umiesz mówić, nie tylko dlatego, że mi o tym powiedziano, ale też zauważyłem, jak hamujesz się podczas naszej rozmowy. Myślę, że otaczają cię dobrzy ludzie i cokolwiek straszego przydarzyło ci się w przeszłości, co cię zraniło tak bardzo, że nie masz śmiałości zwyczajnie się komunikować, to dla twojego dobra mam nadzieję, że z czasem zaczniesz się odzywać. I mówię to jako ktoś, kto też wiele przeszedł w Rosji i po wyjeździe stamtąd. Ty... i ja... obaj jesteśmy ofiarami. Jedna rada, mój młody przyjacielu: nie daj wygrać ludziom złym, dobrze? Zabrali ci tak wiele... przeszłość, rodzinę. Nie pozwól, żeby zabrali ci też przyszłość.

To żenujące, ale do oczu napłynęły mi łzy. Pokiwałem powoli głową i sięgnąłem po chustkę.

– Oj, doprowadziłem cię do płaczu, przepraszam. Czasami mówię coś bez zastanowienia. Dobra wiadomość jest taka, że skoro nie chodzisz do szkoły, o wiele łatwiej będzie mi wpasować cię w mój harmonogram. No to popatrzmy...

Obserwowałem, jak wyciąga cienki kalendarz z kieszeni marynarki i przewraca kartki. Niewiele, bo był dopiero styczeń.

– Zaczniemy od dwóch lekcji tygodniowo. Mógłbym we wtorki o jedenastej i o drugiej w piątki. Zobaczymy, jak nam pójdzie, ale mam co do ciebie dobre przeczucia. Naprawdę. Odprowadzę cię do twojej opiekunki. Wydaje się, że to miła kobieta – powiedział, gdy wyszliśmy z pokoju i zmierzaliśmy do windy.

Skinąłem głową.

A potem sobie przypomniałem i pospiesznie napisałem pytanie:

Ile kosztuje lekcja?

– Porozmawiam z monsieur Landowskim, ale w końcu my, emigranci, musimy pomagać sobie nawzajem, prawda?

Klepnął mnie w plecy tak mocno, że o mało nie upadłem, wchodząc do klatki. Zaciągnął kraty, nacisnął guzik i pojechaliśmy na dół. Zastanawiałem się, czy to tak czują się ptaki, latając, ale jakoś wątpiłem. Mimo wszystko było przyjemnie i cieszyłem się perspektywą powtarzania tego dwa razy w tygodniu... jeśli monsieur Landowski i monsieur Iwan zdołają dogadać się co do ceny.

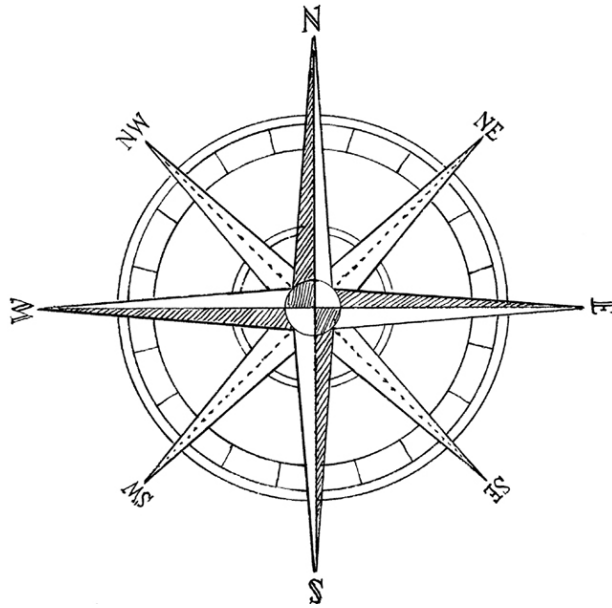
– Madame, pani chłopiec odniósł wielki sukces! Na pewno go przyjmę, o jedenastej we wtorki i o drugiej w piątki. Proszę powiedzieć monsieur Landowskiemu, że zatelefonuję do niego, żeby omówić szczegóły. Bezpiecznej podróży do domu – powiedział.

Po czym mrugnął do mnie i z uśmiechem ruszył z powrotem do windy.

Merry

W drodze z Dublinia do Nicei

Czerwiec 2008



6

Zamknęłam oprawiony w skórę stary pamiętnik i zagapiłam się w okno samolotu. Ochota na sen znikła, kiedy przeczytałam list i po jego lekturze musiałam zajrzeć do tego grubego zeszytu leżącego teraz na moich kolanach. Człowiek, który twierdził, że jest moim ojcem – Atlas – pisał z tak wielkim żalem.

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo Cię kocham i kochałem od chwili, kiedy tylko dowiedziałem się, że się pojawisz. Nie jestem też w stanie opowiedzieć, jak bardzo starałem się odnaleźć Ciebie i Twoją matkę, gdy w tak okrutny sposób mi Was odebrano przed Twoim urodzeniem...

Ciężar emocji z ostatnich tygodni przytłoczył mnie. Poczułam, że oczy zachodzą mi łzami. W tej chwili niczego na świecie nie pragnęłam tak bardzo, jak znaleźć się w ramionach Jocka, mojego męża, którego straciłam w czasie, kiedy był mi najbardziej potrzebny.

– Gdybyś tylko mógł tutaj być. – Wytarłam oczy jedną z jedwabnych serwetek, które były w bocznej kieszeni luksusowego skórzanego fotela. – Bardzo spodobałaby ci się ta pięciogwiazdkowa obsługa, to pewne.

Atlas obiecywał w liście, że jego pamiętnik będzie zawierał odpowiedzi na pytania dotyczące mojego prawdziwego pochodzenia, ale to była bardzo gruba księga. Po przeczytaniu pierwszej części nie byłam ani trochę bliżej

zrozumienia jego historii ani tego, w jaki sposób dotyczy ona mnie. Kimkolwiek był mój ojciec, najwyraźniej miał bardzo ciekawe życie. Choć początkowe rozdziały pamiętnika pisał dziesięcioletek, w jego słowach brzmiała dojrzałość i mądrość, jakby w tym chłopcu mieszkała stara dusza.

Pokręciłam głową, bo miałam wrażenie, że powtarza się schemat z ostatnich tygodni. Za każdym razem, kiedy wydawało się, że jestem już bardzo bliska odkrycia prawdy o swojej przeszłości, pojawiały się nowe tajemnice. Dlaczego chłopiec udawał niemego? Dlaczego uznał, że nie może ujawnić prawdziwego imienia? I co, na Boga, doprowadziło do tego, że został znaleziony jako sierota pod żywopłotem w podparyskim miasteczku? Atlas zaczął pisać pamiętnik zbyt późno, żebym mogła ujrzeć pełen obraz.

Zwróciłam też uwagę na to, że skoro chłopiec miał już wylądować pod czyimś domem, to willa słynnego rzeźbiarza, twórcy jednego z nowych siedmiu cudów świata – Chrystusa Odkupiciela – nie była najgorszym wyborem.

Westchnęłam, czując się trochę dziwnie z tym, że Atlas powierzył mi – najprawdopodobniej biologicznej córce, której nie poznał – historię swojego życia, nim pozwolił przeczytać ją ukochanym adoptowanym córkom. To przecież one znały i bardzo kochały Pa Salta. Chyba zasługiwały na to, żeby jako pierwsze poznać jego sekrety?

Starłam się rozluźnić, bo w brzuchu mi się przewracało, kiedy zastanawiałam się nad swoją sytuacją. Oto leciałam, by dołączyć do grupy całkowicie obcych mi osób, popłynąć z nimi superjachtem i wspólnie złożyć wieniec w hołdzie mężczyźnie, z którym nie czułam się w żaden sposób związana, przynajmniej na razie. Owszem, poznałam przelotnie kilka sióstr, ale to nie zmieniało faktu, że czułam się dziwnie. Nie wiedziałam nawet, czy mają świadomość, że jestem najwyraźniej

genetycznie spokrewniona z ich adopcyjnym ojcem. To, wraz z jego życzeniem, żebym to ja pierwsza przeczytała pamiętnik, mogło nastawić je do mnie nieprzychylnie.

Próbowałam pocieszać się tym, że przecież to właśnie one robiły wszystko, by mnie wytropić, a nie odwrotnie.

One chcą, żebyś z nimi popłynęła, Merry, mówiłam sobie.

Największą pociechą było dla mnie to, że leciałam do swoich dzieci, Jacka i Mary-Kate, które już znajdowały się na pokładzie *Tytana*. Wiedziałam, jak się ucieszą, że zdecydowałam się jednak do nich przyłączyć. Nawet jeśli adoptowane córki Atlasa okażą się kompletnie szalone, przynajmniej będą tam moi najbliżsi, żeby mnie chronić i nie pozwolić mi zwariować podczas tej podróży. Podobno rejs ma potrwać sześć dni – trzy dni na drogę z Nicei na wyspę Delos, w której poblizu mają złożyć wieniec, i trzy dni na powrót. Jeśli to okazałoby się dla mnie zbyt wiele, mogłam zejść z pokładu na pobliskiej wyspie Mykonos, na której było lotnisko międzynarodowe.

Rozległo się pukanie.

– Tak, słucham? – powiedziałam wyrwana z zamyślenia.

Panele, które oddzielały przód samolotu od tyłu, rozsunęły się i zobaczyłam wysoką sylwetkę opalonego Georga Hoffmana. Nadal był nienagannie elegancki w ciemnym garniturze. Wydawało się, że podczas trzygodzinnej podróży nawet nie poluzował krawata.

– Dobry wieczór, Merry. A może powinienem powiedzieć „Dzień dobry”... – Spojrzał na koc i poduszkę podane mi przez stewarda, które leżały nietknięte na sąsiednim fotelu. – O, widzę, że wiele nie odpoczęłaś. Czy może... otworzyłaś paczkę?

– Tak. Preczytałam list i oczywiście zaczęłam czytać pamiętnik. Jest bardzo długi... co zapewne wiesz.

Georg uśmiechnął się pod wąsem.

– Miałem go od jakiegoś czasu, ale przysięgam, że nigdy, ani razu, do niego nie zajrzałem. Nie byłem do tego upoważniony.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie masz pojęcia, jaka była historia Atlasa?

– Ależ nie. Tego nie powiedziałem. Tylko że nie czytałem pamiętnika. – Georg zawahał się. – Znam... znałem Atlasa, twojego ojca, bardzo dobrze. Był najdzielniejszym, a zarazem najlepszym człowiekiem, jakiego miałem zaszczyt spotkać.

– Za ile lądujemy?

– Pilot właśnie dał mi znać, że za chwilę zaczniemy schodzić do lądowania w Nicei. Mamy załatwiony samochód, który zawiezie nas prosto do portu, gdzie cumuje *Tytan*.

Wyjrzałam przez okno.

– Jest jeszcze ciemno. Która godzina?

Rzucił okiem na zegarek i uniósł brwi.

– We Francji dochodzi trzecia trzydzieści. Przepraszam, wyobrażam sobie, jaki to dla ciebie szok.

– Nawet mi nie mów. Nadal nie wiem, czy dobrze robię. Chodzi mi o to... Czy adoptowane córki Atlasa wiedzą, że... hm... według tego, czego się dowiedziałam... jestem jego biologiczną córką?

Georg spuścił wzrok.

– Nie. Sądzą, że jesteś poszukiwaną zaginioną siostrą, którą zawsze chciał adoptować, ale mu się nie udało. Choć pewnie zabrzmi to dziwnie, one nie znają nawet jego prawdziwego imienia. Jak wiesz, zawsze mówiły o nim Pa Salt.

– Jezu... – Chwyciłam się za głowę. – Przypominam sobie jednak, że kiedy spotkałam Tiggy, rozszyfrowała, że gdyby nie litera P, „Pa Salt” byłoby anagramem od imienia Atlas. – Znów popatrzyłam na niego. – Przynajmniej ona jedna!

Georg skinął głową.

– Musisz zrozumieć, że jestem tylko pracownikiem. Choć znałem twojego ojca niemal przez całe życie i uważałem go za przyjaciela, moim obowiązkiem jest działać według jego rozporządzeń, nawet w razie śmierci.

– Najwyraźniej wiesz o mnie wszystko. Wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć. Wiesz, że jestem najprawdopodobniej rodzoną córką Atlasa. I mówisz, że to wszystko wyszło na jaw dopiero w ostatnich tygodniach?

– No... tak. – Georg poruszył się skrzepowany.

– Skoro Atlas nie żyje już od roku, to skąd miałeś te wszystkie informacje? Kto ci powiedział o pierścionku, po którym zostałam rozpoznana? – Czułam wyczerpanie i frustrację nagromadzone w ostatnich tygodniach. – A co z dworem Argideen? Jak odkryłeś, że tam się urodziłam?

Georg wyciągnął chusteczkę i wytarł czoło.

– Merry, rozumiem, że zadajesz te pytania, i obiecuję, że dostaniesz na nie odpowiedzi. Ale nie ode mnie.

To nie do końca mnie usatysfakcjonowało.

– Nie chciałabym urazić żadnej z adoptowanych córek, ale czy nigdy nie zastanawiały się, dlaczego ten dziwny człowiek zdecydował się wziąć pod swój dach sześć dziewczynek i nadał im imiona po gwiazdach z gromady Siedmiu Sióstr? I dlaczego ich nazwisko D’Aplièse to anagram „Pleiades”?

– Wielokrotnie się nad tym zastanawiały. Kiedy je spotkasz, przekonasz się, że każda z nich jest równie inteligentna jak człowiek, który je

wychowywał. Po prostu przyjęły jego wyjaśnienie, że nazywał je od swojej ulubionej gromady gwiazd i stąd też ich nazwisko. Nie zdawały sobie sprawy, że dostały te imiona dlatego, że były córkami Atlasa.

Zamknęłam oczy; perspektywa wejścia na pokład jachtu w tę misternie utkaną bajkę wydawała się coraz mniej pociągająca.

– Jaką część pamiętnika już przeczytałaś?

– Niewielką. Atlas jest jeszcze małym chłopcem. Został przygarnięty przez rzeźbiarza i jego rodzinę.

Georg skinął głową.

– No tak. Sporo zostało. Wierz mi, im więcej przeczytasz, tym będziesz miała jaśniejszy obraz. Zrozumiesz, kim był... kim ty jesteś... i dlaczego adoptował sześć dziewczynek.

– Nie wiem tylko, czy to ja pierwsza powinnam przeczytać ten pamiętnik. Jak sam powiedziałeś, Atlas wychował te sześć kobiet. Kochały go. Ja go nawet nie znałam. Myślę, że powinny mieć dostęp do jego historii przede mną.

– Rozumiem, że to dla ciebie trudna sytuacja. Ale Atlas życzył sobie, żebyś poznała tę opowieść, kiedy tylko zdołamy cię odszukać. Bo to jest również twoja historia. Przez całe życie borykał się z poczuciem winy; dręczyło go, że możesz sądzić, że cię porzucił, a tymczasem prawda była zupełnie inna. Wszystko strasznie się pokomplikowało, tak jak to często w życiu bywa. Nie mogłem przewidzieć, że uda nam się znaleźć cię akurat wtedy, kiedy siostry planowały złożenie wieńca dla upamiętnienia rocznicy jego śmierci. – Na twarzy Georga pojawił się uśmiech. – Ktoś mógłby powiedzieć, że gwiazdy nam sprzyjały.

– Może z twojego punktu widzenia tak to wygląda, ale ja mam wrażenie, że raczej narobiły zamieszania. Atlas napisał w liście do mnie, że moja matka zniknęła, a on nie miał nawet pojęcia, czy żyje, czy umarła.

Domyślałam się więc, że nie mógł nic wiedzieć o tym, że zostałam podrzycona na próg plebanii ojca O'Briena?

Georg pokręcił głową.

– Nie wiedział o tym. Mogę ci jedynie radzić, żebyś przeczytała pamiętnik. Żeby adoptowane córki Atlasa zrozumiały, dlaczego je przygarnął, muszą najpierw się dowiedzieć, kim jesteś ty.

– Słyszałeś przypowieść o synu marnotrawnym, Georg?

– Znam to określenie, ale przyznam, że...

– W Ewangelii świętego Łukasza Jezus opowiada o synu, który prosi ojca o należne mu dziedzictwo, a potem trwoni je lekkomyślnie, żyjąc w luksusach i dogadzając sobie. Kiedy kończą mu się pieniądze, wraca do ojca i przeprosza, a ten, zamiast się na niego złościć, cieszy się z powrotu syna i wydaje ucztę na jego cześć. Wiesz, która część tej opowieści jest najważniejsza? Brat syna marnotrawnego wcale nie jest zadowolony z jego powrotu. Bo przez te lata lojalnie trwał przy ojcu i nie doczekał się za to nagrody. Nie chcę być córką marnotrawną.

Georg zmarszczył brwi, skonsternowany moją twardą postawą.

– Merry, proszę, zrozum, że dziewczyny z wielką radością powitają cię w rodzinie, jeśli się na to zdecydujesz. Wiedzą, jak bardzo ich ojciec chciał cię odnaleźć, i zapewniam, że z ich strony możesz spodziewać się jedynie miłości. Chyba poznałaś już Tiggy i Star. Nie czujesz, że im naprawdę na tobie zależy? Czy któraś z nich zrobiła coś, co nie świadczyłoby o najlepszych intencjach?

Sięgnęłam w lewo i otworzyłam schowek obity kremową skórą, w którym znajdowały się butelki wody. Wzięłam jedną i otworzyłam.

– Tiggy nie. To przede wszystkim dzięki niej siedzę w tym samolocie. Ale Star udawała jakąś tam lady Sabrinę, żeby wydobyć ze mnie informacje. Widzisz, Georg, tak się składa, że dobrze wiem, jaką gorycz

może wywołać niezgoda w rodzinie. A jeśli niektóre z tej szóstki cieszą się, że Pa Salt ma rodzoną córkę, a inne nie?

Pomyślałam o tym, co ostatnio odkryłam: że miałam wspólną babkę, Nualę, z Bobbym Noiro – mężczyzną, przez którego uciekłam z Irlandii.

– Wiem od córki, że jedną z nich jest światowej sławy modelka, Elektra – dodałam. – I że nie należy do najłagodniejszych osób. – Wzięłam duży łyk wody.

– Zapewniam cię, Merry, one wszystkie odbyły w tym roku podróż w poszukiwaniu siebie. Miałem przyjemność patrzeć, jak każda z nich staje się wspaniałą osobą. One wszystkie... – Georg przełknął ślinę, by opanować emocje. – Wszystkie uświadomiły sobie to, co do większości z nas dociera zbyt późno... że życie jest o wiele za krótkie.

Westchnęłam i potarłam oczy.

– Mówisz, że Atlas był wyjątkowym i mądrym człowiekiem. Jeśli odziedziczyłam po nim choć część tej mądrości, to może powinnam wykorzystać ją teraz, kiedy go nie ma. Więc skoro życzył sobie, żebym przeczytała jego historię, to nie będę się przed tym bronić. Chciałabym jednak, żebyś zrobił sześć kopii tego pamiętnika dla pozostałych dziewczyn. Żebyśmy mogły czytać o naszym ojcu jednocześnie.

Georg popatrzył na mnie. W jego spojrzeniu widziałam, że poważnie się zastanawia. Z jakiegoś powodu był zdecydowany wypełniać wolę Atlasa co do joty. Czego mi nie mówił?

– Tak... tak, to może być dobry pomysł – przyznał w końcu. – Twój wybór, Merry.

– Choć przypuszczam, że znalezienie punktu ksero o czwartej nad ranem na południu Francji może być pewnym wyzwaniem.

– O, bez obaw. *Tytan* jest wyposażony we wszelkie nowoczesne sprzęty. Ma część biurową na pokładzie, komputery i kilka profesjonalnych

drukarek. Cieszę się, że tak jest, bo pamiętnik zawiera... – Georg urwał, by dobrze rozważyć kolejne słowa – informacje osobiste. Nie mógłbym ryzykować, że wpadnie w niepowołane ręce.

– Całe biuro na pokładzie jachtu? Mój Boże. Myślałam, że takie superjachty ma się po to, żeby się zrelaksować i uciec od stresów codzienności! Chociaż codzienność w przypadku ludzi, którzy posiadają jachty, może nie mieć wiele wspólnego z tą, jaką znam. Powiedz mi: co takiego robił Atlas, że zgromadził taki majątek?

Georg wzruszył ramionami i pokazał na sfatygowaną skórzaną okładkę spoczywającą na moich kolanach.

– Odpowiedzi są tutaj.

Rozległo się kolejne pukanie i zza zasuwanej przegrody zajrzał steward.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale kapitan prosił, żeby państwo przygotowali się do lądowania. Zechcą państwo zapiąć pasy? Za parę minut siadamy w Nicei.

– Oczywiście, dziękuję. – Georg skinął głową. – Może w takim razie oddasz mi na jakiś czas pod opiekę pamiętnik, a ja zorganizuję sześć kopii, kiedy tylko znajdziemy się na pokładzie *Tytana*.

Podalam mu księgę w skórzanej oprawie, ale list zatrzymałam. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Nie ma się czego bać, Merry. Wierz mi.

– Dziękuję. Do zobaczenia po lądowaniu.

Wrócił za przepierzenie, a ja jeszcze raz spojrzałam za okno. Kiedy samolot się zniżył, patrzyłam na światło wschodzącego słońca tańczące na falach lazurowego Morza Śródziemnego. Miałam nadzieję, że jest nieco cieplejsze niż wody Atlantyku na plaży Inchydoney na zachodzie hrabstwa Cork. Odchyliłam się na oparcie fotela i zamknęłam oczy. Zastanawiałam

się, jak do tego doszło, że ten mały chłopiec – sierota znaleziony pod żywopłotem w pobliżu Paryża – stał się moim ojcem.

7

Tytan

Ally patrzyła w górę na sufit z polerowanego mahoni. Takie sufity były we wszystkich kajutach na jachcie, które nie miały nic wspólnego z ciasnymi pomieszczeniami, jakie dzieliła ze spoconymi krzepkimi facetami na ośmiometrowych łodziach Contessa. Sypialnie na pokładzie *Tytana* bardziej przypominały apartament prezydencki w Grand Hotelu w Oslo. Jacht był w nienagannym stanie. Choć nie był używany przez rodzinę przez większą część roku, nadal miał wierną załogę Pa Salta, która utrzymywała najwyższe standardy. Ally domyślała się, że tych ludzi opłaca fundusz, który Pa założył przed śmiercią. Jak wiele spraw w jego świecie... tak po prostu było i Ally nie zamierzała tego kwestionować.

Promień słońca przedarł się przez szczelinę w zasłonie i wylądował na twarzy Ally. Zastanawiała się, ile ma jeszcze czasu, nim Bear, leżący w łóżeczku ustawionym obok, zapłacze, informując ją w ten sposób, że to już nowy dzień.

Byłaby zaskoczona, gdyby tej nocy przespała choć pół godziny. Mimo że delikatne fale Morza Śródziemnego w czerwcu nie powodowały większego kołysania, była tak wyczulona na ruch wody pod łodzią, że rejestrowała każde jej najlżejsze uderzenie o burtę. To plus kakofonia myśli kłębiących się w jej głowie nie tworzyło zbyt dobrej mieszanki, by się zrelaksować. Samo to, że zebrały się tu z siostrami – którym towarzyszyli

ich partnerzy – by oficjalnie pożegnać ojca i złożyć mu hołd, było wystarczająco trudne. Ally ciążyło na sercu coś więcej.

Przecież to właśnie ona widziała *Tytana* przy wybrzeżu Delos wkrótce po śmierci Pa Salta. Pamiętała wyraźnie, jak leżała na pokładzie *Neptuna*, niewielkiej łodzi Theo, kiedy podekscytowany powiedział jej, że jego przyjaciel zauważył z katamaranu superjacht Benetti o nazwie, która pewnie jest jej znajoma. Skręciło ją lekko w brzuchu na myśl, że będzie musiała przedstawić Theo Pa Saltowi. Ale wiedziała już, że jest w nim zakochana po uszy, i zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu odwlekać tego, co nieuniknione. Nawiązała łączność radiową z *Tytanem*, spodziewając się usłyszeć wyważony głos kapitana Hansa, ale nie było odpowiedzi. Tak naprawdę odniosła wrażenie, że ktoś, kto stał za sterem wielkiego jachtu, postanowił jak najszybciej się od niej oddalić.

„Wygląda na to, że ojciec przed tobą ucieka”, zauważył Theo.

Kiedy Georg i Ma poinformowali siostry, że Pa Salt życzył sobie cichego pochówku na morzu (żeby nie dodawać bólu córkom), Ally uznała, że stała się przypadkowym świadkiem tej ceremonii. Miała nawet wyrzuty sumienia, że niechcący naruszyła ostatnią wolę ojca. Biorąc pod uwagę ostatnie zdarzenia, wszystko to wydało jej się bardzo niejasne.

Przypomniała sobie, że *Tytan* nie był jedynym dużym jachtem stojącym tego dnia na kotwicy w pobliżu wyspy Delos. Kiedy przyjaciel Theo dawał im znać przez radio o jego pojawieniu się, wspomniał, że jest tam też drugi „pływający pałac” – *Olympus*, należący do owianego złą sławą Kreega Eszu, właściciela Lightning Communications. Jeszcze dziwniejsze było to, że tego samego dnia na czołówki wiadomości na całym świecie trafiła informacja o śmierci potentata. Jego ciało zostało wyrzucone na brzeg przez morze. Najwyraźniej popełnił samobójstwo. Ally zrobiło się nagle niedobrze. Dlaczego nie sprawdziła dokładniej, co się wtedy działo?

To nie była jedyna zagadkowa sprawa, która łączyła Pa Salta z Kreegiem Eszu. Współrzędne geograficzne, które miały pomóc znaleźć Merry – wygrawerowane na sferze armilarnej – wskazywały na dwór Argideen na zachodzie hrabstwa Cork. I Ally właśnie dowiedziała się od syna Merry, Jacka, że ta posiadłość należała dawniej do jakiegoś Eszu. Choć dwór najwyraźniej stał od dawna opuszczony, nazwisko to widniało w rejestrach jako ostatniego właściciela.

To, co wcześniej Ally uważała za dziwny zbieg okoliczności, nagle zaczęło wyglądać na naprawdę intrygującą zagadkę. Nie było tajemnicą, że syn Kreega, Zed, miał graniczącą z obsesją słabość do sióstr D'Aplière. Na myśl o tym, jak zwabił w swoje ramiona nastoletnią Maję – robiąc wszystko, żeby ją oczarować, tylko po to, by zerwać z nią brutalnie w chwili, kiedy najbardziej go potrzebowała – Ally aż zgrzytała zębami. Często przychodziło jej do głowy, że wyglądało to tak, jakby specjalnie postanowił zranić jej siostrę. Nie miała wątpliwości, że ten „zbok”, jak go nazywała, celowo przerzucił się potem na Elektrę. Na pewno wykalkulował sobie, że jeśli któraś z sióstr mogłaby zostać jego kochanką po tym, jak potraktował Maję, to właśnie Elektra. Dla takiego drapieżnika jak on słabość wynikająca z uzależnienia od alkoholu i narkotyków musiała być pokusą nie do odparcia. To logiczne, że zasadził się też na Tiggy. Jej uduchowiona natura i skłonność do uważania wszystkich za uczciwych i dobrych już raz ją zgubiły. Ally dziękowała Bogu, że Tiggy nie dała się Zedowi omamić i znalazła sobie tego cudownego lekarza, Charliego Kinnairda.

Ally była pewna, że Pa Salt nigdy nie wspominał nazwiska Eszu. Tak naprawdę o to właśnie spytała w pierwszej kolejności Maję rok temu, kiedy wszystkie spotkały się po śmierci ojca w Atlantis.

„Jestem pewna, że nic ich nie łączyło – upierała się Maja. – Nie znali się. Delos to po prostu bardzo piękna wyspa i przyplęwa tam wiele jachtów”.

Ally zaczynała się martwić, że szybka odpowiedź Mai wynikała z czegoś więcej niż wypierania bolesnej historii z jej przeszłości. Wyrzucała sobie, że nie wyjaśniła, skąd wziął się w tamtej okolicy *Olympus*. W końcu zarówno ona, jak i siostry niewiele wiedziały o życiu Pa Salta poza domem i jachtem. Dorastając, poznały bardzo niewielu znajomych i partnerów biznesowych ojca, nie można więc było wykluczyć, że Pa Salt i Kreeg Eszu się znali.

Zamknęła oczy w nadziei, że zaśnie na godzinę czy dwie. Jak to robiła często, kiedy się czymś martwiła, wyobraziła sobie niski, kojący głos ojca. Powędrowała myślami do Atlantis, gdzie jako dziewczynka obserwowała, jak tata w weekendy śmiga *Laserem* po Jeziorze Genewskim. Ta smukła łódź w spokojne dni zostawiała za sobą ledwie widoczny ślad na lustrze wody. Wydawało się to symbolizować życie Pa Salta. Zawsze stanowił opokę – silny, mocny – a jednak przemykał przez świat cicho, wytwornie, co wszyscy w nim podziwiali.

W pewien jesienny weekend zauważył, jak Ally popatruje tęsknie z brzegu na łódź, i podpłynął *Laserem* do drewnianego pomostu, na który wchodziło się z ogrodu.

– Cześć, moja mała księżniczko. Strasznie tu zimno. Pewnie Maja czyta w salonie. Nie chcesz się do niej przyłączyć? Posiedzieć w ciepłe?

– Nie, Pa. Uwielbiam patrzeć, jak pływasz.

– Ach, tak. – Posłał Ally ten charakterystyczny serdeczny uśmiech, który zawsze poprawiał jej nastrój, bez względu na to, jakie miała problemy. – No to może chciałabyś być moim pierwszym oficerem?

– Ma mówi, że to zbyt niebezpieczne.

– W takim razie dobrze, że jest właśnie zajęta, pomaga Claudii szykować kolację – powiedział, puszczając Ally oko. Gdy podnosił ją muskularnymi rękami z pomostu, czuła się lekka jak piórko. Posadził ją sobie na kolanach. – Zaraz zobaczysz, że kiedy łódź skręca, przechyla się na bok. Jeśli chcę płynąć w innym kierunku, muszę przejść na drugą stronę, schylając się pod żaglem.

– Tak, tato! – zawołała z entuzjazmem.

– Świetnie.

Ściągnął z siebie pomarańczowy kapok i nałożył go córce. Oczywiście był na nią o wiele za duży i Pa Salt śmiał się, zaciskając paski tak mocno, jak to możliwe.

– A ty, tato?

– O mnie się nie martw, maleńka. Wiatr jest lekki, popłyniemy bardzo wolno. Widzisz to zagłębienie? – Wskazał na płytki rowek w białym kadłubie. – Myślę, że jest w sam raz dla Ally, jak sądzisz?

Skinęła głową i zrozumiała, że ma zająć pozycję pośrodku łodzi.

– Musisz tylko patrzeć naprzód i wyciągnąć ręce, żeby utrzymywać równowagę. Zrobimy wielkie koło, żeby wrócić do pomostu, więc będę się wychylać tylko na lewo, w tę stronę. Widzisz?

Ally podekscytowana skinęła głową.

– No dobrze. – Zdjął nogę z pomostu i *Laser* zaczął dryfować. Pa Salt chwycił dużą czarną rączkę, którą Ally uznała za prymitywną kierownicę.

– Nie płyniemy... – zauważyła nieco rozczarowana.

– Żeglarz nie na wszystko ma wpływ. Musimy poczekać na wiatr.

I jakby na zawołanie poczuła powiew, który oderwał łódź od pomostu. Lekka bryza targała gęste kasztanowe włosy Ally, serce zabiło jej szybciej.

– No to ruszamy! – zawołał Pa Salt.

Wciąż pamiętała to uniesienie związane z bliskością wody, gdy *Laser* sunął po gładkim jeziorze napędzany jedynie otaczającym ich powietrzem. Popatrzyła za siebie na cudowny bajkowy zamek, Atlantis. Za bladoróżowym domem wznosiły się stromo wysokie góry o zaśnieżonych szczytach. Ally była szczęśliwa, że mieszka w tak magicznym miejscu.

– Teraz skręcę nieco ostrzej – uprzedził ją Pa. – To znaczy, że łódź nachyli się trochę bardziej w moją stronę. Pamiętaj, że musisz wyciągnąć rączki, żeby pomóc.

Ally posłuchała.

– Świetnie, kochanie, świetnie!

Pa Salt aż się rozpromienił, kiedy bez trudu dostosowała się do kąta nachylenia łodzi na zakręcie.

W lustrze wody odbijało się słońce i Ally pozwoliła sobie zamknąć oczy. Tamtego dnia po raz pierwszy czuła się naprawdę wolna i to doznanie wracało zawsze, kiedy wypływała. Pa Salt z wprawą podpłynął do pomostu i dopilnował, by wysiadła bezpiecznie na brzeg. Uśmiech na twarzy córki powiedział mu wszystko.

– A więc, moja mała księżniczko, ty też to czujesz. Nie ma nic piękniejszego, niż znaleźć się na otwartych wodach. To najlepsze miejsce, żeby myśleć.

– To dlatego tak często pływasz?

Zaśmiał się wesoło.

– Możliwe, że to nie przypadek. Bo przypadki to rzadkość. – Jego wzrok oderwał się od córki i powędrował na wodę. Czasami jego oczy zachodziły mgłą i Ally miała wrażenie, że buja myślami gdzieś bardzo daleko. – Przypadek oznacza, że jest w tym coś, co dopiero czeka na odkrycie.

Znów popatrzył na Ally.

– Przepraszam, malutka... Po prostu cieszę się, że tak samo kochasz żeglować jak twój tata.

– Myślisz, że mogłabym uczyć się żeglować? – zaszczębiotała.

– Hm... sądzę, że dałoby się to załatwić. Jeśli tylko nie kolidowałoby to z twoją nauką gry na flecie. – Znów puścił do niej oko.

– Nie będzie, tato! Myślisz, że pewnego dnia będę żeglować tak dobrze jak ty?

– O nie, Ally. Myślę, że będziesz o wiele lepsza. A teraz idź do domu i rozgrzej się. I nie mów nic o naszej małej wyprawie Marinie!

– Dobrze – odparła, wyswobodzając się z kamizelki ratunkowej, po czym pobiegła pomostem w kierunku domu z wieżyczkami.

Gaworzenie Beara wyrwało Ally ze wspomnień. Przetarła oczy, zadowolona, że udało się jej przynajmniej trochę odpocząć. Wstała i podeszła do synka. Na widok matki podniósł rączki i pisnął z zachwytem.

– Dzień dobry, tobie też życzę miłego dnia – powiedziała, biorąc go na rękę. – Jesteśmy głodni, proszę pana? Obawiam się, że śniadaniowe menu nie jest zbyt urozmaicone.

Umiejętnie odpięła górę piżamy jedną ręką i Bear przyssał się z radością do piersi, kiedy Ally wyglądała przez iluminator.

Narastała w niej gwałtowna burza wyrzutów sumienia i nie potrafiła tego stłumić. Niewątpliwie cudownie było znów zobaczyć Jacka. Jeden rzut oka na niego, kiedy wczoraj wieczorem szedł po pokładzie, wystarczył, by potwierdziło się, że nie tylko coś do niego czuje, ale też że jest to autentyczne i głębokie. A przecież płynęła w to samo miejsce, gdzie rok temu była tak bezgranicznie szczęśliwa z Theo. Gdyby tylko mógł jej teraz towarzyszyć, ta podróż byłaby o wiele łatwiejsza. Nie chciała się nad sobą użalać, ale miała przykrą świadomość, że jest jedyną z sióstr, która nie ma się komu zwierzyć ani na kim oprzeć. Z jednej strony cieszyła się, że widzi

je i ich partnerów na pokładzie *Tytana*, z drugiej – było to jak sypanie soli na świeżą ranę po śmierci Theo.

Nawet Elektra przywiozła kogoś, prawnika, obrońcę praw człowieka, pomyślała z goryczą, choć bardzo kochała siostrę i życzyła jej jak najlepiej.

Popatrzyła na Beara, który miał łagodne oczy ojca i wyglądało na to, że odziedziczył jego brązowe niesforne włosy.

Ale namieszałam, przemknęło jej przez głowę. Obawiała się, że przekreśliła szansę na związek z Jackiem, nie wspominając mu wcześniej o synku. Zdała sobie z tego sprawę, widząc wczoraj wieczorem zaskoczenie w wyrazie jego twarzy, kiedy przedstawiła mu Beara.

– Pewnie uznał mnie za kompletną wariatkę – powiedziała do synka. – Najpierw pojawiam się w Prowansji, żeby wydobyć informacje o jego rodzinie, i nie mówię mu, kim jestem, a potem, kiedy on mi to wybacza i pisuję do niego przez wiele dni, nie mówię mu ani słowa o tobie. A jeśli on uważa mnie za wariatkę, to Bóg jeden wie, co sobie pomyśli o mnie jego matka!

Ally spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta nad ranem. Wkrótce na pokładzie pojawi się Merry, jeśli tylko Georg zdołał przekonać ją, żeby wsiadła z nim do samolotu. Z tego, co ostatnio Ally słyszała od Jacka o „zaginionej siostrze”, wynikało, że nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana dołączeniem do nich podczas tego rejsu. Choć kiedy Georg wyruszał, miał taką minę, jakby zamierzał przywlec ją tu, nawet gdyby gryzła i kopała. Kiedy wylatywał wczoraj do Dublina, był tak zdenerwowany, że Ally jeszcze bardziej się zaniepokoiła. Bardzo rzadko widywała go wytrąconego z równowagi.

Jęknęła. Czasami miała ochotę zrobić z Georgiem to, co ze swoją załogą kilka dni przed regatami – zaprosić go gdzieś i upić do nieprzytomności. W trakcie kariery żeglarki przekonała się, że nie ma

lepszego sposobu na zbudowanie więzi i zaufania niż wspólne wypicie mnóstwa alkoholu i podzielenie się opowieściami oraz sekretami.

Ale w przypadku Georga marne szanse, żeby coś takiego mogło się udać, pomyślała.

Bear mruknął z zadowoleniem, już najedzony, i Ally z powrotem ułożyła go w łóżeczku. Potem poszła do łazienki i stojąc pod prysznicem, szykowała się psychicznie na spotkanie zaginionej siostry. Przypuszczała, że dziwnie będzie patrzeć na tę tajemniczą córkę, której Pa Saltowi nie udało się odnaleźć. Sześć sióstr szukało jej po całym świecie. Ally miała nadzieję, że tata, gdziekolwiek był, jest bardzo dumny z tego, czego dokonały. Wciąż jednak pozostawała jeszcze do rozwiązania zagadka, dlaczego Merry „zaginęła”. Czy coś zakłóciło proces adopcji? Dlaczego Pa Salt tak się uparł właśnie na nią?

Napawając się luksusem płynącej silnym strumieniem ciepłej wody – co nigdy nie przestało jej zadziwiać, bo przecież znajdowali się na morzu – próbowała wyliczyć, kiedy Merry mogła pojawić się w życiu Pa Salta. Teraz miała pięćdziesiąt dziewięć lat. On miałby dziś pięćdziesiąt lat, co oznaczało, że musiał być tuż po trzydziestce, kiedy próbował ją adoptować. Biorąc pod uwagę, że Maję znalazł, gdy zbliżał się do sześćdziesiątki, to miał trzydzieści lat na adopcję Merry. Co się takiego wydarzyło, że zniknęła?

Egoistycznie Ally pomyślała, że to dobrze, że Merry jest tyle lat od niej starsza – dzięki temu miała syna w wieku odpowiednim dla niej. Zaśmiała się, kiedy przyszło jej to do głowy.

A sądziłam, że nasza rodzina nie mogłaby być bardziej pokrecona.

8

Merry

Samochód, który zabrał nas z lotniska do portu w Nicei, był równie ekstrawagancki jak odrzutowiec. Musiałam przyznać, że choć nie miałam przekonania do tej podróży, ten luksus sprawiał mi przyjemność. Opuściłam wszystkie szyby i cieszyłam się świeżym sosnowym zapachem powietrza. Słońce dopiero wzeszło, ale już czułam, że dzień będzie upalny.

Ponieważ było tak wcześnie, samochód mógł dojechać do samego nabrzeża. Całą przestrzeń przy nim zajmowały jachty, jeden bardziej bezwstydnie okazały od drugiego. Dzielily je od siebie zaledwie centymetry; musiały zostać z wielką wprawą wpasowane w nieprawdopodobnie wąskie miejsca cumowania. Przebiegł mnie dreszcz na myśl o tym, jak kosztowna musi być naprawa zarysowanego kadłuba. Wydawało się, że na wszystkich jachtach uwijają się pracownicy załogi. Pucowano, zamiatano, nakrywano stoły do śniadania... Port robił na mnie klaustrofobiczne wrażenie; może dlatego, że nawykłam do wielkich otwartych przestrzeni winnic w dolinie Gibbston w Nowej Zelandii, a ostatnio – do zielonych pól na zachodzie hrabstwa Cork.

– Wiesz, Georg, gdybym miała tyle pieniędzy, kupiłabym coś dużego w środku głuszy, a nie siedziała tu ściśnięta jak sardynka. Przecież w tych warunkach nie można liczyć na spokój i ciszę.

– Zgodziłbym się z tobą. Wydaje mi się, że większość posiadaczy jachtów spędza lato głównie w porcie, rzadko wypływa na morze. Dla

sporej części są one symbolem statusu, niczym więcej.

– I nie tym właśnie jest *Tytan*?

– Nie, tu muszę zaprzeczyć. Dla Atlasa *Tytan* był gwarancją bezpieczeństwa.

– Bezpieczeństwa? – Popatrzyłam na niego zdziwiona.

– Właśnie. Jeśli kiedykolwiek potrzebował... ucieczki przed... stresami i presją życia, wiedział, że może wsiąść na swój jacht razem z córkami i popłynąć, dokądkolwiek zechce.

Zauważyłam, jak zawahał się przy słowie „ucieczka”. Limuzyna zatrzymała się na końcu nabrzeża.

– Który to? – spytałam. – Muszę przyznać, że każdy by mi pasował. Nie jestem wybredna.

Szofer otworzył dla mnie drzwi, po czym wyjął moją walizkę z bagażnika. Na szczęście właśnie byłam w środku podróży dookoła świata, więc nie brakowało mi niezbędnych rzeczy. Zanim się spostrzegłam, mężczyzna w granatowej koszulce polo przejął mój bagaż od szofera.

– Czy to ten? Na samym końcu? – Pokazałam na ostatni jacht przy nabrzeżu.

– Nie, Merry – odparł Georg.

Młody człowiek, który niósł moją walizkę, minął jednostkę, którą wzięłam za *Tytana*, i szedł dalej drewnianym mołem.

– *Tytan* stoi na kotwicy w zatoce. Dotrzemy do niego szybko motorówką.

Georg pokazał na morze, na jacht, przy którym te tutaj wyglądały jak zabawki do wanny.

– Jezu! – Nie mogłabym zaprzeczyć, że wyglądał absolutnie cudownie. Miał co najmniej cztery poziomy. Wielka wieża radiowa z talerzami

satelitarnymi odróżniała go od wszystkich innych w pobliżu. – Jack i Mary-Kate mówili mi, że jest ogromny... ale... o rany... Może powinnam cofnąć to, co powiedziałam o sardynkach i ścisiku.

Georg uśmiechnął się do mnie.

– Dzień dobry panu – powiedział młody człowiek, który chwilę wcześniej wziął moją walizkę. – Czy to był jedyny bagaż?

– Tak – odparł Georg.

– Świetnie. Kapitan sam podpłynął. – Młody człowiek spojrzał na mnie. – Zechce pani pójść za mną na koniec pomostu, madame?

W motorówce czekał na nas opalony przystojny mężczyzna o włosach przyprószonej siwizną. Miał okulary w szylkretowych oprawkach.

– Muszę powiedzieć, że jest pan bardzo elegancko ubrany jak na tak wczesną porę – zauważyłam.

– Przyznam, że normalnie wysłałbym po państwa Victora, ale jest pani niezwykle ważną pasażerką. Cała przyjemność po mojej stronie, jeśli mogę panią eskortować osobiście na pokład. Nazywam się Hans Gaia. – Wyciągnął do mnie rękę i uściśnął mi dłoń, nim pomógł mi wsiąść do motorówki. – Jestem kapitanem na *Tytanie*.

– Dziękuję bardzo, Hans. Przepraszam, jeśli pana rozczarowałam. Od czterdziestu ośmiu godzin nie spałam.

– Zapewniam panią, że w żadnym razie mnie pani nie rozczarowała. To wielki zaszczyt powitać panią na pokładzie. Znałem pani ojca przez wiele lat. Był dla mnie bardzo dobry. Wiem, jak by się cieszył, gdyby mógł panią wreszcie zobaczyć w swoim domu na wodzie.

– Dziękuję raz jeszcze za to, że wstał pan tak wcześnie.

– Dzień dobry, panie Hoffman. Witamy z powrotem – zwrócił się do Georga.

– Dziękuję, Hans.

– No to skoro jesteśmy już wszyscy, płynmy. Victor, odcumuj.

Pomocnik poluzował węzeł na betonowym palu, po czym wsiadł do motorówki.

– To potrwa tylko chwilę – oznajmił kapitan.

– Czy ktoś jeszcze się już obudził?

– Z tego, co wiem, nie. Victor, zauważyłeś kogoś na pokładzie?

– Nie, kapitanie.

Poczułam wielką ulgę. Szczerze mówiąc, już powitanie kapitana Hansa było sporym przeżyciem, a on tylko dowodził jachtem. Co do jednego nie miałam wątpliwości: kimkolwiek był Atlas, najwyraźniej zyskiwał sobie bezwzględną lojalność pracowników. Nie wiedziałam, czy dałabym radę znieść od razu spotkanie z całą rodziną po wejściu na pokład. Marzyło mi się łóżko i możliwość przytulenia głowy do poduszki, choćby na kilka godzin.

– Kiedy dopłyniemy, załatwię sześć kopii pamiętnika – zapewnił mnie Georg, gdy pokonywaliśmy niewielki odcinek na spokojnym morzu.

– Dziękuję, ale nie ma pośpiechu. Chciałabym się trochę przespać, jeśli mam być szczerą.

Kiedy Victor wyładował moją walizkę, a kapitan pomógł mi wejść na jacht, poprowadzono mnie schodami na pokład przy rufie, a potem do głównego salonu, gdzie Georg pokazał mi plan rozlokowania przypięty do ogromnej tablicy korkowej.

– Popatrzmy... pokład drugi, apartament pierwszy. Wspaniale. Mieszkasz tuż obok swoich dzieci. Będą w dwóch kajutach zaraz po prawej stronie od twojej.

– Tyle tu tych nazwisk... Wszystkie siostry przywiozły swoich partnerów?

– Owszem. Pewnie sobie wyobrażasz, że ta wyprawa jest trudna emocjonalnie, więc dziewczyny wspólnie uznały, że byłoby lepiej, gdyby każda miała przy sobie kogoś bliskiego.

– Każda z nich ma... kogoś bliskiego?

Nadopiekuńcza matka we mnie od razu pomyślała o Jacku. Wiedziałam, że wybrał się w ten rejs głównie dla pewnej dziewczyny o kasztanowych włosach.

– Tak, poza Ally. Ale ona jest tu z małym synkiem, Bearem.

Byłam tak niewyspana, że mimowolnie w wyrazie mojej twarzy musiało się odbić zaskoczenie.

– Wszystko w porządku, Merry?

– Jak najbardziej. Dużo jest dzieci na pokładzie?

– Jeszcze tylko dwoje. Valentina, córka partnera Mai, Floriana, i Rory, syn Mouse'a, partnera Star. Powinienem wspomnieć też, że Rory jest głuchy, choć potrafi niewiarygodnie dobrze czytać mowę z ust.

– Ależ tłum! Mam nadzieję, że będziecie dla mnie wyrozumiali, jeśli chodzi o zapamiętywanie imion.

– Z pewnością. Pokazać ci swoją kajutę?

– Tak, dziękuję... – Salon nagle zaczął mi lekko falować przed oczami i miałam to dobrze znane wrażenie, że odpływam. Zaświtało mi, że poza brakiem snu może mieć to związek z tym, że nic nie jadłam ani nie piłam od irlandzkiej kawy w Belfaście poprzedniego popołudnia. – Mogłabym zaczerpnąć świeżego powietrza, Georg? Trochę kręci mi się w głowie.

– Oczywiście, weź mnie pod ramię.

Wyprowadził mnie na pokład i posadził na ogromnych poduchach, które tworzyły kącik wypoczynkowy na rufie.

– Zaraz przyniosę ci butelkę wody. O tej porze nie mamy obsługi. Dasz radę chwilę zaczekać?

– Jasne.

Georg odszedł szybkim krokiem. Staralam się kontrolować oddychanie i spowolnić bicie serca, które waliło tak mocno, jakby miało zaraz rozerwać mi klatkę piersiową. Naprawdę byłam kompletnie oszołomiona, tak jak się tego obawiałam. Myśl, że znajduję się na środku morza z obcymi kobietami, ich partnerami i załogą, nie wspominając już o nowinach, jakie miałam im objawić, to było zbyt wiele. Kiedy zamknęłam oczy, dosłyszałam jakiś dźwięk: rytmiczne uderzenia stóp o pokład. Otworzyłam oczy, spodziewając się zobaczyć Georga zmierzającego do mnie z butelką wody Evian, ale przede mną stał człowiek, którego nie znałam – wysoki, o mięśniach wyraźnie rysujących się pod obcisłym sportowym strojem. Z powodu odrobiny siwizny w mocno kręconych włosach uznałam, że ma koło czterdziestki.

– O, cześć – powiedział z amerykańskim akcentem.

– Cześć – odparłam nieśmiało.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz trochę, hm... mizernie.

– Nic mi nie jest. Georg właśnie poszedł przynieść mi wodę.

– Georg... to ten prawnik, tak?

– Tak. Nie wiedziałaś?

– Przepraszam, powinienem był się przedstawić. Jestem Miles. Przyjechałem z Elektrą.

– To ta dziewczyna, która jest modelką, prawda?

– Tak. A ty musisz być Mary.

– Większość osób mówi do mnie Merry.

– Proszę, łyknij trochę tego. – Miles podał mi butelkę płynu, który był tak jaskrawoniebieski jak jakaś substancja chemiczna. – To gatorade. Myślałem, że może im tu tego brakować, więc przywiozłem spory zapas ze Stanów.

Pociągnęłam łyk zimnego słodkiego napoju. Nie smakował tak okropnie, jak wyglądał.

– Dziękuję.

– Drobiazg. Wstaję bardzo wcześnie, żeby się trochę poruszać. Miałem iść na bieżnię w tutejszej siłowni, ale że jest tyle miejsca i nikogo nie ma, szkoda by było tracić tak piękny wschód słońca. Kilka okrążeń na pokładzie i będę gotów zacząć dzień.

– Wypiję za to – powiedziałam i pociągnęłam kolejny spory łyk gatorade. – Przepraszam, pewnie uszczuplam ci cenne zapasy.

– Nie ma sprawy. Masz pewnie za sobą niezłe dwadzieścia cztery godziny.

– Można tak powiedzieć.

– Wiem, jak bardzo Elektra cieszy się, że cię pozna. Zresztą tak jak wszyscy inni na tym jachcie. Hej, czekają na ciebie bardziej rozemocjonowani, niż czekali na gwiazdę filmową albo światowej sławy modelkę. – Uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli mam być szczerą, to właśnie mnie martwi.

– Rozumiem. Wiem, że moja sytuacja jest nieporównywalna z twoją, ale dla mnie to wszystko też jest całkiem nowe. Znam Elektry dopiero od kilku tygodni. Byłem dość zaskoczony, kiedy mnie zaprosiła. Prawdę mówiąc, od wielu dni byłem w nerwach.

– Czym się zajmujesz? Jesteś aktorem? Fotografem albo kimś takim?

– Nie, nic z tych rzeczy, niestety. Jestem zwykłym prawnikiem.

Zganiłam się w duchu, że wyciągnęłam pochopne wnioski z tego, że spotyka się z modelką. Tak naprawdę było w nim coś, co działało na mnie niezwykle uspokajająco. Zastanawiałam się, czy przejaśniło mi się w głowie od niebieskiego napoju, czy dzięki obecności tego sympatycznego, bezpretensjonalnego człowieka, który okazał mi trochę współczucia.

– Jak się poznaliście z Elektrą?

Miles popatrzył na ocean.

– O... mieliśmy, hm... wspólne zainteresowania. Nasze ścieżki przecięły się na ranchu w Arizonie. A właśnie... Miło było poznać wczoraj wieczorem twoje dzieci. Jack i Mary-Kate byli duszami towarzystwa przy kolacji. Cieszyłem się, że są z nami. Wspaniale się spisywali, dbali, żeby nie zabrakło nam tematów do rozmowy. A mogło być trochę niezręcznie, wiesz? Mnóstwo obcych sobie ludzi, a jednocześnie tak trudny emocjonalnie czas dla sióstr...

– Tacy są Jack i Mary-Kate. Jeśli jest coś, co potrafią ludzie z południowej półkuli, to gadać.

– Racja! Dziewczyna CeCe... chyba ma na imię Chrissie... pochodzi z Australii. I też lubi mówić.

– No dobrze, więc ty jesteś ze Stanów, Chrissie z Australii... Jest jeszcze ktoś z jakiegoś egzotycznego miejsca?

– To zależy od tego, co uważasz za egzotyczne... Partner Mai, Floriano, i jego córka Valentina są z Brazylii. Ale właściwie każda z sióstr ma niezwykłą historię do opowiedzenia. Ich ojciec... twój ojciec... zostawił im tropy, którymi mogły pójść po jego śmierci. Kazał wygrawerować współrzędne miejsc ich urodzenia na rzeźbie stojącej w ogrodzie. Nazywają to sferą armilarną. Okazuje się, że adoptował dzieci z różnych stron świata...

– O rany. Miał niezwykle życie, to pewne.

– Podobnie jak ty, z tego, co słyszałem. Jack i Mary-Kate opowiadali nam o podróży, którą odbyłaś w ostatnich tygodniach. Merry, strasznie mi przykro, że tyle przeszłaś. Nie wiem, jak sobie dałaś radę. Siostry ścigające cię po całym świecie musiały cię śmiertelnie wystraszyć. Myślę, że jesteś niewiarygodnie silną osobą, skoro zdecydowałaś się pojawić na tym jachcie. Twoje dzieci też tak sądzą. Nie mogły się ciebie nachwalić.

Nie wiem dokładnie, co to było, ale spokój i powaga Milesa sprawiły, że łzy podeszły mi do oczu.

– Dziękuję. Miło, że to mówisz.

– I wiesz co? Nie znam ich długo, ale to dobre dziewczyny. Znam się trochę na ludzkich charakterach. Zajmuję się prawami człowieka, więc musiałem nauczyć się oceniać takie sprawy w pracy. Zaręczam ci, że nic złego ci tu nie grozi i wszyscy naprawdę bardzo się cieszą, że cię poznają.

– Mam tylko nadzieję... że nie zawiodę ich oczekiwań.

Znów poczułam się przytłoczona.

– W gruncie rzeczy znały cię całe życie... a w każdym razie wiedziały o twoim istnieniu. Podobno ojciec często o tobie wspominał. Zawsze mówił, że cię utracił i nie zdołał odnaleźć. Więc są bardzo podekscytowane, że udało im się sprowadzić cię tutaj i spełnić jego życiowe marzenie.

– Jesteś prawnikiem, więc musisz rozumieć, że w rodzinach dochodzi do napięć, zwłaszcza po śmierci ukochanej osoby.

– Oczywiście, masz rację.

– Wszyscy zauważyliście już, że jestem od nich sporo starsza.

– Nigdy bym tego nie zauważył, ale słyszałem o tym.

– Cóż za dyplomatyczna odpowiedź. Cały prawnik! To było bardzo taktowne z twojej strony. Hm... wyobrażam sobie, że biorąc pod uwagę twój zawód, potrafisz dochować tajemnicy?

Miles zaśmiał się i skinął głową.

– O tak. Mam kilka takich, które zabiorę ze sobą do grobu.

– W tym przypadku na szczęście nie ma takiej potrzeby, ale byłabym wdzięczna, gdybyś powiedział mi, jak widzisz pewną sprawę.

Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy.

– Możesz liczyć na moją dyskrecję.

Sięgnęłam do torebki i wyjęłam list od Atlasa.

– Przeczytałbyś to?

– Oczywiście... Ale na pewno tego chcesz?

– Potrzebuję obiektywnej opinii, nie Georga. Napisał to do mnie ojciec. Najwyraźniej jestem jego... Zresztą możesz sam przeczytać.

Obserwowałam twarz Milesa, kiedy przebiegał wzrokiem kartkę, którą mu podsunęłam. Po chwili miał łzy w oczach.

– Wybacz – powiedział, oddając mi ją. – To dość mocne.

– Tak – przyznałam.

– Jeśli mogę zapytać, co cię tak martwi? To, że jesteś jego biologiczną córką, a w każdym razie tak wynika z tego listu?

– Tak! A także to, że mnie pierwszej powierzył historię swojego życia.

Miles zastanawiał się, jak sformułować odpowiedź.

– Rozumiem – rzucił w końcu. – Nie mogę mówić za wszystkie siostry, ale pomyśl o tym z ich perspektywy. Jesteś odpowiedzią na fundamentalne pytanie. Od zawsze zastanawiały się, dlaczego ich tajemniczy ojciec uznał za swoją misję adoptowanie dziewczynek z różnych stron świata. Jeśli jako młody człowiek stracił żonę i córkę, może to coś wyjaśnia?

Oparłam się o poduszki i rozważałam jego punkt widzenia.

– To nie przyszło mi do głowy – przyznałam po chwili.

– W każdym razie Jack i Mary-Kate wykonali najcięższą robotę. Wszyscy tak ich pokochali, że wydaje się, jakby od zawsze należeli do rodziny.

– Wyobrażam sobie. Dziękuję, Miles.

– Nie zadręczaj się. A jeśli w najbliższych dniach zrobi się trochę za nerwowo i chciałabyś z kimś porozmawiać, popatrzeć na wszystko z innej perspektywy, to daj mi znać.

Znów usłyszałam szybkie kroki. Obejrzałam się i zobaczyłam idącego z salonu Georga z butelką wody w ręce.

– Przepraszam, Merry. Musiałem zapaść się na dół, do kuchni. Okazuje się, że zdobycie dyplomu z prawa na uniwersytecie w Bazylei to betka w porównaniu z przeszukiwaniem spiżarni na jachcie.

– Nic się nie stało – odparłam. – Miles zdołał mnie uratować swoją niebieską miksturą. – Podniosłam wysoko gatorade.

– Dopiszę ten drobiazg do pani rachunku pod koniec rejsu, madame. – Miles mrugnął do mnie. – Zostawię cię teraz. Odpocznij, Merry. Mam jeszcze kilka okrążeń do zrobienia, zanim wstanie Elektra i będę musiał biec po kawę.

Wstał i skinął głową Georgowi.

– I pamiętaj o mojej propozycji – zwrócił się do mnie. – Zawsze jestem pod ręką. Pokład trzeci, kajuta czwarta, o ile dobrze pamiętam.

Roześmiał się, a ja pomachałam mu, nim obrócił się, żeby kontynuować rundę po *Tytanie*.

– Przepraszam, Merry. Nie zdawałem sobie sprawy, że ktoś już wstał.

– Nie ma za co. Miło było go poznać. Bardzo sympatyczny człowiek.

– Tak. Wiele przeszedł w życiu. Jestem przekonany, że to idealny partner dla Elektry. Czujesz się już lepiej?

– Tak, dziękuję. Na pewno wystarczająco dobrze, żeby dojść do kajuty.

– Weź mnie pod ramię. Zaprowadzę cię na dół. Victor zapewnił, że twój bagaż już na ciebie czeka.

Uwiesiłam się na nim i zapuściliśmy się we wnętrzości ogromnego jachtu. Nie wiem, czy to dlatego, że byłam trochę nieprzytomna, czy za sprawą ciemnego drewna, którym wyłożono ściany korytarzy, polerowanego tak, że wszystkie powierzchnie lśniły jak lustro – ale miałam wrażenie, że wędruję przez wizje z surrealistycznych obrazów M.C. Eschera. W drodze do kajuty mijaliśmy wielu członków załogi szykujących jacht do rejsu. Niektórzy nosili koszulki polo, inni białe koszule z krótkimi rękawami, na których widniały epolety. Georg mruczał pod nosem „załoga pokładowa”, „załoga wewnętrzna”, ale nie zwracałam na to większej uwagi. Jedno łączyło wszystkie uniformy – na każdej koszulce była wyszyta nazwa *Tytana*, a tuż pod nią złotą nicią obraz sfery armilarnej. Po pokonaniu wielu ciągów schodów i przejściu korytarzy Georg wskazał drzwi na drugim pokładzie.

– To twoja kajuta – szepnął. – Mary-Kate i Jack są tuż obok, na prawo.

Otworzył drzwi.

– Wspaniale, Georg. Powiedz, zanim padnę na łóżko i oddalę się ze świata żywych na kilka godzin: czy jest coś w planie, na co powinnam być gotowa?

– Nie, Merry. Wypocznij porządnie, ile tylko zechcesz. Chociaż niedługo wypływamy z Nicei i muszę cię ostrzec, że maszyny mogą trochę... hałasować – dodał zakłopotany.

– Jestem tak zmęczona, że nie obudzę się, nawet gdyby strzelali. Na pewno i tobie przyda się drzemka, ale byłoby cudownie, gdybyś zechciał poprosić kogoś, by powiadomił moje dzieci, że ich matka dotarła na pokład.

– Żaden problem, dopilnuję tego i przygotuję kopie pamiętnika.
Dobranoc, Merry.

– Raczej dzień dobry. – Westchnęłam ciężko, wchodząc do kajuty, i delikatnie zamknęłam za sobą drzwi.

Wcale nie byłam zdziwiona, że znalazłam się w pomieszczeniu przypominającym pokój w pięciogwiazdkowym hotelu. Tak naprawdę był chyba nawet ładniejszy niż w Claridge'u w Londynie, gdzie się ostatnio zatrzymałam. Moją walizkę położono obok łóżka, ale nie miałam siły jej otwierać i szukać koszuli nocnej. Po prostu zrzuciłam buty, zsunęłam narzutę (piękną, wyszywaną ręcznie w malutkie słoniki) na podłogę i padłam na materac. Opatuliłam się, zamknęłam oczy i zasnęłam.

9

Maja przeciągnęła się, rozejrzała i ziewnęła. Przy stole nie było nikogo. Spojrzała na zegarek – dziesiąta pięćdziesiąt. Zgodnie z planem mieli spotkać się tu wszyscy o jedenastej, ale wyglądało na to, że będzie jadła sama. Jakąś godzinę temu silniki *Tytana* ryknęły i ruszyli w kierunku Delos. Podejrzewała jednak, że ci, którzy poprzedniego dnia wypili trochę za dużo wina, śpią smacznie dalej mimo hałasu. Sama oczywiście nie tknęła ani kropli alkoholu. Na szczęście reszta towarzystwa bez pytań przyjęła wymówkę, że chce mieć „trzeźwą głowę na następne dni”.

Z początku martwiło ją to, że nie będzie mogła pozwolić sobie nawet od czasu do czasu na kieliszek prowansalskiego rosé – co na pewno pomogłoby jej znieść ten rejs – ale po wczorajszym wieczorze przekonała się, że nie będzie jej tego specjalnie brakowało. Podczas kolacji wszyscy nawiązali ze sobą świetny kontakt i czuli się swobodnie. W głębi duszy od miesięcy bała się tej wyprawy. I podejrzewała, że jej siostry również. Wszystkie poczyniły w zeszłym roku wielkie postępy. Każda musiała nauczyć się żyć bez Pa Salta, który dotąd wskazywał im drogę. Maja, najstarsza z sióstr D’Aplièse, obawiała się, że ta podróż tylko uzmysłowi im raz jeszcze, jak wielką poniosły stratę. Nawet samo wejście na pokład okazało się trudnym przeżyciem, bo *Tytan* zawsze był symbolem jednoczenia się rodziny w lecie, miejscem, gdzie można było się odprężyć i dowiedzieć, co słyhać u pozostałych. Ale teraz, pijąc wodę, Maja mimo

oporów musiała przyznać, że poprzedni wieczór okazał się... bardzo przyjemny?

Szczerze mówiąc, to dzięki obecności partnerów sióstr było tak wesoło. Na *Tytanie* zebrała się niezła mieszanka towarzyska, co na pewno pochwalałby tata. Był tu ciężko pracujący lekarz, doktor Charlie Kinnaird, który doskonale działał na jej uduchowioną, bujającą w obłokach siostrę Tiggy. Elektra miała Milesa, spokojnego intelektualistę, który nie widział w niej światowej gwiazdy, modelki, ale kruchą, choć porywczą kobietę, jaką była. Chrissie potrafiła się odszczekiwać CeCe (choć Maja cieszyła się, że nie musi mieszkać pod jednym dachem z tą dość hałaśliwą parą). Zwykle małomówny i trzymający się na uboczu Mouse okazał się uosobieniem elokwencji i skromności zarazem. Razem z uroczym synem, Rorym, dodawali cichej Star pewności siebie, której potrzebowała, żeby rozkwitnąć.

No i była jeszcze Ally. Maja mogła sobie tylko wyobrażać, co musiała przeżywać siostra, która w zeszłym roku poza ojcem straciła ukochanego Theo. Podziwiała ją za to, że potrafi być taka silna i dzielna, by sprostać wyzwaniu, jakim jest macierzyństwo w tak potwornie trudnej sytuacji... Sama kiedyś nie potrafiła się zdobyć na coś takiego.

– Dzień dobry, Maju – powiedziała Tiggy. Podeszła i wysunęła krzesło, żeby usiąść naprzeciw siostry.

– Dzień dobry, Tigs.

Tiggy przeczesła palcami gęste kasztanowe włosy, które aż skrzyły się w słońcu.

– Jaki piękny dzień – zachwyciła się.

Maja pomyślała, że siostra wygląda wyjątkowo ładnie. Zawsze miała naturalny wdzięk, ale śmierć Pa Salta odbiła się na niej mocniej niż na którejkolwiek z nich. Teraz, kiedy miała u boku Charliego, na którym

mogła bezwzględnie polegać, i angażowała się w wymarzoną pracę – przywracała w szkockich górach ginący gatunek dzikich kotów – na jej ustach znów gościł uśmiech.

– Wygląda na to, że będzie to cichsze śniadanie, niż się spodziewaliśmy – powiedziała Maja i westchnęła.

– O, nie byłabym taka pewna. Pod pokładem już zaczął się ruch. Charlie jest w części biurowej. Przegląda jakieś wyniki, badania krwi czy coś w tym rodzaju. Cieszę się, że nie jestem lekarką, bo wygląda na to, że w tym zawodzie nie ma się prawa do chwili spokoju! A przy okazji, gdzie są Floriano i Valentina?

– Floriano poszedł jej szukać. Załoga musiała przydzielić jej i Rory’emu na tę noc małą kajutę. Uparli się. Rory zaczął uczyć Valentine języka migowego, a ona jego portugalskiego... – Obie zachichotały. – Są jak rodzeństwo.

Tiggy uniosła brwi, po czym rozejrzała się po pokładzie, by upewnić się, że wciąż są same.

– A skoro mowa o braciach i siostrach... – Spuściła wzrok na brzuch Mai, po czym uśmiechnęła się do niej szeroko.

Maja westchnęła, pokręciła głową i również się uśmiechnęła.

– Zwykle w takiej sytuacji byłabym urażona aluzjami na temat mojej tuszy. Ale skoro to ty, podejrzewam, że chodzi ci o coś innego.

Tiggy pisnęła z radości.

– Wiedziałam! Powiedziałaś im już?

– Ciii. Powiedziałam Florianowi, ale nie Valentinie. Skąd ty zawsze wszystko wiesz?

Młodsza siostra wzruszyła ramionami. Miała bardzo zadowoloną minę.

– Zawsze mnie to u ciebie zastanawiało, odkąd byłyśmy dziećmi – powiedziała Maja. – Nigdy nie zapomnę, jak powiedziałaś mi, że nasza

kotka Madeleine będzie miała dokładnie sześć kociąt. I rzeczywiście, tego wieczoru pojawiło się sześć miauczących maleństw. Wszystkie słyszałyśmy też opowieść Ally, jak to było, kiedy rodził się Bear. Przysięga, że żadne z nich by nie przeżyło, gdyby nie ty i Angelina. Powiedz mi... co takiego widzisz, czego inni nie potrafią zobaczyć?

Tiggy zapatrzyła się w morze za rufą *Tytana*, gdzie ogromny silnik jachtu zostawiał za sobą smugę kłębiącej się białej piany.

– To dar odziedziczony po przodkach – odezwała się po chwili. – Jestem *bruja*.

– Zaraz, zaraz, czarownicą? – spytała Maja.

Jej siostra się zaśmiała.

– O tak. Powinnam była pamiętać, że jesteś tłumaczką. Nie, Maju. Nie czarownicą. Bycie *bruja* to sprawa duchowego dziedzictwa.

Maja wyraźnie się zmieszała.

– Przepraszam, Tiggy. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to obraźliwie, przetłumaczyłam automatycznie.

– Wstydz się! Wyjaśnię ci to, a ty słuchaj, bo jak nie, to oberwiesz ode mnie po głowie moją miotłą! – Tiggy wskazała na wodę. – Kiedy patrzysz stąd na morze, widzisz błękit, przypływ, fale. Ale to tylko fragment historii. Nie potrafisz zobaczyć, co dzieje się pod powierzchnią, gdzie *Tytan* wznieca prąd. Dla życia morskiego, ryb, innych stworzeń czy roślin ten prąd jest poza ich kontrolą, nie rozumieją, skąd się bierze. – Zamknęła oczy, jakby wyobrażała sobie to, co próbowała opisać. – Tutaj, na górze, też tak jest. Wokół nas krążą siły i energia, których większość ludzi nie dostrzega ani nie potrafi pojąć. A ja do pewnego stopnia tak.

Otworzyła powieki i spojrzała na Maję.

– To nie magia czy coś w tym rodzaju. To wszystko tu jest, można to zobaczyć. Tylko że ja wiem, jak patrzeć.

– Jesteś niesamowita, Tiggy. No to zadam ci pytanie: widzisz, że będziesz ciocią siostrzenicy czy siostrzeńca?

Tiggy uniosła brew.

– Doradzałabym miłe neutralne kolory w pokoju – odparła, puszczając do Mai oko.

Z górnego salonu wyłoniła się uśmiechnięta blond stewardesa. Maja rzuciła siostrze spojrzenie, a ta zrobiła taki gest, jakby zamykała usta na suwak. Żadna z nich jeszcze nie widziała na pokładzie tej dziewczyny; poza kapitanem załoga *Tytana* często zmieniała się z sezonu na sezon; co roku pojawiali się nowi młodzi pomocnicy.

– Dzień dobry, panno D’Aplièse i... panno D’Aplièse. Czy mogę zaproponować paniom kawę? A może jakiś sok? – spytała nieśmiało.

Mai zrobiło się jej żal. Pracownicy luksusowych jachtów mieli na ogół do czynienia z nie najłatwiejszą klientelą. Chciała dodać dziewczynie otuchy.

– Słuchaj, ja jestem Maja, a to moja siostra Tiggy. I tak, poproszę o kawę. Z przyjemnością napiłabym się latte.

– Dla mnie też, poproszę – dorzuciła Tiggy. – Z mlekiem owsianym, jeśli można.

– Świetnie, zaraz przyniosę. A szef pytał, czy podtrzymują państwo plan, żeby podawać śniadanie dla wszystkich o jedenastej.

– Oczywiście. Możesz zacząć nakrywać. Jestem pewna, że zapach bekonu i kawy od razu zwabi innych na pokład. A jak nie, to pójdziemy ich pogonić – zapowiedziała Maja.

– Oczywiście – odparła stewardesa i oddaliła się.

Maja nabrała głęboko powietrza.

– Wiesz, trochę dziwnie się teraz czuję wśród tego bogactwa i luksusu – wyznała. – To mnie trochę krępuje, jeśli mam być szczerą.

– Rozumiem, co masz na myśli. Lepiej się czuję pod namiotem w leśnym wąwozie.

– Tego nie byłabym taka pewna. Nie wiem, czy przeżyłabym długo bez brazylijskiego upału. Myślę jednak, że wszystkie powinnyśmy pamiętać o tym, by w miarę możliwości oddawać światu to, co dostałyśmy. Zaczęłam co tydzień odwiedzać fawelę w Rio, żeby uczyć dzieci angielskiego i hiszpańskiego.

– Fantastycznie! W końcu w jednym z takich miejsc zaczęło się twoje życie – powiedziała łagodnie Tiggy.

– Chciałabym zapewnić tamtejszym dzieciom lepszą przyszłość. Wątpię, by przybył im na odsiecz jakiś tajemniczy miliarder, jak to było w naszym przypadku.

– Racja. Pa Salt na pewno rzucił nam linę ratunkową. Jak inaczej potoczyłyby się nasze losy, gdyby nie zabrał nas ze wszystkich stron świata? – Tiggy pokręciła głową, a potem popatrzyła na siostrę. – Okropnie za nim tęsknię. Czuję się tak, jakbym straciła kotwicę. Zawsze kiedy miałam jakiś problem, wiedział dokładnie, co powiedzieć, żebym poczuła się lepiej. Pewnie z tobą było tak samo?

– Tak. Chyba z nami wszystkimi.

– Ironia losu polega na tym, że teraz potrzebujemy go bardziej niż kiedykolwiek, ale go już nie ma i nie może nam pomóc.

– Fizycznie nie. Myślę jednak, że na swój sposób jest z nami – odparła Maja.

Tiggy popatrzyła na siostrę.

– Chcesz uczyć *bruja* o duchowości?

– Tak daleko bym się nie posunęła, ale patrz, czego dokonałyśmy. Znalazłyśmy zaginioną siostrę. Nie udałoby nam się to, gdyby nas nie prowadził.

– Tak by się cieszył, gdyby wiedział, że ona będzie... – Tiggy uśmiechnęła się.

– Na pewno.

– Ale wiesz... – Tiggy oparła głowę na dłoniach. – Pamiętasz, co mówiłam o zdolności do wyczuwania różnych energii wpływających na nasze życie?

– No, tak...

– Tylko proszę, nie myśl, że zwariowałam – powiedziała Tiggy błagalnie.

– Wierz mi, że coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

– No dobrze. Zwykle wyczuwam, kiedy ktoś ma umrzeć... zawsze to potrafiłam. Podobnie jak wyczuwam nowe życie, choćby to, które rośnie teraz w tobie.

Maja z powagą skinęła głową.

– A kiedy ludzie, których znałam, odchodzili, zawsze byłam w stanie... się z nimi pożegnać. To znaczy z ich duchem albo siłą życiową, jakkolwiek byś to chciała nazwać. Zawsze mnie to pocieszało. I sądzę, że im też było lżej.

– Rozumiem.

– Ale w przypadku taty to się nie sprawdziło. Nie miałam wrażenia, że wkrótce nas opuści, i naprawdę od tamtej pory nie jestem w stanie go wyczuć. Właśnie dlatego ten rok był dla mnie szczególnie ciężki. Nie mogłam pożegnać się z tatą.

– Tak mi przykro, Tiggy. Musi ci być strasznie trudno.

– Tak. Był dla mnie wszystkim, jak dla każdej z nas, i nie potrafię uwierzyć, że nie przyszedł zobaczyć się ze mną ten ostatni raz. – Tiggy spuściła głowę i zaczęła przyglądać się swoim dłoniom, jak to często robiła, rozważając sprawy wykraczające poza świat fizyczny.

Maja zastanawiała się, co powiedzieć siostrze.

– Może to dlatego, że wie, jak bardzo by cię to zmartwiło? – zasugerowała.

– Możliwe – odparła Tiggy. – Zaczęłam już myśleć, że przysłał mi Charliego w charakterze pożegnania.

– To byłoby bardzo w stylu taty – podsunęła siostrze Maja.

– Może... Ale przez ostatnie kilka tygodni czuję coś dziwnego.

– Między tobą a Charliem wszystko w porządku?

– Jasne. Chodzi mi o to, że nagle zaczęłam strasznie niepokoić się o tatę. Czego nie rozumiem, bo przecież umarł rok temu.

– Ale to chyba naturalne, zważywszy na to, po co zebraliśmy się na *Tytanie*. Jestem pewna, że wszystkie doświadczyliśmy czegoś podobnego.

Tiggy zastanowiła się.

– Pewnie masz rację – odezwała się po chwili. – Przepraszam. Nie chciałam poruszać tak poważnych tematów i mówić o *brujas*. Zwłaszcza po ostatnim wieczorze... Ale było wesoło!

– To prawda! Jack i Mary-Kate są naprawdę uroczy.

– Też tak uważam. A właśnie... Wiadomo już, czy Georgowi udało się w nocy dotrzeć na jacht z Merry?

– Coś mi mówi, że tak. Na stole są dwa nakrycia więcej. Wczoraj przy kolacji było nas szesnaścioro, a dziś widać, że ma być osiemnaście osób.

– O rany, nie mogę wprost uwierzyć, że wszyscy poznamy zaginioną siostrę. Po tylu latach... Do tej pory była jedynie legendą. A dziś rano będzie popijać z nami sok pomarańczowy.

– Biedna Merry... Sporo przeszła. Nie do wiary, że Georg zdołał ją sprowadzić. Musimy stawać na głowie, żeby czuła się z nami dobrze przez tych kilka dni.

– Jasne. Merry ma piękną duszę. Wprawdzie spotkałam się z nią w Dublinie tylko przelotnie, ale wiem, że będzie do nas wspaniale pasować.

Zapadła chwila milczenia, kiedy obie zastanawiały się nad tym, co oznacza pojawienie się na *Tytanie* nowej pasażerki. Wreszcie Maja przerwała ciszę.

– Zabawnie było patrzeć, jak wczoraj Georg w popłochu opuszczał jacht, prawda? Chyba nigdy nie widziałam go w takim stanie. Naprawdę wydawało mi się, że jest gotów zrobić wszystko, byle namówić Merry na ten rejs. My wszystkie też się starałyśmy, ale w końcu potrafimy pogodzić się z tym, że ktoś uparcie mówi „nie”.

Tiggy zapatrzyła się w przestrzeń i po chwili powiedziała:

– Myślę, że dla niego jej odmowa była nie do przyjęcia. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, mam bardzo dziwne wrażenie, że...

Przerwała, bo usłyszała głosy dobiegające z salonu:

– Mój tata mówi, że *Ore Brasil* jest jeszcze większy od tego jachtu – oświadczyła dumnie Rory’emu Valentina.

– Ooo... A słyszałaś o *Titanicu*? – odparował chłopiec.

Dzieci pojawiły się na pokładzie, a za nimi Floriano.

– Dobrze, dobrze, nie sądzę, że powinniśmy teraz rozmawiać o tym okręcie, młody człowieku. – Floriano uśmiechnął się do Mai i uniósł brwi.

– *Bom dia*, Maja!

– *Bom dia*, Valentina. *Apenas Inglês, por favor*. W tej podróży mówimy tylko po angielsku.

– Dobrze...

– Dziękuję, Valentino – odezwała się Tiggy. – Nie wszyscy są tacy mądrzy jak ty. I tacy ładni!

– Och, proszę, ciociu Tiggy, ten nosek nie powinien zrobić się jeszcze bardziej zadarty... – powiedział Floriano, biorąc córkę na rękę i łaskocząc ją.

– Widziałeś jeszcze kogoś, Floriano? – spytała Maja.

– Chodziliśmy i pukaliśmy do wszystkich drzwi, prawda, Valentina? – wtrącił się Rory. – A potem ścigaliśmy się dookoła pokładu i zobaczyliśmy Marinę z Ally i Bearem na dziobie. Wszyscy przyjdą. Są kiełbaski na śniadanie?

– O, jestem pewna, że szef kuchni przyśle nam trochę kiełbasek. Dobry wybór, Rory. Czy to twoje ulubione śniadaniowe danie? – spytała Tiggy.

– Ośmielę się potwierdzić – dobiegł z salonu niski głos, po czym Mouse i Star pojawili się, trzymając się za ręce.

– Dzień dobry, Star! Dzień dobry, tato.

– Cześć, Rory. Dzień dobry wszystkim. – Star pomachała siedzącym za stołem. – Wpadłam na Mary-Kate w drodze na górę. Ona i Jack idą zajrzeć do swojej mamy. Mówili, żebyśmy zaczęli bez nich – poinformowała zgromadzonych.

– Jasne. Denerwujesz się, Star? – spytała Maja.

– Tak. Prawdę mówiąc, od rana przewraca mi się w brzuchu. Przecież ostatni raz, kiedy rozmawialiśmy, odgrywałam rolę w tym idiotycznym teatryku wymyślonym przez Orlanda, żeby podstępnie wybadać Merry. Paskudnie się czuję z tego powodu.

– Nie martw się. Kiedy spotkałam Merry w Dublinie, dała mi do zrozumienia, że wszystko ci już wybaczyła – zapewniła ją Tiggy.

– Na pewno – dodała Maja, biorąc Star za rękę. – To wielka chwila. – Popatrzyła wokół stołu. – Z sześciu sióstr zaraz zrobi się siedem.

10

Merry

Choć spałam zaledwie sześć godzin, to głęboko i odzyskałam siły. W dolinie Gibbston, gdzie wśród rozległych winnic stoi nasz dom, w nocy panuje absolutna cisza. Jediną wadą tego spokoju jest to, że kiedy nie byłam u siebie, często źle spałam. W hotelach zdarzało się, że wybudzał mnie najłżejszy odgłos kroków na korytarzu. Tymczasem na *Tytanie* bez trudu zapadłam w głęboki sen. Tak naprawdę zorientowałam się, że płyniemy, dopiero kiedy zwlekłam się z łóżka i podeszłam do iluminatora. Nawet silniki mi nie przeszkadzały. Odblokowałam okrągłą szybę i uchylłam najszerzej, jak mogłam – co najmniej na dziesięć centymetrów. Wdychałam ciepłe słone powietrze Morza Śródziemnego i to jeszcze bardziej dodało mi energii. Kiedy zmarł Jock, obiecałam sobie przygodę, no i rzeczywiście ją miałam. Nie była to do końca taka podróż dookoła świata, jaką sobie wyobrażałam, ale oto płynęłam na pokładzie superjachtu, by odkryć swoje prawdziwe pochodzenie. Tak, nie można było przewidzieć, co przyniesie ten dzień, ale po rozmowie z Milesem i kilku godzinach odpoczynku patrzyłam na przyszłość trochę bardziej optymistycznie.

Podniosłam telefon ze stolika nocnego i znalazłam dwa esemesy. Jeden od Jacka, drugi od Mary-Kate. Oboje prosili, żebym dała im znać, jak tylko się obudzę. Odpisałam, że mogą wpaść za pół godziny, bo na razie wskakuję pod prysznic.

Po wyjściu z łazienki wyjęłam z walizki czystą lnianą sukienkę i leżącą na spodzie suszarkę. Patrząc na siebie w lustrze, pomyślałam o rysunku węglem, który pokazał mi Georg zeszłego wieczoru. Nie ma co zaprzeczać. Kobieta z portretu mogłaby być mną. Zastanawiałam się nad losami mojej biologicznej matki i nad tym, dlaczego lata temu zdecydowała się zostawić mnie na progu domu ojca O'Briena. Po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić sytuacji, która zmusiłaby mnie, żeby zrobić coś takiego Jackowi czy Mary-Kate. Na samą myśl przebiegał mi po plecach dreszcz.

Kilka minut po wyłączeniu suszarki usłyszałam znajome pukanie. Takie samo jak to, które rozlegało się ponad ćwierć wieku temu, kiedy mój syn miewał koszmary i chciał spać w łóżku ze mną i Jockiem.

– Wejź, Jack! – zawołałam.

Drzwi się otworzyły i zobaczyłam jego falujące blond włosy, przenikliwe niebieskie oczy i naturalnie wesołą twarz.

– Cześć, mammo! Witaj na pokładzie wspaniałego *Tytana*! – powitał mnie rozpromieniony.

Za nim ukazała się Mary-Kate, w bikini i tunice.

– Mammo! Jesteś! Tak dobrze cię widzieć!

Przytuliłam ich oboje i długo nie wypuszczałam z objęć. Choć płynęliśmy po morzu na innej półkuli, w tym momencie znalazłam się znów w domu.

– Ja też się cieszę, że was widzę. Nie macie nawet pojęcia jak. Chodźcie, usiąźmy.

Wskazałam na dwa fotele stojące po dwóch stronach stolika, a sama przysiadłam na brzegu łóżka.

– Mammo... jak to się stało, że w końcu zmieniłaś zdanie? Ally mówiła nam, że Georg poleciał wczoraj wieczorem do Irlandii gotów cię porwać

siłą. Zakładając, że jednak nie załadował cię do worka, to co takiego powiedział, że cię przekonał?

– Tak naprawdę to mój stary przyjaciel Ambrose mnie namówił. Wiesz, jak bardzo mu ufam. Zna mnie dłużej niż ktokolwiek na świecie. Uznał, że powinnam jechać. I posłuchałam go.

– Jesteś tu legendą – powiedziała Mary-Kate. – Nawet bardziej niż ta gwiazda Elektra. Słyszałaś o niej? Jest jedną z najsłynniejszych modelek na świecie. Wygłosiła mowę podczas koncertu dla Afryki zaraz po Obamie i...

– Tak, tak. Chyba czytałam coś o tym jeszcze w Nowej Zelandii. – Zwróciłam się do syna: – A jak tam Ally, Jack?

– Hm... W porządku. – Popatrzyłam mu uważnie w oczy. – Ona... ma dziecko.

– Georg już mi o tym wspomniał. I co ty na to? Trochę dziwne, że nic nie mówiła.

– Dziecko to nie problem. Uroczy maluch, ma na imię Bear.

Mary-Kate trąciła brata łokciem.

– Ale ona jest zdecydowanie wolna, mamó – powiedziała. – Powinnaś ich zobaczyć razem. Aż miło patrzeć!

– Daj spokój, MK. Rok temu straciła ojca syna. Gdybym miał zgadywać, przypuszczam, że nie powiedziała mi o dziecku, żeby nie zranić moich uczuć. Jakoś to przeżyję. – Spojrzał na matkę. – Ale to nie ja tu jestem najważniejszy. Jesteś gotowa wyjść i poznać rodzinę?

Odetchnęłam głęboko.

– Jest parę rzeczy, których się ostatnio dowiedziałam. Chciałabym o tym z wami pomówić. Zwłaszcza przed tym wielkim spotkaniem.

Wyczuwając mój lęk, Mary-Kate wstała i usiadła obok mnie na łóżku. Ujęła moją dłoń.

– Mów, mammo.

Podeszłam do torebki i wyjęłam list od Atlasa razem z kopią rysunku węglem.

*

– O rany, mammo. Sporo na ciebie spadło. Zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszłaś w ostatnich tygodniach. Jak się czujesz? – zapytał Jack łagodnie, obejmując mnie ramieniem.

– Z początku było okropnie. Ale teraz, kiedy się dobrze wyspałam, jest już lepiej. Poza tym poznałam tu kogoś sympatycznego. Ma na imię Miles...

– Chłopak Elektry?

– Właśnie. Bardzo mi pomógł. Georg robi kopie pamiętnika. Da je adoptowanym córkom Atlasa, żeby mogły go czytać jednocześnie ze mną.

– Naprawdę jesteś jego biologiczną córką? – spytała Mary-Kate.

– Na to wygląda. Atlas to mój ojciec, a wasz dziadek.

Zapadła cisza.

– No tak, jasne! Chociaż właściwie to tylko wy dwoje jesteście z nim spokrewnieni – powiedziała Mary-Kate, nawiązując do tego, że była adoptowana. Przeczesła palcami długie blond włosy. – Ale historia!

– Chryste, nic dziwnego, że Georg tak się uparł, żeby ściągnąć cię na ten jacht, mammo. Jesteś... łączą nas z Pa Saltem więzy krwi – wyjąkał Jack.

– Czy to zostało sprawdzone? – spytała Mary-Kate.

– Masz na myśli testy DNA? Może być z tym trudno, biorąc pod uwagę, gdzie się znajdujemy i co zamierzamy zrobić.

– Zresztą i tak nie widzę większej potrzeby takich badań. Ta kobieta z portretu wygląda wypisz wymaluj jak ty. Domyślam się, że nie wiesz nic

o jej losach? – zapytał Jack.

– Nie. Może dowiem się z pamiętnika.

– No tak. I mam nadzieję, że dowiemy się też z niego czegoś o dworze Argideen.

Mary-Kate wskazała na sufit.

– A one? Jak sądzisz, jak to przyjmą?

– Nie wiem. Ale przecież ja się tu nie prosiłam. To one szukały mnie po całym świecie, dosłownie. – Rozejrzałam się po wspaniałej kajucie; zwróciłam uwagę na misterny żyrandol i okazały zagłówek łóżka z drewna orzechowego. – I nie mam zamiaru niczego się od nich domagać.

Jack był wyraźnie przybity.

– Kiedy Ally dowie się, że jestem jej siostrzeńcem, to fakt, że nie wspomniała mi, że ma dziecko, przestanie być ważny.

– Nie bądź głupi. Ally jest adoptowana. Jej ojciec był norweskim muzykiem. Nie ma pomiędzy wami żadnego pokrewieństwa – przypomniała mu stanowczym tonem siostra. – W każdym razie to bez znaczenia. W porządku, mamó? Możemy cię jakoś wesprzeć?

– Najlepiej skombinujcie szalupę ratunkową, na wypadek gdyby te dziewczyny zdecydowały się wyrzucić mnie za burtę.

– Wydaje się to raczej mało prawdopodobne. – Mary-Kate położyła dłoń na moich plecach, by dodać mi odwagi. – Wszystkie są naprawdę urocze. Co planujesz? Masz zamiar pójść tam i od razu im powiedzieć?

– Chyba powinnam. – Westchnęłam ciężko. – Zatrzymywanie dla siebie tej informacji byłoby nie w porządku. Jak mówiłam to wszystkim do tej pory, ten człowiek... Atlas... jest dla mnie kimś obcym. Dla nich był najbliższą osobą.

– Podziwiam cię, mamó. Tyle przeszłaś... i nadal przechodzisz... i jak zawsze martwisz się przede wszystkim o innych.

– Dziękuję, kochanie. A właśnie... wasz tata kazał mi obiecać, że jeśli coś by mu się stało, to rzucę się w wir przygód. I patrzcie, gdzie wylądowaliśmy.

Wzięliśmy się za ręce i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Był chyba najmniej egoistyczną istotą na naszej zielonej planecie – powiedziałam. – Wiemy, przez co przechodzą te dziewczyny, więc jeśli mogę... jeśli możemy... pomóc im w najtrudniejszym momencie ich życia, to postaramy się o to. – Ścisnęłam mocno dłonie Jacka i Mary-Kate. – Są już na górnym pokładzie?

– Usiedli do późnego śniadania. Powiedzieliśmy, że do nich dołączymy, ale najpierw zajrzemy do ciebie.

– No dobrze. – Odetchnęłam głęboko, klepnęłam się w kolana i wstałam. – Chodźmy się przywitać.

Jack i Mary-Kate poprowadzili mnie przez *Tytana*. Z dwójką dzieci, tworzących moją straż przyboczną, poczułam się lepiej. Cokolwiek się stanie, mogłam na nich liczyć.

Przeszliśmy głównymi schodami do wielkiego salonu, a potem przecięliśmy jadalnię i przestrzeń biurową, o której wspominał w samolocie Georg. Byłam wypoczęta, mogłam więc w pełni docenić wspaniałość tej pływającej fortecy.

Po wspięciu się na co najmniej trzy kondygnacje dotarliśmy na górny poziom *Tytana*, gdzie mieścił się mały salon, otoczony lekko przyciemnionym szkłem. Niektóre szyby były odsunięte i do środka wpadały jaskrawe promienie słońca.

– Jesteś gotowa, mamó? To już tutaj – odezwał się Jack, uśmiechając się, żeby dodać mi otuchy.

Serce zaczęło mi walić, kiedy usłyszałam kakofonię głosów. Tak musieli się czuć ludzie wyprowadzani na arenę lwom na pożarcie,

pomyślałam. W gwarze rozpoznałam wyważony ton Georga i to dodało mi odwagi potrzebnej, by przekroczyć próg. Mary-Kate wzięła mnie za rękę i ścisnęła ją, kiedy całą trójką stanęliśmy na pokładzie.

Przy stole było pełno. Powitało mnie morze twarzy.

Pierwszy odezwał się Jack:

– Dzień dobry wszystkim! Chciałbym przedstawić naszą mamę, Mary. Pewnie słyszeliście już o niej...

Zapanowała dziwna cisza. Na pewno trwało to zaledwie kilka sekund, ale dla mnie ciągnęło się w nieskończoność. Odniosłam wrażenie, że przyglądają mi się, oswajają z moją obecnością, jakby trudno im było pojąć, że jestem tu naprawdę. Dwie młode kobiety popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się. Inne gapiły się na mnie okrągłymi oczami, lekko uchylając usta, jakby były w szoku. W każdym razie wydawało się, że nikt nie jest pewien, co powiedzieć, więc to ja rozładowałam napięcie.

– Cześć. Wszyscy mówią do mnie Merry, jak w Merry Christmas. Możecie się tak do mnie zwracać, jeśli chcecie.

Z nerwów zaczęłam mówić z silnym irlandzkim akcentem.

Kobieta o gęstych kasztanowych włosach, kołysząca na kolanach niemowlę, podniosła się pierwsza. Od razu wiedziałam, która to z sióstr. Miała bladą cerę, fascynujące ogromne oczy i delikatne brwi. Wydatne kości policzkowe podkreślały jej urodę. Łatwo mi było zrozumieć, dlaczego Jack tak się zauroczył.

– Merry, witaj... ja... my... wszystkie... tak się cieszymy, że jesteś tu z nami.

– Dziękuję. To bardzo miłe, że zadałyście sobie tyle trudu, żeby mnie tu sprowadzić.

Inna kobieta, o ciemnobrązowych oczach i opadających na ramiona ciemnych włosach, zaczęła klaskać. Niemal natychmiast wszyscy się

przyłączyli. Po chwili wstali i to entuzjastyczne powitanie sprawiło, że nie potrafiłam powstrzymać śmiechu. Zauważyłam Georga u szczytu stołu. Skinął mi głową. Czy naprawdę miał łzy w oczach? No nie, niemożliwe... Wszyscy się uśmiechali. Autentyczne ciepło bijące z ich twarzy było bardzo budujące.

Podeszła do mnie wysoka kobieta, elegancka, o wyrazistych rysach. Uznałam, że musi być po sześćdziesiątce.

– Witaj, Merry. Mam na imię Marina. Dziewczynki, wybaczone, że tak je nazywam, mówią do mnie „mamo”. Opiekowałam się nimi, kiedy dorastały. Nie potrafię wyrazić, jaki to dla nas zaszczyt, że do nas dołączyłaś. Uszczęśliwiłaś wiele osób i napełniłaś radością wiele serc, *chérie*.

– Dobrze poznaję? To francuski akcent?

– Owszem, jestem Francuzką, ale pewnie wiesz, że mieszkam w Szwajcarii.

– Tak. Słyszałam wiele o waszym cudownym domu na brzegu Jeziora Genewskiego.

– *Oui, chérie!* Musisz przyjechać nas odwiedzić!

Znów nie potrafiłam się pohamować i roześmiałam się. Marina wydawała się naprawdę zachwycona.

– Przestań, mamo! Nie wystraszonej jej, na litość boską. Bo jeszcze wyskoczy za burtę i popłynie co siłą do brzegu. – Te słowa wypowiedziała posągowa piękność o hebanowej karnacji i burzy kręconych włosów. Była tak uderzająco piękna, że niemal odjęło mi mowę. – Tak się cieszę, że cię poznałam. Jestem Elektra.

Jej złotawe oczy wpatrywały się we mnie. Wiedziałam, że to ta słynna modelka.

– Och, oczywiście. Widziałam cię w telewizji! Reklamowałaś perfumy, prawda?

Zachichotała i pokręciła głową.

– Możliwe. Przykro mi, że moja twarz naprzykrzała ci się z ekranu, zanim miałyśmy okazję poznać się osobiście.

– Na żywo wyglądasz równie ślicznie!

– Jesteś bardzo miła. A to moja siostra CeCe. – Elektra wskazała na ostrzyżoną na chłopaka krępa dziewczynę o mieniących się złotem orzechowych oczach o migdałowym wykroju.

– Cześć, Merry. Masz bardzo fajne imię.

– O, dzięki, ty też! CeCe, prawda?

– Tak, to zdrobnienie od Celaeno, żeby nie trzeba było łamać sobie języka. A za pełne imię mogę winić tylko tatę.

Za CeCe stała wiotka blondynka, która przypominała Mary-Kate. Spotkałyśmy się już w hotelu Claridge, ale wtedy udawała kogoś innego. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Witaj, Merry – wybąkała nieśmiało. – Ja...

– A niech mnie! – zawołałam. – Czy to nie lady Sabrina Vaughan? Zabawne, że się tu spotykamy. Jak się miewa wicehrabia?

Błada biedulka od razu się zaczerwieniła.

– Strasznie mi przykro, Merry. To był niemądry pomysł mojego głupiego przyjaciela, Orlanda. Jest trochę ekscentryczny. Pod każdym względem.

– Och, Star ujmuje to zbyt delikatnie – odezwał się tubalnym głosem mężczyzna mówiący z angielskim akcentem z wyższych sfer. – On naprawdę jest okropnie głupi. Mam nieszczęście być jego bratem.

– Nie powinnam się była na to zgodzić. – Blondynka wyciągnęła do mnie rękę. – Jeśli mogłybyśmy zacząć od nowa... jestem Star. To zdrobienie od...

– Asterope. – Uścisnęłam jej dłoń. – Wszystkie dostałyście imiona od Siedmiu Sióstr z Plejad. To piękne.

– Tak, masz całkowitą rację! O rany, zwykle trzeba się długo z tego tłumaczyć – powiedziała Star.

– Pisałam pracę magisterską o Orionie, który ścigał Merope. I nie martw się, lady Sabrino, wybaczam ci. Miło mi poznać prawdziwą Star.

Zza drobnej blondynki ukazała się kolejna znajoma twarz.

– Witaj ponownie, Merry – powiedziała łagodnie Tiggy. – Jak wspaniale znów cię widzieć.

Podeszła i uściskałyśmy się. Kiedy spotkałyśmy się w Dublinie, to właśnie jej subtelny sposób bycia przekonał mnie, że siostry D’Aplièse nie mają złych zamiarów wobec mnie i moich bliskich.

– Witaj, Tiggy. Miło cię znów zobaczyć – odparłam.

Popatrzyła mi głęboko w oczy.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. To by tyle znaczyło dla naszego ojca. Dziękuję, że przyjechałaś.

Gdyby to była którakolwiek z jej sióstr, poczułabym się w tym momencie niezręcznie, ale uspokajająca aura Tiggy, jak poprzednio, wzięła górę i ta dziewczyna znowu wydała mi się dziwnie bliska. Było tak, jakbyśmy obie wiedziały coś, o czym inne nie wiedzą.

– Chyba jeszcze tylko my dwie się nie przedstawiłyśmy – powiedziała Ally. – Jestem Ally, a to moja starsza siostra, Maja. Rozmawiałyśmy kilka razy przez telefon.

– Witaj, Ally. Jack opowiedział mi o tobie. – Spodziewałam się rumieńca na jej twarzy i nie zawiodłam się. – Ciebie też miło mi poznać,

Maju.

– Nie mogłaś nam sprawić większej radości, Merry... – Głos Mai lekko się załamał. – Przepraszam, to dla nas wielka chwila.

– Wyobrażam sobie. Musi wam być bardzo ciężko. Ale to cudowne, że jesteście tu razem – zwróciłam się do wszystkich, również tych siedzących dalej przy stole. – Dorastałam wśród licznego rodzeństwa. Ale przez bardzo wiele lat nie miałam z nimi kontaktu.

– Na pewno jesteś strasznie głodna. Chodź, weź sobie coś! – zawołała kobieta podobnie smagła jak CeCe. – Jestem Chrissie. Miło cię poznać!

– Ciebie też. Przyjemnie mieć na pokładzie kogoś, kto też pochodzi z drugiej półkuli!

– Prawda? Choć sądząc po twoim akcencie, nigdy bym się nie zorientowała, że jesteś z Nowej Zelandii.

Usiadłam między Mary-Kate i Jackiem. Stół był zastawiony półmiskami z ciastami i pieczywem, spod metalowych przykryw kusily kielbaski, bekon, jajka i inne smakołyki. Podczas śniadania przedstawiono mnie lekarzowi, który był dziedzicem ogromnej posiadłości wiejskiej w Szkocji, brazylijskiemu pisarzowi, pełnemu oglady angielskiemu dżentelmenowi, który odbudowywał wielki dom, i dowiedziałam się, że Chrissie była mistrzynią w pływaniu, zanim straciła w wypadku nogę.

– A to Miles – powiedziała Elektra, wskazując mężczyznę siedzącego obok niej.

– Tak naprawdę mieliśmy już przyjemność się poznać, kiedy Georg przywiózł mnie rano na jacht.

Zdziwiona Elektra popatrzyła na swojego partnera.

– Nic mi o tym nie wspomniałeś, Miles.

– Przecież mnie nie pytałaś. – Odpowiedział na jej spojrzenie szerokim uśmiechem i mrugnął. Zauważyłam, jakie to było rozbijające. – Udało ci

się trochę przespać, Merry?

– Nawet więcej niż trochę.

Kiedy wreszcie zmiotłam z talerza to, co sobie nałożyłam, poczułam, że kręci mi się w głowie.

– Mój Boże, wybaczcie, ale czuję się jak w powieści Agathy Christie. Tyle dokoła ciekawych postaci.

– Morderstwo na *Tytanie*. – Dystyngowany Mouse roześmiał się.

Star cmoknęła z przyganą i przewróciła oczami.

– To ci na pewno nie grozi, Merry.

– Nie mogę się nadziwić, że Georg zdołał cię przekonać, żebyś do nas dołączyła – wtrąciła CeCe.

Popatrzyłam na niego, siedzącego u szczytu stołu. Nie odrywał ode mnie wzroku. Czekał na moją odpowiedź.

– Wyjaśnił mi, ile wysiłku kosztowało was odnalezienie mnie – odparłam. – I wiem od niego, że to dla was ciężki czas. Był bardzo przekonujący.

– Potrafi taki być, jeśli chce. W końcu to prawnik. Prawda, Georg? – zażartowała Elektra.

– Jak wiecie, jestem tu, żeby spełnić życzenia waszego ojca, choć jego z nami już nie ma – odpowiedział spokojnie. – Kiedy udało się potwierdzić, kim jest Merry, uznałem, że wasz ojciec nie cofnąłby się przed niczym, byle tylko sprowadzić ją na ten pokład – odparł spokojnie.

– Ale chyba musiał powiedzieć ci coś, co sprawiło, że zmieniłaś zdanie, prawda? – drążyła dalej CeCe. – Bo wszystkie myślałyśmy, że nie masz zamiaru przyjechać...

– CeCe – upomniała ją Ally.

– Wcale się nie dziwię, że nie chciałaś do nas dołączyć – zwróciła się do mnie CeCe. – Ja też bym nie chciała, gdyby po całym świecie ganiały za mną jakieś kompletnie obce osoby i twierdziły, że jestem ich zaginioną siostrą!

Nie miałam pewności, czy to było ze strony CeCe zamierzone, ale przy stole zapadła pełna napięcia cisza.

– Co cię przekonało? – spytała. – Tylko o to pytam.

Popatrzyłam znów na Georga. Przebiegał wzrokiem wokół stołu, obserwując twarze, kiedy CeCe kontynuowała przesłuchanie.

Star spiorunowała ją wzrokiem, po czym zwróciła się do mnie:

– Wybacz, proszę. Ona zawsze mówi, co jej ślina na język przyniesie, bez zastanowienia. – Ponownie spojrzała na siostrę. – Prawda, Cee?

– Przepraszam. Zachowałam się niegrzecznie? Pewnie tak. Bardzo mi przykro, Merry. Tylko że...

– Nie musisz przeproszać. Możesz pytać, o co tylko chcesz – zapewniłam.

– Myślę, że Georg ukrywał coś przed nami – dodała CeCe.

Wszystkie głowy obróciły się w kierunku prawnika.

– Rory! Idziemy, stary. Chyba obiecywałeś mi, że zaprowadzisz mnie na mostek kapitański i wszystko mi pokażesz, nie? – powiedział Mouse do syna, żeby taktownie się usunąć. – Chcesz z nami pójść, Valentino? Jestem pewien, że jeśli będziemy bardzo grzeczni, kapitan Hans może da nam chwilę posterować.

Chłopiec i dziewczynka, na szczęście nieświadomi niezręcznej atmosfery, w podskokach polecili za Mouse'em, który chyba poczuł ulgę, że może odejść od stołu.

– Co masz na myśli, CeCe, mówiąc o ukrywaniu czegoś? – odezwał się wreszcie Georg.

– A jak sądzisz? Kazaleś wyryć współrzędne na sferze armilarnej taty bez naszej wiedzy, choć znałeś je od dawna. A potem, kiedy rozesłałeś nas po świecie, żebyśmy próbowały zlokalizować zaginioną siostrę, zniknąłeś na dłuższy czas. Słyszałyśmy od Mai i Ally o twoich tajemniczych telefonach. A wczoraj zniknąłeś z *Tytana*, by pognać do Dublina i przywlec biedną Merry na ten rejs, choć dała wyraźnie do zrozumienia, że sobie tego nie życzy!

Wszyscy przy stole byli zszokowani i nie odzywali się.

Mary-Kate położyła dłoń na moim kolanie, by dodać mi odwagi, kiedy czekaliśmy na reakcję Georga.

– Mój Boże. Dziękuję za szczerość, CeCe. Tak to widzicie? Że w jakiś sposób bronię wam dostępu do informacji?

– Daj spokój! Nigdy nas do nich nie dopuszczałeś – włączyła się Elektra. – Na przykład śmierć ojca... Postarałeś się, żebyśmy usłyszały o niej dopiero po tym, jak odbył się cichy pogrzeb. A potem sfera armilarna, współrzędne, listy od taty... Zawsze wiedziałeś więcej od nas, choć niby jesteśmy jego córkami. A my to po prostu akceptowałyśmy.

– *Chérie*, proszę – wtrąciła się Marina. – Nie złość się na Georga. Nigdy nie znałam kogoś równie oddanego swojej pracy, równie lojalnego. Wierzcie mi, pokochał każdą z was tak jak ja.

– Dziękuję, Marino – rzucił prawnik. – Ale doskonale rozumiem ich frustrację. – Westchnął ciężko.

– Nie musisz się tłumaczyć, Georg – powiedziała spokojnie Ally. – To dla nas czas wielkich emocji, ale powinnyśmy starać się uhonorować tatę, zachowując się tak, jak by tego od nas oczekiwał. Zwłaszcza że dołączyła do nas zaginiona siostra.

Wskazała na mnie, a ja próbowałam wyrazić współczucie uśmiechem. Prawda była jednak taka, że znów paraliżowała mnie trema.

– Przepraszam, Ally – odezwała się znowu CeCe. – Nie chcę, żeby brzmiało to tak, jakbym miała pretensje. Tylko że czasem mam wrażenie, jakbyśmy byli o trzy kroki za innymi. A przecież to był nasz tata, prawda?

– Rozumiem. Ale może mogłybyśmy podyskutować o tym później? – odparła Ally.

– Jasne. Przepraszam wszystkich. Cudownie, że jesteś tu z nami, Merry. W pewien sposób towarzyszyłaś nam przez całe nasze życie. Byłaś legendą. Bajką. A teraz jesteś tu naprawdę.

– Tylko że ja przez całe życie nie miałam pojęcia, że jestem zaginiona!
– Rozpaczliwie próbowałam rozładować ciężką atmosferę.

– Pewnie po prostu chciałam dowiedzieć się, jak to się stało, że zaginęłaś. – CeCe najwyraźniej nie zamierzała odpuścić. – To miałam na myśli, mówiąc, że Georg coś przed nami ukrywa. Sądzę, że wie dokładnie, jak to się stało. Pewnie wczoraj wieczorem ci to powiedział i dlatego zdecydowałaś się przyjechać. Przykro mi tylko, że nam tego nie wyjawiał. – Robiła wrażenie autentycznie przygnębionej.

– CeCe! Co ty wyprawiasz? Proszę – upomniała Star siostrę. – Wybacz, Merry.

– Doskonale rozumiem, że może ci być przykro, CeCe – powiedziałam spokojnie. – Ale mogę dać ci słowo, że Georg nie wyjaśnił mi, jak stałam się „zaginioną siostrą”. I naprawdę nie znam odpowiedzi na to pytanie. – Popatrzyłam na Georga w nadziei na wsparcie.

– Dziewczeta – zaczął – wasz ojciec był moim klientem. Możecie być pewne, że nigdy niczego przed wami nie zatajałem i nie będę tego robić. – Znowu ciężko westchnął. – Ale czasami musiałem działać według dokładnych instrukcji, które zostawił mi wasz tata przed śmiercią. Na przykład było dla niego niezwykle ważne, żebyście miały wybór, czy chcecie odkryć prawdę o biologicznych rodzinach. Więc choć znałem

wasze pochodzenie, to nie byłem upoważniony do ujawnienia wam tego. Jak mówiła Marina, bardzo kocham każdą z was.

Popatrzyłam na biednego Charliego Kinnairda. Wyglądał tak, jakby chciał zapaść się pod ziemię. Żal mi go było. Nie znajdował się już wśród Brytyjczyków, którzy raczej rzuciliby się do morza, niż narazili na konfrontację przez ujawnienie tego, co naprawdę czują. Jego zażenowania nie podzielali natomiast Floriano czy Miles, którzy z uwagą śledzili wymianę zdań, niczym w teatrze.

– Musicie mi wierzyć – ciągnął Georg. – Jeżeli wasz ojciec trzymał coś w tajemnicy, to tylko po to, żeby was chronić.

– Chronić? Przed czym? – spytała Star.

– Spokojnie, Star – rzuciła ugodowo Maja. – Georg prawdopodobnie próbuje nam powiedzieć, że Pa Salt chciał mieć pewność, że kiedy odejdzie, będziemy pod dobrą opieką.

– Tak – przyznał prawnik. – Ale również w tym czasie, kiedy żył. Nie bez powodu znałyście go dobrze jako ojca, ale niewiele wiedziałyście o jego życiu poza Atlantis.

Zauważyłam, że Marina popatrzyła na niego przerażona.

– O czym ty mówisz, Georg? – spytała Maja.

Pokręcił głową, bo zapewne uznał, że skoro już zaczął, to powinien skończyć.

– Mówię, że nikt nie był bliższy waszemu ojcu niż wy, jego sześć córek. Wiedziałyście, jaki jest dobry, serdeczny, jak kocha ludzi... i życie. Wychowałyście się na tym.

– Mów dalej – ponagliła go CeCe.

– Mimo to wasze dzieciństwo nie było zwyczajne. Wiem, że prawdopodobnie uważałyście za dziwne to, że tata znalazł sześć dziewczynek do adopcji w tak różnych zakątkach świata. I zastanawiałyście

się pewnie, dlaczego się nie ożenił, choć był tak wspaniałym materiałem na męża: dobry, przystojny i finansowo zabezpieczony. Nikt wam nigdy nie udzielił odpowiedzi na te pytania. Dla waszego bezpieczeństwa.

– Nie rozumiemy – wtrąciła stanowczym tonem Ally. – Proszę, przestań mówić zagadkami.

– W życiu wszystko ma swoją przyczynę, dziewczynki. A ja tylko staram się wytłumaczyć, że jeśli coś w waszym wychowaniu albo moim zachowaniu po śmierci Pa Salta wydaje się dziwne, to jest w tym jakiś sens.

Atmosfera wokół stołu robiła się coraz bardziej napięta. Nie wiedziałam już, do czego Georg zmierza, ale podejrzewałam, że wkrótce będę miała rolę do odegrania.

– Wasz ojciec chciał stworzyć bezpieczną przystań dla rodziny, żeby zapewnić wam opiekę i dostatek – kontynuował prawnik. – Dlatego zbudował dom na idyllicznym półwyspie, gdzie mogłyście dorastać z dala od okrutnych realiów życia. W Atlantis był w stanie otoczyć was troską, wychowywać, ofiarować wam miłość, o jakiej dziecko może marzyć. W tym celu zatrudnił mnie i Marinę, i Claudię. Świat Pa Salta powstał dla was, jego córek.

– Georg, cokolwiek chcesz powiedzieć, wyduś to wreszcie – odezwała się Maja.

– Przepraszam. Chciałyście wyjaśnień. No to może zacznijmy od imienia i nazwiska waszego ojca. Pa Salt. Tak go wszystkie nazywałyście i tak zwracali się do niego właściwie wszyscy, którzy bywali w Atlantis, wasi nauczyciele, przyjaciele... Dla każdego w swoim otoczeniu był Pa Saltem.

– Prawda... – szepnęła Tiggy.

– Tak sobie życzył – rzucił Georg.

– Wszystkie mnóstwo razy go o to pytałyśmy, pamiętam. – CeCe zmarszczyła brwi. – Tylko się śmiał i mówił: „Przecież wiecie! Nazywam się Pa Salt!”.

– Zawsze kiedy musiałyśmy podać nazwisko ojca w jakichś papierach, kazał nam pisać D’Aplièse – wtrąciła Star.

– No właśnie. Dlatego nie chciałbym, żebyście... żałowały tego, że nigdy nie wydało się wam to dziwne.

– O Boże – jęknęła Elektra. – Nie znałyśmy nawet jego nazwiska. Najważniejsza osoba w naszym cholernym życiu, a my nie wiedziałyśmy, jak się nazywał.

– Powtórzę raz jeszcze: nie wyrzucaj sobie tego, Elektro. Taka była jego wola. Świadomie tak to zorganizował. To za jego sprawą... i świata, który zbudował... nigdy nie czułyście palącej potrzeby dociekania prawdy.

– Ale nas wystraszyłeś. To jak w końcu miał na imię nasz ojciec?

Georg popatrzył na mnie i ze współczującym wyrazem twarzy skinął mi głową. Wyglądało na to, że nadeszła moja kolej. Odetchnęłam głęboko.

– Atlas – wydukałam nieśmiało. – Myślę, że miał na imię Atlas.

Wszyscy zwrócili na mnie wzrok. Popatrzyłam w oczy kobiet, które najwyraźniej bardzo pragnęły dowiedzieć się więcej.

– Floriano, Charlie, Miles, Chrissie... bylibyście tak dobrzy i zostawili nas na moment? – spytała po chwili Maja.

– Jasne. Tiggy, gdybyś czegoś potrzebowała, zawołaj. – Charlie poderwał się, jakby się paliło, i pognął do drzwi salonu szybciej niż whippet.

– W porządku, mamó? – zapytał Jack, nachylając się do mnie.

– Tak, dziękuję, kochanie. Możecie iść, ty i Mary-Kate. Dam sobie radę.

– Jesteś pewna? Będziemy niedaleko, na pokładzie rufowym, gdybyś nas potrzebowała.

Moje dzieci wstały i wyszły. Zostaliśmy tylko ja, siostry D'Aplière, Marina i Georg.

– Przepraszam, Merry. Mówiłaś, że...? – zwróciła się do mnie Maja.

– Wasz ojciec miał na imię Atlas.

Zaskoczone, patrzyły na mnie trochę podejrzliwie. Tylko Tiggy uśmiechała się szeroko. Złapałam z nią kontakt wzrokowy. Skinęła głową, jakby chciała mnie wesprzeć.

Ally zaczęła bazgrać coś na serwetce.

– Pa Salt... Nietrudno to rozszyfrować. Są tu litery słowa „Atlas”. Plus P.

– A co oznacza to P? Na ile znałyśmy tatę, to raczej mało prawdopodobne, żeby wybrał coś przypadkowo – zauważyła Star.

– Myślę, że mogę odpowiedzieć na to pytanie... – odezwała się Marina.

– P to pierwsza litera słowa „Plejady”.

– Marina ma rację – potwierdził Georg.

– I to rozwiązuje jedną wielką zagadkę... naszych imion – powiedziała Maja. – Córek Atlasa.

– Pamiętam, jak mówił coś o tym, dlaczego nazywa się go Pa Saltem: dlatego że Maja twierdziła, że zawsze pachniał morzem – przypomniała sobie Elektra. – Sam to wymyślił?

– Naprawdę nie wiem – odparła Maja. – Po prostu uznałam, że to prawda.

– Wszystkie tak myślałyśmy. – Ally skinęła głową. – Ale opowiedz nam więcej, Merry. Skąd znasz imię naszego ojca?

– Napisał do mnie list.

– List?

– Tak. Kiedy wczoraj wieczorem Georg przyleciał do Dublina i przekonał mnie, żebym poleciała z nim do Nicei, wręczył mi paczkę. Już w samolocie. Był list i pamiętnik. – Mówiłam powoli i ostrożnie, bo nie chciałam niczego pominąć albo przeinaczyć.

– Ten list był od Pa Salta? – spytała Star.

– Tak. O ile wiem, każda z was dostała od niego list? – Wszystkie pokiwały głowami. – Ja też. Jak możecie sobie wyobrazić, to wszystko jest dla mnie dość stresujące, zwłaszcza po twoich... dość mocnych słowach, CeCe.

Zauważyłam, że niektóre popatrzyły ostro na siostrę, a ta spuściła wzrok.

Sięgnęłam do torby, by wyjąć list razem z kopią rysunku węglem, przedstawiającego moją matkę. Kiedy kładłam je na stole, dostrzegłam, jak trzęsą mi się ręce.

– Merry, proszę, nie ma powodu tak się denerwować. Chcemy tylko wiedzieć, o co w tym chodzi – zaznaczyła kojącem tonem Ally.

– Przede wszystkim pokażę wam ten portret. – Podniosłam go, żeby się mogły przypatrzeć.

– O rany, Merry... Wiedziałam, że skądś znam twoją twarz – powiedziała Star. – Czy wszyscy wiedzą, co to za rysunek?

– Wybaczcie mój język, ale cholera jasna! – dodała Elektra. – To wisiało w gabinecie taty, odkąd pamiętam.

– To ty! – zawołała CeCe. – To ty jesteś na tym rysunku!

– Tak naprawdę to nie ja. Ale zgadzam się, że podobieństwo jest uderzające. Georg powiedział mi wczoraj, że to portret mojej matki. Kiedy go zobaczyłam, zrobiło to na mnie szokujące wrażenie – wyznałam.

– Portret, który tata trzymał w swoim gabinecie przez tyle lat, przedstawiał twoją matkę... – Maja przesunęła wolno wzrokiem po siostrach.

Czułam, że zaczynają się domyślać.

– Zauważyłam, że w pewnym momencie w tym roku zniknął z gabinetu taty – zwróciła się do Georga Ally. – To wyjaśnia tę zagadkę. Pewnie wziąłś go, żeby zrobić kopię, która mogła pomóc w poszukiwaniu Merry?

Prawnik skinął głową.

– Zakładam, że masz gdzieś oryginał? – spytała CeCe.

Georg zawahał się, po czym odparł:

– Wiem, gdzie jest.

Znów przejęłam pałeczkę.

– Szczerze mówiąc, dziewczyny, jestem tu i dla siebie, nie tylko po to, żeby razem z wami odbyć ten rejs. Chcę odkryć swoje prawdziwe pochodzenie, a to tajemnica, która zaczyna się od waszego ojca. – Pokręciłam głową. – Problem w tym, co zresztą dał mi jasno do zrozumienia Georg, że jeśli chodzi o życie Pa Salta, wiecie niemal równie mało jak ja.

– To, niestety, prawda – mruknęła Elektra.

– Był waszym ojcem. Wychowywał was, a wy go kochałyście. I dlatego mam nadzieję, że możemy razem dowiedzieć się o nim więcej. – Wyjęłam z koperty list i podniosłam go. – Mam go przeczytać?

Wszystkie zgodnie pokiwały głowami.

– *Moja kochana Córko...*

*

Odłożyłam list i znów popatrzyłam na siedzących za stołem. Tiggy podeszła do mnie i uściskała mnie mocno.

– Wiedziałam, że wyczuwam jego obecność – powiedziała. – Chodziło o ciebie.

– Nic nie pokrzyżowało planów adopcji. Byłaś jego... – szepnęła Maja.

– Jesteś jego rodzoną córką, Merry. To niesamowite – dodała Ally.

– Przez cały czas miał prawdziwą córkę – wyjąkała CeCe.

– Nie. To nie są właściwe słowa, CeCe – oświadczył stanowczo Georg, w którym odezwał się nagle prawnik. – Wszystkie byłyście jego prawdziwymi córkami i kochał was jak rodzone dzieci. Mam nadzieję, że żadna z was nie ma co do tego wątpliwości.

– Oczywiście, że nie – odparła Star.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy siostry starały się pojąć, co to wszystko oznacza.

Milczenie przerwała Elektra.

– A więc linia rodu Pa Salta ma swoją kontynuację. To dopiero historia!

– Myślę, że to piękne – odezwała się kojącym tonem Tiggy. – I te twoje oczy, Merry. Teraz to widzę... To oczy taty, choć mają inny kolor.

– Mój Boże, masz rację, *chérie* – powiedziała Marina, otwierając usta ze zdumienia.

– Przypuszczam, że twoją matkę spotkało coś złego – podsunęła Star. – Musiał stracić was obie naraz. Jakie to smutne. – Przyłożyła dłoń do ust.

– Ale nigdy się nie poddał – powiedział Georg. – Całe życie poświęcił na poszukiwania. Tak naprawdę właśnie dlatego tak często nie było go w domu.

– A myślałam, że wyjeżdżał w interesach – wtrąciła CeCe.

– Wasz ojciec dawno temu wycofał się z działalności biznesowej. Zarobił pieniądze w bardzo młodym wieku. W miarę upływu lat jego akcje i udziały miały coraz większą wartość, procenty narastały i zgromadził wielki majątek.

– A czym dokładnie się zajmował, Georg? Zawsze kiedy go o to pytałyśmy, mówił coś mgliście o inwestycjach i finansach, aż się znudziłyśmy i dawałyśmy spokój.

Georg popatrzył na mnie i wiedziałam, co do mnie należy.

– Atlas powierzył mi swój pamiętnik, a w liście prosił, żebym podzieliła się nim z wami, kiedy sama go przeczytam. Mimo to nie sądzę, że mam prawo poznać jego historię przed córkami, które wychował. – Ruchem głowy wskazałam na Georga. – Dlatego poprosiłam go o zrobienie sześciu kopii. Jeśli chcecie, możemy czytać tę historię jednocześnie.

– Dziękuję, Merry – odezwała się Ally po chwili ciszy. – To wspaniały gest z twojej strony.

– Szkoda tylko, że nie uznał, że mógłby nam wszystkim sam to opowiedzieć – dodała ze smutkiem Elektra.

– Jak już wspomniałem, nic nie działo się bez przyczyny. Atlas był najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego znałem – zapewnił je Georg. – Trzymał informacje o pochodzeniu Merry w tajemnicy dla waszego bezpieczeństwa.

– Stale mówisz o tym bezpieczeństwie, ochronie, a ja nie mam pojęcia, o co chodzi – poskarżyła się Maja. – Dorastając, nigdy nie czułam zagrożenia.

– A więc jego plan się powiódł.

– Jaki plan? Domagam się jakiejś odpowiedzi!

Nie przypuszczałabym, że Maja będzie pierwszą z sióstr, która podniesie głos.

– Georg, czy udało ci się już zrobić te kopie? – zainteresowałam szybko.

– Tak, leżą bezpiecznie na dole.

– Byłbyś tak dobry i je przyniósł? Myślę, że wszystkie poczujemy się lepiej, kiedy będziemy miały w ręce coś konkretnego.

Skinął głową, a kiedy mijał Marinę, zauważyłam, że na moment chwyciła jego dłoń i ścisnęła. Oboje najwyraźniej spodziewali się takiej chwili.

– Wybrałyśmy się w ten rejs, żeby uczcić pamięć taty. A nagle czuję się tak, jakbyśmy go wcale nie znały – mruknęła Elektra, spuszczać wzrok.

– Ten świat, który dla nas stworzył... – odezwała się CeCe. – Dlaczego nie zadawałyśmy więcej pytań? Przecież żadna z nas nie jest głupia. – Głos jej się załamał, oddychała nerwowo, bliska płaczu. Star wstała, by ją objąć. – Przepraszam was – rzuciła CeCe. – Jestem po prostu zmęczona. Wszystkie musiałyśmy szybko dorosnąć w tym roku. Nauczyć się żyć bez taty, podróżować po świecie, odnajdywać swoje biologiczne rodziny... straszny młyn. Myślałam, że ta wyprawa będzie dla nas wszystkich szansą, by się pożegnać i zacząć nowy rozdział. A tu niespodzianka! Okazuje się, że to dopiero początek! Nie mam już siły.

Jej słowa podziały wyzwalająco na pozostałe siostry. Najwyraźniej czuły podobnie. Poruszyłam się na krześle skrzepowana.

– Dziewczynki – zabrała głos Marina. – Moje piękne, utalentowane, dobre dziewczynki. Przykro mi, że ostatnio wasze życie było tak burzliwe. W tym roku wszystkie przeżyłyście bardzo smutne chwile. Ale nie zapominajcie o tych dobrych.

Zauważyłam, jak patrzą na nią jej podopieczne. Nagle siedzące przede mną dorosłe kobiety znów stały się zagubionymi, zdenerwowanymi dziećmi szukającymi pociechy u rodziców.

– Wiecie, co myślę? – ciągnęła Marina. – Że nasze życie jest jak linia obrazująca pracę serca na monitorze. Wznosi się i opada. I co nam to mówi? Że żyjecie, moje kochane.

Dostrzegłam uśmiechy na twarzach sióstr.

– Gdybyście miały nudne życie, nie byłoby takich skoków. Linia byłaby prosta. I co by to znaczyło? Że nie żyjecie naprawdę!

Niektóre zaczęły chichotać.

– Widzicie więc, że lepiej jest mieć takie... emocje, niż żeby dni mijały jeden po drugim, przewidywalnie jak autobusy krążące bez końca wyznaczoną trasą...

– Tata mawiał, że aby zaznać najlepszych chwil w życiu, trzeba doświadczyć i tych najgorszych – powiedziała Tiggy.

– Racja, *chérie*. Wkrótce dowiecie się, że wasz ojciec przeżył najgorsze rzeczy, jakie mogą się w życiu przydarzyć. Ale i najlepsze. A te dobre miały związek z wami, jego dziećmi.

– A więc ty i Georg znacie przeszłość taty? Dlaczego trzymaliście to przed nami w tajemnicy? – spytała Maja.

– *Non!* Już dość. Nie chodzi o mnie i pana Hoffmana. Tylko o waszego ukochanego ojca i drogę, którą powinnyście według niego iść.

– Przepraszam, mamó. – Maja trochę się wystraszyła.

– Chciałabym powiedzieć wam, jaka jestem dumna z każdej z was. Wszystkie bardzo dzielnie, z determinacją i mądrze radziłyście sobie przez ostatnie dwanaście miesięcy. Wasz ojciec bardzo by się z tego cieszył. Wiem, że nadal będziecie tolerancyjnymi, wielkodusznymi, inteligentnymi kobietami, na jakie was wychowywał, i jeśli mogę wziąć na siebie część zasług, to ja również.

Jej wypowiedź wywarła silne wrażenie na siostrach. Po tym, co zaobserwowałam, mogłabym się założyć, że Marina jest kobietą, która

starannie wybiera chwile, kiedy powinna wykorzystać swój autorytet. Nie nadużywała go.

Ally przerwała milczenie.

– Merry, wiem, że mówię w imieniu nas wszystkich. Naprawdę bardzo się cieszymy, że jesteś tu z nami. Musisz wybaczyć nam, jeśli chwilami dajemy się ponieść emocjom.

– Doskonale was rozumiem – zapewniłam. – Sama wiem najlepiej, jak to jest, kiedy świat ci się wali i wszystko przewraca się do góry nogami.

Georg wrócił z salonu, niosąc wysoką stertę papierów, a na wierzchu gruby zeszyt w sfatygowanej skórzanej oprawie.

– Sześć kopii i oryginał – powiedział.

Zaczął rozdzielać kopie, a na koniec podał mi pamiętnik.

– O rany, ile tego! – zawołała Star. – To chyba setki stron. – Podniosła swoje ze stołu i przyjrzała się im.

– Nie mylisz się. Przyznam, że zaczęłam już trochę czytać – zaznaczyłam. – Ale nie jestem daleko. Atlas nadal jest jeszcze małym chłopcem. Mocna historia jak na razie...

– To bardzo podobne do taty. – Tiggy uśmiechnęła się.

– Można się z niej też sporo nauczyć. A skoro o tym mowa, muszę wpisać Rio na swoją listę miejsc do odwiedzenia.

– Dlaczego akurat Rio? – Maja nastawiła ucha.

– Po prostu głośno myślę. Pamiętnik zaczyna się od tego, jak Atlas poznaje człowieka, który wyrzeźbił Chrystusa Odkupiciela. Niesamowite!

Maja otworzyła usta ze zdumienia.

– Przepraszam, czy to się wam z czymś kojarzy? – spytałam zaciekawiona.

– Owszem – przyznała Ally. – Jego asystent był pradziadkiem Mai.

Teraz ja musiałam mieć taki wyraz twarzy jak Maja.

– Poważnie? Laurent... tak?

– Brouilly – zdołała wydukać Maja.

– Nie do wiary... Przepraszam bardzo, Maju, nie chciałam zdradzić historii.

– Nie, nie. Ale... Co za przypadek! – Powoli pokręciła głową.

Zauważyłam, że siostry popatrują na siebie podekscytowane.

– Więc dowiemy się z tego pamiętnika, dlaczego tata postanowił adoptować właśnie nas? – spytała Elektra. – Georg?

– Musicie przeczytać i zobaczyć – odparł prawnik ze stoickim spokojem.

Tiggy klasnęła w dłonie.

– No dobrze, to jak to zrobimy? Może będziemy czytać to razem? – zaproponowała.

– O nie – rzuciła Maja. – Myślę, że wolałabym mieć trochę przestrzeni, żeby przetrwać to, czego się dowiem. A co wy sądzicie?

– Chyba masz rację – przyznała Ally. – Wygląda na to, że podczas tego rejsu nie będzie za dużo czasu na wylegiwanie się w ciepłej wannie. Wszystkie będziemy zakopane po uszy w historii życia taty.

Wokół stołu rozległy się głosy świadczące o tym, że siostry są zgodne.

– Nie jestem taka szybka w czytaniu jak wy – odezwała się smętnie CeCe. – Zwłaszcza jeśli jestem pod presją i muszę się spieszyć. Przez dysleksję litery kompletnie mi się mieszają. – Spuściła wzrok.

– Och, przepraszam, CeCe, jasne – powiedziała Star. – Chciałabyś, żebyśmy czytały razem? Dla mnie to żaden problem.

CeCe uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

– Dzięki, Star. Byłoby wspaniale. Jeśli tylko naprawdę to dla ciebie nie kłopot...

– Nie bądź głupia. Jasne, nie ma sprawy.

Ally wstała.

– No, to ustaliłyśmy. Mamy trzy dni. To powinno wystarczyć na przeczytanie pamiętnika do końca – skwitowała.

– To nawet pasuje, prawda? – odezwała się Elektra. – Nim nadejdzie czas pożegnać tatę, będziemy wiedziały, kim naprawdę był.

11

Maja ruszyła do biblioteki. Od kiedy Merry wspomniała, że Pa Salt pisał w pamiętniku o Laurencie Brouillem, zastanawiała się gorączkowo, co ich łączyło. Wracała myślami do wyprawy sprzed roku, kiedy starała się odkryć swoje korzenie. Udało jej się poskładać w logiczną całość kawałki biologicznej łamigłówki; była już w pełni świadoma swojego dziedzictwa genetycznego – to dzięki niemu miała błyszczące ciemnobrązowe włosy i nieskazitelną oliwkową cerę. Teraz zaczynała jednak podejrzewać, że obraz, jaki sobie stworzyła, jest niepełny. Dlaczego Pa Salt wybrał właśnie ją? Skąd wiedział tak dużo o historii jej rodziny?

W bibliotece zastała Floriana siedzącego w głębokim skórzanym fotelu w kącie pomieszczenia. Trzymał w ręce książkę. Ten widok ją poruszył. Przypomnił jej o tacie, który wiele czasu na *Tytanie* spędzał właśnie w tym miejscu. Było jednym z jej ulubionych na pokładzie – wielka pływająca czytelnia z wykonanymi na zamówienie regałami przy każdej ścianie, pełnymi ulubionych tomów taty. Pomyślała o ciągnących się w nieskończoność luksusowych wakacjach, kiedy wybierała sobie jakąś powieść i szła na górny pokład, by spędzić dzień, czytając w blasku złotych promieni słońca. Zamknęła oczy i wdychała słodkawy piżmowy zapach książek. Nie zmienił się nic a nic od czasu, kiedy miała dziesięć lat i po raz pierwszy zainteresowała się tym skarbcem w bibliotece. Wróciła oczami wyobraźni do przeszłości...

– Tato? – odezwała się Maja, speszona, że odrywa ojca od czytania *Nędzników* Victora Hugo.

Podniósł wzrok.

– Cześć, kochanie – powiedział. – Podoba ci się rejs?

– Bardzo. Ale skończyłam książkę. Mogę pożyczyć sobie coś od ciebie?

Oczy mu zabłyśły.

– Oczywiście, moja mała księżniczko! Będę najszczęśliwszy w świecie.

Wstał, wziął ją za rękę i poprowadził do jednego z regałów.

– Tutaj mamy beletrystykę – oznajmił.

– Zmyślane historie?

– O, kochana, nie są zmyślane. Wszystkie kiedyś się wydarzyły.

– Naprawdę?

– Tak przypuszczam. – Popatrzył na sfatygowany egzemplarz *Nędzników*. Maja widziała, że ta książka musiała być już wielokrotnie czytana. – A potem wreszcie ktoś je pospisywał. Powiedz mi, jakiej książki szukasz.

Zastanawiała się chwilę.

– Chyba jakiejś historii miłosnej. Tylko żeby nie była nudna.

– Hm... mądry wybór. To test dla moich umiejętności bibliotekarza. Zobaczmy... – Przejrzał półki, przebiegając palcem po grzbietach książek, które zbierał latami. Wreszcie zatrzymał się na jednej. – Ależ oczywiście! – Wyjął książkę z półki i uśmiechnął się, patrząc na okładkę. – *Upiór opery* Gastona Leroux.

– *Upiór*? Brzmi trochę strasznie.

– Wierz mi, to opowieść o miłości. Bardzo ci się spodoba, jestem tego pewny. A jak nie, to będziesz mogła za karę wepchnąć mnie do basenu.

Maja roześmiała się, a Pa Salt podszedł, by dać jej książkę.

– O nie! Przepraszam, kochanie, to angielskie tłumaczenie. Czekaj, sprawdzę, czy mam francuskie wydanie.

– Nie szkodzi, tato. Chętnie spróbuję poczytać po angielsku.

– Odważna z ciebie dziewczynka. Naprawdę mam nie szukać francuskiej wersji? Jesteś na wakacjach, nie ma potrzeby męczyć się nauką.

– Dla mnie to nie jest jak nauka. Lubię to.

– Świetnie, księżniczko.

Głos Floriana wyrwał ją ze wspomnień.

– Maju? Wszystko w porządku? – Obserwował ją z fotela.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Gdzie Valentina?

– Marina zabrała ją i Rory’ego, żeby popływali. Chodź, usiądź ze mną. Opowiedz, co się działo na górze. Co to za papiery?

Wziął od niej stertę i odłożył na stary dębowy stół.

Opowiedziała mu o tym, co usłyszała od Merry i Georga.

– *Meu Deus...* To musiało być dla ciebie szokiem. Jak się czujesz?

– Chyba dobrze. Merry jest cudowna. Naprawdę nie pojmuję, jakim cudem tak dobrze daje sobie radę wśród tego chaosu. Najwyraźniej to nieodrodna córka taty.

– A ten pamiętnik... Mówiłaś, że jest w nim coś o Laurencie Brouillem? Czy to możliwe, że Pa Salt go znał?

– Wygląda na to, że tak.

– W takim razie czemu tracisz czas na rozmowy ze mną? Dlaczego nie bierzesz się do czytania? – Floriano wskazał na jedną z ciemnoniebieskich, pokrytych pluszem kanap stojących pośrodku.

– Może to zabrzmieć dziwnie, ale mam lekką treść. A jeśli odkryję coś przykrego? Nie wiem... Co będzie, jeśli się okaże, że tata był na przykład międzynarodowym baronem narkotykowym?

Położył dłoń na jej kolanach.

– Rozumiem cię. Choć nie byłbym pewien, czy wśród baronów narkotykowych znalazłoby się wielu wielbicieli Shakespeare’a i Prousta. – Rozejrzył się po półkach.

Maja westchnęła.

– Pewnie masz rację, ale wiesz, o co mi chodzi.

– Jasne. Mogę ci tylko powiedzieć, że już zapuszczałaś się w ciemności bez świecy, a na końcu podróży znalazłaś światło w tunelu. W rodzinie D’Aplièse naprawdę nigdy nie jest nudno.

– Co do tego zgoda. Wolałbyś znaleźć sobie jakąś kobietę mieszkającą na cichej fazendzie, z paroma kurczakami, psem i niedomagającą babcią?

Floriano roześmiał się.

– Za nic nie zamieniłbym ciebie na żadną inną kobietę. Pamiętaj, że to ja zachęcałem cię do powrotu do hacjendy rodziny Aires Cabral. A teraz mówię ci, że cokolwiek odkryjesz w tym pamiętniku, odnajdziesz spokój, bo wreszcie zrozumiesz, co łączyło twojego ojca z Brazylią. Czy moi czytelnicy nie byłiby zawiedzeni, gdybym zostawił ich jedynie z połową historii? – Floriano przyłożył dłoń do brzucha Mai, nachylił się i szepnął: – Pamiętaj: żeby mieć nadzieję na przyszłość, trzeba poznać przeszłość.

Od razu poczuła się lepiej; jego pogodne podejście do życia dodało jej odwagi, by zagłębić się w historię ojca.

– A właśnie... kiedy wszystkim powiemy? – spytał Floriano. – Wiem, że mówiłaś o tym Ally, ale pozostałe siostry na pewno zaczną cię wypytywać, dlaczego zamieniłaś wino na wodę.

– Rany... Myślałam, że powiem im podczas rejsu, ale tyle się dzieje... Przeszkadzałyby ci, gdybyśmy zaczekali z tym jeszcze trochę?

– Nie, najdroższa. Zrobię, jak zechcesz. – Nachylił się i pocałował ją. – Cieszę się, że nasz syn będzie dokładnie wiedział, kim był jego dziadek.

– Jego? Czemu jesteś taki pewny, że to chłopiec?

Roześmiał się i wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Tak mi się powiedziało. Ale nie kryję, że fajnie byłoby mieć małego *garoto*, żeby razem kibicować drużynie Botafogo.

– Racja. Na pewno to by mnie trochę odciążyło.

– Właśnie. A teraz wyobrażam sobie, że wolałabyś zostać tu sama, kiedy zaczniesz czytać pamiętnik?

– Dziękuję, kochanie.

– Nie ma za co. Pamiętaj, że jestem blisko, gdybyś mnie potrzebowała.

Wyszedł przez otwarte podwójne drzwi i zamknął je za sobą. Maja rozejrzała się po bibliotece, nim z plikiem kartek w ręce ruszyła do kanapy. Cisza, w której słyhać było jedynie pomruk silników *Tytana*, była dokładnie tym, czego potrzebowała, żeby się skupić.

Pamiętnik Atlasa

1929



12

Boulogne-Billancourt

Paryż, Francja

Monsieur Landowski specjalnie wyszedł z pracowni, żeby powitać mnie i Evelyn, kiedy wracaliśmy z konserwatorium.

– I jak? – zapytał i odniosłem wrażenie, że jest autentycznie zainteresowany.

– Monsieur Iwan uznał, że jest bardzo zdolny, i chciałby dawać Bo lekcje dwa razy w tygodniu – odparła Evelyn.

Mina monsieur Landowskiego kompletnie mnie zaskoczyła. Z błyskiem w oku uśmiechnął się od ucha do ucha.

– O, to świetnie! Gratulacje, chłopcze. W pełni na to zasługujesz. – Uścisnął mi dłoń i potrząsał nią energicznie.

Na moich ustach również pojawił się uśmiech. Tyle czasu minęło, od kiedy jakiemuś człowiekowi zależało na moim szczęściu, że nie byłem całkiem pewny, jak zareagować.

– To wspaniała wiadomość, więc jeśli pozwolisz, podczas kolacji powiem o tym rodzinie i wzniosę toast za ciebie – dodał.

Wyciągnąłem z kieszeni kawałek papieru, nabazgrałem szybko jedno słowo i uniosłem kartkę, żeby monsieur Landowski przeczytał.

Pieniądze?

– Mój drogi, to przywilej artysty pomagać drugiemu artyście – oświadczył. – Miałem ogromne szczęście, że tak szczerze wynagradzano mnie za zamówione prace. Pomogę ci bez wahania.

Dziękuję, monsieur, napisałem, walcząc ze łzami.

– Słyszałeś o Prix Blumenthal? – spytał.

Pokręciłem głową.

– To nagroda pieniężna przyznawana przez amerykańską filantropkę Florence Blumenthal i jej męża George’a młodym artystom: malarzom, rzeźbiarzom, pisarzom albo muzykom. Jestem jednym z jurorów we francuskiej komisji Prix Blumenthal. Zawsze czułem się trochę... dziwnie, rozdając czyjeś pieniądze, cieszę się więc, że w tym przypadku mogę osobiście udzielić wsparcia. Poza tym jestem pewien, że kiedyś sam będziesz w stanie pomagać innym. Będziesz musiał przejąć ten przywilej.

Z przekonaniem pokiwałem głową.

Tego wieczoru Landowscy szczerze mi gratulowali – wszyscy poza Marcelem, który przez cały wieczór wyglądał tak, jakby najadł się niedojrzałego agrestu.

Kiedy leżałem w łóżku, myślałem o tym, jak wielkie miałem szczęście, że zemdlałem w ogrodzie tej właśnie rodziny. Byłem tak wyczerpany, niedożywiony i nieprzytomny, że po prostu padłem tam, gdzie stałem, i doczołgałem się do najbliższego żywopłotu, żeby się schować. Mógł należeć do kogokolwiek i o moim losie mogła zdecydować miejscowa żandarmeria. A wtedy wylądowałbym w sierocińcu, jakimś przytułku albo w szpitalu psychiatrycznym, zważywszy, że nie chciałem mówić. A najprawdopodobniej umarłbym tej nocy pod francuskimi gwiazdami. Na ratunek przybył mi jednak anioł – Bel. Czy to, że mnie znalazła, było zwykłym przypadkiem? Pomyślałem o moich gwiazdnych stróżach, o Siedmiu Siostrach. Wierzyłem, że chroniły mnie przed

niebezpieczeństwami podczas długiej nieprawdopodobnej podróży, więc może wysłały Bel do mnie?

Nie wątpię, że moje pojawienie się musiało wydać się Landowskiemu bardzo romantyczne: znaleźli pod żywoplotem niemego chłopca, który ma talent do gry na skrzypcach. Prawdopodobnie snują domysły, kim jestem, ale cokolwiek sobie wyobrażają, prawda jest znacznie bardziej wstrząsająca.

Muszę sobie przypominać, że pracownia Landowskich to nie ostatni punkt mojej podróży. Wyruszyłem w świat w pewnym celu i nie został on jeszcze osiągnięty.

Zamknąłem oczy i myślałem o tym, co powiedział mi ojciec w ostatnim dniu, kiedy go widziałem:

– Synu... Obawiam się, że nadeszła chwila, kiedy nie mam już wyboru, czy zostać, czy odejść. Nasza sytuacja jest nie do zniesienia. Muszę spróbować znaleźć pomoc.

Serce mi zamarło, ogarnął mnie lęk.

– Proszę, tato. Nie możesz odejść. Co my bez ciebie zrobimy?

– Jesteś silny, synu. Może nie ciałem, ale umysłem. To on zapewni ci bezpieczeństwo, kiedy odejdę.

Rzuciłem się w ramiona ojca i poczułem jego ciepło.

– Ile to potrwa? – zdołałem wyjąkać, szlochając coraz głośniej.

– Nie wiem. Wiele miesięcy.

– Nie przeżyjemy bez ciebie.

– I tu się mylisz. Właśnie gdybym został, prawdopodobnie żadne z nas nie miałyby szansy na przeżycie. Przysięgam na pamięć twojej ukochanej matki, że po ciebie wrócę... Módl się i czekaj na mnie.

Skinąłem potulnie głową.

– Pamiętaj słowa Laoziego: *Jeśli nie zmienisz kierunku, w którym podążasz, możesz skończyć tam, dokąd zmierzasz.*

Przewróciłem się na brzuch, w nadziei, że zmiana pozycji pomoże mi pozbyć się tego szczególnego wspomnienia. Poczułem ukłucie na piersi i zdałem sobie sprawę, że nie zdjąłem jeszcze woreczka z szyi. Czy to możliwe, że po raz pierwszy od miesiący o nim zapomniałem?

Przełożyłem troczek przez szyję i pozwoliłem sobie zajrzeć do środka. W pokoju nie paliła się lampa ani świeca, ale przez okienko wpadał blask promieni księżyca. Odbiło się w ostrych krawędziach przedmiotu schowanego w sakiewce. Zachwyciły mnie żółtawobiałe ogniki, które zatańczyły po ścianach. Bolała mnie myśl, że coś tak niewiarygodnie pięknego może powodować tyle udręki i cierpienia. Zazdrość może doprowadzić człowieka do strasznych rzeczy.

Zastanawiałem się, jaki będzie mój następny ruch. Przekroczyłem lodowe pustynie i łańcuchy górskie w nadziei, że zobaczę ojca. Czy wierzyłem, że nadal żyje? Nawet jeśli przyznawałem, że szanse na odnalezienie go były nikłe, to nie mogłem przestać szukać, skoro zaszedłem tak daleko.

Prawda była taka, że w domu Landowskich znalazłem schronienie, bezpieczeństwo, a teraz, po obietnicy opłacenia monsieur Iwana, miałem nadzieję na o wiele więcej. Odrzuciłem koc, opuściłem stopy na drewnianą podłogę i podszedłem do okna. Mleczna księżycowa poświata wydobywała z mroku podwórze w dole, ale ja popatrzyłem na jarzące się sklepienie niebieskie nad naszą planetą.

– Jesteś tam, tato?

Ostrożnie odblokowałem okno i poczułem na twarzy zimne nocne powietrze. Przyszedłem z zimna i nadal lubiłem ten orzeźwiający chłód na skórze. Na zewnątrz panował bezruch; napawałem się nocną ciszą.

Podnosząc wzrok na pogodne niebo, wypatrywałem swoich stróżów. I oczywiście były tam, Siedem Sióstr z Plejad. Ich obecność była czymś pewnym i może właśnie dlatego odnajdywałem w nich taką pociechę. Cokolwiek zmieni się w moim życiu, jakkolwiek będę cierpiał, te gwiazdy będą spoglądać w dół przez wieczność. Zauważyłem, że tej nocy to Maja świeciła najjaśniej, jak zwykle w zimie.

– Maju – szepnąłem – co mam zrobić?

Przemawiając do gwiazd, zawsze żywiłem dziecinną nadzieję, że mi odpowiedzą. Kiedy zamknąłem okno i wróciłem do łóżka, potknąłem się o coś. Spojrzałem w dół i zobaczyłem futerał ze skrzypcami, którego nie wsunąłem porządnie pod łóżko. Na myśl o graniu dla monsieur Iwana w konserwatorium poczułem się tak podekscytowany, szczęśliwy, że aż mi się zakręciło w głowie. Położyłem się z powrotem do łóżka i przykryłem kocem.

Po ukryciu sakiewki opatuliliem się szczelnie. W moim krótkim życiu spotkało mnie więcej nieszczęść, niż powinien doświadczyć jakikolwiek człowiek. Po raz pierwszy od lat znalazłem sobie bezpieczne schronienie, w otoczeniu ludzi, którym chyba leżało na sercu moje dobro. Czy to coś złego spędzić trochę czasu w pracowni monsieur Landowskiego? Czy tata, gdyby żył, miałby mi za złe, że nie ruszam w dalszą drogę? Raczej byłby dumny z tego, czego dokonał jego syn. Udało mi się przekroczyć niebezpieczne granice, uciec od horroru wcześniejszego życia, zaprzyjaźniłem się ze słynnym rzeźbiarzem i dokonałem czegoś najbardziej niewiarygodnego: zostałem uczniem w renomowanym paryskim konserwatorium.

Z zakamarków pamięci odezwał się cichy głos ojca: *Jeśli nie zmienisz kierunku, w którym podążasz, możesz skończyć tam, dokąd zmierzasz.*

No tak... Gdybym kontynuował teraz podróż, mając jedynie mglisty trop, mógłby się spełnić mój najczarniejszy sen: znów musiałbym kraść jedzenie i pić deszczówkę, nie mówiąc o stałym szukaniu schronienia na noc. Wątpiłem, żeby takiego losu pragnął dla mnie ojciec.

Decyzja zapadła. Zostanę u Landowskich tak długo, jak mi pozwolą. Potem dokończę to, co mnie tu sprowadziło – poszukiwania ojca.

*

– Kiedy są twoje urodziny, chłopcze? – zapytał monsieur Landowski, gdy Evelyn wręczyła mu plik dokumentów z konserwatorium do wypełnienia. – Muszę tu podać wiele informacji, których nie znam. Datę urodzenia, twoje doświadczenie w grze na skrzypcach... no i przede wszystkim imię i nazwisko. – Zaśmiał się i pokręcił głową. – Mój drogi Bo, będziesz potrzebował nazwiska. Masz już jakieś?

Zawahałem się.

– Takie, które zechcesz mi podać, żebyś mógł zostać przyjęty do konserwatorium?

Zastanawiałem się chwilę, po czym wyjąłem kartkę. Zacząłem wypisywać niektóre z moich ulubionych słów i wyrażeń. Gwiazdy, Aurora, łut szczęścia, Plejady, Pleiades... O tak... w tym była odpowiednia liczba spółgłosek i samogłosek, by stworzyć coś interesującego. Pisałem dalej, zmieniając kolejność liter, podczas gdy monsieur Landowski studiował formularze. Wreszcie podałem mu kartkę.

Nazywam się Bo D'Aplièse.

Uniósł brew.

– Brawo, młody człowieku. Udało ci się stworzyć nazwisko, które może ci dobrze służyć w konserwatorium. Jeśli chodzi o twoje doświadczenie w grze na skrzypcach... Kto mógłby je lepiej opisać od ciebie?

Podał mi papiery. W rubryce *l'expérience antérieure de l'élève* wpisałem: *Brak wykształcenia w konserwatorium i brak doświadczenia w koncertowaniu.*

Monsieur Landowski spojrzał na to.

– Mój Boże, jesteś taki młody! – powiedział. – Jedną z najważniejszych umiejętności, którą powinien posiadać artysta, jest umiejętność sprzedawania siebie!

Dostrzegł zaskoczenie na mojej twarzy.

– Tylko nie pomył tego z arogancją. Można być skromnym, ale trzeba znać swoją wartość. Może mógłbyś napisać coś o tym, kiedy zacząłeś grać.

Podał mi z powrotem formularz. Pomyślałem chwilę i zacząłem pisać:

Grałem, odkąd miałem dość duże dłonie, żeby chwycić gryf. Widziałem, jak gra mój ojciec, i zachwycał mnie taniec smyczka po strunach. Ojciec podzielił się ze mną swoją pasją. Z początku uczyłem się grać ze słuchu, naśladowując ojca nuta po nucie. Jest to nadal moja ulubiona metoda – inni widzą w tym magię. Ojciec nie żałował czasu, by nauczyć mnie czytania nut, i w końcu zacząłem rozumieć „naturalne harmonie”, jakby były językiem mówionym. Często powtarzał, że gra może poprawiać pamięć i umiejętność koncentracji, podobnie jak kondycję psychiczną i zdrowie. Nie jestem pewien, czy z tego skorzystałem, ale wiem, że kiedy gram, czas przestaje się liczyć i podróżuję do miejsc nie z tej planety. Tańczę na skrzydłach wszechświata.

Zwróciłem formularz monsieur Landowskiemu.

– Może powinieneś być też poetą – stwierdził. – Powiedz mi, kim był twój ojciec. Gdzie teraz jest?

Pokręciłem głową.

– Gdziekolwiek się znajduje, na tym czy innym świecie, jestem pewien, że byłby dumny z twoich osiągnięć – powiedział. – Tak jak ja.

Popatrzyłem mu w oczy.

– Drogi Bo, jestem rzeźbiarzem. Moim zawodem jest uwiecznianie czyjegoś charakteru w kamieniu, na zawsze. Klient musi odbierać emocje emanujące z efektu mojej pracy, musi coś poczuć. Dlatego potrafię odgadnąć, co się kryje pod powierzchownością. A ty, młody człowieku, zaznałeś wielkiego bólu.

Spuściłem oczy, westchnąłem i skinąłem głową.

– Właśnie dlatego z radością przyjąłem cię do domu i cieszę się, że mieszkasz z moją rodziną. Mam nadzieję, że to pomoże ci odbudować wiarę w ludzi. – Popatrzył w okno pracowni. – Czasami o to trudno, zwłaszcza jeśli człowiek nosi w sobie taki smutek, jaki w tobie wyczuwam... Ale na tym świecie jest o wiele więcej dobrych ludzi niż złych.

Wziąłem pióro i napisałem:

Pan jest dobry.

– O! Próbuję. Ale mogę się wściec i kogoś zamordować, jeśli Brouilly nie dostarczy mojego Cristo do Rio w idealnym stanie.

Wyrwał mi się lekki chichot.

– Czy to śmiech?! Mój Boże, a to spotkał mnie dziś zaszczyt!

Monsieur Landowski wrócił do wypełniania formularzy.

Nagle zdałem sobie sprawę, że powinienem ofiarować mu coś, by zademonstrować, jak bardzo jestem wdzięczny. Jego altruizm nie był czymś, do czego byłem przyzwyczajony, i kiedy patrzyłem, jak poświęca swój cenny czas, żeby mi pomóc, naprawdę poczułem, że muszę coś zrobić. Choć z nerwów skręcało mnie w brzuchu, zmobilizowałem się i otworzyłem usta.

– Dziękuję, monsieur – wybąkałem.

Zrobił wielkie oczy i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Pięknie. Cała przyjemność po mojej stronie.

Przyłożyłem palec do ust i poprosiłem spojrzeniem, żeby mnie nie zdradził.

– Nie martw się, chłopcze. Twoje podziękowanie słowne pozostanie między nami. Teraz poproszę Evelyn o wysłanie tych dokumentów do konserwatorium. Monsieur Iwan sugerował, żebyś zaczął w przyszłym tygodniu. Mając to na uwadze, sądzę, że powinniśmy odświeżyć twoją garderobę.

14 stycznia 1929 roku

Dziś Evelyn pojechała ze mną do Paryża. Wybraliśmy się do Bon Marché – ogromnego budynku na lewym brzegu Sekwany w siódmej dzielnicy. Takiego sklepu jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Pod jednym dachem można kupić tam jedzenie, meble i ubrania. Evelyn powiedziała mi, że to się nazywa „dom towarowy”. Jestem tak wdzięczny państwu Landowski: kupili mi parę nowych brązowych butów, marynarkę, a do tego kilka par krótkich spodni, koszule i bieliznę. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z krawcem. To ktoś, kto poprawia ubrania, by pasowały idealnie. Evelyn poinstruowała go, żeby zostawił trochę miejsca w marynarce, bo podejrzewa, że szybko urosnę. Kiedy czekaliśmy, aż ten miły pan skończy poprawki, kupiła mi czekoladową eklerkę w Grande Épicerie na parterze, gdzie mieści się ogromna hala spożywcza ciągnąca się kilometrami. Potem poszliśmy na spacer nad Sekwanę. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się na słynnym obrazie Georges’a

*Seurata. Kiedy odebraliśmy ubrania i wróciliśmy do domu,
pobiegłam do pokoju, by ćwiczyć gamy, bo jutro zaczynam naukę.*

13

– Bo D’Aplièse! *Entre, s’il te plaît.*

Zobaczyłem chudą postać monsieur Iwana. Skinął na mnie, żebym wszedł do małej sali. Choć z zewnątrz konserwatorium prezentowało się imponująco, klasy nie były zbyt okazałe. Do odpadającej tapety przyczepiono czerwony filc, by tłumić dźwięki; w powietrzu unosił się stęchły zapach. Wcale mnie to nie zniechęciło.

– Pozwól, że pogratuluję ci twojego świetnego nazwiska – powiedział nauczyciel. – Dość oryginalne.

Skłoniłem głowę.

– No tak! Jesteś chłopcem, który nie mówi. W takim razie nie będę tracił czasu na pogaduszki, *petit monsieur*. Zaczynajmy.

Zacząłem otwierać futerał.

– *Non!* – powstrzymał mnie. – Trzeba pozwolić, żeby instrument zaaklimatyzował się w pomieszczeniu. Jest prosto z paryskiej ulicy, a to styczeń. Musi się ogrzać. A skoro tak, rób to samo co ja. – Podniósł lewą dłoń i wyprostował palce. – *Un, deux*, ściskamy!

Szybko zacisnął dłoń w pięść, a ja powtórzyłem to samo.

– Musimy zrobić to pięć razy, obiema rękami.

Później kazał mi położyć dłonie na biurku, po kolei podnosić każdy palec najwyżej, jak potrafię, i przytrzymywać w tej pozycji, licząc „raz,

dwa”. Najwyraźniej wyczuł moje zdziwienie, bo czegoś takiego nigdy nie robiłem z ojcem.

– Nie sądzisz, że biegacz przed wejściem na bieżnię porozciągałby się, *petit monsieur*? Jesteśmy to winni instrumentowi. Trzeba przygotować się do grania.

Skinąłem głową i dopiero po kilku minutach rozgrzewki palców i nadgarstka dostałem pozwolenie, by wyjąć skrzypce z futerału.

– A teraz powtarzaj za mną, proszę – poinstruował mnie monsieur Iwan. Powtarzałem po nim tryle i etiudy, nim przeszliśmy do gam i pasaży.

– Świetnie, Bo. Widzę, że zrobiłeś postępy od naszego pierwszego spotkania. Ćwiczyłeś?

Znów skinąłem głową.

– Bardzo obiecujące. Taka pilność może pozwolić przeciętnemu muzykowi osiągnąć wielkość. Nauczę cię technik na wyższym poziomie, jak kontroli vibrato czy innego atakowania smyczkiem strun. Postaram się skorygować twoje błędy techniczne i zachęcić cię do doskonalenia muzycznej interpretacji. Czy to ci się wydaje do przyjęcia?

Oczywiście, a nawet bardziej. Tak naprawdę miałem wrażenie, że sam Pan Bóg zaproponował, że wskaże mi drogę do rajów.

Reszta lekcji była wyczerpująca. Ledwie udawało mi się zagrać więcej niż kilka nut, a monsieur Iwan przerywał mi, by skomentować przyłożenie palca, postawę czy wydobywane przeze mnie dźwięki. Tyle razy mnie upominał, że zacząłem zastanawiać się, po co w ogóle kiedykolwiek sięgnąłem po skrzypce. Kiedy już miałem się rozpłakać, oznajmił, że to koniec naszej pierwszej lekcji.

– Sądzę, że wyczerpaliśmy nasz czas, monsieur Bo.

Zdjąłem brodę z podpórki i opuściłem skrzypce i smyczek.

– Męczące, co? Nie martw się, to normalne. Nigdy jeszcze nie miałeś prawdziwej lekcji. Niektóre okażą się ciężkie, zarówno dla twojego ciała, jak i psychiki, ale za każdym razem będzie łatwiej, obiecuję ci to. Do zobaczenia w piątek. Tymczasem popracuj nad rozluźnieniem ramion. Zauważyłem, że ilekroć ci przerywam, stają się coraz bardziej napięte. To nie jest dobre.

Ale jak? – napisałem.

– Dobre pytanie. Musisz starać się wędrować oczami wyobraźni do „świętych miejsc”. Może wyobrażaj sobie moment w życiu, kiedy czułeś spokój. To będzie twoje zadanie na kilka następnych dni. Widzimy się w piątek. Dziękuję, *petit monsieur*.

Zamknąłem futerał i wyszedłem z klasy. Większość ludzi nie poznałaby, czy milczący chłopiec jest zmartwiony, czy zachwycony, ale Evelyn od razu zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Było trudno, kochanie? – spytała.

Spuściłem wzrok na buty.

– Musisz pamiętać, że monsieur Iwan nie jest przyzwyczajony do uczenia tak młodych osób. Konserwatorium to miejsce dla studentów, którzy każdą godzinę dnia spędzają na doskonaleniu swoich umiejętności. Kiedy czekałam na ciebie w holu, obserwowałam, jak wchodzą tu i wychodzą stąd uczniowie dwa razy od ciebie starsi. Wątpię, by monsieur Iwan traktował cię inaczej niż ich.

Uniosłem wzrok i uśmiechnąłem się.

– Pewnie jesteś młodszy od wszystkich uczniów konserwatorium o dziesięć lat, *chéri* – dodała. – Osiągnąłeś coś niebywałego.

Przez następne tygodnie pracowałem jak szalony. Wieczory upływały mi na wizytach u Evelyn, gdzie ćwiczyłem gamy, pokazywałem jej swoją postawę, grałem *Wenus* z cyklu *suit Planety* Gustava Holsta. Biedna kobieta

musiała słuchać tego utworu ze sto razy, ale co wieczór biła mi brawo i mówiła, że podobało się jej bardziej niż poprzednim razem. W ciągu dnia, kiedy nie jeździłem do konserwatorium, spędzałem czas w pracowni z monsieur Landowskim. Monsieur Brouilly był w drodze do Rio, a pod jego nieobecność stałem się właściwie asystentem mistrza – podawałem narzędzia, parzyłem kawę i słuchałem jego okrzyków radości i udręki, gdy pracował nad zamówieniami. W nagrodę wolno mi było pożyczać książki z jego biblioteki. Obdarzył mnie tym przywilejem, kiedy przyłapał mnie pewnego wieczoru po kolacji, jak patrzyłem tęsknie na jedną z półek. W rezultacie pochłaniałem powieści takich pisarzy jak Flaubert, Proust i Maupassant. Kiedy zwróciłem trzecią książkę w ciągu jednego tygodnia, zrobił wielkie oczy.

– Do licha, jeśli w tym tempie będziesz czytał moje zbiory, będę musiał wykupić całą Bibliothèque de la Sorbonne.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Przyznam, że nie znam wielu młodych ludzi, którzy tak by się pasjonowali literaturą. Jesteś niezwykle mądry jak na swój wiek. Masz pewność, że nie jesteś czterdziestolatkiem, który odkrył źródło młodości?

W konserwatorium praca z monsieur Iwanem nabierała tempa i z każdą lekcją coraz bardziej przyzwyczajałem się do jego metod.

– Rozluźnij ramiona, *petit monsieur*! Wędruj do swoich „świętych miejsc”!

Niestety, nadal miałem z tym problem.

– Za każdym razem, kiedy zwracam ci uwagę, spinasz się bardziej. To są lekcje, Bo, a ty jesteś uczniem, masz się tu uczyć!

Ironia polegała na tym, że kazał mi się rozluźnić, a sam podnosił głos i wymachiwał rękami. Gdybym miał możliwość mówić, chyba wrzeszczałbym z frustracji. Ale tylko zaciskałem zęby i grałem dalej. Choć

doprowadzał mnie do rozpacz, nie miałem do niego pretensji. Nie był agresywny, a to, co robił, nie wynikało ze złej woli. Po prostu uwielbiał muzykę skrzypcową i chciał, żebym szybko robił postępy. Jeśli się irytowałem, to dlatego, że pragnąłem osiągnąć doskonałość. Co wieczór w pocie czoła ćwiczyłem to, czego uczył mnie na lekcjach. Uznałem, że jeżeli będę ciężko pracować, z czasem coraz rzadziej będzie mnie krytykował.

Kilka tygodni później pozwolił mi zagrać całą solówkę bez przerywania.

– Dobrze, Bo. Twoje legato robi się coraz lepsze. To postęp.

Skłoniłem głowę.

– A teraz coś zrobimy. Nie wierzę, że potrafisz sam ułożyć listę rzeczy, które cię cieszą, więc ustalimy je razem. Kiedy będziesz zły, że zwracam ci uwagę, pomyślisz o tych rzeczach i napięcie zniknie. Usiądź, proszę.

Wskazał na stołek obok swojego krzesła przy biurku.

– Odnoszę wrażenie, że dźwigasz na ramionach ciężar całego świata, młody człowieku.

Zmartwiałem. Zacząłem się zastanawiać, czy monsieur Iwan jakimś sposobem nie odkrył mojego prawdziwego nazwiska. Domyślił się już przecież, że też pochodzę z Rosji. Może znał kogoś, kto kiedyś znał mnie? Żołądek mi się ścisnął, kiedy pomyślałem, co mogłoby z tego wyniknąć.

– To niedobrze, Bo. Wielki skrzypek nie może występować z takim brzemieniem na ramionach, przytłoczony ciężarem. Twoje ramiona muszą być swobodne, by poruszać się wraz z instrumentem. Dlatego razem spróbujemy zdjąć z ciebie ten ciężar.

Uświadomiłem sobie, że jego metafora była zwykłym przypadkiem, i serce trochę mi zwolniło. Usiadłem obok niego i wyjąłem papier.

– No to zacznijmy od naszej listy radości.

Moje pióro zawisło w powietrzu. Monsieur Iwan roześmiał się.

– W takim razie ja pierwszy – powiedział. – Co mnie uszczęśliwia? No tak...

Dobra wódka, napisał.

– Teraz twoja kolej.

Nadal trzymałem pióro nieruchomo.

– Masz przyjaciół, *petit monsieur*?

Landowscy, napisałem.

– Tak, ale poza nimi.

Nie chodzę do szkoły, nie widuję rówieśników.

– Hm... poruszyłeś ważną kwestię. Kiedy wspominam własną przeszłość, czasy, gdy byłem chłopcem, myślę o kolegach. Godzinami wałęsaliśmy się po ulicach Moskwy i rozrabialiśmy.

Monsieur Iwan, który miał na sobie wełnianą kamizelkę, skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się na oparcie krzesła.

– Pamiętam, jak rzucaliśmy w siebie śnieżkami i budowaliśmy igloo – ciągnął. – Ale ty nie masz tu takich możliwości.

Skrzypce, książki, napisałem.

– O tak, to rzeczywiście cudowne rzeczy. Ale izolujące od otoczenia. Właśnie dlatego proszę, żebyś wędrował do „świętych miejsc”. Potrzebujesz doświadczeń, młody człowieku. Zobaczę, może uda się zorganizować coś, żebyś spędzał trochę czasu z rówieśnikami. Mój dawny uczeń kilka razy w tygodniu chodzi do sierocińca Apprentis d’Auteuil, żeby grać dzieciom. Skontaktuję się z nim i spytam, czy mógłbyś uczestniczyć w ich zajęciach w porze obiadu albo wieczorem, kiedy przyjeżdżasz do Paryża.

Zauważył moje przerażone spojrzenie.

– Nie rób takiej miny, *petit monsieur*! Czego się boisz? Że oddadzą cię do sierocińca?

Pokiwałem energicznie głową, a on roześmiał się.

– Nie musisz się tego obawiać. Często rozmawiam z panem Landowskim i przypadkiem wiem, jak bardzo ceni sobie twoją obecność w ich domu. W takim razie zgoda?

Trzymałem się twardo i pokręciłem głową.

– Bo! Posłuchaj kogoś, kto wie, o czym mówi. W życiu liczą się ludzie i nie ma większej kary niż samotność. Robię to tylko dla twojego dobra.

Spuściłem wzrok na podłogę.

– Ci młodzi ludzie nie mają rodziców – ciągnął. – Poznali życie od najgorszej strony, w zbyt młodym wieku, jak ty. Wierz mi, dobrze ci zrobi, jeśli będziesz spędzał z nimi trochę czasu.

Nie reagowałem. Monsieur Iwan westchnął.

– No dobrze. Jeśli się zgodzisz, obiecuję, że przez całą lekcję nie będę cię krytykował i będziesz mógł grać, co tylko zechcesz. To rzadka okazja. Nie przyłapałbyś mnie na takich targach z moimi studentami, wiesz? Układ stoi?

Czułem, że odmowa nie wchodzi w rachubę, podniosłem więc rękę i uścisnąłem jego dłoń.

– Świetnie. Zadzwońię do monsieur Landowskiego, by upewnić się, czy mamy jego pozwolenie, a potem skontaktuję się z moim dawnym uczniem. *Merci, petit monsieur*. Do zobaczenia we wtorek.

14

– O Boże, *chéri* – powiedziała Evelyn. – Wizyty w tym miejscu przekonają cię jeszcze bardziej, że trafiając do państwa Landowskich, miałeś ogromne szczęście.

Nie myliła się co do sierocińca Apprentis d’Auteuil. Ze zmurszałymi ramami okien i rozpadającymi się ceglanyymi murami wyglądał naprawdę ponuro. Przy wielkiej żelaznej bramie powitała nas wysoka, chuda jak szczapa kobieta, madame Gagnon; wpuściła nas i poprowadziła przez wybetonowane podwórze.

– Robimy tę grzeczność tylko ze względu na monsieur Baudina, który przychodzi tu, żeby grać. Naprawdę nie mamy czasu zajmować się kolejnym dzieckiem. Zdaje sobie pani sprawę, jakie panuje u nas przepełnienie po Wielkiej Wojnie? Nie znajdzie się tu już nawet centymetr wolnego miejsca.

– Madame, wiem, że monsieur Landowski i monsieur Iwan są ogromnie wdzięczni za to, że pozwoli pani Bo spędzać trochę czasu z rówieśnikami – odparła Evelyn.

– Nie wiem, jakie korzyści ten chłopiec może odnieść z przychodzenia tutaj. Nie mówi, więc nie mam pojęcia, co mu da kręcenie się wśród wrzasku dzieciaków.

– Madame, monsieur Landowski mówił mi, że chciałby wspomóc sierociniec.

– Jeśli to ma służyć spokojowi jego duszy, to proszę. Jest wielu paryżan z nieczystym sumieniem, których donacje pozwalają nam przyjmować i wykarmić dzieci. Jeśli monsieur Landowski naprawdę chciałby zrobić coś dobrego, może mógłby zapewnić niektórym z tych dzieci kochający dom?

Zauważyłem, jak Evelyn się jeży i wskazuje na mnie. Chuda kobieta uniosła brwi.

– Jest właśnie pora, by dzieci wyszły na świeże powietrze – oznajmiła.
– Spędzą na dworze tylko godzinę. Mam nadzieję, że szybko pani wróci, madame Evelyn. Po zabawie wypuszczę chłopca za bramę, nie mogę dłużej za niego odpowiadać.

– Rozumiem.

Madame Gagnon obróciła się na pięcie i weszła do budynku. Wielkie drewniane drzwi zamknęły się za nią z łomotem, który odbił się echem na podwórzu.

– Boże mój – westchnęła Evelyn. – Nie chciałabym wydawać pochopnych sądów, bo domyślam się, że ta kobieta ma ciężką pracę, ale mam wrażenie, że w jej żyłach płynie gorąca lava. Sądzę jednak, że dzieci, którymi się opiekuje, są zupełnie inne. Pamiętaj, Bo, że nie będzie mnie tylko godzinę. Spróbuj się dobrze bawić, *chéri*. Chcesz, żebym je wzięła?

Złapała futerał ze skrzypcami, który trzymałem, ponieważ wcześniej miałem lekcję z monsieur Iwanem. Instynktownie nie chciałem ich puścić. Skrzypce były moim największym skarbem, więc trudno byłoby mi je oddać, nawet Evelyn.

– No dobrze – rzuciła. – Miej je przy sobie, jeśli tak ci zależy.

Drzwi Apprentis d’Auteuil znów stanęły otworem i na podwórzu zaczęła się wysypywać gromada dzieci.

– Matko jedyna, niektóre z tych zimowych paetek mają więcej dziur niż ser szwajcarski – mruknęła pod nosem Evelyn. – Powodzenia, Bo. Na

razie – powiedziała i wyszła przez żelazną bramę.

Często zastanawiałem się, co czuli niewolnicy, czekając, aż wyprowadzą ich na arenę Koloseum, by zmierzyli się z lwami na oczach rozemocjonowanych tłumów. Nagle uświadomiłem sobie dokładnie, jak to musiało być.

Zszokowały mnie różnice w wieku dzieci. Odniosłem wrażenie, że niektóre nie są już właściwie dziećmi, ale były też dwu-, trzyletnie maleństwa prowadzone za rękę przez starszych wychowanków sierocińca. Podwórze szybko się wypełniło. Ci, którzy mnie mijali, popatrywali na mnie podejrzliwie. Kilkoro dzieci wyjęło kredę z kieszeni i rysowało na ziemi kwadraty. Inne miały stare gumowe piłki i rzucały je do siebie nawzajem. Stałem nieruchomo wśród tego rozgardiaszu i rozglądałem się, niepewny, co robić.

Nigdy nie chodziłem do szkoły, nie byłem więc przyzwyczajony do obcowania z dziećmi. Z jednym wyjątkiem – mojego najlepszego przyjaciela, którego kochałem jak brata i... przed którym w najgorszy dzień mojego życia musiałem uciekać przez zaśnieżone ostępy. Po plecach przebiegł mi dreszcz, kiedy rozważałem, co by się stało, gdybyśmy się kiedykolwiek znów spotkali. Poprzysiągł, że mnie zabije, i w jego morderczym spojrzeniu wyczytałem, że nie powinienem w to wątpić.

Staął przede mną chłopiec o kościstej twarzy, w sfatygowanej wełnianej czapce.

– Kim jesteś? – spytał.

Sięgnąłem do kieszeni po papier i zacząłem pisać.

– Co robisz? Zadał ci pytanie – odezwał się inny chłopiec, który miał gęste ciemne brwi.

Mam na imię Bo. Nie mówię. Cześć.

Podniosłem kartkę przed sobą.

Obaj chłopcy przypatrywali się jej, mrużąc oczy. Nagle zdałem sobie z czegoś sprawę: zakładanie, że każde z tych dzieci umie czytać, było aroganckie.

– Co tu jest napisane, Maurice? – zapytał ten w czapce.

– Że on nie mówi.

– No to po co tu taki? Po co tu jesteś?

Czułem, że to pytanie nie ma nic wspólnego z filozoficznymi rozważaniami mojego rodaka Dostojewskiego.

– Na co umarli twoi rodzice?

Jestem tu tylko gościem, napisałem.

– Nie rozumiem. Po co przyszedłeś do tego koszmarnego sierocińca?

Chciałbym się zaprzyjaźnić, napisałem z nadzieją.

Obaj chłopcy wybuchnęli śmiechem.

– Zaprzyjaźnić? – prychnął ten nazwany Maurice'em. – Urwałeś się z cyrku? A to co takiego, kłownie? – Złapał futerał ze skrzypcami.

Zmartwiałem z przerażenia. Kręciłem głową z całą energią, na jaką mogłem się zdobyć, i złożyłem ręce jak do modlitwy, milcząco błagając, żeby mi je zwrócił.

– Skrzypki, nie? Po co je przyniosłeś? Za kogo się masz? Kolejna ciota jak Baudin?

– Taaa, jasne, Jondrette. Popatrz tylko na jego ciuchy. Elegancik. Uważa się za paniczyka!

– Myślisz, że to zabawne, co? Przychodzić tu, żeby naśmiewać się z nas, biedaków?

Dalej kręciłem głową. Padłem na kolana, w nadziei, że zrozumieją moją rozpacz.

– Możesz się modlić, nic ci to nie pomoże. Zobaczmy, co tu mamy. – Jondrette próbował otworzyć futerał.

Każda cząstka mnie chciała krzyżeć, nawrzeszczeć na nich albo przekonać, żeby oddali mi skrzypce. Wiedziałem jednak, że nie mogę zwracać na siebie uwagi.

– Dawaj no to, niedojdo. – Maurice wyszarpnął pudło koledze i zaczął podważać zapięcia tak brutalnie, że mu się udało. Odrzucił wyrwane sprzączki na ziemię.

Jondrette niecierpliwie podniósł wieko i brudnymi łapami złapał mój skarb.

– Patrz, nawet ładniejsze niż te Baudina. Co sądzisz? Może spróbujemy je opylić?

– Znasz kogoś, kto by zapłacił za takie cudo i nie nadał od razu żandarmerii, że próbowaliśmy opchnąć coś kradzionego? – spytał Maurice.

– Taaa... Masz rację. W takim razie to dobra okazja, żeby dać gogusiowi nauczkę. – Jondrette uniósł skrzypce nad głowę.

Zamknąłem oczy i szykowałem się na trzask drewna o beton. O dziwo, nie usłyszałem go.

– Co ty znów wyprawiasz, wredny padalcu?

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak dziewczynka o blond włosach łapie za rękę Jondrette'a.

– Aj! Puszczaj! – wrzasnął. Dziewczynka najwyraźniej ścisnęła jeszcze mocniej. – Ała!

– Oddaj natychmiast te skrzypce albo powiem madame Gagnon, że to wy dwaj włamaliście się do spiżarni i ukradliście herbatniki!

– Nie masz żadnych dowodów, kłamczucho! – zawołał Maurice.

– Okruchy pod twoim łóżkiem wystarczą. – Dziewczynka wskazała na drzwi, w których stała madame Gagnon, paląc papierosa i obserwując najmłodsze dzieci. – Jeżeli teraz do niej pobiegnę i jej powiem, poleci sprawdzić szybciej niż błyskawica, i dobrze o tym wiecie.

Maurice i Jondrette popatrzyli na siebie nawzajem.

– Po co się wtrącasz i bronisz tej gnidy? – spytał ten pierwszy. – Nie widzisz, jak jest ubrany? Ma forszę. Przyszedł się z nas nabijać.

– Nie cały świat jest przeciwko tobie, Maurice – powiedziała, po czym zwróciła się do jego towarzysza: – A teraz oddawaj skrzypce, Jondrette.

Ten zawahał się.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– W porządku, rób sobie, co chcesz. – Obróciła się w kierunku budynku i zawołała: – Madame!

– Dobrze już, dobrze – uciszył ją Jondrette. – Masz. – Wyrwał rękę z uścisku dziewczyny i dał mi skrzypce. – Zawsze muszą się za tobą wstawiać dziewczuchy? – syknął, patrząc na mnie.

– Dość tego – ucięła moja wybawicielka. – Wynocha stąd, kretyni.

Maurice i Jondrette ruszyli z ociąganiem. Ten drugi na odchodnym zdążył jeszcze mocno kopnąć futerał z zepsutymi zamknięciami, tak że poszurał po betonie. Dziewczyna podeszła, podniosła go i podała mi. Siedziałem na ziemi, tuląc skrzypce jak chorego szczeniaka.

– Przepraszam za nich. Nie bierz tego do siebie. Są okropni dla wszystkich. Daj, pomogę ci. – Zaczęła zbierać kartki, które wypadły mi na ziemię, kiedy błagałem chłopców o zmiłowanie. Popatrzyła na papier leżący na wierzchu. – Nie mówisz?

Pokręciłem głową.

– O rany, zastanawiałam się, dlaczego nie krzyczysz. Jak masz na imię?

Szybko przerzuciłem kartki i znalazłem właściwą.

– Bo?

Skinąłem głową.

Dziewczyna zachichotała. Dźwięk był tak przyjemny, że byłbym gotów oddać za niego duszę.

– Podoba mi się twoje imię, Bo. Jak smyczek: *bow*. To dlatego, że grasz na skrzypcach?

Wzruszyłem ramionami i zanim zdałem sobie z tego sprawę, uśmiechnąłem się. Wyjąłem pióro z kieszeni i zacząłem pisać.

A jak ty masz na imię?

– No tak, przepraszam. Jestem Elle. Miło cię poznać, Bo.

*

20 marca 1929 roku

Monsieur Iwan uparł się, żebym brał udział w zabawach w sierocińcu Apprentis d'Auteuil i nawiązywał kontakty z dziećmi. Wierzy, że jeśli uda mi się z kimś zaprzyjaźnić, zdejmie mi to z ramion ciężar całego świata i stanę się lepszym skrzypkiem. Szanuję życzenia monsieur Iwana i w ostatnich tygodniach w porze obiadu we wtorki i wieczorem w piątki spędzałem z podopiecznymi sierocińca ich czas wolny. Jestem wdzięczny za to doświadczenie. Dzięki niemu jeszcze bardziej doceniam, jakie miałem szczęście, że przygarnęli mnie dobrzy państwo Landowscy. Wiele dzieci mieszkających w sierocińcu straciło rodziców w Wielkiej Wojnie. Prawdę powiedziawszy, przez to, że nie mówię, jest mi dość trudno ich poznawać. Nie mogę wołać, żeby rzucili do mnie piłkę, ani śpiewać podczas gry w klasy. Jestem jednak zdecydowany stać się

wirtuozem skrzypiec i nie poddam się. W Apprentis d’Auteuil poznałem dziewczynkę, z którą lubię przebywać. Ma na imię Elle i nie przeszkadza jej, że nie mówię. Bardzo interesuje ją muzyka i wiele razy prosiła mnie, żebym jej zagrał. Przyznam, że nie zdobyłem się na odwagę, by to zrobić. Nie ze strachu przed reakcją innych dzieci (choć po incydencie z pierwszego dnia w sierocińcu byłby to lęk jak najbardziej uzasadniony). Chodzi o to, że tak bardzo boję się ją w jakikolwiek sposób rozczarować, że paraliżuje mnie trema. Jej złote włosy i niebieskie oczy przywodzą mi na myśl anioła, a możliwość sprawienia zawodu aniołowi jest nie do zniesienia.

Oderwałem pióro od papieru. Jak już wcześniej mówiłem, opisywanie moich uczuć w oficjalnym pamiętniku nie byłoby rozsądne, bo ktoś z rodziny Landowskich mógłby kiedyś go przeczytać. O uczuciach piszę na tych sekretnych stronach. Powiem tylko, że warto było wytrzymać okropności sierocińca Apprentis d’Auteuil, by spędzać dwie godziny tygodniowo z Elle Leopine.

W tym krótkim czasie odkryłem, że gra zarówno na altówce, jak i na flecie. Jest samoukiem. Instrumenty należały do jej rodziców i są jedynym, co jej po nich pozostało. Straciła ich podczas wojny; ojciec zginął w okopach, a matka zmarła podczas epidemii, która wybuchła w 1918 roku. Elle ma trzynaście lat i właściwie nie pamięta żadnego z nich. Najsmutniejsza rzecz, jakiej się dowiedziałem, dotyczy jej malutkiego braciszka, który miał tylko kilka tygodni, kiedy umarła matka. Sierociniec zdołał załatwić natychmiastową adopcję, bo wśród rodzin, które tak wiele straciły na wojnie, było wielkie zapotrzebowanie na noworodki. Elle nie miała tyle szczęścia – od jedenastu lat mieszkała w Apprentis d’Auteuil.

Kiedy z nią jestem, nie potrafię myśleć o niczym innym. W takich chwilach nie roztrząsam tego, co było, nie wracam do bólu i tragedii, jakich doświadczyłem. Elle, podobnie jak muzyka, pozwala mi oderwać się od twardej ziemi, którą mam pod stopami. O rany! Za kogo ja się mam, za lorda Byrona?

Szczerze mówiąc, kiedyś jego poezja wydawała mi się dość niestrawna; teraz przemawia do głębi mojego serca. Wstyd przyznać, ale od kiedy spotkałem Elle, wszystko inne mało mnie obchodzi. Wieczorne wizyty u Evelyn zeszły na drugi plan, podobnie jak książki, które pożyczam od monsieur Landowskiego. Nawet lekcje skrzypiec u monsieur Iwana wydają mi się czymś pobocznym. W te dwa dni w tygodniu, kiedy jeżdżę do centrum Paryża, nadal jestem w stanie euforii, lecz już nie w związku z lekcją w konserwatorium, ale z perspektywą spędzenia godziny z nową przyjaciółką.

Mam świadomość skutków „miłości” i jej wpływu na stan umysłowy człowieka. Z przeczytanej literatury wiem, że nawet najtęższe głowy mogą przez nią stracić rozum i zdolność logicznego myślenia. A jednak, choć zdaję sobie z tego sprawę, jakoś wcale się tym nie przejmuję.

Elle powiedziała mi, że przeczytała każdą książkę z biblioteki sierocińca po dwa razy, więc postanowiłem przywozić jej powieści ze zbiorów monsieur Landowskiego. Czy mógłby być lepszy dowód na to, że kompletnie mi odbiło? To nie są moje książki; nie mam prawa ich komuś pożyczać i nawet nie chcę myśleć, jak zareagowałby monsieur Landowski, gdyby odkrył, co wyprawiam. Ale nie potrafię się powstrzymać. Tak bardzo chcę ucieszyć Elle, że to przesłania groźbę konsekwencji. Kiedy kończy książkę, dyskutujemy o niej (używam słowa „dyskutujemy” w przenośni, bo Elle mówi, a ja piszę). Choć, co ciekawe, często wie, co chciałbym powiedzieć, jeszcze zanim dotknę piórem papieru.

Jutro jest wtorek i mam nadzieję, że Elle skończyła *Upiora opery*. Rumienię się, kiedy o tym myślę, bo to opowieść o utalentowanym muzyku, który stara się swoim talentem zdobyć serce niezwykle pięknej kobiety. Chciałbym wierzyć, że dla mnie to prostsza sprawa, bo w przeciwieństwie do *Upiora* nie mam zniekształconej twarzy. Wiem jednak, że jeśli miałbym zrobić wrażenie na Elle zdolnościami muzycznymi, musiałbym najpierw naprawdę dla niej zagrać.

Schowałem pamiętnik, po czym położyłem się do łóżka. Tego wieczoru grałem partię szczególnie wymagających arpeggiów dla Evelyn, więc dość szybko ogarnęła mnie senność. Zamknąłem powieki, myśląc o słodkiej twarzy Elle. Obróciłem się na brzuch i poczułem ukłucie na piersi. Ostatnio często zapomniałem o zdjęciu sakiewki z szyi. W miarę upływu dni coraz łatwiej było mi zapomnieć, kim jestem i po co się tu znalazłem.

*

W piątkowe wieczory pozwalano mi wejść do budynku *Apprentis d’Auteuil* i iść z dziećmi do wspólnej sali na pierwszym piętrze. Razem z Elle siadaliśmy przy oknie i wyglądaliśmy na *rue Jean-de-La-Fontaine*.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że Christine mogłaby być naprawdę szczęśliwa z Raoulem! – skomentowała Elle powieść Gastona Leroux. – Muzyka to jej pasja i tylko *Upiór* to rozumie. Raoul jest nudny. Jest tylko... przystojny i bogaty...

Upiór jest mordercą! – napisałem.

Elle roześmiała się.

– Masz rację, Bo!

A ty kogo byś wybrała?

Popatrzyła na mnie; jej błękitne oczy zaglądały głęboko we mnie, przenikały moją duszę.

– Hm... Bogaty nudziarz albo interesujący morderca... – Zastanowiła się. – Może to szaleństwo, ale myślę, że zaryzykowałabym z Upiorem... jeśliby mnie zauroczył. Chyba lepiej mieć pełne pasji krótkie życie niż długie i nudne.

Jesteś bardzo mądra.

– Nie, mylisz siebie ze mną. To ty jesteś ten mądry. Nie mówisz, ale potrafisz przekazać w jednym napisanym zdaniu coś, co ja musiałabym tłumaczyć godzinami.

Do tego zmusza mnie konieczność.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się i spojrzała za okno. – Czasami mam wrażenie, jakbyś chciał coś powiedzieć.

Żołądek mi się skręcił. Tyle słów cisnęło mi się na usta.

– Dlaczego dla mnie nie zagrasz, Bo? Obiecuję, Maurice i Jondrette nie ośmielą się już ci dokuczać.

Ty jeszcze dla mnie nie zagrałaś.

– Jestem zwykłą amatorką, która uczyła się grać sama. Tak naprawdę nie mam pojęcia, czy w ogóle mam zdolności w tym kierunku! Wstydziłabym się grać przed tobą. A ty masz lekcje z monsieur Iwanem!

Daleko mi do doskonałości, napisałem.

– Nikt nigdy nie może być doskonały. Ale ty uczysz się w paryskim konserwatorium. Nie znam przypadku, żeby przyjęli tam kogoś w twoim wieku. Marzę, żeby pewnego dnia tam trafić, ale... – wskazała dłonią dokoła – jak mogłabym sobie kiedykolwiek na to pozwolić?

Spuściła oczy i w tej chwili myślałem, że pęknie mi serce.

Pewnego dnia będziesz tam studiować.

– Dziękuję, wątpię jednak, żeby to się spełniło. Nie potrafię sobie wyobrazić nawet tego, co będzie, kiedy mnie stąd wypuszczą, więc jak

mogłabym wierzyć, że drzwi konserwatorium staną przede mną otworem?
– Oczywiście zaczęły wypełniać się łzami.

Całym sobą pragnąłem otworzyć usta i zasypać ją banalnymi zapewnieniami, że wszystko jest możliwe, czego sam jestem żywym dowodem. Wiedziałem jednak, że muszę się powstrzymać.

Wpadłem na pewien pomysł.

Szybko odwiązałem sznurki, które przytrzymywały popsuty futerał, i podniosłem instrument do brody. Złapałem smyczek, zamknąłem oczy i zacząłem *Sonatę skrzypcową nr 9* Beethovena. Kiedy grałem dla Elle, czułem, jak muzyka mnie unosi; każda kolejna nuta nabierała większego znaczenia. Na koniec oderwałem smyczek od skrzypiec i odważyłem się unieść powieki, by zobaczyć jej reakcję.

Wpatrywała się we mnie wielkimi oczami, w których nie było już łez.

– Bo... To niewiarygodne. Wiedziałam, że musisz być bardzo utalentowany, skoro monsieur Iwan cię przyjął, ale mimo wszystko...

Skłoniłem głowę. W żyłach krążyła mi adrenalina. Na myśl, że mój występ wywołał upragnione wrażenie, serce mi rosło. Nagle uświadomiłem sobie, że moja widownia nie składała się jedynie z Elle. Powoli obróciłem się i zobaczyłem morze patrzących na mnie w zdumieniu twarzy. Na końcu dostrzegłem brwi madame Gagnon, które unosiły się tak mocno, jakby miały zaraz poderwać ją z podłogi. Ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu powoli podniosła dłonie i zaczęła klaskać. Reszta sali poszła jej śladem i wkrótce nagrodzono mnie hucznymi owacjami. Nawet Maurice i Jondrette, choć nie bili braw, mieli zszokowane miny. Elle musiała wyczuć, że jestem oszołomiony. Wzięła mnie za rękę i to był najcudowniejszy moment w moim życiu.

Kiedy oklaski wybrzmiały, madame Gagnon uznała za stosowne mnie skomplementować.

– Brawo. Pomimo młodego wieku mógłbyś spokojnie konkurować z monsieur Baudinem.

– Widzisz? – szepnęła Elle. – Musisz być bardzo dobry. – Pocałowała mnie w policzek. – Dziękuję, Bo.

Krew napłynęła mi do twarzy. Starłem się stłumić zażenowanie, skupiając się na pakowaniu skrzypiec.

Kiedy usłyszę, jak ty grasz? – napisałem, kiedy już obwiązałem porządnie futerał.

– Myślisz, że chciałabym ci zagrać po takim występie?! To byłoby tak, jakby noworodek miał recytować Szekspira.

Byłbym szczęśliwy.

Elle ukryła uśmiechniętą twarz w dłoniach.

– No, dobrze. Poćwiczę i będę gotowa, kiedy przyjdiesz we wtorek. W najgorszym wypadku dasz mi kilka wskazówek, co mogłabym poprawić.

Madame Gagnon odprowadziła mnie do bramy i opowiedziała czekającej Evelyn o moim występie.

– Ten chłopiec ma wielki talent i jest tu mile widziany.

Gdy jechaliśmy autobusem do Boulogne-Billancourt, Evelyn udzielił się mój radosny nastrój.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że zagrałeś dla dzieci! To wspaniała wiadomość, Bo. Wiem, jak ucieszy się monsieur Landowski, kiedy usłyszysz, że nabierasz pewności siebie.

Oczywiście nie wiedziała, że nie grałem dla dzieci. Tylko dla jednej dziewczynki, która sprawiała, że moje życie się zmieniało.

Kiedy we wtorek zjawiłem się w Apprentis d’Auteuil, Elle, która czekała przy bramie, złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę budynku.

Ku mojemu zaskoczeniu madame Gagnon otworzyła drzwi i pozwoliła nam wejść do środka.

– Zgodziła się, żebym zagrała ci w świetlicy. Nie miałabym śmiałości zagrać dla wszystkich jak ty wtedy.

Przeszliśmy szybko korytarzami. Elle ciągnęła mnie tak, że musiałem biec, by dotrzymać jej kroku. Gdy znaleźliśmy się na miejscu, usiadłem na jednym z krzeseł, którego skórzane obicie było tak wytarte, że wyglądały spod niego sprężyny. Elle wyjęła z futerału flet.

– Zdecydowałam, że zagram Debussy’ego, *Preludium do „Popołudnia fauna”*. Nie bądź dla mnie zbyt surowy, proszę. Pamiętaj, że nigdy nie uczyłam się u profesjonalisty.

Trudno mi było uwierzyć, że najpiękniejsza istota ludzka na świecie da mi zaraz prywatny koncert.

– No to zaczynam.

Podniosła flet do ust i wzięła głęboki wdech.

Bez wątpienia była bardzo muzykalna i to, że nauczyła się grać sama z podręczników, wydawało się cudem. Nie sądzę, że mnie udałoby się coś takiego. Zaczęła grać z powodów o wiele bardziej szlachetnych niż moje. W ten sposób składała hołd utraconym rodzicom, nawiązywała z nimi więź, choć ich już tu nie było.

Zamknąłem oczy. Akustyka tego niegdyś wspaniałego budynku zapewniała przyjemny rezonans. Mimo wszystko zmusiłem się do oceny techniki Elle, tak jak prosiła. Zauważyłem, że oddycha nerwowo i zbyt szybko przelatuje po utworze Debussy’ego. Wyjąłem pióro.

Odpręż się, napisałem i przytrzymałem kartkę przed jej oczami.

Uniosła wzrok, przeczytała, po czym odsunęła flet od ust.

Znów wzięłem się do pisania.

Nie zapominaj, że jestem tylko chłopakiem, który ma jedenaście lat!

Ku mojej radości roześmiała się i skinęła głową. Znow wzięła wdech i zaczęła od początku. Tym razem nie wyczuwało się w jej grze wcześniejszego staccato i nagle zrozumiałem korzyść z wędrowania do „świętych miejsc”, o których mówił monsieur Iwan. Kiedy Elle skończyła, wstałem i zacząłem klaskać.

– Przestań! Owszem, za drugim razem poszło lepiej, ale za pierwszym było fatalnie.

Pokręciłem głową.

– Nie musisz być taki miły. Strasznie się denerwowałam, że gram przed tobą, Bo. Od twojej ostatniej wizyty nie myślałam o niczym innym, tylko o tym, co zrobić, żeby ci się spodobało.

I udało ci się!

W głębi duszy byłem w euforii, że moja opinia tyle dla niej znaczy.

– Teraz zagram na altówce. Gorzej sobie z nią radzę niż z fletem.

Podniosła instrument do brody i zaczęła grać *Don Kichota* Richarda Straussa. Miała rację. Na flecie szło jej lepiej, ale na altówce też wydawała się obiecująca. Kiedy skończyła, starałem się bić brawo z równym zapałem.

Nie mogę uwierzyć, że jesteś samoukiem, napisałem.

– Dziękuję. Ja czasami też nie. Udało mi się pewnie dlatego, że tyle czasu spędzam samotnie. Ale powiedz, co myślisz, Bo. Co mogłabym poprawić?

To nie moje instrumenty, mimo to spróbuję dać ci ogólne wskazówki!

Spisałem listę podstawowych zasad i sposobów, których nauczył mnie monsieur Iwan, i podałem kartkę Elle.

– Dziękuję, Bo. Postaram się do nich stosować. – Przeczytała uważnie zalecenia. – Napisałeś: *ćwicz ułożenie smyczka*. Mógłbyś mi pokazać, o co chodzi?

Wziąłem od Elle smyczek i stanąłem za nią. Ująłem jej prawą dłoń, delikatnie podniosłem, po czym obróciłem wnętrzem do naszych twarzy. Następnie umieściłem w niej smyczek.

– W ten sposób? – spytała Elle.

Skinąłem głową.

Wziąłem jej kciuk i ułożyłem tak, by naciskał pewnie na drewno. A potem ułożyłem palec środkowy tak, by jego staw lekko dotykał smyczka. Altówka, która należała niegdyś do matki Elle, była o wiele za duża dla dziecka, więc moje wskazówki musiały wydawać się podwójnie zaskakujące.

– Rany, nie zdawałam sobie sprawy, że robię to aż tak źle.

Stałem przed nią i dalej ustawiałem jej palce tak, jak szkolił mnie monsieur Iwan. Kiedy to robiłem, napotkałem wzrok Elle. Patrzyła na mnie w zabawny sposób, jakby chciała, żebym coś zrobił, ale nie mówiła co. Chyba wyczuła, że się nad tym zastanawiam, bo zachichotała. A potem nachyliła się i pocałowała mnie. Jej miękkie usta dotknęły moich warg i mój świat zmienił się na zawsze.

– Widzę, że nasza lekcja muzyki skończona.

Po moich plecach przebiegł dreszcz, gdy obróciłem się gwałtownie i zobaczyłem w otwartych drzwiach madame Gagnon. Elle natychmiast zaczęła pakować altówkę do futerału. Złapała flet i spiesznie ruszyła do drzwi.

– Odniosę instrumenty do sypialni, proszę pani.

Madame Gagnon tylko uniosła jedną brew, ale nie zatrzymała biegnącej Elle. Zostaliśmy w świetlicy sami. Kobieta rzuciła mi spojrzenie, które zwałiby z nóg konia pociągowego. Nagle ogarnął mnie bezgraniczny wstyd. Elle dostała specjalne pozwolenie, by zagrać dla mnie z dala od oczu

innych dzieci. A tymczasem wyglądało to tak, jakbym nadużył dobroci madame Gagnon. Szybko wziąłem pióro i zacząłem pisać przeprosiny.

– Nie pisz, tylko siadaj – rozkazała, wskazując mi krzesło.

Byłem przekonany, że zabroni mi przychodzić do sierocińca, co oznaczałoby, że nie będę już mógł widywać Elle. Poczułem, że za chwilę mój świat się zawali, i nadzieja zmieniła się w rozpacz. Zająłem miejsce, a madame Gagnon, ku memu zaskoczeniu, zamknęła drzwi świetlicy i usiadła naprzeciw mnie. Musiała dostrzec przerażenie w moich oczach, bo całkiem niespodziewanie powiedziała coś pocieszającego:

– Ona jest tobą zauroczona, młody człowieku. Mam nadzieję, że wiesz, jak wrażliwe są serca młodych kobiet. Powinieneś bardzo uważać.

Skinąłem głową.

– Nie muszę chyba mówić, że jeśli jeszcze raz zobaczę coś... w tym rodzaju, nie zawaham się i przyłożę ci kijem. Zrozumiałeś? Wyraziłam się jasno?

Tak, madame.

– Dobrze. A teraz mam z tobą coś do omówienia. Pracuję w Apprentis d’Auteuil od dwudziestu lat i widziałam setki dzieci, które przewinęły się przez tę placówkę. Zawsze przede wszystkim starałam się jak najszybciej znaleźć podopiecznym nowe domy, ale nie wbrew ich odczuciom. – Madame Gagnon urwała i wzięła głęboki wdech. – Po wojnie mieliśmy niezwykle trudny okres. Brakowało środków, a napływało do nas bardzo dużo sierot. Nie mieliśmy pewności, czy zdołamy wykarmić tak wiele dzieci, nie mówiąc już o zapewnieniu im lekarstw, łóżek, ubrań i wszystkiego, co niezbędne. Sytuacja była krytyczna. Musiałam więc podejmować trudne decyzje. Elle ze swoim bratem dotarła do nas, kiedy jej matka zmarła na hiszpankę. Miesiąc wcześniej zwróciła się do mnie bogata para z zagranicy. Prosili, żeby powiadomić ich, jeśli znajdą się u nas

noworodki, bo nie mogli mieć własnych dzieci. Obiecałam dać im znać i normalnie byłabym najszczęśliwsza w świecie, że mogę zorganizować, by małe dziecko od razu trafiło do kochającej rodziny. Ale... to dziecko miało starszą siostrę. Gdyby sytuacja w sierocińcu nie była tak trudna, nie dopuściłabym do tej adopcji, chyba że ta para zgodziłaby się wziąć oboje. Jestem przekonana, że kiedy dzieci tracą rodziców, to przynajmniej powinny zostać z rodzeństwem. Obawiałam się jednak o przyszłość sierocińca i ze wstydem przyznam, że pozwoliłam, by przeważały względy praktyczne. Krótko mówiąc, wbrew swoim zasadom nie zapobiegłam rozdzieleniu Elle z braciszkiem. Z każdym rokiem, kiedy była u nas i nikt nie wyrażał chęci przyjęcia jej do siebie, moje poczucie winy rosło. Na pewno powiedziała ci, że gra, by czuć łączność z rodzicami?

Skinąłem głową.

– Możesz sobie wyobrazić, jak przykro mi tego słuchać, bo to właśnie ja jestem odpowiedzialna za odebranie jej tego, co łączyło ją z dawnym życiem: braciszka.

Kto przygarnął brata Elle?

Madame Gagnon spuściła wzrok na podłogę.

– Hm... ktoś tak drobiazgowy jak ja prowadzi oczywiście dokładne zapisy na temat każdego młodego człowieka przechodzącego przez tę placówkę. Ale w tym przypadku para, która wzięła dziecko, życzyła sobie pozostać absolutnie anonimowa, by nikt nie odkrył, że to nie ich rodzony syn. Jak mówiłam, działałam pod niewiarygodną presją, a ci ludzie zgodzili się przekazać sporą sumę dla Apprentis d’Auteuil. Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Elle została nie tylko rozdzielona z bratem, ale też pozbawiona szans, by kiedykolwiek go odnaleźć.

Jakiej narodowości była ta bogata para? – napisałem, w nadziei, że przynajmniej będę miał coś do powiedzenia Elle, gdybyśmy kiedyś o tym

rozmawiali.

– Naprawdę nie mogę sobie przypomnieć. W każdym razie, skoro już opisałam ci sytuację, miałabym prośbę. Od wielu lat nie spotkałam tu miłszego, mądrzejszego dziecka niż Elle Leopine.

Dlaczego nikt nie chciał jej zaadoptować?

– Wielu było już blisko, ale zawsze się wycofywali. Gdybym miała zgadywać dlaczego... – Madame Gagnon pokręciła głową. – Rodzina Elle, Leopine'owie, uciekła przed pogromami w Europie Wschodniej i wyemigrowała do Paryża. Wiesz, co to pogromy?

Ze smutkiem kiwnąłem głową. Ojciec często opowiadał mi o tym szaleństwie i uprzedzeniach rasowych.

– Nie wiem, czy jesteś tego świadomy, ale krążą pogłoski o rosnącym w siłę ruchu w Niemczech, który może zagrażać bezpieczeństwu społeczności żydowskiej. Francuzi zdają sobie sprawę z tego, że Niemcy po dziesięciu latach życia w niedostatku zaczynają zamieniać się w potęgę. Obawiam się, że potencjalni rodzice nie chcą sprowadzać na siebie kłopotów, w razie gdyby doszło do następnego konfliktu.

Elle nie została adoptowana, bo jest Żydówką?

– To tylko moje domysły, ale jest to bardzo prawdopodobne.

A brat?

– Jak mówiłam, dziecko zostało zabrane do innego kraju i zarejestrowane pod innym nazwiskiem. Zresztą wtedy uwaga świata była zwrócona na co innego. Ten czynnik nie był tak istotny. W każdym razie, bez względu na to, jakie są powody, Elle nadal tu jest, a ja mam ogromne poczucie winy. Znasz ją zaledwie od kilku tygodni, ale najwyraźniej dobrze się rozumiecie. Jeżeli cokolwiek rozświetla życie tej dziewczynki, to trochę lżej mi na sercu. Więc jestem ci wdzięczna.

Próbowałem się do niej uśmiechnąć, ale musiało to wyglądać ponuro, bo poruszyło mnie to, że twarda madame Gagnon tak się przede mną otworzyła.

– Wracając do mojej prośby... Z rozmów z madame Evelyn wiem, że uczy cię monsieur Iwan w konserwatorium. Elle marzy o studiach w konserwatorium. Od kiedy była w stanie fizycznie udźwignąć instrumenty, grała na nich; uczyła się, wykorzystując książki, które zdołałam jej załatwić w ramach darów dla biblioteki. Nie mam żadnych umiejętności muzycznych, lecz w miarę upływu lat widziałam, jak rozkwita talent Elle. Często namawiałam ją, żeby zagrała dla pana Baudina, kiedy ten nas odwiedza, ale zawsze odmawiała. Bała się krytyki. To wielkie osiągnięcie, że zdołałeś ją przekonać, żeby dla ciebie zagrała.

To była przyjemność jej posłuchać.

– Powiedz, jako ktoś, kto się na tym zna... Czy ona wydaje się obiecująca?

Zdecydowanie.

Dostrzegłem cień ulgi na twarzy madame Gagnon.

– Cieszę się, że mam wystarczający słuch, by rozpoznać, kiedy ktoś dobrze gra. Myślisz, że jest dość zdolna, by uczyć się w konserwatorium?

Bez wątpienia.

– Pewnie zdajesz sobie sprawę, że szanse Elle na studia w konserwatorium są nikłe? W związku z kosztami. Musiałaby dostać pełne stypendium, a wiem, że o nie trudniej niż o błękitne diamenty.

W brzuchu mnie skręciło na to porównanie.

– Być może domyślasz się, o co chcę cię poprosić – ciągnęła. – Zastanawiam się, czy nie zdołałbyś przekonać monsieur Iwana, żeby udzielał Elle lekcji.

Zmartwiałem. Jak, na Boga, miałbym to zrobić? Kto by zapłacił? A co będzie, jeśli Elle dowie się, że mi się nie udało?

Monsieur Iwan uczy tylko gry na skrzypcach, napisałem.

– Jestem pewna, że zna odpowiednich ludzi, którzy potrafiliby pielęgnować talenty Elle.

A pieniądze?

– Oczywiście. Mam oszczędności, z których bardzo rzadko korzystam. Uzbierałam znaczną sumę na emeryturę, sądzą jednak, że nie mogłabym lepiej spożytkować tych pieniędzy, niż próbując wynagrodzić zło, za które jestem odpowiedzialna.

Madame Gagnon siedziała nieruchomo i dalej patrzyła mi prosto w oczy. Pod jej sztywną postawą i surową aparycją wyczuwałem odrobinę niepokoju. W napięciu oczekiwała na moją odpowiedź. Najwyraźniej szczerze żałowała tego, co stało się przed laty, i wierzyła, że pomogę jej w pewien sposób zmazać winę.

Mogę spróbować, madame.

– Dobrze! Tak się cieszę. Nie muszę chyba mówić, że nic nie powiem Elle o tej sekretnej misji, którą ci powierzyłam. To zostanie między nami, póki nie będziemy mieli pozytywnej odpowiedzi.

Dziękuję.

Jej ulga była wyraźna.

– Zapewniam cię, że zostaniesz wynagrodzony za swoje starania, młody człowieku. Może podczas kolejnych wizyt dostaniesz pozwolenie, by spotykać się z Elle w świetlicy albo w którejś z klas, tylko z nią, a nie z tą hałaśliwą gromadą.

Oczy mi zabłysły.

– Ale tylko po to, żeby poprawić jej umiejętności muzyczne, ma się rozumieć. Będę was dalej obserwować jak jastrząb. – Ku mojemu

zaskoczeniu madame Gagnon uśmiechnęła się. – Dziękuję, Bo. Jesteś
dobrym człowiekiem.

15

– Co się z tobą dzisiaj dzieje? – Zdesperowany monsieur Iwan rozłożył chude ręce. – W ostatnich tygodniach zrobiłeś wielkie postępy. O wiele swobodniej trzymasz ramiona. Wspaniale! Wiedziałem, że spędzanie czasu z rówieśnikami dobrze ci robi.

Nie przerywałem mu, by wyprowadzić go z błędu i uściślić, że to się stało za sprawą nie rówieśników, ale raczej rówieśniczki.

– A dziś jesteś jak figura lodowa! Spięty, nerwowy. Powiedz, co cię trapi.

Nie mylił się co do mojego stanu psychicznego. Po kilku lekcjach, podczas których starałem się stosować wiernie do wskazówek, uśmiechałem się grzecznie na jego dowcipy i kiwałem ze zrozumieniem głową, kiedy perorował na temat pensji, jakie oferują niektóre orkiestry, tego dnia przygotowałem się na zadanie mu pytania w sprawie Elle. Przyłożyłem pióro do papieru.

Dziękuję Panu, że poradził mi Pan odwiedzać Apprentis d’Auteuil. To odmieniło moje życie na lepsze.

Wzruszył ramionami, bardzo z siebie zadowolony.

– Nie musisz mi dziękować, Bo. – Postukał się palcem wskazującym w skroń. – Nikt nie powie, że nie potrafię motywować uczniów, bez względu na ich wiek. To nie jest jednak odpowiedź na moje pytanie.

Dlaczego jesteś dzisiaj taki spięty? Czy u państwa Landowskich wszystko w porządku?

Tak. Monsieur Landowski i jego rodzina są w doskonałej formie. Mam do pana pytanie osobiste.

– O, widzę, że muszę się przygotować na coś ważnego. Nie krępuj się, młody człowieku. Jesteśmy emigrantami, pamiętaj. Trzeba się nawzajem wspierać. – Monsieur Iwan odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi. – Czy to pytanie... jest przypadkiem natury anatomicznej? Krępujesz się spytać monsieur Landowskiego albo madame Evelyn? Nie bój się, pamiętam, jak sam byłem młody i zaskoczyło mnie, że w męskim ciele zachodzą pewne zmiany, które...

Gwałtownie zamachałem rękami i pokręciłem głową. Nie o tym chciałem rozmawiać z monsieur Iwanem ani z kimkolwiek innym. Szybko nabazgrałem:

Chodzi o dziecko z sierocińca i jego talent muzyczny.

– Ach, tak... rozumiem. Skontaktuję się z Baudinem i powiem, żeby przesłuchał chłopca. Będzie mógł udzielić mu bezpośrednio wskazówek, jak może zwiększyć swoje szanse na przyjęcie do konserwatorium. Dobrze? No widzisz. Czasami można łatwo rozwiązać problem. Nie było potrzeby tak się denerwować. A teraz raz jeszcze przećwiczmy Czajkowskiego.

Ją, napisałem.

– Przepraszam, nie powinienem był zakładać płci. Po prostu myślałem, że większość czasu spędzasz tam na grze w kulki albo psocąc z chłopakami. Tak czy inaczej, każę Baudinowi przesłuchać ją i ocenić.

Czułem, że zadanie nie będzie proste.

Chciałem zapytać, czy mogłaby mieć lekcje w konserwatorium, jak ja.

Nastąpiła dłuższa przerwa; monsieur Iwan przyswajał sobie to, co napisałem. A potem popatrzył na mnie zaskoczony i zaczął się śmiać.

– O nie! Najwyraźniej popełniłem błąd, posyłając cię do Apprentis d’Auteuil. Teraz będziesz próbował przysłać nam tu wszystkie te dzieciaki.
– Dalej chichotał, a potem klepnął się po kolanach. – Czuję, że sam już wiesz: to niemożliwe. Konserwatorium jest dla studentów i młodzieży po maturze. To nie szkoła muzyczna dla początkujących. Jest wielu prywatnych nauczycieli, którzy poświęcają czas na słuchanie rzępolenia i trąbienia dzieciaków. Na pewno mogę znaleźć kontakt do kogoś, kto chętnie będzie uczył twoją małą przyjaciółkę. Dobrze? A teraz Czajkowski.

Ona uczyła się przez wiele lat sama. Słyszałem, jak gra. Jest niezwykle utalentowana. Uważam, że tylko nauka w konserwatorium przyniosłaby jej jakąś korzyść.

– O, już rozumiem. To wszystko zmienia. – Przyłożył do ust dłoń jak tubę, przez którą się coś obwieszcza. – Młody prorok stwierdził, że tylko konserwatorium pomoże jego koleżance! Zwolnijcie miejsca w harmonogramie i szykujcie nauczycieli! Nasz mały łowca talentów odkrył kolejnego geniusza!

Spuściłem wzrok.

– Bo, dziecko. Nie wątpię, że masz dobre intencje i po prostu starasz się pomóc koleżance, ale jesteś tylko chłopcem, przyjętym tu w drodze wyjątku, bo monsieur Landowski zna się z panem Rachmaninowem. Bez tego, niestety, nigdy nie zgodziłbym się ciebie przesłuchać. Prawdę mówiąc, zrobiłem to jedynie przez grzeczność. A kiedy usłyszałem, jak grasz, uznałem, że masz wybitny talent. Masz... dojrzałość, zupełnie niebywałą jak na chłopca w twoim wieku. W konserwatorium nie uczy się dzieci i na tym koniec. A teraz, proszę, Czajkowski.

Ona też jest wyjątkowa jak na samouka. Nie wyobrażam sobie, jaką siłę psychiczną trzeba...

Monsieur Iwan wyrwał papier z moich dłoni i cisnął na podłogę.

– Dosyć! Czajkowski, chłopcze!

Roztrzęsiony sięgnąłem po skrzypce i ułożyłem brodę na podpórcie. Uniosłem smyczek i zacząłem grać. Zanim się zorientowałem, po twarzy płynęły mi łzy; starając się powstrzymać szlochanie, robiłem błąd za błędem. Monsieur Iwan złapał się za głowę.

– Przestań, Bo, przestań. Przepraszam. Niepotrzebnie tak się uniosłem. Przykro mi.

Jego słowa nic nie pomogły. Tama puściła i nie byłem w stanie jej zamknąć. Zdałem sobie sprawę, że od bardzo dawna tak nie płakałem. Podczas podróży zdarzały się ciemne noce, kiedy moim ciałem wstrząsał płacz, ale pewnie byłem zbyt odwodniony, by pociekły łzy. Monsieur Iwan przetrząsnął szuflady biurka i znalazł chustkę.

– Czysta – powiedział, podając mi ją. – Raz jeszcze, młody człowieku: nie powinienem był na ciebie krzyczeć. Próbowaleś tylko komuś pomóc. I za coś takiego nigdy nie powinno się nikogo karcić.

Położył dłoń na moim ramieniu, żeby mnie uspokoić.

Nie zadziało. Płakałem i płakałem bez końca. To, że na mnie nakrzyczał, stało się katalizatorem, uwolniło to, co wstrzymywałem wiele miesięcy temu. Opłakiwałem utratę ojca, matki i chłopca, którego uważałem za brata, a który teraz życzył mi śmierci. Płakałem za życiem, jakie mogłem wieść, gdybym nie był zmuszony uciekać. Płakałem, myśląc o wielkoduszności monsieur Landowskiego i chęci monsieur Iwana, by mnie uczyć. Płakałem z wyczerpania, żalu, rozpacz, wdzięczności, ale – być może najbardziej – z miłości. Płakałem, bo nie mogłem zapewnić Elle szansy, na którą zasługiwała. Moje zawodzenie musiało trwać dobre piętnaście minut. Monsieur Iwan w tym czasie ze stoickim spokojem trzymał dłoń na moim ramieniu i powtarzał:

– No już, już.

Raz za razem. Biedny człowiek. Wątpię, by podnosząc na mnie głos, przypuszczał, że może wywołać tak dramatyczną reakcję. Raczej nie miał takich problemów ze studentami.

Wreszcie studnia w moim ciele wyschła i zacząłem oddychać głęboko i powoli.

– Rany boskie. Muszę powiedzieć, że choć nie jestem bez winy, nie spodziewałem się, że będziesz tak rozpaczał. Już ci lepiej?

Skinałem głowę, wycierając nos rękawem.

– Cieszę się. Myślę, że lepiej darujmy sobie dziś resztę lekcji.

Przepraszam, monsieur, napisałem.

– Nie ma za co. To dla mnie jasne, że chodzi o coś o wiele ważniejszego. Czy przyjazne ucho mogłoby się przydać? Albo raczej powinienem powiedzieć: przyjazna para oczu? Pamiętaj, jesteśmy emigrantami i nawet jak na siebie krzyczymy, łączy nas nierozzerwalna więź.

Zacząłem pisać, lecz zaraz przerwałem. Może łzy wyzwoliły wydzielanie jakichś wewnętrznych substancji i nagle poczułem, jak omywa mnie morze spokoju. Jeśli się odezwę, to co może się stać w najgorszym wypadku? Może to doprowadzić do mojej śmierci. No to w końcu znajdę się w innym świecie i dołączę do matki, a być może również i ojca. Wszystko wydawało się tak absolutnie, pięknie bez znaczenia. Pragnienie, by się uzewnętrznić, odebrało mi rozum. I zrobiłem coś nie do pomyślenia. Otworzyłem usta.

– Jeśli pan posłucha, opowiem panu moją historię – powiedziałem w ojczystym języku.

Monsieur Iwan osłupiał.

– Wielkie nieba...

– Moje życie jest krótkie, ale opowieść długa. Nie sądzę, żebym dał radę zmieścić ją w tych dziesięciu minutach, które nam pozostały.

– Nie, nie, oczywiście. Zaraz sprawdzę plan i wszystko przełożę. A co z madame Evelyn? Zostawię wiadomość w recepcji, że przedłużamy dziś lekcję, bo szykujemy się do recitalu.

Kiedy szedł do drzwi, potracił krzesło.

– Dziękuję – powiedziałem.

Kłamałbym, gdybym twierdził, że nie bawiło mnie trochę to, że ten jeden jedyny raz był naprawdę poruszony.

Mówienie przypominało trochę rozciąganie mięśni, którymi nie ruszało się przez wiele miesięcy rekonwalescencji. Mój głos wydawał się wypoczęty i dziwny, niemal jakby nie należał do mnie. Oczywiście od czasu do czasu go wydawałem, by przypomnieć sobie, że nadal potrafię mówić, i by podziękować panu Landowskiemu kilka tygodni temu. Ale zdanie, które przed chwilą wypowiedziałem, było najdłuższe, jakie mi się wymknęło od niemal roku.

– Mam na imię... Bo. Moje imię to Bo. Ja. Jestem. Bo. – Głos był wyraźnie niższy, niż pamiętałem. Co za dziwne uczucie.

Monsieur Iwan wpadł z powrotem do sali.

– Dobrze, załatwiłem to. – Usiadł na krześle i skinął głową.

Zamknąłem oczy, wziąłem głęboki wdech i wyjawiałem mu prawdę.

Opowieść zajęła mi prawie godzinę. W tym czasie monsieur Iwan siedział w milczeniu, wpatrując się we mnie wielkimi oczami, kompletnie zszokowany tym, co przed nim odkryłem. Kiedy wreszcie zakończyłem tym, jak Bel znalazła mnie pod żywoplotem państwa Landowskich, zapadła porażająca cisza.

– Mój Boże... mój Boże... mój Boże... – powtarzał jak refren monsieur Iwan, kręcąc głową i gryząc paznokcie; zastanawiał się, co odpowiedzieć. –

Młody Bo... nie Bo, jak obaj wiemy... po prostu brak mi słów. – Wstał, chwycił mnie i uściskał tak mocno, że wydusił mi z płuc całe powietrze. – Wiedziałem! My, emigranci... Jesteśmy silni, Bo. Silniejsi, niż komukolwiek może się wydawać.

– Gdyby ktoś kiedyś odkrył...

– Proszę... Łączy nas wspólne miejsce urodzenia. Pamiętaj, rozumiem kraj, z którego przyszedłeś, i to, co przeżyłeś. Przysięgam na groby moich bliskich, że nigdy nie zdradzę ani słowa z tego, co mi właśnie opowiedziałeś.

– Dziękuję.

– Jestem przekonany, że rodzice byliby z ciebie bardzo dumni, Bo. Twój ojciec... naprawdę wierzysz, że żyje?

– Nie wiem.

– A... ten przedmiot, o którym wspomniałeś... Nadal go masz?

Możliwe, że tej części historii nie powinienem był zdradzać. Wiedziałem, że chciwość może zatruwać umysły i odbierać rozum. Wyczuł moje wahanie.

– Proszę. Nie mam w tym żadnego interesu, możesz być pewien. Chcę tylko powiedzieć ci, że musisz strzec tego za wszelką cenę. Nie z powodu wartości materialnej, ale dlatego, że pewnego dnia może ci to być potrzebne jako karta przetargowa... by ocalić ci życie.

– Będę tego pilnował. Tak.

– To dobrze. A teraz powiedz mi coś więcej o tej Elle. Po tym, z czym miałeś do czynienia, rozumiem, jakie znaczenie ma dla ciebie nawiązanie przyjaźni.

Przedstawiłem mu jej historię.

– Jest naprawdę wyjątkowa. Potrafiła zachować optymizm i jest taka dzielna na przekór okolicznościom. Myślę, że jest trochę jak grawitacja:

przyciąga do siebie wszystko.

Roześmiał się.

– Och, Bo. Teraz rozumiem. Nie wiem, czy ta dziewczynka przyciąga wszystko, ale ciebie na pewno. Niech Bóg ma cię w opiece, młody człowieku. Jakbyś nie miał i tak dość problemów, zakochałeś się, chłopie!

– Nie wiem, czy to możliwe dla jedenastolatka.

– Nie bądź głupi! Oczywiście, jak najbardziej! Miłość nie przejmuje się tym, że jesteś tak młody. Złapała cię i jesteś jej niewolnikiem.

– Przykro mi.

– Przykro? Błagam, nie ma powodu! Jest co świętować. Naprawdę, gdybyś był starszy, nalałbym ci wódki i moglibyśmy gadać długo w noc o twojej namiętności.

– Przesłucha ją pan?

– Jeśli odkryję, że to, co mi opowiedziałeś, to misterny podstęp, by wprowadzić twoją dziewczynę do tego konserwatorium, to ześlę na ciebie ognie piekielne... – Patrzył mi przez chwilę w oczy, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha. – Żartuję. Posłuchamy jej. Pan Toussaint uczy gry na flecie, a pan Moulin na altówce. Będzie miała przesłuchanie. Oczywiście nie muszę chyba cię uprzedzać: jeśli uznamy, że może się tutaj uczyć, profesorowie nie będą pracowali za darmo.

– Pieniądze będą zapewnione przez pewną wspaniałomyślną osobę z sierocińca.

– Świetnie. Zorganizuję wszystko i dam ci znać, co i jak, na następnej lekcji. Czy kiedy znów wejdiesz przez te drzwi, wrócisz do udawania niemego?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Nie – odparłem w końcu. – Przecież łączy nas miejsce urodzenia.

– Dziękuję za zaufanie. Zapewniam cię, nie będziesz żałował, że mnie nim obdarzyłeś.

Skinąłem głową i sięgnąłem do kłamki.

– Jeszcze jedno. Powiedziałeś mi wszystko poza swoim prawdziwym imieniem. Zdradzisz mi je?

Zrobiłem to.

– No tak, teraz to logiczne.

– Co takiego?

– To, że kiedy grasz, dźwigasz na barkach ciężar całego świata.

*

Przesłuchanie Elle okazało się czystą formalnością. Monsieur Iwan postarał się o to, już kiedy je organizował.

– Bo, musiałem uciec się do małego kłamstewka, żeby zagwarantować twojej dziewczynie przyjęcie – oznajmił.

– Ona nie jest moją dziewczyną.

– Ależ jest. Profesorowie nie byliby zachwyceni, że konserwatorium zamienia się w żłobek.

– Jakie to kłamstewko? – spytałem nerwowo.

– O... tylko takie, że twoja mała przyjaciółka jest skoligacona z panem Rachmaninowem, a jemu bardzo zależy, żeby rozwijać jej talenty muzyczne.

– Panu Sergiejowi Rachmaninowowi?

– W rzeczy samej. Genialne, prawda?

– Ale nie rozumiem... Przecież Elle mieszka w sierocińcu!

– Młodzieńcze, jak mam to delikatnie powiedzieć... Pan Rachmaninow, choć to bardzo dobry i utalentowany człowiek, słynie ze słabości do

młodych kobiet, które proteguje. Wiele z nich mieszkało w Paryżu. Jest więc wielce prawdopodobne, że Elle może być owocem jednego z jego flirtów, a poczucie winy każe mu pomagać dziewczynie.

– Nie jestem pewien, czy Elle będzie w stanie podtrzymać tę wersję – zaproponowałem.

– Nie trzeba nic podtrzymać. Poinformowałem Toussainta i Moulina, że dziewczynka nie ma pojęcia o swoim pochodzeniu, a pan Rachmaninow będzie wściekły, jeśli ona się czegoś dowie. Mogę zagwarantować, że będą milczeć. Nie będą chcieli denerwować Wielkiego Rosjanina.

– Ale...

– Jak przypuszczam, chciałbyś, żeby wasze lekcje odbywały się jednocześnie? Trzeba będzie niewątpliwie pozmieniać grafiki, ale pogłoski o zainteresowaniu pana Rachmaninowa zapewnią, że zostanie to załatwione bez szemrania.

Niechętnie zgodziłem się na ten plan, w nadziei, że to zapewni Elle dodatkową ochronę. Toussaint i Moulin nie ośmieliliby się na zbyt zjadliwą krytykę córki Rachmaninowa. Choć przyznam, że czułem się okropnie, plamiąc honor tego wspaniałego kompozytora.

W ten sposób Elle i ja staliśmy się najmłodszymi uczniami paryskiego konserwatorium. W ostatnich tygodniach Evelyn pozwoliła mi jeździć autobusem do Paryża i z powrotem samemu. Miałem się jej tylko meldować po powrocie. Wydawało się to lekką przesadą, biorąc pod uwagę to, czego doświadczyłem przez ostatnie półtora roku, ale cudownie było czuć, że ktoś się o mnie troszczy. Po lekcjach, które odbywały się dwa razy w tygodniu, Elle i ja kupowaliśmy sobie lody w małym lokaliku na avenue Jean-Jaurès, a potem spacerowaliśmy nad Sekwaną. Madame Gagnon, która nie posiadała się z radości, że udało mi się jakimś cudem załatwić jej podopiecznej naukę w konserwatorium, pozwalała nam na to. Po paru

tygodniach ośmieliliśmy się wydłużać spacery i wracaliśmy coraz później. Czasami zabieraliśmy książki i kredki nad rzekę. Elle czytała na głos, ja rysowałem. Nie twierdzę, że jestem specjalnie dobry, ale moje pejzaże stawały się coraz lepsze.

Kilka dni temu Elle oparła głowę na moim ramieniu i czytała *Katedrę Marii Panny w Paryżu*. Przerwałem moje wysiłki, by naszkicować zielone drzewo kasztanowca, i popatrzyłem na jej blond włosy, a potem na nurt rzeki. Promienie majowego słońca tańczyły na falach.

– *Bo miłość jest jak drzewo: sama z siebie rośnie, głęboko zapuszcza korzenie w całą istotę człowieka i nieraz, na ruinie serca, dalej się zieleni. A co najtrudniej pojąć, im bardziej namiętność jest ślepa, tym jest uporczywsza. Wtedy bywa najtrwalsza, kiedy nie ma żadnej racji istnienia...*
* – czytała Elle. – Myślisz, że to prawda, Bo? Czy miłość może ludzi zaślepić?

Podniosła na mnie wzrok. Pokręciłem głową i złapałem pióro.

Przeciwnie. Myślę, że miłość pozwala człowiekowi przejrzeć na oczy.

Przytrzymałem jej spojrzenie. Uniosła głowę, by mnie pocałować. Pocałunek był dłuższy niż ten w świetlicy sierocińca, a jej ciepłe usta przesuwały się delikatnie po moich. Kiedy się cofnęła, poczułem się lekki, jakbym bujał w powietrzu; w brzuchu zatrzepotały skrzydłami motyle. Nie mogłem pohamować śmiechu. Elle też się roześmiała. Ośmielony, ująłem jej rękę i zamknąłem w dłoni. Od tamtej pory, zawsze kiedy się widywaliśmy, już jej nie puszczałem.

Przy niej czuję się bezpieczny. Dawniej myślałem, że to sprawa ciepłego domu i jedzenia na stole. Elle nauczyła mnie jednak, że można żyć szczęśliwie bez tych rzeczy, jeśli tylko ma się przy sobie kogoś, kogo...

Biłem się z myślami, zastanawiałem nad sobą i doszedłem do wniosku, że – tak – byłem beznadziejnie, bezwarunkowo, po uszy zakochany w Elle

Leopine.

* Victor Hugo, *Katedra Marii Panny w Paryżu*, przekład Hanna Szumańska-Gross.

16

Mam nadzieję, że moja zdolność pisania nie osłabła przez te kilka miesięcy. Tak naprawdę po tym, jak wiele miesięcy temu poczyniłem ten śmiały krok i odezwałem się do monsieur Landowskiego, nie czułem potrzeby korzystania z „oficjalnego pamiętnika”, więc jeśli jakimś sposobem ktoś to czyta, zauważy, że skończyłem z powściągliwymi wpisami, które mogłyby zadowolić każde wścibskie oko. Po prostu całkowicie zaufałem Landowskiemu. Ci mili ludzie nadal mnie karmią i zapewniają mi dach nad głową.

Przypuszczam, że przelewanie na papier najskrytszych myśli działało na mnie terapeutycznie. Większość ludzi może je wyrazić werbalnie wobec przyjaciela czy członka rodziny, ale kiedy ja zaczynałem pisać, nie miałem tego luksusu. Teraz mogę rozmawiać z monsieur Iwanem i jeśli chodzi o dotrzymywanie tajemnic, okazał się słowny. Na początku semestru jesiennego podzielił się ze mną pewnymi myślami.

– Bo, podczas letniej przerwy poświęciłem trochę czasu, by zastanowić się nad twoimi postęпами. Wielu ludzi zazdrościłoby ci życia, jakie prowadzisz. Nauka w konserwatorium paryskim, możliwość pracy u boku światowej sławy rzeźbiarza... nie wspominając już o uwadze, jaką poświęca ci pewna niebieskooka blondynka, która ma teraz lekcje w innej sali.

Zarumieniłem się.

– Tak. Jestem bardzo wdzięczny – przyznałem.

– A jednak... do tej pory nie udało mi się doprowadzić cię do tego, byś naprawdę rozluźnił ramiona.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Jestem przekonany, że możesz stać się wirtuozem. Tak naprawdę twoja umiejętność gry jest o wiele większa niż wielu profesjonalnych skrzypków.

– Dziękuję.

– Tylko te ramiona... Nie sądzę, by ten problem udało się łatwo rozwiązać.

– Hm...

Uczciwa ocena Iwana zabolęła jak dźgnięcie nożem.

– Nie rób takiej zmartwionej miny, młodzieńcze. Będę uczył cię dalej gry na twoim ulubionym instrumencie. Ale nalegam, żebyśmy spróbowali czegoś innego. – Wstał i podszedł do wielkiego futerału spoczywającego na jego biurku. – Bardzo wyrosłeś podczas lata, co nam ogromnie pomoże.

Łypnąłem okiem na futerał.

– Co sądzisz o wiolonczeli, Bo?

Szczerze mówiąc, to nie miałem zdania i się do tego przyznałem.

– To piękny instrument – powiedział Iwan. – Łagodny, dźwięczny, fundamentalny... posiada szeroką gamę tonów, od spokojnych, pełnych powagi niższego rejestru po wybuchy namiętności w tym wyższym. Przypomina mi trochę ciebie. Zaznałeś w życiu ogromnego bólu i cierpienia. A jednak jest w tobie coś z bohatera. Mam nieprzeparte wrażenie, że mimo wszystko jest ci pisana wielkość.

– Jako wiolonczeliście? – spytałem otwarcie.

Roześmiał się.

– Możliwe. A może w innej dziedzinie. Chodzi mi o to, że wiolonczela ma w sobie dwoistą naturę. Z jednej strony to solidny, choć melancholijny instrument basowy, z drugiej zaś potrafi wyrazić pasję heroicznego tenora. Myślę, że by ci pasowała.

– Nigdy nie grałem na tak dużym instrumencie. Ale oczywiście chcę spróbować wszystkiego, co pan mi radzi.

– Dobrze. Najlepsze w moim planie jest to, że wiolonczela spoczywa wygodnie między nogami. Nie będzie potrzeby wykorzystywać tych twoich ciężkich ramion, tak jak wymagają tego skrzypce. To mój drugi instrument, więc sam będę cię uczył.

I w ten sposób we wtorki grałem na wiolonczeli, a w piątki na skrzypcach. Z początku wydawało mi się czymś obcym trzymanie tak dużego przedmiotu między nogami, a smyczka na wysokości brzucha. Ale rzuciłem się w to z zapalem i byłem zadowolony z postępów. Nie mam wiolonczeli i nie mogę ćwiczyć w domu, musiałem więc bardziej się skupiać i wykorzystywać w pełni każdą chwilę nauki w konserwatorium.

Dziś znów poczułem potrzebę sięgnięcia po pióro, bo to Wigilia, a ojciec wpoił mi, że tego dnia trzeba zastanowić się nad minionym rokiem; to moment refleksji nad tym, co się zdarzyło. I dlatego bardzo dużo myślałem o Bel... choć pewnie nie tyle co Laurent Brouilly, który od powrotu z Brazylii jest kompletnie załamany. Nie muszę mówić, że nadal pomagam w pracowni, bo Laurent, choć obecny fizycznie, duchem jest gdzie indziej. Kilka dni temu usłyszał, jak ćwiczyłem *Poranek* Griega na ławce przed pracownią, i do mnie podszedł. Miał łzy w oczach.

– Gdzie się nauczyłeś tak grać?

Popatrzyłem na niego.

– Kto dał ci skrzypce? Landowski?

Skinąłem głową.

– Widzę, że jak każdy artysta przemawiasz poprzez sztukę – powiedział cicho. – Naprawdę masz talent. Nie zmarnuj go, dobrze?

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową raz jeszcze. Położył mi dłoń na ramieniu, a potem pomachał mi na pożegnanie i ruszył, by się pławić swoim nieszczęściem w barach Montparnasse’u, gdzie spędzał większość czasu, kiedy nie pracował.

Tej nocy obudziło mnie dziwne zawrozczenie pod oknem. Sprawdziłem na zegarze. Było dopiero po drugiej. Nie był to raczej Święty Mikołaj; ten głos należał do kogoś o wiele bardziej realnego. Wyjąłem skórzaną sakiewkę spod pachy i zawiesiłem na szyi. Potem uchyliłem okno i wyjrzałem na dół, na podwórze. Dostrzegłem Laurenta, a obok niego kilka butelek. Szybko uznałem, że próby ponownego zaśnięcia to próżny trud, a ojciec uczył mnie, że w Wigilię powinno się szukać okazji, by pomóc innym. Zrozumiałem, że to znak. Włożyłem najcieplejszą kurtkę, ostrożnie otworzyłem drzwi pokoju na poddaszu, cicho zszedłem na parter i po chwili znalazłem się na zewnątrz. Ruszyłem za dźwiękiem szlochów na podwórzu. Laurent trzymał się za głowę. Pomyślałem, jak dobrze się złożyło, że zdecydował się płakać właśnie pod moim oknem na tyłach domu, a nie pod którymś od frontu, tam gdzie były sypialnie Landowskich.

Zbliżając się, celowo stąpałem głośniejszym krokiem, żeby mnie zauważył i w swoim upojeniu nie wziął przypadkiem za ducha. Obrócił się, strącając przy tym jedną butelkę. Instynktownie podniosłem palec do ust i przyłożyłem dłoń do policzka, by pokazać mu, że domownicy śpią.

– Bo, przepraszam. – Pociągnął nosem. – Obudziłem cię?

Skinąłem głową.

– O Boże. Tak mi wstyd. To ty jesteś tu dzieckiem, nie ja.

Podszedłem i usiadłem obok niego. Patrzył na mnie trochę zakłopotany.

– Obiecuję, że już będę cicho. Wracaj do łóżka, proszę.

Pokazałem na księżyc, a potem na serce Laurenta.

– Monsieur Landowski jest bardzo uprzejmy, że mnie tu trzyma, kiedy chwilowo jest ze mnie nie więcej pożytku niż z roztopionej czekolady. – Roześmiał się. – Nawet zgodził się wysłać mnie do Brazylii, choć wiedział, że chodzi mi o coś więcej niż bezpieczne dowieszenie tam Cristo. To wspaniały człowiek.

Wskazałem na siebie.

– Święta racja. Obu nam okazał wiele serca.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Bardzo wyrosłeś, kiedy mnie tu nie było. Zmężniałeś. Nie tylko fizycznie. Przyjemnie patrzeć, jak rozkwitasz. Bel tak by się cieszyła. Gdybym tylko mógł jej o tym opowiedzieć...

Uniosłem brwi i wzruszyłem ramionami.

– Chcesz wiedzieć, co się stało? Prawdę mówiąc, sam nadal próbuję to zrozumieć. Byliśmy razem w Rio. Ale oboje wiedzieliśmy, że muszę wrócić do Paryża. Nie mogłem stracić pracy u monsieur Landowskiego. Błagałem, żeby ze mną pojechała i zostawiła tego żalostnego nieroba Gustava. Myślałem, że wybierze mnie, Bo. Ale nie wybrała. I tyle. Pewnie nigdy nie pojmę dlaczego.

Zaszlochał, a ja położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Z tego, co wiem, podczas mojej nieobecności w twoim życiu pojawiła się jakaś wyjątkowa osoba, przyjaciółka. To prawda?

Skinąłem głową, patrząc na niego ze współczuciem.

– Wyobrazasz sobie teraz życie bez niej?

Tym razem pokręciłem głową.

– W takim razie, młody człowieku, może rozumiesz, co mnie spotkało.
– Załkał. – Ty lepiej niż ktokolwiek wiesz, jaka ona jest dobra. Przecież nie

byłoby cię tutaj, gdyby nie Bel.

Z pewnością była to prawda. Jeśli mam być szczery, zaskoczyło mnie nieco, że w ogóle wrócił do Paryża. Po tym, jak widywałem w pracowni jego i Bel, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że się kochają. Poszedłbym o zakład, postawiłbym wszystko na to, że byliby gotowi uciec razem na koniec świata, gdzie mogliby być szczęśliwi, mając jedynie siebie nawzajem. Wiedziałem już jednak, że w życiu nie zawsze wystarczy miłość, by dwoje ludzi mogło być razem.

– Wiesz, nie przyszła się nawet ze mną pożegnać. Może uznała, że to będzie zbyt bolesne. Przysłała tylko służącą. Z tym. – Sięgnął do kieszeni i wyjął coś białego, gładkiego. – Wiesz, co to jest?

Zmrużyłem oczy. W blasku księżyca poznałem, co trzyma w dłoni.

– Płytką z Cristo. Stało się tradycją wśród robotników, by wypisywać na odwrocie słowa miłości, a potem wmurowywać te płytki w pomnik, na wieczność. Popatrz.

Gdy podał mi płytkę, podniosłem ją bliżej oczu. Udało mi się odczytać:

30 października 1929

Izabela Aires-Cabral

Laurent Brouilly

– Wiele myślałem o jej decyzji, by dać mi tę płytkę. Robiąc to, postanowiła nie utrwalić naszej miłości, tylko oddać ją mnie, nieodwzajemnioną. Więc nie chcę tego trzymać. Proszę, weź ją sobie.

Próbowałem wcisnąć kamienną płytkę z powrotem w jego dłoń, ale jej nie przyjął.

– Chyba nie rozumiesz, Bo. Jeśli Cristo wzbudzi taki zachwyty, jak przewiduję, ten mały kawałek będzie pewnego dnia miał naprawdę dużą

wartość. Może go sprzedasz.

Laurent wstał, chwiejąc się lekko.

– Albo zatrzymasz go na zawsze. Żeby przypominał ci, że nie wolno stracić kogoś, kogo kochasz. Bo inaczej staniesz się taki jak ja!

Też się podniosłem.

– Utracona miłość to przekleństwo, Bo. Strasznie boli. Nie tylko serce. Cierpi każda cząstka ciała. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał doświadczyć tego, co czuję.

Złapał butelkę z resztką trunku i pociągnął w rozpaczony łyk, po czym spojrzał na księżyc.

– Dziwne, nie sądzisz?

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Ona jest po drugiej stronie świata, ale teraz może widzieć to samo.

Zamknął oczy i przez chwilę stał nieruchomo.

– No dobrze, dobranoc, Bo. Spotkamy się przy pracy w atelier. I...
Wesołych świąt.

Laurent Brouilly ruszył ciężkim krokiem w noc, a ja wróciłem do swojego pokoju. Wsunąłem płytkę do sakiewki razem z tym, co tam chroniłem, położyłem się i znów schowałem sakiewkę. Laurent strasznie cierpiał; wyraźnie to czułem. Posłałem cichą modlitwę do Siedmiu Sióstr, by miały go w swojej opiece. I Bel też.

*

Dzień Bożego Narodzenia był magiczny. Pod ogromną choinką, udekorowaną pięknie świeczkami i papierowymi ozdobami, ze zdumieniem odkryłem prezent dla mnie.

– Père Noël był pod wrażeniem, że tak pomagasz mojemu mężowi pod nieobecność pana Brouilly’ego, i chciał cię za to wynagrodzić – powiedziała pani Landowska i uśmiechnęła się.

Paczka miała kształt, po którym łatwo było odgadnąć zawartość. Ostrożnie zdjąłem brązowy papier, a potem odpiąłem zamki skórzanego futerału. W środku znajdował się jeden z najwspanialszych instrumentów, jakie widziałem. Wiolonczela miała gładki świerkowy wierzch i błyszczące klonowe drewno po bokach i z tyłu. Była tak wypolerowana, że mogłem się w niej przejrzeć, a kiedy podniosłem ją z futerału, uderzył mnie w nozdrza przyjemny zapach wanilii i migdałów.

Pan Landowski położył mi dłoń na ramieniu.

– Została zrobiona przez niemieckiego mistrza, G.A. Pfretzschnera – oznajmił. – Więc jeśli nie dojdzie do jakiegoś wypadku, powinna ci starczyć na całe życie. Monsieur Iwan przewiduje, że szybko urośniesz, pomyślałem więc, że rozmiar jak dla osoby dorosłej będzie właściwy. Popytałem o to sam. – Madame Landowska rzuciła mu znaczące spojrzenie. – To znaczy Père Noël prosił, żebym się wszystkiego dowiedział w jego imieniu.

Spontanicznie mocno go uściskałem.

Ten hojny prezent nie był jednak najlepszym, co spotkało mnie tego dnia. Landowcy wiedzieli wszystko o Elle z regularnych rozmów monsieur Landowskiego z Iwanem i okazali się tak mili, że zasugerowali, bym zaprosił ją na bożonarodzeniową kolację. Choć z początku miałem tremę, okazało się, że było bardzo przyjemnie. Serce mi rosło, kiedy patrzyłem na siedzących przy stole ludzi, którzy tak wiele dla mnie znaczyli. Elle odnalazła się wśród nich doskonale, zauroczyła państwa Landowskich wdziękiem i naturalnym sposobem bycia.

Po jedzeniu zapanował melancholijny nastrój. Jeden po drugim członkowie rodziny odchodzili od stołu, by siąść na kanapach w salonie, z książką, układanką albo żeby podrzemać. Ja i Elle pomogliśmy posprzątać ze stołu, a potem włożyliśmy palta i zabrałem ją na ławkę przy pracowni.

Wziąłem jej dłoń i zmobilizowałem się. Od kilku tygodni planowałem tę chwilę. Było Boże Narodzenie, miałem przy sobie Elle i wiedziałem, co chcę zrobić. Nadszedł właściwy moment. Spojrzałem w kierunku Siedmiu Sióstr, poprosiłem o siłę i wreszcie z moich ust padły słowa, które od tak dawna chciałem wypowiedzieć.

– Kocham cię, Elle.

Zrobiła wielkie oczy i ścisnęła mocniej moją dłoń.

– Powiedz: czy to mi się tylko zdawało?

– Nie – odparłem.

Rozpromieniła się.

– Tak myślałam! – Zaczęła się śmiać, a potem zarzuciła mi ręce na szyję. – Witaj, Bo!

– Witaj, Elle. – Byłem w euforii. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham! – Prawie pisnęła z radości. – Och, tak długo czekałam, aż usłyszę, jak mówisz. Wiedziałam, że potrafisz! Ale powiedz, dlaczego tyle to trwało, nim się zdecydowałeś.

Popatrzyłem na pogodne paryskie niebo, na którym migotało Siedem Sióstr.

– Zanim wyjawię ci, dlaczego przysiągłem sobie milczeć... Słyszałaś o gromadzie gwiazd Plejady?

Pokręciła głową; chyba nadal nie mogła uwierzyć, że naprawdę do niej mówię.

– Nie... Muszę przyznać, że nie.

– Nie wyobrażam sobie lepszego tematu do naszej pierwszej rozmowy.

Od bardzo dawna nie mogłem podzielić się z nikim ich historią.

Oparła głowę na moim ramieniu.

– Opowiedz mi ją – poprosiła.

– Widzisz najjaśniejszą gwiazdę na niebie? Tę nad iglicą kościoła?

– Tak! Jaka piękna.

– Nazywa się Maja. A teraz, jak się przypatrzysz, zobaczysz obok niej inne jasne gwiazdy, które tworzą kształt półksiężyca.

– Widzę...

– To kolejne sześć z Siedmiu Sióstr. Od góry: Alkione, Asterope, Tajgete, Celaeno, Elektra... i Merope, zaginiona siostra.

– Zaginiona? Dlaczego tak ją nazywają? Ja ją widzę.

– Wiem. Zawsze wydawało mi się to interesujące. Mogę tylko przypuszczać, że kiedyś zaginęła i została odnaleziona. Lubię myśleć o niej jako o gwiazdzie nadziei. A z lewej strony Merope... Widzisz tę jasną gwiazdę nad drugą? Mniejsza to Plejone, a większa... to Atlas.

Wziąłem głęboki wdech.

– To rodzice Siedmiu Sióstr.

– Mówisz o nich tak, jakby to byli prawdziwi ludzie, Bo.

– Jakie mamy prawo twierdzić, że nimi nie byli? Legenda głosi, że gdy Atlas został skazany na dźwiganie na barkach ciężaru świata, jego córki były prześladowane przez Oriona. I dlatego wszechmocny Zeus przemienił dziewczęta w gwiazdy, by pocieszyć Atlasa.

Oczy Elle błyszczały, kiedy patrzyła na niebo.

– Jak pięknie.

– Też tak myślę. Są również inne interpretacje, ale już nie tak romantyczne. Ja zdecydowałem się wierzyć w tę historię. – Spojrzałem na Elle. – Sporą część życia spędziłem sam, nigdy jednak nie bez gwiazd nade mną. Wierzę, że mnie chronią. – Spuściłem wzrok. – Ojciec mi tak mówił.

– Twój ojciec? Gdzie on jest, Bo?

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. Nie widziałem go od lat. Wyruszyłem go szukać, ale... choć trudno to przyznać, nie sądzę, że jeszcze żyje.

– A twoja matka?

– Umarła.

– Tak mi przykro.

Ośmieliłem się otoczyć ją ramieniem.

– To sytuacja, którą ty musiałaś znosić przez całe życie – powiedziałem.

– I dlatego tak ci współczuję. – Położyła dłoń na moim policzku. – Tak bardzo mi przykro...

Ścisnęło mnie w gardle.

– Dziękuję, Elle.

– Powiedz mi... dlaczego właśnie dziś zdecydowałeś się do mnie przemówić? Mogłeś to zrobić już tyle razy!

Zastanawiałem się przez chwilę nad jej pytaniem.

– To Boże Narodzenie, czas, który przypomina nam, że żyjemy tylko raz i nie wolno tracić chwili.

– To miłe, ale całkiem bez sensu. Jesteśmy sami. Powiedz mi, proszę, prawdę.

Popatrzyłem jeszcze raz na gwiazdy. Ich cichy, stoicki majestat dał mi pewność siebie potrzebną, by wyjawić Elle prawdę.

– Nie mówię, bo boję się, że jeśli powiem coś niewłaściwego, będę miał kłopoty.

– Kłopoty? – Na jej twarzy malował się niepokój.

– Tak. Ale kiedy jestem z tobą, nie czuję lęku, Elle. Czuję się odważny. Więc nie będę dalej milczeć.

– Och, Bo. Przed czym ma cię chronić milczenie?

– Uciekam przed kimś, Elle. Przed kimś, kto poprzysiągł, że mnie zabije. Chroni mnie jedynie to, że mój prześladowca nie wie, gdzie jestem. Jeśli zacznę mówić, prawdopodobieństwo, że informacje o miejscu mojego pobytu się rozejdą, wzrośnie, a tego nie jestem gotów ryzykować.

– *Mon Dieu*, Bo. Kto to jest? Ten człowiek, który chce cię skrzywdzić?

– Inny chłopiec – odparłem po chwili.

– Chłopiec? Bardzo chętnie się z nim spotkam. Mali chłopcy bardziej niż czegokolwiek w świecie boją się starszych, mądrzejszych od nich dziewczynek. Widziałeś, jak krótko trzymam Maurice'a i Jondrette'a.

Elle była taka dobra. Serce mi rosło.

– Dziękuję za propozycję, ale z całym szacunkiem, mali chłopcy jak Maurice i Jondrette nie są naprawdę groźni. Ten, przed którym uciekam, wierzy, że zrobiłem coś potwornego, i dlatego jest bardzo niebezpieczny.

– Na ile groźny może być jakiś chłopiec?

– On obwinia mnie... o czyjąś śmierć.

– Śmierć? – powtórzyła, starając się ukryć szok.

– Tak.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Zapadła niezręczna cisza.

– A ty... byłeś winny tej śmierci?

– Nie. Tylko że on nigdy nie uwierzy, jaka była prawda. Musiałem więc przed nim uciekać i boję się, że tak już będzie zawsze.

– Gdzie ten chłopiec jest teraz? We Francji?

– Nie sądzę. Mam nadzieję, że nadal dzieli nas kilka krajów.

– Krajów? Przeszedłeś wiele granic?

Skinąłem z powagą głową.

– Uciekając przed nim, szedłem śladem ojca. Tata wyruszył do Szwajcarii, swojej ojczyzny, żeby znaleźć ratunek dla mnie... i rodziny tego chłopca. To tam usiłowałem dotrzeć, kiedy ponad rok temu znaleziono mnie nieprzytomnego pod żywopełotem państwa Landowskich.

– Tylu rzeczy jeszcze nie rozumiem, ale jak, na Boga, ten chłopiec mógłby się dowiedzieć, gdzie jesteś?

– Jest coś, co bardzo komplikuje sprawę. – Wziąłem głęboki wdech i zdjąłem skórzaną sakiewkę z szyi. – Ten... przedmiot... jest powodem całego nieszczęścia.

Rozejrzałem się, by upewnić się, że w ciemnościach nie czai się ktoś, kto mógłby nas podejrzeć, i wyjąłem z woreczka kamień. Nawet wśród mroku nocy, pokryty pastą do butów i klejem, i tak miał zdolność przyciągania każdego promienia światła i zamigotał nam przed oczami.

– Bo... – wyszeptała zdumiona Elle.

Uniosłem go, by mogła zobaczyć wyraźnie.

– To diament.

– Niemożliwe. Jest ogromny. Największy, jaki widziałam.

– Zapewniam cię, że jest prawdziwy. Ten chłopak myśli, że ukradłem go jego matce i ją zamordowałem.

Elle zakryła dłonią usta.

– Wierz mi, że nic nie jest dalsze od prawdy. Wiem jednak, że póki sądzi, że mam ten kamień, nie powstrzyma się przed niczym, by mi go odebrać i mnie zabić. Jest bardzo inteligentny...

– Tak jak ty?

Zdołałem się uśmiechnąć na te miłe słowa.

– Teraz rozumiesz, dlaczego nie mówię? – spytałem. – I dlaczego nie wolno ci zdradzić komukolwiek, że mówię, ani nic z tego, co ci dzisiaj powiedziałem?

Wsunąłem diament z powrotem do skórzanego woreczka i zawiesiłem na szyi.

– Musisz opowiedzieć mi swoją historię, Bo. Wszystko.

Pokręciłem głową.

– To długa i smutna opowieść.

Elle usiadła wyprostowana.

– Popatrz na mnie – powiedziała z powagą. – Jestem twoją Elle i kocham cię bardziej, niż kochałam kogokolwiek lub cokolwiek w życiu. Obiecuję, że to, co mi powiesz, utrzymam w tajemnicy aż do śmierci. Przysięgam ci to pod Siedmioma Siostrami z Plejad.

Tak naprawdę bardzo chciałem podzielić się z nią każdym szczegółem. Ale miałem obowiązek ostrzec ją, by zdawała sobie sprawę z konsekwencji.

– Elle – zacząłem – odkąd pojawiłaś się w moim życiu, znów czuję, że żyję. Potrafię cieszyć się zapachem mocnej kawy pana Landowskiego, ciepłem pościeli i szmerem płynącej Sekwany. Wszystko to dlatego, że cię poznałem.

– Ja czuję to samo – odparła cicho.

– Musisz zdawać sobie sprawę, że opowiadając ci tę historię, mogę narazić i twoje życie. A gdyby kiedykolwiek coś ci się stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. – Odwróciłem od niej wzrok. – Tak naprawdę nie miałbym po co żyć dalej.

Elle ujęła moją twarz i odwróciła ją tak, że patrzyliśmy sobie w oczy.

– Ja też nie chciałabym żyć bez ciebie – powiedziała. – I chciałabym znać twoją historię.

Jak mógłbym odmówić tym błękitnym oczom?

– Dobrze. Spróbuję ci to opowiedzieć – zdecydowałem.

Opowiedziałem jej o wszystkim, od chwili moich narodzin w wagonie kolejowym w 1918 roku do dnia obecnego. Mówiłem o ojcu, okrutnych zimach, patrzeniu w gwiazdy i skrzypcach, rozdzielanych rodzinach i głodzie. Opowiedziałem, jak wymyśliłem imię Bo, jak naprawdę mam na imię, i o tym, że nigdy nie wolno jej go używać.

Słuchała wstrząśnięta, w milczeniu. A kiedy skończyłem, zauważyłem na jej policzkach łzy.

– Dlaczego płaczesz, Elle?

– Bo jesteś taki dobry, a świat potraktował cię tak brutalnie.

– To samo myślę o tobie. Ale teraz mamy siebie nawzajem.

– Na zawsze – dodała Elle.

Obejmowaliśmy się pod okiem Siedmiu Sióstr. W tej chwili nie byliśmy dziećmi, ale dwójką starych dusz, przedwcześnie zmęczonych życiem.

– Czy to, co usłyszałaś, coś zmienia? – spytałem.

– O tak – powiedziała. Serce mi zamarło. – Kocham cię jeszcze bardziej i jeszcze bardziej pragnę cię chronić.

– To dobra wiadomość – odparłem. – Jeśli mam być szczery, to myślałem, że odstręczy cię mój głos, który staje się piskliwy w najmniej odpowiednich momentach.

Zachichotała.

– Myślę, że to urocze. I nie martw się, widziałam, jak inni chłopcy w sierocińcu przechodzili ten okres, zanim ich struny głosowe się ustatkowały. To przejdzie.

– No to kamień z serca.

– Bo...

– Tak, Elle?

– Ominąłeś jeden szczegół. Ten chłopiec, który poprzysiągł cię zabić...

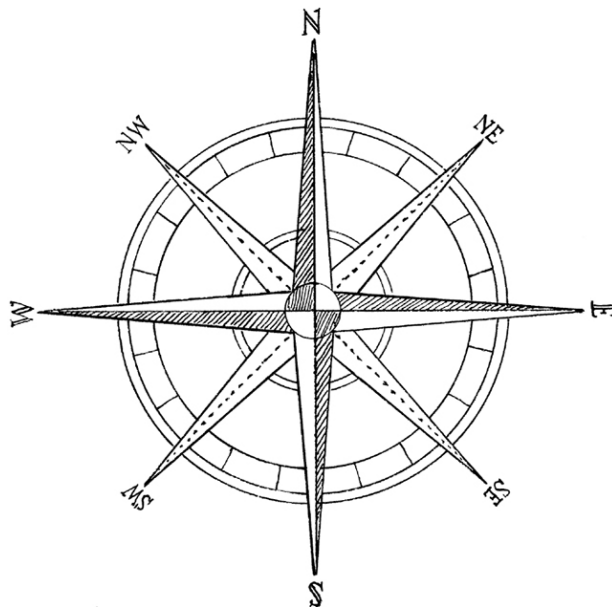
Jak on się nazywa?

Popatrzyłem w gwiazdy, wiedząc, że gdzieś daleko stąd on na pewno robi to samo.

– Kreeg Eszu.

Tytan

Czerwiec 2008



Płacz Beara sprawił, że Ally wróciła do terażniejszości. Drżącymi rękami odłożyła ciężką stertę kartek pamiętnika na komodę w kajucie.

– Już, już, słońko.

Podniosła syna z łóżeczka, w którym jeszcze chwilę temu spokojnie drzemał. Ryk silników *Tytana* akurat ucichł i, o dziwo, właśnie ta zmiana obudziła dziecko.

– Kapitan Hans najwyraźniej znalazł miejsce do zrzucenia kotwicy na noc, Bear. Nic takiego się nie stało.

Usiadła na łóżku i działając na autopilocie, pohuśtała syna na kolanach. Zamrugała znużona i zdała sobie sprawę, że pochłonięta od kilku godzin czytaniem, nawet nie zauważyła, jak popołudnie przechodzi w wieczór. Zapaliła lampkę przy łóżku, a potem przystawiła Beara do piersi. Miała w głowie zamęt. Wyobrażała sobie, że jej siostry są równie poruszone odkryciem, że Pa Salt znał Kreega Eszu, a co więcej, że najwyraźniej przed nim uciekał. Ally myślała przede wszystkim o Mai, dla której ten fakt musiał być szczególnie trudny do zaakceptowania. Dobrze, że miała przy sobie Floriana.

Ally musiała jednak uporać się z czymś jeszcze. Bo i Elle... Znała te imiona. Byli przyjaciółmi jej dziadków, Pipa i Karine Halvorsenów, i często wspomniano o nich w biografii *Grieg, Solveig og Jeg* – pierwszym tekście, dzięki któremu Ally poznała swoje korzenie. Bo był Pa Saltem. Łzy

podeszły jej do oczu, kiedy pomyślała, że nie mówił o tym, a przecież był najbardziej utalentowanym muzykiem w konserwatorium w Lipsku. Usilnie próbowała sobie przypomnieć, czego dowiedziała się o przyjaciółach dziadków, ale poza tym, że uciekli razem z Niemiec do Norwegii – bo Elle i Karine były Żydówkami – nic jej nie przychodziło do głowy. Co się stało z tamtą parą? Czy dobrze kojarzyła, że potem popłynęli do Szkocji? Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi.

– Proszę – rzuciła automatycznie.

Drzwi otworzyły się i w pokoju pojawił się Jack, wysoki i przystojny.

– Hej, Ally... – Zauważył, że karmi Beara. – Ups... przepraszam, mogę przyjść później. Nie chciałem...

Zaczerwieniła się.

– Nie, nie, to ja przepraszam, zamyśliłam się... Wejdz. On za chwilę skończy.

– Jasne. – Jack zajął miejsce na obitym skórą krześle obok komody. – Zamierzałem tylko zajrzeć i sprawdzić, jak się masz. Dajesz sobie radę?

– Tak.

Ally uśmiechnęła się do niego blado.

– Jadłaś coś? – spytał. – Albo chociaż napiłaś się wody czy herbaty?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Wiesz, tak naprawdę to nie – odparła w końcu.

– To wyjaśnia, dlaczego jesteś taka blada.

Nie miała siły tłumaczyć mu tego, czego się dowiedziała z pamiętnika i jaki to miało związek z nią.

– Pozwól, że włączę czajnik – powiedział Jack. – A na razie napij się wody. – Wyjął z lodówki butelkę Evian i jej podał.

– Dzięki. Byłbyś tak dobry i...? – Spojrzała na zakrętkę.

– Och, przepraszam, oczywiście.

Gdy otworzył butelkę, Ally chwyciła ją wolną ręką i upiła spory łyk.

– Od razu lepiej. Co robią pozostali? – spytała, rzucając okiem na sufit.

– Szczerze mówiąc, miasto jest kompletnie wymarłe. Wszyscy się pochowali i czytają. Nawet mamy nie widziałem po południu. Musi być tak pochłonięta lekturą jak ty. A reszta z nas kręci się bez celu, jak to piąte koło u wozu. Prowadzimy wymuszone rozmowy i krępujemy się poprosić o coś obsługi.

– Jack, nie wygłupiaj się. Nie jesteście piątym kołem u wozu. Po tym, co przeczytałam, wydaje mi się, że każda z moich sióstr będzie potrzebowała wsparcia, i to wy będziecie musieli przejąć tę rolę.

– Nie tylko każda z twoich sióstr, ale też ty – sprostował. Uśmiechnął się do niej, szykując herbatę.

Serce Ally zatrzepotało, jakby była nastolatką.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedziała. – Ale naprawdę nic mi nie jest. I mam przy sobie syna.

Spuściła wzrok na Beara.

– Nie jestem ekspertem, ale z tego, co wiem o niemowlakach, zwykle nie są najlepszymi rozmówcami.

Ally roześmiała się.

– Mam wrażenie, że jesteś wśród sióstr liderką – ciągnął Jack. – Pozostałe dziewczyny czekają na twoje dyrektywy. Ale wszystkie mają partnerów, którym mogą się wyzalić za zamkniętymi drzwiami kajut. Ty jesteś tego luksusu pozbawiona, tylko syn odwraca twoją uwagę od problemów. Więc... chciałem powiedzieć, że... – Wyciągnął do niej rękę. – Jestem tu na każde twoje skinienie.

– To naprawdę bardzo miłe z twojej strony, dziękuję – odparła szczerze.

Jack postawił herbatę na komodzie i schował mleko do lodówki.

– Jack...?

– Tak?

– Chciałam tylko powiedzieć, że... – Bear stęknął i popatrzył na Ally. –
Przepraszam, daj mi chwilę.

– Jasne, nie spiesz się.

Gdy odstawiała syna od piersi, zauważyła, że Jack odwrócił dyskretnie wzrok. Pomyślała, że to urocze. Zadowolony Bear, położony na łóżku, zaczął gaworzyć.

– Chciałaś coś powiedzieć?

Zarumieniła się.

– Nie... nic.

Jack skinął głową i spuścił wzrok.

Czując się niezręcznie, Ally postanowiła zmienić temat.

– Nie zdążyłam podzielić się z tobą największą rewelacją z pamiętnika.
– Podeszła, by wziąć stertę kartek z komody. – Jak się nazywał ten dom w Irlandii? Ten na zachodzie hrabstwa Cork, na który wskazywały współrzędne twojej mamy?

– Dwór Argideen? – podsunął Jack.

– No właśnie. Udało ci się dokopać do informacji, że należał do kogoś o nazwisku Eszu, pamiętasz?

– Tak.

– Mój ojciec znał tego człowieka. I to chyba dość dobrze.

– Ciekawe. I co z tego wynika?

– Jeszcze nie mam na to odpowiedzi, ale jestem coraz bliżej. Właśnie! Powinam pójść do Mai. Dla niej ta informacja może być największym szokiem.

- Mogę zapytać dlaczego?
- Wybacz, to nie moja historia, więc nie mam prawa jej opowiadać.
- Jasne. Słuchaj, może popilnuję tu małego, a ty idź do siostry?
- Zrobiłbyś to dla mnie?
- Żaden problem.
- Dziękuję, Jack. Możesz go gdzieś zabrać, jeśli nie chcesz tu siedzieć.

A jak ci się znudzi, to znajdziesz Marinę.

Złapała herbatę i ruszyła do drzwi.

- Fajnie. Dawaj, Grizzly Bear, może wybierzemy się na górny pokład?
- Jack spojrzał na Ally. – Możesz iść, nie musisz czekać. Do zobaczenia później.

*

Mai zrobiło się niedobrze. Wróciły przykre wspomnienia przymilnego, śliskiego Zeda Eszu – syna Kreega. Na myśl, że kiedyś Pa Salt był zmuszony uciekać przed jego ojcem, chciało się jej krzyczeć. Czy Zed znał historię ich rodziny? Zapewne. Może dlatego wybierał sobie za cel siostry D’Aplièse. Wiedziała doskonale, że był związany również z Elektrą, a Tiggy opowiadała o jego przyjeździe do Szkocji. Obecność Zeda w życiu córek musiała bardzo boleć Pa Salta.

- Łajdak! – krzyknęła, rzucając kartki pamiętnika na podłogę.
- Maju? – odezwała się Star. Ona i CeCe pojawiły się w drzwiach biblioteki.

Maja ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Siostry podbiegły i objęły ją.

- Tak mi przykro – powiedziała Star. – To musi być dla ciebie okropne.
- Masz pełną rację, Maju. To podły sukinsyn – dodała CeCe.

– Zed wiedział, prawda? – spytała Maja. – Wiedział o Kreegu i tacie. Dlatego krążył wokół nas jak uprzykrzona osa. Czuję się tak ohydnie wykorzystana. Urodziłam jego dziecko!

– To nie twoja wina – wtrąciła Star.

Choć Maja zwierzyła się jedynie Ally, pozostałe siostry zawsze podejrzewały, co się stało, kiedy Maja na tyle miesięcy przeprowadziła się do pawilonu w Atlantis pod pretekstem mononukleozy.

– Przyszliśmy od razu, jak tylko to przeczytałyśmy.

– Dziękuję, Star. – Maja pociągnęła nosem. – O rany. Niezłe emocje, co? Trudno mi myśleć, że tata był tak zrozpaczony i samotny.

– Przynajmniej miał Elle – powiedziała CeCe. – Zmieniła jego życie. Nawet jego charakter pisma po tym, jak ją poznał, stał się bardziej... zamaszysty. Wiesz, o co mi chodzi?

Maja wydała z siebie ni to szloch, ni to chichot.

– O dziwo, wiem. I jestem szczęśliwa, kiedy czytam, jacy dobrzy byli dla niego Landowscy.

– Rzeczywiście byli – przyznała Star. – Dopiero kiedy to powiedziałaś, zdałam sobie z tego sprawę. To musiało być dla ciebie szczególnym przeżyciem: czytać o tym, jak tata spędzał czas w domu i w pracowni rzeźbiarza, i o jego znajomości z Laurentem Brouillem.

– To Pa Salt był tym milczącym małym chłopcem, o którym czytałam w listach Bel. Nie do wiary!

– I to tłumaczy, skąd tata miał płytkę ze steatytu, którą włożył do koperty z twoim listem – dodała Star.

– No, tak.

W bibliotece pojawiła się Ally. Wzięła Maję za rękę i uściśnęła ją.

– Och, kochanie. Jesteśmy z tobą wszystkie. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała...

– Zaraz wezmę się w garść. – Maja otarła oczy rękawem. – Zed to kawał drania i wiem o tym od dawna.

Ally podała jej chusteczkę, którą wyciągnęła z kieszeni. Maja przyjęła ją z wdzięcznością i wytarła oczy.

– A więc tata znał Kreega – powiedziała.

– Myślę, że „znał” to trochę mało powiedziane – wtrąciła CeCe.

– Dlaczego nigdy o tym nie mówił? – wychlipała Maja. – Przecież musiał być wściekły, kiedy wspomniałam mu, że poznałam chłopaka, który nazywa się Zed Eszu.

– Nie wiem. – Star pogładziła ją po włosach. – Może z czasem on i ojciec Zeda się pogodzili? Przecież na razie znamy tylko kawałek tej historii – wtrąciła.

– Coś mi mówi, że do tego nie doszło, Star – powiedziała Maja. – Wszystkie wiemy, że w dniu śmierci taty Kreeg popełnił samobójstwo. – Zwróciła się do Ally. – Mówiłaś, że tamtego dnia obok *Tytana* zobaczyłaś *Olympusa*, prawda?

– Sama go nie widziałam, ale przyjaciel Theo wspomniął o nim przez radio – wyjaśniła Ally. Westchnęła i przeczesała palcami włosy. – Tak naprawdę myślę, że czas, bym podzieliła się z wami jeszcze jedną informacją.

– O co chodzi? – spytała ostro CeCe.

– Pamiętacie, że współrzędne Merry wskazywały na dwór Argideen w Irlandii?

Siostry zastanawiały się przez chwilę, po czym pokiwały głowami.

– Choć ten dom od dawna stoi opuszczony, należy do rodziny Eszu. Jack odkrył to, kiedy sprawdzał, kto jest właścicielem.

Zapadło milczenie; wszystkie starały się pojąć, co może z tego wynikać.

– I co to oznacza? – spytała wreszcie Star.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale jedno jest pewne: Zed, dwór Argideen, *Olympus* zacumowany blisko *Tytana* w dniu śmierci taty... To wskazuje, że kluczem do zrozumienia wszystkiego jest związek pomiędzy Pa Saltem a Kreegiem.

– Racja. – Maja pociągnęła nosem.

– Zwołam resztę. Sprawdzimy, do jakiego miejsca doczytały. Będziemy mogły porozmawiać o wnioskach przy paru butelkach rosé.

– Dobra myśl. – Star skinęła głową. – Nie znamy jeszcze tak dużej części tej historii. Skąd pochodził tata, dlaczego Kreeg wierzył, że to on zamordował jego matkę... ten diament...?

– Można mieć tylko nadzieję, że wszystko się wyjaśni na kolejnych stronach pamiętnika – powiedziała Ally, kładąc dłoń na ramieniu Star.

Georg Hoffman obracał szklanę z whisky w dłoni, wsłuchany w postukiwanie kostek lodu. Z salonu na górnym pokładzie patrzył na Morze Śródziemne przy włoskim wybrzeżu, które jarzyło się złościście w zachodzącym słońcu. Wyobrażał sobie Neapol, a za nim starożytne Pompeje, których mieszkańcy zastygli w czasie na tysiące lat. Przyszło mu do głowy, że to trafna metafora tej wyprawy – bo zdarzenia z przeszłości nadal w pewien sposób kształtowały teraźniejszość.

Myślał o minionym roku, który był prawdziwym szaleństwem dla sióstr D'Aplièse. Każda z nich, bez wyjątku, poradziła sobie dojrzałe i mądrze z prawdą o swoich korzeniach.

– Byłbyś z nich taki dumny – powiedział w przestrzeń.

Dla Georga szczególnie trudne były ostatnie tygodnie. Niemal nie miał czasu na sen. Telefony z kolejnymi informacjami na temat „sytuacji” były ogromnie przygnębiające. Choć w tych okolicznościach usiłował spisywać się najlepiej, jak tylko potrafił, po raz kolejny czuł się rozdarty pomiędzy rolą prawnika, zobowiązanego do wypełniania życzeń klienta, a człowieka, który kochał tę rodzinę jak własną. Ktoś zapukał do drzwi. Georg obrócił się i zobaczył zaglądającą do salonu Marinę.

– Chciałam sprawdzić, co u ciebie, *chéri*. Dajesz sobie radę? – spytała.

– Tak, dziękuję. Wejdz, proszę. Napijesz się ze mną?

Zamknęła za sobą cicho drzwi.

– Wiesz, przy tej okazji chyba tak – odparła.

Sięgnął po karafkę i nalał starej przyjaciółce porządną porcję.

– To była jego whisky. Macallan, rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty. Nie wątpię, że to on ostatni dotykał tej karafki.

Podał jej drinka.

– Dziękuję. Pamiętam, jak mówił, że polubił lokalne gatunki podczas pobytu w Szkocji.

Marina łyknęła odrobinę i poczuła ciepło aksamitnego trunku, wędrujące przez gardło do żołądka.

– Sądzisz, że dziewczyny doszły już do tego miejsca w pamiętniku?

– Nie jestem pewien. Jak myślisz, jak one to wszystko przyjmą, Marino?

– Trudno przewidzieć. Dla niektórych pewne fragmenty tej historii mogą być łatwiejsze do przyjęcia niż dla innych. Ale cieszę się, że nareszcie każde z nas będzie miało ten sam obraz.

– Tak.

– Mogę spytać, jakie są ostatnie wiadomości? – Marina uważnie patrzyła na Georga.

– Nie ma nic nowego poza tym, co powiedziałem ci rano. Jest coraz gorzej. Nie mamy wiele czasu.

Marina przeżegnała się.

– Cokolwiek się stanie, nie możesz się winić, Georg. Działałeś w dobrej wierze, honorowo. – Położyła rękę na jego dłoni.

– Dziękuję, Marino. Te słowa z twoich ust wiele dla mnie znaczą. Tyle razem przeszliśmy przez te lata. Po prostu czuję, że jestem winien mu to, by wszystkiego dopilnować.

– Wiem, że tak będzie, Georg, cokolwiek postanowisz. Nieczęsto się o tym wspomina, ale musisz wiedzieć, że Atlas byłby ogromnie dumny również z ciebie. I z twojej siostry oczywiście. Przepraszam, że nie spytałam... Jak ona sobie z tym radzi?

– Trudno jej, jak byłoby każdemu w tych okolicznościach.

– Mogę sobie wyobrazić. – Marina popatrzyła na morze. – Zawsze uwielbiał to wybrzeże.

Nie odpowiedział, więc spojrzała na przyjaciela i dostrzegła łzy w jego oczach.

– Och, *chéri*, nie płacz, proszę. Bo serce mi pęknie.

– Zawdzięczam mu wszystko, Marino. Wszystko.

– Tak jak ja. Zawsze chciałam o to zapytać... Czy kiedy Atlas znalazł was dwoje nad Jeziorem Genewskim, brałeś pod uwagę, że może oddać was w ręce policji?

Georg podniósł karafkę i dolał do swojej szklanki.

– Oczywiście. Byliśmy tylko parą wystraszonych dzieciaków. Ale on też uciekał przed prześladowaniami. – Powoli pociągnął łyk whisky. – Był dla nas bardzo dobry.

– Odpłaciłeś mu się, Georg. Poświęciłeś życie, by mu służyć.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Bez niego bym nie żył.

Marina też opróżniła swoją szklankę i Georg jej dolał.

– Dziękuję. Ile czasu zostało? Jak sądzi twoja siostra?

Georg wzruszył ramionami.

– Już tylko dni.

– Czy to wpłynie na twoją decyzję, Georg? O...

– Możliwe – przerwał jej. – Odnaleźliśmy Merry i udało mi się przywieźć ją na *Tytana* w ostatniej chwili przed wypłynięciem. Przyznam,

że to może zdecydować o tym, co zrobię.

– Słusznie. Może to znak z góry.

– Jak to zwykle bywało w jego świecie.

Rozległo się pukanie i po chwili do salonu weszła Merry.

– Cześć. Jak tam u was?

– Wszystko w porządku – odparła Marina. – Ale przede wszystkim jak ty się masz, *chérie*?

– O, wspaniale. Pamiętnik to fascynująca lektura. Atlas miał talent literacki, prawda? Jak na tak młodego chłopca był niebywale elokwentny.

– Zawsze miał uzdolnienia językowe. – Marina się uśmiechnęła.

– Chciałam tylko zapytać o tego Kreega Eszu. Na razie wspomina go pobieżnie, ale Jack mówił mi, że to do jego rodziny należał dwór Argideen. Moglibyście powiedzieć mi, skąd ten zbieg okoliczności?

Marina spojrzała na Georga, a ten wychylił resztę whisky jednym haustem.

– No tak – rzuciła. – Wyobrażam sobie, że musiało cię to zaciekawić. – Przez cały czas intensywnie wpatrywała się w prawnika. – Ale nic na ten temat nie wiemy.

– Naprawdę?

– Tak. Myślę, że lepiej powiedzieć ci to teraz, niż żebyś czytała do końca pamiętnik i była potem rozczarowana.

– Jasne. W każdym razie to dość frustrujące, najdelikatniej mówiąc – poskarżyła się Merry.

– Może pewnego dnia się dowiemy. A może to zwykły przypadek – skłamał Georg.

Zmarszczyła nos i cmoknęła.

– No tak, masz całkowitą rację. Na pewno za dużo kombinuję. W końcu to w Irlandii bardzo popularne nazwisko. Przecież są tysiące Murphych, O’Brienów i Eszu. – Merry podparła się pod boki i patrzyła na Georga, unosząc brwi.

Prawnik wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł czoło.

– Chciałabym zadzwonić do Dublina, jeśli to możliwe – powiedziała Merry. – Dałabym znać Ambrose’owi, jaka jest sytuacja. Trudno mi uwierzyć, że od czasu, kiedy go widziałam, nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny. A wydaje się, jakby to było przed wiekami.

– No dobrze – odparł Georg. – W biurze jest telefon satelitarny. Większość załogi potrafi go obsługiwać. Marino, byłabyś tak dobra i zaprowadziła tam Merry?

– Oczywiście. Chodź, *chérie*. A potem może napijemy się przed kolacją po kieliszku wina na pokładzie rufowym?

Panie wyszły i Georg został sam. Westchnął ciężko. To przykre, że właśnie okłamał córkę Atlasa. Może powinien od razu wyjawić całą prawdę i zrzucić z siebie ten wielki ciężar. Ale nie tego życzyłby sobie jego pracodawca. Zawibrowało mu w kieszeni i pospiesznie wyjął telefon. Choć na ekranie wyświetlało się *Numer nieznany*, dobrze wiedział, kto jest po drugiej stronie linii. Wziął głęboki wdech i odebrał.

– Plejone – powiedział.

– Orion – padła odpowiedź.

Te słowa były wymagane przez obie strony, by upewnić się, czy mogą bezpiecznie rozmawiać. Georg wziął się w garść, by zdać wieczorny raport.

19

W gorącej kajucie Ally przewracała się z boku na bok. Podczas kolacji wszyscy czuli się niezręcznie. Każda z sióstr z osobna usiłowała zrozumieć wagę tego, co przeczytała. Floriano i Chrissie dzielnie starali się zapełnić dłuższe chwile milczenia, a Rory i Valentina najwyraźniej coraz bardziej się lubili i bawili siedzących przy stole uroczymi dialogami. Mimo wszystko atmosfera była napięta, co niespecjalnie dziwiło w tych okolicznościach. Kiedy jedli, Ally kilka razy napotkała spojrzenie Jacka, ale zaraz odwracał wzrok, żeby jej nie krępować. Żałowała, że kiedy przyszedł do jej kajuty, nie wyjaśniła mu, dlaczego wcześniej nie powiedziała mu, że ma syna, ale była wtedy za bardzo zdenerwowana. Czuła się głupio. Im dłużej omijała ten temat, tym dziwniej musiało to dla Jacka wyglądać.

Zabrzączał jej telefon i zobaczyła, że ma wiadomość na poczcie głosowej. Na morzu w wielu miejscach nie było zasięgu, ale najwyraźniej Hans zrzucił kotwicę w pobliżu jakiejś wieży transmisyjnej. Wystukała numer, żeby odsłuchać wiadomość.

„Witaj, Ally. Tu Celia... – Głos matki Theo załamał się lekko. – Mam nadzieję, że macie się dobrze, kochanie, ty i Bear! Bardzo liczę na to, że niedługo zobaczę was w Londynie. Daj mi znać, czy się tu wybierasz. Jeśli nie, pakuję ciepłe ciuchy i lecę do Norwegii! Słuchaj, wiem, że wypłynęłaś w rejs, by złożyć hołd swojemu wspaniałemu tacie... Dzwonię tylko, żebyś wiedziała, że o tobie myślę. I jestem pewna, że gdziekolwiek Theo teraz

jest, też się do ciebie uśmiecha. Ściskam cię, kochana, całuję i do zobaczenia”.

Odłożyła telefon. Zalała ją fala wyrzutów sumienia. Głos Celi Falys-Kings był tak serdeczny. Owszem, Ally czuła coś do Jacka, ale wzdrygała się na myśl o nieuszanowaniu pamięci ojca Beara.

– Tak mi przykro, Theo – szepnęła.

Choć siostry ją wspierały, zastanawiała się, co pomyślą inni – jak oceni to jej brat Thom, jeśli ona i Jack kiedykolwiek...? To niezbyt chwalebne znaleźć sobie chłopaka, zanim minął rok od śmierci partnera. A do tego nie chciała sprawić przykrości Merry, dla której ostatnie tygodnie i tak były wystarczająco surrealistyczne, nawet bez tego, że jedna z nowo odnalezionych sióstr żywi niezbyt odpowiednie uczucia do jej syna.

– O Boże – westchnęła.

– Ally? Nie śpisz? – usłyszała głos dochodzący zza drzwi.

Podeszła na palcach i ostrożnie je otworzyła. Stała tam Tiggy w szlafroku z *Tytana*.

– Cześć! Przepraszam, nie chciałam pukać, żeby nie obudzić Beara.

– O to się nie martw. Padł jak zabity. Chcesz wejść?

– Chętnie. – Tiggy miała zadziwiającą zdolność wślizgiwania się bezszelestnie do pokoi, niczym pełen gracji duszek. Była w niej jakaś nieziemski lekkość, która od zawsze zachwycała Ally. – Chciałam tylko coś sprawdzić, bo trochę odpłynęłam podczas kolacji. Czy umówiliśmy się, że przeczytamy kolejne sto stron pamiętnika do jutrzejszego lunchu?

– Tak. Potem mamy się zebrać i porozmawiać.

– Świetnie, dobry plan. Dzięki, Ally.

Tiggy obróciła się, by wyjść, ale przystanęła przy łóżeczku Beara. Popatrzyła na śpiącego siostrzeńca.

– Malutki, trudno uwierzyć, że zaledwie kilka miesięcy temu w jaskini Grenady postanowiłeś nas wszystkich zaskoczyć... a zwłaszcza mamę! – szepnęła.

Ally uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Wiesz, myślę, że twój Charlie nigdy już nie będzie taki sam po tym, jak obserwował tamtego wieczoru Angelinę. Pięć lat studiów medycznych, a nie mógł równać się z *bruja* i jej umiejętnościami, kiedy Bear zdecydował się tak nagle przyjść na ten świat.

– Nie wiem, czy powinien się tym aż tak przejmować. W końcu *bruja* może zrobić przynajmniej tyle... A jestem pewna, że byłaś wdzięczna za środki przeciwbólowe, które ci potem przepisał! – Tiggy mrugnęła do siostry. A potem spojrzała na Beara. – A właśnie... on mówi, żebyś zajrzała do listu.

– Słucham?

– On chce, żebyś zajrzała do listu. – Tiggy uśmiechnęła się szeroko do siostry.

– Kto? Bear? Co masz na myśli? Przecież...

– Nie jestem pewna. Mam nadzieję, że to ci pomoże. Idę się położyć. Dobranoc, Ally.

Tiggy uściskała siostrę i ruszyła do drzwi.

Kiedy się za nią zamknęły, serce Ally zamarło. Tiggy mogła sugerować tylko jedno. Podeszła do walizki i odpięła kieszeń w podszewce. Ze środka wyjęła jedyny list, jaki ze sobą miała. Był od Theo. Wozila go ze sobą wszędzie, choć nikomu o tym nie mówiła. Poza nią nikt nigdy nie widział tego listu. Lekko drząc, otworzyła powoli kopertę i jej oczy jak zwykle powędrowały na przedostatni akapit listu.

Ale gdybyś przypadkiem czytała ten list, popatrz na gwiazdy w górze i wiedz, że na Ciebie stamtąd patrzę. I przypuszczalnie piję piwo z Twoim tatą, słuchając opowieści o Twoich wybrykach z dzieciństwa.

*Moja Ally – Alkione – nie masz pojęcia, ile mi dałaś radości.
Bądź SZCZĘŚLIWA! To Twój dar.*

Theo xxx

Wizja uśmiechniętego Theo siedzącego przy drinku z Pa Saltem ogromnie podniosła ją na duchu. Wiedziała, jak bardzo spodobałby się ojcu, i miała nadzieję, że mogli się spotkać w tamtym życiu. Ale o co dokładnie chodziło Tiggy?

„Chce, żebyś zajrzała do listu”.

Ally patrzyła na jedyne wyróżnione dużymi literami słowo, które przyciągało jej wzrok jak magnes.

Bądź SZCZĘŚLIWA!

Ścisnęło ją w gardle. Podeszła do iluminatora i ugięła kolana, żeby móc popatrzeć na gwiazdy.

– Dziękuję, Theo. Uściskaj ode mnie tatę.

Schowała list do kieszeni we wnętrzu walizki i wróciła do łóżka. Od razu wiedziała, że nie zaśnie, bo w głowie miała ruch większy niż w centrum Oslo. Złapała telefon i wysłała wiadomość Jackowi.

Dziękuję, że zaopiekowałeś się Bearem. Śpij dobrze! x

Natychmiast dostała odpowiedź.

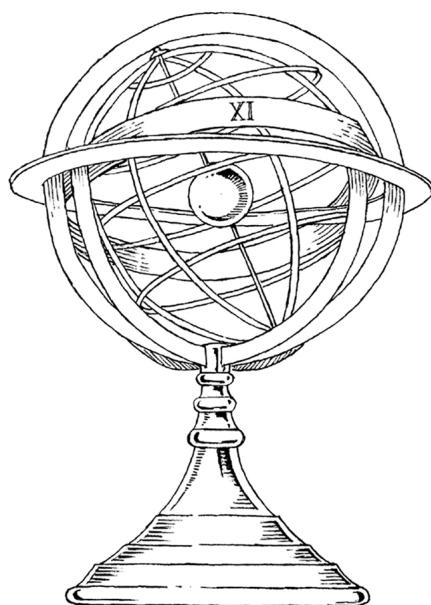
Cała przyjemność po mojej stronie, Al! x

Popatrzyła na stos kartek na komodzie. Gdzieś w nich kryły się odpowiedzi. Uzgodniła z siostrami, że rano przeczytają kolejne sto stron,

ale wiedząc, że jest tak blisko rozwikłania piętrzących się zagadek, zdecydowała się od razu czytać dalej.

Pamiętnik Atlasa

1936–1940



20

Lipsk, Niemcy

Podczas ostatnich sześciu lat często pisałem w pamiętniku. Treść pewnie wydałaby się zbyt sentymentalna jak na literacki gust wielu osób, ale była to historia szczęścia, jakiego zaznałem wtedy we Francji. Niestety, większość tamtych zapisków pozostała w domu Landowskiego, kiedy nagle byłem zmuszony go opuścić w związku z sytuacją, do której doprowadził mój poważny błąd – mianowicie taki, że otworzyłem usta i zacząłem mówić.

Choć jest teraz rok 1936 i mam osiemnaście lat, rozumiem, że byłoby nie w porządku z mojej strony przedstawić niepełną historię i odpuścić sobie wyjaśnienia. Otóż od 1930 do 1933 roku moje życie w Paryżu płynęło mniej więcej w tym samym rytmie co przez poprzednie dwa lata. Pomagałem monsieur Landowskiemu i Laurentowi w pracowni i uczęszczałem na lekcje w konserwatorium, podobnie jak Elle. Opiekunowie z biegiem lat dawali nam coraz więcej swobody. W przypadku Elle była to madame Gagnon, moim – Evelyn. Spędzaliśmy cudowne poranki, odkrywając paryskie kafejki, a wieczorami wałęsaliśmy się po ulicach, za każdym razem znajdując jakiś nowy zachwycający szczegół architektoniczny. Po tym, jak w bożonarodzeniowy wieczór postanowiłem przemówić do Elle, nasz związek rozkwitł. Czytałem Elle podczas popołudniowych pikników i pytałem ją, co myśli na temat każdego

aspektu życia, które zdawało się z każdą chwilą lepsze. O ironio, ta sama decyzja doprowadziła do mojej zguby.

Pewnego ranka na początku 1933 roku, kiedy byliśmy w pracowni, monsieur Landowski obwieścił:

– Panowie! Mam wam coś do zakomunikowania. To nie byle co, więc słuchajcie uważnie. Nasza wspólna podróż dobiega końca.

– Monsieur Landowski? – wyjąkał Laurent i cała krew odpłynęła mu z twarzy. Przecież zdecydował się opuścić Rio, by dalej pracować u boku mistrza w Paryżu.

– Dostałem dzisiaj propozycję objęcia stanowiska dyrektora w Akademii Francuskiej w Rzymie.

Laurent Brouilly oniemiał. Byłem równie zaniepokojony jak on, bo monsieur Landowski zapewniał mi dach nad głową, jedzenie i oczywiście hojną ręką opłacał mi naukę w konserwatorium.

– Monsieur Brouilly, nie ma mi pan nic do powiedzenia?

– Proszę wybaczyć, monsieur. Gratulacje. Dokonali właściwego wyboru.

Dołączyłem do gratulacji Laurenta szerokim (choć nieszczerym) uśmiechem i oklaskami.

– Dziękuję, panowie. Wyobraźcie sobie. Ja! Na takim stanowisku! I z pensją!

– Świat będzie tęsknił za pana talentem, monsieur – stwierdził z autentycznym smutkiem Laurent.

– Och, nie przesadzaj, Brouilly. Nadal będę rzeźbił. Zawsze będę! Przyjmuję tę ofertę głównie dlatego... no, pewnie można byłoby powiedzieć, że za sprawą tego oto naszego młodego przyjaciela. – Landowski wskazał na mnie i zauważył, że jestem naprawdę zszokowany. – Chcę przez to powiedzieć, że z wielką przyjemnością, zarówno artystyczną,

jak i osobistą, śledziłem postępy Bo przez te lata. A poznaliśmy go jako dziecko, które ledwie trzymało się na nogach. Szczerze mówiąc, zazdroszczę trochę twojemu nauczycielowi, Bo! Choć mam w tym swój wkład finansowy, żałuję, że nie mogłem sam rozwijać twoich talentów. I dlatego mam nadzieję, że w Akademii Francuskiej będę miał możliwość wychowywania młodych artystów rzeźbiarzy.

Tym razem uśmiechnąłem się szczerze.

– To bardzo piękny plan, monsieur – rzucił ponuro Laurent.

– Och, Brouilly! Nie miej takiej zmartwionej miny, człowieku! – Landowski podszedł do asystenta i położył mu dłoń na ramieniu. – Naprawdę myślisz, że zostawiłbym cię na lodzie? Nim przyjąłem propozycję, ustaliłem pewne rzeczy ze swoim kolegą, monsieur Blanchetem, w École des Beaux-Arts. Dostaniesz tam posadę młodszego wykładowcy, kiedy za tydzień wyjadę do Rzymu.

– Naprawdę?! – Laurent zrobił wielkie oczy.

– Tak. Blanchet z zachwytem przyjął mój list polecający. To świetna instytucja, a ty jesteś dla nich cennym nabytkiem. Na pewno będą ci płacić o wiele więcej niż ja. Ciesz się stałym dochodem, a jednocześnie pracuj nad własną karierą.

– Dziękuję, monsieur, dziękuję. Nigdy nie zapomnę, co pan dla mnie zrobił. – Laurent złapał dłoń mistrza i zaczął nią energicznie potrząsać.

– Zasłużyłeś na to w pełni. Przecież nie dokończyłbym Cristo bez ciebie... – Landowski przytrzymał rękę asystenta, przyjrzał się jej, a potem mrugnął do niego. – Twoja praca będzie żyć wiecznie. – Po czym zwrócił się do mnie: – Młody człowieku, twoje życie będzie toczyło się w dużym stopniu jak dotąd. Nie zamierzam sprzedawać domu i oczywiście będziemy przyjeżdżać tu latem i na Boże Narodzenie. Większość służby musi

poszukać sobie nowej pracy... ale Evelyn zostanie. Czy to dla ciebie do przyjęcia?

Skinąłem głową.

– Dobrze! W takim razie powinniśmy zgodnie z tradycją uczcić dobre nowiny butelką szampana...

W siedem dni Landowscy byli spakowani i gotowi do wyjazdu, by zacząć nowe życie w Rzymie. Pewnie o wiele bardziej przeżywałbym rozstanie z nimi, gdyby nie Elle. Póki ze mną była, czułem się niezwykcieżony.

Tak jak obiecywał monsieur Landowski, moje życie niewiele się zmieniło, tyle że spędzałem więcej czasu z Evelyn, która sama odpowiadała teraz za prowadzenie domu. Często korespondowałem z monsieur Landowskim. Opisywał mi historie młodych artystów, którzy przewijali się przez jego pracownię w Akademii Francuskiej, i przekazywał najnowsze wieści o rodzinie.

Marcel z zapalem doskonali gre na fortepianie. Jak wiesz, ma nadzieje za dwa lata wstapic do konserwatorium – myslę, ze ma duze szanse. Nie watpie, ze Twoja obecnośc dala mu potrzebną motywacje do realizowania marzeń!

Przyznam, że nie było to takie przykre mieć cały dom dla siebie, z wolnym dostępem do biblioteki i... do kuchni. Ośmieliłem się do tego stopnia, że zacząłem nawet mówić do Evelyn. Kiedy odezwałem się do niej po raz pierwszy, rozplakała się. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, widzę, że żyłem jak we śnie, upojony oszalamiającym czarem Elle, muzyką i tym, że zacząłem się czuć całkowicie bezpiecznie.

Jakże byłem naiwny!

Początek końca nadszedł jesienią 1935 roku.

Elle i ja siedzieliśmy w kawiarni na rue Jean-de-La-Fontaine. Elle miała już ponad osiemnaście lat, opuściła Apprentis d’Auteuil i zamieszkała w ciemnym nędznym pokoiku na poddaszu u przyjaciółki madame Gagnon. Zarabiała marne grosze, sprząając dla właścicielki – madame Dupont – ale godziła się na to, bo nadal mogła uczęszczać dwa razy w tygodniu na lekcje w konserwatorium. Odchyliłem się na oparcie metalowego krzesła i spojrzałem na Elle, która siedziała zapatrzona niewidzącym wzrokiem w swoją kawę. Najwyraźniej czymś się martwiła.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytałem.

– Tak, tak... tylko monsieur Toussaint krzyczał na mnie na ostatniej lekcji.

Uśmiechnąłem się do niej ciepło.

– Wiesz, że w konserwatorium to nic nadzwyczajnego.

Elle wzruszyła ramionami.

– Wiem. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by Toussaint kiedykolwiek mnie lubił. Uważa, że to poniżej jego godności uczyć nastoletnią nowicjuszkę, i ma rację. Ale w ostatnich tygodniach, kiedy próbował polepszyć moje czytanie nut, jego uwagi były szczególnie uszczypliwe.

– Nie martw się tym. Na pewno jest po prostu sfrustrowany, że nie przeszedł porządnej szkoły od podstaw. Miewałem podobne doświadczenia z Iwanem.

– Racja. Tylko że kiedy Toussaint się zezłościł, powiedział coś dziwnego.

– Co? – spytałem.

– Że gdybym nie była pomiotem Wielkiego Rosjanina, zmusiłby mnie do uczenia się przez całą noc.

Zmroziło mnie to nieco.

– Spytałam, co ma na myśli, mówiąc o Wielkim Rosjaninie, a on się zaśmiał i powiedział, że chyba nie sędzę, że jestem w jego klasie dzięki swoim zdolnościom. Naciskałam go, ale wściekł się i odparł, że nie ma czasu uczyć dzieci i że Rachmaninow powinien być łaskaw zejść ze swojego tronu i robić to sam.

– Ach, tak... – wyjąkałam.

Elle zmarszczyła brwi.

– Powiedziałam, że nie rozumiem, a on ze śmiechem ostrzegł mnie, że napisze do Wielkiego Rosjanina i uświadomi mu, że jego córka jest do niczego. Wtedy pojawił się monsieur Iwan i poprosił go na korytarz, żeby zamienić z nim kilka słów. Wyszli, chwilę rozmawiali, a potem Toussaint wrócił i kazał mi już iść. – Elle popatrzyła na mnie pytająco. – Jak myślisz, o co mu chodziło z tym Rachmaninowem?

Powoli upiłem łyk angielskiej herbaty.

– Może jestem w stanie rzucić trochę światła na tę sprawę – odparłem.

– Co?! – wykrzyknęła zaskoczona.

Westchnąłem i wyjaśniłem jej, co nazmyślał monsieur Iwan. Elle była zdruzgotana, czemu trudno się dziwić.

– Więc... nie znalazłoby się dla mnie miejsce w konserwatorium, gdyby to zależało tylko od mojego talentu?

– Nie o to chodzi. Iwan powiedział, że jesteś córką Rachmaninowa, żeby w ogóle zechcieli cię przesłuchać. Resztę, zapewniam cię, osiągnęłaś dzięki swoim zdolnościom.

– Myślą, że jestem córką Rachmaninowa, której on nie uznał?

– Toussaint i Moulin tak. Nie martw się. Porozmawiam z Iwanem na następnej lekcji i dowiem się, jak wygląda sytuacja.

Nie miałem możliwości porozmawiać z Iwanem. Kilka dni później obudził mnie w nocy trzask w domu Landowskich. Otworzyłem

gwałtownie oczy i odrzuciłem nakrycie. Cieszyłem się, że mimo bezpiecznego życia, jakie wiodłem w Paryżu, zachowałem czujność. We wcześniejszym życiu, w krainie śniegu i lodu, spałem jak zając pod miedzą, jak to określał ojciec.

Zegar na moim biurku wskazywał, że dopiero minęła druga w nocy. Natychmiast oprzytomniałem. Usłyszałem kolejny wyraźny dźwięk w trzewiach domu – otwieranie drzwi.

Nie byłem sam. Wyjrzałem przez okno i nie zobaczyłem, żeby u Evelyn się świeciło. Nie mogłem więc pocieszać się, że to ona postanowiła wejść do domu w środku nocy. Najciszej, jak mogłem, podszedłem do gałki i ostrożnie ją przekręciłem. Na szczęście udało mi się bezszelestnie otworzyć drzwi. Chwilę nasłuchiwałem. Dobiegły mnie ciche kroki i skrzypienie podłogi na dole. Instynktownie sięgnąłem do sakiewki zawieszanej na szyi.

Czy to on? Jakimś sposobem mnie odnalazł?

To był moment, którego tak się bałem.

Mimo przerażenia wiedziałem, że mam jedną przewagę taktyczną nad intruzem. Dobrze znałem dom Landowskich, a stukoty na dole wskazywały, że on nie. Rozważałem, żeby się ukryć, ale wiedziałem, że to marny pomysł – był środek nocy i ten ktoś mógłby mnie szukać do skutku. Pomyślałem też o ucieczce, o tym, żeby pognać do holu i wybiec w noc. Lecz jeśli to był on, wątpiłem, by tych kilka kilometrów, o które zdołałbym się od niego oddalić, mogło mnie uratować. Doszedłem do wniosku, że powinienem zaatakować.

Powoli podszedłem do szczytu schodów i zacząłem wsłuchiwać się w kroki na dole. Wyglądało na to, że intruz metodycznie przeszukuje dom, jakby czegoś szukał. Albo – co bardziej prawdopodobne – kogoś. Mnie. W końcu kroki zbliżyły się do wschodniego skrzydła domu – salonu

i biblioteki. Wykorzystałem okazję. Dalej starając się nie robić hałasu, zszedłem na parter i ruszyłem w przeciwnym kierunku. Kierowałem się do pracowni, tam gdzie monsieur Landowski trzymał dłuta. Wybrałem najostrzejsze narzędzie i wróciłem do holu. Trzymałem się blisko ściany, by nie padało na mnie światło księżyca. Kiedy dotarłem znów do schodów, przystanąłem, by posłuchać. Panowała cisza. Gdzie podział się włamywacz? Zrobiłem krok w głąb korytarza i nagle jakaś ogromna siła porwała mnie w powietrze. Napastnik złapał mnie od tyłu, żeby przytrzymać mi ręce. Kopałem z całych sił, celując w kolana. Zorientowałem się, że trafiłem, gdy usłyszałem skowyt intruza. Zachwiał się i zwolnił nieco uścisk, kiedy obaj padaliśmy na podłogę. Podczas szarpaniny upuściłem dłuto. Rozpaczliwie próbowałem je namacać, a w tym czasie napastnik poderwał się na nogi i rzucił się korytarzem do salonu. Na szczęście namacałem dłuto. Chwyciłem je i pognałem za włamywaczem.

– Pokaż się! – krzyknąłem, nie potrafiąc opanować wściekłości w głosie.

W salonie nic się nie ruszało. Widziałem tylko mgliste zarysy mebli w świetle księżyca.

– Nigdy nie byłeś tchórzem, Kreeg. Popatrzmy sobie w oczy.

W pokoju nadal panowała upiorna cisza.

– Nie chcę z tobą walczyć. Nigdy nie chciałem. Trzymam to dłuto tylko po to, by się przed tobą bronić. Są rzeczy, których nie rozumiesz... które bardzo chciałbym ci powiedzieć. Proszę, wyjdź. Wszystko ci wyjaśnię.

Nadal nic.

– Nie zabiłem jej, Kreeg. Musisz mi uwierzyć. – Do oczu podeszły mi łzy. – Jak mogłeś pomyśleć, że byłbym zdolny do czegoś takiego? Byliśmy przyjaciółmi. Byliśmy braćmi.

Otarłem łzy. Staralem się nie tracić koncentracji.

– Wiedziałem, że mnie zabijesz, i tylko dlatego uciekłem. Byłem małym chłopcem, Kreeg, tak jak ty. Teraz jesteśmy młodymi mężczyznami i powinniśmy to załatwić jak dorośli. – Na koniec, w nadziei, że wywabię go z ukrycia, dodałem: – Mam ten diament. Nigdy bym go nie sprzedał, o co mnie podejrzewałeś. Mogę ci go teraz dać. Jest w skórzanej sakiewce, którą noszę na szyi. Po prostu pokaż się i dokonamy transakcji. A potem odejdz i nie musimy się już nigdy więcej oglądać na oczy, jeśli taka jest twoja wola.

Coś skrzypnęło za szafą w rogu pokoju. Wiedziałem, że wspomnienie o drogocennym kamieniu wystarczy, by wywabić go z kryjówki.

– Diament, mówisz? A więc to trzymasz w tej sakiewce.

Znałem ten głos. Ale to nie był Kreeg. W mroku rozpoznałem twarz.

– Monsieur Toussaint?

– Wiesz, jak na niemowę jesteś szalenie elokwentny.

– Co pan tu robi? Czego pan chce?

– Nie lubię być oszukiwany, chłopcze. Paryskie konserwatorium to najwspanialsza instytucja na świecie, nie żłobek. Wiesz pewnie, że ten mały rosyjski szczur Iwan wmówił nam, że twoja dziewczyna to owoc miłości Rachmaninowa. Kiedy zagroziłem, że do niego napiszę, Iwan przyznał, że kłamał.

Zrobił krok w moim kierunku.

– Pytałem go o ciebie. Powiedział, że jesteś podopiecznym Paula Landowskiego... który, jak wiem, przyjął posadę w Rzymie. Więc za karę, że tak mnie wykiwaliście, pomyślałem, że wpadnę tu i wezmę sobie parę wazonów Landowskiego. Ale teraz zdaję sobie sprawę, że jest tu coś o wiele cenniejszego.

Zrobił kolejny krok.

– Pan nie rozumie – rzuciłem.

– Tak naprawdę w tym pokoju są dwie cenne rzeczy. Diament, który jak powiedziałeś, masz zawieszony na szyi... i ty.

Zawahałem się.

– Ja?

– To logiczne, że ten cały Kreeg bardzo chętnie dowie się o miejscu twojego pobytu, biorąc pod uwagę okoliczności, które przed chwilą wyjawiałeś. Jestem pewien, że sowicie zapłaciliby za informacje o tobie.

– Jest niewiele starszy ode mnie. Nie ma pieniędzy. A jeśli odkryje, że ukradł mi pan diament, pana też zamorduje.

Toussaint prychnął z pogardą.

– Zawsze można się dogadać, chłopcze. Może jeśli po prostu położę kres twojemu życiu i zwrócę diament temu Kreegowi, znajdziemy sposób, by podzielić się łupem... – Plątał mu się język; wyraźnie był pijany.

– Proszę. Jest pan flecistą. Nie mordercą!

– Chłopcze, z tym diamentem mogę być, kimkolwiek zechcę. Chodź tu!

Rzucił się na mnie, ale przewidziałem jego ruch i wszedłem na kanapę. Wykorzystując to, że znalazłem się wyżej, wskoczyłem mu na plecy. Był jednak zaskakująco silny. Zdołał się zakręcić i obaj upadliśmy na podłogę. Wziąłem na siebie cały impet i ciężar jego ciała, w efekcie czego straciłem oddech. Toussaint wyczuł ten moment, obrócił się i zerwał mi sakiewkę z szyi. Odrzucił ją na bok, nim zaczął mnie dusić.

Pamiętam, że poczułem dziwny spokój, gdy życie powoli zaczynało opuszczać moje ciało. Nie było przerażenia... ale nagle stanął mi przed oczami obraz Elle i wola walki natychmiast wróciła. Zbierając resztki sił, chwyciłem dłuto i wbiłem je w rękę Toussainta.

– A! – wrzasnął, puszczając moją szyję.

Nie traciłem czasu. Złapałem sakiewkę i wcisnąłem do kieszeni.

Nagle pokój zalało światło i od drzwi rozległ się krzyk. Obróciłem się i zobaczyłem w progu Evelyn, z jedną dłonią na włączniku światła, a drugą na ustach. Toussaint, nadal trzymając się za rękę, podniósł się na nogi i próbował ukryć twarz, kuląc się, po czym przepchał się obok Evelyn i uciekł frontowymi drzwiami.

– Bo! Co tu się dzieje? O mój Boże, czy to krew na podłodze?

Przytaknąłem.

– Nic ci się nie stało?

Ciężko dysząc, pokręciłem głową.

Evelyn przyklękała obok i gorączkowo obmacywała mnie w poszukiwaniu ran.

– Mów. Kim był ten człowiek? Po co tu przyszedł?

Patrzyłem na nią oszołomiony.

– Bo, proszę. Powiedz mi wszystko.

Wyjaśniłem jej sytuację tak pospiesznie, jak zdołałem.

– *Mon Dieu...* Masz ten diament?

Poklepałem kieszeń.

– Dobrze. Ale nie jesteś tu już bezpieczny. On może wrócić. I to nie wiadomo z kim. Czas się wynosić.

– Wynosić? Dokąd?

– Pan Brouilly ma mieszkanie na Montparnassie. Przyjmie cię i będziesz tam bezpieczny, póki nie znajdę rozwiązania.

– Boję się, że Toussaint pójdzie do Elle. Jest jej nauczycielem. Możliwe, że wie, gdzie ona mieszka.

Evelyn zamknęła oczy i skinęła głową.

– Myślę, że słusznie się martwisz. Musisz iść najpierw do niej.

– Ale... Evelyn, a co z panią? A jeśli Toussaint tu wróci?

– Niech wraca. Nie sądzę, by chciał mieć ze mną do czynienia. Jutro skontaktuję się z synem. Przyjedzie i pomieszka ze mną. A teraz pospiesz się. Jeśli pobiegiesz, to w niecałą godzinę będziesz u Elle na rue Riquet. Idź na górę, spakuj ubrania. Tylko to, co konieczne. Napiszę ci adres pana Brouilly'ego.

Pognałem do swojego pokoju i wepchnąłem kilka koszul i parę sztuk bielizny do skórzanej teczki.

Wziąłem adres Laurenta od Evelyn. Długo ją ścisnąłem, a potem wybiegłem w noc. Dotarłem do domu, gdzie mieszkała Elle, spocony i zdyszany po ponaddziesięciokilometrowym biegu. Jej okno było na samej górze domu i przeklinałem się za to, że nie przygotowałem się wcześniej. Musiałem pozbierać małe kamyczki z pobocza i rzucać nimi w szyby na poddaszu. To była ryzykowna strategia, ale nie miałem wyboru. Po paru minutach udało się – zobaczyłem zaspaną twarz Elle.

– Bo? – wyczytałem z ruchu jej warg.

Na migi pokazałem jej, żeby zeszła. Kiwnęła głową.

Po dłuższej chwili drzwi frontowe otworzyły się cicho i stanęła przede mną Elle w białej koszuli nocnej. Objęła mnie.

– Co się dzieje?

– Wyjaśnię wszystko, jak będziemy bezpieczni, ale teraz musisz iść ze mną.

Przestraszyła się.

– To on? – spytała z lękiem w oczach.

– Niedokładnie. Ale musisz szybko spakować kilka rzeczy i wracać. Pójdziemy do Laurenta Brouilly'ego.

Nie musiałem nic więcej tłumaczyć. Po kilku minutach była na dole i w milczeniu powędrowaliśmy bocznymi uliczkami na Montparnasse. Na

szczęście odnalezienie mieszkania Laurenta okazało się dość proste, bo jego okno zdobiły różowe orchidee... które, jak wiedziałem, były narodowymi kwiatami Brazylii. Po kilku dzwonekach pojawił się półprzytomny. Kiedy dotarło do niego, że to ja stoję w progu, wpuścił nas. Zaparzył dzbanek mocnej kawy, a ja opowiedziałem jemu i Elle o napadzie.

– Mój Boże! Mój Boże! – powtarzał Laurent. – Jesteś tajemnicą, Bo. Niemy chłopak. A patrzcie, jak mówi. Mój Boże!

Elle trzymała mnie za rękę. Nie jestem w stanie wyrazić, jak wielką pociechą była dla mnie jej obecność.

– Dziękuję, że przyszedłeś po mnie – powiedziała.

– Nie powinienem był nic mówić, ale uznałem, że to Kreeg. Próbowałem przekonywać kogoś, kogo tam wcale nie było...

– Ja pewnie też pomyślałabym, że to on.

W milczeniu rozejrzałem się po zagraconym mieszkaniu Laurenta. Słaba lampa rzucała mdłe światło na nieukończone projekty i krystalizujące się pomysły. Rzeźby, płótna i narzędzia tworzyły istne śmietnisko. Ten chaos nie wpływał dobrze na mój stan psychiczny; złapałem się za głowę.

– Gdybym tylko się nie obudził! Touissant wziąłby wazony i poszedł w swoją stronę. Ależ byłem głupi!

– Szkoda, że Bel nie może usłyszeć, jak mówisz – zauważył melancholijnie Laurent.

Spojrzałem na niego. Nawet po tej dramatycznej historii, którą opowiedziałem, dalej był myślami przy ukochanej.

– Miał pan od niej jakieś wiadomości? – spytałem.

– Nie – odparł ze zboląłym wyrazem twarzy mój były towarzysz z pracowni.

W końcu wyjął dla nas koce. Uparłem się, żeby Elle spała na małej kanapie, a dla siebie położyłem poduszkę na podłodze. Elle opuściła rękę

i trzymałem ją, nim zmęczenie wzięło górę i odpłynąłem w sen.

Z samego rana ktoś zadzwonił do drzwi. Laurent otworzył. W progu stała Evelyn.

– Jak dobrze was widzieć, kochani!

Podbiegłem ją uściskać.

– Witaj, Elle – powiedziała Evelyn. – Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Powiadomiłam żandarmerię.

– Żandarmerię? – spytałem przerażony.

– Tak, Bo. Nie zapominaj, że w nocy dokonano włamania do domu mojego pracodawcy, nie wspominając o tym, że pijany nauczyciel Elle próbował cię zabić. Toussaint musi zostać zatrzymany i ukarany. Przecież nie wolno pozwolić, by taki szaleniec wrócił do konserwatorium i uczył bezbronnych młodych ludzi.

– Ale żandarmeria będzie chciała ze mną mówić! – zawołałem. – Będą pytali o diament. Nie rozumiesz, nie mogę...

– Rozumiem, Bo, bardzo dobrze rozumiem. – Wzięła mnie za rękę. – Zawsze rozumiałam, od kiedy jako mały chłopiec po raz pierwszy zapukałeś do moich drzwi. Zaznałeś okropności ze strony sił niepojętych dla tak prostej kobiety jak ja. Masz rację, żandarmeria będzie chciała jak najszybciej z tobą porozmawiać, tylko że ja na szczęście nie mam bladego pojęcia, gdzie jesteś. – Mrugnęła do mnie.

– Kiedy policja aresztuje Toussainta, on wszystko przekręci i opowie o tym, co wymknęło się Bo – odezwała się Elle i popatrzyła na mnie ze smutkiem. – Pamiętaj, wczoraj w nocy wspomniałeś... o zabiciu kobiety.

Sfrustrowany zacisnąłem pięści.

– Nie! Powiedziałem, że nigdy nie mógłbym zabić kobiety!

Położyła dłoń na moich plecach, żeby mnie uspokoić.

– Bardzo wątpię, żeby Toussaint tak to przedstawił. I pamiętaj, Bo, zraniłeś go dłutem.

Zobaczyłem, że Laurent robi wielkie oczy.

– Tylko w samoobronie – oświadczyłem szczerze.

– Wiem. Ale nie masz żadnych dokumentów i dlatego Toussaint będzie miał nad tobą przewagę.

Poczułem piekące łzy w oczach.

– Będę musiał znowu uciekać. Cóż... mam w tym wprawę. W końcu i tak muszę dalej szukać ojca. Jeśli gdziekolwiek jest, to w Szwajcarii. Wyruszę do granicy. Elle...

– Będę ci towarzyszyć – przerwała mi.

Zdecydowanie pokręciłem głową.

– Nie, nie rozumiesz. Widzisz, do czego prowadzi związek ze mną. Nie mogę cię zabrać.

Wzięła mnie za rękę.

– Bo, zanim cię spotkałam, moje życie było smutne i monotonne. Ty wszystko zmieniłeś. Jeśli odchodzisz, to ja z tobą.

Uściskała mnie. Evelyn przycisnęła dłoń do serca. Zobaczyłem, jak Laurent obraca się, by ukryć łzy.

– Proszę – błagałem. – Nie mogę cię narażać.

– Na litość boską, Bo! – warknął Laurent. – Słyszysz, co ona mówi?

Zamachał rękami.

– Nie pojmujesz, że miłość to wszystko? Zaufaj komuś, kto to wie najlepiej. Ta młoda kobieta jest gotowa całować ziemię, po której stąpasz. A ty najwyraźniej odwzajemniasz jej uczucia. Nie popełniaj tego samego błędu co ja. Życie jest krótkie. Żyj dla miłości, dla niczego więcej.

Popatrzyłem w oczy Elle i wiedziałem, że nie ma co się dłużej spierać.

– Dobrze. Wyruszymy do granicy dziś wieczorem, kiedy zrobi się ciemno.

– Kolejna granica! – krzyknęła Evelyn. – Na litość boską, naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym ci skazywać się na taki los?

Popatrzyłem na nią zaskoczony.

– Nie rozumiem.

Westchnęła.

– Odkąd pojawiłeś się w Paryżu, monsieur Landowski wiedział, że przed czymś uciekasz i że postanowiłeś nie mówić, bo się boisz. Jako inteligentny człowiek zdawał sobie sprawę, że w pewnym momencie będziesz musiał opuścić Paryż. Był zdecydowany ci pomóc i w związku z tym przygotował plan.

Evelyn podała mi kremową kopertę.

– Mam przyjemność oznajmić ci, że od dziś jesteś laureatem zaszczytnej Prix Blumenthal.

Szczęka mi opadła.

– A co to takiego? – spytała Elle.

– Nie pamiętasz, Bo? – Evelyn spojrzała na mnie i w tym momencie skojarzyłem.

– To nagroda ufundowana przez amerykańską filantropkę Florence Blumenthal dla młodych malarzy, rzeźbiarzy i muzyków – wyjaśniłem. – Monsieur Landowski jest jednym z jurorów. Ale nie rozumiem... jakim cudem zdobyłem tę nagrodę?

– Monsieur Landowski uzgodnił to z Florence w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, niedługo przed jej śmiercią. Najwyraźniej panna Florence była ogromnie poruszona twoją historią i umówili się, że w razie gdybyś znalazł się w niebezpieczeństwie, otrzymasz nagrodę i odpowiednie środki, by opuścić Paryż.

Kompletnie oniemiałem.

– Gratulacje, Bo – powiedziała ciepło Elle.

– Przepraszam. – Evelyn uśmiechnęła się. – Powinnam była wspomnieć, że ta nagroda ma być wspólna.

– Słucham? – spytała Elle.

– Ty także otrzymujesz Prix Blumenthal. Monsieur Landowski chciał mieć pewność, że oboje dostaniecie wsparcie, gdyby doszło do sytuacji takiej jak teraz.

– O mój Boże – szepnęła zdumiona Elle.

Wzięłem ją za rękę i na mojej twarzy – na przekór wszystkiemu – pojawił się uśmiech.

– Na pewno was ucieszy, że warunkiem przekazania nagrody jest to, że oboje będziecie kontynuować studia – dodała Evelyn. – Mimo wszystko otrzymujecie ją za swoje osiągnięcia muzyczne.

– Jak to ma działać? – spytałem.

– Zostaniecie przeniesieni z paryskiego konserwatorium do jakiegoś innego w Europie. Na szczęście monsieur Landowskiemu nie brak kontaktów i czekam na jego instrukcje co do waszej podróży.

– Ten człowiek o idiotycznych wąsiskach jest naprawdę bystry – wyjąkał Laurent.

– Owszem. Rano wysłałam do niego telegram. Opracowuje plan i niedługo powiadomi mnie o decyzji.

Po prostu zabrakło mi słów.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznałem.

Roześmiała się.

– Czy już wcześniej nie miałeś tego problemu, młody człowieku?

Znów ją uściskałem.

– Dziękuję, dziękuję za wszystko.

– Trzymaj Elle blisko siebie, Bo. Gwiazdy ci ją zesłały – szepnęła mi do ucha.

Kiedy oderwałem się od Evelyn, dostrzegłem, że jej brązowe oczy błyszczą od łez.

– No to już! – Klasnęła w dłonie, biorąc się w garść. – Muszę wracać do domu i czekać na telegram od monsieur Landowskiego. Kiedy wrócę, przyniosę wasze instrumenty. Elle, może mogłabyś napisać do madame Dupont, że jestem twoją ciotką i upoważniasz mnie do spakowania części twoich rzeczy?

– Dobry pomysł.

Elle podeszła do biurka, wzięła kartkę i zaczęła pisać.

– I jeśli któreś z was chce jeszcze coś załatwić, zanim wyjedziecie z Paryża, to ostatnia szansa – dodała Evelyn. – Do zobaczenia, *mes chéris*. – Obróciła się i wyszła.

Wszyscy troje przez chwilę staliśmy w milczeniu. W końcu napięcie zaczęło opadać.

Popatrzyłem na Elle.

– Musimy napisać listy – rzuciłem. – Niewiele rzeczy tak boli, jak kiedy ktoś znika z naszego życia bez wyjaśnienia. Napiszę do Iwana.

Skinęła głową.

– A ja pewnie do madame Gagnon.

Chciałem, żeby mój list do Iwana był krótki, ale serdeczny.

Drogi Iwanie

Mam nadzieję, że Evelyn skontaktuje się z Panem i że otrzyma Pan ten list. Żałuję, że nie mogę przyjść we wtorek na lekcję. Piszę do Pana, by podziękować za wszystko. Jest Pan nie tylko

wspanialszym nauczycielem, niż mogłoby się to marzyć młodemu muzykowi. Znaczył Pan dla mnie o wiele więcej – był Pan pierwszym prawdziwym przyjacielem, jakiego miałem.

Liczę na to, że jeszcze się kiedyś spotkamy. A jeśli nie, będę śledził uważnie wszystkie nagrania paryskich orkiestr symfonicznych i będę próbował wytropić Pana charakterystyczne pociągnięcia smyczkiem po strunach. Może Pan też mógłby tak robić i w ten sposób zawsze pozostaniemy sobie bliscy.

Chcę, by wiedział Pan, że w najmniejszym stopniu nie obwiniam Pana o niefortunne zdarzenia, które miały miejsce. Wiem, że bez Pana pomysowości i... pomocy pana Rachmaninowa nie dałoby się zapewnić Elle lekcji w konserwatorium. Jestem Panu dozgonnie wdzięczny za szansę, jaką dał Pan nam obojgu.

I na koniec proszę, żeby Pan uważał na pewnego nauczyciela fletu. Nie wolno mu ufać. Chciałem przekazać Panu tę informację, bo my, emigranci, powinniśmy pomagać sobie nawzajem, prawda?

Bo D'Aplièse

Późnym wieczorem Evelyn przyjechała taksówką z naszymi instrumentami. Zszedłem pomóc jej je wyładować, ale wyciągnęła dłoń, żeby mnie powstrzymać.

– Zostań w środku, Bo. Nigdy nie wiadomo, kto patrzy.

Ona i Laurent szybko zabrali bagaże i Evelyn zwolniła taksówkę.

– Nie zostanę długo – zapowiedziała. – Mam instrukcje od monsieur Landowskiego. W Akademii Francuskiej poznał pewnego rzeźbiarza, który też jest z Paryża. Nazywa się Pavel Rosenblum. I tak się składa, że jego córka Karine zaczyna niedługo pierwszy semestr w konserwatorium

w Lipsku. Udało mu się wykonać kilka telefonów i oboje zostaliście przyjęci na listę studentów.

– Lipsk? W Niemczech? – spytała nerwowo Elle.

Objąłem ją ramieniem.

– Musicie trochę zmienić swój wiek, skoro macie tam być studentami – dodała Evelyn. – Ale nie sądzę, żeby był z tym jakiś problem. Oboje wyglądacie na starszych, niż naprawdę jesteście.

– Kiedy mamy wyruszyć? I jak możemy się dostać do Niemiec? – spytałem.

– Pamiętasz, że mój syn Louis pracuje w fabryce Peugeota?

Skinąłem głową.

– Tak się szczęśliwie składa, że jutro rano ma dostarczyć nowy samochód klientowi w Luksemburgu. Przewiezie was przez granicę, a stamtąd będziecie mogli już bezpiecznie pojechać koleją do Lipska. Ty, Bo, pożyczysz dokumenty od Marcela, a Elle użyje papierów Nadine. Jesteście bardzo młodzi, więc nie sądzę, żeby was dokładnie sprawdzali. Kiedy będziecie już w Niemczech, zwróćcie dokumenty pocztą.

Tyle dobroci... Na tę myśl ścisnęło mnie w gardle.

– Wie pani, gdzie będziemy mieszkać? – spytałem.

– Dostałam informację, że macie załatwione lokum przy Johannisgasse. Organizuje to monsieur Rosenblum. Tam zatrzyma się jego córka. Nie znam szczegółów. To wszystko zostało załatwione w jeden dzień... Ale podobno jest tam dość ładnie.

Przebiegałem w myśli pozostałe pytania.

– A co z pieniędzmi?

– Moi drodzy, dostaliście Prix Blumenthal. Zapewniam was, że to pozwoli wam się utrzymywać przez trzy lata studiów. Czesne będzie

opłacone, konta w banku założone... Ta nagroda obejmuje to wszystko. A na razie macie trochę pieniędzy na bilety i jedzenie.

Podawała mi brązową kopertę.

– Znajdziecie tu też adres waszego lokum.

Popatrzyłem w dobre oczy Evelyn.

– Nigdy nie zdołam pani... – Głos mi się lekko załamał.

Zdałem sobie sprawę, że być może widzę ją po raz ostatni, i pękało mi serce. Bez słowa uściskała mnie mocno, a ja wtuliłem twarz w jej palto.

– Dziękuję, że byłeś moim małym towarzyszem, Bo. Pamiętaj, że mimo wszystko na świecie więcej jest ludzi dobrych niż złych. Bardzo cię kocham. – Odsunęła się i sięgnęła do kieszeni. – Mam dla ciebie telegram od pana Landowskiego.

Wziąłem go i schowałem do kieszeni, robiąc, co w mojej mocy, by stłumić szloch.

Evelyn odetchnęła głęboko i opanowała się.

– Elle! Tak mi przykro, że wasz wyjazd z Paryża odbywa się w tak dramatycznych okolicznościach. – Objęła ją. – Opiekuj się nim, dobrze?

– Nigdy go nie zawiodę – obiecała Elle.

– Dobrze. Słuchajcie, Louis będzie tu punktualnie o szóstej. Macie jakieś listy?

– Tak. – Pociągnąłem nosem i podałem jej mój do Iwana i ten, który Elle napisała do madame Gagnon.

– Możecie być spokojni, dostarczę je. Mam nadzieję, że kiedy wszystko przycichnie, znów się zobaczymy. Postaram się napisać do was do Lipska. Wszystko zależy od tego, jak ostro żandarmeria zabierze się do wyjaśniania zdarzeń z zeszłej nocy. Bądźcie grzeczni. Uważajcie na siebie. Bezpiecznej podróży.

Tym razem to Evelyn głos się załamał. Szybko ruszyła do drzwi i wyszła.

– Wiecie, chyba nigdy nie zamieniłem z madame Evelyn więcej niż kilka słów – odezwał się Laurent. – Jesteś szczęściarzem, że ją miałeś.

– Wiem – odparłem.

Nastąpiła bezsenna noc, a kiedy wybiła szósta, usłyszeliśmy pomruk silnika pod domem. Laurent, choć półprzytomny, pomógł nam załadować instrumenty do błyszczącego nowego peugeota.

– Dzień dobry, Bo! Jak miło mieć tak doborowe towarzystwo na daleką podróż – powiedział Louis.

Uśmiechnął się do mnie szeroko i nerwy trochę mi odpuściły.

Laurent, nim cofnął się do domu, położył mi dłoń na ramieniu.

– Bel wiedziała, że zasługujesz na ocalenie. Nie zapominaj o niej, proszę. Ja też zachowam cię w myślach na zawsze.

Uścisnąłem mu dłoń i wsiałem do samochodu. Wkrótce wyjeżdżaliśmy z Paryża, ruszając w przyszłość. Kiedy próbowałem się usadowić wygodniej, by zasnąć, poczułem coś ostrego na zewnętrznej stronie uda. Przypomniało mi się, że nadal mam w kieszeni telegram, którego nie otworzyłem wieczorem.

JEŚLI NIE ZMIENISZ KIERUNKU, W KTÓRYM PODĄŻASZ,
MOŻESZ SKOŃCZYĆ TAM, DOKĄD ZMIERZASZ. – LAOZI.
POWODZENIA, CHŁOPCZE.

Mam nadzieję, że udało mi się przedstawić wyczerpująco okoliczności, które w zeszłym roku doprowadziły do naszej ucieczki z Paryża. Podróż do Lipska przebiegła gładko, a na zapewnieniach Evelyn i monsieur Landowskiego jak zwykle można było polegać. Nagroda pokrywała chesne i koszty zakwaterowania; dostawaliśmy też pieniądze na utrzymanie podczas studiów. Niestety, nie miałem bezpośredniego kontaktu z żadnym ze swoich przyjaciół z Paryża. Lecz w wieczór mojego pierwszego solowego występu w lipskim konserwatorium do garderoby przysłano anonimowo wielki bukiet róż z karteczką z napisem *Pozdrowienia z Rzymu*.

Życie w Niemczech okazało się ciekawym doświadczeniem. Mieszkamy osobno przy Johannisgasse. W połowie drogi do siebie mamy kawiarenkę, która stała się naszym ulubionym miejscem spotkań. W odróżnieniu ode mnie Elle ma współlokatorkę, co jest tu zwyczajne wśród studentek. Przypadkiem – albo celowo – jest to Karine Rosenblum i dziewczyny bardzo się zaprzyjaźniły. Karine jest całkowitym przeciwieństwem Elle, więc oczywiście doskonale się dogadują.

Karine to prawdziwa przedstawicielka cyganerii – najczęściej nosi spodnie i bluzę jak francuscy malarze, podczas gdy Elle ubiera się w skromne spódnice, bluzki i swetry. Karine ma burzę lśniących włosów, przypominających mi sierść czarnej pantery, i błyszczące oczy, które przy jej jasnej cerze wydają się jeszcze ciemniejsze, niż są. Spędziliśmy wiele

wieczorów na słuchaniu opowieści o jej rodzicach – zwłaszcza o matce, która jest podobno rosyjską śpiewaczką operową! Ja nigdy nie wspomniałem o monsieur Landowskim ani w ogóle o niczym z mojej przeszłości. To by tylko prowadziło do pytań, na które nie mógłbym odpowiedzieć. Staram się być możliwie cichy i pozwalam, by to Elle mówiła za nas oboje.

Elle nie ma specjalnej potrzeby odbiegać od prawdy. Powiedziała przyjaciółce, że jest sierotą, ale miała w Paryżu nauczyciela muzyki, który dostrzegł jej talent i zarekomendował ją do stypendium. Jeśli natomiast ktoś pytał o mnie, mówiłem, że pochodzę ze skromnej artystycznej rodziny z Paryża. Odkryłem, że zwykle to wystarcza. O ironio, z czasem przekonałem się, że pozostawanie niemową prowokuje więcej pytań niż mówienie.

Nauka w konserwatorium jest na wspaniałym poziomie. Fakt, że mogę poświęcać wszystkie dni studiowaniu muzyki – a nie jak dotąd tylko dwa popołudnia w tygodniu – jest nie do przecenienia. W konserwatorium szybko zapadła decyzja, że powinienem skupić się na wiolonczeli, bo profesorowie odnieśli wrażenie, że lepiej gram na większym instrumencie. Nadal jednak trzymam swoje skrzypce bezpiecznie schowane pod łóżkiem, tak jak w Paryżu, i często na nich gram, by się odprężyć. Szczerze mówiąc, pozwoliło mi to odkryć na nowo dziecięcą radość z muzykowania. Jak mawia Elle, teraz mam jeden instrument do pracy, a drugi dla przyjemności.

Uczestniczymy w całej gamie aktywności konserwatorium – gramy w orkiestrze, dajemy koncerty, komponujemy utwory... Żyję jak we śnie. To istotne, bo rzeczywistość wokół nas jest o wiele bardziej przerażająca, niż mógłbym się tego kiedykolwiek spodziewać.

W marcu 1933 roku partia Adolfa Hitlera zdobyła władzę w Niemczech. Wstyd, ale niewiele wiedziałem o haniebnym ideologii tego

człowieka z małym wąsikiem. Elle poświęcała więcej uwagi rosnącemu w siłę ruchowi, ale znała go tylko z francuskich gazet, których docierało tu niewiele i rzadko. To Karine – która też była Żydówką – uświadamiała nam zło nazizmu. Powiedziała, że jedną z pierwszych rzeczy, które załatwił Hitler po dojściu do władzy, było umożliwienie wprowadzania praw bez zgody parlamentu. W efekcie zyskał władzę absolutną i w Niemczech zapanował totalitaryzm. Naziści unicestwili wszystkie inne partie polityczne, zlikwidowali związki zawodowe i zamierzają aresztować każdego, kto jest przeciwko reżimowi. Krążą nawet ponure pogłoski o obozach, w których zamykają oponentów i nieludzko się nad nimi znęcają.

Hitler nie ukrywa nienawiści do narodu Elle. Najwyraźniej obwinia ich o klęskę Niemiec podczas Wielkiej Wojny, co jest nikczemne i obrzydliwe. Przez obłąd jednego człowieka antysemityzm jest obecnie oficjalną polityką rządu. Wygląda na to, że większość obywateli akceptuje to, bo wierzy, że Hitler odbuduje potęgę Niemiec jako światowego mocarstwa.

Żyjemy więc w Lipsku w stałym napięciu. Zwłaszcza że burmistrz miasta, Carl Friedrich Goerdeler, jest skonfliktowany z Hitlerem. Nikt z nas nie wie, jakim cudem nadal utrzymuje się na stanowisku – może pomaga mu to, że jego zastępca Haake, maleńki człowieczek, jest zagorzałym zwolennikiem nowego porządku i posłusznym członkiem partii. Kiedy to piszę, Goerdeler przebywa w Monachium, na spotkaniu ze sługusami Hitlera, którzy prawdopodobnie naciskają go, by wprowadził w Lipsku antysemityczną retorykę. Póki Goerdeler pozostaje u władzy, by nas bronić, obywatele Lipska mogą czuć się w miarę bezpieczni. Ale naprawdę nie mam pojęcia, jak długo może to jeszcze potrwać.

Serce mi się kraje każdego dnia, kiedy widzę w twarzy Elle, jak bardzo się martwi. Nierzadko spotyka się na ulicach członków SS i Hitlerjugend –

partia nazistowska zapewnia sobie przyszłość przez indoktrynację. Wkrótce doczekamy się pokolenia obywateli, którzy będą uważać nienawiść rasową za coś normalnego.

Wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, że Elle i ja nie będziemy mogli dokończyć studiów w konserwatorium w Lipsku. Zastanawialiśmy się nad powrotem do Paryża – albo innego miasta we Francji – obawiam się jednak, że jeśli Niemcy chcą wojny, to obejmie ona również ojczyznę Elle.

Tego wieczoru ja i Elle mamy spotkać się z Karine na kawie, żeby omówić sytuację. Będzie też jej chłopak, Norweg, Jens Halvorsen (przyjaciele nazywają go Pip). Według mnie zdecydowanie zbyt lekko traktuje to, co dzieje się w mieście. Wierzy, że naziści nie tkną studentów z konserwatorium, bo przecież Hitler wspiera muzykę i kulturę. Karine coraz bardziej drażni jego przekonywanie nas, że trzeba zachować spokój.

22

To był on.

Kreeg Eszu.

Te przenikliwe zielone oczy rozpoznałbym wszędzie.

Jak mnie znalazł? Czy trafił na mój ślad w Paryżu i nakłonił tam kogoś do mówienia? Może Toussainta? Mam mętlik w głowie i sięgam po pamiętnik, żeby uporządkować myśli.

Spotkaliśmy się z Pipem i Karine w kawiarni, tak jak się umówiliśmy. Rozmowa szybko zeszała na sytuację polityczną w Lipsku.

– Elle i Bo też się martwią – powtarzała swojemu chłopakowi Karine. – Elle jest Żydówką jak ja, choć na nią nie wygląda. Ma szczęście – dodała szeptem.

– Sądzimy, że to tylko kwestia czasu, kiedy to, co dzieje się w Bawarii, zacznie się tutaj – odezwała się cicho Elle.

Pip się zjeżył.

– Musimy poczekać. Zobaczymy, co uda się załatwić burmistrzowi w Monachium. Jestem jednak pewien, że nawet w najgorszym przypadku nie tkną studentów naszej uczelni.

Karine pokręciła głową i westchnęła.

– A co u ciebie, Bo? – zwrócił się do mnie Pip.

– W porządku – odparłem.

– Gdzie spędzasz Boże Narodzenie?

Zastanawiałem się chwilę.

– Ja...

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zauważyłem, jak do kawiarni wchodzi dwóch oficerów SS. Szli wolnym krokiem w szarych mundurach, z pistoletami w kaburach przy pasie. Kiedy przyjrzałem się młodszemu, poczułem, jak cała krew odpływa mi z twarzy.

Choć o dziesięć lat starszy, Kreeg nadal miał ten charakterystyczny kanciasty zarys szczęki, przenikliwe jak u rysia oczy nad wydatnymi kośćmi policzkowymi i oliwkową cerę. Popatrzył na mnie. Najspokojniej, jak tylko mogłem, spuściłem wzrok i odwróciłem się. Eszu i jego kolega usiedli przy stoliku zaledwie metr od nas. Znalazłem się w zasięgu ręki mężczyzny, który poprzysiągł mnie zabić.

– Jeszcze nie jesteśmy pewni naszych planów – wydukałem do Pipa, który czekał na odpowiedź. Dyskretnie nachyliłem się do Elle. – On tu jest... Kreeg.

Zrobiła wielkie oczy.

– Nie ruszaj się – rzuciłem. – Odczekamy kilka minut, a potem cicho wyjdziemy.

Ścisnęła mocno moją dłoń.

Spotkanie Kreega samo w sobie było dla mnie wystarczającym szokiem, ale na widok jego szarego munduru SS zrobiło mi się niedobrze. W dzieciństwie budowaliśmy igloo w śniegu, wdrapywaliśmy się na zmarznięte drzewa i opowiadaliśmy sobie różne historie, by przetrwać długie i ciemne syberyjskie wieczory. A teraz służył partii nazistowskiej. Wpatrywałem się w swoje buty. Choć bardzo chciałem poderwać się i uciekać, wiedziałem, że nie mam szans. W jednej chwili byłoby po mnie.

– Miło się rozmawia, ale ja i Bo naprawdę musimy już iść, mamy jeszcze prace pisemne do skończenia – oznajmiła Elle. – Prawda, Bo?

Skinąłem głową.

– Do zobaczenia, Karine. Cześć, Pip.

– O... W takim razie do widzenia – odparł Pip.

Karine popatrzyła na nas ze zrozumieniem. Sądziła, że nie chcieliśmy dłużej znosić obecności tych w mundurach.

Nadal trzymając mnie za rękę, Elle spokojnie wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi. Choć nie patrzyłem na Kreega, czułem, że odprowadza mnie spojrzeniem. Z każdym krokiem coraz bardziej spodziewałem się kuli, ale strzał nie padł. Kiedy doszliśmy do wyjścia, nie wytrzymałem i obejrzałem się, by popatrzeć na niego raz jeszcze. Ku mojemu zaskoczeniu siedział odwrócony do mnie plecami i popijał kawę, którą właśnie przyniesiono im do stolika.

Szliśmy najszybciej, jak mogliśmy, ale w miarowym tempie, by nie zwracać na siebie uwagi.

– Jesteś pewien, że to był on? – szepnęła zdyszana Elle.

– Raczej nie mam wątpliwości. Minęło tyle lat... ale ma te same oczy. Mój Boże, mój Boże... – Z każdą sekundą narastała we mnie złość.

– Proszę, spróbuj się opanować, kochanie. Myślisz, że wytropił cię aż tutaj?

Wzruszyłem ramionami.

– Najwyraźniej... Nie potrafię znaleźć innego wyjaśnienia. Tylko że kiedy wychodziliśmy, nie patrzył na nas. Siedział odwrócony plecami.

Elle z ulgą skinęła głową.

– To dobrze. Może mimo wszystko cię nie rozpoznał. Ale nie rozumiem... Obaj jesteście Rosjanami, więc jak to możliwe, że on należy do SS?

– Jego ojciec pochodził z Prus. Mówiłem ci o Cronusie Eszu.

– No tak, pamiętam.

Dotarliśmy do podupadającej dzielnicy, gdzie stał mały budynek, który nazywałem domem, i pospiesznie weszliśmy wąskimi schodami na trzecie piętro. Kiedy znaleźliśmy się w moim pokoju, zamknąłem drzwi i starannie pozaciągałem cienkie zasłony. Na szczęście starsza kobieta wynajmująca mi pokój, Frau Schneider, była artystyczną duszą i nie krzywiła się na wizyty pań, póki „nic nie słyszę i wychodzą przed dziewiątą”.

Usiadłem na skrzypiącym łóżku i ukryłem twarz w dłoniach.

– Jeśli czekaliśmy na znak, że trzeba opuścić Lipsk, to myślę, że dostaliśmy całkiem wyraźny – powiedziałem. – Musimy przygotować się do jak najszybszej ucieczki. – Przeczesałem palcami włosy. Brakowało mi tchu, starałem się złapać oddech, robiło mi się na przemian to gorąco, to zimno. – Jakoś... dziwnie się czuję... – Świat zamazał mi się przed oczami, pole widzenia się zwężyło.

Elle usiadła przy mnie.

– W porządku, kochanie. Będzie dobrze. – Objęła mnie ramieniem. – Uspokój się. Nic ci nie grozi. Jestem tu. Przeżyłeś szok, ale zaraz poczujesz się lepiej.

– Musimy wyjechać, Elle. On mnie dopadnie... Przyjdzie po nas...

– Zgoda. Ale posłuchasz mnie chwilę?

Wzięłem się w garść i skinąłem głową.

– Z tego, co mi mówiłeś, Kreeg Eszu ma jedną misję w życiu. Położyć kres twojemu. Tak?

– Znasz odpowiedź na to pytanie.

– W takim razie, gdyby rozpoznał cię w kawiarni, na pewno coś by zrobił, bez względu na konsekwencje, zgodzisz się ze mną?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Tak sędę – przyznałem w końcu.

– Z tego wynika, że nie zdawał sobie sprawy, kim jesteś. W związku z tym możemy przyjąć, że jeszcze nic ci bezpośrednio nie zagraża. Rozumiesz, co staram się wytłumaczyć? – spytała.

Wahałem się.

– Mnie również na razie nie zagraża sytuacja polityczna w Lipsku. Nikt nie wdiera się do naszych domów i nie poddaje nas segregacji... na razie. Nie mówię, że to nie może się szybko zmienić, ale w tej chwili jesteśmy bezpieczni i jesteśmy razem. Proszę więc, żebyś zachował spokój. Jeśli już nie z innych powodów, to zrób to dla mnie.

Zwolniłem oddech i popatrzyłem Elle w oczy.

– Przepraszam – rzuciłem.

– Nie musisz mnie przepraszać. Chciałabym tylko, żebyś wiedział, że nic się nie stało i że jestem przy tobie.

Przeciągnęła palcami po moich włosach, co zawsze mnie uspokajało.

Po dłuższej chwili wstałem.

– Czas działać. Zacznę układać plan wyjazdu.

Wyciągnąłem walizkę z szafy stojącej w kącie pokoju.

– Jutro musisz pójść do Deutsche Bank i wyciągnąć z konta tyle, ile się da – powiedziałem. – Potem po prostu wsiądziemy do najpóźniej odjeżdżającego pociągu.

– Dokąd uciekniemy, Bo? Z powrotem do Francji? Do żandarmerii, która według wszelkiego prawdopodobieństwa nadal chce cię aresztować? Nie moglibyśmy kontaktować się z Evelyn ani Landowskimi. Bo po Boulogne-Billancourt rozejdzie się wieść, że wróciłeś po tajemniczym zniknięciu, i policja cię znajdzie.

– Masz rację. Nie pojedziemy do Francji. To zbyt wielkie ryzyko. Pojedziemy do Szwajcarii. Najwyższy czas. Muszę się dowiedzieć, co się stało z ojcem.

Elle westchnęła.

– Od ilu lat mówisz o Szwajcarii? – spytała. – Naprawdę masz w sobie jeszcze choć odrobinę wiary w to, że on żyje?

Zdębiałem.

– Nie, nie mam – wyznałem. – Ale co proponujesz? Żebyśmy zostali tutaj, w Niemczech? Mam po prostu przyjąć do wiadomości, że Kreeg może mnie zamordować? Albo że Hitler może to samo zrobić z tobą?

Sfrustrowany kopnąłem walizkę i natychmiast poczułem się winny. Elle starała się pomóc, a ja panikowałem.

– Posłuchaj mnie – powiedziała błagalnym tonem. – Na Hitlera nic nie poradzimy, ale pewnie moglibyśmy zrobić coś z Kreegiem.

Podparłem się pod boki.

– Niby co?

– Myślałam o tym przez lata. Dlaczego po prostu nie zwrócisz mu tego diamentu?

Nie potrafiłem się powstrzymać. Parsknąłem śmiechem.

– Och, Elle. Wiesz, że próbowałem, jeszcze na Syberii. Ale nie chciał słuchać. Po prostu rzucił się na mnie.

Skinęła głową.

– Wiem, ale od tamtej pory wiele się zmieniło. Byliście dziećmi. A po tym, co usłyszałam od ciebie o tej sytuacji, rozumiem, że miał prawo tak pomyśleć. – Urwała, najwyraźniej zastanawiając się, czy mądrze jest powiedzieć więcej. – Przecież stałeś nad martwym ciałem jego matki.

Kiedy to sobie przypomniałem, przebiegł mnie zimny dreszcz. Przez tyle lat starałem się wymazać ten obraz z pamięci.

– Musisz mi to przypominać?

– Bo, pamiętaj, że nie jesteś mordercą. Martwię się, że czasami o tym zapominasz. Jesteś niewinny i nie musisz obawiać się swojego Boga.

– Boga nie, ale mój brat... Kreeg... to całkiem inna historia.

– Wierzy, że zabiłeś jego matkę, by zabrać diament. Oboje wiemy, że tak nie było. Powinien zaakceptować prawdę o tym, co się stało.

– I co proponujesz? Co miałbym zrobić, Elle? Mam podejść do niego na ulicy, poklepać go po ramieniu i uściskać? Rzucić mu diament i powiedzieć: „Od teraz zgoda, bracie”?

– Rozumiem, jak się czujesz, ale nie musisz się ze mną kłócić – powiedziała załamana.

– Wybacz, kochanie, ale obawiam się, że zapominasz, dlaczego w ogóle się tu znaleźliśmy. Kreeg poprzysiągł, że póki żyje, będzie mnie tropił i pomści matkę. Znam go, może lepiej niż ktokolwiek pod słońcem. On dotrzyma słowa.

– Wiem. Ale pamiętaj o kilku sprawach. Po pierwsze, nie zna twojego nowego nazwiska. Tu jesteś Bo D’Aplièse. Po drugie, wyrosłeś. Wiem, że natychmiast rozpoznałeś Kreega, ale jemu niekoniecznie tak łatwo będzie cię skojarzyć. Po trzecie, na jakim instrumencie grasz według niego?

– Na skrzypcach. – Nagle to sobie uświadomiłem. – Och...

– No właśnie. Na pewno nie będzie wypytywał o studenta Bo D’Aplièse’a, który gra na wiolonczeli. Jeśli już trochę tu powęszył, może powoli traci nadzieję, że jesteś w Lipsku.

– Niewykluczone, że masz rację – przyznałem.

– Może gwiazdy dały ci jednak szansę. Kreeg nie ma tej przewagi, że cię zaskoczy, czego się boisz. Jeśli udałoby się nam ułożyć plan, jak oddać

mu diament, na przykład z listem wyjaśniającym prawdziwe okoliczności śmierci jego matki, to może odpuści sobie dalszy pościg.

Ze smutkiem pokręciłem głową.

– To nie wystarczy, Elle. Nieważne, jaka jest prawda, on chce mnie zabić.

Przyłożyła dłoń do mojego policzka.

– Nie warto przynajmniej spróbować, kochanie? Naprawdę moglibyśmy żyć w spokoju.

– Boję się, Elle. Boję się go.

– Wiem. Ale masz mnie. – Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. – Po pierwsze, na razie nie powinieneś wychodzić z domu, a ja w tym czasie zorientuję się, gdzie on mieszka i jakie są jego codzienne zwyczaje. Czy to brzmi jak dobry plan na początek?

Westchnąłem.

– Tak – zgodziłem się.

– Dobrze. W takim razie od tego zaczniemy.

– Elle...

– Tak?

– Błagam, bądź ostrożna. My tylko zakładamy, że on mnie dziś nie rozpoznał. Jest przebiegły i bardzo niebezpieczny. Gdyby coś ci się stało, poddałbym się mu bez oporu.

– Wiem. I dlatego spróbujemy to wreszcie zakończyć, w ten czy inny sposób. – Elle pocałowała mnie. – Dobranoc, kochanie. Przyjdę, kiedy tylko zdołam się czegoś dowiedzieć.

Otworzyła drzwi mojego pokoju i wyszła.

I teraz siedzę zmartwiała ze strachu, że coś złego może ją spotkać albo że Kreeg jednak rozpoznał mnie w kawiarni. Co jakiś czas delikatnie

uchylam zasłonę i wyglądam na ulicę, niemal pewny, że zobaczę tam mężczyznę w mundurze SS wpatrującego się we mnie z dołu. Podejrzewam, że czeka mnie długa noc.

23

Elle wróciła następnego dnia o dziesiątej rano. Błada i roztrzęsiona. Ledwie była w stanie mówić, więc posadziłem ją i przyniosłem jej filiżankę herbaty z małej kuchenki na parterze. Objąłem ją, kiedy popijała gorący płyn, aż wreszcie na jej policzki wróciła odrobina koloru.

– To okropne, Bo. Okropne.

Gdy wreszcie zdołała coś powiedzieć, opisała mi potworną scenę, jakiej była świadkiem przy Gewandhaus – największej sali koncertowej miasta. Na placu przed nią stał pomnik Felixa Mendelssohna, założyciela lipskiego konserwatorium, w którym studiowaliśmy. Rano członkowie Hitlerjugend obalili posąg tego wielkiego kompozytora żydowskiego pochodzenia i roztrzaskali go młotkami na kupę gruzu.

– W ich twarzach widziałam szaleństwo. Zaciskali zęby, byli jak wściekłe zwierzęta zaślepione nienawiścią. Musiałam się opanować, żeby spokojnie przejść obok. – Elle zamknęła oczy, by odpędzić to wspomnienie.

– Goerdeler będzie oburzony – powiedziałem. – Jak można tak nienawidzić człowieka, który dał tyle światu?

– Założę się o wszystko, że to ten wstrętny zastępca Goerdelera to zorganizował. Uznał, że warto zrobić taką demonstrację, kiedy burmistrz jest w Monachium. Teraz Goerdeler na pewno będzie musiał ustąpić ze stanowiska. I Lipsk będzie stracony.

– Tak mi przykro, Elle.

Wyjęła chustkę i wytarła oczy.

– Powiem ci więcej: widziałam Kreega stojącego przy zwalonym pomniku. Wrzeszczał, wydając instrukcje chłopcom. Myślę, że nadzoruje hufiec Hitlerjugend.

Zadrzałem na myśl, jaki wpływ na niewinne dzieci może mieć mój dawny brat.

– Teraz powinno być dość łatwo sprawdzić, co i kiedy robi – dodała Elle. – Muszę tylko dowiedzieć się, jakie są plany hufca. Wtedy zawsze będę się orientować, gdzie jest Kreeg.

– I to jest jedyna pozytywna rzecz związana z tym, co wydarzyło się pod Gewandhaus – skwitowałem.

Spuściła wzrok.

– Nie powinieneś tak mówić, Bo.

Zganiłem się w myśli.

– Głupio to ująłem. Nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili, kochanie, przysięgam. – Uśmiechnęła się do mnie smutno. – A tak w ogóle to nie masz teraz zajęć, na które powinnaś iść?

– Nie. Rektor Davisson zamknął konserwatorium. Uznał, że jest zbyt niebezpiecznie dla studentów. Zamierzam spotkać się z Karine na Wasserstrasse.

Wstała.

– Elle, moim zdaniem to nierozsądne. Karine wygląda na Żydówkę. Jeśli na ulicach panują dziś antysemickie nastroje, nie ryzykuj, proszę.

– Musimy pamiętać o naszych obowiązkach wobec przyjaciółki. Oboje wiemy, że Pip nie dostrzega powagi sytuacji. Bardziej martwi się tym, czy uda mu się dokończyć kompozycję.

Skinąłem głową.

– Ja powinienem grać na wiolonczeli w orkiestrze... – powiedziałem, ale porzuciłem tę myśl. – Nie mogę ci pozwolić, żebyś chodziła dziś sama po mieście. Pójdę z tobą.

Elle zastanawiała się przez chwilę.

– Chyba czułabym się pewniej – przyznała w końcu. – Kreeg i jego hufiec Hitlerjugend zajmują się paleniem książek przy zburzonym pomniku Mendelssohna. Kazała studentom wrzucać nuty z utworami żydowskich kompozytorów do ognia... – Urwała; dławiło ją w gardle, czemu trudno się dziwić.

Wstałem i objąłem ją.

– Załóż ten szeroki płaszcz – nakazała mi. – I kapelusz. Musimy być ostrożni.

Siedzieliśmy w odległej wnęce kawiarni na Wasserstrasse i czekaliśmy na Pipa i Karine. Kiedy się pojawili, Karine była rozdygotana. Widać było, że płakała, ale jak zwykle śmiało komentowała sytuację.

– Teraz nie ma już nikogo, kto by nas bronił. Wszyscy wiemy, że Haake to antysemita. Pamiętacie, jak starał się wprowadzić tu te okropne prawa obowiązujące już właściwie w całych Niemczech. Czy niedługo w Lipsku zakazą praktykowania żydowskim lekarzom, a Aryjczykom chodzenia do nich na wizyty?

Pip podniósł ręce, jakby wzywał do zachowania spokoju.

– Nie powinniśmy panikować, poczekajmy na powrót Goedelera – powiedział. – Z tego, co piszą w gazetach, będzie tu za kilka dni. Z Monachium pojechał do Finlandii w sprawach Izby Handlowej. Jestem pewien, że kiedy usłyszy, co się dzieje, natychmiast wróci do Lipska.

– Nastroje w mieście są okropne! – wypaliła Elle. – Wszyscy wiedzą, ilu Żydów studiuje w konserwatorium. A jeśli oni postanowią pójść o krok

dalej i zrównają uczelnię z ziemią, jak zrobili to z synagogami w innych miastach?

– Konserwatorium to świątynia muzyki, nie władzy politycznej czy religijnej. Proszę, musimy zachować spokój – powtarzał Pip.

– Łatwo ci to mówić – zauważyła Karine z goryczą. – Nie jesteś Żydem i ciebie uznają za swojego. – Popatrzyła na jego kręcone blond włosy o rudawym odcieniu i jasnoniebieskie oczy. – Ja to co innego. Kiedy zwalili pomnik, mijałam grupę młodzieży w drodze do konserwatorium. Krzyczeli za mną *Jüdische Hündin!* – Spuściła oczy na to wspomnienie. Wszyscy wiedzieliśmy, że to oznacza „żydowska suka”. – W dodatku nie mogę porozmawiać z rodzicami. Są w Ameryce, przygotowują nową wystawę rzeźb ojca.

Pip nagle robił takie wrażenie, jakby krew w nim zawrzała. Wziął Karine za rękę.

– Kochanie, będę cię chronił. Nawet gdyby trzeba było w tym celu zabrać cię do Norwegii. Nie stanie ci się nic złego. – Trzymając dłoń dziewczyny, odgarnął błyszczący czarny kosmyk z jej pełnej niepokoju twarzy.

– Obiecujesz? – spytała tak poważnie, że aż ścisnęło się serce.

Pocałował ją z czułością w czoło.

– Obiecuję.

Elle i ja cieszyliśmy się, że po raz pierwszy Pip chyba rozumiał, co się święci.

Przez następnych kilka dni nie wychodziłem z domu. Przez Elle wysłałem wiadomość do nauczycieli, że jestem przeziębiony. Elle przychodziła odwiedzić mnie co wieczór i zdawała mi relację z ruchów Eszu. Trzeciego dnia miała nowe wiadomości.

– Dziś poszłam za kilkoma ludźmi z SS do centrum. Mieszkają w hotelu niedaleko budynku NSDAP – powiedziała rozemocjonowana.

– Budynku NSDAP?

– To ich siedziba administracyjna. Stacjonuje tam też policja.

Oparłem się o wążę drewniane biurko.

– Myślisz, że Kreeg zatrzymał się w tym hotelu?

– Niemal na pewno. Chociaż... – Odwróciła wzrok.

– Elle?

– Odkryłam, że mają system rotacyjny. Kreeg podróżuje po kraju, odwiedza różne hufce Hitlerjugend, żeby upewnić się, czy lokalne techniki indoktrynacji są na satysfakcjonującym poziomie. Niedługo opuści Lipsk.

Zaśmiałem się zaskoczony.

– Jak się tego dowiedziałaś?

– Pogadałam z jednym z nich.

Mój nastrój gwałtownie się zmienił.

– Co?! Elle, na Boga, co ty sobie myślisz?! Zgodziłem się na ten plan jedynie pod warunkiem, że nie będziesz się narażać!

Wzięła mnie za rękę.

– Co może mnie lepiej chronić niż okazywanie wsparcia dla ich sprawy? Podeszłam do jednego z gówniarzy, który stał przy kolumnach konserwatorium i palił papierosa. Powiedziałam, że bardzo przystojnie wygląda w mundurze i że wykonali świetną robotę, burząc pomnik.

Puściłem jej rękę i zacząłem masować skronie.

– Och, Elle... Mów dalej.

– Spytałam go, jakie ma zadania. Wyjaśnił, że odpowiada za trenowanie hufca młodzieży pod nadzorem porucznika Eszu... który jutro wyjeżdża.

Nie byłem w stanie pohamować złości.

– Igrasz z ogniem, Elle. A gdyby wiedział, że jesteś Żydówką?!

Przewróciła oczami.

– Spójrz na mnie! – rzuciła. – Kto mógłby lepiej pasować do ich wyobrażenia o aryjskiej czystej urodzie niż ja z tymi blond włosami i niebieskimi oczami? I to niesamowite, co można osiągnąć, jak się trochę potrzepocze rzęsami...

Westchnąłem ciężko.

– No, nie wiem... Pewnie powinienem się cieszyć, że jeśli przyczaję się przez następne dwadzieścia cztery godziny, to Kreeg wyjedzie z Lipska i znów będę bezpieczny. Nie będziemy jednak w stanie wprowadzić w życie naszego planu.

– Nie. Choć ten smarkacz powiedział mi, że za pół roku porucznik Eszu wróci sprawdzić, czy standard się nie obniżył. To może dać nam czas, żebyśmy obmyślili dokładnie, jak zwrócić Kreegowi diament i zapewnić ci bezpieczeństwo.

Zacząłem krążyć po małym pokoju.

– Tak. Ale to nie zmienia sytuacji, w jakiej się tu znajdujemy, Elle. Naziści nie pakują się i nie wyjeżdżają jak Kreeg. Nadal nie jest tu dla ciebie bezpiecznie.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

– Jak przewidywał Pip, Goerdeler wrócił. Dziś po południu obiecywał, że odbuduje pomnik Mendelssohna. Plan Haakego, żeby go zmusić do ustąpienia ze stanowiska, nie zadziałał. Myślę... że wszystko wraca do normy. Póki rządzi Goerdeler, nie ma bezpośredniego zagrożenia.

Przestałem chodzić i popatrzyłem jej w oczy.

– Naprawdę proponujesz, żebyśmy zostali, Elle?

Powoli pokiwała głową.

– Czuję się odpowiedzialna za Karine. Pip na razie nigdzie się nie wybiera, a ona potrzebuje naszego wsparcia. Nie zapominaj, że bez jej ojca w ogóle byśmy się tu nie znaleźli. Musimy zostać, żeby ją chronić.

Nie mogłem się z tym spierać. Skoro Karine zostawała, to najwyraźniej my też.

– Rozumiem – odparłem.

– Dziękuję, Bo. – Zostałem nagrodzony pocałunkiem w policzek. – Zdajesz sobie sprawę, że już za kilka dni mamy ferie świąteczne? Pip i Karine zamierzają spędzić tydzień w małym hotelu, gdzie zameldują się jako mąż i żona. Frau Fischer, która wynajmuje mi pokój, jedzie w tym czasie odwiedzić rodzinę w Berlinie. – Elle zarumieniła się lekko. – Pomyślałam, że... gdybyś chciał, mógłbyś wprowadzić się do mnie na ten tydzień.

Serce mi zabiło. Choć byliśmy razem od siedmiu lat, nigdy... nie poszliśmy na całość... Trochę niezręcznie mi o tym pisać. Dorastaliśmy w czasach niewinności. Jednak teraz, kiedy mieliśmy dwadzieścia i osiemnaście lat, pojawiały się pragnienia, których w dzieciństwie nie odczuwaliśmy. Kilka razy byliśmy bliscy poddania się im, ale zawsze coś nam przeszkodziło – zwykle inny lokator. Rozmawialiśmy o tym, żeby wynająć pokój w hotelu, ale wydawało się nam, że byłoby to nie w porządku wobec pana Landowskiego i Prix Blumenthal.

– Życie jest krótkie, Bo – powiedziała Elle, mrugnęła do mnie i ruszyła do drzwi.

Nadeszły ferie i konserwatorium opustoszało, gdy studenci i nauczyciele wyjechali do domu na święta. Na stacjach też prawie nikt nie został. Spakowałem trochę rzeczy, żeby przenieść się do pokoju Elle.

Tamtej nocy po raz pierwszy się kochaliśmy. Oboje byliśmy niewiarygodnie nieśmiali. Wszystko trwało niedługo i poszło niezdarnie.

Potem trzymałem Elle w ramionach. Patrzyliśmy sobie w oczy, starając się mimo wszystko odnaleźć romantyzm chwili – bo tak to chyba powinno wyglądać, przynajmniej sądząc po tym, co czytaliśmy w powieściach. Tak naprawdę sam... akt... nie był czymś powalającym i potem, patrząc tak na siebie, nie mogliśmy powstrzymać śmiechu. Ale śmiech przerodził się w pocałunki, które z kolei przeszły w coś więcej i... no, miło mi donieść, że drugi raz był o wiele bardziej udany. Nie będę opisywał szczegółów, by nie być niedyskretnym w stosunku do Elle i nie wprawiać siebie w zakłopotanie, było jednak naprawdę wyjątkowo.

Spędziliśmy tydzień, ucząc się nawzajem być ze sobą tak blisko fizycznie i z radością poddając się grzesznej zmysłowości. Zaczęliśmy niezbyt fortunnie, ale odkryliśmy, że taka bliskość jest dla dwojga kochających się ludzi czymś najbardziej naturalnym na świecie. Nasze ciała są stworzone do dawania nam rozkoszy, więc dlaczego im tego odmawiać?

*

Zaczął się nowy semestr. Po powrocie Goerdelera do miasta zrobiło się spokojniej, tak jak przewidywała Elle. Chodziłem na zajęcia w konserwatorium i życie w większości płynęło podobnie jak przed pojawieniem się w Lipsku (i wyjazdem) Kreega Eszu. Pip pracował jak szalony nad swoją kompozycją, w rozpaczliwej nadziei, że utwór ten zostanie wykonany, nim Karine naprawdę będzie musiała opuścić Lipsk. Od czasu do czasu graliśmy na próbach kolejne fragmenty powstającego dzieła, a ja, siedząc za wiolonczelą, autentycznie podziwiałem to, co tworzył nasz przyjaciel. Choć w innych dziedzinach Pipowi Halvorsenowi brakuje nieco wyobraźni, jest niezwykle utalentowanym kompozytorem.

– Czy to w ogóle dobre, Bo? Ufam twojej ocenie – spytał.

– Myślę, że to będzie wielki sukces – odpowiedziałem szczerze.

– Miło, że tak mówisz. – Zamknął fortepian i nachylił się do mnie. – Wiesz, w szkole gadają, że nazywają cię „Bo”, bo nigdy nie widuje się ciebie bez twojego *bow*, smyczka. Jest w tym trochę prawdy?

Zaśmiałem się, udając pewność siebie, by nie zorientował się, jak mnie to zaniepokoiło.

– Bzdura. Choć oczywiście pewnie dlatego sięgnąłem kiedyś po *bow*!

Pogratulowałem sobie w duchu, że przyszło mi do głowy tak gładkie kłamstewko.

– No jasne – rzucił Pip. – Bo jako imię...

– *Bow* z natury – dokończyłem.

Rozejrzał się po wyłożonej drewnem sali prób.

– Wiesz, Goerdeler w marcu staje do wyborów na kolejną kadencję. Dziś to ogłosił.

Podniosłem się z krzesła i zacząłem pakować wiolonczelę.

– To niewątpliwie dobra wiadomość – skomentowałem; wiedziałem, że Pip obserwuje mnie uważnie, żeby zobaczyć moją reakcję.

– Tak – rzucił. – Mam nadzieję, że skoro całe konserwatorium i większość mieszkańców Lipska są za nim, jego reelekcja pomoże pozbyć się niemile widzianych gości. Dla dobra ważnych dla nas osób.

Zatrzasnąłem futerał i obróciłem się do Pipa.

– Nie byłbym tak optymistyczny – oświadczyłem. – Goerdeler nie zdołał nawet odbudować pomnika Mendelssohna.

Wzruszył ramionami.

– Prawda. Ale na pewno, kiedy ludzie na niego zagłosują i wróci na urząd, partia nie będzie miała wyboru, będzie musiała go wspierać.

– Nie byłbym tego taki pewny. Wszyscy wiemy, że Haake otwarcie agituje przeciwko reelekcji burmistrza. Zburzenie pomnika pokazało jasno,

jaki jest stosunek Haakego do Żydów.

Pip westchnął ciężko. Najwyraźniej nie to miał nadzieję ode mnie usłyszeć.

– Wiem. Stale staram się sam siebie przekonać, że to nie dzieje się naprawdę. Jestem na trzecim roku. Najprawdopodobniej uda mi się dokończyć studia w Lipsku. Ale Karine, Elle i ty... Możliwe, że będziecie musieli wyjechać, jeszcze zanim zaczniecie ostatni rok.

– To niewygórowana cena za zagwarantowanie sobie bezpieczeństwa, Pip.

Milczał chwilę, po czym skinął głową.

– Masz rację.

Przez następne tygodnie poprzedzające wybory Elle, Karine i wielu innych studentów konserwatorium agitowało, by głosować na Goerdelera. W noc, kiedy liczono wyniki, dołączyliśmy do tłumów przed ratuszem i wiwatowaliśmy w euforii, kiedy usłyszeliśmy, że nasz kandydat wygrał. Po raz pierwszy od długiego czasu mieliśmy wrażenie, że odnieśliśmy prawdziwe zwycięstwo.

Choć Goerdeler robił, co w jego mocy, pomnik nie został odbudowany. Po tej porażce burmistrz trzydziestego pierwszego marca 1937 roku zrezygnował ze stanowiska, odmawiając oficjalnego przyjęcia urzędu po wygranych wyborach.

Muszę przeprosić za charakter pisma. Czytelnik bez wątpienia zauważył, jak pogorszył się od ostatniego wpisu. Niestety, miałem uraz prawej ręki i boli, kiedy podnoszę ją na biurko. Za każdym razem, kiedy zaczynam nową linijkę, przeszywa mnie ból od łokcia, przez ramię, aż po szyję. To przypomina, że ludzkie ciało jest skomplikowaną masą połączonych nerwów i najwyraźniej narobiłem dość szkód, by czuć ból w różnych miejscach. Noszę prowizoryczny temblak. Elle zrobiła mi go ze swojej chustki i pomaga mi ułożyć w nim rękę i wyjmować ją z niego kilka razy w ciągu dnia. W dodatku moja twarz jest teraz koloru Glühwein, które pijaliśmy, by rozgrzać się w zimowe wieczory.

Powinienem wyjaśnić, że jestem w kajucie na pokładzie rozklekotanego starego promu płynącego do nowego lądu, którego ani ja, ani Elle nigdy dotąd nie widzieliśmy. Mimo tego, co się stało, jestem podekscytowany perspektywą, że zobaczymy ten dziewiczy zielony kraj. Razem z nami na promie są Pip i Karine, którym oboje z Elle zawdzięczamy życie. Pip wspaniałomyślnie zaprosił nas do swojego domu rodzinnego w Norwegii.

Dwudniowa podróż daje dobrą okazję, by popisać w pamiętniku, dlatego zrelacjonuję zdarzenia, które doprowadziły nas do wyjazdu z Lipska.

Przez ostatnich kilka miesięcy nie traciliśmy czujności – zwłaszcza Elle, która wypatrywała, czy przypadkiem Kreeg nie pojawi się znów przy hufcu Hitlerjugend. Choć nie było po nim śladu, to kiedy nadszedł maj, oboje czuliśmy, że czas się zbierać. Uzgodniliśmy, że poczekamy do końca semestru, by zdać egzaminy po drugim roku, i wtedy wyniesiemy się z Lipska na dobre. Goerdeler odszedł i narodowi socjaliści mogli już nakładać sankcje na ludność żydowską według swojego widzimisię. Po prostu zrobiło się zbyt niebezpiecznie, żeby zostać. Elle udało się wreszcie przekonać Karine do opuszczenia Niemiec – z Pipem czy bez – ale i do niego w końcu dotarło, że sytuacja jest poważna. Zaproponował więc Karine, by po zakończeniu semestru pojechała z nim do Norwegii.

My z Elle sądziliśmy, że rozsądnym kierunkiem dla nas byłyby Stany Zjednoczone. Wystarczyłoby nam pieniędzy na podróż. Zamierzałem spróbować odszukać tam rodzinę Blumenthalów, by podziękować im za ocalenie mi życia, i znaleźć pracę.

Kiedy ustaliliśmy plany dla nas wszystkich, na zakończenie pobytu w Lipsku miałem wziąć udział w orkiestrowym wykonaniu ocenianej kompozycji Pipa. Był przyjemny letni wieczór. Setki studentów zebrały się przed Gewandhaus w oczekiwaniu na okazję wysłuchania utworów skomponowanych przez studentów trzeciego roku. Plac przed konserwatorium naprawdę wyglądał idyllicznie, mimo rzucającej się w oczy nieobecności Herr Mendelssohna. Studenci kręcili się w tłumie (wielu ubranych wieczorowo na występ), popijali wino, dyskutowali o muzyce i żartowali. Rozwieszone lampki rzucały łagodną żółtawą poświatę i gdyby ktokolwiek wylądował tu na spadochronie, nie wiedząc

nic o napięciach panujących w mieście, na pewno uznałyby, że to miejsce o najcudowniejszej atmosferze na świecie.

Chyba tak właśnie chcę zapamiętać konserwatorium do końca moich dni – niczym wskazującą możliwości wyrazu artystycznego magiczną latarnię morską, która pomogła mi się rozwinąć zarówno pod względem muzycznym, jak i osobistym.

– Jesteś bardzo przystojny, Bo. Do twarzy ci we fraku – powiedziała Elle, wsuwając mi rękę pod ramię.

– Dziękuję, kochanie. Każdy mężczyzna wygląda korzystnie we fraku. Mamy łatwo. Was, dziewczyny, bierze się pod lupę i surowo ocenia za strój. To naprawdę głupie...

– Czy powiesz mi zaraz jakiś komplement, czy powinnam się już martwić? – zażartowała.

– Przepraszam. Wiesz, że zawsze wyglądasz olśniewająco. Ale dziś wieczorem szczególnie.

Nie przesadzałem. Elle miała na sobie granatową suknię balową bez ramiączek, dopasowaną u góry, a od bioder w dół marszczoną i spływającą do ziemi falbanami.

– Dziękuję. I masz rację co do damskiej mody. Wyobrażam sobie, że biedna Karine cały wieczór będzie obiektem docinków.

Nasza przyjaciółka oczywiście postanowiła nie wkładać sukienki. Zdecydowała się na czarny garnitur i wielką białą muszkę jako dodatek.

– Według mnie wygląda doskonale – powiedziałem.

– Ja też tak uważam. Jest... sobą. To coś, czego ty i ja chyba nigdy się nie nauczymy.

Zaśmiałem się.

– Pewnie masz rację. Słuchaj, powinnaś iść poszukać sobie miejsca. Dziś nie ma biletów, więc lepiej nie czekać, aż wszystkie będą zajęte.

Cmoknęła mnie w policzek.

– Powodzenia. Staraj się nie zrujnować kariery Pipa...

Elle poszła po Karine i razem ruszyły do Gewandhaus.

Pip wyraźnie miał tremę – i nie bez powodu. Jego dzieło wywoływało wiele komentarzy i ta część koncertu miała większą widownię niż inne. Kiedy słuchacze szli zajmować miejsca, krążył nerwowo po foyer.

– Nie martw się przyjacielu – uspokajałem go. – Postaramy się dziś oddać sprawiedliwość twojemu pięknemu utworowi.

– Dziękuję, Bo. Wnosisz w niego bardzo wiele swoją wiolonczelą.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Muszę iść na swoje miejsce. Powodzenia, Pip.

Kiedy już byłem na scenie, obserwowałem, jak rektor Walther Davisson prowadzi Pipa razem z pięcioma innymi kompozytorami, których utwory miały być wykonane. Usiedli w pierwszym rzędzie Grosser Saal, jeden bledszy od drugiego z nerwów. Potem rektor wszedł na scenę. Widownia powitała go ciepło. Podobnie jak Goerdeler, był ostoją spokoju i rozsądku w tych niespokojnych czasach. My, studenci konserwatorium, uważaliśmy go za bohatera i naszego obrońcę.

– Dziękuję wam, dziękuję. – Uniósł dłoń i oklaski ucichły. – Witajcie w Gewandhaus na koncercie kończącym ten semestr. Na pewno z niecierpliwością czekacie, by usłyszeć efekty pełnej poświęcenia ciężkiej pracy kolegów, nie będę więc mówić długo. Chciałbym pochwalić wszystkich tu zebranych za ten niezwykle rok wytrwałości i determinacji. Wielu z was zna moją radę, by w pewien sposób zakładać sobie klapki na oczy, nie dawać się rozpraszać temu wszystkiemu, co dzieje się w świecie wokół was. Ten wieczór to nie tylko uhonorowanie sześciorga młodych kompozytorów, których utworów wysłuchacie, ale też wszystkich waszych

osiągnąć w tym roku. Jestem ogromnie dumny, że kieruję tą uczelnią. Proszę o oklaski dla każdego z was.

Zebrani zaczęli bić brawo, wybuchły owacje.

– W najbliższych latach ludzie będą szukali u was źródła pociechy, szczęścia i ucieczki – dodał Davisson. – Wszyscy zdobyliście dość umiejętności, by je dawać. Nie zawiedźcie.

Na sali zapanowała cisza, kiedy studenci rozważali znaczenie tych słów.

– A teraz przedstawię kompozytorcę pierwszego utworu. Petra Weber. Tytuł: *Wyniesienie nadziei...*

Kiedy rektor mówił dalej, popatrzyłem na Pipa. Rozglądał się nerwowo po Gewandhaus. Niestety, był ostatni w programie; musiał czekać około półtorej godziny, zanim orkiestra zagra jego utwór. To musiało być dla niego prawdziwą męką.

Wreszcie po pięciu udanych wykonaniach przyszła jego kolej, by wejść na scenę. Zauważyłem, że lekko drżą mu nogi. Skłonił się szybko, po czym usiadł do fortepianu. Dyrygent uniósł pałeczkę i zaczęliśmy.

Pip niepotrzebnie się martwił. Kiedy światła przygasły, publiczność została przeniesiona w świat magii. Delikatne harmonie i dynamiczne crescendo utworu Pipa wychodziły idealnie. Ta muzyka miała w sobie napięcie, pulsowała emocjami, porywała całe audytorium. Przyjemnie było brać w tym udział. Kiedy wybrzmiały ostatnie nuty, powolne dźwięki harfy, na moment zapadła cisza, po czym wybuchły owacje. Publiczność, oklaskując Pipa, wstała, a on skłonił się z rozmachem.

Potem świętowano radośnie w foyer Gewandhaus. Ze wzruszeniem patrzyłem, jak koledzy i profesorowie gratulują Pipowi i poklepują go po plecach. Jakiś dziennikarz poprosił go nawet o wywiad. Niewątpliwie Pip przez ostatnie miesiące pracował jak opętany i zasługiwał na wszelkie

możliwe pochwały. Zobaczyłem, że przez tłum przedziera się Karine, by go uściskać.

– Mój Grieg – powiedziała czule. – To początek twojej błyskotliwej kariery.

Trudno byłoby nie zgodzić się z jej stwierdzeniem.

Konserwatorium zapewniło szampana i wyglądało na to, że tego roku okręt wypłynął na czyste wody. Bąbelki łały się strumieniem. Większość raczyła się nimi bez umiaru. Nie można ich winić – po prostu cieszyli się tą wyjątkową chwilą, chcieli ją uczcić. Raz po raz i mnie podsuwano wysokie kieliszki, ale niezmiennie odmawiałem.

Powoli opuszczałem gardę – otworzyłem usta, żeby przemówić, a nawet opowiedziałem niektórym swoją historię, choć nie spodziewałem się, że kiedykolwiek się nią podzielę. Alkohol rozwiązuje jednak języki i przytępia rozum, uważałem więc, że lepiej unikać tego, co wielu uznaje za najśłodszy nektar. Tego wieczoru dość szybko okazało się, że należę do zdecydowanej mniejszości, i podjąłem decyzję, by wrócić do swojej kwatery – szczęśliwy, ale trzeźwy.

Poszedłem poinformować o tym Elle.

– Chyba zostanę trochę dłużej z Karine – odparła.

– Jak sobie życzysz, kochanie. Może spotkamy się na kawie rano?

– Wspaniale! – Pocałowała mnie w policzek.

Odwróciłem się do jej współlokatorki.

– Dobranoc, Karine. Powiedz jeszcze raz Pipowi, że to była wielka przyjemność grać jego muzykę.

– Powtórzę mu, Bo, dziękuję! Dobranoc.

Kiedy opuszczałem Gewandhaus, zbliżała się północ, tramwaje już nie jeździły, ruszyłem więc do domu piechotą. W dzień był to przyjemny dwudziestominutowy spacer, ale po zachodzie słońca nocne powietrze było

przejmująco zimne. Podniosłem kołnierz. Droga do Johannisgasse była długa i pusta, obsadzona ogromnymi jodłami. Oświetlał ją tylko mglisty blask latarni gazowych stojących co jakieś piętnaście metrów. Prowadziła pomiędzy terenami zieleni, gdzie mieszkańcy Lipska uprawiali sporty lub wyprowadzali psy. W nocy wyglądało to trochę upiornie. Miałem wrażenie, że idę mostem wiszącym nad przepaścią. Z powodu późnej pory w pobliżu nie było widać żywej duszy.

Szedłem z dziesięć minut, gdy usłyszałem trzask pękającej gałązki. Obejrzałem się, spodziewając się zobaczyć lisa albo jelenia przechodzącego na drugą stronę, ale ku mojemu zaskoczeniu droga była pusta. Przystanąłem i rozglądałem się dokoła, wypatrując jakiegoś ruchu. Nic nie dostrzegłem, ruszyłem więc dalej. Po pokonaniu kilku metrów mógłbym przysiąc, że słyszę kroki za drzewami. Znow się obróciłem.

– Halo?! – krzyknąłem. – Jest tam kto?!

Odpowiedziała mi cisza.

Czując się dziwnie, przyspieszyłem. I jak mogłem się spodziewać, kroki stały się głośniejsze. Ten ktoś nie potrafił już dalej poruszać się cicho. Układając sobie w głowie plan i wiedząc, że atak jest najlepszą formą obrony, obróciłem się gwałtownie na pięcie i podbiegłem do drzew, w stronę, z której dochodził odgłos kroków.

– Dlaczego mnie śledzisz? Czemu się nie pokażesz? Nie bądź tchórzem. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to chętnie posłucham!

Wbiegłem między drzewa i zacząłem za nie zaglądać. Liczyłem, że przyłapię człowieka, który się tam skrada. Nic jednak nie odkryłem, ruszyłem więc w głąb łąki i otoczyła mnie ciemność. Zamarłem w bezruchu i nasłuchiwałem. Po chwili znow usłyszałem czyjeś kroki – grząski grunt zdradzał tajemniczego prześladowcę. Oddalał się w mrok, coraz dalej ode

mnie. Zadowolony, że udało mi się odstraszyć intruza, wróciłem na drogę i przebiegłem cały dystans do domu.

Do drzwi dotarłem bez tchu. Wsunąłem dłoń do kieszeni w poszukiwaniu kluczy; byłem tak roztrzęsiony, że wypadły mi z ręki. Kiedy się obróciłem, żeby je podnieść, zobaczyłem cień postaci chowającej się szybko za budynkiem na rogu ulicy.

Czy on wrócił do Lipska? Wie, kim jestem?

Rozwazałem swoje możliwości. Były ograniczone. Jeśli tajemniczą postacią był Kreeg, to gonienie go i próba kolejnej konfrontacji byłyby głupotą. Najprawdopodobniej będzie miał przy sobie broń i po prostu mnie zastrzeli. Przede wszystkim myślałem, jak ochronić Elle. Gdybym jednak ruszył w długą drogę powrotną do Gewandhaus, naprowadziłbym Kreega – jeśli to był on – prosto na nią, naraziłbym miłość swojego życia i naszych przyjaciół na niebezpieczeństwo. Było dla mnie jasne, że jedyne, co mogę zrobić, to wejść do domu. Wsunąłem klucz do zamka, przekręciłem, otworzyłem drzwi i szybko je zamknąłem, po czym pobiegłem do swojego pokoju. Nie włączyłem światła. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Na dole nikogo jednak nie było. Panowały spokój i cisza.

Mimo to uznałem, że powinienem się jakoś zabezpieczyć. Z szafki przy łóżku wyjąłem scyzoryk. Potem wróciłem na stanowisko obserwacyjne przy oknie. Tym razem zasunąłem zasłony, zostawiając tylko małą szczelinę, żeby przez nią wyglądać. Z tego miejsca widziałem róg domu, w którym mieszkała Elle. Przynajmniej będę w stanie upewnić się, że ona i Karine dotarły do domu bezpiecznie.

Czekała mnie długa noc.

Przyciągnąłem sobie krzesło i podłożyłem poduszkę pod głowę. Liczyłem na to, że przez tych kilka godzin czuwania będę mógł obmyślić, jak uciec przed Kreegiem, jeśli to naprawdę był on. Siedziałem, obserwując

uważnie pustą ulicę w dole. Czas mijał, a po człowieku, który mnie śledził, nie było śladu. Ale może to tylko wyobraźnia płata mi figle? Ostatnio żyłem w stresie i niewykluczone, że zmysły mnie zawodziły.

Mój pokój był ciepły, a szum i ciche trzaski żelaznych grzejników działały uspokajająco. Gdy zaczęły mi się kleić oczy, żeby nie poddać się senności, uchyliłem odrobinę okno. Poczułem na twarzy zimne wieczorne powietrze. Czuwałem nadal przez jakiś czas, ale wreszcie ciało uległo słabości. Zapadłem w drzemkę.

*

Obudziłem się, krztusząc się. Otworzyłem oczy, ale nic przed sobą nie widziałem. Instynktownie wstałem i na ślepo zrobiłem kilka kroków naprzód. Zahaczyłem stopą o nogę stołu i runąłem na podłogę. Mimo bólu nagle odzyskałem wzrok. Kiedy przeturlałem się na plecy, z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, że pokój wypełnia czarny żrący dym.

Ogarnęła mnie panika. Podniosłem się na nogi, ale kiedy nabrałem powietrza, znów zacząłem się dusić. Padłem z powrotem na podłogę. Serce mi waliło. Czołgałem się, kierując się trochę na oślep do drzwi. Gdy do nich dotarłem, uświadomiłem sobie ze zgrozą, że dym płynie z korytarza. Nie miałem jednak wyjścia, musiałem dostać się na dół. Złapałem klamkę i podciągnąłem się, wstrzymując oddech. Próbowałem namacać gałkę, ale kiedy na nią trafiłem, była tak rozgrzana, że się oparzyłem. Zacisnąłem zęby i mobilizując wszystkie siły, przekręciłem ją. Z ulgą poczułem, że zamek puścił.

Stałem za drzwiami tak, by stanowiły dla mnie jakąś osłonę, i otworzyłem je gwałtownie. Do środka wdarły się wielkie pomarańczowe płomienie niczym ogromny jęzor wściekłego węża. Załamany, uświadomiłem sobie, że ucieczka jest niemożliwa.

Zatrzasnąłem drzwi. To była jednak tylko kwestia czasu, kiedy spłoną. Zastanawiałem się, czy będę ofiarą płomieni, czy trującego dymu. Rzuciłem się znów na podłogę i położyłem na brzuchu.

– Przepraszam! – krzyknąłem, choć nie byłem właściwie pewien do kogo.

Może do Elle, bo zostawię ją samą w Lipsku w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. A może do ojca, którego nie zdołałem odnaleźć, choć obiecywałem sobie, że to zrobię. A może do Landowskich, Evelyn, Iwana i wszystkich tych, którzy uwierzyli we mnie, kiedy nie miałem nic. Może nawet do Kreega Eszu, który z powodu nieporozumienia doprowadził mnie do cierpienia i rozpacz.

Właśnie wyrównywał rachunek.

Przebyłem kontynenty, przetrwałem mimo zimna i głodu, a potem spotkałem kogoś, kto sprawił, że moje życie było coś warte... I tak to się miało zakończyć. Banalnie, w kłębach dymu.

Obróciłem się na plecy i zamknąłem oczy. Kiedy byłem chłopcem, ojciec, by pomóc mi zasnąć, stosował technikę relaksacji wynalezioną przez teoretyka teatru, Konstantina Stanisławskiego.

Przypomniałem sobie jego głos: *Kontroler mięśni znajduje się teraz w twoim małym palcu u nogi... bo widzisz, on musi zacząć od najmniejszej części twojego ciała. Wyłącza go, a potem wędruje do następnego palca i następnego... A teraz jest w podeszwie stopy. Ojej... Ile tam napięcia, w końcu przez cały dzień dźwigała ciężar twojego ciała. Ale dla kontrolera mięśni to nie problem. Wyłącza podeszwę tak łatwo, jakby przekręcał śrubkę przy lampie. Teraz wędruje do twojej kostki...*

Mój ojciec, wyobrażony czy nie, w tej chwili mnie usypiał. Chociaż prawdopodobnie było to działanie dymu, który wdychałem. Bo później miałem wrażenie, że to mi się tylko śniło.

Zobaczyłem nad sobą gwiazdy.

Pamiętam, że byłem szczęśliwy, bo w końcu po mnie przyszły. Gromada Siedmiu Sióstr mieniła się i migotała mi przed oczami – moje gwiazdy przewodnie, niezawodne, niezmiennie. A potem zaczęły się przekształcać w siedem kobiecych twarzy, których nie rozpoznawałem. Z każdej emanowało tyle ciepła i miłości. W tamtej chwili poczułem spokój... byłem gotowy.

I nagle usłyszałem głos.

– Nie teraz, Atlasie. Jest jeszcze wiele do zrobienia.

Siedem twarzy znikło z pola widzenia i gwiazdy uformowały się w pojedynczą postać. Miała długie włosy i zwiewną suknię, która zdawała się ciągnąć za nią w nieskończoność. A potem gwiazdy zbladły i postać ukazała mi się w jaskrawych kolorach. Jej suknia nabrała głębokiej czerwonej barwy. Dziewczyna miała wieniec z białych i niebieskich kwiatów. Jej włosy – błyszczące, bujne, jasne – układały się pięknie wokół twarzy o kształcie serca. Ogromne, niebieskie, wilgotne oczy zdawały się mienić i migotać. Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Przemówiła do mnie znowu.

– Chłopcze dźwigający świat na barkach. Musisz ponieść ten ciężar nieco dłużej. Od ciebie zależy los innych.

Rozpoznałem europejski akcent, choć kobieta odezwała się do mnie w moim ojczystym języku.

– Co masz na myśli? – odparłem bez tchu. – Kim jesteś?

– Twoje przeznaczenie się nie dopełniło. Nie powinieneś jeszcze przekraczać tych drzwi.

– Jakich drzwi? O czym ty mówisz?

Kobieta uśmiechnęła się.

– *Patrzysz na mnie przez okno. Moim zdaniem okna są o wiele lepsze od drzwi, bo można widzieć przed sobą drogę, zanim się wyjdzie.*

Zrozumiałem.

– Okno... Ale jestem trzy piętra nad ziemią. Jeśli wyskoczę, nie mam szans przeżyć!

– *Tu też nie przeżyjesz. Zaufaj i skacz.*

Zaczęła znikać wśród gęstniejącego czarnego dymu, który kłębił się i pulsował nade mną.

Nagle oprzytomniałem, obróciłem się na brzuch i poczołgałem do okna. Kiedy sunąłem po podłodze, moje ręce natrafiły na długi, wąski przedmiot. Popatrzyłem. To był mój smyczek. Chwyciłem go. Ledwie widziałem światło na zewnątrz przez dym, który sączył się przez uchylone okno.

Chwytnąjąc zasłonę, zdołałem dźwignąć się na nogi i podsunąłem mocniej do góry ciężką szybę. Przez chwilę rozjaśniło się nieco, nim dym otoczył mnie znowu ze zdwojoną siłą. Spojrzałem w dół i dostrzegłem Frau Schneider i innych, którym udało się uciec z pożaru. Zauważyli mnie.

– On żyje! Mój Boże! – zawodziła Frau Schneider. – Zaczekaj, młody człowieku! Straż już wezwana, uratujemy cię!

Za moimi plecami rozległ się przerażający huk. Obróciłem się i zobaczyłem, że drzwi razem z ramą poddały się fali ognia. Otwarcie okna sprawiło, że płomienie się rozhulały i pomarańczowe jęzory zaatakowały pokój niczym ośmiornica wdzierająca się do jaskini. Ogień był głodny. Chciał mnie pożreć. Teraz naprawdę nie miałem wyboru. Ostatnią rzeczą, jaką porwałem z pokoju, był pamiętnik, który namacałem na biurku. Potem wdrapałem się na parapet.

– Ani się waż! Zostań tam! – krzyknęła Frau Schneider.

Oceniałem, że to ponad piętnaście metrów. Zatkanąłem pamiętnik i smyczek za pasek spodni. Potem przytrzymałem się parapetu i powoli,

ostrożnie opuściłem się, tak że nogi dyndały mi z okna. Liczył się każdy centymetr, o jaki mogłem skrócić upadek. Przygotowywałem się psychicznie na to, co mogło nastąpić.

– Na kwiatki, na kwiatki! – zawołała Frau Schneider. – Podlewałam je dziś wieczorem!

Opuściłem lewą rękę z parapetu i zawisłem tylko na prawej, żeby móc popatrzeć w dół. Choć było ciemno, białe i niebieskie kwiaty jarzyły się niczym lampki na lotnisku. Gdybym tylko zdołał trochę odbić od muru i wylądować w miękkim błocie klombu... Sądziłem, że wtedy miałbym jakieś szanse. W pokoju rozległ się głośny trzask. Uznałem, że teraz albo nigdy. Chwyając się znów obiema rękami parapetu, zahuściłem się najpierw w prawo, potem w lewo i puściłem się.

Lądowanie, choć niedoskonałe, było całkiem niezłe, biorąc pod uwagę sytuację. Tak jak miałem nadzieję, trafiłem stopami na klomb. Przy ich zetknięciu z ziemią kolana mi się ugięły. Przeturlałem się. Prawdziwą siłę upadku poczułem dopiero wtedy, kiedy uderzyłem w chodnik obok rabatki prawą ręką, a potem twarzą.

– Aaa! – jęknąłem z bólu.

– Chłopcze! – krzyknęła Frau Schneider, która pojawiła się nade mną. – Chłopcze! Jesteś ranny? Czujesz nogi? Możesz ruszać palcami?

– Tak – odparłem. – Tylko ręka. Boli.

Zdrową podwinąłem rękaw na tej uderzonej. Widok był dość paskudny. Najwyraźniej łokieć złamał się z przemieszczeniem; od samego patrzenia robiło mi się słabo.

– Musimy go przenieść dalej od domu. Pomóżcie!

Do Frau Schneider natychmiast podbiegło dwóch chłopaków z jej stacji i chwycili za moje ręce, żeby odciągnąć mnie od pożaru.

– Nie! – krzyknąłem, ale było za późno.

Dźwignęli mnie i w prawej ręce rozległ się paskudny trzask. Potem załała mnie gorąca fala bólu, która zaczęła się od łokcia i przebiegła po całym ciele. Wrzeszczałem, lecz chłopcy byli zdecydowani za wszelką cenę zanieść mnie dalej od płomieni. Kiedy mnie puścili, skuliłem się targany potwornym bólem, który nie miał końca.

– Oddychaj, młody człowieku. Odwagi – powiedziała Frau Schneider, która znów znalazła się przy mnie i gładziła mnie po włosach. – Przeżyłeś.

– Czy... wszyscy... wyszli? – zdołałem wreszcie zapytać.

– Chyba wszyscy. Na szczęście niewielu lokatorów było na miejscu, większość została jeszcze w centrum po koncercie... Ale co do innych domów, to nie potrafię powiedzieć.

– Innych domów? – wydukałem.

– Zaczęło się. Przykro mi bardzo. To wszystko przeze mnie. To mnie chcieli zniszczyć.

Zaskoczony uniosłem brwi.

– Nie rozumiem, Frau Schneider.

– Jestem Żydówką. Podpalili dom, żebym straciła źródło utrzymania. Chcieli pokazać, że nie jestem tu mile widziana. Niestety, udało im się.

Trybiki w mojej głowie poszły w ruch.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Mogłeś zginąć i to byłaby moja wina. – Spuściła głowę.

– Nie, Frau Schneider – zaoponowałem. – Na pewno nie pani. – Żołądek ścisnął mi się na kamień. – Powiedziała pani „inne domy”... SS odwiedziło też inne miejsca, gdzie mieszkają Żydzi?

– Obawiam się, że tak.

Niezdarnie pozbierałem się z ziemi, pokonując fale przeszywającego bólu w ręce. Skrzywiłem się, z trudem łapiąc oddech.

– Ostrożnie! Poślę po lekarza – starała się mnie powstrzymać.

Dobiegłem do kawiarni, spod której było widać dom, gdzie mieszkała Elle – stał nietknięty. Ulga, jaką poczułem, zadziałała lepiej niż morfina.

– Nie potrzeba mi lekarza, Frau Schneider. Nic mi nie będzie, dziękuję. Muszę tylko znaleźć Elle.

Skinęła głową.

– Nie widziałam jej. Może jeśli popytasz, to... – Podniosła dłoń do ust i zaczęła płakać, nagle przytłoczona tym, co się wydarzyło.

Położyłem zdrową rękę na jej ramieniu.

– To bardzo niesprawiedliwe, Frau Schneider. Współczuję, że straciła pani dom.

– Dziękuję. – Pociągnęła nosem. – Ale zastanawiam się, dlaczego wybrali właśnie mnie. Nie obnoszę się ze swoim wyznaniem, w odróżnieniu od wielu innych w tym mieście.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Wiedziałem, że tej nocy to nie ta kobieta była celem, ale ja.

– Bo!

Zza ramienia Frau Schneider zobaczyłem Elle biegnącą z Karine w moim kierunku. Kiedy objąłem ją, kolejna fala bólu przebiegła mi przez ramię. Nie potrafiąc się powstrzymać, skrzywiłem się.

– Kochanie... co się stało? Nic ci nie jest?

– Och, Bo – jęknęła Karine.

Wskazałem na dopalający się dom.

– Musiałem wyskoczyć. Pałają domy Żydów. Ale, Elle... to był on. On wie. Musimy uciekać, jeszcze dziś, jeśli to możliwe.

– Co za on? – spytała Karine.

Elle obróciła się do przyjaciółki.

– Mówi o takim... wyjątkowo podłym oficerze SS, którego widzieliśmy na mieście – wyjaśniła. – Prawda, Bo?

– Tak – odparłem wdzięczny, że wykazała większy refleks niż ja. – Ten człowiek jest bardzo agresywny. Frau Schneider, do której należy ten dom, jest Żydówką. Najwyraźniej znalazł się na liście do dzisiejszych podpaleń. Gdzie Pip?

– Jeszcze w centrum, świętuje sukces – odparła Karine. – Czy wszystkim udało się wydostać z budynku?

– Podobno tak. Ale nikt z nas nie jest tu już bezpieczny. Musimy natychmiast stąd wyjechać.

Objąłem lewą ręką Elle, a ona przytuliła głowę do mojej piersi. Popatrzyłem raz jeszcze na dom. Słysząc było coraz głośniejszy syreny nadjeżdżającej straży pożarnej. Na udzie czułem smyczek. Znowu powtarzał się ten sam schemat: straciłem wszystko. Tym razem jednak miałem przy sobie Elle.

– Dokąd pojedziecie? – spytała Karine.

– Najdalej, jak się da. Może do Ameryki.

– Będzie mi ciebie brakowało. – Elle rozplakała się. – Byłaś dla mnie jak siostra.

– Ty dla mnie też, Elle. – Karine przygryzła wargę. – A gdybyśmy jakimś sposobem mogli się nie rozłączać? Bylibyście zainteresowani?

Popatrzyliśmy na siebie z Elle.

– Oczywiście – odparła. – Ucieszylibyśmy się bardzo, gdybyś pojechała z nami. Może razem popłyniemy do Ameryki?

– Tak naprawdę myślałam o tym, że to wy moglibyście dołączyć do mnie. Skoro Pip zaproponował, że zabierze mnie do Norwegii, to jestem pewna, że po tym, co się dziś stało, zaprosi również was. Co o tym sądzicie?

– Byłoby wspaniale! – odpowiedziała Elle, zanim jeszcze dotarło do mnie znaczenie słów Karine. – Bo, to świetny pomysł.

Nadal oszołomiony, skinąłem głową.

– Jeśli Pip się zgodzi, dołączymy do was. Dziękuję, Karine. Nie masz pojęcia, ile dla nas znaczy ta propozycja.

– No to postanowione. Koniec semestru już za kilka dni. I wtedy możemy od razu płynąć do Bergen.

– Nie – oświadczyłem stanowczo. – Ja i Elle musimy wyjechać najpóźniej jutro wieczorem. To sprawa najwyższej wagi dla naszego... dla bezpieczeństwa Elle, żebyśmy natychmiast opuścili Lipsk.

Spojrzałem wymownie na dom, w którym dotąd mieszkałem.

– Rozumiem. – Karine nie protestowała. – Z samego rana pomówię z Pipem. Zależało mu tylko na wykonaniu utworu, a skoro już jest po koncercie, to mam nadzieję, że wszyscy będziemy mogli wyjechać z Lipska przed wieczorem.

– Ale na razie musisz się gdzieś zatrzymać, Bo – powiedziała Elle. – Biorąc pod uwagę okoliczności, Frau Fischer na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyś spędził noc na naszym piętrze. Nie przeszkadzałoby ci to, Karine?

– Ależ skąd.

Na szczęście Frau Fischer się zgodziła. W pokoju Elle i Karine wziąłem drewniane krzesło i postawiłem przy oknie, zdecydowany tym razem nie zawieść. Gdybym tylko był bardziej czujny, mogłem uniknąć nieszczęścia. Wiedziałem, że odpowiadając za bezpieczeństwo Elle, nie pozwolę sobie nawet na chwilę nieuwagi. Poczekalem, aż tuż przed piątą wzeszło słońce, i dopiero wtedy położyłem się na podłodze, żeby trochę odpocząć. Byłem pewien, że Kreeg za dnia nie będzie niczego próbował. O siódmej usłyszałem, jak Karine wychodzi, żeby porozmawiać z Pipem.

Wróciła kilka godzin później. Zapewniła, że jego rodzina przyjmie nas w swoim domu. Pip właśnie dzwonił do Norwegii z biura rektora Davissona, by uprzedzić bliskich w Bergen.

Reszta dnia upłynęła na gorączkowym pakowaniu. Pomogłem Elle przebrać jej rzeczy, czując dziwną ulgę, że nie muszę tego robić ze swoimi, bo zmieniły się w kupę popiołu. Tylko wiolonczela przetrwała, zostawiona wieczorem w Gewandhaus. Nie mogłem jej jednak odebrać. Po prostu byłoby to zbyt ryzykowne. Ścisnęło mnie w gardle, gdy żegnałem się w myślach ze swoim instrumentem. Przynajmniej diament był bezpieczny. Jak zwykle miałem go w woreczku zawieszonym na szyi. Kiedy zgiąłem rękę i wymacałem znajomy kształt na piersi, poczułem przeszywający ból w łokciu. Jęknąłem.

– Och, Bo. Musisz iść do lekarza – stwierdziła Elle. – Proszę.

Wzięła jedną ze swoich chustek i zaczęła wiązać mi na szyi prowizoryczny temblak. Pocałowała mnie delikatnie w policzek i pogładziła moją posiniaczoną twarz.

– Moje biedne kochanie, niedługo będziesz buraczkowy.

– A potem, za jakiś tydzień, musztardowy – dodałem.

– Zapomniałam powiedzieć – wtrąciła Karine. – Matka Pipa, Astrid, jest pielęgniarką. Będzie mogła zająć się twoją ręką.

– Gotowe, Bo. – Elle zdobyła się na uśmiech. – Będzie lepiej.

Mimo zdarzeń z ostatnich sześciu miesięcy ze smutkiem opuszczałem Lipsk. Kiedy przyjechaliśmy tu z Elle, ośmieliłem się marzyć, że wreszcie będziemy mogli żyć razem, jako muzycy i ludzie wolni, nieobciążeni przeszłością. Przeszłość jednak upomniała się o mnie, namieszała w terażniejszości i mogła uderzyć nie tylko we mnie, ale też w Elle.

Samolubnie modlę się, by Norwegia okazała się dość odległa od Kreega.

25

Port Bergen, Norwegia

Sylwester 1938

Drogi Czytelniku, wybacz mi, proszę, że tak długo nie pisałem. Kiedy teraz siedzę przy pamiętniku, trudno mi uwierzyć, że od mojego ostatniego wpisu minęło półtora roku. Przyczyną tej długiej przerwy było tylko jedno – moja ręka. Okazało się, że „upadek” w Lipsku spowodował zarówno przemieszczenie w łokciu, jak i skomplikowane złamanie. Najwyraźniej nie zrobiło mi dobrze i to, że na siłę napisałem tych kilka stron podczas dwudniowej podróży z Lipska do Bergen.

Kiedy przybyliśmy do Norwegii, dobra, cudowna Astrid Halvorsen zadbała o to, żebym otrzymał natychmiastową pomoc w szpitalu Haukeland. Założyli mi gips na sześć tygodni i powiedzieli, że powrót do formy może potrwać rok albo i dłużej. Choć z każdym dniem czuję, że jest odrobinę lepiej, pisanie nadal sprawia mi trudność. Wiele razy chciałem unieść łokieć i przyłożyć pióro do papieru, ale poddawałem się, bo ból był nie do zniesienia. Teraz miło mi poinformować, że to przeszywające palenie w ręce minęło, został tylko tępy ból i dlatego... mogę znów pisać pamiętnik. Co za luksus!

Postaram się zrelacjonować zdarzenia szczegółowo, bo wierzę, że jeśli nadal to czytasz, zainteresowała cię moja historia.

Kiedy zszedłem z trapu promu, Astrid wystarczył jeden rzut oka na mój łokieć, by stwierdzić, że trzeba będzie go operować. Miała rację. Mimo

protestów życzliwych mi członków rodziny Halvorsenów uparłem się, że sam za wszystko zapłacę. W ten sposób pozbawiłem się reszty funduszy z Prix Blumenthal.

Na szczęście Halvorsenowie byli niezwykle szczerzy. Od początku naszego pobytu w Norwegii zapewnili nam dach nad głową, utrzymanie i niezliczone wesołe wieczory pełne muzyki i śmiechu. Pip i jego rodzice traktowali mnie i Elle jak rodzinę (Karine oczywiście też).

Ojciec Pipa, Horst, jest wiolonczelistą jak ja; gra w orkiestrze Filharmonii Bergen. Ogromnie mi współczuł, bo nie jestem już w stanie unieść ręki do smyczka – jest za sztywna. Dlatego nie mogłem brać udziału w należących do tradycji domu występach po kolacji, kiedy Pip siadał do fortepianu, Karine grała na oboju, Elle na flecie lub altówce (w zależności od utworu), a Horst na wiolonczeli. Przepełniał mnie wielki smutek, kiedy patrzyłem tęsknie na swój ukochany instrument.

Pierwsze miesiące w Norwegii były dokładnie tym, czego było nam trzeba po dramatycznym wyjeździe z Niemiec. I ja, i Elle czuliśmy się tu bezpiecznie. Norwegia to chyba najpiękniejszy kraj na świecie. Zachwycałem się widokami zamglonych gór i fiordów, które zdawały się nie mieć końca. Jednym z moich ulubionych zajęć były wędrówki po miejscowym parku Bergens Fjellstrekninger, po którym chodziłem ze szkicownikiem i zestawem piór, starając się uchwycić piękno natury, którym szczydzi się ta kraina. Nawet powietrze ma tu wyjątkową pierwotną czystość. Można się nim prawie upić, dostać zawrotów głowy od tego ostrego, świeżego chłodu.

Miałem pełną świadomość, że nie możemy polegać wiecznie na Halvorsenach, bez względu na to, jak dobrze się u nich czuliśmy. Nie byliśmy przecież ich rodziną, ale uchodźcami. W Paryżu pozwalałem panu Landowskiemu mnie finansować, a w Lipsku dzięki Prix Blumenthal

niczego nam nie brakowało. Teraz uznałem, że powinienem zacząć utrzymywać siebie i Elle.

Podczas spacerów po przystani w Bergen wpadł mi w oko warsztat człowieka rysującego mapy – Scholz i Scholz. Z rozmów z Horstem wiedziałem, że właścicielem zakładu jest Niemiec. Jego syn ostatnio wyjechał do ojczyzny, by dołączyć do rosnącego w siłę ruchu nazistowskiego, co bardzo martwiło starszego pana. Założyłem, że w tych okolicznościach może zechce mnie wziąć na pomocnika, nawet z nie całkiem sprawną ręką. Miałem przecież niezrównaną wiedzę na temat gwiazd.

Nie myliłem się i zacząłem pracować dla pana Scholza. To sympatyczny człowiek, a jego żona jest specjalistką od czarnej magii pieczenia pumpernika. Tak naprawdę robię tam bardzo niewiele. Na pewno nie biorę na siebie odpowiedzialności za rysowanie samodzielnie map, jedynie zatwierdzam to, co tworzy Scholz. Płaca jest odpowiednio niska, ale okazałem się dla nich tak miłym towarzystwem, że po odkryciu mojej sytuacji życiowej pan Scholz i jego żona zaproponowali mi małe mieszkanie nad warsztatem, które poprzednio zajmował ich syn. Radośnie skorzystałem z okazji i spytałem, czy może ze mną mieszkać „żona”. Chętnie na to przystali, pod warunkiem że Elle pomoże pani Scholz sprzątać.

Elle z początku martwiła się, że Karine może być zazdrosna. Ona i Pip kilka miesięcy po przyjeździe do Bergen ogłosili, że zamierzają się pobrać, i koniecznie chciała wyprowadzić się od Halvorsenów.

– Potrzebują swojego miejsca – powiedziała Elle i westchnęła.

– Na pewno szybko je znajdą – odparłem. – Jeśli Pip przejdzie pomyślnie przesłuchania, dołączy do ojca w orkiestrze i wkrótce będą mieli dość pieniędzy na własny dom.

– Pewnie masz rację. – Wzięła mnie za rękę. – Myślisz, że kiedyś my też...? – Zawahała się.

Od czasu zaręczyn przyjaciół pojawił się w niej jakiś niewyartykułowany smutek, że my na razie nie idziemy w ich ślady.

Chwyciłem jej dłoń.

– Kochanie, jedynym, co pewne w naszym życiu, jest to, że będziemy zawsze razem. Pobierzemy się, kiedy tylko będziemy w stanie się utrzymać i znajdziemy miejsce, gdzie będziemy bezpieczni. Obiecuję.

I tak Elle i ja żyliśmy jak mąż z żoną przez półtora roku. W pewien sposób było cudownie. Spędzaliśmy wieczory w naszym małym mieszkanku, tuląc się do siebie przy piecyku na drewno, wyglądając za okno na wodę i małe domki na przeciwległym wzgórzu. W nocy ich okna jarzyły się ciepłym kolorem stopionego masła. Kiedy byliśmy oddzieleni od reszty świata, tylko we dwoje, łatwo było zapomnieć, od czego uciekaliśmy.

Robię, co w mojej mocy, by żyć terazniejszością, podobnie jak nasi przyjaciele. Pip i Karine pobrali się rok temu, w Wigilię 1937 roku. Karine przeszła na luteranizm, wyznanie męża. Rozmawiała o tym z Elle.

– Kilka kropli wody i krzyżyk na czole nie uczynią ze mnie szczerzej chrześcijanki – wyznała.

Nowe nazwisko i dokumenty dają jej jednak lepszą ochronę, w razie gdyby naziści zawitali na wybrzeża Norwegii, co wydaje się całkiem prawdopodobne.

Pipowi dobrze poszły przesłuchania i gra w orkiestrze filharmonii razem z ojcem. Jeśli jego sukces wywołał u mnie ukłucie zazdrości, to przesłoniła je wdzięczność, że jest moim wybawcą – nie mówiąc o tym, że w pełni zasłużył na miejsce w zespole. Poza granicami w orkiestrze Pip nadal pracuje jak szalony nad debiutanckim koncertem. Nie chce pokazać ani

jednej nuty, dopóki nie będzie gotowy. Mówi, że kiedy skończy, zadedykuje ten utwór żonie. Nie wątpię, że mój przyjaciel stworzy arcydzieło.

Wiosną 1938 roku Pip i Karine uzbierali dość pieniędzy, żeby wynająć dom w Teatergaten, rzut kamieniem od sali koncertowej Bergen. Karine poprosiła, żebym wybrał fortepian do salonu. Dołożyłem wszelkich starań, żeby zdobyć najlepszy instrument w ramach jej możliwości finansowych. Prezent Elle i mój na nowe mieszkanie był skromny – ofiarowaliśmy parze do nowego fortepianu ładny stołek, który sam wyrzeźbiłem, a Elle obiała. Choć nie było to coś najcenniejszego w świecie, w wykonanie tego niewielkiego mebla włożyliśmy całe serce.

Niedługo potem Karine oznajmiła, że spodziewa się dziecka, i w listopadzie urodził się mały Felix Halvorsen. Kiedy poszliśmy go zobaczyć, zauważyłem smutek i tęsknotę w oczach Elle. Wziąłem ją za rękę.

– Pewnego dnia – zapewniłem, całując ją lekko w czoło.

Żadne z nas nie jest tak naiwne, by wierzyć, że jesteśmy tu na zawsze bezpieczni przed Kreegiem i nazistami. Jak moglibyśmy sądzić inaczej po tym, co nas spotkało? Tylko patrzeć, kiedy na wybrzeża Norwegii nadciągnie katastrofa w postaci wojny albo mężczyzny, który pragnie mojej śmierci. A być może jedno i drugie.

Wieści z gazet są przygnębiające. W Europie z dnia na dzień sytuacja staje się coraz bardziej napięta. W marcu Niemcy włączyli Austrię do Trzeciej Rzeszy. We wrześniu był jakiś przebłysk nadziei, że uda się uniknąć generalnego konfliktu. Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy podpisały układ monachijski, uprawomocniający przyłączenie do Niemiec Kraju Sudetów w zamian za obietnicę Hitlera, że nie będzie wysuwał więcej żądań terytorialnych. Ale teraz, trzy miesiące później, niewielu wierzy, że jej dotrzyma.

Pip, Karine, Elle i ja hołdowaliśmy filozofii, by żyć chwilą, i w ramach tego zarezerwowaliśmy sobie miejsca na statku *Hurtigruten*, którym popłyniemy na północ wzdłuż cudownych wybrzeży Norwegii, by celebrować na pokładzie nadejście roku 1939. Pomysł był mój, bo przepłyniemy obok wielu zapierających dech w piersiach miejsc, a w tym zawieszono na skraju Geirangerfjord wodospadu Siedmiu Sióstr.

Nie da się przelożyć piękna tego, co widziałem z pokładu *Hurtigrutena*, na słowa. Żaden człowiek nie potrafiłby oddać majestatu cudownego wodospadu ani tej oszałamiającej gry światła. Czuję się jednak zobowiązany sięgnąć po pamiętnik, by dać Czytelnikowi jakieś pojęcie o moim zachwycie.

Około jedenastej rano *Hurtigruten* przebył zakole Geirangerfjord i naszym oczom ukazał się wodospad Siedmiu Sióstr. Nie wstyd mi przyznać, że byłem podekscytowany niczym dziecko, kiedy zbliżaliśmy się coraz bardziej, aż wreszcie znalazłem się na wprost jednego z najwspanialszych widoków, jakie kiedykolwiek miałem przed oczami. Przez skalne ściany fiordu biegły matowe pasma białego lodu, rozszczepiające się w nieskończoność w coraz cieńsze smużki. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Zamarznięte strumienie przywodziły mi na myśl nieziemskie pukle Sióstr, rozwiewane przez kosmiczne wiatry. Elle ścisnęła moją dłoń, bo czuła, że jestem pod ogromnym wrażeniem.

– To rzeczywiście zapiera dech w piersiach – powiedziała Karine do Pipa i objęła go, nim zwróciła się do nas. – Dlaczego ten wodospad nosi nazwę Siedem Sióstr?

– Na to potrafi odpowiedzieć Bo – odparła Elle, uśmiechając się do mnie.

– Jasne – rzuciłem. – Legenda głosi, że siedem strumieni, czy Sióstr, tańczy po zboczu, by wabić wodospad swoimi wdziękami i flirtować z nim.
– Wskazałem na strumień po drugiej stronie fiordu. – Mówią o nim Oblubieniec. Przyznam, że nie jest to moja ulubiona historia związana z Siedmioma Siostrami, ale intryguje mnie to, że pojawiają się niemal w każdej kulturze i w każdej epoce historycznej.

– Bo, opowiedz o nich więcej – poprosił Pip, autentycznie zainteresowany.

– W różnych kulturach są różne wierzenia. Ale tysiące lat temu Siostry zostały uwiecznione w słynnej gromadzie gwiazd i są obiektem fascynacji i zachwytów na całej ziemi. Związane z nimi legendy są przekazywane z ust do ust, w poezji, malarstwie, muzyce, architekturze... są zakorzenione we wszystkich zakątkach świata.

– Wiesz, Bo D'Aplièse, przez trzy lata naszej znajomości jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś powiedział tyle naraz – zauważył Pip.

Nie mylił się i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Na odcinku od Tromsø zaczęło tak strasznie bujać, że Karine zdecydowała się iść do kajuty. Elle zaproponowała, że ją odprowadzi. Tymczasem steward ogłosił, że to najlepsze miejsce, by zobaczyć zorzę polarną, więc ja z Pipem zostaliśmy na zewnątrz.

– Mówiłeś o Siedmiu Siostrach z taką pasją – odezwał się. – Powiedz mi: skąd tyle wiesz o gwiazdach?

– Mój ojciec był nauczycielem.

– Naprawdę? Czego?

Czułem się dość bezpiecznie, by odpowiedzieć na to pytanie.

– Muzyki i kultury klasycznej. To drugie obejmowało filozofię, antropologię, sztukę, historię... plus astrologię i mitologię. Szczególnie

fascynował go związek tych dwóch ostatnich. – Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. – Przekazał mi tę pasję.

– To było w Paryżu? – zapytał Pip.

– Hm... tak, w Paryżu. Był prywatnym nauczycielem... wynajmowanym przez zamożnych ludzi. – To ostatnie zdanie nie było kłamstwem.

Pip roześmiał się.

– To wyjaśnia, dlaczego jesteś taki mądry. Nie wstyd mi przyznać, że daleko mi do ciebie.

Pokręciłem głową.

– To ja ci zazdroszczę! Popatrz tylko na swoje życie. Jesteś członkiem orkiestry Filharmonii Bergen! *Hero Concerto* odniesie sukces, jakiego sobie nie wyobrażasz, i masz cudowną rodzinę – powiedziałem szczerze. – Twój syn będzie dziś za tobą tęsknił.

Pip oparł się o reling.

– Jestem o niego spokojny, dobrze mu z *bestemor* i *bestefar*. Dziękuję za te miłe słowa. Choć obaj dobrze wiemy, że gdyby nie twoja cholerna ręka, popatrywalibyśmy na siebie z oddali z kanału orkiestrowego.

Uśmiechnąłem się.

– Może w innym życiu.

Pip popatrzył smutno na czarne wody.

– Bardzo kocham Karine. Czuję się najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś, co wyglądało na niewielką ozdobę. – Przed moim wyjazdem do Lipska ojciec dał mi to.

– Co to takiego? – spytałem.

– To, przyjacielu, szczęśliwa żaba... w każdym razie tak mówi mój ojciec. Podobno ta należała do mojej babki, Anny.

Podał mi ją.

– Jest twoja – powiedział.

– Boże, Pip, nie mogę tego przyjąć. To rodzinna pamiątka.

– To przyniosło mi szczęście, jakie jest tylko możliwe, więc chyba wypadałoby, żebym przekazał to dalej. Niech i ktoś inny skorzysta. – Zastanawiał się przez chwilę. – Chciałbym, żebyście z Elle mogli żyć bez lęku.

Byłem głęboko wzruszony.

– Pip, nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Słuchaj, muszę już iść do Karine. Źle się czuje. A ty jeszcze tu zostaniesz?

– Nawet całą noc, jeśli tylko jest szansa zobaczyć zorzę polarną.

Pip położył mi po bratersku dłoń na ramieniu i odszedł.

Nie odrywałem wzroku od krystalicznie czystego nocnego nieba nade mną. Nie jestem pewien, jak długo tak stałem. Pewnie godziny. Skąpany w blasku gwiazd, rozmawiałem z moimi migoczącymi opiekunkami.

W pewnej chwili Plejady znikły. Zamrugąłem gwałtownie, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem skrzący się opalizujący welon, tańczący i pulsujący na niebie. Wpatrywałem się z zachwytem w ten zwiewny blask, jasność... połyskliwą grę światła... To prawdziwy cud być świadkiem nieskończonego kosmicznego piękna naszego wszechświata, większego niż w jakimkolwiek dziele sztuki czy architekturze.

Po kilku minutach aurora borealis znikła w sposób równie tajemniczy i nagły, jak się pojawiła. Nie potrafiłem się pohamować – wybuchnąłem śmiechem. Z wyciągniętymi do góry rękami wołałem „DZIĘKUJĘ!”, czym zszokowałem kilku innych amatorów obserwowania gwiazd, którzy jak ja stali na pokładzie.

Wkrótce nad spokojnymi wodami przy Przylądku Północnym wstał świt. Mieliśmy niedługo zawracać do Bergen. W końcu poszedłem do kajuty, by obudzić Elle i opowiedzieć jej, co widziałem. Po drodze mijiałem jadalnię. Zobaczyłem Pipa i Karine, którzy siadali do śniadania. Podbiegłem do nich.

– Widziałem ją! – zawołałem. – Widziałem ten cud! Jej majestat może przekonać nawet największego niedowiarka o istnieniu siły wyższej. Te kolory... zieleń, żółć, błękit... całe niebo jarzyło się jej blaskiem! Ja... – Z wrażenia zabrakło mi tchu. Porwałem Pipa w ramiona i uściskałem go, co zapewne musiało go zaskoczyć. – Dziękuję, dziękuję – powtarzałem.

Czując się tak, jakbym unosił się w powietrzu, lekkim krokiem zszedłem do kajuty, gdzie spokojnie spała Elle.

Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy niebo dla mnie tańczyło.

27

Inverness, Szkocja

Kwiecień 1940

Kiedy wracam do wspomnień z *Hurtigrutena*, mam wrażenie, że wyprawa na spotkanie zorzy polarnej i wodospadu odbyła się wieki temu. Czuję, jak łzy podchodzą mi do oczu, gdy czytam o naszych drogich, kochanych przyjaciółach, którzy już... Przepraszam, niepotrzebnie wyprzedzam fakty.

Tym razem nie mam powodu przepraszać, że nic nie pisałem przez ponad dwanaście miesięcy. Po naszej podróży *Hurtigrutenem* na powitanie 1939 roku mój łokieć funkcjonował coraz lepiej. Energia mnie rozpierała i zapełniłem wiele stron pamiętnika. Z żalem jednak donoszę, że historia się powtórzyła i te kartki zostały nad warsztatem w Bergen, gdy Elle i ja znów musieliśmy uciekać.

Wojenna machina Niemiec zaatakowała Norwegię dziewiątego kwietnia 1940 roku. To było kompletne zaskoczenie. Marynarka norweska właśnie pomagała Wielkiej Brytanii blokować kanał La Manche, więc walka o Bergen była krótka i brutalna. Całe miasto szybko znalazło się pod okupacją. Ulice patrolowali żołnierze, a na ratuszu zawisły ogromne swastyki. Nowy reżim oczywiście odwołał wszelkie norweskie imprezy kulturalne, w tym i prawykonanie *Hero Concerto* Pipa.

W tygodniach poprzedzających inwazję Karine strasznie się martwiła. Błagała Pipa, żeby razem opuścili Europę, ale był zdecydowany zostać.

Kilka razy przychodziła do nas zalana łzami.

– Myśli, że nowe nazwisko i zmiana wiary mnie ochronią – powiedziała. – Kocham go, ale jest taki naiwny. Niemcy tylko rzucą na mnie okiem i będą znali prawdę. Potem wystarczy małe śledztwo i... – Karine złapała się za głowę, a po chwili wskazała na Elle. – Ty też powinnaś się bać. Chronią cię tylko te blond włosy i niebieskie oczy. Żaden Żyd nie jest w Europie bezpieczny.

– Wiem – odparła Elle. – Przygotowujemy się.

– Macie rację, wbrew temu, co twierdzi mój mąż. Nie wolno lekceważyć ich pedanterii. Nie cofną się przed niczym, by nas wypenić z powierzchni ziemi. A przecież Felix też ma żydowską krew.

Elle objęła przyjaciółkę.

– Kochanie, rozumiem twoje obawy. Ale twój mąż życie by oddał, byle ratować waszego syna. Nie mam wątpliwości, że zrobi wszystko, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

– Chciałabym w to wierzyć, naprawdę. – Karine pokręciła głową, płacząc. – Ale on myśli tylko o *Hero Concerto*. Moi rodzice błagają, żebyśmy przyjechali do nich do Stanów. Nawet przysłali pieniądze. Ale Pip nie chce o tym słyszeć. Mówi, że w nowym kraju byłby tylko kolejnym początkującym kompozytorem. A tutaj jest wielkim Jensem Halvorsenem!

– Naprawdę myślisz, że mógłby przedkładać swoje ambicje nad wasze bezpieczeństwo? – spytała Elle.

– Wolałabym sądzić inaczej. Upiera się, że w Norwegii nic nam nie grozi, bo pozostała neutralna podczas Wielkiej Wojny. Ale my znamy tych ludzi, Elle. Nigdy nie będzie im dosyć. Jestem przekonana, że wejdą i tutaj. Musimy być na to przygotowani.

My byliśmy. W noc, kiedy przyszli naziści, Elle i ja uciekliśmy wysoko na wzgórze Froskehuset razem z całą rodziną Halvorsenów. Szykując się na

tę chwilę, zapewniłem nam pomoc tutejszego rybaka, Karla Olsena, który pracował w porcie w Bergen. Zgodził się zabrać nas do bezpiecznej Wielkiej Brytanii. Był dobrym człowiekiem, serdecznym i odpowiedzialnym. Rozmawiałem z nim codziennie, odkąd pracowałem w firmie Scholz i Scholz. Powinienem jednak wyjaśnić, że Karl nie działał wyłącznie z pobudek altruistycznych: przez półtora roku dostarczałem mu darmowych map.

Pierwszego dnia okupacji wstałem wcześniej i spotkałem się z nim w porcie, kiedy zaczynał pracę. Przysiągł, że w dwadzieścia cztery godziny będzie gotów, by przetransportować nas do Szkocji.

Zdałem relację Elle.

– Musimy powiedzieć Pipowi i Karine – powiedziała.

Wahałem się.

– Karine tak. Ale Pipowi i jego rodzicom... Im więcej osób będzie znało nasz plan, tym bardziej prawdopodobne, że wyjdzie na jaw.

Uparła się.

– Bo, musimy zaproponować im, żeby popłynęli z nami.

– Owszem, powinniśmy to zrobić. Ale wiesz, jaki uparty jest Pip. Ostatnie, czego nam trzeba, to awantura z nim. Obiecuj, że porozmawiasz najpierw z Karine i wybadasz, co ona o tym myśli, dobrze?

Tego wieczoru, naszego ostatniego w Norwegii, spotkaliśmy się z Halvorsenami. Prowadziłem rozmowę z Astrid i Horstem, kiedy Elle mówiła z Karine. Obserwowałem twarze dziewczyn, kiedy Elle wyjawiała plan naszego natychmiastowego wyjazdu. Serce mi pękało, kiedy patrzyłem na dramatyczne pożegnanie dwóch najlepszych przyjaciółek.

– I co powiedziała? – spytałem, kiedy wychodziliśmy frontowymi drzwiami w kierunku małej myśliwskiej chaty, gdzie tymczasowo nocowaliśmy.

– Że zawsze będzie tu na mnie czekać i że muszę do niej napisać, jak dotrzemy do Szkocji.

– Nie brała wcale pod uwagę, że mogłaby wyjechać z nami?

Elle pokręciła głową.

– Twierdzi, że Pip nie dopuszcza takiej opcji, a ona prędzej umrze, niż go opuści.

Wziąłem ją za rękę. W milczeniu zastanawialiśmy się nad losem, na który Pip mógł skazywać żonę.

Następnego ranka punktualnie o piątej Elle i ja spotkaliśmy się z Karlem w porcie. Weszliśmy na pokład jego kutra i bez większych przygód przetrwaliśmy rejs po wzburzonym morzu do Inverness w Szkocji. Płynęliśmy prawie cały dzień. Modliłem się, żebyśmy nie natknęli się na jakąś jednostkę wojskową. Plejady uśmiechały się jednak do nas i na szczęście droga okazała się wolna. Mocno przytulałem Elle, kiedy oboje żegnaliśmy się w duchu z poprzednim życiem. Przywykliśmy już do tego, ale z tego powodu wcale nie było łatwiej. Wiedziałem, że Elle jest szczególnie ciężko na sercu; Karine wiele dla niej znaczyła, a nie było wątpliwości, że zostawialiśmy przyjaciółkę w niebezpieczeństwie. Ale poza porwaniem siłą jej i Felixa niewiele moglibyśmy zrobić.

– Pamiętaj, Karl, musisz wysadzić nas gdzieś na odludziu – zwróciłem się do właściciela kutra. – Nie mamy papierów.

Tylko machnął ręką.

– Żaden kłopot, Bo. Znajdziemy jakąś pustą plażę. Z tego, co pamiętam, nie brak ich tam. Musicie tylko dojść w bród do lądu.

Elle i ja spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni, unosząc brwi.

Kiedy Karl wypatrzył odpowiednie miejsce, podpłynął tak blisko, jak tylko mógł.

– Dalej nie dam rady. – Wzruszył ramionami. – Musicie wyskakiwać.

Skinąłem głową, po czym niechętnie zsunąłem się z boku łodzi do lodowatej wody. Sięgała mi do ud.

– O rany – jęknąłem żałośnie. – Lepiej cię poniosę, Elle. Trzymaj!

Złapała skórzaną torbę, w której było to, co zdołaliśmy zabrać, a Karl pomógł jej opuścić się w moje ramiona.

– Gdybyś miał możliwość, powiedz, proszę, Karine, że dotarliśmy bezpiecznie! – zawołała Elle. – Napiszę do niej!

Karl uniósł kciuki.

– Powodzenia! Jestem ci wdzięczny za mapy, Bo.

– Dziękuję za wszystko! – rzuciłem. – Na pewno sam nie chcesz tu wyskoczyć?

Roześmiał się.

– Bergen to mój dom. Wolę wrócić i pomóc pozbyć się stamtąd nieproszonych gości. Zapewniam was: Norwegowie zwyciężą. – Włączył silnik i ruszył z powrotem.

Powoli wyszedłem z wody na plażę i ostrożnie postawiłem Elle na czystym białym piasku.

– Dziękuję, kochanie – powiedziała z wdzięcznością.

Dzień był pochmurny i wietrzny, co pasowało do tego surowego wybrzeża. Rozejrzałem się dokoła. O ile Norwegia wydała mi się malownicza i spokojna, o tyle Szkocja na pierwszy rzut oka robiła wrażenie dzikiej, nieokiełznanej, ale oba kraje były piękne. Poszarpane skały, porośnięte trawą wzgórza i groźne niebo nad nami stwarzały niezwykłą scenerię. Ruszyliśmy na wydmy i dalej na opustoszałą drogę.

– Nie sądzę, żeby było stąd daleko do Inverness – myślałem głośno. – Z tego, co widziałem z morza, to najwyżej kilka kilometrów.

Przed upływem godziny dotarliśmy do dużego nadbrzeżnego miasta, które dumnie ogłaszało, że jest *Stolicą Highlands*. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale wydawało się kompletnie wyludnione. Podejrzewałem, że może to skutek przymusowego poboru do wojska, który nastąpił w dniu, kiedy Neville Chamberlain wypowiedział wojnę Niemcom. Wzdrygnąłem się na myśl o zdruzgotanych tą decyzją rodzinach w małych miastach jak to. Populacja musiała się zmniejszyć o połowę.

Kiedy zbliżaliśmy się do centrum, trafiliśmy na zamek z czerwonej cegły, którego sylwetka rysowała się okazale na brzegu rzeki Ness. Przypomniało mi się, że to tutaj Makbet zamordował króla Duncana w sztuce Shakespeare'a, i nie mogłem powstrzymać dreszczu, który przebiegł mi po plecach.

Nim dotarliśmy na brukowaną główną ulicę, moje spodnie wyschły, choć nie mógłbym powiedzieć tego samego o butach. Stopy zmarzły mi na kość. Rozpaczliwie pragnąłem znaleźć się pod dachem. Na szczęście wkrótce dostrzegliśmy huśtający się na wietrze sfatygowany szyld z napisem:

The Sheep Heid Inn

Noclegi i posiłki

– Co myślisz? – spytałem Elle.

Pokiwała głową z przekonaniem.

– Wejźmy.

Otworzyliśmy drzwi obdrapanego szeregowego domku. W środku było ciemno i ciasno. Recepcję oświetlała jedynie blada lampka elektryczna. Ostrożnie wcisnąłem dzwonek. Z baru w sąsiednim pomieszczeniu wyłonił się przygarbiony starszy mężczyzna w okularach.

– Tak? – zapytał.

– Witam, czy miałby pan wolny pokój dla mnie i żony?

Nieufnie zlustrował mnie wzrokiem.

– Na ile? – wymamrotał z mocnym szkockim akcentem.

– Na kilka nocy przynajmniej. Może na dłużej.

Mężczyzna uniósł brew.

– Jaki interes sprowadza pana do Inversneckie?

– Słucham?

Zniecierpliwiony przewrócił oczami.

– Do Inverness. Co pan robi w tym mieście? Nie mówi pan jak ktoś stąd.

– Ma pan świetne ucho. Pochodzimy z Francji. Przyjechaliśmy odwiedzić chorą babkę, Szkotkę.

– Och... A gdzie ona mieszka?

– W Munlochy – odparłem szybko jak błyskawica.

Zobaczyłem drogowskaz do tej miejscowości, kiedy tu szliśmy, i zapamiętałem nazwę, bo wydała mi się przyjemna dla ucha. Moja odpowiedź najwyraźniej zadowoliła właściciela pensjonatu.

– Czyli pokój dla dwojga. Trzeba być czujnym. Pan Chamberlain kazał nam uważać na każdego obcego, rozumie pan.

– Święta racja.

Pokazano nam pokój – brudny i wilgotny jak pogoda na zewnątrz. Materac był tak cienki, że kiedy zaryzykowałem i położyłem się na chwilę, żeby odpocząć, poczułem na plecach ostre sprężyny. Na szczęście kiepskim warunkom odpowiadała niewygórowana cena pokoju, która i tak była sporym uszczerbkiem dla naszego mikroskopijnego budżetu.

– Musimy podyskutować o naszym akcencie, kochanie – powiedziałem, kiedy Elle położyła się obok mnie. – Jak się przed chwilą okazało, Szkoci

uważają go za obcy. A ostatnie, czego nam trzeba, to to, żeby zaczęli się nami interesować. Tylko tego brakuje, żeby oskarżono nas o szpiegostwo!

Obróciła się na bok, żeby na mnie spojrzeć.

– Masz rację. Ale co możemy zrobić?

– Hm... po pierwsze, jeśli mamy być tu dłużej, powinniśmy poprawić nasze imiona. Skoro jestem Bo, to może teraz... – Szukałem w myśli angielskiego odpowiednika. – Bob!

Elle zmarszczyła brwi.

– Nie dam rady mówić do ciebie Bob, zachowując powagę. Może Robert?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Dobrze. W takim razie Robert. A ty może będziesz El... inor? Jak Elinor Dashwood z *Rozważnej i romantycznej*?

Rozchmurzyła się i uśmiechnęła lekko. Wiedziałem, że nawiązanie do Jane Austen sprawi jej przyjemność.

– Dobrze, więc jesteśmy Robertem i Elinor. A co z nazwiskiem? D’Aplièse brzmi dość dziwnie, najdelikatniej mówiąc.

– Racja. Nie możemy ryzykować zwracania na siebie uwagi, zwłaszcza że trwa pobór. Jestem młody. Miejscowi mogą zacząć pytać, dlaczego nie jestem w wojsku.

Westchnąłem sfrustrowany. Gnębiło mnie to, że nasza przyszłość jest jedną wielką niewiadomą.

– Nawet gdybyś chciał walczyć, nie pozwoliliby ci – powiedziała Elle.

– Nadal nie możesz nawet podnieść smyczka. Dźwiganie broni byłoby wykluczone. Każdy lekarz by to stwierdził.

Zaśmiałem się ironicznie.

– No tak. Jak dobrze się składa.

Elle przeturlała się na plecy i zapatrzyła w sufit.

– Gdyby ludzie pytali o naszą przeszłość i chcieli wiedzieć, co robimy w Wielkiej Brytanii, powinniśmy mówić, że jesteśmy Żydami, którzy uciekli z Francji w obawie przed Niemcami. To przynajmniej wyjaśni nasz akcent. A w przypadku jednego z nas to prawda.

– Masz rację. – Potarłem w zamyśleniu skronie. – Potrzebny nam tylko jakiś cichy zakątek w tym kraju, gdzie moglibyśmy się ukryć.

– I jakoś zarobić na życie – dodała Elle.

– Może gdzieś w górach? Moglibyśmy wybrać się jeszcze dalej na północ. Moglibyśmy tak jak w Bergen podawać się za małżeństwo. Może zatrudniliby nas w jakiejś posiadłości? Na pewno w związku z mobilizacją brakuje im rąk do pracy.

Elle usiadła i popatrzyła przez brudne okno na ponurą ulicę.

– Brakuje mi naszego mieszkanka z widokiem na port. Mogłabym zostać tam z tobą na zawsze.

– Ja też. Ale pamiętajmy, że jesteśmy tu z konieczności. Wierzę, że w tym kraju okupacja niemiecka nam nie grozi. Armia brytyjska jest silna, a ludzie są dzielni. – Wziąłem ją za rękę i uścisnąłem ją. – Obiecuję, kochanie, że doczekamy szczęśliwego zakończenia.

Elle spędziła popołudnie na pisaniu listu do Karine, a ja skorzystałem z okazji, żeby rozejrzeć się po mieście. Mimo paskudnej pogody Inverness miało wiele wdzięku. Próbowałem wyobrazić sobie, jak byłoby tu w lecie, w czasach pokoju, z tłumem ściągających do Highlands turystów. To pomogło mi bardziej docenić to miejsce. Poszedłem spacerem nad rzekę Ness, dzielącą miasto i łączącą Morze Północne z jeziorem, w którym ponoć mieszka potwór. W drodze powrotnej do pensjonatu minąłem mnóstwo małych tawern, z których każda chełpiła się, że tu podają najlepsze szkockie śniadania. Pozwoliłem sobie zerknąć na kilka kart

i zobaczyłem, że w większości oferuje się black pudding, który – z tego, co wiem – robi się z krwi. Brytyjczycy mają dziwne gusta kulinarne.

Kiedy wysłaliśmy list do Norwegii, usiedliśmy wieczorem w barze Sheep Heid Inn. W odróżnieniu od naszego pokoju bar o zachodzie słońca robił dość przytulne wrażenie. Przysiedliśmy na starej drewnianej ławie i patrzyliśmy na płomień tańczący w kominku. Kiedy na zewnątrz zapadał zmrok, barman zaczął rozwieszać zasłony zaciemniające na wypadek nalotów wroga. Wstałem, żeby mu pomóc.

– Dzięki, chłopie – powiedział z uśmiechem. – Mogę zaproponować ci whisky?

Zawahałem się. Pisałem już o moich oporach wobec picia alkoholu. Tylko że tego dnia stałem po uda w Morzu Północnym i do tej pory czułem to zimno. Postanowiłem więc zrobić wyjątek ze względu na słynne właściwości rozgrzewające szkockiego trunku.

Bursztynowy napój był mocny, ale niezaprzeczalnie pyszny. Miał przyjemne działanie rozluźniające i uraczyliśmy się kilkoma kolejkami różnych gatunków whisky. Przyjazny barman, Hamish, z wyraźną przyjemnością wtajemniczał dwójkę francuskich uchodźców w skomplikowany proces destylacji i dowodził, dlaczego whisky jest lepsza niż wino. Zmartwiło mnie, że tak bardzo mi smakowała. Postanowiłem, że przez jakiś czas nie będę sobie na nią pozwalał.

Następnych kilka dni zajęła nam adaptacja w nowym kraju. Z moich obserwacji wynikało, że tutejsi mieszkańcy, kiedy tylko przestawali się tak pilnować, byli serdeczni, gościnni i weseli. Jedzenie było jednak barierą trudną do przeskoczenia. Brytyjska dieta składała się niemal wyłącznie z mięsa, sosów i ziemniaków. Naprawdę nie wiem, jakim cudem mieli tylu słynnych sportowców.

Piątego wieczoru w Inverness poszliśmy na kolację do tawerny Drovers Inn – albo pubu, jak mówią o tych lokalach Brytyjczycy. W Inverness było wiele pubów i dla mojego niewprawnego oka wszystkie wyglądały dość podobnie. Miejscowi widzieli jednak duże różnice i zaciekle bronili swoich ulubionych. Hamish polecał właśnie Drovers Inn. Lokal, choć niezbyt duży, miał swój charakter – niemal na każdej ścianie wisiały mosiężne ozdoby z końskich uprzęży i tartany. Za barem stały cynowe kufle z wyrytymi imionami, należące do stałych gości. Wypatrzyłem wśród nich jeden z napisem *Hamish*.

Przeglądając menu, ucieszyłem się, że wreszcie trafiłem na haggis. Hamish powiedział mi, że to szkocka potrawa narodowa, ale kiedy pytałem, co to konkretnie jest, śmiał się i zachęcał, żebym najpierw skosztował, nim ośmielę się tego dociekać. Wysoki, zwałyści właściciel pubu podszedł, by przyjąć zamówienie.

– Chciałbym spróbować haggis – powiedziałem pewnie, nie miałem jednak odwagi zjeść tego w ciemno. – Ale mógłbym spytać, co to naprawdę jest?

– Wątróbka, serce i płucka owcy – odparł mężczyzna.

Wzdrygnąłem się lekko.

– O rany... W jakiej formie to się podaje? – drążyłem, zastanawiając się, czy ścierpię widok tego wszystkiego na talerzu.

– Nie martw się pan, wszystko jest spakowane w owczym żołądku! – wyjaśnił jowialnie.

To mnie specjalnie nie uspokoiło.

– Czy do tego są jakieś dodatki? – spytałem.

– Brukiew i grule – padła odpowiedź.

– Brukiew i grule? Chyba nie całkiem rozumiem...

– Rzepa i ziemniaki – odezwał się niskim, głębokim barytonem klient siedzący przy barze.

Obrócił się i uśmiechnął do Elle i mnie siedzących przy stoliku w kącie. Miał koło pięćdziesiątki, ciemne oczy i mocno zarysowaną szczękę. Ubrany w ciemnozielony tweedowy garnitur był zdecydowanie przystojny mimo siwiejących już włosów.

– O, dziękuję panu bardzo. – Skinąłem mu głową. – W takim razie poproszę – zwróciłem się do właściciela pubu.

– A dla twojej dziuni? – zapytał gospodarz.

– Mojej co?

– Przyjaciółki – odezwał się mężczyzna przy barze, który teraz już nie hamował śmiechu. Mówił z angielskim, a nie szkockim akcentem.

– Ja poproszę zupę – powiedziała Elle.

– Wedle życzenia.

Właściciel skłonił się lekko i oddalił do kuchni.

Anglik ruszył do nas. Zauważyłem, że dość mocno kuleje. Postawił kufel piwa z pianką na stole i przysunął sobie krzesło.

– Szkoci mieszkają z nami po sąsiedzku, ale nawet ja mam czasem kłopot ze zrozumieniem, co mówią!

Wyciągnął dłoń.

– Archie Vaughan. Miło mi państwa poznać.

– Nam również. Mam na imię Robert, a to Elinor.

– Bardzo nam miło – rzuciła Elle.

Archie uśmiechnął się do nas szeroko.

– O, przepraszam, zachowałem się bezczelnie. Powinienem zapytać. Mogę dołączyć do was na drinka?

Rzuciłem okiem na Elle.

– Ależ oczywiście – odparła z uśmiechem, spokojnie unosząc kieliszek z porto z cytryną.

– Świetnie! – zawołał Archie. – Ale powiedzcie mi: skoro macie tak typowo angielskie imiona, gdzie udało się wam złapać ten dziwny akcent? – Pociągnął spory łyk piwa.

– Jesteśmy Francuzami – odparła Elle. – Niedawno uciekliśmy z kraju w obawie przed Niemcami. – Urwała, trzymając się scenariusza. – Ludzie naszego pochodzenia nigdzie nie mogą czuć się bezpiecznie.

– Kto, Francuzi? – prychnął zszokowany, co wyglądało dość komicznie.

Elle pokręciła głową, a Archie na chwilę przymknął oczy, bo najwyraźniej zaczęło do niego docierać, o co chodzi.

– O rany. Rozumiem. Tu jesteście bardzo mile widziani. I nie martwcie się, na pewno pogonimy tych Hunów. – Poprawił nogi pod stolikiem i mrugnął do nas. – A co was sprowadziło właśnie do Inverness?

– Szukamy pracy – odparłem szczerze.

Roześmiał się.

– Wybaczcie, że jestem posłańcem złej nowiny, ale wybraliście zły kierunek. Temu, kto polecił wam północ Szkocji, należałoby dać po łapach. Jak pewnie zauważyliście, są tu tylko góry i jeziora jak okiem sięgnąć.

– Pochodzi pan stąd? – spytała Elle.

– Nie, zdecydowanie nie. Ale znam dobrze te okolice. Przyjeżdżałem tu w weekendy na polowania już jako młody chłopak. Teraz też zrobiłem sobie taką wycieczkę. Mam tydzień wolnego w Królewskim Korpusie Lotniczym, więc postanowiłem złapać trochę górskiego powietrza.

– Gdzie stacjonuje pana oddział? – spytałem.

Milczał chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Na południu Anglii, w Kent. Co pewnie niewiele wam mówi.

– W hrabstwie Charlesa Dickensa – zauważyłem.

Archie robił wrażenie autentycznie zaskoczonego.

– Dobry Boże, na pewno jesteście Francuzami?! Gratuluję znajomości angielskiej literatury. – Odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona na piersi. – Niech pan nie zapomina, że Vita Sackville-West też jest z naszych stron!

Elle i ja popatrzyliśmy na niego, nie bardzo rozumiejąc.

– No dobrze. Tego macie prawo nie wiedzieć. – Łyknął piwa, po czym skupił wzrok na mnie. – Mogę zapytać, jak udało się panu uniknąć powołania do wojska?

Ten kierunek pytań zaniepokoił mnie trochę, ale miałem gotową odpowiedź.

– Nie jestem zdolny do czynnej służby z powodu urazu ręki. Szukamy pracy, która pozwoliłaby nam się utrzymać.

Archie uniósł brwi.

– O, kolega inwalida. Przykro mi to słyszeć, stary. Pewnie zauważył pan, że mam nie całkiem sprawną nogę. Też nie mogę brać udziału w walce. – Klepnął się po udzie. – To przez szkopów, choć nie jest to świeża sprawa. Pamiątka z Wielkiej Wojny. Teraz siedzę za biurkiem.

– Mnie też przykro to słyszeć – odparłem.

Popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Wiem, jak to jest dla młodego człowieka nie móc walczyć. Mam syna, Teddy'ego, pewnie niewiele młodszego od pana. Ma płaskostopie.

Pokiwałem głową.

– Bardzo niefortunny przypadek – dodał Archie. – Choć on się specjalnie nie martwi. – Przewrócił oczami.

– Czym zajmuje się pana syn? – spytała Elle. – Siedzi za biurkiem jak pan?

Archie uśmiechnął się smętnie.

– Nie. Teddy ma dwadzieścia jeden lat i jest dziedzicem mojej ogromnej wiejskiej posiadłości.

Nastawiłem uszu.

– Mimo wysiłków nie potrafię go zmotywować. Obija się i stale pakuje w kłopoty, z których potem musi wyciągać go moja żona Flora, kobieta o anielskiej cierpliwości.

Nie zamierzałem przepuścić okazji.

– Wiejska posiadłość? Na pewno ma pan mnóstwo ludzi, którzy na niej pracują.

Archie roześmiał się.

– Niestety, te czasy dla High Weald minęły. Od Wielkiej Wojny jest dość... ciężko. A teraz nasi pracownicy są na froncie albo pracują w fabrykach zbrojeniowych. – Westchnął ciężko. – Flora robi niemal wszystko sama. Nie tak powinno być, nie ma jednak innego wyjścia. – Zapatrzył się w swoją niemal pustą szklankę.

Elle położyła dłoń na moim udzie, dając mi znać, żebym kontynuował.

– Na pewno jest jej bardzo trudno. A może my moglibyśmy pomóc? – zaoferowałem.

Podniósł wzrok, wyraźnie zmieszany.

– No tak, oczywiście. Przepraszam, trochę wolno kojarzę. Mówił pan, że szukacie pracy. – Uciekł wzrokiem i rozglądał się po pubie; najwyraźniej zastanawiał się, jak sformułować odmowę. – Robicie wrażenie uczciwych ludzi, ale jak wspomniałem, w gospodarstwie Vaughanów w tej chwili jest bardzo krucho z pieniędzmi. Dom, High Weald, powoli popada w ruinę i dosłownie każdy zarobiony pens idzie na to, żeby nie dać mu się rozpaść

do reszty. – Potarł oczy. – Należy do naszej rodziny od pokoleń i nie chciałbym być tym Vaughanem, który zawiedzie na całej linii. Krótko mówiąc, nie byłbym w stanie zaproponować wam godziwego wynagrodzenia.

Przyjąłem odmowę Archiego, ale Elle nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

– Nawykliśmy do minimalnej płacy, panie Vaughan. W Paryżu mieszkaliśmy w bardzo małym mieszkaniu.

– Tak naprawdę to jestem lord Vaughan – rzucił. – A więc dobrze. Powiedzcie, czym zajmowaliście się w Paryżu.

– Przepraszam, lordzie Vaughan – poprawiła się.

Archie ze śmiechem machnął ręką. Elle spojrzała na mnie.

– Robert i ja pracowaliśmy razem w sierocińcu – skłamała. – Robert był dozorcą i ogrodnikiem, a ja gotowałam dla dzieci i zajmowałam się też trochę sprzątaniami. Fundusze sierocińca były ograniczone, więc nie płacono nam wiele.

Kłamała jak z nut. Zaimponowała mi.

– To była duża placówka? – spytał lord Vaughan, unosząc brwi.

Elle pokiwała głową.

– O tak, ogromna. Nazywa się Apprentis d’Auteuil, gdyby chciał pan sprawdzić. I możemy zaręczyć, że cokolwiek wyprawia pana syn Teddy, to nic w porównaniu z zamieszaniem, jakie robi setka dzieci!

Archie uniósł brwi i pokręcił resztką piwa w szklance.

– Wyobrażam sobie – powiedział. – Nie przeczę, mojej żonie na pewno przydałaby się pomoc. Byłaby bardzo wdzięczna, zwłaszcza że ja jestem uwiązany w bazie wojskowej. – Zastanawiał się przez chwilę. – Słuchajcie, choć nie mogę wam wiele płacić, to na terenie posiadłości High Weald jest

kilka domków, które są teraz wolne. Czy dach nad głową i to, co sobie upolujecie, wam wystarczy?

Elle rozpromieniła się.

– Och, bylibyśmy dozgonnie wdzięczni!

– Naprawdę, lordzie Vaughan, bylibyśmy ogromnie zobowiązani – przyłączyłem się do jej entuzjastycznej reakcji.

– W takim razie – klepnął się po udach i wstał – witajcie na pokładzie!
– Uściskał nam serdecznie dłonie. – Co za szczęśliwy przypadek to nasze spotkanie. – Nie wyobrażał sobie nawet, jak bardzo. – Ale muszę wracać do swojej kwatery. Za kilka godzin mam być w slipingu.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Chodzi o nocny pociąg – wyjaśnił. – Z Glasgow do Londynu. A skoro o tym mowa, to gdzie się zatrzymaliście? Załatwię wam bilety. Moglibyście zacząć w przyszłym tygodniu?

Elle i ja popatrzyliśmy na siebie.

– Oczywiście – odparłem. – Jesteśmy w Sheep Heid Inn.

– Wspaniale. – Klasnął w dłonie. – Każę dostarczyć tam bilety.

– Och, możemy za nie zapłacić sami – zaczęła Elle, lecz Archie podniósł dłoń.

– Bzdura, jesteście przeze mnie zatrudnieni i nie jest tak źle, żebym nie mógł zafundować wam nocy w wagonie Caledonian Railway. – Dopił resztkę piwa. – Wybaczcie, wiecie co? Chyba nie dosłyszałem waszego nazwiska... – Popatrzył na nas pytająco. – Robert i Elinor...

– Tanit – rzuciłem szybko i płynnie.

– Wspaniale. W takim razie przyślę bilety dla pana i pani Tanitów.

Archie Vaughan skinął głową, uśmiechnął się, po czym wziął granatowy długi płaszcz z wieszaka przy drzwiach i wyszedł z pubu.

Elle i ja popatrzyliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać.

– Widzisz, kochanie – powiedziałem. – Rozumiesz teraz, dlaczego mimo wszystko wierzę w przeznaczenie?

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! – Wzięła mnie za rękę.

– Rzeczywiście. – Popatrzyłem w kierunku nieba i lekko wzruszyłem ramionami. – A może to coś więcej niż zbieg okoliczności. Skąd możemy to wiedzieć?

Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy, oboje nieco zszokowani, że tak szybko trafiła się nam szansa na nowy początek. Po jakimś czasie Elle zmarszczyła brwi.

– A co z nazwiskiem, które mu podałeś?

W chwili paniki podałem Archiemu Vaughanowi moje prawdziwe nazwisko, to, które gdzieś tam na pustkowiach Syberii zostało zapisane w mojej metryce urodzenia: Tanit.

Przeczesałem palcami włosy.

– Wiem, to było głupie z mojej strony. Ale nie chciałem się wahać nawet chwili, zwłaszcza po jego pytaniach o nasz akcent. Po prostu tylko to przyszło mi do głowy.

Elle przewróciła oczami, ale na jej twarz szybko wrócił uśmiech.

– No to będziemy teraz panem i panią Tanitami.

– Myślę, że jeśli Kreeg kiedykolwiek dotarłby do Wielkiej Brytanii, ostatnim, czego by się po mnie spodziewał, byłoby używanie prawdziwego nazwiska. – Przekonywałem zarówno Elle, jak i siebie.

Kiedy jedliśmy, rozmawialiśmy o możliwościach, jakie dawało nam życie w wiejskiej posiadłości. Fantazjowaliśmy na temat małego domku, który nam obiecano. Wyobrażaliśmy sobie zielone otoczenie na angielskiej wsi. W tej chwili niebezpieczeństwo ze strony Kreega i Niemców wydawało się bardzo odległe.

Wróciliśmy spacerem główną ulicą do pensjonatu i właściciel przekazał nam list adresowany do Bo i Elle – na szczęście, meldując się, podaliśmy te imiona. Rozpromieniona Elle pobiegła na górę do pokoju.

– To na pewno od Karine! – rzuciła rozemocjonowana. – Nie mogę się doczekać, kiedy dam jej znać, co się stało dziś wieczorem.

Przyjrzała się kopercie i uniosła brwi.

– Dziwne, to nie wygląda na pismo Karine.

– Otwórz i zobacz – zachęciłem ją.

Rozdarła kopertę i wyciągnęła dwie kartki.

– To jest od Horsta – powiedziała zaskoczona.

– Od Horsta? Wszystko w porządku?

Obserwowałem jej twarz, kiedy czytała.

– Nic nie rozumiem.

– Przeczytaj na głos – poprosiłem.

– *Drogi Bo, droga Elle...* – zaczęła.

Mam nadzieję, że ten list do Was dotrze. Znalazłem Wasz adres w ostatnim liście, który przysłaliście do Karine. Wybaczcie, że go otworzyłem, ale zaraz zrozumiecie, dlaczego nie miałem wyboru. Cieszę się, że dotarliście bezpiecznie do Szkocji, i mam nadzieję, że potworność tej bezsensownej wojny Was tam nie dosięgnie. Przykro mi, że piszę w tak smutnych okolicznościach, ale moim obowiązkiem jest wysłać Wam list syna, zgodnie z jego życzeniem.

Błagam, nie myślcie o nim źle. Nie był samolubny. Po prostu popełnił błąd i zapłacił najwyższą cenę, jaką można sobie wyobrazić. Dziękuję za to, że byliście tak dobrymi przyjaciółmi dla mojego syna i Karine. Oboje bardzo Was kochali.

Proszę, kochajcie się i słuchajcie się nawzajem.

Wasz przyjaciel
Horst Halvorsen

Elle odłożyła list i popatrzyła na mnie wystraszona.

Ścisnęło mnie w dołku.

– Daj, przeczytam ten drugi list – powiedziałem. Podeszedłem do Elle i delikatnie wyjąłem go z jej dłoni.

Drodzy Bo i Elle

*Nim ten list trafi do Waszych rąk (jeśli w ogóle go otrzymacie),
mnie już nie będzie. Moim smutnym obowiązkiem jest poinformować
Was, że dziś rano miłość mojego życia, Karine Eliana Rosenblum,
została zastrzelona przez najeźdźców.*

*Jej zbrodnią było to, że ośmieliła się pójść do miasta po chleb
i mleko.*

*Jak wiecie, Karine chciała opuścić Norwegię, lecz ja
samolubnie nie traktowałem poważnie jej obaw i nie potrafię tego
usprawiedliwić. Moja żona była dobra, mądrzejsza i LEPSZA ode
mnie. Powinienem był jej słuchać.*

Mam złamane serce i nic już tego nie naprawi.

*Elle, Ciebie szczególnie muszę przeprosić. Byłaś najlepszą
przyjaciółką Karine i może Wasz związek był głębszy niż to, co
łączyło z nią mnie. To wyłącznie moja wina, że już nigdy się nie
spotkacie.*

*Oddaję się na łaskę Boga, ale nie oczekuję przebaczenia.
Napisanie tego listu jest moją przedostatnią czynnością na ziemi.
Potem wezmę z szopy strzelbę myśliwską ojca i w lesie na wzgórzu
za domem położę kres swojemu życiu. Zapewniam Was, że Felix jest*

bezpieczny z kochającymi go dziadkami. Wiem, że będą równie cudownymi opiekunami dla mojego syna, jak byli dla własnego.

Zawsze pragnąłem jedynie być chwalony za dokonania muzyczne. Proszę więc, nie wspominajcie mnie i niech to będzie moja kara na wieczność. Pozwólcie mi obrócić się w proch.

Ale wspominajcie naszą kochaną Karine. W świecie pełnym mroku była światłem i musi jaśnieć po wieki.

Wasz

Jens Pip Halvorsen

Ani Elle, ani ja nie byliśmy w stanie nic powiedzieć. Po prostu siedzieliśmy w milczeniu, aż wreszcie ciało Elle zaczęło dygotać i pojawiły się łzy. Tuliłem ją godzinami i w końcu zmęczona zasnęła w moich ramionach, kompletnie wyczerpana emocjonalnym szokiem.

Wreszcie nadszedł ranek, a wraz z nim bilety na podróż w wagonie sypialnym Caledonian Railway dla państwa Tanitów. W recepcji zrobiło się w związku z tym zamieszanie, bo zameldowaliśmy się jako D'Aplièse. Na szczęście właściciel przyjął moje tłumaczenie, że Tanit to nazwisko mojej chorej babki i najwyraźniej stąd błąd.

Tamtego wieczoru wsiedliśmy do pociągu z Aberdeen do Glasgow, a tam, tuż przed dwudziestą trzecią, do wagonu sypialnego pociągu jadącego do Anglii. Po ulokowaniu się w malutkim przedziale, gdzie znajdowały się metalowe piętrowe łóżko, mała umywalka i rozkładany stolik, położyłem się obok Elle na dolnym poślaniu i ścisnąłem jej dłoń.

– Będziemy przeżywać nasze życie na jej cześć. Na cześć ich obojga – zapewniłem ją, kiedy koła pociągu zaczęły się toczyć po torach. – Nasze szczęście będzie poświęcone ich pamięci.

Byłem zrozpaczony, widząc, jak bardzo Elle jest załamana.

– Nie mogę przestać myśleć o Felixie. – Pociągnęła nosem. – Co z nim będzie? Stracić naraz oboje rodziców to... wiem dobrze, jakie to straszne. – Popatrzyła mi prosto w oczy. – Czy nie mamy obowiązku po niego wrócić?

Zastanowiłem się nad jej pytaniem. Kiedy szukałem w sercu odpowiedzi, czułem, że... tak, powinniśmy go zabrać. Ale nie mogliśmy przecież wrócić do Bergen. To byłoby samobójstwo.

– Felix będzie bezpieczny z Horstem i Astrid. Wiemy, jacy to dobrzy ludzie. A Karine może spoczywać w pokoju, wiedząc, że nie pozostał żaden ślad jego pochodzenia. Zabrała go ze sobą do grobu.

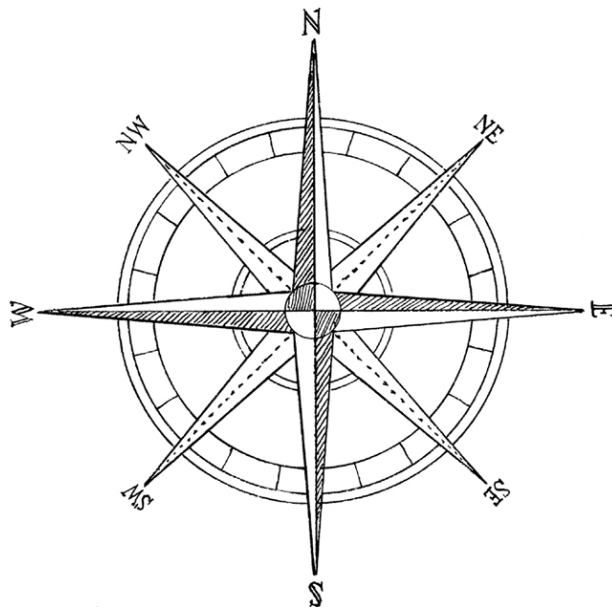
Elle przyłożyła dłoń do ust.

– Czuję się ich wielką dłużniczką. Kto wie, co by się bez nich z nami stało. I nigdy już nie zdołamy odplacić im za ich dobroć.

Słowa Elle tłukły mi się po głowie, gdy pociąg brnął dalej w noc. Wreszcie delikatny rytm i stukot kół na torach uspił mnie i opuściliśmy Szkocję, by zacząć nowe życie.

Tytan

Czerwiec 2008



28

Merry

Biorąc pod uwagę sytuację, spałam tej nocy całkiem dobrze. Może dzięki krótkiej rozmowie z Ambrose'em. Właśnie wybierał się na kolację, ale kiedy usłyszałam jego jowialny głos z charakterystycznym angielskim akcentem, od razu poczułam się lepiej. Obiecałam zadzwonić dziś rano, żeby powiedzieć, co nowego.

Ziewnęłam i rozejrzałam się po kajucie skąpanej w przyjemnej pomarańczowej poświacie, kiedy za iluminatorem wstawał świt.

Odezwało się znajome burczenie w brzuchu jachtu, kiedy włączano silniki, szykując się do kolejnego dnia rejsu. Cieszył mnie luksus na *Tytanie* i to, że nie płynę po wzburzonym Morzu Północnym kutrem rybackim jak moi rodzice. Przetarłam oczy i pomyślałam o tym, co przeszli. Zaangażowałam się już emocjonalnie w tę historię i przypuszczałam, że kiedy będziemy składać wieniec, będę we łzach jak inne córki Atlasa.

Wszystkie mówiły o ojcu z tak autentyczną miłością. Dość nieoczekiwanie poczułam się trochę zazdrosna, że nie zaznałam jego czułości, mimo że był moim biologicznym rodzicem.

Zadzwonił budzik – choć wcale go nie potrzebowałam. Usiadłam, sięgnęłam po telefon satelitarny, który umieścił przy moim łóżku sympatyczny młody członek załogi, i wybrałam numer Ambrose'a. Odebrał po kilku dzwonekach.

– Czy to Syrenka z Morza Śródziemnego?

– Dzień dobry, Ambrose – powiedziałam, śmiejąc się. – Dobrze się wczoraj bawiłeś?

– Cudownie, kochanie. Mój dawny student podjął mnie kolacją w Drury Buildings. To była „świetna impreza”, jak to mówią młodzi... – Urwał, co było dla niego bardzo nietypowe, bo mógłby tak ciągnąć godzinami. – Ale dość o mnie! Opowiedz mi wszystko!

Odchyliłam się na poduszkę.

– Naprawdę muszę ci podziękować za to, że przekonałeś mnie, by polecieć do Nicei. Mam wrażenie, że to odmieni moje życie.

– Ja też tak sądzę. Ale podrzuc mi jakieś soczyste kawałki, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– No dobrze, szykuj się...

Poinformowałam go o wszystkim, czego się do tej pory dowiedziałam.

Ambrose osłupiał.

– O rany, Merry... Wybacz te banalne słowa, ale co za jazda!

– To jeszcze nawet nie połowa historii – zaznaczyłam. – Z pamiętnika wiadomo, że Atlasa po całym świecie ścigał przyjaciel z czasów dzieciństwa, który stał się jego wrogiem. Może o nim słyszałeś. To ten potentat w branży łączności, Kreeg Eszu, ten, który rok temu popełnił samobójstwo.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza; Ambrose najwyraźniej próbował skojarzyć nazwisko.

– A, tak... Niesamowite! Skoro już o nim mowa, wydaje mi się, że to jego firma zapewnia mi internet. Działa fatalnie.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Jestem pewna, że wszystkich na pokładzie *Tytana* to ucieszy. Kreeg i jego syn Zed są tu zdecydowanie personae non gratae.

– Nic dziwnego. Z tego, co pamiętam, ten Kreeg Eszu maczał palce we wszystkim, prawda? Internet, światłowody, sieci komórkowe... Chyba miał nawet pakiety kontrolne w kilku stacjach telewizyjnych.

Opuściłam nogi z łóżka i wstałam.

– Podobno tak. Po jego śmierci przejął to Zed.

Ambrose cmoknął.

– Jeśli przypadkiem się na niego natkniesz, przyślij go, proszę, do Dublina, żeby poprawił mi sygnał – zażartował.

– Możesz na mnie liczyć, Ambrose.

– Dziękuję. – Pociągnął nosem. – I co, jesteś już trochę bliżej odkrycia, jak wylądowałaś na progu ojca O'Briena?

Westchnęłam, patrząc przez iluminator na wschodzące słońce.

– Jeszcze nie. Choć jest coś zagadkowego, o czym nie wspomniałam.

– Uwielbiam zagadki. Mów!

– Pamiętasz pewnie, że mój syn Jack robił rozeznanie dotyczące dworu Argideen. Okazało się, że ostatnim właścicielem był nie kto inny, jak Kreeg Eszu.

– Hm... – Ambrose przez chwilę się zastanawiał. – Co za intrygujący zbieg okoliczności... jeśli to jest zbieg okoliczności...

– No właśnie. Nie wiesz przypadkiem, co działo się z tym domem od lat pięćdziesiątych?

Westchnął, wyraźnie rozczarowany swoją niewiedzą.

– Przyznam, że nie. Niewiele miałem do czynienia z dworem Argideen podczas wizyt na zachodzie hrabstwa Cork. Na pewno w pamiętniku znajdziesz jakieś odpowiedzi.

– Raczej nie, przynajmniej według pana Hoffmana. Choć nie jestem pewna, czy mu do końca wierzyć. Przysięgłabym, że nie mówi nam całej

prawdy.

Ambrose zachichotał.

– Prawnicy nie mają tego w zwyczaju. Bardzo chętnie podrażę trochę temat, jeśli sądzisz, że to może ci pomóc. Nadal mam wiele kontaktów w tamtych stronach. Wiesz, to mała miejscowość. Musi być ktoś, kto pamięta coś z tamtych czasów.

– Dziękuję, Ambrose. Byłabym ogromnie wdzięczna, gdybyś spróbował. – Uśmiechnęłam się. Był taki dobry.

– Nie ma o czym mówić. Zawsze marzyłem, żeby zostać detektywem.

– Poirot już powinien trząść portkami – zażartowałam.

– No właśnie. Bądź spokojna, zrobię, co będę mógł. Spróbuję dowiedzieć się czegoś o ostatnich właścicielach dworu Argideen.

– Dziękuję. Zadzwoń do ciebie jutro rano, zanim będziemy składały wieniec.

– Koniecznie! Miłej wyprawy przez morza i tropem swoich korzeni. Do widzenia, Merry.

– Do widzenia, Ambrose.

Odłożyłam telefon, przeciągnęłam się i poszłam pod prysznic.

Ally piła latte i patrzyła na Morze Śródziemne z pokładu widokowego. Morze było jak lustro. Zazdrościła idealnych warunków do żeglowania. Tak by chciała móc na kilka godzin opuścić *Tytana* i pośmigać *Laserem*. Dokładnie tego było jej trzeba, żeby oczyścić głowę. Trudno było myśleć o tym, jak okrutny los spotkał jej dziadków. Nadal nie rozumiała decyzji Pipa, by zostać w Norwegii. Gdyby tylko jej babka posłuchała Pa Salta i Elle, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej. Mogła popłynąć z nimi do Szkocji i mieć przed sobą życie...

Pokręciła głową. Zdumiewające, do czego potrafi człowieka skłonić miłość wbrew wszystkiemu, co podpowiada rozsądek.

Kiedy poznawała tę historię z nowej perspektywy, jeszcze bardziej współczuła swojemu biologicznemu ojcu, Felixowi Halvorsenowi. To on był prawdziwą ofiarą tamtych potwornych wydarzeń. Czy można się dziwić, że później był taki, jaki był? Ally poczuła nagle, że musi wysłać wiadomość do brata, Thoma. Wyjęła z kieszeni telefon. Sprawdziła, czy jest zasięg, ale *Tytan* już płynął i nie widziała ani jednej kreski.

– Ally?

Drgnęła i wylała połowę kawy na białą lnianą bluzkę.

– Cholera, przepraszam – rzucił Jack, podbiegając do niej.

– To nie twoja wina. Zamyśliłam się.

Gdy otoczył ją delikatnie ramieniem, przebiegł ją lekki dreszcz.

– Jak sobie dajesz radę? – spytał Jack. – W porządku?

Ally skinęła głową.

– Tak.

Uniósł brwi i popatrzył na nią.

– Nie powiesz mi, jak jest naprawdę?

Uśmiechnęła się zrezygnowana.

– No, dobrze. Ostatni fragment w pamiętniku był dla mnie szczególnie trudny.

Westchnął i oparł się o reling.

– Przykro mi, Al. Musi być ciężko to czytać, zwłaszcza tobie.

– Wszystkim nam nie jest lekko – odparła. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżywa twoja mama.

– O, mama to twarda sztuka, stara wyga.

– Jack! – Ally nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

On też się roześmiał, nie zamierzał się jednak wycofywać.

– Ona sama tak mówi – powiedział. – Ale tobie naprawdę współczuję. Z Bearem i w ogóle... A skoro już o tym mowa, gdzie się podział ten mały mężczyzna?

– W tej chwili jest z mamą.

– Szczęściarz. Marina wspaniale radzi sobie z dziećmi, prawda?

– O tak! – Ally skrzyżowała ręce na piersi i spuściła wzrok, niepewna, jak sformułować komplement, który miała zamiar mu powiedzieć. – Ty też wczoraj niezłe się spisałeś. Masz wrodzony talent.

– Dzięki. Zawsze chciałem być tatą. – Ugryzł się w język. – Oczywiście... nie jestem jego tatą. I... nigdy nim nie będę. – Pokręcił głową i ścisnął reling.

– W porządku – rzuciła Ally i uśmiechnęła się z czułością.

Jack wziął głęboki wdech.

– Jestem w tym fatalny, Ally. Chciałem tylko powiedzieć, że... Wyobrażam sobie, jak dużo myślisz o Theo... Na pewno bardzo za nim tęsknisz.

Szczerze słowa Jacka i jego troska wzruszyły Ally.

– Naprawdę doceniam, że to mówisz, Jack. Dziękuję.

– Mówię szczerze. On byłby z ciebie bardzo dumny. I Bear też.

Ally ścisnęło w gardle. Starła się opanować.

– Dziękuję.

Stali przez chwilę w milczeniu, oboje zapatrzeni w morze. Po czym Ally powoli wyciągnęła do niego rękę.

– Skoro już prowadzimy tę niezręczną rozmowę, jestem ci winna przeprosiny.

Zaskoczony Jack ujął jej dłoń.

– Za co? – zapytał.

– Za to, że nie powiedziałam ci o Bearze, kiedy poznaliśmy się we Francji. Musiałeś poczuć się dziwnie, kiedy zobaczyłeś go na *Tytanie*.

– Och... – Wzruszył ramionami, jakby to nie miało znaczenia. – Nie ma o czym mówić. To przecież nie moja sprawa.

Ally nie zamierzała ustąpić.

– Jack... w pewien sposób to jest twoja sprawa i czuję się głupio, że ci nie powiedziałam. Naprawdę mi przykro.

Pokręcił głową.

– Nie przesadzaj. Zresztą dlaczego sądzisz, że to „moja sprawa”?

Zmobilizowała siły.

– O rany... Nie powiedziałam ci, bo nie chciałam...

Przytrzymał mocniej jej dłoń.

– Nie chciałaś czego, Ally?

– Nie chciałam cię do siebie zrazić – przyznała.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Ooo... – Jack nie potrafił zdobyć się na nic więcej w odpowiedzi.

– Po prostu uznałam – ciągnęła Ally – słusznie czy nie, że może cię zniechęcić to, że mam malutkie dziecko. Nie mówiąc o tym, że to dziecko mojego zmarłego ukochanego. – Ukryła twarz w dłoniach. – Nikt by czegoś takiego nie wymyślił, nawet w powieści.

Jack zaśmiał się nerwowo.

– Nie. Szczerze mówiąc, uznałem, że nie wspomniałaś o nim, bo nie traktowałaś mnie poważnie.

– Poważnie?

– No, wiesz. – Uciekł wzrokiem w bok. – Jako materiał na potencjalnego chłopaka...

– Przyczyna była inna. – Ally uśmiechnęła się lekko. – Naprawdę powiedziałaś właśnie „jako materiał na potencjalnego chłopaka”?

Teraz to on ukrył twarz w dłoniach.

– Boże, przepraszam.

Ally pogładziła go po plecach.

– Nic się nie stało! Ale skoro już tak rozmawiamy, to mogę spytać, co naprawdę myślisz o tej sytuacji? Powiedz szczerze, nie krępuj się.

Jack zrobił wielkie oczy.

– Chodzi ci o Beara? – zapytał.

Skinęła głową.

– No... – Męczył się, by znaleźć odpowiednie słowa. – Myślę, że to wspaniale! To znaczy... on jest wspaniały! W ogóle... to cudownie.

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu i po chwili Jack też zaczął się śmiać.

– Przepraszam. Nigdy nie byłem mistrzem słowa. Ale mówię szczerze, Ally. Myślę, że to coś wyjątkowego. Masz synka. To piękne, bo w nim Theo wciąż żyje. W każdym razie... Wystarczy, nie powiem nic więcej, bo zaraz kompletnie się zapłaczę.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę, a potem Ally nachyliła się i delikatnie go pocałowała.

– A niech mnie – powiedział Jack. – Powinniśmy byli odbyć tę niezręczną rozmowę już tygodnie temu!

Przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją mocniej, zmysłowo, i czuł, jak Ally mięknie w jego ramionach.

– Dziękuję, Jack – powiedziała.

– Za co?

– Za to, że jesteś.

30

Pięć z sześciu sióstr D'Aplièse zebrało się o jedenastej na wygodnych dużych kanapach w głównym salonie. Większość przyniosła sobie soki i świeżo upieczone croissanty ze stołu śniadaniowego, bo dopiero co wynurzyły się z kajut po czytaniu do późnej nocy.

– Nie byłam w stanie oderwać się od pamiętnika – wyznała Tiggy.

– Ja też nie – przyznała Maja. – Wiecie, który fragment wydał mi się szczególnie interesujący? Kiedy Pa Salt jest w płonącym domu. Ukazuje mu się kobieta w czerwonej sukni...

– Tak, zdumiewające, co nawdychanie się dymu może zrobić z mózgiem, nie? – zauważyła ironicznie Elektra i wsunęła do ust kawałek rogalika.

– Och, nie byłabym tego taka pewna. – Tiggy uśmiechnęła się w zadumie i starała się nie uznać za obrazę tego, że młodsza siostra przewróciła oczami.

– Myślę, że wszystkie pomijacie główny element – wtrąciła CeCe. – Ten sukinsyn Kreeg próbował spalić Pa Salta żywcem. Nie wiem, jak wy, ale ja czuję... taką wściekłość...

– Jasne, CeCe – rzuciła ugodowo Star. – Dziwne w tym wszystkim jest to, że mu się nie udało. Kreeg nie zdołał zabić taty. Obaj umarli jako zdecydowanie starsi ludzie. Czy to znaczy, że Kreeg zaprzestał pościgu, czy że się pogodzili?

W salonie zapadła cisza; każda rozważała, jaka może być prawda.

Milczenie zostało przerwane, bo weszła Ally, a za nią Jack.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała Ally.

– Dzień dobry paniom. – Skrępowany Jack odsunął się trochę od niej, najwyraźniej nie wiedząc, jak się zachować.

Ally skrzyżowała ręce na piersi.

– Z tego, co słyszę, wnioskuję, że wszyscy szybko czytają pamiętnik – zauważyła. Siostry pokiwały głowami. – Gdzie Merry?

– Już wstała – odezwała się Star. – Podejrzewam, że wskoczyła do wanny, żeby sobie wszystko przemyśleć. Jak się masz, Ally? – spytała ostrożnie. – To okropne, co przeczytałyśmy o twoich dziadkach.

Ally zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową.

– W porządku. Nie było tam nic, czego bym już nie wiedziała.

– O mój Boże! – zawołała nagle Maja.

Najstarsza z sióstr D’Aplièse pokazywała na stojący w kącie salonu telewizor nastawiony na BBC News. Choć głos był wyłączony, wszystkie nagle znalazły się twarzą w twarz z Zedem Eszu.

– O cholera, czemu pokazują to bydlę? Przepraszam, Maju. Niech ktoś to wyłączy! – krzyknęła Elektra.

– Nie! – zaproponowała zdecydowanie Maja. – Chcę usłyszeć, o co chodzi. Włączmy głos.

CeCe złapała pilot i wcisnęła guzik.

„...gościmy dyrektora generalnego Lightning Communications, Zeda Eszu, by porozmawiać o jego planach ekspansji internetu światłowodowego. Witamy w naszym programie, panie Eszu”.

„Dziękuję”, odpowiedział z przymilnym uśmiechem Zed. Miał na sobie jeden z tych swoich ohydnych błyszczących garniturów, bez krawata.

Rozpiął koszulę na tyle, by widzowie mogli zauważyć muskularną klatkę piersiową. Czarne włosy miał przylizane do tyłu. Robił wrażenie wazeliniarza pod każdym względem.

– O Boże, patrzcie tylko na niego! – zawołała Elektra. – Będzie się teraz upajał każdą sekundą na wizji.

– Ciii – syknęła Maja, która wpatrywała się uważnie w ekran.

„Po pierwsze – powiedział prezenter – proszę przyjąć nasze serdeczne wyrazy współczucia w związku ze śmiercią pana ojca, Kreega, który przez kilkadziesiąt lat zarządzał Lightning Communications”.

„Tak, prawie trzydzieści”, odparł Zed.

Prezenter z uszanowaniem skinął głową.

„W tym czasie osiągnął bardzo wiele, pomógł unowocześnić dostęp do internetu prywatnym użytkownikom na całym świecie. Co oczywiście uczyniło go bardzo zamożnym człowiekiem”.

Zed zaśmiał się sztucznie, od czego Maja dostała gęsiej skórki.

„Dla mojego ojca pieniądze nie były ważne. – Rozłożył szeroko ręce. – Zależało mu jedynie na pomaganiu ludziom. To była jego prawdziwa pasja”.

– Co on pieprzy? – syknęła Elektra.

– Cicho, błagam – poprosiła Maja.

„Mój ojciec kochał ludzi. Chciał, żeby wszystkim żyło się lepiej, żeby łatwiej się było komunikować i... – Zed popatrzył wprost do kamery – żeby nigdy nie traciło się kontaktu z tymi, którzy są dla nas ważni”.

Prowadzący rozmowę skrzyżował ramiona na piersi i zastanawiał się nad tą wypowiedzią.

„Myśli pan, że to właśnie nim kierowało?”

Zed odchylił się na oparcie fotela i posłał widzom kolejny obrzydliwie lepki uśmieszek.

„Wie pan, nie podobała mu się koncepcja, że ktoś może po prostu zniknąć z powierzchni ziemi. Każdy zasługuje na to, by pozostać z nim w kontakcie. Myślę, że to właśnie fascynowało go w branży komunikacyjnej”.

„To bardzo inspirująca interpretacja. Prowadzi pan firmę już od roku, został pan dyrektorem po śmierci ojca. Czy zawsze był taki plan, że pewnego dnia to pan przejmie stery?”

„Oczywiście. Ojciec dokładnie wszystko planował. Zawsze miał wszystko... niewiarygodnie dobrze przemyślane”. Z zaszepionym wyrazem twarzy pokiwał głową.

– Ciarki mnie przechodzą, jak na niego patrzę – odezwała się Tiggy. – Dlaczego mam wrażenie, jakby mówił wprost do nas?

– Wiem, co masz na myśli – szepnęła Ally.

„W ramach naszych rozmów o przyszłości – ciągnął prezenter – proszę nam opowiedzieć o swoich planach ekspansji firmy i o perspektywach na szybszy internet!”

„No właśnie, dziękuję”. Zed złączył wyprostowane palce dłoni, pozując na inteligentnego biznesmena.

Wszystko to na pokaz, oczywiście. To było jedno wielkie przedstawienie i siostry D'Aplièse to wiedziały.

„Już dziś mogę ogłosić, że Lightning Communications planuje zastąpienie przestarzałej sieci satelitarnej doskonałymi kablami światłowodów, które połączą kontynenty w sposób bardziej niezawodny, niż mogłyby to zapewnić jakiegokolwiek urządzenia w kosmosie”.

Prezenter wyglądał na zdezorientowanego.

„Kable? Czy to nie krok wstecz w stosunku do satelitów?”

„Świetne pytanie. Dziękuję, że pan je zadał”. Zed wyszczerzył zęby.

– Chyba się porzygam – mruknęła CeCe.

„Moje kable oferują o wiele efektywniejsze działanie, jeśli chodzi o przepustowość i przenoszenie danych. Wiem, że dla niektórych widzów może to brzmieć mało zrozumiale – uśmiechnął się protekcjonalnie – ale te kable przekazują informacje impulsami światła, które przebiega w przezroczystych szklanych rurkach. To jak czary! – Zarechotał. – Możecie uważać mnie za magika”.

– Magik o gębie, która aż prosi się, żeby mu w nią przyłożyć – wtrącił Jack.

Prezenter dalej drążył temat.

„Czy te kable będą wisiały nam nad głowami jak linie telefoniczne?”

„Przygotował pan mnóstwo doskonałych pytań. – Wysiłki Zeda, żeby sprawiać poważne wrażenie, stawały się coraz bardziej drażniące. – Tak naprawdę kable będą biegły pod oceanami. Wyobraźcie to sobie... najnowocześniejsza technologia na dnie mórz!”

„To bardzo ambitny plan, panie Eszu. Oczywiście powinienem spytać o to, jaki będzie to miało wpływ na środowisko. Czy będziecie w stanie zrealizować to wszystko bez zaburzania równowagi podwodnego świata?”

Zed zmarszczył brwi, na chwilę tracąc czujność.

„Ta nowa sieć będzie podstawą globalnej komunikacji dla ludzkości. Jeśli trochę ryb stanie temu na drodze, to jestem pewien, że ludzie chętnie zaakceptują drobne poświęcenie dla dobra sprawy”.

„No, nie każdy zgodziłby się z...”

Zed przerwał prezenterowi.

„Wszystko to kwestia: coś za coś. Żeby zwyciężyć, musimy akceptować, że po drodze mogą być ofiary. – Zreflektował się i posłał do kamery kolejny paskudnie słodki uśmieszek. – Oczywiście, żeby nie było

żadnych wątpliwości, my w Lightning Communications zrobimy, co w naszej mocy, by rybka Nemo i jego przyjaciele nie doznali krzywdy”.

„Na pewno wielu widzów z ulgą przyjmie to zapewnienie – powiedział prezydent, nieco skonfundowany. – Chciałbym zapytać...”

Zed znów nie dał mu dokończyć.

„Widzi pan, mój ojciec tak naprawdę nie umarł. On żyje w swoim projekcie. I jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie żył wiecznie. Wszyscy będą pamiętać nazwisko Eszu”.

„Cóż, to... rzeczywiście bardzo piękna idea. Ale wracając do tematu, to ogromne przedsięwzięcie, prawda?”

„Racja. – Zed skromnie wzruszył ramionami. – Ale z wielką radością chciałbym ogłosić, że Lightning Communications przy realizacji tego projektu będzie współpracować z Berners Bank”.

Wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

„Będzie pan wspierany przez nich finansowo?”, zapytał prezydent.

„Ujął pan to dość obcesowo, ale tak. David Rutter, dyrektor generalny banku, to mój przyjaciel. Wspaniały człowiek. Podziela moją wizję przyszłości”.

– David Rutter... – szepnęła CeCe. – Gdzie ja już słyszałam to nazwisko?

„Na pewno warto mieć numer telefonu pana Ruttera w smartfonie”, zażartował prezydent.

Zed uniósł idealnie wyregulowane brwi.

„Zgodziłbym się tu z panem”, odparł.

„Od jakiego miejsca będziecie zaczynać swój wielki projekt?”

„Najpierw połączymy Australię z Nową Zelandią. To taki nasz mały test na antypodach. – Zed zaśmiał się. – Wyślemy swoją małą armię kopaczy,

by zaczęli drążyć pod Morzem Tasmana”.

Prezenter skinął głową.

„Będziemy z zainteresowaniem śledzić państwa postępy, panie Eszu. Musi pan obiecać nam, że wróci do naszego programu i opowie, jak posuwa się to przedsięwzięcie”.

„Z wielką przyjemnością. – Zed błysnął wybielonymi zębami. – Ale zanim pójdę, powinienem powiedzieć, że Lightning Communications chce nadać mu nazwę. Może chcieliby ją państwo poznać?”

Prezenter wydawał się zbity z tropu.

„Oczywiście”, wycedził przez zęby.

„Biorąc pod uwagę, że na tym projekcie opiera się przyszłe dobro ludzkości, to logiczne, że nadamy mu nazwę... Atlas”.

Elektra złapała pilot i wyłączyła telewizor. W salonie zapanowała cisza.

– No dobrze, dziewczyny. Nie mam wątpliwości, że on wie o naszej wyprawie. I jestem pewna, że wie wszystko o przeszłości Pa Salta i Kreega. – Wskazała na telewizor. – Ten świrus chce wywołać reakcję. Ale nie damy mu tej satysfakcji, prawda?

CeCe wstała.

– To jak dopełnienie zemsty. Cały świat ma wiedzieć o tych kablach. A on używa imienia taty, żeby zrealizować ten projekt.

– Przepraszam, kim właściwie był ten facet? – szepnął Jack do Ally.

– To syn Kreega Eszu – odparła.

– Boże. Jakiś nawiedzony świr... – Urwał, wyczuwając zmianę atmosfery wśród kobiet. – Słuchajcie, skoczę po kawę. Chyba przydałaby się wam dolewka, dziewczyny.

– Lepiej poleć po rosé, Jack, jeśli nie masz nic przeciwko temu – odezwała się Star.

– Zaraz wracam – rzucił, ruszając do drzwi.

– Jezu, aż mi niedobrze. On jest po prostu... – Głos uwiązł Mai w gardle.

– Wiem, słonko – rzuciła Elektra i wzięła siostrę za rękę. – Ale zachowajmy spokój, trzymajmy się razem. Pomyślcie, co zrobiłby tata. Dałby sobie czas, żeby się nad tym zastanowić. Co zawsze powtarzał? O szachach?

– Trać pionki mądrze – szepnęła Star.

– No właśnie. Sądzę, że chodziło mu o to, by wybierać bitwy. A na razie niewiele możemy poradzić na tę sytuację. Wiemy, że nieprzypadkowo wybrał tę chwilę. On chce zrujnować naszą wyprawę dla uczczenia pamięci ojca. A my mu na to nie pozwolimy.

*

Ally wyszła na pokład rufowy. Kręciło się jej w głowie. To był ciężki ranek. Najpierw przeżywała historię potwornej śmierci dziadków, a potem na ekranie telewizora na *Tytanie* pojawił się Zed Eszu, niczym wszechobecny zły duch. Nie wspominając już o tym, że Jack... Serce zabiło jej mocniej, kiedy myślała o ich pocałunku. Miała nadzieję, że niezręczne napięcie jest już za nimi, że może mają szansę... Poszła na koniec jachtu, rozglądając się za Mariną, żeby zwolnić ją z „wachty” przy Bearze.

Kiedy zbliżyła się do rufy, dostrzegła Georga Hoffmana. Jedną dłonią przeczesywał włosy, w drugiej trzymał telefon satelitarny. Chodził tam i z powrotem, kręcąc gwałtownie głową. Ally patrzyła zdumiona, jak Georg odkłada telefon, pada na kolana i wali w tekowy pokład pięściami. Podbiegła do niego.

– Georg! Co ci jest?

Zaskoczony zerwał się na nogi.

– Wybacz, Ally. Myślałem, że nikogo tu nie ma.

– Co się stało? Z kim rozmawiałeś?

– Och... To tylko moja siostra. Przekazała mi pewną... nieprzyjemną wiadomość.

– Przykro mi. Ale jeśli ktoś może rozumieć, jak to jest dostać nieprzyjemną wiadomość, to właśnie ja. Chcesz o tym pomówić?

Zaczerwienił się.

– Och, nie. Ale dziękuję. Naprawdę przepraszam. Rzadko tracę panowanie nad sobą.

– Nie przejmuj się – pocieszyła go Ally. – To stresujący czas dla nas wszystkich. Jesteś pewien, że nie byłoby ci lżej, gdybyś o tym porozmawiał?

Westchnął ciężko.

– To nic takiego, naprawdę. Claudia mówiła mi o pewnych sprawach osobistych, których w tej chwili nie jestem w stanie rozwiązać. A to moja praca, Ally, rozwiązuje problemy. I frustruje mnie, kiedy jestem bezsilny i nie mogę pomóc komuś, kto jest dla mnie bardzo ważny.

Ally uniosła brwi.

– Przepraszam, Georg... Powiedziałeś: Claudia? Nasza Claudia z Atlantis? Myślałam, że rozmawiałeś właśnie z siostrą.

Otworzył usta.

– Wybacz, przejęczyłem się. Ale nie... – poprawił się. – Nie. Moja siostra też ma na imię Claudia. Są dwie Claudie...

– Przejęczyłeś się? Czy może raz w życiu powiedziałeś nieprzefiltrowaną prawdę?

Georg Hoffman złapał się za głowę.

– Do którego miejsca w pamiętniku dotarłaś?

– Tata zamieszkał w High Weald.

Georg zastanawiał się przez chwilę, jakby coś sobie wyliczał.

– Claudia to moja młodsza siostra – odezwał się w końcu. – Okoliczności naszego spotkania z twoim ojcem są opisane w jego pamiętniku. Pozwolę, żeby zrelacjonował wam to sam, swoimi słowami.

Ally zamurowało.

– Georg... ja... dlaczego, na Boga, to było utrzymywane w tajemnicy?

Wzruszył ramionami.

– Twój ojciec robił to, co potrafił najlepiej. Chronił nas wszystkich. Poczytaj dalej i sama zobaczysz.

Pomyślała, że ten dzień jak żaden inny przewraca wszystko do góry nogami. Widok szalejącego Georga mocno ją zaniepokoił. To przypominało trochę odkrycie małego człowieczka za parawanem w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz*, rozpaczliwie starającego się zachować iluzję. Nagle Ally poczuła, że musi przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Georg, powiedz mi, jaką wiadomość przekazała ci Claudia. Co się takiego stało, że waliłeś w pokład z wściekłości?

– To naprawdę nie ma żadnego związku...

Ally warknęła coś pod nosem i chwyciła go za klapy lnianej marynarki.

– Georgu Hoffman, raz w życiu powiedz mi, co się dzieje. Chcę wiedzieć, co powiedziała ci Claudia, i chcę wiedzieć, dlaczego tak cię to zdenerwowało. A potem powiedz mi, dlaczego w tym miesiącu prowadziłeś tyle tajemniczych rozmów przez telefon i dlaczego zaczęło się to, kiedy tylko Claudia wyjechała z Atlantis. Nie zapominaj, że pracujesz dla mnie i moich sióstr. A my chcemy odpowiedzi. To nie podlega dyskusji.

Georg przygarbił się i Ally popatrzyła mu głęboko w oczy.

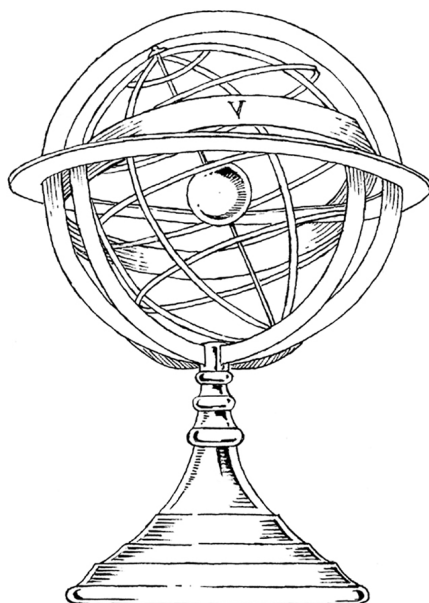
– No dobrze – rzucił. – Zrobię, co każesz. Ale, proszę, nie obwiniaj mnie. Wierz mi, naprawdę robiłem, co w mojej mocy. – Był bliski płaczu.

– Nie wątpię. Ale my jesteśmy gotowe na prawdę. – Puściła klapy jego marynarki i jeszcze raz popatrzyła mu w załzawione oczy.

– Tak. Jesteście – powiedział.

Pamiętnik Atlasa

1944–1951



High Weald, Anglia

Nie mam pojęcia, dlaczego Vaughanowie chcą mieszkać w rozpadającej się starej rezydencji, kiedy jest tu domek jak z obrazka, który zajmujemy teraz z Elle. Ma piec na drewno, duże belki na suficie i widoki na zielone krajobrazy Ogrodu Anglii. Uwielbiam to miejsce.

Jeśli chodzi o pracę, to Elle i ja spełniamy się w codziennych obowiązkach. Elle gotuje dla wdzięcznych za posiłki osób, a ja dbam o piękne tereny, którymi szczyli się High Weald. Czasami nawet współpracujemy, kiedy Elle wykorzystuje to, co uprawiam na warzywnych grządkach. Szczerze mówiąc, myślałem, że będzie dokuczał nam niepokój i nie będzie nam tu dobrze, bo żadne z nas nie może realizować swoich pasji, grając w orkiestrze symfonicznej. Ale ośmieliłbym się powiedzieć, że to ciche zdrowe życie jest dla nas w tym momencie... lepsze. Nigdy dotąd nie czułem się bardziej bezpieczny czy spokojny. Moje szkice pejzaży znacznie się poprawiły. Elle pozwoliła mi nawet zawiesić kilka w naszym saloniku.

Wieczorami tulimy się do siebie przed kominkiem i czytamy książki. Czasami przerzucamy się na radio, żeby upewnić się, że alianci trzymają szkopów na odległość, ale szczerze mówiąc, wojna wydaje się miliony kilometrów od wiejskiej sielanki, w której żyjemy. W miarę zaostrzania się sytuacji Archie Vaughan spędza coraz więcej czasu w bazie lotniczej Ashford, ale nie traci pogody ducha. Jego żona, Flora, jest przeurocza.

Godzinami pracuje ze mną w ogrodzie. Kwiaty to jej pasja i oddawanie się jej najwyraźniej koi jej duszę i przenosi ją do innego świata. Widzę to w niej, bo takie samo działanie ma na mnie muzyka.

Flora okazuje mi niezwykłą wyrozumiałość. Zorientowała się, że nie jestem ogrodnikiem z zawodu. Codziennie uczę się od niej czegoś nowego i coraz bardziej doceniam piękno natury. Jest delikatne, skomplikowane i harmonijne w swoim majestacie. Podczas długich popołudni, spędzanych na zajmowaniu się roślinami wieloletnimi i przycinaniu krzewów, Flora opowiedziała mi swoją historię, którą – muszę przyznać – uznałem za równie dramatyczną jak moja. Tak się cieszę, że ona i Archie w końcu się odnaleźli.

– Przez wiele lat odmawiałam sobie miłości, panie Tanit – zwierzyła mi się. – Ale z czasem zdałam sobie sprawę, że żaden człowiek nie jest w stanie kontrolować tej potężnej siły.

Uśmiechnąłem się.

– Ma pani absolutną rację, lady Vaughan.

– Wiem. – Flora uskubała żółknący pączek z krzaka białych róż. – Niech mi pan opowie, jak poznaliście się z Elinor.

Zastanawiałem się przez chwilę nad odpowiedzią, wykopując mocno zakorzeniony chwast.

– Spotkaliśmy się jako sieroty w Paryżu – odparłem w końcu.

Wsparła się pod boki.

– Mój Boże! Nie zdawałam sobie sprawy, że oboje nie mieliście rodziców. – Umilkła na chwilę. – Wie pan, Teddy... – Pohamowała się i pokręciła głową. – W każdym razie muszę powiedzieć, że bardzo do siebie pasujecie. – Przyjrzała się delikatnemu białemu płatkowi. – Im jestem starsza, tym bardziej mam przekonanie, że miłość jest po prostu zapisana w gwiazdach.

Uniosłem wzrok, by spojrzeć jej w oczy.

– O tak, lady Vaughan. Ja to wiem na pewno.

Cmoknęła.

– Proszę, panie Tanit, ile razy mam panu powtarzać, żeby mówił pan do mnie Flora.

– Przepraszam, Floro. Proszę, mów do mnie Bo... Bob. Robert.

Roześmiała się.

– Dobrze, Bo-Bob-Robert, zgoda.

Pokręciłem głową i zabrałem się do kolejnego chwastu.

– Wybacz. Jak się myśli po angielsku, a nie po francusku, to czasem wszystko się miesza – wyjaśniłem.

– Rozumiem. Trudno sobie wyobrazić, przez co oboje przeszliście. Ale tak się cieszę, że macie siebie nawzajem. To, jak na siebie patrzycie, jest po prostu magiczne. Kiedy się pobraliście?

Na szczęście mogłem skupić się na błocie, które miałem przed sobą.

– O, to było kilka lat temu. Tuż przed wypłynięciem z Francji. Nie było hucznego wesela.

Flora westchnęła melancholijnie.

– Myślę, że tak jest lepiej. To w końcu sprawa dotycząca dwojga ludzi, nikogo więcej.

Archie i Flora mają córkę. Uroczą, inteligentną Louise. Jest przemiła, troskliwa i przewodzi grupie Land Girls, które pomagają wojsku w High Weald poprzez stosowanie odpowiednich upraw w posiadłości. Louise inspiruje koleżanki, a one ją uwielbiają.

Niedawno świętowaliśmy zaręczyny Louise z Rupertem Forbesem – sympatycznym czytany człowiekiem, który nie został wysłany na front ze względu na krótkowzroczność. Inteligencja i silna osobowość Ruperta

zwróciły jednak na niego uwagę kontrwywiadu, z czego Archie jest ogromnie dumny.

Para przeprowadziła się na drugą stronę alei, naprzeciwko High Weald, do domu w zabudowaniach gospodarczych, który stał pusty, odkąd zarządca posiadłości wyjechał w związku z powołaniem do wojska. Zawsze miło jest, gdy młodzi przystają w ogrodzie, by ze mną porozmawiać, albo robią nam tę przyjemność, że przyłączają się do nas przy wieczornym posiłku, co zdarzało się wiele razy.

Jedynym członkiem rodziny, którego nie zdołaliśmy polubić, jest syn Vaughanów, Teddy. Niedawno został wydalony z uniwersytetu w Oksfordzie. Nie jestem pewien dlaczego. Potem próbował sił w Gwardii Krajowej (gdzie był skazany na porażkę, bo nie potrafi słuchać rozkazów). Przez krótki czas pozwolono mu zarządzać gospodarstwem rolnym w High Weald, ale pod jego krótkimi rządami zyski spadły niemal o czterdzieści procent przez jego niedbałość. Zdesperowany Archie załatwił mu posadę urzędniczą w Ministerstwie Lotnictwa, gdzie syn utrzymał się zaledwie kilka tygodni.

Elle i ja często słyszymy ryk jego sportowego auta, kiedy mija nasz domek nad ranem, wracając z nocnych eskapad do miasta. Niewątpliwie towarzyszą mu dziewczyny, które o dziwo ciągną do niego jak do miodu. Bóg jeden wie, co w nim widzą. Mnie traktuje jak pyłek na swoim kosztownym bucie. Ale wybujałe ego tego młodzieńca niewiele mnie obchodzi. Teddy Vaughan jest żalosnym kundelkiem w porównaniu z groźnym rottweilerem Kreegiem Eszu.

Lecz niedawno ten kundel dziabnął mnie w łydkę nieco zbyt agresywnie. Zaczął sobie pozwalać na nieprzyzwoite uwagi wobec Elle, co sprawiło jej wielką przykrość. Mnie może sobie Teddy wyzywać, jak chce, i ujdzie mu to płazem, ale nie wybaczę mu, że zaczepia Elle.

Aż się zagotowałem ze złości, kiedy opowiedziała mi o jego wulgarnych odzywkach.

– Zaraz z nim porozmawiam. – Wstałem, złapałem kurtkę i ruszyłem do drzwi.

– Bo, nie! – (Kiedy jesteśmy sami, nadal nazywamy się Bo i Elle). Złapała mnie za rękę i patrzyła błagalnie. – Nie wolno nam ryzykować tego, co tutaj mamy. To zbyt idealne. On nic takiego nie zrobił.

– To, co powiedział, było dla ciebie krępujące. Nie będę tego tolerował.

Elle wzięła mnie za rękę i poprowadziła z powrotem do starej, sfatygowanej różowej kanapy stojącej na środku pokoju.

– Nie zapominaj o naszej pozycji tutaj – powiedziała. – Jesteśmy tylko pracownikami. Nie możemy zwracać się do któregokolwiek z Vaughanów inaczej niż z najwyższym szacunkiem.

Byłem wściekły, ale musiałem przyznać jej rację.

– Jeśli kiedykolwiek by czegoś z tobą próbował, to... – Woląłem nie kończyć tego zdania.

– Dobrze. – Elle skinęła głową.

– Krążą słuchy o jego wybrykach. Słyszałem, jak mówiły o tym dwie dziewczyny pracujące w polu. Najwyraźniej jedna jest z nim w ciąży!

Elle westchnęła i odchyliła się na oparcie kanapy.

– Tessie Smith, tak. Te pogłoski to prawda. Cięża zaczyna już być widoczna. Co gorsza, jej narzeczony walczy we Francji.

Pokręciłem głową.

– Dobry Boże. Ci arystokraci myślą, że wszystko im wolno. Nigdy nie przestanie mnie to szokować.

– Zaczęłam podrzucać jej jedzenie – oznajmiła Elle. – Ma teraz wilczy apetyt, a racje, jakie dostają te dziewczyny, są żalosne.

Dobroć Elle rozproszyła mój gniew; przytuliłem ją.

Przez ostatnich kilka miesięcy podchody Teddy'ego Vaughana stawały się coraz bardziej jednoznaczne. Elle opisała mi jego obleśne odzywki. Mówiła, że nie trzyma rąk przy sobie. Któregoś dnia objął ją, kiedy Flora była w kuchni. Ten człowiek nie liczy się z niczym.

Dwa dni temu pracowałem do późna w ogrodzie warzywnym. Stawiałem siatki zabezpieczające przed nocnymi odwiedzinami wygłodniałych królików. Właśnie przecinałem kawałek siatki, kiedy usłyszałem znajomy zgrzyt kół na żwirze drogi do High Weald. To musiał być Teddy wracający po dniu spędzonym w pubie. Tym razem jednak, zamiast jechać dalej do rezydencji, zatrzymał samochód przy naszym domku. Zobaczyłem, jak wytacza się na zewnątrz i znika. Wiedząc, że coś jest nie tak, rzuciłem latarkę i pobiegłem do domu. Kiedy tam dotarłem, drzwi były otwarte, a Teddy Vaughan leżał na Elle na kanapie w saloniku.

– Daj spokój, ten twój mężulek nie musi nic wiedzieć – bełkotał.

– Puść mnie, błagam! – krzyknęła Elle.

Oślepiony wściekłością, chwyciłem Teddy'ego i ściągnąłem go na podłogę. Elle schowała się za moimi plecami.

– Po prostu wszedł i rzucił się na mnie! – zawołała, łkając.

Teddy podniósł się chwiejnie, doskoczył do mnie i zamachnął się, ale się odchyliłem.

– Wyjdź z naszego domu! – wrzasnąłem. – Natychmiast!

– Co ty gadasz, jaki WASZ dom? To mój dom! – padła bełkotliwa odpowiedź. – Tu wszędzie jest mój dom.

– Ten dom należy do twoich rodziców.

– Taaa, ale pewnego dnia oni umrą i wtedy będziecie pracować dla mnie. – Łypnął pożądliwie na Elle. – I wtedy wezmę sobie, co zechcę.

– Nigdy nie będziemy pracować dla ciebie. A teraz wynoś się. Jesteś pijany.

– Owszem, jestem. – Zataczając się, zbliżył się do mnie. – Może i pijany, ale przynajmniej jestem uczciwy. – Dźgnął mnie palcem w pierś.

Żołądek mi się skręcił. Byłem przerażony.

– O co ci chodzi, do cholery?

– Nie jesteście Francuzami. W Oksfordzie mieszkałem w pokoju z Francuzem. Miał kompletnie inny akcent. Kłamczuszek z ciebie, Tanit. – Zatoczył się do tyłu i zamachał rękami. – A może jesteś szpiegiem? Powinienem donieść na ciebie do Ministerstwa Wojny.

– A co konkretnie miałbym szpiegować w High Weald? Ziemniaki?

– Mój ojciec jest ważną osobistością. Może chcesz wiedzieć, z czym styka się w bazie lotniczej? Co? – Wycelował palcem wskazującym w moją twarz. – Wystarczy jeden telefon i będzie tu policja. Nie zachwyciłoby cię to, co, Tanit? Zaczęliby drążyć, zadawać niewygodne pytania. Może by cię nawet przytknęli. Ale nie martw się. Zaopiekuję się troskliwie twoją żoną... – Uśmiechnął się lubieżnie do Elle.

Gdy złapałem go za kołnierz, stracił równowagę, a ja powlokłem go do drzwi.

– Hej! Puszczaj! Jesteś tylko nędznym sługą. I nigdy nie będziesz niczym więcej...

Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem, po czym obejrzałem się na Elle.

– Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku... Czytałam. A on wpadł i... Nie wiedziałam, czy przyjdiesz... – Szlochała.

– Zawsze będę cię chronił, Elle. – Przytuliłem ją mocno. – Wiem, że on często bywa w pubie, ale jeszcze nigdy nie widziałem go aż tak pijanego. Facet kompletnie stracił panowanie nad sobą.

Elle zaczęła dygotać.

– Chodź, usiądź, kochanie – powiedziałem. – Zrobię ci herbaty.

Poprowadziłem ją do kanapy i wszedłem do przytulnej kuchenki. Napełniłem mały miedziany czajnik i postawiłem na piecu. Z ciężkim sercem rozglądałem się po naszym przyjemnym domku. Wiedziałem, że jest tylko jedno wyjście.

– Domyślam się, dlaczego Teddy tak się upił. – Elle pociągnęła nosem.
– Podobno wcześniej lady Vaughan wezwała go na rozmowę w sprawie Tessie Smith. Tak słyszałam od dziewczyn pracujących w polu.

Westchnąłem.

– Pewnie masz rację. – Przysiadłem obok niej na kanapie. – Jutro z samego rana musimy powiadomić Flore, że odchodzimy.

– Nie... – Elle spuściła głowę.

Objąłem ją ramieniem.

– Wiem, kochanie. Ale nie ma o czym dyskutować. Nie jesteśmy już tu bezpieczni – stwierdziłem z powagą. – Nie możemy narażać się na to, że Teddy znów cię zaatakuje albo zadzwoni do Ministerstwa Wojny. Nie mamy innego wyjścia.

Podniosła na mnie wzrok.

– Naprawdę myślisz, że zadzwoniłby?

Ze smutkiem wzruszyłem ramionami.

– Kto wie? Był pijany, prawda. Ale nie sądzę, że warto ryzykować.

– Bo, byliśmy tu tacy szczęśliwi! Nie wiem, czy zniosę kolejne wyrwanie z korzeniami i zaczynanie od nowa. To już zbyt wiele.

Wstałem i podszedłem do gwizdzącego czajnika.

– Chciałbym, żebyśmy mogli zostać tu na zawsze. Ale jeśli mamy być razem, musimy stąd wyjechać, Elle. – Nalałem wrzątku do filiżanki

i zanurzyłem sitko z liśćmi herbaty.

– Potrafisz zrobić to znowu? Zacząć od nowa? Rzucić wszystko, co tu zbudowaliśmy?

Podąłem jej gorący napój i usiadłem.

– Elle, kiedy byłem chłopcem, myślałem, że dom to dach nad głową, bezpieczeństwo i jedzenie na stole. – Ująłem jej dłoń. – Ty pokazałaś mi, że to nie jest miejsce fizyczne, ale poczucie zawdzięczone tym, których kochamy. Póki jestem z tobą, jestem w domu.

Siedzieliśmy jakiś czas, trzymając się za ręce. Myśleliśmy o tym, co znowu tracimy.

– Dokąd tym razem pojedziemy? – odezwała się wreszcie Elle.

Oparłem głowę na dłoniach. Adrenalina wywołana napaścią Teddy’ego opadła. Czuję się skrajnie wyczerpany.

– Co powiesz na Londyn? – spytałem. – Tam na pewno nie brakuje pracy.

– Co? W jakiej fabryce broni? – rzuciła z goryczą.

Pokręciłem głową.

– Nie, kochanie. Archie twierdzi, że lada dzień zacznie się inwazja we Francji. Mówił o lądowaniu wojsk na plażach w Normandii. Uważam, że w Londynie będzie bezpiecznie.

Elle popijała powoli herbatę. Nareszcie wracały jej kolory.

– Wiesz jednak, co oznacza koniec wojny? – spytała. – Może mnie nie będą groziły już prześladowania, ale Kreeg Eszu będzie mógł podróżować, dokąd mu się spodoba. Jeśli odkryje, gdzie jesteśmy...

– Racja – przerwałem jej. – Tym bardziej musimy się wyprowadzić.

Następnego dnia rano, gdy Elle pakowała nasze rzeczy w domku, czekałem na Florę Vaughan w imponującej kuchni High Weald. Rezydencja

była tak piękna, że myśl o konieczności natychmiastowego wyjazdu wydawała się jeszcze bardziej bolesna.

– Dzień dobry! – Flora uśmiechnęła się promiennie na mój widok. – Rzadko widuję pana w kuchni. – Nagle spojrzała na mnie z niepokojem. – Żle się pan czuje?

– O nie, wszystko w porządku, lady Vaughan.

Rozbawiona przewróciła oczami.

– Nie wiem, ile razy mam panu powtarzać, żeby się pan tak do mnie nie zwracał.

– Dziękuję, lady Vaughan – odparłem z naciskiem, na co wyraźnie się zasępiła. – Przyszedłem, by powiedzieć, że niestety, postanowiliśmy z żoną niezwłocznie opuścić High Weald. Przed wieczorem wyjedziemy.

Była zaskoczona.

– Nie rozumiem. Mogę zapytać dlaczego?

Zawahałem się. Zasługiwała na to, by wiedzieć o zachowaniu syna, ale martwiłem się, że po sprawie z Tessie może już nie być w stanie więcej znieść.

– Nie chciałbym się rozwodzić nad przyczynami – odparłem. – Ale z głębi serca chcielibyśmy podziękować państwu za to wszystko, co państwo dla nas zrobili. Mogę szczerze powiedzieć, że w High Weald spędziliśmy kilka najszcześniejszych lat w życiu.

Flora pokręciła głową.

– Nie przyjmę tej rezygnacji, dopóki nie poznam powodu. Chyba przynajmniej tyle jest mi pan winien.

Zaakceptowałem jej argument.

– Powiem tylko... – urwałem – że moja żona nie czuje się już swobodnie w High Weald.

Flora powoli zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech.

– Teddy – rzuciła.

– Jak mówiłem, lady Vaughan, nie będę się wdawał w szczegóły.

Potarła skronie.

– Naprawdę bardzo mi przykro, panie Tanit. Ten chłopak jest nie do opanowania. – Popatrzyła za okno na ogród warzywny, gdzie spędzaliśmy tyle godzin przy wspólnej pracy. – Będzie mi brakowało naszych rozmów na temat uzdrowienia świata. – Obróciła się do mnie. – Nie mówiąc już o pana umiejętnościach pielęgnowania ogrodu.

– Które zawdzięczam tylko pani, lady... Floro.

Uśmiechnęła się smutno.

– Pewnie Elinor tu nie przyjdzie. Proszę jej przekazać serdeczne podziękowania i powiedzieć, że jej też będzie tu bardzo brakowało. – Flora zamyśliła się. – Wie pan, nawet trudno mi sobie przypomnieć, jak było w High Weald bez was.

– To bardzo miłe słowa – odparłem szczerze.

– Dokąd się teraz wybierzecie? – spytała.

Wzruszyłem lekko ramionami.

– Zamierzamy pojechać do Londynu. Tam najłatwiej będzie znaleźć pracę.

– Starczy wam pieniędzy? Chcę mieć pewność, że sobie poradzicie. Rozumiem, że to przez mojego podłego syna nie możecie tu zostać.

– Nigdy nie powiedziałem, że państwa syn...

– Nie musi pan, panie Tanit. – Nagle w jej oczach pojawił się błysk. – Zaczekałby pan chwilę? Chciałabym wam coś dać.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, wyszła z kuchni i ruszyła po schodach na górę. Wróciła z małym niebieskim pudełeczkiem.

– To mój prezent dla was. Bez zbytniej buty mogę powiedzieć, że to ma ogromną wartość. Jeśli to sprzedacie, będziecie mieli dość na nowy start.

Byłem w szoku.

– Och, nie mógłbym...

– Nawet nie zobaczył pan, co to! – Ostrożnie otworzyła pudełko. Wewnątrz leżała mała figurka pantery z onyksu. – Może wygląda dość skromnie, ale została wykonana w pracowni Fabergé. Niezwykle cenniej.

Flora nie mogła wiedzieć, jak dobrze znałem firmę Fabergé. Ojciec często opowiadał mi o ich niezwykłych wyrobach.

– Wiem, jaka musi być wartość tego przedmiotu, i nie ma mowy, żebym to przyjął – oświadczyłem. – Dziękuję... ale nie.

Uparła się.

– Człowiek, który dał mi tę panterę, mój ojciec, już nie żyje. Myślę, że zostawił mi ją, na wypadek gdybym kiedykolwiek znalazła się w potrzebie. – Oczy się jej zaszklily. – Po śmierci ojca w moim życiu znów pojawił się Archie i teraz mieszkam wygodnie w High Weald. Jestem szczęśliwa. Nie potrzebuję tej figurki. Trzymam ją w szufladzie i prawie nigdy na nią nie patrzę. Mam przekonanie, że ojciec chciałby, by teraz przeszła w twoje ręce. – Wcisnęła mi ją w dłoń. – Od jednego dobrego człowieka do drugiego.

– Przecież to pamiątka rodzinna.

Na jej wargach pojawił się szelmowski uśmiech.

– Tak, to jest pamiątka rodzinna... ale może nie w najbardziej konwencjonalnym sensie. Zapewniam, że z wielką radością się z nią rozstanę. Jeśli już nie jako coś innego, proszę widzieć w niej pamiątkę czasów spędzonych w High Weald.

Nie było co się spierać. Flora chciała, żebym wziął panterę.

– Dobrze, zatrzymam ją. Dziękuję za wszystko.

Dość nieoczekiwanie objęła mnie i uściskała serdecznie.

– To ja dziękuję – powiedziała.

Obróciłem się, by wyjść z kuchni.

– Koniecznie chcecie opuścić High Weald jeszcze dziś? – zapytała.

– Tak. – Za nic nie miałem zamiaru narażać się na to, że znów spotkam Teddy’ego. – To musi być dzisiaj.

– Macie gdzie się zatrzymać? W Londynie wszystko jest drogie.

Westchnąłem.

– Nie mam jeszcze planu, ale coś znajdziemy – zapewniłem.

Flora zastanawiała się przez chwilę, zanim powiedziała:

– Może nie musicie szukać... Wspominałam panu o mojej przyjaciółce Beatrix Potter, prawda?

– Oczywiście – odparłem. Uwielbiałem słuchać opowieści o tej autorce książek dla dzieci i pamiętałem, jak Flora rozpacziała na wieść o jej śmierci w ostatnie Boże Narodzenie.

– Czy mówiłam, że zapisała mi swoją księgarnię?

Nie mogłem sobie tego przypomnieć.

– Nie, chyba nie.

– Jest w uroczym miejscu w Kensington. – Flora była rozemocjonowana. – Zamierzam przekazać ją Louise i Rupertowi w prezencie ślubnym, ale na razie mogę nią rozporządzać wedle woli. Wspominam o niej, bo nad sklepem jest małe mieszkanie. Możecie korzystać z niego swobodnie, póki się nie urządzicie.

Zabrakło mi słów.

– Jest pani pewna, Floro?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście. Zaraz zapiszę adres.

Otworzyła kuchenną szufladę i wyciągnęła ołówek i papier.

– Nie sędę, by mieszkanie było w zbyt dobrym stanie, ale mam nadzieję, że nadaje się do wprowadzenia – powiedziała.

Podła mi kartkę z adresem.

Księgarnia Arthura Morstona

Kensington Church Street 190

Londyn W8 4DS

– Dziękuję... – odparłem, starając się nie rozkleić.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Zaraz dam panu klucze.

Kiedy wyszedłem z kuchni, ruszyłem podjazdem w kierunku naszego domku, ale w połowie drogi obejrzałem się jeszcze na rezydencję. Choć część murów się rozpadała, a niektóre ramy okienne były zmurszałe, budynek nadal wyglądał imponująco. Przetrwał tyle lat, tyle zmian, wojen i kolejnych pokoleń Vaughanów. I nadal stał w tym miejscu, budząc zachwyt.

A potem odwróciłem głowę i poszedłem naprzeciw nowemu życiu.

Przybyliśmy z dwiema walizkami do księgarni Arthura Morstona na Kensington Church Street. Włożyłem klucz do zamka, popchnąłem drzwi i zabrzączał dzwoneczek. Kiedy zlokalizowałem włącznik światła i przekręciłem go, powitał nas cudowny widok. Wzdłuż ścian ciągnęły się wysokie dębowe regały pełne wszelkiego rodzaju publikacji. Nie wspominając już o kilku stołach, na których piętrzyły się sterty nieuporządkowanych książek, chaotycznie, jakby ktoś szukał jakiegoś konkretnego fragmentu na ich stronach, których były tu tysiące.

– Niesamowite! – zawołała Elle.

Przeszliśmy przez sklep, wdychając delikatny zapach wanilii, który w magiczny sposób emanował ze starych tomów. Wreszcie odkryliśmy drzwi za ladą z kasą, które prowadziły do nieco obskurnego – w odróżnieniu od sklepu – mieszkania. Zielona tapeta odchodziła od ścian, a cienka wykładzina była żałośnie wytarta, ale na początek to lokum całkowicie nam wystarczało. Po rozpakowaniu bagażu zeszliśmy z powrotem na dół i jak dzieci w sklepie ze słodyczami z zapalem rzuciliśmy się do przeglądania zawartości półek Arthura Morstona.

Książki niewątpliwie pomogły nam odwrócić uwagę od idylli, którą byliśmy zmuszeni zostawić za sobą.

– Tych książek jest tyle, że mielibyśmy co czytać latami – powiedziałem i roześmiałem się.

– Tak – przyznała Elle. – To coś cudownego mieszkać nad księgarnią.
Podszedłem do niej.

– Wiesz, mam wrażenie, że w Londynie będzie nam dobrze. Znów będziemy mogli chodzić na koncerty, do teatru... możemy spacerować nad Tamizą, tak jak nad Sekwaną w Paryżu, kiedy byliśmy dziećmi.

Odłożyła na półkę tomik wierszy, który przez chwilę czytała, i westchnęła.

– Masz rację. Postaram się uznać to za korzystną zmianę, ale... – zawahała się – naprawdę wydawało mi się, że zostaniemy w High Weald na zawsze. Myślałam, że w końcu się pobierzemy, będziemy mieli dzieci... A teraz zastanawiam się, czy to kiedykolwiek w ogóle będzie możliwe.

Pocałowałem ją lekko w czoło.

– Rozumiem. Bo ja też niczego bardziej nie pragnę. Pewnego dnia, kiedy będziemy bezpieczni, pobierzemy się.

Elle pociągnęła nosem.

– Wiem, że to tylko kawałek papieru.

– Ale ważny – powiedziałem, gładząc jej włosy. – A potem, po ślubie, obiecuję, że będziemy mieli z tysiąc dzieci.

– Tysiąc?! – Udało się jej roześmiać.

– Och, co najmniej. Będziemy się przecież musieli czymś zająć, kiedy się ustatkujemy.

– A dlaczego nie zacząć od jednego i nie sprawdzić, jak nam pójdzie?

– Jak sobie życzysz, Elle. Ale jeśli mamy zacząć tylko od jednego, to chciałabyś chłopca czy dziewczynkę? – spytałem.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nieważne – rzuciła w końcu. – Jeśli tylko będzie w połowie takie jak ty, będę je kochała bezwarunkowo. – Oparła głowę na moim ramieniu.

Następnych kilka dni spędziliśmy na układaniu i katalogowaniu tysięcy książek, które wypełniały sklep. To zajęło nasze myśli i po raz kolejny narzuciło nam rytm dnia.

– Ciekawe, czy Flora zgodziłaby się na to, żebyśmy sprzedali dla niej część z tych książek – powiedziała Elle. – To bez sensu, że tak wspaniała kolekcja stoi na półkach i tylko zbiera kurz. Pieniądze, które byśmy zarobili, przesyłalibyśmy prosto do High Weald. – Wyraźnie zapaliła się do tego pomysłu. – Moglibyśmy nawet zamówić nowe książki, gdyby Flora nam pozwoliła... Nim księgarnię przejmą Louise i Rupert, oczywiście.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Na pewno warto zapytać – odparłem.

Napisaliśmy do Flory, ale przez ponad dziesięć dni nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Nim wrzucono nam przez drzwi list, księgarnia Arthura Morstona była idealnie uporządkowana, gotowa do rozpoczęcia sprzedaży. Flora napisała, dlaczego nie wysłała listu wcześniej, i to wyjaśnienie było bardzo smutne.

Moi drodzy

Z wielkim żalem muszę poinformować Was, że w noc po Waszym wyjeździe w bazie lotniczej w Ashford zginął mój mąż, razem z czternastoma innymi osobami. Bomba uderzyła prosto w namiot, w którym spali. W tej sytuacji Teddy natychmiast odziedziczył High Weald i wszystkie środki po ojcu, do których miał prawo z racji urodzenia.

Możecie być pewni, że księgarnia Arthura Morstona pozostaje moją własnością i syn nie może mi jej odebrać. Nadal zamierzam przekazać ją latem córce i jej mężowi po ich ślubie, ale na razie chętnie udzielam Wam zgody na sprzedaż książek i uzupełnianie

towaru. Może jeśli uda się Wam odnieść sukces, Rupert i Louise zechcą zatrzymać Was jako osoby zarządzające księgarnią, choć oczywiście to już będzie ich decyzja.

Nie piszcie do mnie na adres rezydencji High Weald, ponieważ Teddy zamierza się żenić i w tej sytuacji ja jako wdowa przeniosę się do mniejszego domu. Przekażę Wam szczegóły, kiedy tylko będę wiedziała wszystko dokładnie. Miło, że pomyśleliście o przesyłaniu pieniędzy zarobionych w księgarni do High Weald, ale proszę, żebyście zatrzymali sobie cały zysk.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Flora V.

– Wyrzucił z domu własną matkę! – oburzyła się Elle. – Jak śmiał coś takiego zrobić!

Ta wiadomość wstrząsnęła nami.

– Biedna Flora – mruknąłem. – Miłość jej życia ginie, a jej nicpoń syn dostaje wszystko. To potwornie niesprawiedliwe.

– Myślisz, że to przez nas, Bo? – spytała Elle. – Jesteśmy przeklęci? Gdziekolwiek się pojawiajemy, zostawiamy za sobą rozpacz.

Przez cały wieczór opowiadaliśmy sobie o Archiem Vaughanie i tym, jak dzięki niemu nasze życie stało się lepsze.

Trzy dni później otworzyliśmy księgarnię Arthura Morstona. Wkrótce przekonaliśmy się, że to bardzo dobry interes. Po mrocznych czasach nalotów na Londyn mieszkańcy stolicy byli spragnieni czytania i ucieczki w świat wyobraźni.

Ósmego maja 1945 roku BBC ogłosiło zwycięstwo w Europie i cały kraj świętował oficjalną bezwarunkową kapitulację Niemiec. Wojna na kontynencie była zakończona. Elle i ja tańczyliśmy na ulicy z Brytyjczykami. A potem, na początku czerwca, do skrzynki listowej księgarni Arthura Morstona trafiła kremowa elegancka koperta zaadresowana do pana Tanita. Wziąłem ją na małe biurko na tyłach sklepu i otworzyłem.

Drogi Panie Tanit

Mam nadzieję, że ten list trafi do osoby, dla której jest przeznaczony.

Nazywam się Eric Kohler. Jestem prawnikiem z kancelarii w Genewie. Z żalem muszę poinformować Pana, że Pańska babka, Agatha Tanit, zmarła jakiś czas temu – w 1929 roku – w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Jestem w dość kłopotliwej sytuacji, ponieważ nie wiem, jak bliskie są Pana związki z rodziną, więc jeśli to, co piszę, jest dla Pana szokujące, proszę wybaczyć.

Dziedzic majątku Agathy – Pański ojciec, Lapetus Tanit – niestety również już nie żyje. Jego ciało odnaleziono w zimie 1923 roku w Osetii Południowej, w Gruzji. Za przyczynę zgonu uznano narażenie na trudne warunki.

Pana ojciec zajmował wysoką pozycję na carskim dworze, więc wiadomość o jego śmierci powoli rozeszła się po Europie i dotarła do Pańskiej babki.

Kiedy Agatha Tanit dowiedziała się o śmierci syna, postanowiła odnaleźć Pana, jedynego wnuka. Poświęciła na ten cel mnóstwo pieniędzy i czasu. W końcu udało się jej zdobyć informację, że przebywa Pan na Syberii, ale kiedy wysłani przez nią ludzie tam dotarli, Pana już tam nie było.

Od ponad dziesięciu lat przeszukuję kontynent, by trafić na nazwisko Tanit i kogoś, kto jest mniej więcej w Pana wieku. Przyznam, że napisałem już kilka takich listów, ale żadna z osób, do których zostały wysłane, nie okazała się tą przeze mnie poszukiwaną. Ostatnio, podczas moich comiesięcznych prób czynionych w imieniu Pana świętej pamięci babki, odkryłem, że księgarnią Arthura Morstona w Londynie zarządza Robert Tanit.

Mam nadzieję, że jest Pan wnukiem Agathy i jej spadkobiercą. Żeby się co do tego upewnić, muszę jednak prosić, by przyjechał Pan do Genewy i spotkał się ze mną osobiście, żebym mógł zadać pewne pytania w celu potwierdzenia Pana tożsamości. Oczywiście pokryjemy koszty Pana podróży, więc jeśli napisałby Pan, kiedy mógłby Pan zjawić się w Szwajcarii, z przyjemnością zorganizuję pana podróż.

Z wyrazami szacunku

E. Kohler

Odłożyłem list na biurko. Oczy wypełniły mi się łzami. Było tak, jakby z tych kartek wyciągał do mnie dłoń ojciec.

– Bo? Co się stało? – spytała Elle, widząc mój smutek.

Podąłem jej list.

– Och... – jęknęła, kiedy go przeczytała. – Nie wiem, co powiedzieć...
Wyobrażam sobie, co czujesz. – Przytuliła mnie mocno. – Tak mi przykro
z powodu twojego ojca.

Pokręciłem głową.

– Zachowuję się głupio – rzuciłem. – Przecież zdawałem sobie z tego
sprawę, Elle. Ale kiedy zobaczyłem to napisane czarno na białym, wszystko
do mnie wróciło. – Westchnąłem ciężko. – Po długich latach niepewności
teraz już wiem, że nie zdołał dotrzeć dalej niż do Gruzji.

Elle delikatnie pogładziła mnie po plecach.

– Tym bardziej niezwykle jest to, że ty doszedłeś aż do Paryża. Ale
wiedziałaś coś o swojej babce?

Pokręciłem głową.

– Nie. Tego okropnego dnia w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim
roku, kiedy ojciec się ze mną żegnał, powiedział mi tylko, że idzie do
Szwajcarii po pomoc. – Wstałem, podszedłem do drzwi księgarni
i obróciłem tabliczkę z napisem OTWARTE tak, że z zewnątrz widać było
ZAMKNIĘTE. – Nie miałem pojęcia, gdzie dokładnie zamierza tę pomoc
uzyskać. Najwyraźniej próbował dotrzeć do matki.

Pociągnąłem nosem.

Elle uniosła brwi.

– Jednego nie rozumiem. Jeśli twój ojciec miał tak bogatą matkę, to
jakim cudem znalazł się w takich strasznych warunkach na Syberii?

Wzruszyłem ramionami.

– Mówiłem ci, kim był. Czytałaś w liście, że kojarzono go z dworem
carskim. Po rewolucji musiał się ukrywać.

Elle siedziała w jednym z dużych miękkich foteli, które ustawiliśmy w księgarni dla klientów.

– Wprost nie do wiary, że ten prawnik cię wytropił.

Zgadzałem się z nią.

– Może Flora wysłała komuś jakieś oficjalne dokumenty z moim nazwiskiem. – Pocierając się po brodzie, starałem się zrozumieć łańcuch zdarzeń, które doprowadziły do wytropienia mnie przez Kohlera. – O ironio, wygląda na to, że fakt, że lata temu podałem Archiemu Vaughanowi prawdziwe nazwisko, był szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Choć martwi mnie, że ten prawnik tak łatwo nas odnalazł. Jak mówiłaś, teraz, kiedy wojna się skończyła, Kreeg może swobodnie buszować, gdzie zechce.

– Jeśli przeżył – rzuciła Elle. – Tylu ludziom się to nie udało.

Pokręciłem głową.

– Wątpię, bym miał tyle szczęścia.

Elle uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Spotkasz się z tym szwajcarskim prawnikiem?

– Tak – odparłem zdecydowanie. – Kiedy jako chłopiec wyruszyłem przez śniegi Syberii, moim celem była Szwajcaria. Nadszedł czas dokończyć tę podróż.

– Kiedy pojedziesz?

– Kiedy tylko ten Kohler zdoła to zorganizować.

Rzuciłem okiem na półki księgarni.

– Nie mam pojęcia, jak duży jest majątek mojej babki, ale pomyśl, co moglibyśmy zrobić z jakąś znaczną sumą. Może wreszcie udałoby się nam kupić sobie bezpieczeństwo. – Ośmieliłem się chwilę pomarzyć. –

Zamieszkalibyśmy w małym domku na pustkowiu, z wystarczającym zapasem pieniędzy, gdybyśmy postępowali mądrze...

– Moglibyśmy zawsze trzymać się z daleka od Kreega Eszu.

Sprawdziłem, że firma prawnicza Kohler & Schweikart istnieje, i tydzień później wsiadłem na prom do Francji. Potem po trzech dniach podróży koleją przybyłem na spotkanie z panem Kohlerem w jego pięknej siedzibie na genewskiej rue du Rhône. W okazałej recepcji dominowała konstrukcja, w której przez dwadzieścia minut, kiedy czekałem na prawnika, bulgotała woda. Wreszcie otworzyły się duże drzwi wyłożone czeczotką orzechową i wyłonił się zza nich nienagannie elegancki mężczyzna o starannie ufryzowanych blond włosach.

– Pan Robert Tanit?

Skinąłem głową, a on uściśnął mi dłoń.

– Eric Kohler. Proszę za mną.

Poprowadził mnie do gabinetu o wysokim sklepieniu. Jego biurko stało na tle ogromnych palladiańskich okien, z których roztaczał się zachwycający panoramiczny widok na spokojne wody Jeziora Genewskiego.

– Proszę usiąść. – Wskazał mi obity zieloną skórą fotel po drugiej stronie biurka.

– Dziękuję.

Przez chwilę mi się przypatrywał. Prawdopodobnie szukał podobieństwa do Agathy Tanit.

– Mam nadzieję, że miał pan przyjemną podróż? – powiedział.

– Tak, dziękuję. Chyba nigdy nie jechało mi się tak miło pociągiem. Naprawdę macie piękny kraj.

Kohler uśmiechnął się.

– Lubię tak myśleć. Mały, ale idealnie uformowany. – Obrócił się, by wskazać na okno. – Z dużym jeziorem.

Był tak sympatyczny, że się odprężyłem.

– Choć muszę przyznać, panie Tanit, że dziwi mnie, dlaczego mówi pan o „moim” kraju. Przecież to również pana kraj, prawda?

– Och... – Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. – Pewnie tak, bo to kraj mojego ojca. Ale nie urodziłem się w Szwajcarii i nigdy tu nie byłem.

Skinął głową.

– Urodził się pan w Rosji, prawda?

Zawahałem się, niepewny, co dokładnie wie prawnik.

– Tak.

– Hm... – Odchylił się na oparcie fotela. – Mamy wiele do omówienia. Ale zanim zaczniemy, muszę potwierdzić pana tożsamość. Ma pan dokumenty?

Znowu się zawahałem.

– Mam brytyjski dowód osobisty i paszport.

– Wspaniale! – Kohler klasnął w dłonie.

– Ale uczciwie stawiając sprawę, oba te dokumenty zostały wyrobione dla mnie przez mojego byłego pracodawcę, Archiego Vaughana – dodałem.

– Miał koneksje w brytyjskim wojsku i był tak dobry załatwić dokumenty mnie i mojej żonie.

Prawnik zmrużył oczy.

– Chcę przez to powiedzieć, że zawarte w nich dane, jak miejsce urodzenia i wiek, mogą nie zgadzać się z tym, co pan ma w dokumentach – oświadczyłem.

Kohler splótł dłonie i nachylił się nad biurkiem.

– Mogę zapytać, dlaczego nie ma pan oryginalnych dokumentów, panie Tanit?

– Jeśli moje świadectwo urodzenia istnieje, to leży pod śniegami na Syberii. Uciekłem z Rosji jako mały chłopiec. Nie miałem wyboru. Bałem się o życie. Mój ojciec odszedł i myślałem...

– Musiał pan uciekać – przerwał mi Eric i ze zrozumieniem pokiwał głową.

Patrzyłem, jak na jego ustach pojawia się znaczący uśmiech. Czy wiedział coś o tym, że Kreeg Eszu zamierzał mnie zabić?

– Podejrzywałem, że tak mogło być – wyjaśnił. – Pana babka przygotowała mnie na to.

Byłem ostrożny. Zaniepokojony i zaintrygowany zarazem.

– Przepraszam, panie Kohler, nie jestem pewien, czy rozumiem.

– Nie ma tu żadnych sekretów, panie Tanit. Wiem wszystko.

Przygotowałem się na najgorsze.

– Pana ojciec, Lapetus Tanit, był przed rewolucją członkiem dworu cara Mikołaja Drugiego. Czy tak?

Powoli skinąłem głową.

– Uczył kultury klasycznej i muzyki carewicza i jego siostry. Był więc dobrze znany bolszewikom, jak wszyscy powiązani z rodziną carską. Po rewolucji październikowej, kiedy car został obalony i zamordowany, pana ojciec w obawie o własne bezpieczeństwo uciekł. Nie zdołał po pana wrócić, więc pan poszedł w jego ślady, żeby ratować życie. – Prawnik był wyraźnie dumny ze swoich zdolności dedukcyjnych. – Jestem blisko?

Właściwie nic, co powiedział, nie było nieprawdą. Przeoczył jedynie kluczowe elementy: Kreega i diament. Nie chciałem podważać jego wersji.

– Tak, wszystko, co pan powiedział, się zgadza – przyznałem.

Wstał i zaczął powoli przechadzać się przed oknem, niczym Poirot wyjaśniający zagadkę kryminalną.

– Z powodów, które wspomniałem, przez całe życie obawiał się pan, że w każdej chwili może pojawić się jakiś sowiecki agent i poderżnąć panu gardło, bo należał pan do otoczenia cara. – Uniósł brwi i popatrzył na mnie. – W ciągłym lęku przemierzał pan Europę, zmieniając zajęcia i jak się domyślam, również nazwiska.

Jego rozumowanie było trafne.

– Jest pan niezwykle przenikliwy, panie Kohler – powiedziałem.

– Miałem dużo czasu, żeby poukładać sobie w głowie tę historię. – Usiadł i sięgnął do szuflady. – A teraz, skoro wszystko wyjaśniliśmy, chciałbym zacząć od potwierdzenia pana imienia, bo obaj wiemy, że nie brzmi ono Robert.

Milczałem.

– Przypuszczam, że pamięta pan swoje imię – dodał z nutką współczucia.

– Tak – wyjąkałem. – Tylko... że to było w innym życiu.

– Rozumiem. O jednym chcę pana zapewnić, panie Tanit: nie grożą panu żadne prześladowania ze strony Sowietów. Ich pościg za zwolennikami caratu zakończył się ponad dziesięć lat temu. Dziecko nauczyciela nie będzie ich w najmniejszym stopniu interesować. Jest pan bezpieczny, mogę panu zaręczyć.

– To... bardzo pokrzepiająca wiadomość. Dziękuję, panie Kohler – odparłem.

– W tej sytuacji nie ma już potrzeby uciekać i zmieniać nazwiska. Jako syn Szwajcara jest pan obywatelem Szwajcarii i jeśli postanowi pan osiąść tutaj, będzie pan mile widziany. A teraz poproszę o pana imię.

– Atlas.

– Dobry początek! – zawołał uradowany prawnik.

Robiłem, co w mojej mocy, żeby latami unikać używania mojego tak wyjątkowego imienia. Uważny Czytelnik zapewne pamięta, że miałem opory, by wymienić je nawet w pamiętniku. A mimo to Kreeg mnie wytropił.

– Jak wspominałem, panie Tanit – ciągnął Kohler – pana babka dobrze mnie przygotowała. Powinien jej pan być za to wdzięczny. Powiedziała mi, że jej syn został zatrudniony przez cara.

– Mówi pan, że jestem obywatelem Szwajcarii i byłbym mile widziany, gdybym chciał się tu osiedlić. Bardzo bym pragnął, żeby to było możliwe – powiedziałem szczerze. – Tylko że nie mam paszportu ani aktu urodzenia. Jak mogłoby to zostać załatwione?

Machnął ręką.

– Jeśli będę mógł dowieść, że jest pan wnukiem Agathy Tanit, co właśnie zamierzam zrobić, to droga do uzyskania obywatelstwa jest stosunkowo prosta. – Poprawił krawat. – Ze wsparciem mojej kancelarii, która cieszy się dobrą opinią, uda się panu wyrobić dokumenty. Choć oczywiście zabierze to trochę czasu.

Byłem oszołomiony perspektywą otrzymania szwajcarskiego obywatelstwa.

– Mój Boże... – westchnąłem.

Prawnikiem sięgnął do innej szuflady i wyjął teczkę.

– Pozostali panowie Tanitowie, którzy siedzieli w tym fotelu, byli w stanie się wylegitymować, ale przy drugiej części rozmowy zaczęli mieć trudności. Wiedząc, że może pan nie posiadać oficjalnego dowodu na swoje pochodzenie, Agatha Tanit zaopatrzyła mnie w zestaw pytań, na które, jak sądziła, odpowiedź powinien znać jedynie jej prawdziwy wnuk.

– Intrygujące – rzuciłem, nieco zaniepokojony, co teraz nastąpi. –
A jeśli nie będę w stanie odpowiedzieć na te pytania?

Wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że wtedy nasze drogi się rozejdą. Zgodnie z życzeniem
Agathy Tanit.

Przełknąłem ślinę.

– Rozumiem.

– Są tylko trzy pytania, panie Tanit. Mogę zaczynać?

Przesunąłem się na brzeg fotela.

– Proszę – odparłem, wstrzymując oddech.

– Świetnie. – Prawnik odchrząknął. – Pierwsze pytanie brzmi: do
jakiego gwiazdozbioru należą Plejady wraz z otwartą gromadą Hiad?

Odpowiedziałem bez wahania.

– Do gwiazdozbioru Byka.

Kohler uśmiechnął się szeroko.

– Zgadza się. Niesamowite, panie Tanit. W poprzednich przypadkach po
tym pytaniu nie musiałem już zadawać drugiego. – Nachylił się. – Mogę
spytać, skąd pan zna odpowiedź?

– Mój ojciec pasjonował się astronomią. Nauczył mnie wszystkiego, co
wiem o nocnym niebie.

Roześmiał się.

– Tak jak matka nauczyła go wszystkiego, co wiedziała. Drugie pytanie
brzmi: kto zbudował skrzypce Lapetusa Tanita?

– Giuseppe „del Gesù” Guarneri.

Prawnik się rozpromienił.

– Racja, panie Tanit. To był prezent od matki. Ofiarowała mu te
skrzypce przed jego wyjazdem do Rosji. Wiedział pan o tym?

Pokręciłem głową.

– Ale i tak dał pan właściwą odpowiedź. W takim razie trzecie, ostatnie, pytanie: czy wie pan, dlaczego Agatha Tanit sprezentowała synowi skrzypce Guarneriego, a nie inne?

– Oj... chyba będziemy musieli się rozejść. Bo tego nie wiem, poza tym, że ojciec mawiał, że woli głębszy dźwięk skrzypiec Guarneriego.

– Hm... – Kohler nie był pewny, czy uznać tę odpowiedź. – Lapetus wolał skrzypce Guarneriego od...

– Stradivariusa – rzuciłem. – Zawsze twierdził, że stradivarius to dla niego „za wysokie progi”. – Choć niemal na pewno oblałem test identyfikacyjny, to na wspomnienie słów ojca uśmiechnąłem się lekko.

Prawnik wpatrywał się we mnie, po czym obrócił kartkę i pokazał na jedno zdanie. Pięknym, ozdobnym charakterem pisma było tam wykaligrafowane: *Stradivarius to za wysokie progi...*

Zauważyłem, że szczęka mi opadła.

– Pytania pana babki zostały bardzo dobrze wybrane. A ja ponad piętnaście lat temu stanowczo odradzałem jej tę strategię. „Nie, panie Kohler – powiedziała. – To nie do pomyślenia, żeby mój syn nie wspominał często, że stradivarius to za wysokie progi. Stale o tym mówił!”

– Ale... ona nigdy mnie nie widziała – zauważyłem, nadal nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

– Owszem, ale była wyjątkowo inteligentną kobietą, która знаła syna lepiej niż ktokolwiek na tej planecie.

– Żałuję, że nie miałem okazji jej spotkać.

– Rozumiem. W każdym razie gratulacje. Miło mi oficjalnie pana poznać, Atlasie. – Wyciągnął do mnie rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie. – Proszę pozwolić, że opowiem panu o historii rodziny. Co pan już wie?

– Bardzo mało – odparłem szczerze. – Rodzice należeli do otoczenia carskiego. Matka zmarła zaraz po tym, jak mnie urodziła, ale ojciec dużo mi o niej opowiadał. Wiedziałem też, że tata pochodzi ze Szwajcarii, lecz... niewiele poza tym.

– W takim razie miło mi poinformować pana, że w pana żyłach płynie błękitna krew. Ród Tanitów wywodzi się z czasów Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Słyszał pan o dynastii Habsburgów?

Patrzyłem na niego zdumiony, nie dlatego, że nie wiedziałem, kim są Habsburgowie, ale on najwyraźniej tak zrozumiał moją reakcję, bo zaczął tłumaczyć:

– To była jedna z najpotężniejszych dynastii w historii Europy. Pochodzili z północy Szwajcarii. Członkowie tego rodu zasiadali na tronach Hiszpanii, Niderlandów, Węgier... mógłbym wymieniać długo.

– Chce pan powiedzieć, że jestem... Habsburgiem?

Prawnik roześmiał się.

– Nie.

Poczułem, że się czerwienię.

– Są historyczne zapisy, które wskazują, że Tanitowie już pod koniec dwunastego wieku wspierali tę dynastię. Pana przodkowie sprawdzali dla nich układy astrologiczne i odczytywali, czy gwiazdy im sprzyjają. Habsburgowie mieli ogromne zaufanie do członków pana rodu i dlatego nagrodzili go tytułem szlacheckim... i mnóstwem pieniędzy. A pan, Atlasie, jest ostatnim z rodu. Ostatnim Tanitem. Mam do przekazania panu około...

– Kohler przerzucił leżące przed nim dokumenty – pięciu milionów franków szwajcarskich. Oczywiście kiedy tylko pana papiery zostaną uporządkowane.

Musiałem zrobić komiczną minę.

– Pięć... milionów? – wyszeptałem.

Skinął głową.

– Tak, właśnie. Może teraz rozumie pan, dlaczego tak bardzo zależało mi, by się z panem skontaktować. Nie tylko ma pan prawo do ogromnego majątku, ale też jest pan ostatnim członkiem słynnego szwajcarskiego rodu!

Zabrakło mi słów. Takie pieniądze mogły zapewnić wszystko, o czym kiedykolwiek z Elle marzyliśmy. Ścisnęło mnie w gardle.

– Nie jestem pewien, co powiedzieć.

– Nie trzeba nic mówić, Atlasie. Zacznę załatwiać formalności, by został pan oficjalnie uznany za obywatela Szwajcarii. Jak wspominałem, po wojnie jest długa kolejka i to może zająć nie miesiące, ale nawet lata.

– Rozumiem – odparłem.

W głowie mi się kręciło. Ja i Elle będziemy mogli osiąść tu i założyć rodzinę. Nie mogłem się doczekać, kiedy przekażę jej tę wiadomość.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie mógłbym się dziś zatrzymać – powiedziałem. – Czy w domu mojej babki?

– Załatwiłem panu hotel na kilka nocy. Oto adres. – Podał mi kartkę. – Agatha zapisała swój duży miejski dom parze, która opiekowała się nią pod koniec życia. Kiedy pana ojciec wyjechał do Rosji, byli dla niej jedyną rodziną. A właśnie... – Prawnik uniósł palec, jakby o czymś sobie przypomniał, i zaczął przerzucać papiery na biurku. – Jakiś rok przed śmiercią Agatha kupiła sporą działkę na odludnym cyplu przy jeziorze.

Znalazł odpowiedni dokument i przebiegł go wzrokiem.

– Teraz należy ona do pana. Proszę odwiedzić to miejsce, jeśli pan sobie życzy. Oto mapa.

Wziąłem ją od niego.

– Bardzo tam pięknie. – Kohler obrócił się, by wyjrzeć przez ogromne okno. – Mógłby pan wybrać się tam dziś po południu.

– Pewnie tak zrobię – odparłem, wstając. Miałem nogi jak z waty. – Czy na zewnątrz znajdę taksówkę?

– Z tym może być kłopot. Na półwysep można dotrzeć jedynie łodzią! Powinien pan znaleźć jakąś za rozsądną cenę na przystani niedaleko stąd. Niech pan pokaże mapę. Będą wiedzieli, dokąd płynąć.

– Czy można tam wynająć łódź bez sternika? Tak się składa, że potrafię sterować sam i znam się na mapach.

– Pewnie tak, jeśli tylko przekona ich pan, że ma odpowiednie kompetencje. O, jest jeszcze to! – Wyjął małą kremową kopertę spomiędzy papierów. – To list do pana od babki. Wie pan co? – Zaśmiał się. – Nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy będę mógł go przekazać we właściwe ręce. Proszę spojrzeć! – Wskazał na skroń. – Mam siwe włosy! A kiedy poznałem pana babkę, byłem młody.

Wstał, by podać mi kopertę i pożegnać się.

– Skontaktuję się z panem w hotelu. Trzeba będzie podpisać mnóstwo dokumentów, póki jest pan w Genewie. Do widzenia, Atlasie. Pewnie zobaczymy się jutro.

– Dziękuję, panie Kohler.

Nie minęło czterdzieści minut, a już prułem z terkotem po jeziorze. Mimo że łódź była nieco zdezelowana, z zachwytem patrzyłem na ogromne góry dokoła. Przymknąłem oczy i cieszyłem się chłodną bryzą. Uwielbiałem znajdować się na wodzie, mając za towarzystwo jedynie swoje myśli i czyste powietrze.

Podróż z przystani przy rue du Rhône zajęła prawie dwadzieścia minut, co dało mi poczucie, że półwysep należący do mojej babki naprawdę jest odizolowany od świata. Wreszcie ukazał się fragment lądu zaznaczony na mapie. Zbliżając się, przyglądałem się odludnemu cypłowi, za którym wąski teren wznosił się stromo.

Wyłączyłem silnik i łódź powoli dodryfowała do brzegu. Panowała idealna cisza. Zachwycił mnie majestatyczny, bajeczny krajobraz, który odbijał się w lustrzanej tafli wody. Gdy łódź zaczęła szorować po miękkim dnie, wyskoczyłem, trzymając linę w dłoni. Wyciągnąłem dziób motorówki na piasek i uwiązałem ją przy dużej skale. Wziąłem głęboki wdech i wyjąłem z kieszeni list.

Drogi Atlasie, mój najdroższy Wnuku

Jeśli to czytasz, to znaczy, że pan Kohler dotrzymał słowa i Cię odnalazł, co mnie, niestety, się nie udało.

Pisząc ten list, wiem, że zbliżam się do końca wyznaczonego mi czasu na Ziemi, ale jeśli zakręci Ci się łza w oku, proszę, nie płacz, bo już wkrótce będę ze swoim ukochanym synem – Twoim ojcem.

Mimo odległości, jaka dzieliła nas w związku z pracą Twojego ojca, pisywał do mnie regularnie. W ten sposób wiedziałam, jak dorastasz i jak się rozwijasz. Wyrażał się o Tobie z taką dumą. Często wspominał, że jesteś ponad wiek mądry, osiągasz więcej, niż wydawałoby się to możliwe. Ale nie spodziewałabym się niczego innego po kimś, kto należy do rodziny Tanitów.

Lapetus przekazał mi, że masz wielki talent do gry na skrzypcach i że fascynują Cię gwiazdy. To naturalne, biorąc pod uwagę tradycje w naszej rodzinie. Może pan Kohler opowiedział Ci o niej trochę. Jeśli nie, koniecznie go poproś. To fascynująca historia i zbyt długa, żebym miała siłę ją tu opisać.

Tak pragnęłabym, żebyśmy się poznali, powspominali razem i popatrzyli wspólnie na spokojne niebo nad moim ukochanym Jeziorem Genewskim. A skoro o tym mowa, na pewno poinformowano Cię, że jesteś teraz właścicielem odludnej działki nad brzegiem jeziora.

Kupiłam ją dla Ciebie, Wnuku. Starannie wybrałam jej położenie. Zauważysz, że jest dostępna jedynie od strony wody i ukryta przed wścibskimi spojrzeniami ludzi.

Czułam, że możesz potrzebować własnego miejsca na świecie – przystani, gdzie będzie spokojnie i bezpiecznie. Mam nadzieję, że ten cypel Ci to zapewni i będzie mógł służyć jako dom dla przyszłych pokoleń Tanitów.

Być może jednak się mylę i nie potrzebujesz takiego podarunku. Jeśli więc chciałbyś sprzedać tę posiadłość, możesz to zrobić z moim

pełnym błogosławieństwem.

Jestem już zmęczona, nie mogę pisać wiele dłużej. Wydaj spadek mądrze, ale pamiętaj: życie jest strasznie krótkie. Moim życzeniem jest, byś użył pieniędzy na to, żeby poprawić życie moich prawnuków i następnych pokoleń.

Ufam, że pewnego dnia spotkamy się w następnym życiu, lecz gdybyś chciał mnie szukać wcześniej, popatrz w gwiazdy.

*Z miłością
Twoja babka Agatha*

Ten list zrobił na mnie wielkie wrażenie. Oczy znów zapiekły mnie od łez. Popatrzyłem w górę na niebo.

– Dziękuję – szepnąłem.

Przez jeden zwariowany moment zdawało się, że wszechświat mi odpowiada, bo usłyszałem trzask gałązki za plecami. Obróciłem się gwałtownie, ale zobaczyłem tylko pustkowie cypla.

– Halo?! – zawołałem. Uznałem, że to musiało być jakieś zwierzę, i poszedłem w kierunku drzew. Dochodząc do nich, usłyszałem pospieszne kroki. – Halo, jest tu ktoś?!

Przekraczając granicę lasu, potknąłem się o plandekę i pozostałości ogniska, które musiało być naprędce zgaszone wodą z kubła leżącego obok.

Kroki szybko oddalały się wśród krzaków. Pobiegnęłam w ślad za nimi.

– Stój, proszę! Jestem właścicielem tej ziemi, nie chcę ci zrobić nic złego!

Po jakimś czasie przystanąłem i nasłuchiwałem. Ale dobiegł mnie tylko świergot ptaków. Podparłem się pod boki i rozejrzałem po dzikiej okolicy.

Nagle lewą łydękę przeszył mi ostry ból. Nogi się pode mną ugięły.

– Aj! – krzyknąłem, padając.

Zobaczyłem nad sobą chłopca z dużym kijem. Podniósł go nad głowę, zamierzając się, by tym razem uderzyć mnie w twarz. Osłoniłem się ręką.

– Przystań! – odezwał się głos spośród drzew. Pojawiła się mała dziewczynka. Była młodsza od chłopca. – Nie rób tego, proszę.

– Czego chcesz?! – wrzasnął chłopak, nadal trzymając kij nad głową.

Zauważyłem, że oboje mówią po niemiecku, i przeszedłem na ten język.

– To moja ziemia – oznajmiłem. – W każdym razie niedługo będzie moja. Nie miałem złych zamiarów. Nie wiedziałem, że tu jesteście.

Chłopiec zerknął na dziewczynkę, zanim obrócił się znów do mnie.

– Jesteś Niemcem? – zapytał. – Przed chwilą mówiłeś po francusku.

– Bo jestem Szwajcarem – odparłem, żeby nie komplikować sprawy.

– Skąd znasz niemiecki? – dociekał chłopiec.

– Mieszkałem trochę w Niemczech. W Lipsku, przed wojną.

– Claudia, chodź tu.

Dziewczynka podeszła do chłopca i stanęła za nim. Opuścił kij.

– Przepraszam, że weszliśmy na twój teren. Zaraz się spakujemy i pójdziemy sobie.

– Nie rozumiem. Dlaczego mnie uderzyłeś? – spytałem, powoli się podnosząc. – Możecie tu sobie spokojnie biwakować, proszę bardzo. Ale nie wolno wam napadać na ludzi!

– Widzisz? – syknęła dziewczynka. – Przepraszam za brata. Mówiłam mu, że nie robi nam pan krzywdy.

– Przykro mi, przepraszam – odezwał się chłopiec. – Zaraz sobie pójdziemy.

Dopiero teraz zauważyłem, że ubrania na dzieciach są całe w strzępach i nieprawdopodobnie brudne. W dodatku wydawały się monstrualnie duże. Uszyto je dla dorosłych, dzieci były potwornie wychudzone.

– Jak powiedziałem, możecie tu biwakować. To właśnie robicie? Wybraliście się na wycieczkę z namiotem? – spytałem.

– Tak – odparł chłopiec.

– Wygląda na to, że jesteście tu już od dawna – zauważyłem.

– Ale teraz się przeniesiemy.

– W góry? Bo nie widziałem łódki. Czy to bezpieczne, żebyście próbowali się wspinać? To podejście nie wygląda na łatwe.

– Damy radę – rzucił chłopiec.

– Proszę pana – odezwała się dziewczynka. – Niech pan nie mówi nikomu, że pan nas widział. Nie chcę, żeby oni znów po nas przyszli.

– Claudia! – uciszył ją chłopiec.

– W porządku. – Starąłem się ich uspokoić. – Claudio...? Tak masz na imię?

Nieśmiało skinęła głową.

– Bardzo ładne imię. – Obejrzałem się na chłopca. – A ty, młody człowieku? Mogę spytać cię o imię?

Pokręcił głową.

– No dobrze – odparłem, wzruszając ramionami. – Ja mam na imię Atlas. – Spojrzałem na dziewczynkę. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie chcesz, by oni znów po was przyszli? Jacy oni?

– Żli ludzie – odparła Claudia.

– Żli ludzie? – powtórzyłem. – Chodzi ci o żołnierzy?

Skinęła głową. Zaczynało docierać do mnie, o co chodzi.

– Przyszliście z Niemiec?

– Tak – powiedział chłopiec.

Popatrzyłem na niego ze współczuciem.

– Uciekliście z jednego z ich obozów?

Kiwnął głową. Przyklęknąłem, żeby patrzeć im w oczy.

– Zapewniam was, że nie jestem jednym z nich. Słowo. Jestem przyjacielem.

Chłopiec odetchnął i skinął głową.

– Ile masz lat? – spytałem.

– Jedenaście – odparł. – A moja siostra siedem.

– To za mało, żeby dawać sobie radę bez niczyjej pomocy. Możecie mi wierzyć, sam wiem to najlepiej. Od jak dawna jesteście sami?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem dokładnie. Chyba jakieś pięćdziesiąt nocy. I nie jesteśmy sami. – Objął ramieniem siostrę, popatrując na mnie hardo. – Jest nas dwoje, jesteśmy razem.

– Oczywiście – przyznałem. – I to jest cudowne.

Wiedziałem, że te dwie niewinne dusze musiały doświadczyć trudnych do wyobrażenia potworności. Starąłem się ostrożnie dobierać słowa.

– Mogę zapytać, jak to się stało, że znaleźliście się tutaj?

Chłopiec spuścił oczy. Siostra wzięła go za rękę, co było wzruszające.

– Nasza mama odwróciła uwagę jednego ze strażników, a my przeczołgaliśmy się pod ogrodzeniem. My... – Chciał mówić dalej, ale ścisnęło go w gardle, nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Siostra dokończyła za niego.

– Nie chcieliśmy uciekać, ale mama nam kazała – wyjąkała. – Po tym, co zrobili tacie.

Serce mi pękało. W swoim krótkim życiu te dzieci poznały naturę ludzką od najgorszej strony. Jeśli ktoś potrafił zrozumieć ich ból, to ja.

– Nie wiecie o tym, bo jesteście już tu długo, ale mam dla was dobrą wiadomość: wojna się skończyła – powiedziałem łagodnie. – Obozy takie

jak ten, z którego uciekliście, zostały wyzwolone. Mogę pomóc wam odnaleźć mamę.

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Nie może pan. Ona oddała życie za nas. Słyszeliśmy strzały, kiedy wyczołgiwaliśmy się na drugą stronę. Potem pobiegliśmy. Mama kazała nam iść do Szwajcarii, bo tam miało być bezpiecznie. – Zaszlochał.

Bardzo wolno położyłem rękę na jego ramieniu.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro. Ja też jako dziecko straciłem rodziców. Ale pamiętajcie – postukałem się w pierś – oni żyją tutaj, na zawsze.

Chłopiec spojrzał mi w oczy.

– Udało ci się ochronić siostrę – powiedziałem. – Twoja matka, gdziekolwiek teraz jest, musi być z ciebie ogromnie dumna. – Coś mi przyszło do głowy. – Na pewno jesteście bardzo głodni. – Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyjąłem torebkę orzeszków, które zostały mi po podróży pociągiem. – Proszę.

Chłopiec z wdzięcznością wziął orzeszki i zaczął się nimi dzielić z siostrą.

– Jak wylądowaliście na tym cyplu? – spytałem.

– Ukradliśmy łódź po drugiej stronie i zniosło nas tutaj – wyjaśnił, wkładając do ust garstkę orzeszków. – Wylądowaliśmy się ze swoimi rzeczami, a rano łódź sama odpłynęła.

Zrobiłem wielkie oczy.

– I utknęliście tu? To straszne.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– W pobliżu często przepływały łodzie, ale baliśmy się do nich machać, żeby nas nie zabrali z powrotem do obozu.

Potarłem oczy, myśląc o tym, jakie nieszczęście spadło na te dzieci.

– Jasne. A co jedliście?

Chłopiec wysypał sobie na dłoń resztkę orzeszków i większość oddał siostrze.

– Umiem łowić, ale nie złapałem wiele. Próbowaliśmy różnych jagód. Po jednych było nam okropnie niedobrze.

Wiedziałem, że muszę jak najszybciej zabrać tę dwójkę do świata cywilizacji. Wymagali opieki lekarskiej i ciepłych łóżek, żeby się wyspać.

– Wiem, że dopiero co się poznaliśmy – zacząłem ostrożnie – ale popłynęlibyście ze mną moją łódką? Wracam do miasta. Znam ludzi, którzy będą potrafili wam pomóc.

Chłopiec najeżył się.

– Skąd mamy wiedzieć, że możemy panu zaufać?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Masz rację, że pytasz – przyznałem w końcu. – Ale nie jestem w stanie dać ci satysfakcjonującej odpowiedzi. – Sfrustrowany ściągnąłem brwi. – Nie mam ze sobą gazety, nie potrafię więc dowieść, że wojna w Europie skończona. Ale mogę pokazać wam to.

Wyciągnąłem brytyjski paszport i dowód osobisty i podałem chłopcu.

– Brytyjczyk? – Cofnął się gwałtownie. – Myślałem, że jest pan Szwajcarem. Tak pan mówił.

– Och... – Przekląłem się w duchu. – Tak. Słuszna uwaga. Jesteś bardzo bystry. – Uśmiechnąłem się do niego nerwowo. – Mój ojciec był Szwajcarem. Tak naprawdę przyjechałem tu, by odziedziczyć spadek po

babce. – W głowie zapaliło mi się światełko. – Mam list od niej. Potrafisz czytać po francusku?

– Trochę – odparł chłopiec, mrużąc nieufnie oczy.

Podąłem mu list od Agathy.

– Proszę, przeczytaj – rzuciłem i usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na ziemi. – Jeśli potrzebujesz pomocy przy niektórych słowach, pytaj. – Uśmiechnąłem się.

Chłopiec odszedł jakieś dziesięć metrów i razem z siostrą przycupnęli naprzeciw mnie. Powoli przedzierał się przez treść listu. Po jakichś pięciu minutach wstał.

– Dobrze – powiedział. – Popłyniemy z panem.

– Naprawdę? – spytała brata Claudia, której mała buzia się rozpromieniła.

Skinął głową. A ja odetchnąłem z ulgą.

– To wspaniała wiadomość! – Poderwałem się na nogi. – Dziękuję, że mi zaufaliście. Zaniesiemy wasze rzeczy na łódź?

– Nie – powiedział chłopiec. – Możemy wszystko zostawić. – Wziął siostrę za rękę.

– Doskonale rozumiem – odparłem. – Ale skoro już się trochę zaznajomiliśmy, mogę mieć przyjemność poznać twoje imię?

Podniósł na mnie wzrok.

– Mam na imię Georg.

*

Pan Kohler był lekko zszokowany, gdy tego samego popołudnia pojawiłem się u niego jeszcze raz... zwłaszcza że wszedłem do jego biura w towarzystwie dwójki umorusanych, niedożywionych dzieciaków.

– Co się, na Boga, dzieje? – zapytał, o mało nie strącając z biurka filiżanki z herbatą.

Wyjaśniłem sytuację najzwyczajniej, jak to możliwe. To niesamowite, co potrafią zrobić pieniądze! Prawnik był w stanie załatwić jeszcze tego popołudnia lekarza, kogoś z opieki społecznej i nieograniczony dostęp do pożywnych posiłków. Za wszystko zapłaciła Agatha Tanit, a Kohler w tych dość niezwykłych okolicznościach chętnie użył części funduszy, przekonany, że jego zmarła klientka na pewno by to pochwałała.

– Co się z nimi stanie? – spytałem.

Prawnik nie mógł otrząsnąć się z szoku, czemu trudno było się dziwić.

– Kiedy tylko ustalimy dokładnie, kim są, sprawdzimy, czy są jacyś członkowie rodziny w Niemczech, do których można ich odesłać.

Uniosłem brew i popatrzyłem na niego pytająco.

– Sądzi pan, że to prawdopodobne?

Oparł głowę na dłoniach.

– Nie wiem. Ale jeśli te dzieci nie mają już nikogo z bliskich, szwajcarskie władze zapewnią im utrzymanie i miejsce w sierocińcu, a potem może ktoś ich adoptuje. To nieletni uchodźcy, więc ich droga do uzyskania obywatelstwa będzie stosunkowo prosta.

Usiadłem na skórzanym fotelu naprzeciw pana Kohlera.

– Wspomniał pan o sierocińcu... – zacząłem.

Skinął głową. Przypomniałem sobie Apprentis d’Auteuil. Skazywanie Georga i Claudii na takie życie po tym, co przeszli, wydawało się okrucieństwem. Uciekli przed śmiercią, tak jak ja. Pomyślałem o Boulogne-Billancourt. Co mówił monsieur Landowski?

Poza tym jestem pewien, że kiedyś sam będziesz w stanie pomagać innym. Będziesz musiał przejść ten przywilej.

Wiedziałem już, co zrobię.

– Chciałbym finansować te dzieci – oświadczyłem.

– Słucham?

– Georg i Claudia szukali schronienia na ziemi mojej babci... na mojej ziemi, więc chcę mieć pewność, że nie stanie się im krzywda. Stoję tu dziś przed panem jedynie dzięki dobroci obcych ludzi. Nie miałem w życiu wielu okazji, by pomagać innym, ale teraz moja sytuacja się zmieniła.

Kohler odchylił się na oparcie fotela i zastanowił nad moją deklaracją.

– To bardzo szlachetnie z pana strony, ale nie sądzę, by to mogło uchronić tych dwoje przed sierocińcem – powiedział. – Chyba że postanowi pan zabrać te dzieci ze sobą do Londynu?

Patrząc na wysoki sufit, rozważałem ten pomysł. Zabieranie ich ze sobą nie było bezpieczne, bo przecież Kreeg prawdopodobnie nadal mnie szukał.

– W tej chwili to niemożliwe – odparłem. – Ale, panie Kohler, za wszelką cenę chciałbym uniknąć umieszczenia tych dzieci w tego typu placówce. Stracili rodziców, świat im się zawalił. Potrzebują pociechy i poczucia bezpieczeństwa, a nie niepewności, która wypełnia serca dzieci w sierocińcu. Naprawdę nie potrafi pan wymyślić nic innego?

Prawnik postukał palcami w blat biurka.

– Hm... nie mogę nic obiecać – zastrzegł – ale ta para, która opiekowała się pana babką, może byłaby gotowa ich przygarnąć, jeśli pokryje pan koszty utrzymania.

– Naprawdę? – spytałem, nieco zaskoczony.

Skinął głową.

– Są bardzo wdzięczni, że pana babka zapisała im dom w mieście – wyjaśnił i nagle się roześmiał. – Musiałem się sporo nagimnastykować, żeby przekonać ich do przyjęcia tego daru. Zadzwońię do nich po południu.

Wstałem i uścisnąłem mu dłoń.

– Dziękuję, panie Kohler! Bardzo chętnie bym ich poznał, czekając na wynik pana rozmowy telefonicznej. Jak się nazywają?

– Hoffmanowie.

*

Timeo i Joelle Hoffmanowie byli uroczą skromną parą około sześćdziesiątki. Spotykałem się z nimi wielokrotnie podczas moich przyjazdów do Genewy. Z wielkim sentymentem wspominali dobroć mojej babki i naprawdę byli podekscytowani tym, że Eric Kohler zdołał wreszcie mnie zlokalizować. Przeczucie prawnika okazało się słuszne i małżeństwo z wielką chęcią zgodziło się powitać Georga i Claudię w swoim domu, który prezentował się imponująco i był utrzymany w nienagannym stanie.

– To byłby dla nas zaszczyt, panie Tanit! – oświadczyła uradowana Joelle. – Prawdę mówiąc, odkąd straciliśmy pana babcię, czuliśmy się trochę zagubieni, bezużyteczni.

Jej mąż skinął głową.

– To bez sensu, że tłuczemy się po ogromnym domu z czterema wolnymi sypialniami. Jest tu mnóstwo miejsca. Przynajmniej tyle będziemy mogli zrobić dla tych biednych dzieci po tym, co przeszły.

Byłem wzruszony bezwarunkową życzliwością tych ludzi.

– Mają państwo własne dzieci? – spytałem.

– Nie – odparła Joelle. Robiła wrażenie przybitej, podobnie jak jej mąż.
– Bóg nas nie pobłogosławił. – W wyrazie jej twarzy nagle pojawił się niepokój. – Ale naprawdę jesteśmy doświadczeni opiekunami i nigdy byśmy...

Uniosłem dłoń, by ją powstrzymać.

– Rozumiem. Nie jestem w stanie wyrazić, jak się cieszę, że chcecie przyjąć do siebie Georga i Claudię. Obiecujcie, że wszystkie wydatki, na jedzenie, ubrania, szkołę, cokolwiek... będziecie zgłaszać panu Kohlerowi. Upoważnię go do natychmiastowego pokrywania kosztów.

Podszedłem podać im dłoń, ale Joelle po prostu mnie uściskała.

Timeo zaśmiał się cicho.

– Proszę wybaczyć, panie Tanit. Moja żona chciałaby tylko wyrazić, jak bardzo pana babcia byłaby szczęśliwa, że stoi pan tu u niej, w salonie tego domu.

Joelle odsunęła się, żeby popatrzeć mi w oczy.

– Zamierza pan wrócić i zamieszkać w Szwajcarii? – spytała. – To cudowne miejsce do życia.

Uśmiechnąłem się do niej ciepło.

– Możliwe. Mam jednak jeszcze trochę spraw do załatwienia w Anglii, nim rozważę taką ewentualność. – Ruszyłem do drzwi. – Dawajcie znać panu Kohlerowi o postępach dzieci. Bardzo chciałbym wiedzieć, jak sobie radzą.

Resztę czasu w Szwajcarii spędziłem na podpisywaniu papierów, spotkaniach z dyrektorami banków i porządkowaniu różnych spraw z Kohlerem, który oficjalnie przestawał pracować dla mojej babki, a zaczynał dla mnie.

– Wyślę pana paszport i wszelkie inne dokumenty na adres księgarni Arthura Morstona – obiecał. – Koniecznie proszę mnie powiadomić, gdyby zmieniał pan miejsce zamieszkania. Nie chciałbym znów szukać pana przez piętnaście lat.

Roześmiał się i pokręcił głową, a ja zamknąłem ogromne czeczotkowe drzwi i wyszedłem z kancelarii.

Proces uzyskiwania szwajcarskich dokumentów okazał się tak powolny i żmudny, jak przewidywał Eric Kohler. Przyzwyczailem się już do jego comiesięcznych listów, w których opisywał, na jakim etapie utknęły moje wnioski, i dołączonych do tego niezliczonych nowych dokumentów do podpisania. I za każdym razem dostawałem pocieszające wieści o dzieciach z cypla. Oboje zaczęli chodzić do prywatnej szkoły polecanej przez pana Kohlera i Georg okazał się wyjątkowo zdolnym uczniem.

Na szczęście nie musiałem długo przekonywać Elle, że nasza przyszłość leży w Szwajcarii.

– Kiedy tylko będę miał oficjalne papiery, zaczniemy budowę bezpiecznej przystani dla nas dwojga – obiecałem jej. – Wyobraź to sobie! Nasz własny oddzielony od reszty świata raj.

Naprawdę rozpromieniła się na tę myśl.

– Och, Bo... To wydaje się za piękne, żeby mogło być prawdziwe! A kiedy będziesz miał obywatelstwo, pobierzemy się i będziemy małżeństwem otwarcie, oficjalnie. Już nie mogę się doczekać.

Wiedziałem, jak bardzo chce osiąść gdzieś na stałe. Staralem się przyspieszyć proces załatwiania obywatelstwa, ale na razie chciałem jej złożyć obietnicę. Z pozwoleniem Kohlera podjąłem trochę pieniędzy ze spadku i poszedłem do jubilera na Bond Street.

Choć obejrzałem mnóstwo pierścionków, żaden nie zrobił na mnie wrażenia. Jeszcze nigdy nie wydałem na nic tyle pieniędzy i miałem opory przed nabyciem czegoś, co mimo ceny było banalne. Chciałem, żeby ten pierścionek miał jakieś znaczenie. Po godzinie gapienia się i wpatrywania zmrużonymi oczami w biżuterię pod grubym szkłem spytałem, czy można zrobić coś na zamówienie.

– Za właściwą sumę wszystko jest możliwe – odparł jubiler.

Wiedziałem, że centralnym kamieniem powinien być brylant – odwieczny symbol siły miłości. Poprosiłem, by został osadzony w otoczeniu siedmiu kamyków, by nadać pierścionkowi wygląd błyszczącej gwiazdy.

– Doskonale. – Jubiler uśmiechnął się. – Pierścionek będzie dość duży, więc może chciałby pan wybrać do tego otaczającego wianuszka jakieś inne kamienie? Szafiry na przykład?

Pomyślałem chwilę, w pełni świadomy, że ten człowiek chce wyciągnąć ode mnie jak najwięcej pieniędzy, ale zależało mi, żeby pierścionek był absolutnie wyjątkowy.

– Jest jakiś kamień symbolizujący nadzieję? – spytałem.

Skinął głową.

– O tak, proszę pana. Szmaragdy. Tradycyjnie oznaczają romantyzm, odrodzenie... i płodność – dodał, unosząc brew.

Klasnąłem w dłonie.

– Idealnie!

Potrwało kilka miesięcy, nim pierścionek był gotowy, ale w końcu dostarczono go przez posłańca do księgarni.

Kiedy odpakowałem pudełeczko i zajrzałem do środka, oniemiałem z wrażenia.

Tego wieczoru zabrałem Elle na kolację do Albert Buildings w centrum. Miała na sobie turkusową sukienkę, przy której jej oczy robiły się jeszcze bardziej niebieskie. Kiedy popijaliśmy przy świecach wino Côtes du Rhône, opowiedziałem jej o przyszłości, jaką planowałem dla nas na brzegu Jeziora Genewskiego. Reszta sali odpłynęła gdzieś w dal, a ja upajałem się bliskością ukochanej.

– Myślę, że nadchodzi nasz czas, Elle. Nareszcie możemy zostawić za sobą przeszłość.

Posłała mi ten sam uśmiech, który zwałił mnie z nóg, kiedy byłem chłopcem w Paryżu.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała. – Bo ja prawie aż się boję marzyć.

Wziąłem ją za rękę.

– Doczekamy się swojego „i żyli długo i szczęśliwie”, zobaczysz. – Ostrożnie opuściłem się na jedno kolano i sięgnąłem wolną ręką do kieszeni marynarki. Odetchnąłem głęboko i popatrzyłem w jej błyszczące oczy. – Elle Leopine, jesteśmy sobie pisani, na zawsze. Ale nim nadejdzie dzień, kiedy będę mógł nazwać cię swoją żoną, przyjmij, proszę, ten pierścionek jako symbol tego, ile dla mnie znaczysz. – Wyciągnąłem pudełeczko i otworzyłem je. Zakryła usta dłonią.

– Och, Bo...

Delikatnie wsunąłem pierścionek na serdeczny palec jej lewej dłoni.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyjąkała. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Jest przepiękny.

– Siedem punkcików dla Siedmiu Sióstr, moich gwiazd przewodnich, które doprowadziły mnie do diamentu pośrodku wszechświata... do ciebie.

Kiedy Rupert i Louise Forbesowie wzięli ślub, Flora, jak obiecywała, przepisała na nich księgarnię Arthura Morstona. Na szczęście młoda para poprosiła mnie i Elle, żebyśmy nadal ją prowadzili. Byli zadowoleni z naszych wyników, a ich uwagę pochłaniał remont domu. A do tego Rupert najwyraźniej odgrywał coraz ważniejszą rolę w kontrwywiadzie. Choć pasjonował się literaturą, dobro kraju było u niego na pierwszym miejscu.

Pewnego styczniowego dnia w 1947 roku oparłem nogi na biurku i otworzyłem „Financial Timesa”. Wkrótce miałem zacząć zarządzać dużym kapitałem, więc starałem się być na bieżąco z tym, co działo się na rynku walutowym... nawet jeśli większości z tego zbyt dobrze nie rozumiałem. W gazecie przedstawiano podsumowanie roku 1946. Ogłaszano powstanie Banku Światowego – grupy pięciu organizacji międzynarodowych, utworzonych, by udzielać pożyczek krajom rozwijającym się. W pierwszym miesiącu działalności zaaprobowała ona dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów wsparcia na odbudowę powojenną Francji. Oczy zrobiły mi się okrągłe, kiedy przeczytałem przedostatni akapit artykułu:

Pierwszy prezes Banku Światowego, Eugene Meyer, jest znany w Stanach Zjednoczonych jako wydawca „Washington Post”. Dokłada miliony dolarów ze swoich pieniędzy, by utrzymać niedochodową gazetę, i stara się poprawić jej jakość w imię wspierania wolności słowa w dziennikarstwie. Można się więc zastanawiać, dlaczego pan Meyer został uznany za idealnego kandydata na prezesa WBG. Otóż pochodzi z rodziny, która od dawna angażuje się w działalność filantropijną. Jego siostra, Florence Meyer-Blumenthal, zasłynęła jako założycielka francusko-amerykańskiej organizacji Blumenthal Foundation, do tej pory

przyznającej Prix Blumenthal – stypendia dla wybitnych młodych artystów.

Zerwałem się i pobiegłem na górę pokazać artykuł Elle.

Zaskoczona roześmiała się.

– O Boże! Od tak dawna nie słyszałam nic o Florence Blumenthal.

– Ja też. Dziwne, co? Tyle jej zawdzięczamy. Chciałbym mieć możliwość podziękować jej za wszystko, co dla nas zrobiła. – Usiadłem na wytartej kanapie, której Elle starała się dodać urody narzutą zrobioną własnoręcznie na drutach.

– Wiem, Bo. Ale Florence zmarła na długo przed tym, jak otrzymaliśmy Prix Blumenthal.

– Tym bardziej mnie to boli.

Przysiadła przy mnie na kanapie.

– A co z Eugene’em Meyerem? – spytała. – Moglibyśmy napisać do niego i opowiedzieć mu, jak bardzo jego siostra odmieniła nasze życie.

Westchnąłem.

– Mam wrażenie, że prezes Banku Światowego raczej nie dostałby do rąk naszego listu.

Elle skinęła głową i zastanowiła się przez chwilę.

– No dobrze – rzuciła w końcu. – To pojedźmy się z nim zobaczyć.

– Co?

– A czemu nie? Wojna się skończyła. Co mamy do stracenia? Poza tym – uśmiechnęła się – zawsze chciałam pojechać do Stanów Zjednoczonych.

Roześmiałem się. Pomysł, by wybrać się swobodnie do innego kraju, bez presji, że musimy uciekać, nadal był dla mnie czymś nowym.

– Przyjemna myśl, Elle. Ale wątpię, czy pan Meyer zgodziłby się z nami spotkać.

Klepnęła mnie po udzie.

– Czy nie od tego masz swojego ambitnego szwajcarskiego prawnika? Nie mógłbyś poprosić go, żeby napisał do biura pana Meyera?

– Och, ja... – Na dole zadzwieczał dzwoneczek, dając znać o wejściu klienta.

– Pomyśl o tym! – rzuciła ze śmiechem, kiedy wstałem i ruszyłem do drzwi.

Kohlerowi zajęło niecały tydzień uzyskanie odpowiedzi od osobistej sekretarki Eugene'a Meyera. Napisała prawnikowi, że jej pracodawca uwielbiał zmarłą siostrę i jest skłonny wyznaczyć nam termin na krótkie spotkanie. Nie trzeba dodawać, że jest niezwykle zajęty. Za tydzień będzie w Nowym Jorku. Czy moglibyśmy wtedy przyjechać?

Podziękowałem Kohlerowi i odłożyłem słuchawkę.

– Wygląda na to, że to może być za tydzień albo nigdy – oznajmiłem Elle, która czekała niecierpliwie na wieści.

– Mówiłam ci, że twój prawnik wszystko załatwi! Pakuję rzeczy! – pisnęła rozemocjonowana.

– Czekaj... – Roześmiałem się. – Jesteś pewna, że możemy tak z miejsca wyjechać? A kto będzie pilnował sklepu?

Elle przewróciła oczami.

– Bo, od dziesięciu lat nie wzięliśmy dnia wolnego. Zadzwoń do Louise. Obiecuję ci, że nie będzie problemu. – Podbiegła, złapała za moją koszulę i cmoknęła mnie lekko w nos. – Jedziemy na urlop! Prawdziwe wakacje!

Dwa dni później przekraczaliśmy Atlantyk na *Queen Mary*.

Choć nasza kajuta w drugiej klasie była bardzo wygodna, podobnie jak salony statku, większość czasu spędzałem na pokładzie widokowym. Coś w pustej przestrzeni oceanu działało na mnie kojąco. Pomagało mi

uporządkować myśli. Przypominało to ustawianie książek na półkach po zamknięciu księgarni, kiedy ostatni klienci już wyszli, tylko że teraz wprowadzałem ład w swojej głowie.

Elle była w euforii. Serce mi rosło, kiedy widziałem, jak cieszy się wszystkim w tej podróży, czy to była świeżo zaparzona kawa podawana do śniadania, czy występy solisty jazzowego wieczorem. W środę rano, po czterech dniach na oceanie, zameldowaliśmy się w hotelu Winter Quay na Manhattanie. Młody człowiek w czerwonej czapce i marynarce zabrał nas windą do pokoju na dwudziestym piętrze i z dumą pokazał imponujący widok na drapacze chmur. Bez wstydu przyznam, że zakręciło mi się od niego w głowie i musiałem przysiąc na łóżku. Kiedy mężczyzna wniósł nasze bagaże, uśmiechnął się szeroko i stanął wyczekująco przy drzwiach. Kohler przygotował mnie na ten osobliwy amerykański zwyczaj dawania napiwków i postarał się, żebym miał pod ręką plik banknotów dolarowych. Wyjąłem jeden i podałem portierowi. Zasalutował mi.

– Dziękuję panu. Miłego pobytu.

– Czuję się tak, jakbyśmy byli na szczycie świata! – powiedziała Elle, przyciskając twarz do szyby i przyglądając się oszalamiającemu widokowi za oknem.

– Ja też. Tylko nie jestem pewien, czy mój żołądek to wytrzyma... A teraz muszę pójść do lobby i zadzwonić do pana Meyera. Nie zapominaj, że dziś wieczorem wyjeżdża.

– Dobrze, kochanie. Rozpakuję walizkę.

Dotarłem do uderzająco sterylnej białego lobby i podszedłem do jednej z drewnianych budek telefonicznych obok recepcji. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem karteczkę z namiarami od Kohlera. Potem wrzuciłem ćwierćdolarówkę do automatu i wykręciłem numer.

– Halo? – usłyszałem szorstki męski głos z amerykańskim akcentem.

– Pan Meyer? Mówi Bo D’Aplièse.

Na dźwięk mojego nazwiska wyraźnie się odprężył.

– Bo! To ty jesteś tym facetem, który znał moją siostrę, tak?

– Tak – odparłem, nim sprostowałem jego słowa. – Właściwie nie całkiem. Nie wiem, czy panu wyjaśniono, ale byłem jednym z młodych ludzi, którzy otrzymali Prix Blumenthal od pana siostry.

Usłyszałem, jak mocno wydmuchuje powietrze. Domyśliłem się, że pali.

– To wspaniale, wspaniale. Słuchaj, żebyśmy obaj oszczędzili sobie czasu: nie ma już więcej funduszy dla wcześniejszych stypendystów. Mam nadzieję, że moi ludzie wyjaśnili to już twojemu prawnikowi.

Zmieszałem się.

– Mój Boże, to nieporozumienie... Ja tylko chciałem panu podziękować.

– Podziękować mi? – prychnął. – Chłopie, ja dla ciebie nic nie zrobiłem.

– Nie, ale pana siostra tak. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo mi pomogła. Miałem nadzieję, że będę mógł osobiście jej to powiedzieć.

Eugene Meyer westchnął.

– Przykro mi, ale spóźniłeś się o ponad dziesięć lat, chłopcze.

– Wiem. Bardzo współczuję straty. W żadnym wypadku nie przyjechałem tu po pieniądze. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo pana siostra, nic o tym nie wiedząc, odmieniła moje życie.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem Meyer się roześmiał.

– Coś takiego! Kto by pomyślał, że Brytyjczycy są tacy uprzejmi!

– Tak naprawdę nie jestem Brytyjczykiem.

– Patrzcie, już zaczynamy się trochę poznawać! – Przerwał, by się zaciągnąć. – I chcesz się spotkać? Właśnie wychodzę z hotelu. Muszę być w pewnym miejscu w związku z artykułem, nad którym pracuję.

– Byłoby cudownie się zobaczyć – podkreśliłem.

– Świetnie. Jadę na Zachodnią Sto Trzydziestą Ósmą Ulicę, numer sto trzydzieści dwa. Spotkajmy się tam za pół godziny.

Ten adres nic mi nie mówił.

– W jakiej to okolicy?

– To Harlem, chłopcze. Słuchaj, po prostu podaj ten adres taksówkarzowi. Jest tam taka knajpka przy kościele. Niech cię do niej podwiezie.

– Świetnie. Moja żona i ja zaraz przyjedziemy. Do zobaczenia.

Zakaszłał.

– Zaraz, zaraz, hola. Żona? Nic nie wspominałeś o żonie.

– Przepraszam, powinienem był uprzedzić. Ona też dostała Prix Blumenthal. Tak jak ja bardzo chciałyby podziękować.

Meyer pocmokał sceptycznie.

– No, jak sobie chcesz, chłopcze, ale dziś na ulicach może się zrobić gorąco. Bezpieczniej byłoby jej ze sobą nie zabierać. No to do zobaczenia.

Meyer odłożył słuchawkę.

Wróciłem do pokoju lekko skołowany i zdałem Elle relację z rozmowy. Z początku okropnie się zmartwiła, ale udało mi się ją pocieszyć, bo obiecałem, że potem wybierzemy się do Empire State Building.

– Jak sądzisz, co ma na myśli przez to, że na ulicach może być niebezpiecznie? – spytała.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Ale muszę ruszać. Ostatnie, czego chcę, to minąć się z nim.

Pocałowałem ją i pobiegłem. Portier wezwał mi żółtą taksówkę, a ja poprosiłem kierowcę, żeby zawiózł mnie na Zachodnią Sto Trzydziestą Ósmą Ulicę, numer sto trzydzieści dwa.

Taksówkarz obrócił się do mnie.

– Jest pan pewien? – zapytał.

– Taki adres mi podano – potwierdziłem.

Wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy.

Kiedy ruszyliśmy w kierunku Harlemu, zauważyłem, że z każdym kilometrem błyszczących ogromnych wieżowców typowych dla centrum jest mniej.

– Mogę spytać, co pana sprowadza do tej części miasta, kolego? – spytał kierowca.

– Mam się tam z kimś spotkać – odparłem.

– Aha. Domyślam się, że nie jest pan stąd. Pierwszy raz w Nowym Jorku?

– Owszem, tak.

Zaśmiał się.

– Tak myślałem. Nie spotyka się wielu nietutejszych, którzy mieliby ochotę wybrać się do Harlemu.

– Dlaczego?

– O, wie pan, większość turystów chce zobaczyć Statuę Wolności, Central Park i Metropolitan Museum. Nie marzy im się oglądanie prawdziwej Ameryki.

Okolice, w jakie się zapuszczaliśmy, wydawały się, najdelikatniej mówiąc, zaniedbane. Błyszczące szkło i neony Midtown zostały zastąpione oknami zabitymi deskami, rdzewiejącymi szyldami i kubłami

z przelewającymi się śmieciami. Taksówka jechała ulicą o nazwie Lenox Avenue. Twarze mijanych przechodniów były tu w większości czarne. Patrzyłem ze współczuciem na dzieci siedzące na schodach przy rozpadających się domach, z których wiele nie wyglądało na nadające się do zamieszkania.

Wreszcie samochód zbliżył się do imponującego gotyckiego budynku z tabliczką: *Abisyński Kościół Baptystów*. W pobliżu ustawiano właśnie prowizoryczne podium z mikrofonem. Zauważyłem, że kręci się tu wielu policjantów. Przechadzali się z groźnymi minami i skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

– Jesteśmy na miejscu. Zachodnia Sto Trzydziesta Ósma, numer sto trzydzieści dwa, kolego – oznajmił kierowca.

– Dziękuję. – Rozejrzałem się. – Mówiono mi, że gdzieś przy kościele jest knajpka.

– Pewnie chodzi o Double R. – Obrócił się i pokazał za moją głowę. – To tam.

– Świetnie. Ile jestem winien?

– Trzy dolary i dwadzieścia centów. Niech pan tu dziś uważa. Słyszałem, że może być gorąco.

– Ooo... dziękuję raz jeszcze. – Zapłaciłem i wysiadłem z taksówki, nie całkiem pewien, co kierowca czy Eugene Meyer mieli na myśli.

Kiedy szedłem Lenox Avenue do Double R, na ulicy robił się większy ruch. Zaczynały się zbierać grupki ludzi z czymś, co wyglądało na transparenty.

Stary podświetlony szyld knajpy bzyczał i migał, a futryna była spaczona i zmurszała. Musiałem popchnąć mocniej drzwi, żeby wejść. Nie byłem specjalnie zaskoczony, że w środku było jeszcze bardziej obskurnie niż na zewnątrz. W powietrzu wisiały gęste opary papierosowego dymu.

Powachlowałem się dłonią, żeby cokolwiek widzieć. Parę metrów przede mną siedział dobrze ubrany mężczyzna w prążkowanym garniturze. Miał czerwone szelki i krawat z dzianiny. Zauważyłem, że to jedyna biała twarz w tym przybytku.

– Pan Meyer? – spytałem, podchodząc do niego.

Uniósł wzrok i popatrzył na mnie przez okrągłe okulary.

– Bo D’Aplièse, prawda?

– Tak jest, proszę pana – odparłem.

– Niezłe nazwisko! – zawołał, ściskając mocno moją dłoń i potrząsając nią. – Siadaj. Wygląda na to, że nie mamy dużo czasu.

– Przepraszam, panie Meyer. Nie całkiem rozumiem, co ma pan na myśli.

Łyknął kawy.

– Mów do mnie Eugene, proszę. Pan Meyer to był mój ojciec. I w dodatku to brzmi trochę jak pan Mayor*... a ten będzie tu lada chwila.

– Dobrze, Eugene... – Naprawdę byłem zmieszany. – Mówisz, że przyjdzie burmistrz? Do restauracji?

Eugene Meyer popatrzył na mnie zszokowany.

– Bez obrazy, chłopcze, ale czy moja siostra rozdawała pieniądze jakimś głupkom? Nie. Burmistrz O’Dwyer za jakieś piętnaście minut pojawi się na tamtym podium. – Wskazał w kierunku kościoła. – Muszę tam być, kiedy zacznie przemawiać. Jestem w Nowym Jorku dla „Washington Post”. Osobiście zainteresowałem się tym, co się tu dzieje.

Spojrzałem mu w oczy.

– Wybacz moją ignorancję, ale o co chodzi? – spytałem.

– Czarni obywatele są zamknięci w getcie Harlemu. Widziałeś, w jakim stanie są tu domy? Cholerna beznadzieja. I to potworne przeludnienie, nie

wspominając o brutalności policji, z którą mają do czynienia ci ludzie. Gliny traktują ich, swoich bliźnich, jak zwierzęta.

Dodałem dwa do dwóch.

– A więc będzie tu dziś demonstracja?

Strzelił palcami i pokazał na mnie.

– Załapałeś. Będzie przemawiał burmistrz O’Dwyer. Według mnie w porządku facet. Złożył tej społeczności obietnice i my w „Washington Post” chcemy się upewnić, że ich dotrzyma.

– Mogę zapytać, dlaczego jest pan osobiście zainteresowany tą historią?

Westchnął i skinął głową.

– Tak. Jestem Żydem. Widziałem, co naziści zrobili z moim narodem w Europie. Trzeba dopilnować, żebyśmy nie dopuścili się czegoś podobnego wobec Afroamerykanów.

– Oczywiście – wybąkałem zawstydzony, że tak mało wiem o tutejszej sytuacji.

Meyer zapalił się do tematu.

– Cholerni dzielni Amerykanie pospieszyli na ratunek na inny kontynent, ale ani przez chwilę nie zastanawiali się, jak traktują własnych obywateli... To kpiny. – Potarł twarz. – W każdym razie masz czas, póki nie przyjedzie O’Dwyer. Opowiedz mi swoją historię. – Wyciągnął cygaro z kieszeni, przyciął końcówkę i zapalił je.

Desperacko robiłem, co w mojej mocy, by wyjaśnić mu znaczenie wkładu jego siostry w moje życie i oczywiście w życie Elle. Muszę przyznać, że słuchał uważnie, pykając cygarem, gdy opowiadałem mu to, co mi się przydarzyło.

– Wiesz, chłopcze – odezwał się, kiedy skończyłem – Flo chyba wspominała mi o tobie przed śmiercią. O chłopaczku, który nie mówił.

– Tak, to ja.

– I patrzcie, teraz śpiewasz jak kanarek! To cud!

– Chciałem tylko wytłumaczyć, że twoja siostra naprawdę ocaliła mi życie. I życie mojej... żony.

Klepnął mnie po ramieniu.

– Rozumiem. Słuchaj, naprawdę doceniam, że przyjechałeś z tak daleka, by mi to osobiście powiedzieć. Florence na pewno byłaby dumna. – Zaciągnął się głęboko. – Wiesz, zachowała panięskie nazwisko, kiedy wyszła za George'a. Była Florence Meyer-Blumenthal. Trochę żałuję, że nagroda nie nazywała się Prix Meyer-Blumenthal.

Wzruszył ramionami. Nagle na zewnątrz rozległy się głośnie wiwaty. Kilkoro klientów wstało, zbierając się do wyjścia.

– Na mnie czas, chłopcze. Muszę iść. Ale słuchaj, gdybyś był kiedyś w Waszyngtonie, zadzwoń do mojej sekretarki. Może skoczymy gdzieś na kawę i opowiesz mi więcej. – Sięgnął do kieszeni i położył na stoliku dwie ćwierćdolarówki. – Może napiszemy o tobie artykuł?

– Nie jestem pewien...

– Tak, masz rację – przerwał mi. – I tak nikt by nie uwierzył w twoją historię. – Uśmiechnął się do mnie i mrugnął, nim ruszył do drzwi.

Siedząc samotnie w boksie na kanapie obitej czerwoną skórą, wątpiłem, bym jeszcze kiedyś zobaczył Eugene'a Meyera. Spotkanie z nim nie przyniosło mi katharsis, jakiego pragnąłem. Podobnie jak jego siostra, najwyraźniej był wrażliwy na krzywdę społeczną i w tej chwili był skupiony głównie na demonstracji.

Usłyszałem kolejną falę okrzyków i wstałem, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kiedy wyszedłem z lokalu, byłem zaszokowany tym, że przez te dwadzieścia minut, które spędziłem z Meyerem, tłum zgęstniał tak, jakby ludzi było z dziesięć razy więcej. Znalazłem się wśród morza

protestujących. Wielu z nich wymachiwało ręcznie wypisanymi transparentami, na których były hasła: RÓWNE PRAWA! i MIESZKANIA DLA WSZYSTKICH! Od strony podium dobiegł mnie głos z irlandzkim akcentem, wzmocniony przez mikrofon. Zacząłem przeciskać się bliżej, żeby zobaczyć burmistrza O'Dwyera.

– Harleemie! To zaszczyt być tutaj! – zawołał, a zebrani wiwatowali, zelektryzowani jego obecnością.

Kiedy O'Dwyer mówił o reformach mieszkaniowych i lepszym dofinansowaniu szkół, protestujący zaczęli napierać naprzód i znalazłem się w strasznym ścisku. Burmistrz skończył i został nagrodzony owacjami. Przy mikrofonie natychmiast zastąpił go policjant i zaczął wzywać zebranych do rozejścia się. Atmosfera niemal od razu się zmieniła. W powietrzu wisiało napięcie. Zauważyłem, że mundurowi zaczynają otaczać tłum. W naciągniętych na oczy granatowych czapkach, wywijający pałkami, wyglądali groźnie.

Usłyszałem, jak kobieta blisko sceny krzyczy do jednego z funkcjonariuszy: „MORDERCY!”. Potem obróciła się twarzą do tłumy.

– Oni zaatakowali Roberta Bandy'ego! – zawołała. – Zastrzelili go, choć był nieuzbrojony i tylko próbował ratować życie kobiety. Przekłete świnię!

Przez tłum przebiegła fala gniewu. Głos płynący z megafonu utonął we wściekłych okrzykach. Masa protestujących była coraz bardziej wzburzona. Gdy odwróciłem się od sceny, by szukać drogi ucieczki, mój wzrok padł na młodego człowieka, który osłaniał się przed uzbrojonym w pałkę policjantem. Nie wiedziałem, co zrobić, żeby wywołać taką reakcję, ale funkcjonariusz był rozsierzony, uniósł pałkę nad głowę i uderzył. Tekturowy transparent nie zapewniał dobrej ochrony. Zaatakowany mężczyzna padł na brudną ziemię i próbował zasłonić głowę przed

kolejnymi ciosami. Ci, którzy byli świadkami tej sceny, zaczęli panikować. Próbowali się wydostać, przepychali się. W bocznej ulicy ukazała się policja konna.

Jeźdźcy w kilka sekund natarli z pełną siłą. Serce mi waliło, kiedy próbowałem wyrwać się z tłumu. Niektórzy otwarcie ścierali się z policjantami. Od łomotu pałek uderzających w ludzkie ciała robiło się niedobrze.

Schyliłem głowę i starałem się przecisnąć przez napierające z każdej strony gromady ludzi. Jakaś para przede mną zachwiała się. Po kilku krokach zorientowałem się, że potknęli się o kogoś, kto upadł wśród tego chaosu. Zszokowany zobaczyłem, że to drobna biała kobieta.

– Może pani iść?! – krzyknąłem.

– Moja kostka – jęknęła, krzywiąc się.

Wyraźnie ją bolało.

– Proszę dać rękę – powiedziałem, chwyciłem ją mocno i pociągnąłem, żeby wstała. Objąłem ją ramieniem i zaczęliśmy się przebijać przez tłum.

– Mój szofer... czeka na mnie na Lenox, tam, na końcu ulicy – wysapała.

Jej amerykański akcent był ledwie wyczuwalny.

– No to szybko, zbierajmy się stąd – rzuciłem. – Wygląda na to, że zaraz robi się jeszcze gorzej.

Wokół nas dochodziło do potyczek. Demonstranci zwarli szeregi i podjęli walkę z policją. Kiedy dotarliśmy do skrzyżowania, kobieta wskazała na imponująco wyglądającego chryslera.

– Jest Archer! – zawołała, przekrzykując wrzawę.

Mając przed oczami cel, porwałem ją na ręce i pobiegłem do auta. Szarpnąłem drzwi.

– Panienko Cecily! Dzięki Bogu, jest panienka cała! – Szofer uruchomił silnik. – Jedźmy!

Upewniłem się, że kobieta siedzi bezpiecznie na tylnym siedzeniu.

– Proszę na siebie uważać – powiedziałem.

Ale nim zdążyłem zatrzasnąć drzwi, zauważyłem dwóch policjantów z pałkami, biegnących w kierunku samochodu. Przygotowałem się do ucieczki.

– Archer, czekaj! – zawołała kobieta. – Niech pan wsiada, już! – Wciągnęła mnie do środka. – Jedź, Archer! Jedź, jedź, jedź!

Szofer wcisnął gaz i samochód natychmiast ruszył. Kiedy wyrwaliśmy się z koszmaru, który rozgrywał się za nami, wszyscy troje odetchnęliśmy z ulgą.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za pomoc... – zaczęła kobieta.

– Drobiazg – odparłem. – To ja powinienem pani podziękować.

Odchyliłem się na oparcie siedzenia, żeby pozwolić wyparować z ciała panice i się odprężyć.

– Możemy pana dokądś podwieźć? – spytała kobieta. – Gdzie pan mieszka?

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc robić kłopotu obcej osobie.

– Gdyby podrzucili mnie państwo do najbliższej stacji metra...

– Właśnie dojeżdżamy do stacji przy Sto Dziesiątej – wtrącił szofer.

– To mi doskonale pasuje – rzuciłem.

Zatrzymał samochód.

– Mogę przynajmniej wiedzieć, jak się pan nazywa? – spytała Cecily.

Wahałem się przez moment, po czym sięgnąłem do kieszeni i podałem jej wizytówkę z adresem księgarni Arthura Morstona. Skinąłem głową,

wysiadłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

*

Popołudniowa wycieczka do Empire State Building została odłożona, żebym mógł ochłonać po przygodzie w Harlemie.

– Cieszę się tylko, że ciebie tam nie było, Elle. Nie jestem pewien, czy zdołałbym cię ochronić.

– Och, Bo. Nie do wiary. To miały być wakacje, a tobie udało się od razu trafić na tak niebezpieczną sytuację. – Delikatnie pogładziła mnie po włosach. – Ale spróbujmy zapomnieć o rozczarowaniu Eugene'em Meyerem i tej demonstracji. Nacieszmy się tym tygodniem wolnego. To piękne, że jesteśmy tu razem.

Następne pięć dni spędziliśmy z Elle na zwiedzaniu Wielkiego Jabłka. To było niezwykle miasto, pulsujące energią, dające mieszkańcom poczucie, że znajdują się w samym środku świata. Nowy Jork miał najwyższe budynki, największe centra handlowe i największe talerze jedzenia, jakie w życiu widziałem. Po latach brytyjskiego racjonowania żywności oczy mi wychodziły z orbit na widok rozmiarów burgerów i gór frytek, które nam podawano w restauracjach.

Chyba najbardziej spodobał mi się w tym mieście optymizm jego mieszkańców. Tak niedawno dotknął ich wielki kryzys, walczyli w drugiej wojnie światowej, a mimo to niemal wszyscy, których spotkaliśmy, tryskali radosną wiarą w jutro – i to było cudowne.

Dzień przed powrotem *Queen Mary* zadzwonił telefon w naszym pokoju.

Odebrała Elle.

– Halo? Tak, chwileczkę. – Wzruszyła ramionami i podała mi słuchawkę.

– Pan Tanit? – usłyszałem brzącający jakby trochę znajomo głos po angielsku.

– Przy telefonie – odparłem.

– Och, cudownie! Tak się cieszę, że wreszcie zdołałam pana wytropić. Obdzwoniłam chyba wszystkie hotele na Manhattanie.

– Przepraszam, a kto mówi?

Po drugiej stronie linii słychać było chichot.

– Proszę wybaczyć. Tu Cecily Huntley-Morgan. Ta głupia kobieta, którą ratował pan niedawno w Harlemie podczas demonstracji w obronie praw obywatelskich.

– O, witam! – odparłem, trochę zdziwiony. – Jak się pani miewa?

– Mam siniec i lekko spuchniętą kostkę, ale czuję się o wiele lepiej teraz, kiedy pana znalazłam! Na pana wizytówce był adres księgarni w Londynie, ale chciałam panu podziękować osobiście za ratunek. Dzwoniłam więc do hoteli i pytałam, czy zatrzymał się u nich pan Tanit.

Teraz to ja się roześmiałem.

– To bardzo miło z pani strony, Cecily, ale zrobiłem tylko to, co zrobiłby każdy na moim miejscu. Cieszę się, że nic się pani nie stało.

– To nieprawda, że zrobił pan tylko to, co każdy by zrobił. Ludzie po mnie deptali. A pan zobaczył człowieka w potrzebie i zatrzymał się. Jestem pana dłużniczką i chciałabym zaprosić pana na lunch.

Miała tak ciepły głos, że poczułem się swobodnie, ale nie chciałem sprawiać jej kłopotu.

– Naprawdę nie ma potrzeby. Bardzo mi miło jednak, że pani o tym pomyślała.

– Przepraszam, ale nie przyjmuję odmowy. Co by pan powiedział na dziś po południu w Waldorfie?

– Hm...

– Czy to pana żona odebrała telefon?

– Tak.

– Wspaniale! Zamówię stół dla trzech osób. Do zobaczenia o pierwszej.

Zanim miałem szansę odpowiedzieć, odłożyła słuchawkę. Potwierdziłem Elle, że to ta pani, którą w zeszłym tygodniu podniosłem z ziemi i wsadziłem do samochodu. Elle, zdecydowana poznać miasto, była podekscytowana zaproszeniem.

– Dlaczego mielibyśmy nie pójść? Lunch w tak słynnym hotelu z kimś, kto mieszka w Nowym Jorku? Cudownie!

Trudno było się z nią spierać, więc ubraliśmy się w najelegantsze stroje, jakie ośmieliliśmy się tu przywieźć w walizce, i przed pierwszą znaleźliśmy się przed smukłą środkową wieżą hotelu Waldorf. Poszliśmy do sali restauracji – ogromnej, ze skrzącym się żyrandolem wartym pewnie więcej niż wszystkie książki w księgarni Arthura Morstona razem wzięte. Ułożone w fale blond włosy Cecily wyróżniały ją spośród gości; rozpoznałem ją natychmiast. Wziąłem Elle za rękę i poprowadziłem ją do stolika.

– Cecily? – spytałem.

– Pan Tanit! Witam! – Wstała i mocno uścisnęła mi dłoń, nim spojrzała na Elle. – Pani Tanit, prawda? Pani mąż uratował mi życie.

Roześmiałem się.

– Och, nie przesadzajmy.

– Nie sędę, że przesadzam. W przerażeniu ludzie tracą rozum – powiedziała Cecily całkiem poważnie. – Proszę spojrzeć! – Sięgnęła po coś do torby. Wyjęła moją wizytówkę i pokazała. – Nawet napisałam tu: *Dobry człowiek!* – Zaśmiała się. – Będę ją zawsze nosić przy sobie, na szczęście. – Mrugnęła do mnie. – Proszę, niech państwo usiądą.

Wskazała na dwa obite czerwonym aksamitem krzesła.

– Zamówmy szampana! Kelner...

Lunch z Cecily Huntley-Morgan upłynął w uroczej atmosferze. Opowiedziała nam wszystko o swoim życiu – zerwanych zaręczynach, podróży do Kenii z matką chrzestną, Kiki Preston, i wreszcie o małżeństwie z hodowcą bydła Billem.

– Był pan na demonstracji, panie Tanit. A więc sympatyzuje pan z ruchem zwalczającym obrzydliwe uprzedzenia rasowe, które są plagą w tym kraju.

Nie wyjawilem jej, że moja obecność tam była całkowicie przypadkowa.

– Nie musi mi pan nic mówić.

Pociągnęła łyk Veuve Clicquot, który uparła się zamówić dla wszystkich.

– Kiedy mieszkałam w Kenii, młoda masajska księżniczka o imieniu Njala urodziła na naszej ziemi córeczkę. Porzuciła ją, więc ją przygarnęłam. Nazwałam niemowlę Stella. Przyjechałam do Nowego Jorku z nią i służącą Lankenuą. Moja rodzina sądzi, że to matka dziecka, choć to przecież ja nią jestem.

– Na pewno jest pani niewiarygodnie ciężko – odezwała się ze współczuciem Elle.

Cecily wzruszyła ramionami.

– To konieczność. Towarzystwo byłoby oburzone. Budziłybyśmy zgorszenie. Ja przyjąłabym to bez wahania, ale Stella... Jej i tak jest bardzo trudno jako czarnej dziewczynce. Dla jej dobra lepiej tak to przedstawiać.

– Zrobiła pani coś niezwykłego, Cecily. – Uśmiechnąłem się do niej ze szczerym podziwem. – Kto wie, co by się stało z tą dziewczynką bez pani. To piękne, że okazała jej pani tyle serca.

– Jak to pan wcześniej ujął, zrobiłam tylko to, co zrobiłby każdy na moim miejscu.

– I jak mi pani na to odpowiedziała? „To nieprawda”.

Cecily roześmiała się i uniosła wąski kieliszek.

– W takim razie wypijmy za dobroć.

Elle i ja opowiedzieliśmy jej o naszym życiu w Wielkiej Brytanii, pracy dla Vaughanów – najpierw w High Weald, a potem w księgarni Arthura Morstona. Gdy spytała o francuski akcent Elle, powtórzyliśmy wersję, że oboje uciekliśmy z Paryża przed groźbą niemieckiej okupacji.

– Ale ostatnio szczęście się do nas uśmiechnęło – powiedziała Elle. – Robert odziedziczył kawałek ziemi nad Jeziorem Genewskim w Szwajcarii. Mamy nadzieję się tam przeprowadzić, kiedy tylko będzie to możliwe.

– Cudownie! – Cecily ucieszyła się. – Kontakt z przyrodą jest taki ważny, prawda? Wyobrażam sobie, że spokój nad jeziorem to właśnie to, czego wam trzeba po tym wszystkim, przez co przeszliście.

Po pysznej szarlotce na deser nadszedł czas się pożegnać.

– Dziękuję bardzo za lunch, Cecily – powiedziałem, ściskając jej dłoń.
– To był bardzo miły gest z pani strony.

– Naprawdę nie ma za co – odparła. – Tak się cieszę, że zdołałam pana odszukać, zanim wróciliście do Anglii. Ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zachowam pana wizytówkę. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie się potrzebowało anioła stróża.

* *Mayor* (ang.) – burmistrz.

36

Anglia

1949

Moje przypadkowe pojawienie się w samym środku nowojorskich rozruchów było ostatnim pechowym zdarzeniem, jakie mnie dotknęło, nim na dłuższy czas zapanował spokój. Na początku 1949 roku Kohler poinformował mnie, że formalności dotyczące załatwienia szwajcarskiego obywatelstwa dobiegają końca. A w księgarni mieliśmy rekordowe wyniki sprzedaży. Po tylu latach nareszcie czułem, że moje ramiona nie są już tak spięte.

Oddychałem swobodniej.

Lepiej spałem.

Możliwe też, że pomogło mi się odprężyć coś całkiem innego: Kreeg Eszu przepadł bez wieści. Od tamtej potwornej nocy w Lipsku już się nie pokazał. Pozwoliłem sobie wierzyć, że zginął podczas wojny jak wielu innych żołnierzy.

I wtedy go zobaczyłem.

To był zimny dzień w Londynie. Rupert i Louise Forbesowie byli właśnie w mieście i wpadli do sklepu nas odwiedzić. Jak zwykle miło nam było się z nimi spotkać. Ucieszyłem się bardzo z wiadomości, że Flora jest w dobrej formie, choć Teddy i jego nowa żona, Amerykanka irlandzkiego pochodzenia, doprowadzali High Weald do ruiny.

Forbesowie przyjechali ze swoim małym synem, energicznym jak żywe srebro Laurence'em. Elle nie mogła się nim nazachwycać. Kiedy chłopczyk zasnął, zaczęła z dumą pokazywać Rupertowi i Louise sprowadzone ostatnio książki, a ja wróciłem do biurka, żeby przejrzeć rachunki. Zastanawiając się nad jakimś obliczeniem, zapatrzyłem się w wielkie okno wystawowe, za którym widać było Kensington Church Street. W tym momencie w zasięgu wzroku pojawiła się wysoka sylwetka w wełnianym płaszczu i filcowym kapeluszu. Mężczyzna palił papierosa. Obserwowałem, jak mijająca go młoda kobieta ogląda się, by go ofuknąć – najwyraźniej rzucił pod jej adresem jakąś nieprzyzwoitą uwagę – lecz on tylko się zaśmiał. Kiedy rechocząc, odchylił głowę do tyłu, zobaczyłem jego twarz. Zmroziło mi krew w żyłach.

– Elle! – krzyknąłem.

Gdy ona i Forbesowie do mnie dołączyli, wskazałem za okno. Elle spojrzała w tym kierunku i natychmiast pobiegła wyłączyć światło.

– Coś się stało, stary? – zapytał Rupert.

A ja nie mogłem zrobić nic innego, jak paść na podłogę, poniżej linii okna wystawowego.

– Dobry Boże, co się dzieje?

– Czegoś się przestraszyłeś? – dociekała Louise.

Uniosłem nieco głowę i zobaczyłem, że Kreeg przechodzi przez ulicę, zmierzając do księgarni Arthura Morstona.

– Elle, chodź, natychmiast!

Przebiegła przez sklep. Oboje uciekliśmy tylnymi drzwiami i zamknęliśmy je za sobą, kiedy zadźwięczał dzwoneczek. Elle chciała iść na górę do mieszkania, ale przytrzymałem ją, bo bałem się, że on usłyszy kroki. Patrzyła na mnie przerażona, więc mocno ścisnąłem jej dłoń. A potem podniosłem palec do ust i delikatnie przyłożyłem ucho do drzwi.

– Dzień dobry – odezwał się Rupert. – Witamy w księgarni Arthura Morstona.

– Dzień dobry – odparł Eszu niskim chrypliwym głosem. – Urocza księgarnia.

– Cieszę się, że pan tak sądzi. Szuka pan jakiejś szczególnej książki? Może mógłbym panu pomóc ją znaleźć?

– Pan jest właścicielem?

– Słucham?

– Pytałem, czy to pana księgarnia – powtórzył chłodno Kreeg.

– Tak. Nazywam się Rupert Forbes. Ja i żona jesteśmy właścicielami.

– Louise Forbes – przedstawiła się Louise. – Miło mi pana poznać.

– Gus. Gus Zeeker. Ogromnie mi przyjemnie, pani Forbes.

Popatrzyłem na Elle, marszcząc brwi na to, że użył anagramu: w jego fałszywym imieniu i nazwisku były te same litery co w „Kreeg Eszu”.

– Czy słusznie wyczuwam obcy akcent, panie Zeeker? – zapytał Rupert.
– Skąd pan pochodzi?

– O, to trudne pytanie. Lubię myśleć, że jestem obywatelem świata.

– To wspaniale. Ale nawet obywatele świata gdzieś muszą się urodzić, nieprawdaż? – odparł Rupert ze śmiechem.

Kreeg zarechotał.

– A wygląda pan na inteligentnego człowieka – powiedział. – Naprawdę klasyfikuje pan ludzi według miejsca urodzenia?

– Oczywiście, że nie. Po prostu próbowałem nawiązać rozmowę. Widzi pan, szczerę się tym, że potrafię rozpoznać każdy akcent. A pana wydaje się naprawdę niezwykły.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Jak mówiłem, jestem obywatelem świata – odezwał się w końcu Kreeg.

– No tak. Zastanawiałem się tylko, po której to stronie obywatel świata walczył podczas wojny.

Byłem pod wrażeniem zuchwałości Ruperta.

Kreeg znów się roześmiał.

– Czy teraz nie jesteśmy wszyscy przyjaciółmi, panie Forbes?

Znów zapanowała martwa cisza.

– Ale wspomniał pan, że może mi pomóc znaleźć konkretną książkę...

– Oczywiście – odparł uprzejmie Rupert. – Czym możemy służyć?

– Tak naprawdę byłem już tu niedawno. Ale rozmawiałem z kimś innym. Wysoki mężczyzna o ciemnych włosach i brązowych oczach. Kto to mógł być?

Ścisnąłem mocniej dłoń Elle.

– Hm... – Rupert zawahał się. – Na pewno myśli pan o naszej księgarni? Niezręcznie mi to mówić, ale w okolicy jest sporo podobnych. Nie pracuje u nas nikt, kto pasuje do takiego opisu.

Nie mogłem wprost uwierzyć, że mnie kryje.

– Ależ tak, nie mam wątpliwości, że to było tutaj – powiedział wolno Kreeg. – Była tu też młoda blondynka. Z bardzo jasnymi włosami.

– Pan wybaczy, panie Zeeker, ale kiedy wszedł pan do nas i pochwalił księgarnię, miałem wrażenie, że jest pan tutaj po raz pierwszy. Jak mówiłem, nie mamy pracowników pasujących do pana opisu, więc muszę spytać po raz drugi: czy jest pan całkowicie pewien, że był pan właśnie w tej księgarni?

Słuchałem, jak drewniana podłoga zaskrzypiała pod stawianymi z rozmysłem powolnymi krokami Kreega.

– Jakie śliczne maleństwo – powiedział. – Przypuszczam, że to państwa dziecko...

– Tak, to nasz syn – odparła Louise.

– Rodzina jest bardzo ważna, prawda, panie Forbes?

– Oczywiście, panie Zeeker.

Usłyszałem, jak Kreeg teatralnie wzdycha.

– Patrzcie na to maleństwo. Takie cichutkie, bezbronne. Wyobrażam sobie, że jest całkowicie zależne od państwa, czy nie tak, pani Forbes?

– To chyba oczywiste. Ma na imię Laurence.

– Laurence? Niech mi będzie wolno pochwalić wybór tego imienia. Pochodzi z francuskiego. Oznacza „jasny, świetlisty”. A że dzieci rodzą się wolne od grzechu, nie mogli państwo wybrać nic bardziej odpowiedniego.

– O, nie wiedziałam – odezwała się pewnie Louise. – To fascynujące.

– Imiona są ciekawe. To, jak możemy siebie nazwać... Zawsze bardzo bawiło mnie, że coś tak dla nas osobistego jest niemal wyłącznie używane przez innych.

– Przepraszam, że naciskam, drogi panie – przerwał mu Rupert – ale właśnie mieliśmy z żoną zamykać i zrobić sobie przerwę na lunch. Jakiej książki pan szuka?

– Tak się składa, że kiedy byłem tu poprzednio, pytałem o stary atlas.

Zacisnąłem powieki. Oczywiście to słowo nie mogło się z niczym kojarzyć Rupertowi i Louise. Podejrzewałem, że Kreeg doskonale wie, że go słyszę, i to przedstawienie miało być dla mnie.

– Jak mówiłem, wątpię, żeby to tę księgarnię pan odwiedził, ale nasz dział geograficzny jest tam – poinformował go Rupert. – Czy szukał pan jakiegoś szczególnego typu atlasu?

– Ten, o który mi chodzi, jest dość wyjątkowy. Ale poznam go od razu, jeśli go zobaczę.

– No tak... Wygląda na to, że potrzeba panu więcej czasu, żeby się porozglądać. Może więc byłoby lepiej, gdyby wrócił pan później, jeśli łaska.

– Jestem pewien, że tu jest – odpowiedział stanowczo Kreeg. – Nie ma potrzeby się rozglądać.

– Proszę posłuchać, naprawdę nie wiem, o co panu chodzi...

Rupert przerwał, bo Laurence zaczął popłakiwać.

– Biedne dziecko. Proszę go wziąć w ramiona. Niech pani nacieszy się każdą chwilą z maleństwem. Nie ma nic świętszego niż więź matki z dzieckiem.

Elle popatrzyła na mnie, a ja spuściłem wzrok.

– Mogę panią zapytać, co by czekało to niemowlę, gdyby pani zabrakło? – ciągnął Kreeg.

– Co pan sugeruje? – rzuciła Louise, zszokowana tym pytaniem.

– Państwo pozwolą, że wyrażę się jaśniej. Gdyby spotkał panią tragiczny los, i pani męża również, to co stałoby się z Laurence'em?

– Przestań pan – zainterweniował Rupert, podnosząc głos. – Co za ohydne rzeczy pan tu wygaduje!

– To tylko słowa, panie Forbes. Zdaję sobie jednak sprawę, że trudno odpowiedzieć na takie pytanie. Bo tak naprawdę nie wiedzą państwo, co by się stało z waszym dzieckiem.

Laurence już płakał na całego.

– Proszę natychmiast wyjść – nakazał stanowczym tonem Rupert. – Proszę nie denerwować mojej żony.

Kreeg nie miał zamiaru odpuścić.

– Matka to dla dziecka wszystko. Opiekunka, przyjaciółka, kotwica. Bez kotwicy dziecko może dryfować i nie wiadomo, gdzie skończy.

– Naprawdę nie rozumiem, o czym pan mówi, panie Zeeker. A teraz naprawdę proszę już wyjść – zażądał ponownie Rupert.

– Niech sobie pani wyobrazi, pani Forbes, że odbieram panią temu dziecku i skazuję je na egzystencję bez matki. Nie sądzi pani, że syn miałby prawo mścić się na mnie?

– Grozi pan mojemu dziecku? – zapytał Rupert z nieukrywaną już wściekłością w głosie.

– Ja? Nigdy bym się nie ośmielił. To nie leży w mojej naturze. Ale ten wysoki, ciemnooki mężczyzna, który jest pana pracownikiem... jego nie byłbym już tak pewny.

– Na litość boską, człowieku, mam tego dosyć!

Usłyszałem skrzypienie podłogi, gdy Rupert szybko podszedł do Kreega, żeby go wyrzucić. Louise jęknęła.

– Zostaw mojego męża! – zawołała.

Chwyciłem klamkę, gotów wpaść do sklepu i stawić czoło Kreegowi. Nie miałem zamiaru pozwolić, by zrobił coś złego Rupertowi.

– Bardzo chętnie puszczę pani męża, jeśli tylko powie mi pani, gdzie są Tanitowie – warknął Kreeg.

– Jacy Tanitowie?! – krzyknęła Louise.

Serce mi się kroilo, że tak lojalnie nas kryje mimo niebezpieczeństwa, na jakie narażony był jej mąż.

Rozległ się łomot i jęknięcie. Najwyraźniej Rupert upadł na podłogę.

– Wiem, że pracowali dla waszej rodziny – ciągnął Kreeg. – Byłem niedawno na bardzo interesującym drinku z twoim bratem. Hm... mówię

o drinku, ale on wyłopał niemal całą butelkę whisky. Powiedział mi, że wyjechali z posiadłości i teraz prowadzą tę księgarnię.

– Nie znamy tego nazwiska – wysapał Rupert, z trudem łapiąc oddech.
– Jak widziałeś, Teddy to pijak. Nie można polegać na jego słowie. Nie mamy powodu cię okłamywać.

– Naprawdę? Cokolwiek Tanit ci powiedział, to nieprawda. Zatrudniasz zabójcę. Pewnie o tym nie wspominał, co? Wierzcie mi, z przyjemnością uwolnię was od zagrożenia, jakie stwarza dla waszej rodziny.

– Wzywam policję – rzucił Rupert i usłyszałem, jak biegnie na tył sklepu i podnosi słuchawkę. – Radzę stąd wyjść. Lepiej, żebyś nie był w pobliżu, kiedy tu przyjadą. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, kogo właśnie zaatakowałeś. Pewnie mój pijany szwagier zapomniał nadmienić, że księgarnia to moje hobby. Pracuję dla brytyjskiego rządu.

– Współczuję, panie Forbes. No dobrze, życzę miłego dnia. Ale zanim pójdę... Na początku rozmowy wspominał pan o wojnie. Proszę mi powiedzieć: czy odróżnia pan żołnierza, który zamordował pana przyjaciela, od tych, którzy starali się go chronić?

– Proszę wyjść! Precz stąd, natychmiast! – wrzasnęła Louise. Laurence płakał coraz głośniejsze.

– Jak sobie pani życzy.

Usłyszałem dzwoneczek, gdy drzwi się otworzyły.

– O... a tak przy okazji, on wcale nie ma na imię Robert.

Trzasnęły drzwi.

– Ciii, malutki, już dobrze – uspokajała synka Louise.

Rupert otworzył drzwi, za którymi się chowaliśmy.

– Jasna cholera, ludzie! O co tu w ogóle chodzi?!

Elle i ja mrugaliśmy w jaskrawym świetle, kiedy Louise pobiegła zamknąć sklep i zaciągnąć żaluzje.

– Dziękuję, Rupert. Dziękuję, że nas nie wydałeś.

Uścisnąłem mu dłoń.

– W porządku, stary. Może jestem krótkowzroczny, ale widzę, jak coś zapowiada kłopoty. Jednak po tym, jak ten typ o mało nie skręcił mi karku, chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie.

Opisałem Rupertowi i Louise w zarysie, jak wygląda sytuacja: Kreeg wierzy, że odpowiadam za śmierć jego matki, i poprzysiągł zemstę.

– Och, jakie to straszne – odezwała się Louise. – Tak mi przykro. Co za potworna sytuacja...

– To prawda. Nigdy nie zdołamy podziękować wam wystarczająco za to, co przed chwilą zrobiliście. Ryzykowaliście życie, żeby nas ratować... – Ścisnęło mnie w gardle. Wykazali się taką odwagą. – Nigdy tego nie zapomnę. Zapewniam, że nigdy świadomie nie narażalibyśmy waszej rodziny. Myśleliśmy, że on zginął na wojnie.

– Niestety, nie poszczyliło się – powiedziała ze smutkiem Elle.

– To jaki jest teraz plan? – zapytał Rupert. – On wie, że tu jesteś. Nie możecie zostać, to zbyt niebezpieczne.

– Może powinniśmy jechać do Szwajcarii? – zasugerowała Elle. – Pan Kohler spodziewa się, że lada moment dostaniesz obywatelstwo.

– I co z tego? – spytałem. – Tak, będę obywatelem Szwajcarii, ale zarejestrowanym i żyjącym pod prawdziwym nazwiskiem. Kreeg znalazł nas tutaj i wytropi nas tam. – Złapałem się za głowę. – Mam wrażenie, że się zaciska.

– Jesteście bardzo przywiązani do życia w Europie? – zapytał Rupert.

– Nie sądzę, by Ameryka była rozwiązaniem... niestety. Wiele razy o tym myślałem, ale obawiam się, że przy tak rozwiniętej łączności Kreeg

nie miałby problemu ze zlokalizowaniem nas.

Rupert zmrużył oczy i skinął głową.

– Tak naprawdę nie chodziło mi o Stany.

Spojrzałem na niego zaintrygowany.

– Miałem kumpla w szkole. Stracił żonę. Umarła na zapalenie płuc. Biedak nie potrafił tu wytrzymać. Wszystko przypominało mu żonę. Wsiadł na statek i popłynął na drugi koniec świata.

– Na koniec świata? – spytałem.

– No, nie całkiem – odparł. – Ale można tak powiedzieć. Mam na myśli Australię.

– Australię? – powtórzyła Elle.

Rupert splótł dłonie za plecami i zaczął przechadzać się po sklepie.

– To podobno piękny kraj. Cudowna pogoda, fantastyczna dzika przyroda... nie wspominając o ogromnych odludnych pustkowiach. Wyobrażam sobie, że jeśli ktoś chciałby zniknąć, to tam można zacząć wszystko całkiem od nowa. Tak to widzę jako członek tajnych służb Jego Wysokości.

Elle spojrzała na mnie.

– Nic nie wiem o tym kraju – powiedziała. – Ale musimy coś zrobić. Jak mówi Rupert, tu nie możemy zostać.

– A jeśli ten maniak będzie dalej was gonił, to przynajmniej będzie miał daleką drogę do przebycia – wtrąciła Louise i uśmiechnęła się blado.

– Jeśli wróci, moglibyśmy go... trochę zmylić – dodał Rupert. – Udamy, że was wydajemy. Na przykład powiemy, że uciekliście do Ameryki. Żeby stracił trop.

– To byłoby bardzo uprzejmie z waszej strony – przyznałem. – Ale ten człowiek... jest naprawdę niebezpieczny. Musicie z nim uważać.

– Jasne, stary. Zapominasz chyba, że pracuję dla MI5. Choć wyglądam na mola książkowego, nawykłem radzić sobie z typami spod ciemnej gwiazdy. A skoro o tym mowa, każę go natychmiast wziąć pod lupę. Może jest coś, co pozwoli go aresztować albo nawet deportować. Na pewno mógłbym zamknąć go na parę dni do paki za to, że próbował mnie udusić. Tylko powiedzcie mi dokładnie, jak się pisze „Zeeker”...

– To fałszywe nazwisko. Naprawdę nazywa się Eszu. Kreeg Eszu. Wątpię, by można było wiele znaleźć na jego temat. Wyobrażam sobie, że podobnie jak ja, starał się nie zostawiać za sobą śladów.

– Mimo to zrobię, co w mojej mocy, stary. A na razie musicie zdecydować. Podróż do Australii?

Ja i Elle popatrzyliśmy ze smutkiem. Wydawało się, że jesteśmy już tak blisko szczęśliwego zakończenia, i nagle znów traciliśmy grunt pod nogami.

– To tak strasznie... daleko – odezwałem się wreszcie.

– Wybacz, Robert, ale czy nie chodzi właśnie o to? – spytał łagodnie Rupert.

– Nie będziemy mieli nic – szepnęła Elle. – Trzeba znów zaczynać od nowa...

– No, zaraz... Nikt nie mówi, że to ma być na stałe. Pomyślcie o tym jak o wzięciu sobie trochę wolnego. Wyjeżdżacie na jakiś czas za granicę. Na kilka miesięcy, może trochę dłużej, a ja zobaczę, co da się zrobić. Czy to dobry plan?

Wziąłem Elle za rękę.

– Tak – odparłem cicho.

Rupert położył dłoń na moim ramieniu.

– Dobrze. Musimy wysłać was do Tilbury. Jak szczęście dopisze, będzie tam jakiś statek wypływający w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Jesteście tacy dobrzy, naprawdę – odezwała się Elle.

– Przynajmniej tyle możemy zrobić – powiedział Rupert.

– Moja matka nadal wspomina was oboje z takim sentymentem – dodała Louise. – I tak wspaniale spisaliście się, prowadząc dla nas tę księgarnię.

– Będziemy strasznie za wami tęsknić – wyznała Elle.

– A właśnie... taka podróż na drugą półkulę nie jest tania – zauważył Rupert. – Jak u was z funduszami?

– W porządku – rzuciłem i wskazałem na tył sklepu. – Płacicie nam dobre pensje.

– No to świetnie, stary. W takim razie radzę spakować rzeczy i zawieziemy was do hrabstwa Essex. Mam tu samochód, mogę was zabrać.

– Ja zostanę w sklepie z Laurence'em – zdecydowała Louise.

– Wykluczone! – zaproponowałem. – Ten człowiek już podpalał domy. Bałbym się, że zrobi wam coś złego.

– Podpalał, mówisz? – powiedział Rupert. – Nie możemy pozwolić, żeby coś takiego spotkało księgarnię Beatrix. Wykonam kilka telefonów i zapewnię dyskretną obstawę. Jeśli ten typ zbliży się bardziej niż na trzy metry do sklepu, aresztują go.

– Czasami jesteś dość przydatny, Rupert. – Louise puściła do niego oko.

– Staram się. Może idźcie na górę i przygotujcie się, a ja w tym czasie podzwonię?

Elle i ja pospieszyliśmy do mieszkania i zabraliśmy się do tego, co mieliśmy już boleśnie przećwiczone. Wyciągnęliśmy walizki spod łóżek i powrzucaлиśmy tylko to, co naprawdę konieczne. Poruszaliśmy się w milczeniu, automatycznie, oboje zamyśleni nad przełomowym znaczeniem tej decyzji, którą podjęliśmy w jednej chwili.

– Na pewno Rupert będzie w stanie pomóc nam w przeniesieniu kont bankowych i w tego typu rzeczach – powiedziałem. – Najwyraźniej ma układy.

– A co z twoimi sprawami w Szwajcarii? – spytała Elle. – Czy pan Kohler nie prosił cię, żebyś nie zniknął mu znów z powierzchni ziemi?

– Prosił. Muszę obmyślić coś po drodze. Wyobrażam sobie, że dotarcie na miejsce zajmie nam wiele tygodni.

– No tak, ale... – Elle nie zdołała dokończyć zdania. Oczy wypełniły się jej łzami.

– Och, kochanie. – Rzuciłem koszule, które wpychałem do walizki, i wziąłem ją w ramiona. – Tak mi przykro. To wszystko jest takie niesprawiedliwe. Zwłaszcza wobec ciebie. Tak strasznie zaciążyłem na twoich losach.

Jej tłumione łzy zmieniły się w szloch. Wtuliła się w moją pierś.

– Wybacz mi, Elle. Tak okropnie skomplikowałem ci życie.

– Nie o to chodzi, Bo. Po prostu myślałam, że to już koniec udreki. Zawsze mówiłeś, że trzeba wierzyć we wszechświat. Myślałam, że Kreeg nie żyje. Ośmieliłam się marzyć, że naprawdę zaczniemy wspólne życie. Wyobrażałam sobie, że się pobierzemy, będziemy mieć dzieci... To moja wina.

Przytuliłem ją mocno.

– Proszę, Elle. Nigdy tak nie mów. Ani odrobina z tego koszmaru nie jest twoją winą. To mój krzyż, a ty dawałaś mi siły i niosłaś go razem ze mną. Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie.

Teraz to moje oczy zaszyły łzami.

– Przestań, Bo. Nie zadrećzaj się. Życie to dar, bez względu na okoliczności. No już. A więc Australia – powiedziała w końcu.

– Australia – odparłem.

Oswobodziła się z moich ramion i klasnęła w dłonie, siląc się na optymizm.

– Nowa przygoda. Tam na pewno nie będę narzekać na pogodę. Choć słyszałam potworne historie o pajakach.

– Nie martw się, obronię cię. Pająki mogą ukąsić, ale domu nie spalą – stwierdziłem ze smętym uśmiechem.

– Masz rację. – Westchnęła. – Jeśli dopisze nam szczęście, Kreeg nie zdoła wytropić nas na drugiej półkuli. Może zamiast biadać, że tracimy bezpieczną przystań w Szwajcarii, powinnam cieszyć się, że schronimy się przed niebezpieczeństwem po drugiej stronie świata. Zresztą to nie ma znaczenia, gdzie jesteśmy, najdroższy. Póki jesteśmy razem, jesteśmy w domu.

Spuściłem wzrok na pierścionek Elle i patrzyłem na niego chwilę.

– Co się stało? – spytała.

– Myślę dokładnie tak samo. – Podeszedłem i wziąłem ją za rękę. – Póki jesteśmy razem, jesteśmy w domu – powtórzyłem. – Za dużo czasu spędziłem, nie żeniąc się z tobą, Elle Leopine.

Nie była przygotowana na te słowa.

– Zgadzam się z tym w pełni, kochanie – odparła.

– Mam pomysł – powiedziałem z błyskiem w oku.

Spojrzała na mnie z ciekawością, a zarazem zmieszana.

– Pomysł?

– Kapitan statku może legalnie dać ślub dwojgu ludziom podczas rejsu i wydać dokument potwierdzający to. Elle, możemy pobrać się podczas podróży do Australii. – Przyklęknąłem. – Elle Leopine, jesteś niewątpliwie niezaprzeczalną miłością mojego życia. Wyjdiesz za mnie?

Udało mi się ją zaskoczyć, co – na ile się na tym znam – jest tajemnicą udanych oświadczeń.

– Och, Bo... – Uniosła dłonie do ust. – Tak. Oczywiście!

Staliśmy tak razem w mieszkaniu nad księgarnią i śmialiśmy się. Na dłuższą chwilę reszta świata rozplynęła się w oddali.

*

Podróż do portu Tilbury w hrabstwie Essex przebiegła szybko i bez przeszkód. Rupert dotrzymał słowa. Sprowadził przed księgarnię przyjaciela, który miał taki sam wóz jak on, i kazał mu jechać na północ, na wypadek gdyby Kreeg obserwował nas z daleka. Później Elle i ja wsiedliśmy do auta Ruperta i wyruszyliśmy, by znowu zacząć wszystko od nowa.

– Jest jakiś statek, który wypływa jutro – oznajmił Rupert. – Zatrzyma się w Port Saidzie w Egipcie. Port końcowy rejsu to Adelaide. Ośmielam się twierdzić, że kiedy wasza stopa stanie na australijskiej ziemi, ja już będę miał tego Kreega zakutego w kajdanki za usiłowanie zabójstwa. Nie martwcie się.

Jego typowo brytyjskie trzymanie fasonu dodało mi otuchy, ale nie potrafiłem mu uwierzyć. Węże są śliskie i trudno je złapać.

– Za rogiem przy porcie jest hotel. Jak słyszałem, dość przyzwoity. Podrzucę was tam. Będą mogli załatwić wam bilety. Powinniście wsiąść na statek RMS *Orient*.

– Dziękuję, Rupert.

– Drobiazg, stary. Kiedy się urządzicie, napiszcie do mnie na adres księgarni. Będę mógł poinformować was o sytuacji. Jak szczęście dopisze, będziecie mogli niedługo wrócić do Europy i zbudować sobie wielki zamek w Szwajcarii!

Gdy odjechaliśmy pod hotel Voyager, uścisnąłem dłoń Ruperta i otworzyłem drzwi auta.

– Powodzenia, państwo T. Pamiętajcie, że jak tylko łajdak się pokaże, naprowadzimy go na fałszywy trop, a ja będę pracował nad tym, by go aresztowali.

Pomachaliśmy odjeżdżającemu Rupertowi i weszliśmy do hotelu. W lobby panowała atmosfera minionej świetności. Stał tu zakurzony fortepian i kilka donic z przywiędłymi roślinami. Niegdyś musiał to być wspaniały hotel, ale najwyraźniej podupadł w latach wojny.

– Dobry wieczór państwu – powitał nas recepcjonista w okularach.

– Dobry wieczór, chciałem wynająć pokój – powiedziałem.

– Doskonale. Jak długo zamierzają się państwo zatrzymać?

– Tylko na jedną noc. I mówiono mi, że są państwo w stanie pomóc nam w kupnie biletów na statek, który wypływa rano.

– Nie ma problemu, proszę, oczywiście załatwimy to. Gdybym mógł prosić o kilka danych...

– Przepraszam. Właśnie zorientowałem się, że popełniłem błąd. Tak naprawdę potrzebuję dwóch pokoi – wtrąciłem.

Elle podniosła na mnie wzrok.

– Dwóch pokoi? – spytał zdziwiony recepcjonista.

– Tak. Widzi pan – nachyliłem się nad blatem – moja narzeczona i ja jutro bierzemy ślub.

– Och, gratulacje. Czyli dwa pokoje – powiedział z uśmiechem. – Zazdroszczę, że jutro wsiadają państwo na ten statek. Nowy początek, co?

Nie wiedział nawet, jak trafnie to określił.

– No, tak – potwierdziłem.

– Cudownie. Mam wrażenie, że wszystkim nam przydałoby się coś takiego po ostatnich latach, panie...

– Tanit. A to panna Leopine.

– Dziękuję. Załatwię bilety na państwa nazwiska. Którą klasę mam zarezerwować?

– Och... – O tym nie pomyślałem. – Drugą – odparłem.

– Świetnie. Każę przynieść bilety do pana pokoju. Może pan zapłacić jutro rano przy wymeldowaniu. Statek odpływa punktualnie o dziesiątej. Powinni państwo być na pokładzie przynajmniej pół godziny wcześniej.

Zostawiliśmy bagaże przy recepcji, wzięliśmy klucze do pokoi i poszliśmy na górę.

– Co się dzieje, Bo? – szepnęła Elle. – Dlaczego wzięłeś osobne pokoje?

– Pan młody nie powinien oglądać panny młodej w noc przed ślubem!
Elle zachichotała.

– Jakie to romantyczne! Choć powinniśmy liczyć każdego pensa, zanim urządzimy się w Australii.

– Och, bzdura. Czy nie wolno nam cieszyć się choćby odrobiną tradycji? Poza tym – dodałem – mam dość pieniędzy na sukienkę. Myślę, że powinniśmy pójść dziś na zakupy.

– To bardzo miłe, ale zupełnie niepotrzebne.

– Wręcz przeciwnie! – odparłem. – To konieczne. Kopciuszek będzie miał sukienkę i pójdzie na bal!

Reszta dnia upłynęła nam jak w bajce. Spędziliśmy chłodne styczniowe popołudnie, trzymając się za ręce, mrużąc oczy w zimowym słońcu i popijając z papierowych kubków herbatę, żeby się rozgrzać. Nawet poszliśmy zobaczyć statek, który miał przenieść nas na drugą stronę świata.

Siedząc na nabrzeżu, machając nogami nad wodą, patrzyliśmy na ogromny RMS *Orient*, majestatyczny i olśniewający. Musiał mieć długość ponad stu pięćdziesięciu metrów i z trzydzieści wysokości. Powyżej kadłuba były dwa białe pokłady z kilkudziesięcioma iluminatorami.

– O rany! Nie moglibyśmy na nim zamieszkać? – spytała Elle. – Bylibyśmy zawsze bezpieczni na morzu.

Myślałem o tym przez chwilę.

– Wiesz co, masz rację. Bylibyśmy. Świetny pomysł. Może powinienem wydać wszystkie pieniądze babci na ogromny jacht, taki, o jakich czyta się w magazynach?

– Ale pod warunkiem, że byłyby tam trzy baseny.

Roześmiała się, a kiedy zimowe słońce rozświetliło jej twarz, pomyślałem, że to jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie widziałem w życiu. Nagle mnie to zainspirowało.

– Zaczekaj tu! – zawołałem, zrywając się na nogi.

– Bo, co ty wyprawiasz?! – krzyknęła.

– Tylko się nie ruszaj!

Przebiegłem jezdnię i wróciłem na małą uliczkę, gdzie mijaliśmy sklep dla plastyków. Wszedłem i kupiłem kilka niedużych arkuszy papieru i węgiel, po czym pędem wróciłem do Elle.

– O co chodzi? – spytała.

– Chcę cię narysować.

– Narysować mnie? – Zachichotała.

– Tak. Monsieur Landowski mówił mi kiedyś w pracowni o tym, że trzeba uchwycić chwilę. Wiedział, co chce wyrzeźbić, dopiero wtedy, kiedy to zobaczył. Chyba już wiem, co miał na myśli. Jesteś taka piękna. To mnie zainspirowało.

– Cieszę się, że po tylu latach potrafisz mi prawić komplementy.

– Nigdy nie odważyłem się rysować portretów, tylko pejzaże. Mam nadzieję, że zdołam oddać to, co widzę...

Zacząłem szkicować węgłem; robiłem, co w mojej mocy, by uchwycić urodę jej ogromnych oczu, delikatnego nosa i pełnych ust w twarzy o kształcie serca. W piętnaście minut skończyłem rysunek. Popatrzyłem na to, co stworzyłem, a potem na Elle i choć nic nie powiedziałem, byłem zadowolony z wyniku swoich starań. Rysunek wyszedł mi lepiej niż pola, rzeki czy drzewa, które wcześniej szkicowałem.

– Pokaż – poprosiła.

Podąłem Elle kartkę, a ona przyjrzała się jej, po czym spojrzała na mnie.

– Bardzo mi się podoba.

– Wiem, że temu portretowi daleko do doskonałości. Ale zawsze będzie mi przypominał tę chwilę.

– Dlaczego tak bardzo chcesz ją pamiętać?

Zamknąłem oczy. Przepojone solą powietrze nad oceanem wyostrzyło mi zmysły.

– Bo mimo wszystko jestem podekscytowany perspektywą nowej przyszłości, kochanie. A jutro poślubię miłość mojego życia.

Pocałowała mnie lekko w policzek.

– Zatrzymam ten rysunek na zawsze – powiedziała.

W końcu wstaliśmy i spyaliśmy jakiegoś przechodnia o miejscowe sklepy z modną odzieżą. Polecono nam pewien zakład krawiecki.

– Wejdz, Elle. Ja nie powinienem widzieć sukienki. To byłoby złamanie tradycji. Wybieraj tak długo, jak trzeba, nie spiesz się.

Gdy patrzyłem, jak wchodzi do środka, dostrzegłem swoje odbicie w szybie wystawy. Bez wątplenia mój wygląd przeczył relatywnie młodemu wiekowi. Włosy szybko mi siwiały, a zmarszczki na czole z dnia na dzień stawały się głębsze. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że kiedy znajdę się kilkanaście tysięcy kilometrów od Kreega, ten proces nieco się spowolni.

Stałem jakieś dwadzieścia minut, nim zabrzączał dzwoneczek przy drzwiach i wyszła Elle z lekką niebieską torbą z papieru w ręce i promiennym uśmiechem na twarzy.

– Dziękuję, Bo. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, odprowadziłem narzeczoną do pokoju, piętro nad moim.

– Muszę cię zostawić. – Wzruszyłem ramionami. – Tak naprawdę nie powinienem cię widzieć aż do ślubu, ale chcę mieć pewność, że dotarłaś na pokład. Będę więc na ciebie czekał przy trapie *Orientu* o dziewiątej trzydzieści.

– Czyli dziewiąta trzydzieści – potwierdziła.

Odgarnąłem niesforny kosmyk jasnych włosów z jej twarzy.

– To twoja ostatnia noc życia w grzechu...

– Ha! Ja nie biorę za to odpowiedzialności. – Roześmiała się. – To wszystko twoja wina.

Podniosłem ręce w geście poddania.

– Nie przeczę, że to ja zmusiłem cię do życia w hańbie. Zdołasz mi to kiedykolwiek wybaczyć? – Złożyłem błagalnie dłonie.

– Biorąc pod uwagę, że jutro chcesz to naprawić, sądzę, że wybaczenie nie jest wykluczone. Ale skoro to naprawdę nasza ostatnia noc życia w grzechu, to może powinniśmy... trochę sobie pofolgować? – Zalotnie odpięła górny guzik mojej koszuli.

– Ach, tak... – Uniosłem brew. – Martwisz się, że po ślubie coś może się zmienić?

– Na pewno. Nie będzie już tak ekscytująco.

– W takim razie... chyba jesteśmy to sobie winni.

Pocałowałem ją, a ona wciągnęła mnie do pokoju.

Tej nocy godzinami zatracaliśmy się w sobie nawzajem. Cały wszechświat za drzwiami mógłby przestać istnieć, a my nawet byśmy tego nie zauważyli ani się tym nie przejęli. Kiedy trzymałem ją potem w ramionach, jej rytmiczny delikatny oddech ukołysał mnie do snu. Kilka godzin później obudziłem się i powoli wyswobodziłem z jej objęć, żeby zejść do swojego pokoju. Poruszyła się, a ja pocałowałem ją w czoło.

– Przepraszam, że cię obudziłem. Idę do siebie, żeby przygotować kilka rzeczy przed podróżą – szepnąłem.

– Dobrze. Nadal jesteśmy umówieni na pokładzie *Orientu*?

– Tak. Do zobaczenia o dziewiątej trzydzieści. Śpij dobrze, kochanie.

Kiedy złapałem klamkę, obejrzałem się jeszcze raz na przyszlą żonę leżącą spokojnie na łóżku. Z rozpuszczonymi blond włosami i bladą cerą przywodziła na myśl anioła z obrazów Botticellego.

Często w głębi serca próbowałem zdefiniować miłość. Teraz myślę, że wiem, co to jest. Miłość to stan, w którym człowiek bez zastanowienia i z chęcią przedkłada czyjeś dobro nad własne. Bez względu na konsekwencje. Oderwałem tęskne spojrzenie od Elle, delikatnie otworzyłem drzwi i zamknąłem je za sobą. Moje serce przepełniała miłość i duma z zachwycającej kobiety, która była u mojego boku przez dwadzieścia lat. I którą następnego dnia miałem poślubić.

37

Ocean Atlantycki

1949

Bez ciebie

Rozpadam się na drobinki

Kosmicznego pyłu

Gwiazdy są czarne

Noc bezkresna

Plejady łkają

Światło już zgasło

Moje życie zgasło

Jestem

W łóżku sam

To koniec. Świat mi się zawalił. Myślę, że ten wpis w pamiętniku będzie ostatni. Historia Atlasa się dopełniła. Zdołałem przeżyć wszystkie te lata napędzany fundamentalną siłą, która pozwala ludziom przeć naprzód pomimo wszelkich przeciwności losu – nadzieją. Ale teraz nawet ona zgasła i nie mam już sił tego ciągnąć. Wieczorem, kiedy na pokładzie zapanuje spokój, bez żalu rzucę się do oceanu i pozwolę się pochłonąć lodowatym falom. Oby zmiłowały się nade mną i śmierć była szybka.

Piszę to tylko z poczucia obowiązku wobec Ciebie, Czytelniku. Nie jest to zakończenie, o jakim marzyłem jako młody chłopak, kiedy po raz pierwszy przyłożyłem pióro do papieru. Może znalazłeś ten pamiętnik i od razu otworzyłeś na końcu, by dowiedzieć się, co się stało z mężczyzną, który rzucił się z pokładu statku. A może przeczytałeś już całą historię mojego życia, która – jak mam nadzieję – była przynajmniej ciekawa. Jeśli tak, na pewno domyślasz się już, jaki los mnie spotkał.

Elle odeszła.

Spełnił się mój najczarniejszy sen. I nie potrafię już dłużej żyć.

Po opuszczeniu pokoju Elle przed świtem poszedłem do siebie. Pisałem w pamiętniku, uporządkowałem rzeczy w walizce i położyłem się. Marzenia o mojej przyszłej żonie pomogły mi zapaść w błogosławiony sen. Obudziłem się o ósmej, wstałem, zapłaciłem za hotel i bilety. Dotarłem na RMS *Orient* i znalazłem naszą kajutę. Podekscytowany zwierzyłem się nawet młodemu stewardowi, który pomagał mi z bagażami, że planuję ślub podczas rejsu, a on zapewnił mnie, że kapitan z wielką przyjemnością go udzieli. Potem wziąłem kawę i wyszedłem na pokład, by wyglądać Elle.

Na brzegu kłębił się tłum. Najwyraźniej żegnającym trudno było rozstać się z bliskimi odpływającymi do Australii. Czuło się ból rozłąki, a ja dziękowałem gwiazdom, że wsiadam na ten statek z jedynym członkiem rodziny, jaki był mi potrzebny do szczęścia.

Kiedy zbliżała się dziewiąta trzydzieści, podszedłem do trapu, przy którym mieliśmy się spotkać. Minuty mijały. Na moim zegarku zrobiła się już dziewiąta czterdzieści. Przeraziłem się, że może Elle zasnęła. Gdy wyjaśniłem sytuację stewardowi, zapewnił mnie, że jest dość czasu, żebym pobiegł do hotelu Voyager i wrócił, zanim ruszymy.

Pognałem trapem, o mało nie posyłając do wody jakiejś rodziny. Wpadłem do lobby i pobiegłem do pokoju Elle. Zacząłem walić do drzwi,

ale bez skutku.

– Elle! Elle, statek zaraz wypływa! – wołałem. – Elle!

Zdałem sobie sprawę, że to próżny trud, zbiegłem więc do lobby, gdzie pełnił dyżur ten sam recepcjonista w okularach co poprzedniego dnia.

– O, witam! Ma pan przed sobą wielki dzień. Ale... czy nie powinien pan już być na pokładzie? Za piętnaście minut podnoszą trap.

– Tak, wiem, ale moja narzeczona jeszcze nie wstała. Miała spotkać się ze mną przy statku, ale się nie pokazała. Czy byłby pan tak dobry i otworzył jej pokój, żebym mógł ją obudzić?

Recepcjonista patrzył na mnie zdumiony.

– Tak się składa, że widziałem ją, jak wychodziła jakieś pół godziny temu. Przeszła przez lobby z walizką.

Uniosłem brwi.

– Niemożliwe. Nie weszła na pokład. Na pewno się pan pomylił. Proszę, niech pan otworzy te drzwi.

– Ale naprawdę, proszę mi wierzyć...

– Już! – wrzasnąłem i wszyscy obecni w lobby utkwili we mnie wzrok.

– Jak pan sobie życzy. Zaraz poproszę kolegę, żeby z panem poszedł.

– Niech mi pan da klucz. Pójdę sam.

Wyszarpnąłem go z ręki recepcjonisty i pognałem na górę. Wetknąłem klucz do zamka i otworzyłem drzwi. Pokój był pusty, łóżko zasłane, a na podłodze nie było żadnych rzeczy. Co więcej, zobaczyłem filiżankę z resztką kawy i śladami różowej szminki na brzeżku. Elle musiała być tu rano i najwyraźniej wyszła, tak jak twierdził recepcjonista.

Przez chwilę bardzo się cieszyłem tym odkryciem. To oznaczało, że najprawdopodobniej wsiadła na statek. Po prostu się minęliśmy. Do

wypłynięcia statku zostało dziesięć minut. Zbiegłem po schodach i rzuciłem klucz na kontuar. Pędząc do trapu, rozglądałem się za Elle.

– Widział pan kobietę o jasnych włosach, w granatowym płaszczu? Miała ze sobą jedną walizkę. Powinna być na pokładzie.

Stojący przy trapie członek załogi zastanawiał się chwilę, po czym pokręcił głową.

– Przykro mi, proszę pana, nie sędzę, żebym przepuszczał kogoś, kto by pasował do tego opisu. Ale to duży statek. Może się mylę. Jeśli wsiadła, pewnie została skierowana do kajuty. Może pan sprawdzić u stewarda zajmującego się tamtym pokładem.

Szybko poszedłem do kajuty w drugiej klasie. Nadal była tam tylko moja walizka, nic więcej. Zaczepiłem stewarda na korytarzu i błagałem, żeby potwierdził, czy Elle się pojawiła.

– Jej nazwisko to Leopine. A może podała Tanit. Ma blond włosy. Granatowy płaszcz. To moja narzeczona...

Zdawałem sobie sprawę, że coraz bardziej spanikowany, zaczynam bełkotać. Na moim zegarku zostało już tylko pięć minut do dziesiątej. Pobiegnę do trapu i opisywałem Elle każdemu, kogo udało mi się zatrzymać. Na próżno. Serce mi waliło, w narastającym przerażeniu robiło mi się ciemno przed oczami.

Słyszałem, jak ozywają silniki statku.

– Nie, nie, proszę, nie! – Złapałem pierwszego z brzegu członka załogi.
– Musicie zatrzymać statek! Nie wiem, czy na pokładzie jest moja narzeczona!

– Przykro mi, proszę pana, trap podnosi się dokładnie o dziesiątej. Naprawdę nie może być wyjątków.

Stałem przy relingu i gorączkowo rozglądałem się po nabrzeżu, wypatrując ukochanej. Nigdzie jej jednak nie widziałem, więc pognałem

z powrotem do trapu i próbowałem negocjować z czuwającym tam członkiem załogi. Widział moją rozpacz, ale nie mógł nic poradzić, bo miał polecenia wydane z góry.

– Rozumiem sytuację... Naprawdę bardzo chciałbym pomóc. Ale szczerze mówiąc, sugerowałbym, żeby pan wysiadł.

– Ale ona może być na pokładzie! – krzyknąłem.

– W razie czego za kilka tygodni jest następny statek, proszę pana. Wtedy mógłby pan popłynąć za nią.

Obróciłem się na pięcie i znalazłem twarzą w twarz z jakąś starszą panią. Miała wydatne kości policzkowe, bladą cerę i przenikliwie niebieskie oczy – całkiem podobne do Elle. Choć jej kręcone włosy były siwe, tu i ówdzie widać w nich było przebliski kasztanowego koloru.

– Trap do góry! – rozległ się okrzyk stewarda.

Dołączyło do niego dwóch innych załogantów w uniformach i zaczęli ciągnąć linę. Statek po raz ostatni wydał sygnał ostrzegawczy.

– Gdzie ona jest? Miała spotkać się ze mną na pokładzie!

Obróciłem się znowu do starszej pani, która wpatrywała się we mnie ciekawie.

– Pani wybaczy, czy przez ostatnich kilka minut nie zauważyła pani przypadkiem blondynki wsiadającej na statek?

– Naprawdę nie umiem powiedzieć. – Miała szkocki akcent. – Tylu ludzi wsiadało i wysiadało, ale na pewno ta pani jest gdzieś na pokładzie.

Znów odezwał się sygnał i statek zaczął powoli odbijać od nabrzeża. Rozważałem, żeby skoczyć do wody. Możliwe, że steward miał rację. Gdybym został, w najgorszym przypadku Elle byłaby bezpieczna w drodze do Australii i nic by jej nie groziło. A ja mógłbym ukrywać się przed Kreegiem przez jakiś czas. Ale jeśli Elle nie wsiadła na statek, to powinienem zostać w Anglii, żeby ją chronić. Miałem gonitwę myśli.

– O Boże, gdzie jesteś...?! – wołałem na wiatr. Mój głos tonął w hałasie pracujących silników i krzyku mew. Chwiejnym krokiem cofałem się po pokładzie, czepiając się relingu i z trudem łapiąc oddech. – Elle! Elle! Elle! – powtarzałem bezradnie, czując się tak, jakbym spadał w przepaść bez dna.

Nagle dostrzegłem coś szokującego. Nie do wiary, ale za tłumem ludzi machających chusteczkami i posyłających pocałunki leżała na ziemi jasnyniebska papierowa torba z pracowni krawieckiej, w której poprzedniego dnia Elle kupiła sukienkę.

Ale przecież nie mogła to być torba Elle. Prawda?

Nie miałem wiele do stracenia.

– Przepraszam! Przepraszam! – krzyknąłem do ludzi w dole. – Moja torba! Zostawiłem torbę! – Wymachiwałem dziko rękami, aż zwróciłem uwagę jakiegoś chłopca. – Ta niebieska torba! Za tobą! Proszę, rzuć ją na pokład!

Młody człowiek obrócił się i zobaczył, co pokazuję. Przepchnął się między dorosłymi i chwycił torbę.

– Tak, proszę, rzuć ją!

Statek był już pewnie ze trzy metry od nabrzeża i odległość z każdą sekundą rosła. Chłopiec podszedł na krawędź nabrzeża i podniósł na mnie wzrok. Uświadomiłem sobie, że jestem za wysoko. Nie było szans dorzucić tu torby. Przecisnąłem się między pasażerami do stewarda przy trapie.

– Proszę, moja torba, ten chłopiec ją ma!

Mężczyźnie już poprzednio było przykro, że nie może mi pomóc. Teraz skinął głową i w jednej chwili przesadził poręcz. Przez chwilę miałem wrażenie, że skoczył do wody, ale zorientowałem się, że schodzi po drabince przyczepionej do kadłuba. Chłopiec zauważył to. Kiedy steward

znalazł się na wysokości nabrzeża, wyciągnął jedną rękę, żeby chłopiec mógł mu rzucić torbę. Ten jednak się wahał.

– Teraz albo nigdy! – krzyknął steward.

Chłopiec popatrzył w górę na mnie, a ja skinąłem głową. Zamachnął się mocno i rzucił torbę. Serce podeszło mi do gardła, kiedy steward chwycił ją nad oceanem. Jakimś cudem udało mu się jej nie upuścić i zaczął wspinać się z powrotem na pokład. Chłopiec nie posiadał się z radości, a ja zaklaskałem w podzięcie, nim sięgnąłem po torbę.

– Dziękuję, dziękuję! – krzyknąłem.

– To pana narzeczonej, prawda? – zapytał steward.

– Tak – odparłem.

– Skoro torba leżała tuż przy nabrzeżu, to pana narzeczonej pewnie wsiadła na pokład.

– Tak. Dziękuję raz jeszcze.

Przepchałem się znowu przez zgromadzonych na pokładzie pasażerów, rozemocjonowanych pożegnaniem z ojczyzną – niektórzy opuszczali ją na wiele miesięcy, inni na zawsze.

Wreszcie dotarłem do rufy, gdzie było dość miejsca, żeby otworzyć torbę. Ze środka wyciągnąłem białą satynową suknię. Na dnie torby zauważyłem dwa niewielkie kawałki papieru. Żołądek mi się skręcił, kiedy zobaczyłem mój rysunek węglem z poprzedniego dnia. Wraz z nim znalazłem napisaną po angielsku wiadomość.

KOCHANIE, NIE MOŻEMY ZOSTAĆ
RAZEM. TO BYŁOBY Z MOJEJ STRONY
EGOISTYCZNE. ZNISZCZYŁABYM TWOJĄ
EGZYSTENCJĘ, A TEGO ZA NIC NIE CHCĘ.
GDYBYM TYLKO MOGŁA TO ZMIENIĆ...

Na zawsze Twoja
Elle

PS Żyj swoim życiem, jak ja muszę żyć swoim.

Zdrętwiałem. To wydawało się tak nierzeczywiste. Z tej wiadomości wynikało, że Elle postanowiła nie wsiadać na statek. Że postanowiła mnie opuścić.

– Nie – wyszeptałem. – To niemożliwe...

Myślałem gorączkowo o tym, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Wszystko wydawało się takie idealne...

Nogi ugięły się pode mną i padłem na pokład. Spodziewałem się łez, ale nie pociekły. Nie byłem w stanie nawet płakać. W tamtej chwili moje wewnętrzne światło zgasło.

– Panie... Nic się panu nie stało?

Uniosłem wzrok i zobaczyłem przerażająco wychudzoną jasnooką dziewczynę o bladej cerze i prostych brązowych włosach. Musiała mieć nie więcej niż piętnaście lat.

– O, do diabła, gościu marnie wygląda. Eddie, skocz no po kogoś z tej cholерnej załogi, co?

Stojący obok niej chłopczyk, może pięcioletni, odbiegł.

– Przepraszam! – zawołała dziewczyna. – Ktoś mi pomoże?! Ten gościu upadł. Halo?! Słyszysz mnie pan?

Przyklękła obok mnie.

– Co ty tu robisz na pokładzie, smarkulo?! – dobiegł z góry napuszony niski głos. – Powinnaś siedzieć pod pokładem, w swojej klasie.

– Taaa, przepraszam, wyszli my tylko popatrzeć ostatni raz na Anglię. Ale z tym tu niedobrze. Możesz pan pomóc? – Mówiła cockneyem, dialektem mieszkańców Londynu z niższych warstw społecznych.

Człowiek o napuszczonym głosie sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Znajdźcie stewarda, za to im się płaci – syknął, nim z pogardliwą miną odmaszerował.

Dziewczyna machnęła ręką.

– Jasne, wielkie dzięki. Halo, panie – zwróciła się do mnie, uśmiechając się szeroko i ukazując żółtkłe zęby. – Nie martw się pan, Eddie kogoś przyprowadzi.

– Ja nie... nie potrafię... – Zdałem sobie mgliście sprawę, że coś bełkoczę.

Dziewczyna wzięła mnie za rękę i zaczęła nią potrząsać. Chyba próbowała mnie ocucić.

– W porządku. Jak się pan nazywasz? Ja jestem Sarah.

– Sarah... – wyjąkałem.

Skinęła głową.

– Tak. Jesteś pan trochę skołowany, taaa? Ja też. Ale w Australii będzie dobrze. Tam jest ładnie. Gorąc. Mówili, że można codziennie kąpać się w morzu.

Popatrzyłem w brązowe oczy Sarah.

– Elle – wyszeptałem. – Elle...

Wydawała się zmieszana.

– Elle? – Uniosła brwi. – A kto to taki?

– Odeszła, odeszła... – jęknąłem.

Sarah rozejrzała się.

– Poszła? Dokąd, panie?

– Odeszła...

Przewróciła oczami.

– O rany, kompletnie mu odbiło. Będzie dobrze, panie. Zaraz, jest już jeden, co panu pomoże.

Zbliżał się steward w uniformie. Kiedy znalazł się przy mnie, dostrzegłem jego gniewny wyraz twarzy.

– Co ty tu robisz? – warknął do Sarah.

Zaśmiała się oburzona.

– Chcieli my tylko powiedzieć „pa, pa” Anglii. Ale nieważne, ten biedak potrzebuje pomocy!

Steward przyklęknął przy mnie.

– Zajmę się tym. A ty zabieraj tego chłopaka i wracajcie na dół. Wiecie, że nie wolno wam się tu pokazywać. Będziemy mieć skargi.

Sarah westchnęła.

– Dobra, dobra. Chodź, Eddie.

Chłopczyk pomachał mi, a ja zrobiłem, co w mojej mocy, by na to odpowiedzieć.

– Mam nadzieję, że zaraz poczujesz się pan lepiej – powiedziała Sarah.

– Do zobaczenia w Australii.

Wzięła Eddiego za rękę i odeszli. Ale zanim zniknęła z pola widzenia, zobaczyłem, jak podbiega do relingu i unosi małego, żeby mógł wyjrzeć. Potem pomachała wolną ręką.

– ŻEGNAJ, ANGLIO! – zawołała. – Pomachaj jej, Eddie!

– Na dół! – ryknął steward. Dzieci posłuchały. – Okropnie mi przykro, proszę pana, to się już nie powtórzy.

Zaczynałem odzyskiwać przytomność.

– Nie, nie... Powinienem jej podziękować... Kto to był?

Steward przewrócił oczami.

– To sieroty. Jest ich na dole w trzeciej klasie koło setki. Wysłano je z Anglii, żeby znalazły nowe rodziny w Australii.

– Sieroty?

– Tak. Przykro mi, proszę pana. Zadbam, żeby więcej się panu nie naprzykrzały.

Zdenerwowało mnie jego podejście.

– Nie, ja...

– Upadł pan. Proszę się nie martwić, zadbamy, żeby wszystko było dobrze.

Próbowałem wstać.

– Ja... muszę... wysiąść.

Steward przytrzymał mnie.

– Spokojnie, proszę pana. Teraz nie da się wysiąść. Następny postój jest w Egipcie.

Próbowałem mu się wyrwać, ale okazało się, że to ponad moje siły.

– Ale ja... – Tylko tyle zdołałem wydukać, nim ogarnęła mnie ciemność.

Ocknąłem się w swojej kajucie. Przyglądał mi się mężczyzna w tweedowej marynarce.

– Witam, panie Tanit. Czujemy się już lepiej?

Zamrugąłem gwałtownie.

– Tak. Co się dzieje?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Jestem Lyons, lekarz pokładowy. Przyznam, że nie spodziewałem się wezwania do nagłego przypadku tak szybko po wypłynięciu, ale... Upadł pan i doznał urazu. Pamięta pan to?

– Tak.

Lekarz wyjął z kieszeni małą latarkę i poświecił mi w oczy.

– Trudno się dziwić. Miał pan ciężki dzień. – Popatrzył na mnie, unosząc brew. – Steward z pana pokładu mówi, że pytał pan o to, czy kapitan może udzielić ślubu.

Skinąłem głową, nadal oszołomiony.

– Przeczytałem wiadomość, którą trzymał pan w ręce. To dopiero cios. Na pewno trudno się z czymś takim pogodzić.

Przebiegł mnie dreszcz grozy, kiedy przypomniałem sobie zdarzenia, które doprowadziły mnie do utraty przytomności.

– O nie! O nie! – Gwałtownie usiadłem na łóżku.

Lekarz położył łagodnie dłoń na moim ramieniu.

– Już dobrze, panie Tanit. Proszę, niech pan to połknie. – Podał mi tabletkę i szklankę wody. – To łagodny środek uspokajający, który pomoże panu przespać kilka godzin.

Nie chciałem spać.

– Muszę zejść z tego statku!

Ze współczuciem wzruszył ramionami.

– To nie będzie możliwe, dlatego radzę wziąć ten lek. Zaręczam panu, że w ten sposób czas szybciej minie.

Niemal na siłę wepchnąłem mi tabletkę do ust, a ja ją połknałem.

– No, grzeczny chłopak. To pana na trochę uspi, a ja zajrzę tu później.

Doktor Lyons wstał i jeszcze zanim dotarł do drzwi, oczy mi się zamknęły.

Kiedy się obudziłem, wziąłem pamiętnik, by spisać swoje ostatnie myśli.

Żeby całkiem nie oszaleć, muszę wierzyć, że moje życie nie było jednym kłamstwem i że Elle naprawdę mnie kochała. A jeśli chodzi o to,

dlaczego nie wsiadła na statek... mogę tylko snuć przypuszczenia. Pewnie nie była w stanie dłużej znosić groźby, że pojawi się Kreeg Eszu i w końcu dokona zemsty, którą poprzysiągł. Jak mógłbym ją o to winić? Stale wisiało nad nami niebezpieczeństwo, w każdej chwili niebo mogło się nam zawalić na głowy. Zasługiwała na coś o wiele lepszego. Wiem, że naprawdę ją kocham, bo cieszę się, że jest już od tego wolna.

Ale wiem też, że bez Elle nic mi już tu nie zostało.

I tak kończy się historia Atlasa Tanita albo Bo D'Aplièse'a, albo połączenia jednego z drugim – pod jakimkolwiek imieniem mnie poznałeś, Czytelniku. Odłożę pióro i wyjdę na pokład. Oby moich Siedem Sióstr świeciło dla mnie jeszcze ten jeden, ostatni raz.

Nie boję się śmierci, ale mam nadzieję, że będzie szybka i że chłód Atlantyku oszczędzi mi bolesnych godzin dryfowania wśród nicości.

Co zrobię z diamentem? Może powinienem... go komuś przekazać? Czy jest jakiś sposób, by wysłać go Ericowi Kohlerowi w Szwajcarii, może dla Georga i Claudii? Zastanawiałem się nad tym. Ale gdyby Kreeg kiedykolwiek odkrył, gdzie trafił diament...

Spiszę testament, zanim wyskoczę. Zostawię majątek Hoffmanom, z zastrzeżeniem, że zapewnią opiekę tej dwójce dzieci. Może najlepiej byłoby, żeby ten przeklęty diament powędrował ze mną do mojego wodnego grobu. W ten sposób nie mógłby już wyrządzić więcej krzywd niż do tej pory.

Kiedy zbliżam się do końca tego wpisu, coś zaczyna mnie nękać. Zacząłem pisać ten pamiętnik w roku 1928 w Paryżu. Śmieszy mnie teraz, że byłem taki ostrożny w formułowaniu czegokolwiek na początkowych stronach. Nawet nie podałem swojego imienia. Oczywiście te środki ostrożności nic nie dały, bo Kreeg Eszu i tak wytropił mnie w Lipsku. Jeśli wytrwałś ze mną aż dotąd, Czytelniku, wydaje mi się, że powinienem

wszystko wyjaśnić i opisać zdarzenia, które przewróciły mi życie do góry nogami.

Kreeg, jeśli kiedykolwiek ten dziennik trafi do twoich rąk, chcę raz jeszcze podać dokładne okoliczności śmierci twojej matki. Proszę, błagam, przyjmij, że to relacja człowieka, którego życie dobiega końca, który nie ma już nic do ukrycia, więc nie może nic zyskać, kłamiąc.

~~Tiumeń, Syberia, kwiecień 1918 roku.~~

~~Kiedy o tym myślę, dzień moich urodzin wydawał się obiecujący, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Koniec dynastii Romanowów spowodował wielki...~~

Wybacz, Czytelniku. Kiedy to pisałem, przerwało mi pukanie do drzwi – doktor Lyons przyszedł sprawdzić, jak się czuję. Powiedział mi, że Sarah, dziewczyna z grupy sierot w trzeciej klasie, pytała o mnie, kiedy zszedł ocenić zdrowie dzieci pod pokładem.

– Była dla mnie bardzo dobra – powiedziałem szczerze. Nagle wpadłem na pewną myśl. Czuję na piersi diament, nadal zawieszony bezpiecznie na mojej szyi. – Chciałbym jej podziękować. Mógłby mi pan wytłumaczyć, jak dotrzeć do trzeciej klasy? – zwróciłem się do lekarza.

– Tak, jeśli jest pan pewien, że chce się na to powążyć. Nasze sierotki są w dobrej kondycji, ale obawiam się, że higiena osobista nie jest dla nich priorytetem, panie Tanit.

Udało mi się lekko zaśmiać.

– To naprawdę żaden problem, panie doktorze. Którędy się tam idzie?

Zszedłem do wnętrza RMS *Orientu* przez labirynt korytarzy i pomieszczeń. Wreszcie kilka poziomów poniżej mojego pokładu dotarłem do trzeciej klasy. Najbardziej uderzający był całkowity brak naturalnego

światła. Pomalowane na biało ściany odbijały sztuczne zimne promienie żarówek, co w jakiś sposób zakłócało poczucie czasu i przestrzeni.

We wspólnym pomieszczeniu trzeciej klasy znajdowały się zniszczone stoły i krzesła różnych wielkości. W powietrzu wisiał gęsty dym papierosowy. Przy największym stole siedziały nędznie ubrane dzieci. Między nimi dostrzegłem Eddiego, chłopaczka, który wcześniej był na pokładzie z Sarah, ale jej nigdzie nie dojrzałem.

Podszedłem do grupy.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Czy jest tu gdzieś może Sarah?

– Znowu się wykradła – rzucił jeden z chłopców i natychmiast przeraził się tym, co powiedział. – Ale niech pan się na nią za bardzo nie gniewa, panie, ona tylko lubi patrzeć na ocean.

Uśmiechnąłem się do niego, żeby go uspokoić.

– Słusznie. Ja też lubię.

– To nie zbije jej pan? – zapytał.

– Miałbym ją bić?! Nie, na Boga. Przeciwnie. Chciałem jej podziękować.

Podniosłem kciuki, patrząc na Eddiego, a on zrobił to samo.

– Nie należę do załogi. Jestem pasażerem.

– Eleganckim? Mówi pan jak elegancki gościu! – powiedział inny chłopiec, wywołując chichoty wokół stołu.

– O, nie taki elegancki jak niektórzy na tym statku. Myślicie, że znajdę Sarah na pokładzie widokowym?

– Pewnie taaa – odparł chłopiec.

Na pokładzie widokowym panowała cisza. Jedynym towarzystwem była czerń wody i przenikliwy styczniowy chłód. Wzdychając, oparłem dłonie na relingu i popatrzyłem w górę na niebo. Tej nocy szczególnie jasno

świeciła Celaeno. Szum sunącego przez fale statku działał kojąco. Na skórze czułem zimny ożywczy powiew świeżego powietrza.

– To pan, prawda? – dobiegł mnie znajomy głos z cienia.

Obejrzałem się i zza budki z kołem ratunkowym wyłoniła się Sarah.

– Ten gościu, który odpłynął?

– Witaj, Sarah. Chciałem podziękować ci, że tak się mną rano zaopiekowałaś.

– Ciii, mów pan ciszej. Nie wolno mi tu być! – Podniosła palec do ust.

Westchnąłem.

– Co za idiotyczne przepisy. Słuchaj, stań przy mnie, to nikt nie będzie się ciebie czepiał.

Dołączyła do mnie przy relingu. Milczeliśmy chwilę, wdychając słonawo pachnące powietrze.

– Czujesz się pan już lepiej? – spytała wreszcie.

Kiwnąłem głową.

– O wiele lepiej, dziękuję. Ty jedna pospieszyłaś mi na ratunek. To bardzo ładnie z twojej strony.

– Nie ma sprawy, panie. Ludzka przyzwoitość tego wymaga, no nie? Ale wszystkie te eleganciki z góry wolą nie pobrudzić sobie kolanek, niż komuś pomóc. – Zniesmaczona, cmoknęła zabawnie.

Szmer płynącego *Orientu* odpręzał. Poczułem, jak spada mi ciśnienie. Naprawdę przyjemnie było znaleźć się na oceanie.

– Mógłbym spytać, ile sierot płynie do Australii? – zagadnąłem.

Przez chwilę liczyła.

– Pewnie jakaś setka – odparła w końcu. – Wiesz pan, ja mam piętnaście lat, więc daję radę. Ale tam na dole są maluchy, co mają najwyżej trzy latka. Tych to mi żal.

Patrzyła w ciemność. Wzruszyło mnie, że tak się troszczy o innych. Przecież sama była jeszcze dzieckiem.

– Mogę spytać, co się stało z twoimi rodzicami? – odezwałem się łagodnie.

Sarah rozejrzała się po pustym pokładzie, jakby sprawdzała, czy ktoś nie podsłuchuje. Domyśliłem się, że to bolesne wspomnienie i pewnie rzadko o nim mówi.

– W czasie wojny na East End spadało mnóstwo bomb. Ostatnia upadła na nasz dom. Było nas dziesięcioro w piwnicy, w tym mama... wiesz pan, bo wyły syreny. Ale mama przypomniała sobie, że zostawiła robótkę na górze, i pobiegła po nią akurat wtedy, kiedy to coś łupnęło nam w dach. Mnie wykopali z gruzów. Nie byłam nawet draśnięta. Miałam wtedy sześć lat. Gościu, co usłyszał, jak się drę, powiedział, że to był jakiś cholerny cud.

Już podniosłem rękę, żeby położyć dłoń na jej ramieniu, ale pomyślałem, że mogłoby się to wydać nie na miejscu.

– Okropne. Współczuję straty. I gdzie się potem znalazłaś?

Nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli, nim odpowiedziała.

– Ciocia wzięła mnie do siebie. Mieszkała na tej samej ulicy. To miało być tylko na trochę, aż tata wróci z wojska we Francji. Tylko że nie wrócił, a ciocie nie stać było, żeby mnie żywić, więc trafiłam do sierocińca. Było tam dobrze, bo trzymaliśmy się razem. A potem któregoś dnia powiedzieli, że jedziemy do Australii, po nowe życie. No i płyniemy.

Orient napotkał wyższe fale. Sarah i ja poczuliśmy na twarzach kropelki wody. Zachichotała gardłowo, na co ja też lekko się zaśmiałem. Jej optymizm podnosił mnie na duchu, a nawet udzielał się trochę; trudno było się temu oprzeć.

– Straciłeś pan kogoś na wojnie? – spytała.

Pomyślałem o Karine, Pipie i Archiem Vaughanie.

– Tak.

Sarah pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Tak myślałam. Masz pan smutek w oczach.

– Naprawdę?

Uśmiechnęła się ze współczuciem. Odwróciłem się twarzą do oceanu.

– Tak naprawdę straciłem też kogoś bardzo niedawno. Nie z powodu wojny.

– Kogo?

– Ma na imię Elle. – Zamknąłem oczy. – Była miłością mojego życia.

Dziewczyna podparła się pod boki.

– Ma na imię Elle? Chcesz pan powiedzieć, że nie kopnęła w kalendarz?

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu z powodu tego jej dosadnego sposobu wyrażania się.

– Nie, bynajmniej. Tylko że... nie wsiadła na statek.

Wyrzuciła ręce do góry.

– No to co się pan tak martwisz? Po prostu pan po nią wracaj!

– Gdyby tylko to było takie proste. Ona nie chce być ze mną. – Dotknąłem diamentu na szyi. – Ale chcę ci raz jeszcze podziękować. Mam tu coś dla ciebie.

Zacząłem wyciągać rzemyk sakiewki.

Sarah przytrzymała moją rękę, żeby mnie powstrzymać.

– O nie, nie wezmę pieniędzy, panie. Nie za coś takiego. To nie w porządku. To znaczy... jakbyś pan potrzebował, żeby zacerować skarpetki albo zaszyć porwane portki, to chętnie przyjmę zapłatę. Ale nie za tamto.

Trochę mnie zaskoczyła.

– Chyba nie rozumiesz, Sarah, to coś, co może odmienić twoje życie...

– Panie, jestem na statku, płynę na drugą stronę świata. Na razie to ja mam zmian aż potąd. – Pokazała, że powyżej nosa. – Jestem sprytna. Mam nadzieję, że znajdę pracę i zarobię na siebie. I znajdę sobie faceta!

Wsunąłem rzemyk z powrotem pod koszulę.

– W takim razie pójdę. Naciesz się wieczorem. I jeszcze raz ci dziękuję.

Ruszyłem na przeciwległą stronę pokładu.

– Wierzysz pan w Boga, panie?! – zawołała za mną.

Zaskoczyła mnie. Obróciłem się do niej.

– Co takiego?

– Ostatnio dużo o tym myślałam, a pan wyglądasz na bystrego gościa. Byłam ciekawa, co pan sądzisz.

Powoli zawróciłem do niej, zastanawiając się nad jej pytaniem.

– Chyba zależy to od tego, co rozumiesz przez Boga. Wierzę w siły wszechświata. Może to jedno i to samo.

Sarah pociągnęła nosem.

– Więc nie uważasz pan, że jest tam jakiś staruszek z siwą brodą?

Roześmiałem się.

– Wydaje mi się, że opisujesz Świętego Mikołaja, a w niego zdecydowanie wierzę.

– Ha! Jakoś nie zagląda zbyt często do sierocińca, to mogę powiedzieć na pewno.

– Hm... – Podniosłem wzrok i popatrzyłem w gwiazdy. – Wiesz, Elle była sierotą. Ja właściwie też. W pewnym sensie.

Skrzywiła się.

– Jak możesz pan być sierotą „w pewnym sensie”?

Uśmiechnąłem się.

– Dobre pytanie. Trudno to wyjaśnić.

– Czego jak czego, ale czasu to nam tu nie brakuje. Będę próbowała co noc uciekać z dołu, bo przez tych palaczy jest tam nie do wytrzymania. Możemy się tu spotykać i opowiesz mi pan swoją historię.

– Co? Moją historię? Nigdy nie opowiedziałem jej całej nikomu poza Elle. Jest bardzo długa. I dość smutna.

– Może na razie smutna. Ale jeszcze się nie skończyła, no nie?

Zawahałem się, niepewny, co odpowiedzieć.

Sarah się zaniepokoiła.

– Zara, zara. Znam to spojrzenie. Nie myślisz pan przypadkiem, żeby rzucić się do wody, co?

– Ja...

Naprawdę się wściekła.

– Nie bądź pan takim sobkiem. Wiesz pan, kto byłby najszczęśliwszy w świecie, jakby tu teraz był? Moja mama. Ale nie może, bo bomba spadła jej na głowę. To samo ze wszystkimi rodzicami tych dzieciaków na dole. Oddałyby wszystko, żeby znów mieć rodziców, których tak okrutnie im odebrano. A tu pan dumasz sobie, żeby wyskoczyć.

Cofnąłem się.

– Nie chciałem cię zdenerwować, Sarah...

– Mnie? E tam! Ja dam sobie radę. Ale wiesz pan, dla tych, co pana lepiej znają, to już inna sprawa. Co będzie, jak ta Elle dowie się, że się pan przez nią zabiłeś? Jak pan myślisz, będzie potrafiła żyć z czymś takim na sumieniu?

Wpatrywała się we mnie wielkimi oczami, unosząc brwi. Tak naprawdę do głowy mi nie przyszło, że Elle mogłaby poznać okoliczności mojej śmierci. Sarah mówiła dalej.

– Poza tym, jak ona pana kochała – ciągnęła Sarah – a wygląda, że tak, to na pewno ostatnie, czego by chciała, to żebyś pan ze sobą skończył.

Szukałem odpowiedzi.

– Może i masz rację – przyznałem po chwili. – Jeszcze raz przepraszam. Wybacz, że sprawiłem ci przykrość. Zwłaszcza że i ja straciłem rodziców w dzieciństwie.

To jednak wcale nie ułagodziło Sarah – rozzłościło ją jeszcze bardziej.

– No to skacz pan, do cholery! Myślisz pan, że rodzice ucieszyliby się, widząc, jak ich syn rzuca się do oceanu? – Wskazała na niebo. – Ja nie sądzę!

Bezpośredni sposób, w jaki mówiła dziewczyna, trochę mnie otrzeźwił.

– Masz całkowitą rację, Sarah.

Nagle zrobiło mi się strasznie wstyd z powodu moich zamiarów.

Zbliżyła się do mnie o krok.

– Musisz pan pamiętać – dodała łagodniejszym już tonem – że życie to dar. Cokolwiek by się działo.

Łzy podeszły mi do oczu. Skinąłem głową.

– Elle też tak mi kiedyś powiedziała.

Sarah wzruszyła ramionami.

– Miała rację. – Popchnęła mnie lekko w pierś. – A jak dopłyniemy do Australii, możesz pan znaleźć sobie miłą nową dziewczynę, która nie będzie pana porzucać na statkach. Co nie?

Zaśmiałem się przez łzy.

– Prawda, Sarah. Przekonałaś mnie.

– Ale naprawdę chciałabym usłyszeć pana historię. Moglibyśmy zacząć od jutra wieczorem. Nie wystawisz mnie pan do wiatru, co?

Pokręciłem głową.

– Nie – obiecałem.

Powiedziałem jej „dobranoc” i wróciłem do kajuty, do pamiętnika. Dotrzymam obietnicy danej Sarah. Jakimś sposobem zdołała wyrwać mnie z czeluści czarnych myśli. Ta dziewczyna mimo trudnego życia stara się widzieć jaśniejszą stronę, a co więcej, znajduje w sobie dość sił, by troszczyć się o innych.

Przypomina mi trochę Elle.

Po raz kolejny, Czytelniku, wszechświat rzucił mi linę ratunkową. Następnego wieczoru, podobnie jak przez wszystkie kolejne, spotykałem się na pokładzie widokowym RMS *Orientu* z Sarah. Podzieliłem się z nią swoją historią, nie pomijając niczego. Chłonęła każde moje słowo. Skusiło mnie nawet, by pokazać jej diament.

– O rany! Żałuję, że nie chciałam go wtedy przyjąć! Przecież on jest wielkości cholernego szczura!

– Obiecujesz, że nie powiesz nikomu na pokładzie, że go mam? Pieniądze i diamenty mogą odbierać ludziom rozum, o czym chyba przekonała cię już moja historia.

Postukała się palcem w nos.

– Możesz się pan nie martwić, panie T, pana sekret jest u mnie bezpieczny. – Skrzyżowała ramiona na piersi i oparła się plecami o drewnianą ławkę na pokładzie widokowym. – Wiesz pan, czego nie mogę pojąć? Jak dziewczyna planuje ucieczkę, po co miałyby kupować suknię ślubną?

Zastanowiłem się nad uwagą Sarah. Była bardzo trafna.

– Długo ją wybierała? – spytała.

Sięgnąłem pamięcią do tamtej chwili.

– Raczej tak... tak.

Cmoknęła w zamyśleniu.

– Bardzo dziwne, panie T. Podobnie jak to, że ta torba tak sobie leżała zostawiona na nabrzeżu, jakby pana Elle rozplynęła się w powietrzu.

– Zgadzam się z tobą. To musiała być decyzja podjęta w ostatniej chwili.

Skinęła głową.

– Na to wygląda. Myślisz pan, żeby wrócić i jej szukać?

To pytanie stawiałem sobie podczas wielu bezsennych nocy.

– Zawsze obiecywałem, że będę ją chronił. Martwię się, że gdybym wrócił, to znów naraziłbym ją na niebezpieczeństwo. Staram się zaakceptować to, że po tym, jak ode mnie odeszła, jest bezpieczna, że to było dla niej najlepsze wyjście – odparłem ze smutkiem.

Sarah klepnęła mnie w plecy.

– Współczuję panu, panie T. Czy jutro, kiedy dopłyniemy do Port Saidu, wyjdiesz pan na ląd?

Starałem się otrząsnąć i skupić na jej pytaniu.

– Na pewno. Nie przegapię takiej okazji, skoro mogę postawić stopę w całkiem nieznanym mi kraju. Przypuszczam, że opiekunowie pozwolą tobie i innym dzieciom zejść z pokładu i trochę pozwiedzać?

Sarah roześmiała się.

– Tak! Nie możemy się już doczekać. Podobno jest taka stara bogata Szkotka, bogatsza nawet od pana, co płynie pierwszą klasą, i zafunduje nam wszystkim słodycze i egipskie smakołyki. Wyobrażasz pan sobie?!

– Naprawdę? To fantastyczna wiadomość. Jak się nazywa ta pani?

Sarah zmrużyła oczy, starając się sobie przypomnieć.

– Chyba ktoś mówił, że Kitty Mercer. Podobno jej mąż umarł. Albo rzucił ją czy coś. Nie jestem pewna. Ale ona ma worki pieniędzy.

Pomyślałem chwilę.

– Zastanawiam się, czy ona nie ma czegoś wspólnego z wielką australijską firmą Mercer handlującą perłami – powiedziałem. – Czytałem o nich w gazecie.

– Pewnie tak. Podobno ma ogromny dom w Australii, choć zaczynała jak my... to znaczy bez pieniędzy. Wszyscy mówią, że tam, gdzie płyniemy, można się ustawić. Jak pan sądzisz, jak tam będzie?

Bez mojej miłości... pusto, potwornie smutno wśród wielkich, bezlitosnych przestrzeni, pomyślałem.

– Wyobrażam sobie, że fantastycznie, a przede wszystkim ty doskonale dasz tam sobie radę.

Następnego dnia obserwowałem, jak Kitty Mercer prowadzi małą armię dzieciaków ze statku i zabiera je do Port Saidu. Kiedy ją zobaczyłem, zorientowałem się, że już ją widziałem – w dniu, kiedy wypływaliśmy z Tilbury. Była jedną z tych osób, które w rozpaczy wypytywałem o Elle.

Ponieważ *Orient* był dotąd w stałym ruchu, na pokładzie zawsze wiało i nikt nie czuł, jak jest gorąco. Kiedy jednak przybiliśmy do brzegu, uderzył nas afrykański żar. Idąc w kierunku trapu, przeciskałem się przez tłum pasażerów o twarzach czerwonych od upału. Po zejściu na ląd uderzył mnie zapach niemytych ciał i gnijących owoców. Brnąłem naprzód przez ruchliwy port, patrząc na miarowy rozładunek i załadunek statków. Znoszono z nich skrzynie, prowadzono na nie zwierzęta.

Po opuszczeniu portu ruszyłem na stare miasto. Wkrótce trafiłem na dobrze zaopatrzony targ, gdzie oferowano przyprawy, owoce i placki pieczone w rozgrzanych piecach. Powietrze wokół nich aż falowało z gorąca. Lokalni mieszkańcy kłębili się dokoła w barwnych szatach i fezach. Starąłem się chłonąć to wszystko.

Cały czas jednak gnębiła mnie smutna myśl. O ile przyjemniej byłoby zwiedzać to miasto, gdybym znalazł się tu z Elle. Nagle arabski smakołyk,

który kupiłem, stracił cały smak, jaskrawe kolory na straganach nie robiły na mnie żadnego wrażenia.

Tego wieczoru Sarah nie przyszła do mnie na codzienną późną rozmowę. Nie miałem do niej o to żalu. Pani Mercer mogła zapewnić jej i innym sierotom weselsze chwile niż ja w swoim obecnym stanie. Ale i tak co wieczór wychodziłem na pokład, bo weszło mi to w nawyk, i zamiast z Sarah rozmawiałem ze swoimi Siedmioma Siostrami. Pięć wieczorów później moja młoda przyjaciółka pojawiła się znowu.

– Dobry wieczór, panie T!

– Witaj, Sarah. Myślałem, że całkiem już o mnie zapomniałaś.

– Miałabym o panu zapomnieć? Nie bądź pan głupi. Ja tylko pomagałam pani Mercer wyszorować maluchy w jej wannie i uszyć im nowe ubranka. Pozwoliła mi pociąć swoje drogie sukienki. Uwierzyłbyś pan w coś takiego?

– Wygląda na to, że to bardzo dobra kobieta – odparłem.

– O tak. Tak jak z pana dobry gościu. Mam szczęście, że was spotkałam, naprawdę.

– Jest na odwrót, Sarah. To ja miałem szczęście, że spotkałem ciebie – powiedziałem szczerze.

Mrugnęła do mnie.

– Właściwie to może i racja. Rozmawiałam z panią Mercer o panu. Chciałaby pana poznać.

Serce mi zamarło.

– Mówiłaś jej o mnie?

– Spokojnie. Nie mówiłam nic o Kreegu ani o tym wielkim kamyku, który pan nosisz. Po prostu powiedziałam, że dobry z pana gościu, któremu się nie powiodło i który potrzebuje pomocy.

Czułem się trochę skrępowany sytuacją.

– Nie chciałbym sprawiać nikomu kłopotu.

Sarah przewróciła oczami.

– Panie T, sprawia się kłopot, kiedy nie potrzebuje się pomocy, a się o nią prosi. A mnie się wydaje, że panu przydałoby się wsparcie. Ona jest wpływową osobą w Australii. A my co mamy? Nic! Więc widzę to tak: jeśli ona chce nam ułatwić start, to czy stać nas, żeby to odrzucić?

Nie potrafiłem zaprzeczyć, że dobrze rozumuje.

– Masz rację, ta pani na pewno ma znajomości w Australii – przyznałem. – Dobrze byłoby mieć od czego zacząć.

Klasnęła w dłonie.

– Właśnie! No to do zobaczenia w jej kajucie jutro wieczorem o siódmej. Pójdiesz pan do pierwszej klasy i spytasz o panią Mercer. Ochmistrz pewnie nie będzie patrzył na pana z taką pogardą jak na mnie i inne sieroty, kiedy chodzimy ją odwiedzać.

Następnego wieczoru poszedłem wyłożonym grubym dywanem korytarzem do pierwszej klasy. Ochmistrz wskazał mi drzwi kajuty Kitty Mercer. Zapukałem i otworzył mi mężczyzna, który miał na sobie coś w rodzaju smokingu.

– Dobry wieczór panu. Nazywam się McDowell, jestem lokajem pani Mercer. Proszę wejść.

Wszedłem za nim do elegancko urządzonej kajuty.

– Mój Boże, jaki piękny pokój – zauważyłem. Żyrandol, kryte jedwabiem kanapy i wielki iluminator tworzyły atmosferę jak w jakimś apartamencie w pierwszorzędnym hotelu na łądzie. – Ale jeśli mogę zadać śmiałe pytanie, gdzie się tu sypia?

– To tylko salon. Sypialnia jest obok – odparł McDowell. – Pani Mercer zaraz przyjdzie. Mogę panu zaproponować coś do picia?

– Poproszę angielską herbatę, jeśli można.

– Dobry wybór – usłyszałem dystyngowany głos ze szkockim akcentem zza drzwi sypialni.

Kiedy się otworzyły, pojawiła się Kitty Mercer w wytwornej fioletowej sukni wieczorowej i – jak można się było spodziewać, biorąc pod uwagę rodzinny biznes – imponującym naszyjniku z pereł.

– Ale nie przyłączyłby się pan do mnie na coś mocniejszego? James przyrządza wspaniały gin z tonikiem.

– Dobry wieczór, pani Mercer. – Zastanawiając się nad jej propozycją, pomyślałem, że nie zaszkodzi mi drink z miłą gospodynią. – Jeśli pani poleca, z przyjemnością napiję się z panią.

– Cudownie. James.

McDowell skinął głową i podszedł do szafki z trunkami, która wydawała się lepiej zaopatrzona niż większość barów, w jakich dotąd byłem.

– Proszę usiąść, panie Tanit – powiedziała ze szkockim zaśpiewem Kitty.

Przysiadłem na jednej z obitych szarym jedwabiem kanap, a ona zajęła miejsce na drugiej, naprzeciwko mnie.

– To wspaniałe, co zrobiła pani dla dzieci z dolnego pokładu. Dziękuję, że się pani nimi zaopiekowała – powiedziałem.

Kitty uśmiechnęła się.

– Robię tylko to, co powinien każdy o mojej pozycji. Wiem, że zaprzyjaźnił się pan z Sarah. To wyjątkowa młoda kobieta.

W pełni się z nią zgadzałem.

– Bardzo lubię z nią rozmawiać – przyznałem i zastanawiałem się, jak taktownie sformułować pytanie, które chodziło mi po głowie. – Mogę

zapytać, co Sarah opowiedziała pani o... mojej sytuacji?

– Tylko to, że jest pan dobrym człowiekiem, który traktował ją życzliwie i z szacunkiem, podczas gdy inni pasażerowie z wyższych klas zachowują się zupełnie inaczej. Kiedy zapytałam, czym się pan zajmuje, powiedziała, że w związku z tragedią osobistą chce pan zacząć od nowa w Australii. Czy to prawda?

Zaśmiałem się lekko.

– Tak.

James postawił drinki na szklanym stoliku między kanapami.

– Na zdrowie – rzuciła Kitty, unosząc swojego.

– Na zdrowie – odparłem i upiłem spory łyk. Smak był gorzki, ale odświeżający. – Mój Boże, nie kłamała pani. – Spojrzałem na Jamesa. – Moje gratulacje.

Lokaj skinął głową.

– Dziękuję panu. Zostawię państwa. Proszę dzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała.

– Pani perły są niebywale piękne – powiedziałem, kiedy wyszedłem z salonu. – Mam nadzieję, że nie niepokoi pani to, że wiem o pani rodzinnej firmie w Australii. „Financial Times” często pisał o państwa sukcesach.

Uniosłem szklanę, by wznieść za nią toast.

– Dziękuję. Choć zawsze bawi mnie, gdy ktoś mówi, że kieruję firmą rodzinną. Ja jedynie wyszłam za członka rodziny Mercerów. A potem przez zbieg okoliczności stanęłam na czele imperium, którego nie zbudowałam.

– Czy to okazało się ciężarem? – spytałem.

Kitty zastanowiła się przez chwilę.

– Nie. To był zaszczyt. Ale to już moja ostatnia podróż do Australii. Zamierzam przekazać prowadzenie interesów bratu, Ralphowi

McBride'owi.

– McBride'owi?

– To moje panieńskie nazwisko, panie Tanit. Byłam Kitty McBride na długo przed tym, nim stałam się Kitty Mercer. W ciągu ostatnich trzech lat Ralph sprawdził się jako utalentowany zarządca. Ma głowę do interesów. No i w naszych żyłach płynie ta sama krew. Nie wyobrażam sobie, by w przyszłości ktokolwiek mógł lepiej poprowadzić przedsiębiorstwo niż właśnie on.

Przez następną godzinę Kitty opowiedziała mi swoją skomplikowaną historię; mówiła o zawodzie miłosnym, nowych początkach i – co najbardziej szokujące – związku z dwoma identycznymi bliźniakami: Andrew i Drummondem Mercerami.

Gdy skończyła, przez dłuższą chwilę milczałem.

– Jeszcze nie spotkałem osoby, której historia mogłaby rywalizować z moją. Aż do dziś – odezwałem się wreszcie.

Kiedy myślałem o niezwykłych wydarzeniach z życia Kitty, szczególnie zaintrygował mnie jeden aspekt... szczegół, który wydał mi się bardziej zdumiewający niż wszystko inne.

– Ta Różowa Perła... Naprawdę wierzy pani, że jest przeklęta?

Kitty powoli łyknęła odrobinę ginu.

– Kiedy Andrew zmusił Drummonda, by wysiadł z *Koombany*, łódź zatoneła, zabierając Andrew ze sobą. Potem córka mojej służącej, młodziutka Alkina, zniknęła po odnalezieniu perły na pustkowiach Australii. – Kitty patrzyła na mnie uważnie. – Niech pan mi powie, panie Tanit, czy po tym, co panu opowiedziałam, chciałby pan, by ta perła stała się pana własnością?

Nie musiałem się długo zastanawiać.

– Nie, nie chciałbym.

Zdobyła się na ponury chichot.

– Ja też nie.

– Wie pani, gdzie ona teraz jest? – spytałem.

– Nie – odparła. – Nie mam pojęcia. I myślę, że tak jest lepiej, nie sądzi pan?

Skinąłem głową ze zrozumieniem.

– A skoro już pan wie o moim planie przekazania interesów bratu... Jestem pewna, że będzie potrzebował mądrych doradców, by pomagali mu w decyzjach, które będzie musiał codziennie podejmować. Jeśli szukałby pan pracy, bez wahania poleciłabym pana Ralphowi. Choć oczywiście ostateczna decyzja należałaby do niego.

Wzruszyła mnie jej dobroć.

– Dziękuję pani. Ale przecież dopiero co się poznaliśmy. Skąd ma pani pewność, że można mi zaufać i oferować taką pomoc?

Kitty uśmiechnęła się ciepło.

– Sarah pana uwielbia. Ciekawe... Z tego, co mówiła, jedyną pana zbrodnią jest złamane serce. Po tym, jak usłyszał pan moją historię, wie pan, że jeśli chodzi o te sprawy, to dobrze je znam.

– Rzeczywiście. Naprawdę nie wiem, jak pani dziękować.

Wstała i podeszła do mahoniowego biureczka w kącie salonu.

– To adres Alicia Hall w Adelaide. Jest najbardziej okazałym domem na Victoria Avenue. Tam znajdzie pan Ralpa i jego żonę Ruth. Kiedy przybijemy do brzegu, od razu udam się do nich. Poinformuję Ralpa o swoim postanowieniu, a potem ruszam w okolice Ayers Rock. – Zamyślona popatrzyła w okno. – Zawsze zamierzałam wybrać się w pielgrzymkę do tej skały. Już jako mała dziewczynka. Ale życie miało inne plany. Teraz, kiedy po raz ostatni jestem w Australii, wreszcie tam pojedę. – W jej oczach widać było radość. – Jeśli nie ma pan nic przeciw

temu, byłabym wdzięczna, gdyby dał mi pan kilka dni na uporządkowanie moich spraw, nim pojawi się pan w Alicia Hall.

– Oczywiście – odparłem. – Cieszę się bardzo, że odwiedzi pani w końcu Ayers Rock. Czy rdzenni mieszkańcy nie nazywają jej Uluru?

Wydawała się zaskoczona.

– Racja. Nie sądziłam, że interesuje pana dziedzictwo Aborygenów.

Dokończyłem drinka.

– Przyznam, że nie wiem tyle, ile powinienem. Ale dawno temu ojciec mówił mi, że Uluru to święte miejsce.

Kitty skinęła głową.

– Tak, zwłaszcza dla Aborygenów. Twierdzą, że pochodzi z Czasu Snu.

– Czasu Snu?

Wróciła na kanapę naprzeciwko mnie.

– Nazywanego też Snem. To nie są sprawy zbyt zrozumiałe dla nierdzennej ludności. Ale Aborygeni wierzą, że Czas Snu był stanem na początku wszechświata. W ich kulturze ziemię i ludzi stworzyły duchy albo przodkowie, których dziełem są rzeki, wzgórza, skały...

– I Uluru – dodałem.

– No właśnie. Dlatego ta skała jest tak wyjątkowa.

Oboje przez chwilę wyobrażaliśmy sobie wielką formację z piaskowca pośrodku pustkowia, która jest widoczna z każdej strony z odległości wielu kilometrów.

– Wie pan, że ona nawet zmienia kolor w różnych porach roku i jarzy się pomarańczowo o zachodzie słońca?

– To musi być magiczne.

– Zawsze tak myślałam.

Oczy Kitty błyszczały na myśl o niezwykłym miejscu, którego tak długo nie udało się jej odwiedzić. Chwilę trwało, nim znów się odezwała.

– Przepraszam, zamyśliłam się. A więc ma pan adres Alicia Hall, a ja poinformuję brata, że wcześniej czy później pan się u niego pojawi.

Wstałem i delikatnie ująłem jej dłoń.

– Dziękuję pani. Jestem ogromnie wdzięczny pani... i Sarah również. Zastanawiam się... czy może byłaby pani w stanie jakoś pomóc jej w Australii? Wiem oczywiście, że już i tak zrobiła pani dla niej wiele dobrego.

Kitty uśmiechnęła się do mnie zagadkowo.

– Mam dziwne przeczucie, że ta młodziutka Sarah i ja będziemy w kontakcie bardzo, bardzo długo.

Podziękowałem jej jeszcze raz, pożegnałem się i wróciłem do swojej kajuty.

Alicia Hall, Adelaide, Australia

Nigdy jeszcze nie doświadczyłem takich upałów. Australijskie słońce dławi i dusi. To coś zupełnie innego niż przyjemnie grzejące promienie śródziemnomorskie. Tutaj, na nowym kontynencie, nawet ziemia jest spieczona, a zamieszkujące go dziwne stworzenia przystosowały się przez wieki do znoszenia takich temperatur. Ja, niestety, nie mam tego luksusu. Jestem zimnokrwisty; przywykłem raczej zatrzymywać ciepło, niż się go pozbywać.

Pomijając pogodę, moje pierwsze wrażenia z Australii potwierdziły, że ten kontynent jest uderzająco piękny. Na pustkowiach o kolorze brunatnoczerwonym wyrastają gdzieniegdzie pierwotne formacje skalne i zielone krzewy. Większość terenu pokrywa pomarańczowe błoto, które wysycha w słońcu na pył i wiatr znosi go na drogi niczym baśniowy kurz.

Jeśli chodzi o Alicia Hall, rzadko można zobaczyć tak cudowną oazę. Po dniach spędzonych w porcie Adelaide ruszyłem w końcu drogami, przy których stały budy kryte blachą falistą, potem domki i wreszcie dotarłem na szeroką aleję między okazałymi rezydencjami. Alicia Hall jest z nich najwspanialsza. To biała kolonialna willa zbudowana tak, by wytrzymać żar dnia, otoczona ze wszystkich stron zacienionymi werandami i tarasami osłoniętymi delikatną kratką.

Bujny ogród jest podzielony na części. Wśród trawników wyznaczono ścieżki, niektóre osłonięte drewnianymi pergolami porośniętymi wisterią.

Ciemnozielone ozdobne krzewy idealnie przystrzyżono, a rabaty na obrzeżach trawnika – z amarantowymi i pomarańczowymi kwiatami, które mają błyszczące zielone liście, i z pachnącymi miodem drobnymi fioletowymi kwiatkami – są zadbane. Godzinami patrzyłem z zachwytem na wielkie niebieskie motyle przysiadające wśród nich, by spijać słodki nektar. Ogród otaczają wyniosłe drzewa o niezwyklej, upiornie bladej korze i świeżej mentolowej woni, którą przynosi do domu wieczorna bryza, gdy w tle rozbrzmiewa kakofonia dźwięków wydawanych przez chór owadów.

*

Ralph McBride miał charyzmatyczne błękitne oczy, mocny zarys szczęki i gęste kasztanowe włosy. Ku mojemu zaskoczeniu był o wiele młodszy od Kitty – chyba nawet o jakieś dwadzieścia lat. Kiedy tydzień po przybyciu do Adelaide stanąłem na progu jego domu, zostałem bardzo serdecznie powitany.

– Pan Tanit! Witamy w Alicia Hall.

Z entuzjazmem uścisnął mi dłoń i poprowadził okazałym holem. Kiedy posadził mnie w salonie, poprosił gosposię, Kilarę, o filiżankę gorącej herbaty.

– Myślę, że wystarczyłaby mi szklanka wody – wtrąciłem.

– Ach! Najwyraźniej jak ja pochodzi pan z chłodnych stron. Ja też, kiedy tu przyjechałem, nie mogłem sobie wyobrazić nic gorszego niż gorąca herbata w tym klimacie. Moja mądra siostra wyjaśniła mi jednak, że od herbaty człowiek się poci, aktywując naturalny system ochładzania organizmu.

Wzruszyłem ramionami.

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Ralph uśmiechnął się lekko.

– Australia jest pełna niespodzianek. Odkryje pan tu nowy sposób patrzenia na życie.

– Mam taką nadzieję.

– Siostra mówiła, że potrzebuje pan pracy. Powiem wprost, że rekomendacja Kitty mi wystarcza. Chętnie dam panu pracę, jaką mam na myśli... jeśli zechce ją pan przyjąć. – Ralph chyba się wahał. – Jestem pewien, że wie pan, co dla mnie zrobiła, więc bardzo chciałbym się jej odwdziżyć w każdy możliwy sposób.

– Byłbym wdzięczny za jakąkolwiek pracę, którą zechciałby mi pan powierzyć – powiedziałem szczerze. – Nie jestem wybredny.

Ralph, który siedział na starym drewnianym krześle, wychylił się w moją stronę.

– Co pan wie o opalach, panie Tanit?

Pomyślałam o wisiorku noszonym przez matkę Kreega.

– Tylko tyle, że to piękne i rzadkie kamienie, cenione w jubilerstwie.

– Owszem. Dzięki niezwykłemu układowi geologicznemu Australia jest od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o wydobycie opali. Zaspokajamy ponad dziewięćdziesiąt procent światowego zapotrzebowania. Tak całkiem szczerze mówiąc, interes z perłami po wojnie podupadł. Podnosi się, ale pomału. – Wyprostował się na krześle i chyba nieświadomie poprawił kamizelkę. – Jako nowy szef przedsiębiorstwa zamierzam przywrócić mu dawną świetność.

– Rozumiem.

– Mój siostrzeniec Charlie był mądrym chłopakiem, ale niestety, wojna nam go zabrała. Charlie wiedział, z której strony wieje wiatr. Zainwestował w winnice i w kopalnię opali w Coober Pedy. To dość dochodowe przedsięwzięcie, ale nie wykorzystujemy w pełni jego potencjału. Właśnie stamtąd wróciłem.

Przyszła Kilara z herbatą na misternie zdobionej srebrnej tacy.

– Kilara, Coober Pedy to po aborygeńsku, prawda?

– Tak, proszę pana. – Gosposia skinęła głową. – *Kupa piti*. To znaczy „wodopój chłopaków”. – Zaczęła nalewać herbatę. – Z cytryną czy mlekiem, proszę pana? – Popatrzyła na mnie.

Uderzył mnie niezwykle kolor jej oczu, brązowych, mieniących się jak światło księżyca.

– Z mlekiem, poproszę.

– Jak mówiłem, Coober Pedy to kraina opali – ciągnął Ralph. – Jestem pewny, że nawet nie drasnęliśmy tego, co naprawdę kryje się pod ziemią. Kiedy tam byłem, zaoferowano mi tanio więcej terenów. Zamierzam w to zainwestować.

Łyknąłem herbaty.

– To brzmi bardzo intrygująco – przyznałem. – Ale w jakiej roli widziałby mnie pan w tym przedsięwzięciu?

– Potrzebuję kogoś, kto poprowadziłby tam prace. To nie będzie łatwe zadanie. Jak w przypadku każdej kopalni łączą się z tym spore zagrożenia. A przekona się pan, że w Australii standardy ochrony zdrowia i bezpieczeństwa nie są tak wysokie jak w Europie.

– Pod ziemią może być przynajmniej chłodniej niż tu na górze. – Uśmiechnąłem się i odstawiłem filiżankę na spodek.

Ralph popatrzył na mnie z nadzieją.

– Mogę w takim razie uznać, że jest pan zainteresowany?

– Tak, panie McBride, oczywiście.

– Cudownie. Nie chciałbym jednak umniejszać ryzyka związanego z podjęciem tej pracy. Mamy już tam głębokie szyby, a zależy mi, by zbudować ich o wiele więcej.

Uznałem, że powinienem zapewnić go, że to nie problem.

– Panie McBride, niedawno straciłem miłość swojego życia. Mogę bez wahania powiedzieć: to cud, że nadal jestem na tym świecie i w ogóle oddycham. Już niczego się nie boję. Prawdę mówiąc, nie zależy mi specjalnie na życiu. Cieszę się z szansy, jaką tak uprzejmie mi pan oferuje.

Ralph zmieszał się lekko.

– Przykro mi to słyszeć, panie Tanit.

– Proszę mówić do mnie Atlas.

– Atlas... Fantastyczne imię! I całkiem odpowiednie, skoro ma pan schodzić pod ziemię i wziąć na swoje barki kopalnie opali! – Wyciągnął rękę, by uścisnąć mi dłoń. – Zadbam, żebyś został szczerze wynagrodzony. – Uniósł brew. – Tak naprawdę mam pewien pomysł. Poza pensją może zaproponuję ci procent od zysków? Powiedzmy... dziesięć procent?

Byłem w szoku.

– To bardzo wspaniałomyślne z pana strony. Ale nie ma potrzeby...

Ralph nie dał mi skończyć.

– W Szkocji mamy takie powiedzenie: „Nie zagłądaj darowanemu koniowi w zęby”. – Uśmiechnął się szeroko. – Chcę cię zmotywować. Naprawdę myślę, że chodzi o wielką stawkę. Jeśli wykonasz pracę tak, jak wierzę, że można to zrobić, mam nadzieję, że zarobisz mnóstwo pieniędzy. Będziesz odpowiedzialny za rozszerzenie działalności. Eksport opali, zdobywanie kontraktów... Jest wiele do zrobienia. Będziesz zadowolony z tych dziesięciu procent, zapewniam cię.

Skinąłem głową.

– Dziękuję, panie McBride. Umowa stoi.

– Wspaniale! Wyślę wiadomość z potwierdzeniem, że natychmiast kupuję tamte ziemie w Coober Pedy. – Wstał. – Zakładam, że z tym

bagażem... – wskazał na moją sfatygowaną walizkę pokrytą kurzem z drogi
– potrzebujesz miejsca do zatrzymania się, zanim wyślemy cię na północ.

– Prawdę mówiąc, chwilowo nie mam gdzie się podziać – przyznałem.

– Jesteś mile widziany w Alicia Hall.

– Pana dobroć nie ma granic. Jestem niezmiernie wdzięczny.

– Szczerze mówiąc, musisz porządnie wypocząć... – Ralph był trochę skrępowany. – W Coober Pedy jest jedna rzecz, o której nie wspomniałem.

– Tak?

– Masz całkowitą rację, że pod ziemią jest o wiele chłodniej niż na powierzchni. Więc żeby uniknąć nieznośnego żaru pustyni, tamtejsza mała społeczność mieszka pod ziemią. Dosłownie wkopali się we wzgórza. Człowiek, od którego kupuję ziemię, odda mi też swoje lokum i w nim będziesz mieszkać. – Popatrzył na mnie z troską, jakby spodziewał się, że to mnie zniechęci.

– Zakopanie się pod ziemią, daleko od reszty świata, wydaje mi się dziwnie nęcące.

Odetchnął z ulgą.

– Czyli nie mogłem trafić lepiej! Pójdę teraz załatwić kilka spraw, a Kilara zadba, żeby ci było wygodnie.

Dopiłem herbatę i poderwałem się na nogi.

– Kilaro, zaprowadziłabyś pana Tanita do głównego pokoju gościnnego?

– Tak, proszę pana.

Skłoniła się lekko.

– Dziękuję. Do zobaczenia przy kolacji, Atlasie. – Ralph obrócił się, by wyjść, i od razu zderzył się z małym chłopcem, w którym rozpoznałem

Eddiego ze statku. – Hola, Eddie, nie pędź tak! – powiedział, mierzwiąc czuprynę chłopca.

– Eddie! – zawołałem, uśmiechając się szeroko. – Co ty tu, na Boga, robisz?!

Chłopaczek odpowiedział uśmiechem i wtulił głowę w nogawkę Ralpa.

Ten szybko połapał się, o co chodzi.

– No tak, przecież musicie się znać ze statku!

– O tak. Cieszę się, że go tutaj widzę.

– To dla nas zaszczyt go gościć. – Ralph objął ramieniem chłopca. – On i Tinky, cavalier king charles spaniel, są już najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Prawda, Eddie?

Mały z entuzjazmem pokiwał głową.

– O, zaraz, pewnie nie wiesz, Atlasie, że on i Sarah pojawili się tutaj u Kitty kilka dni po jej przyjeździe?

– Nie, nie wiedziałem. Pamiętam, że mieli się spotkać w porcie ze swoimi nowymi rodzinami zaraz po tym, jak dobiliśmy do brzegu.

Ralph westchnął ciężko.

– Taki był plan, podobno. Tylko że po nich dwoje nikt się nie zgłosił. Eddiego i Sarah zabrano do okropnego sierocińca. Ale uciekli i dotarli do Alicia Hall.

Popatrzył z dumą na chłopca.

– Z Sarah wszystko w porządku? – spytałem zaniepokojony.

– Tak, proszę pana – odparł Eddie. – Pani Kitty wzięła ją na służącą.

Odetchnąłem z ulgą.

– O, to bardzo dobra wiadomość.

Ralph zaśmiał się.

– Niezła z nich para – rzucił Ralph. – Z Sarah i mojej siostry. A co do tego sierocińca Świętego Wincentego à Paulo, to dopilnuję, żeby go zlikwidowano, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Podobno zakonnice zapręgają tam dzieci do niewolniczej pracy. Ale Eddie jest już tu bezpieczny, prawda, stary?

– Tak! – pisnął chłopiec, nim obrócił się i wybiegł z pokoju.

– Pierwszy raz słyszałem, jak on coś mówi – powiedziałem.

– To wyjątkowy malec. Mam nadzieję, że pewnego dnia... To głupie, bo przecież dopiero co pojawił się w naszym życiu, ale byłbym dumny, gdyby udało mi się zrobić z niego McBride'a. Oficjalnie. – Ralph odchrząknął. – Nie jestem bardzo wierzący, ale muszę przyznać, że Alicia Hall ma w sobie prawdziwą moc uzdrawiania. Dla mnie to oaza sprzyjająca refleksji i cichej medytacji. Możliwe, że i na ciebie podziała kojąco. – Poklepał mnie po ramieniu i wyszedł z pokoju.

– Wziąć walizkę? – spytała z uprzejmym uśmiechem Kilara, wskazując na mój bagaż.

– Dam sobie sam radę – odparłem. – Tylko zaprowadź mnie do pokoju.

Wzruszyła ramionami. Podniosłem walizkę i ruszyłem za gospożą paradnymi krętymi schodami. Rozglądałem się po domu, więc potknąłem się o drugi stopień. Kilara błyskawicznie odwróciła się, przytrzymała mnie za rękę, a z drugiej wyrwała mi walizkę tak lekko, jakby ważyła nie więcej niż piórko.

– Nie problem – rzuciła. – Poniosę.

– To bardzo miło z twojej strony. Zwykle nie jestem taki niezdarny.

Kilara zaprowadziła mnie do okazałego pokoju z pięknym widokiem na ogród.

– Tu śpi.

– Dziękuję, Kilaro.

Skinęła głową i ruszyła do wyjścia. Kiedy mnie mijała, spojrzała mi prosto w oczy. Znów zauroczył mnie migotliwy blask jej oczu.

– Zna pan Czas Snu?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– Tak... Nie... Wiem, że jest coś takiego. To brzmi bardzo interesująco.

– Zganiłem się w duchu za protekcjonalny ton.

– Pan z Czasu Snu. Przodkowie pana znają.

Kilara położyła miękką dłoń na moim łokciu. Nie jestem w stanie wyjaśnić dlaczego, ale serdeczny wyraz jej twarzy i delikatny dotyk sprawiły, że łzy napłynęły mi do oczu.

– Odpocznie tu. Odpocznie teraz. – Cofnęła rękę i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Nagle poczułem potworne zmęczenie i padłem na łóżko. Musiałem natychmiast zasnąć. Dręczyły mnie koszmary. W jednym stałem twarzą w twarz z Elle. Trzymaliśmy się za ręce, kiedy pojawiła się jakaś wroga ciemna postać i odciągnęła ją ode mnie w mrok. W innym znajdowałem się w kościele, jakby to miał być dzień mojego ślubu. Odwróciłem się i zobaczyłem idącą środkiem Elle, ale kiedy dotarła do ołtarza, odniosłem wrażenie, że mnie nie widzi. Powtarzała słowa przysięgi, lecz nie patrzyła mi w oczy. Potem, kiedy się cofnąłem, zobaczyłem, że rozmawia z innym mężczyzną, nie mogłem jednak dostrzec jego twarzy.

W ostatnim śnie pojawiło się wirujące nocne niebo z Siedmioma Siostrami przybierającymi ludzkie kształty i tańczącymi nade mną. Złapały się za ręce. Znalazłem się w środku ich kółka, a one śmiały się i podskakiwały. Krążyły coraz szybciej, aż dostałem zawrotów głowy i nie byłem już w stanie dłużej na to patrzeć. Kiedy otworzyłem oczy, przede mną leżało kwilące dziecko w koszyku. Chciałem wziąć je na ręce i utulić, ale gdy sięgnąłem do koszyka, już go w nim nie było. Rozejrzałem się

szybko dokoła i napotkałem znajomą kobiecą twarz. To była ta pani w czerwonej sukni, o długich rozwianych włosach... Po chwili znikła i świat znów zaczął wokół mnie wirować. Tym razem pole mojego widzenia wypełniła masa wybuchających nasyconych barw. Przed moimi oczami powstawały kłębiące się galaktyki i wzory, coraz bardziej jaskrawe, aż wreszcie cały mój świat zapłonął białym ogniem.

Kiedy się obudziłem, słońce świeciło mi prosto w twarz.

40

Cooper Pedy

1951

Pustynia Cooper Pedy to najbardziej sucha i jałowa kraina, jaką znam, ale niewątpliwie powstają tu najwspanialsze opale na świecie. Ironia polega na tym, że do wytworzenia tych drogich kamieni potrzeba deszczu. Kiedy pada – od wielkiego święta – i moczy wysuszoną glebę, przenika głęboko do pradawnych skał, niosąc ze sobą rozpuszczony krzem i tlen. Potem, podczas ciągnących się w nieskończoność suszy, woda paruje, pozostawiając krzemionkę w szczelinach między warstwami osadu. To powoduje tęczowe zabarwienie opali. Za to ludzie płacą. Mężczyźni, których zatrudniam, często pytają mnie, jakich potrzeba czarów, żeby powstał taki cud. Tłumaczę im to naukowo, ale rzadko są skłonni mi wierzyć. Wolą legendę Aborygenów.

Opowiada ona o przypominającej motyla zachwycającej istocie o imieniu Pallah-Pallah, która miała piękne mieniące się skrzydła. Pewnego dnia Pallah-Pallah poleciała na szczyt najwyższej góry. Wkrótce zaczął padać śnieg i została pod nim pogrzebana. Kiedy wreszcie stopniał, zmył z Pallah-Pallah jej cudowne kolory i wniknęły one głęboko w ziemię.

Myślę, że w dawnych czasach też wolałbym tę historię. Ale teraz, kiedy przyglądam się temu, co wydobywamy, widzę tylko mikroskopijne kręgi załamujące światło. To logiczne, można to wyjaśnić naukowo. Podobnie jak zjawisko gwiazd rozświetlających nocne niebo. Pogodziłem się z tym, że to

nie mistyczne światła nadziei i majestatu wszechświata, ale płonące kule gazu skupionego przez grawitację. Lepiej mi tak to widzieć, niż wyobrażać sobie, że Siedem Sióstr – moje dawne anioły stróże – mogło mnie tak okrutnie porzucić.

Dlatego polubiłem nawet życie pod ziemią. Domy – jeśli można je tak nazwać, bo to bardziej nory – zostały zrobione przez wysadzenie kawałka skały, a potem wykuwanie grot kilofami. W efekcie powstaje coś w rodzaju podziemnej jaskini. Trzeba pilnować, by sufit miał cztery metry grubości, żeby się nie zawalił, ale rzadko ma więcej. Niektórzy zapewniają sobie dopływ dziennego światła, borując otwory przypominające małe studnie, ale ja nie zwracałem sobie tym głowy. Teraz odpowiada mi ciemność.

Zręczniejsi mężczyźni upodobnili swoje kwatery do normalnych wnętrz domów. Poświęcili wiele godzin na ciosanie łuków, półek, futryn, a nawet posągów. Ja nie chciałem żadnych udogodnień. Śpię na zakurzonym starym materacu, a ubrania trzymam w starej walizce, która leży na podłodze. Nie pozwoliłem sobie nawet na biurko. Przez ostatnie dwa lata nie miałem chęci pisać w pamiętniku.

Kiedy tu przybyłem, kopalnia była malutka. Wynająłem pięciu górników, którzy dotąd pracowali dla innej firmy. Mając pokaźne fundusze imperium Mercerów, byłem w stanie zaproponować im lepsze pieniądze w zamian za ich doświadczenie. Początki były trudne. Mieliśmy ogromny szmat ziemi i wszystko szło strasznie wolno.

W zimie 1949 roku doznałem olśnienia.

By rozszerzać kopalnię w takim tempie, jak życzył sobie Ralph McBride, potrzebowalibyśmy mężczyzn zdolnych do pracy w trudnych warunkach pod ziemią. Wysłałem jednego z górników do portu w Adelaide, by wypatrywał młodych ludzi przyplływających z Europy, którzy wiele przeżyli podczas wojny i chcieli zacząć w Australii nowe życie. Mój

człowiek miał zwracać się do nich z ofertą natychmiastowego zatrudnienia za uczciwe pieniądze.

Plan wypalił. Rok później mieliśmy w Coober Pedy ponad setkę mężczyzn wydobywających opale.

Ralph wprost nie mógł uwierzyć w raporty, które mu wysyłałem, więc wybrał się do nas osobiście. Niewiele mnie teraz cieszy, ale kiedy opadła mu szczęka na widok tak wielu uruchomionych szybów, poczułem się wspaniale.

– Dobry Boże, Atlasie! Nie wierzę własnym oczom! Myślałem, że w raportach jest jakiś błąd w liczbach. Albo że... – Zawahał się.

– Próbuję cię okantować – dokończyłem za niego lodowatym tonem.

Kiedy to mówiłem, czułem, że stałem się innym człowiekiem. Jeden rok bez Elle w piekielnej scenerii pustyni spowodował, że stałem się bezwzględny, twardy.

Ralph zaśmiał się nerwowo.

– No... tak. – Spuścił głowę. – Ale oto jestem tu i trudno negować fakty.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Jesteś tytanem w naszej branży, Atlasie Tanit.

– Dzięki.

– Słuchaj, wiem, że musi tu być na co dzień okropnie. Może chciałbyś sobie wziąć kilka tygodni wolnego i przyjechać do Alicia Hall odpocząć? Urlop byłby płatny, oczywiście. Przynajmniej tyle mógłbym ci zapewnić.

Pokręciłem głową.

– Nie ma potrzeby. Mam tu robotę i chętnie ją wykonuję.

– Możliwe, ale czasem warto się cofnąć i popatrzeć z perspektywy na swoje osiągnięcia, nacieszyć się nimi.

– Nie – uciąłem stanowczo. Zauważyłem, że Ralphowi zrobiło się nieswojo. – Ale dziękuję.

Wzruszył ramionami.

– No dobrze. Słuchaj, nie jestem takim ekspertem jak ty, ale na moje dyletanckie oko ta działka wydaje się już w pełni wykorzystana.

– Masz rację. Zostało bardzo niewiele miejsca na nowe szyby. Przydałyby się nowe tereny do kopania.

– Jasne. Dostaniesz więcej. To, co firma zarobiła dotychczas, starczy z nawiązką na podwojenie, a może nawet potrojenie obszaru. – Trącił mnie łokciem. – Wkrótce będziesz milionerem ze swoimi dziesięcioma procentami. I co ty na to?!

Popatrzyłem mu w oczy.

– Podoba mi się ta robota – powiedziałem. – Pracowałbym i za mniej.

Westchnął.

– Boże, naprawdę nie można cię niczym ucieszyć. Szczerze mówiąc, martwię się o ciebie. Kiedy poznaliśmy się ponad rok temu, widziałem mężczyznę w depresji, załamane go. Ale ten, którego teraz mam przed oczami... zrobił się strasznie twardy. Wspaniale się tu spisałeś. Dobrze by było jednak, gdybyś pamiętał, że życie trzeba przeżywać na ziemi, nie pod nią.

Zmrużyłem oczy.

– Jak powiedziałem, ten tryb życia mi odpowiada.

– Wybacz, jeśli będę brutalnie szczery – nie ustępował Ralph. – Ale to bardzo męskie środowisko. Właściwie nie ma żadnych okazji do kontaktowania się z płcią przeciwną. W Adelaide znam wiele odpowiednich młodych dam, które byłyby zachwycone, gdyby mogły cię poznać w Alicia Hall.

– Panie McBride, proszę nigdy więcej nie sugerować mi czegoś takiego. Nie jestem tym w najmniejszym stopniu zainteresowany.

– No dobrze.

Ralph wyjechał i w ciągu miesiąca dokupił jeszcze dziesięć hektarów ziemi. Posłałem więc do Adelaide po więcej ludzi i wkrótce kopalnie opali Mercerów w Coober Pedy stały się głośnie w branży. Skupiam się wyłącznie na pracy. Każdego dnia budzę się i koncentruję na zadaniu do wykonania. W głowie mi jedynie siekiery, łopaty, drewniane rusztowania i ciemności. Dlatego nie muszę się bać, że moje myśli powędrują tam, gdzie nigdy nie chciałbym już zaglądać.

41

Dziś o mało nie umarłem.

Rano, kiedy przygotowywałem dokumenty przewozowe, do blaszanej budy służącej mi za biuro przybiegł sztygar, Michael. Był roztrzęsiony.

– Mamy zawał, proszę pana! Trzech ludzi zasypało w szybie siódmym.

Instynktownie poderwałem się na nogi.

– Żyją?

– Tak, ale pewnie już niedługo. Zaraz wszystko tam runie.

Pobiegłem do drzwi.

– Zbierz tylu ludzi, ilu się da, i sprowadź do siódemki. Szybko!

– Tak jest – odparł i pognał przede mną.

Nagle uświadomiłem sobie coś potwornego.

– Myślisz, że wszystko się zawali?! – zawołałem za nim.

– Coś tam potwornie trzeszczy. Chyba rusztowania puszczają.

Wziąłem głęboki wdech.

– Nie sprowadzaj ludzi, Michael. Nie będę ryzykował ich życia. Sam zejść.

– Z całym szacunkiem, nie ma mowy, żeby dał pan radę działać coś sam. Oni leżą pod kupą ziemi i drewna.

Na pewno miał rację.

– Możesz spytać o ochotników. Wyjaśnij im sytuację – poleciłem. – Dokładnie. Żadnych rozkazów. To musi być ich wolny wybór.

– Tak jest. – Skinął głową i ruszył dalej.

Biegłem po rudej ziemi, aż dotarłem do szybu siódmego, z którego, jak to opisywał Michael, dobiegały paskudne trzaski. Bez wahania zacząłem schodzić po stalowych klamrach zamocowanych przy skale. Na dole znalazłem się w błocie i kłębach pyłu. Widziałem tylko słabe przebłyski światła lamp naftowych. Kierując się nimi, wszedłem w gęstą chmurę. Wyciągając przed siebie ręce, wkrótce trafiłem na jakiegoś górnik.

– Kto to?! – krzyknął.

– Atlas Tanit! A ty?

– Ernie Price, proszę pana!

– Pokaż mi, gdzie przysypało ludzi.

– Tuż przed nami!

Złapał mnie za ramię, żebym się nachylił. Słysząc było, że kilku ludzi grzebie w rumowisku.

– Był taki potworny trzask, więc kazałem wszystkim uciekać. Ale tych trzech nie zdążyło.

– Zaraz wszystko się zawali! – krzyknąłem. – Musicie się ratować!

– To moja kopalnia, proszę pana, i moi ludzie. Muszę spróbować!

Usłyszałem stłumione skrobanie spod ziemi.

– Zostań, jeśli się upierasz – rzuciłem. – Ale pomyśl o swojej rodzinie.

– Hej, wy! – wrzasnął Ernie, zwracając się do mężczyzn, którzy próbowali usunąć gruz. – Wynoście się stąd. Wyłaźcie na górę, no już!

Wahali się.

– To rozkaz, do cholery! Idźcie! Natychmiast!

Rzucili kilofy i szpadle i odeszli. Ernie został i ze stoickim spokojem podał mi kilof.

– Kopmy dalej, proszę pana. Tylko tyle możemy zrobić.

Pomruki i trzaski stawały się coraz głośniejsze, kiedy gorączkowo uderzaliśmy w twardą ziemię.

– Zaczekaj! – zawołałem. – Trafiamy na drewno, dlatego nie robimy postępów! Błoto osunęło się na deski! Musimy kopać wyżej!

Skinął głową i poszedł za moim przykładem, kiedy zacząłem atakować rumowisko na wysokości piersi. Na szczęście, w miarę jak odgarnialiśmy coraz więcej ziemi, głosy zasypanych mężczyzn stawały się wyraźniejsze.

– Dawaj! Jesteśmy coraz bliżej!

Zdawało się, że trwało to godziny – choć w rzeczywistości minęły pewnie ze dwie minuty – nim zobaczyłem, że coś się rusza.

– To ręka! Łap ją i ciągnij, Ernie!

Wykonał moje polecenie, a ja dalej odgarniałem ziemię. Wreszcie spod rumowiska ukazała się twarz. Mężczyzna pluł i starał się złapać oddech. Ernie go wyciągnął.

– Dasz radę iść, Ron? – spytał.

Jęczący z bólu górnik pokręcił głową. Nagle z kłębow pyłu w korytarzu szybu wyłonił się Michael z trzema ochotnikami.

– Zabierzcie go stąd! – krzyknąłem. – Musimy dokopać się do jeszcze dwóch!

Przyłożyłem ucho do rumowiska i nasłuchiwałem. Dobiegł mnie ochrypły głos.

– Jest tutaj!

Zobaczyłem nogę wystającą z błota, tam gdzie już odgarnęliśmy gruz. Choć tego górnika udało się nam uwolnić z rumowiska szybciej niż

pierwszego, był w gorszym stanie; co chwilę tracił przytomność. Kopalnia wydała właśnie najokropniejszy jęk i ziemia zaczęła się trząść.

Wiedziałem, do czego to prowadzi.

– Jego trudniej będzie stąd wyciągnąć – zwróciłem się do ludzi. – Musicie ponieść go razem. Ja poszukam tego ostatniego.

Ochotnicy powlekli ofiarę wypadku do wyjścia z szybu, a Ernie znów chwycił łopatę.

– Ernie – powiedziałem, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Dziękuję. Ale oni cię potrzebują. Ja znajdę tego trzeciego. Jak on ma na imię?

– Jimmy, proszę pana. Taki młody. Ma dziewiętnaście lat!

– Rozumiem. Idź już!

Ernie zrobił w tył zwrot i zniknął w tumanie kurzu. Jeszcze raz przyłożyłem głowę do ziemi, ale tym razem nie słyszałem stłumionych krzyków, które wskazałyby kierunek. W tej sytuacji zaatakowałem energicznie stertę ziemi przed sobą. Zaakceptowałem swój los. Kopalnia się zawali i pogrzebie mnie razem z Jimmym. W nadziei, że zdołam dodać mu otuchy i nie umrze samotnie, zawołałem:

– Jimmy! Nic nam nie będzie! Słyszysz mnie, Jimmy? Wyjdziemy z tego!

O dziwo, w odpowiedzi rozległ się wyraźny jęk.

– Jimmy?! Jimmy, to ty?!

– Uch... – usłyszałem.

Poszedłem za głosem i natknąłem się na półprzytomnego mężczyznę. Jego tors był dobrze widoczny, lecz nogi uwięzły pod drewnianym rusztowaniem. Złapałem go za rękę; myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi.

– Jimmy! Trzymaj się! – krzyknąłem, pociągając go najmocniej, jak mogłem.

Zawył z bólu. Widać było, że utknął na dobre. Zacząłem odgarniać gruz przy jego pasie, ale to nic nie dało. Złapałem lampę naftową i potwierdziło się to, co przypuszczałem: belka podpory upadła na ścianę szybu pod ostrym kątem i dlatego nie zmiażdżyła Jimmy'ego, ale go uwięziła. Chwyciłem za nią i próbowałem ją unieść. Nie udało się.

– Proszę – mamrotał Jimmy. – Proszę, proszę...

Przebiegłem palcami po drewnie, starając się namacać jakieś pęknięcie. Gdyby udało mi się jakimś sposobem odłamać kawałek, mogłoby to wystarczyć, żeby uwolnić Jimmy'ego, a jednocześnie nie dopuścić, by ziemia go zasypała. Po dłuższej chwili trafiłem na odpowiednie miejsce. Z nową nadzieją złapałem kilof i zaatakowałem belkę. Ziemia usuwała mi się spod stóp i uderzenia nie były zbyt celne.

– O jasna cholera! – wrzasnąłem.

Gdybym tylko miał coś ostrego, co mógłbym wsadzić w szczelinę, by rozłupać drewno. Kiedy próbowałem po omacku znaleźć odpowiedni kamień, przypomniało mi się, co mam przy sobie.

– Diament – szepnąłem.

Ściągnąłem skórzany woreczek z szyi i wydobyłem jego cenną zawartość. Wymacałem najszersze miejsce w szczelinie i wepchnąłem tam diament. Cofnąłem się o krok i zamachnąłem się kilofem. Modląc się w duchu, uderzyłem nim z całej siły. Dźwięczny stukot upewnił mnie, że trafiłem. Potem rozległ się trzask i dolna część belki oddzieliła się od górnej. Rzuciłem kilof, złapałem za drewno i pociągnąłem ze wszystkich sił. Mój plan zadziałał: dolna część belki odłupała się, ale górna nadal podtrzymywała osypisko na górze. Chwyciłem Jimmy'ego za rękę i wyciągnąłem z pułapki.

Na szczęście zdołałem zrobić to szybko, bo pozostała część belki natychmiast złamała się na pół. Ciągnąc Jimmy'ego po ziemi za ręce, przebijałem się przez rumowisko i kurz.

– Ratunku! – krzychałem co sił w płucach, kiedy dotarłem do wyjścia z szybu. – Pomóżcie, proszę!

Uświadomiłem sobie jednak, że wśród okropnych trzasków nikt mnie nie słyszy. Mobilizując resztki sił, chwyciłem bezwładne ciało Jimmy'ego i przerzuciłem sobie przez ramię. Potem złapałem się metalowych prętów i zacząłem piąć się po klamrach w górę, jak najdalej od tego piekła. To była istna męka. Ale tak daleko już zaszedłem... Po pokonaniu kilku metrów usłyszałem głosy.

– Hej, ktoś wychodzi!

– Niemożliwe. Chyba coś ci się przywidziało!

– Sam zobacz!

– Do cholery, złażcie mu pomóc! Idziemy, proszę pana, niech pan się trzyma!

Kontynuowałem mozoloną wspinaczkę ku wyzwoleniu, kiedy nagle poczułem, jak ciężar Jimmy'ego zostaje mi zdjęty z ramion.

– Mamy go. Ciągnij, Michael! – zawołał Ernie.

Pozbawiony ciężaru Jimmy'ego, straciłem równowagę i zachwiałem się. Stopy ześlizgnęły się z klamr. Wisząc w powietrzu, widziałem, jak wyciągają Jimmy'ego na powierzchnię. Potem dudnienie w dole przeszło w przenikliwe wycie i z góry zaczęły spadać mi na twarz okruchy skał.

– Wali się! – krzyknął Ernie. – Szybko, łapcie go!

Popatrzyłem w dół i zobaczyłem zapadający się lej ziemi i szczątków drewna. Przenikliwe wycie zmieniło się w ogłuszający ryk, a kiedy spojrzałem w górę, dostrzegłem dłoń Erniego, rozpaczliwie sięgającą do mojej ręki. Chciałem ją chwycić, ale klamra, którą trzymałem, poddała się

wraz z osuwającym się gruntem. Czułem przez chwilę, jak spadam, nim świat wokół mnie zmienił się w ciemność.

*

Kiedy się ocknąłem, znajdowałem się w jednej z prowizorycznych bud na powierzchni. Leżałem na stercie ubrań roboczych.

– Obudził się! – powiedział Ernie. Zamrugąłem gwałtownie i zobaczyłem go. – Panie Tanit. Żyje pan!

Uświadomiłem sobie potworny ból, jaki sprawiało mi oddychanie.

– Moja pierś – jęknąłem.

– To żebra. Są porządnie połamane. A jak nogi? – zapytał. – Potrafi pan ruszyć palcami stóp?

Spróbowałem. Udało się.

– A ci ludzie z szybu siódmego...?

– Wszystko z nimi w porządku, tylko parę połamanych kości i lekki szok. Uratował ich pan.

Przyłożyłem dłoń do pulsującej bólem głowy.

– Kopalnia się na mnie zawaliła.

– Tak, proszę pana, i to w momencie, kiedy był pan już tylko trzy metry od wyjścia. Na szczęście widzieliśmy pana i od razu zaczęliśmy kopać. Prawie cała załoga włączyła się w akcję, żeby wydobyć pana z rumowiska. A jak jest wiele rąk, to idzie szybko.

– Dziękuję – powiedziałem i próbowałem wyciągnąć rękę, żeby uścisnąć Erniemu dłoń. – Auć – jęknąłem, czując przeszywający ból w stawie.

– Niech pan się za dużo nie rusza. Powiadomiliśmy pana McBride'a w Adelaide. Zapewnił nas, że najlepsi lekarze są już w drodze do pana

i tamtych trzech. Ale na razie... Michael wpadł na pewien pomysł. – Wskazał na sztygara stojącego przy drzwiach.

Michael odchrząknął.

– Nie miałyby pan nic przeciwko spotkaniu z Ngangkari?

– Z Ngangkari?

– To aborygeńscy uzdrowiciele. Słyszałem, że są tacy w wiosce kilka kilometrów stąd. Lekarze z Adelaide dotrą tu za kilka dni, a Ngangkari może być u nas jeszcze dziś po południu.

Udało mi się kiwnąć głową.

– Cokolwiek, żeby tylko nie bolało mnie tak w piersi.

Michael wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Niech się pan nie martwi. Zaraz sprowadzę pomoc – powiedział. – Jest pan bardzo dzielnym człowiekiem – dodał, wybiegając z budy.

– Obudził się? – dobiegł głos z zewnątrz.

– Zaraz wracam, panie Tanit – powiedział Ernie i wstał, żeby sprawdzić, kto przyszedł.

Usłyszałem ściszoną wymianę zdań, po czym Ernie wrócił.

– Wiem, że dopiero co odzyskał pan przytomność, ale ktoś bardzo chciałby się z panem zobaczyć. Ten ktoś chce się upewnić, że nic panu nie jest.

– Kto?

– Jimmy, proszę pana. Chce panu podziękować.

– Niech wejdzie, proszę.

Ernie zniknął i po chwili do budy, lekko kulejąc, wszedł młody chłopak, prawie dziecko. Zdjął kapelusz i trzymał go z uszanowaniem przy piersi.

– Jimmy – powiedziałem. – Jak się czujesz?

– Żyję, proszę pana. I to tylko dzięki panu. Mówili mi, że został pan na dole sam, żeby mnie wykopać, i że wyniósł mnie pan na plecach. Zawdzięczam panu życie. – Chłopak spuścił wzrok.

– Pracujecie dla mnie, a to oznacza, że odpowiadam za wasze bezpieczeństwo. Zrobiłem tylko to, co do mnie należy.

Zakłopotany młody człowiek przestępował z nogi na nogę.

– Coś się stało? – spytałem.

– Nie, proszę pana. – Odwrócił głowę i popatrzył na drzwi. – Ale mam coś, co chcę panu zwrócić.

Zdziwiłem się.

– Co?

Jimmy ostrożnie wsunął dłoń do kieszeni i wyjął z niej znajomy przedmiot. Nie mogłem się powstrzymać – roześmiałem się, co wywołało potworny ból w piersi.

– Auuu – jęknąłem. – Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś to zobaczę, Jimmy. Wiesz, co to jest?

Diament nadal był pokryty klejem i pastą do butów.

– Tak, proszę pana. Jako dzieciak pracowałem w kopalni diamentów w Kanadzie. Zawsze rozpoznam ten kamień. Ale – pokręcił głową – takiego nie widziałem jeszcze nigdy w życiu.

– Wyobrażam sobie, że nie. – Próbowałem unieść się nieco. – Jak, na Boga, trafił do twoich rąk? Bez żalu pożegnałem się z nim tam na dole.

– Widziałem, jak wyciągał pan coś z woreczka zawieszzonego na szyi. A potem, kiedy uderzył pan belkę kilofem, to po prostu spadło mi na pierś. Złapałem to dla pana.

Podszedł do mnie.

– Proszę. – Wsunął mi diament w dłoń.

Patrzyłem przez chwilę na kamień.

– Myślałem, że straciłem go po tym, jak posłużył do uratowania ludzkiego życia. Ale oto jest znowu. Jeszcze raz wrócił.

Obracałem go w dłoniach, a potem spojrzałem na Jimmy'ego.

– Dlaczego go nie zatrzymałeś? Dzięki niemu mógłbyś znaleźć się gdzieś daleko stąd. Mógłbyś pojechać, dokąd tylko zechcesz, zrobić ze swoim życiem, co ci się zamarzy... A wolałeś oddać go mnie.

Jimmy energicznie pokręcił głową.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Nie należy do mnie.

– W takim razie dziękuję, że mi go oddałeś.

Popatrzył na mnie nieśmiało.

– Mógłbym zadać panu to samo pytanie, proszę pana.

– Słucham?

– Sam pan mówił, że z takim skarbem jak ten można być, kimkolwiek się zechce. A tymczasem jest pan tu z nami, bandą popaprańców, na pustyni. Dziś o mało pan nie zginął. Dlaczego go pan nie sprzeda i nie zacznie nowego życia?

Zdałem sobie sprawę, że to musi być bardzo dziwne dla tego młodego człowieka.

– Powiedziałeś, że ten kamień nie należy do ciebie, prawda?

Jimmy skinął głową.

– Do mnie również nie – rzuciłem. – Dziękuję raz jeszcze, że mi go oddałeś.

Chłopak odwrócił się, by wyjść.

– Jimmy?! – zawołałem. – Nie mów o tym innym, dobrze?

– Ale o czym, proszę pana?

Skinąłem głową, a on pokuśtykał dalej.

Patrzyłem na diament.

– Nawet kiedy próbowałem się ciebie pozbyć, wróciłeś. Czy nie wykonałeś jeszcze swojego zadania?

Delikatnie wsunąłem kamień do kieszeni. A potem zamknąłem oczy i zasnąłem.

Obudził mnie Michael.

– Panie Tanit? Jest tu Ngangkari.

Przetarłem oczy. Obok Michaela stał wysoki mężczyzna w spódnicy zrobionej z długich suchych traw. Ciało miał pomalowane w intrygujące kolorowe wzory. Patrząc na mnie z góry, uniósł dłoń na powitanie.

– Witam – odezwałem się. – Dziękuję, że przyszedłeś.

Pokazał na siebie.

– Yarran.

– Atlas – przedstawiłem się, wykonując ręką ten sam ruch.

Skinął głową.

– Strasznie boli mnie w piersi – powiedziałem. – Pewnie mam połamane żebra. Masz może jakieś środki na uśmierzenie bólu?

Patrzył na mnie beznamiętnie.

Do akcji wkroczył Michael.

– On nie za bardzo mówi po angielsku, proszę pana.

Ngangkari pokazał na moją pierś.

– Tak. Boli – przyznałem.

Skinął głową i poklepał Michaela po plecach.

– Myślę, że to znak, żebyś wyszedł – powiedziałem.

– Jest pan pewien, że tak będzie dobrze? – zapytał Michael, patrząc nieufnie.

– Jestem.

Kiedy Michael wyszedł, Yarran podszedł i położył dłonie na mojej piersi.

– Ostrożnie! – krzyknąłem, bojąc się bólu, jaki mógł wywołać nawet najłżejszy dotyk.

Yarran zatrzymał się i uśmiechnął.

– Auuu – udał, że jęczy.

– Tak, auuu, boli – odparłem.

Znów skinął głową, a potem nabrał głęboko powietrza i zbliżył ręce do mojego torsu. Spiałem się, ale ledwie mnie muskał; jego dłonie przesuwały się miękko po moich żebrach, jakby delikatnie gładził kota.

– Um – powiedział Yarran, wskazując na moją ubłoconą koszulę.

Ostrożnie odpiąłem ją i spojrzałem na czarno-siną skórę.

– Auuu – powtórzył Ngangkari.

Znów skierował dłonie na moją pierś i zamknął oczy. Jego oddech stawał się coraz głębszy.

– Mmmmm – mrucał melodyjnym niskim głosem.

Podniosłem na niego wzrok i zobaczyłem, że marszczy brwi.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Środek auuu – powiedział.

– Wiem. Połamane żebra.

– Nie. Środek... Głęboko auuu.

Ogarnęła mnie lekka panika.

– Głębiej? Myślisz, że jest problem z sercem?

Pokazałem na lewą stronę piersi.

– Ciało zagoi. Dusza złamana. – Wpatrywał się we mnie przepastnymi brązowymi oczami, które mieniły się jak te Kilary. – Przodkowie... – Wskazał w górę. – Przodkowie martwią.

– Nie wiem, co masz na myśli. Ja... – Zanim zdołałem dokończyć, Yarran położył dłonie na mojej głowie i zaczął masować mi skronie kciukami. Trzymał mocno moją czaszkę, ale nie czułem bólu.

Trudno opisać to, co stało się później, ale spróbuję. Palce Yarrana uciskały coraz silniej i silniej, jakby wnikały przez czaszkę aż do mózgu. Jeszcze raz podkreślam, że to nie było bolesne; odnosiłem raczej wrażenie, że jestem kołysany od środka. To uczucie spływało z głowy do szyi, a potem do piersi. Nagle łatwiej mi było oddychać, jakby płuca otworzyły jakąś dodatkową przestrzeń, o której istnieniu nie miałem pojęcia, i zwiększyły pojemność. Wszystko przede mną zrobiło się jasne i świetliste, niemal białe. Czułem się rozluźniony, spokojny. Słyszałem Yarrana – jego głos tańczył i odbijał się echem wokół mojej głowy.

– Twoja dusza jest w głębokim bólu – powiedział. – Przodkowie i ja pomożemy ci wyzdrowieć.

– Mówisz świetnie po angielsku! – zauważyłem w euforii.

– Ogranicza nas jedynie świat fizyczny, Atlasie. W naszej egzystencji jest coś więcej, o czym, jak się obawiam, zapomniałeś.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem.

– Gdzie tylko sobie życzysz być – odparł.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Chcę być z Elle – rzuciłem. – Ale ona odeszła, Yarranie. Nadal nie do końca rozumiem dlaczego.

– Ona zginęła – powiedział łagodnie.

– Nie ma jej już w moim życiu, tak.

– Nie ma jej... nigdzie – sprostował. – Mmmmm...

– Co masz na myśli?

– Z tymi, których kochamy, łączy nas więź, nawet kiedy jesteśmy daleko. Choć ich nie widzimy, sprawiają, że zawsze jesteśmy z nimi związani. Ty nadal jesteś z nią związany.

Serce mi zadrżało.

– Choć nie wsiadła na statek?

– Tak. Nie widzę, gdzie kończy się linia, która was łączy. Ale Elle chce być odnaleziona.

– Naprawdę? – spytałem nieco zszokowany.

– Mmmmm... – zamruczał znowu melodyjnie. – Masz dużo do zrobienia. Bardzo dużo.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem wrócić jej szukać?

Yarran milczał przez chwilę, jakby bardzo starannie rozważał każde następne słowo.

– Przodkowie uważają, że musisz spełnić to, co ci przeznaczone. Będą cię chronić, Atlasie.

– Naprawdę nie rozumiem.

– Teraz śpij. Przodkowie będą nad tobą czuwać.

Białe światło przygasło i powoli zmieniło się w czerń. Zapadłem w błogosławiony sen. Kiedy się obudziłem, wokół było ciemno. Wciągając głęboko powietrze, zauważyłem, że klatka piersiowa o wiele mniej boli. Nie wątpiłem, że żebra są nadal połamane, ale byłem w stanie swobodnie oddychać. Odkryłem, że mogę nawet usiąść i wstać. Zapiąłem koszulę i otworzyłem drzwi budy. Na zewnątrz powitała mnie cicha noc australijskiego interioru. Księżyc w pełni świecił jasno na morze szybów przede mną, które tworzyły niesamowity krajobraz pełen kraterów.

Przenikliwe piski i kumkanie pustynnych żab odbijały się echem po równinie. Na ich tle od czasu do czasu odzywało się wycie dingo. Poczujęm czyjaś dłoń na ramieniu, a kiedy się obróciłem, zobaczyłem Yarrana.

– Czuję się dużo lepiej – powiedziałem. – Dziękuję! – Podniosłem kciuki.

Skinął głową i podał mi naręczę świeżo uzbieranych ziół i kwiatów.

– Pij to – powiedział.

– Dziękuję, będę. – Wahałem się przez chwilę. – Dobrze było z tobą porozmawiać.

Patrzył na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a ja łajałem się w duchu za przypisywanie swojego snu jego duchowej mocy.

– W każdym razie naprawdę czuję się dużo lepiej.

Yarran odwrócił się.

– Chodź – powiedział i ruszył na otwartą pustynię za budą.

Poszedłem za nim. Po jakichś dziesięciu minutach zatrzymał się i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na jaśniejącej w poświacie księżyca ziemi. Zrobiłem to samo.

– Przodkowie – powiedział, wskazując na niebo.

Popatrzyłem do góry i aż zaparło mi dech. Gwiazdy świeciły tak jasno jak nigdy dotąd. Rozciągało się nad nami rozjarzone, migotliwe królestwo w całym majestacie. Orion, Byk, Perseusz, Plejady... Konstelacje jarzyły się cudownym blaskiem.

– Yarran... te gwiazdy... Jeszcze nigdy ich takich nie widziałem...

– Zawsze tu są – odparł. – Ale ty nie widzisz. Złamana dusza. Będzie lepiej.

Poczułem się mały wobec ogromu migoczącego nieba. W tej chwili dostrzegłem życie w ciemności i ciepło w zimnie. Zwróciłem wzrok w kierunku Siedmiu Sióstr.

– Witajcie, stare przyjaciółki.

Chłonałem ich piękno, w milczeniu przeprasząc je, że zapomniałem, jak wiele dla mnie zrobiły podczas mojej podróży przez życie. To one pomogły mi przetrwać tę nieprawdopodobną wędrówkę, kiedy byłem chłopcem. Bez nich leżałbym martwy pod śniegami Syberii. Nadal wierzyłem, że to one przysłały mi Elle i Landowskich, i Laurenta Brouilly'ego, i Pipa, i Karine, i Archiego Vaughana. Nie wspominając o Kitty Mercer i jej bracie Ralphie.

– No dobrze – powiedział Yarran i wstał. – Do domu.

I bez żadnego pożegnania zaczął oddalać się od kopalni.

– Zaczekaj! – zawołałem, lecz tylko machnął ręką. – Proszę, nie idź, zostań na noc! Jutro damy ci konia, żebyś wrócił do domu!

Yarran odwrócił się do mnie.

– Nie, to ty do domu. – I znów wskazał na niebo.

– Zaraz, chcesz powiedzieć, że powinienem wracać do domu? Do Coober Pedy? Czy miałeś na myśli dom, ojczyznę? Szwajcarię? Yarran! – krzyknąłem.

Przystanął i jeszcze raz się obejrzał. Uśmiechał się szeroko.

– Dużo do zrobienia.

Te trzy słowa... Powiedział je w moim śnie.

– Wiedziałem... Mam jechać szukać Elle?! Yarran?!

Nie zatrzymał się i już nie odwrócił.

– Proszę, stój! Nie mogę pozwolić, żebyś zniknął na pustyni! To niebezpieczne!

Yarran roześmiał się głośno i szedł dalej w cichą australijską noc.

Wiedząc, że go nie przekonam, ruszyłem do swojej podziemnej kwatery.

Po spotkaniu z Ngangkari poczułem przyływ energii. A nawet ośmieliłbym się powiedzieć, że wstąpiła we mnie... nadzieja? Do moich płuc dociera powietrze, co nie jest dane tym, których straciłem – ojcu, Pipowi, Karine, Archiemu... Jestem im to winien: podnieść się i żyć.

I teraz już wiem, co powinienem zrobić.

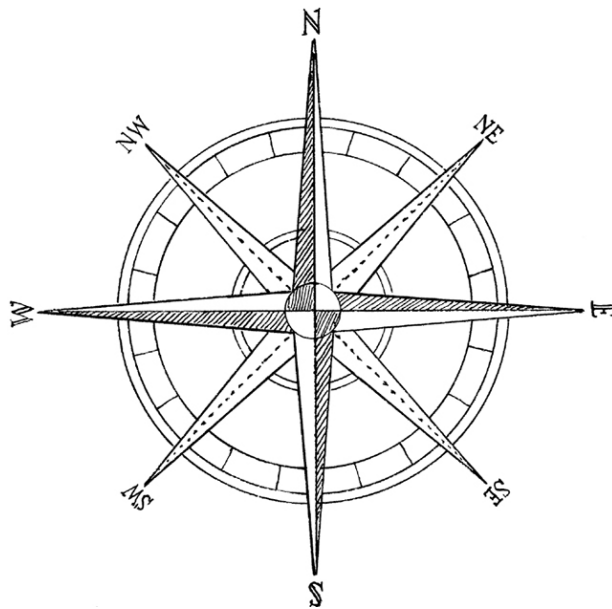
Muszę odnaleźć Elle.

Odzyskać ją.

Bo tylko to się liczy.

Tytan

Czerwiec 2008



42

Star przełożyła stronę i spojrzała na siostrę, która miała łzy w oczach. Dziwny był to widok, bo zadziorna CeCe zawsze była twarda.

– Chodź do mnie – powiedziała Star i objęła ją. – To poruszające, kiedy czyta się o swojej rodzinie, prawda?

– Tak. – CeCe pociągnęła nosem. – Gdyby trudno ci się było połapać, to Sarah, ta sierota ze statku, była moją babką. Nie miałam pojęcia, że ona i Pa Salt się spotkali.

– To było coś więcej niż spotkanie. Sarah go ocaliła. Gdyby nie ona, rzuciłby się do oceanu i nie żyłby tak długo. I żadna z nas nie znalazłaby się tutaj. – Star ścisnęła dłoń siostry. – To niesamowite.

CeCe zdołała się uśmiechnąć.

– Masz rację. Fajna sprawa. Ale dokładnie to samo mogłabym powiedzieć o Vaughanach. Nasz ojciec był bardzo szczęśliwy w High Weald.

– Masz rację – przyznała Star. – Zwłaszcza Flora była fantastyczna. Ale mój dziadek Teddy o mało nie doprowadził Pa Salta do zguby! Co za... – Star zastanowiła się, jak to określić – cholerny gnojek! – pisnęła, zaskakując siostrę.

CeCe roześmiała się.

– Nie wszyscy możemy mieć bohaterskich przodków – przyznała, po czym wstała, otarła oczy, podeszła do małej lodówki i wyjęła wodę

mineralną. – Chcesz? Czytałaś dzielnie ponad dwie godziny.

Star, siedząca na podwójnym łóżku, skinęła głową i siostra rzuciła jej butelkę.

– No i co z tego wynika? Co mogło stać się z Elle? – spytała CeCe.

– Nie mam pojęcia – odparła Star, otwierając butelkę. – To wydaje się takie dziwne. Przecież byli w sobie bardzo zakochani.

CeCe przysiadła na brzegu biurka.

– Chyba że tylko Pa Salt tak to widział – zasugerowała.

– Co masz na myśli? – spytała Star.

– Przyjmujemy wszystko z pamiętnika za fakt. Ale to tylko historia opowiedziana z jego punktu widzenia. Może uczucia Elle nie były tak silne? Jak sądzisz? Ten psychol Kreeg Eszu gonił za nim po całym świecie. Myślę, że nawet zakochana dziewczyna mogła tego nie wytrzymać. – Łyknęła wody z butelki.

Star zastanowiła się nad tym.

– Tyle razem przeszli – odezwała się po chwili. – Nie rozumiem, dlaczego opuściła go właśnie wtedy i nie wsiadła na statek. To jest naprawdę dziwne.

CeCe roześmiała się.

– Typowe dla Pa Salta, prawda? Trochę dziwne... – Podniosła się i wyciągnęła na łóżku obok siostry.

Ktoś zapukał do drzwi i do kajuty weszła Elektra w pomarańczowej tunice.

– Gotowe? – spytała.

– Tak. Star właśnie skończyła mi czytać – odparła CeCe.

Elektra dołączyła do siostr na łóżku.

– Ja cię kręcę. Tyle tu wątków. Wiecie, kim była ta kobieta, którą spotkał podczas demonstracji w Nowym Jorku? To moja prababka! No... w pewnym sensie. Zaopiekowała się moją babcią, kiedy ta była malutka. Co za niesamowity przypadek, nie?

– Zastanawialiśmy się, czy tamte zdarzenia mają jakiś związek z tobą – powiedziała Star i wzięła siostrę za rękę.

– Mają! A co powiecie na ten kawałek o Georgu i Claudii? Co tu się dzieje, do cholery?!

Star pokręciła głową.

– To niesamowita historia – przyznała. – Nic dziwnego, że Georg zawsze był taki lojalny wobec naszego taty. Pa Salt uratował ich dwoje.

– Dzięki swojej piekielnie bogatej babce – dodała Elektra. – Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

CeCe trochę się najeżyła.

– Tacie należało się trochę szczęścia. Nie znam człowieka, którego spotkałoby tyle nieszczęść.

– Jasne – rzuciła Elektra. – Nie wiem, jak wy, dziewczyny, ale ja jestem strasznie ciekawa, co się stało w Rosji.

Podeksytowana Star klasnęła w dłonie.

– Ja też! Poznałyśmy zaledwie czubek góry lodowej, nie? Ojciec Pa Salta pracował dla cara Mikołaja Drugiego. Kiedy Orlando się o tym dowie, chyba padnie trupem.

Elektra westchnęła.

– Nie będę ściemniać, Star, nie mam pojęcia o historii. O co tu chodzi?

– Ja też nie jestem w tym najlepsza. Pamiętam tylko trochę ze szkoły. Mikołaj Drugi był ostatnim carem Rosji. Abdykował w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku.

– Dlaczego? – spytała CeCe.

– Z powodu rewolucji – wyjaśniła Star. – Miał władzę absolutną i kontrolował całe bogactwo kraju.

– Był więc kimś w rodzaju dyktatora? – spytała Elektra. – Czarnym charakterem?

Star wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak. Niewątpliwie sprawował rządy autokratyczne. Poddani nie byli szczęśliwi. Panował głód, ludzie zamarzali, więc go obalili.

CeCe i Elektra przez chwilę przyswajały te informacje.

– I co zrobił po abdykacji? – odezwała się Elektra.

– On i jego rodzina zostali rozstrzelani. Rewolucjoniści, Lenin i bolszewicy, przejęli władzę.

– Dlaczego aż tak go nienawidzili? – spytała CeCe.

– Bolszewicy uważali, że monarchia to rak, który gnębi klasę pracującą. A co się robi z rakiem?

– Wycina – odparła Elektra.

Star skinęła głową.

*

Maja odchyliła się na oparcie fotela i przeciągnęła się.

– Och, tato – szepnęła do siebie. – Co za upiorna sytuacja.

Wstała i przeszła przez salon, by wyrzeć przez okno. Morze było wzburzone. *Tytan* w szybkim tempie zmierzał do Delos.

– Hej, Maju? – odezwał się głos od drzwi.

– Cześć, Merry. Jak się masz?

Merry podeszła i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie do wiary, że Atlas tak nagle utracił Elle – powiedziała. – To nielogiczne.

Maja zastanowiła się.

– Masz rację – przyznała po chwili. – Myślałam, że byli ze sobą bardzo szczęśliwi. – Zauważyła, że Merry spuściła wzrok. – Przepraszam, nie pomyślałam... Czytamy o twojej matce. Tobie musi być szczególnie ciężko.

Merry machnęła ręką.

– Och, daj spokój. Nawet jej nie znałam. To o ciebie się martwię. Wiem, że ten łajdak Eszu potraktował cię paskudnie. – Przytuliła Maję. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to wszystko musi być dla ciebie trudne.

Maja oparła głowę na jej ramieniu.

– Dziękuję, potrzebowałam tego.

– Wiem, kochanie. – Merry uśmiechnęła się. – Ale jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć.

– Mów.

– Moje współrzędne na sferze armilarnej wskazywały na dwór na zachodzie hrabstwa Cork, który podobno należał do rodziny Eszu.

– No tak.

– Powiedziałam o tym mojemu przyjacielowi, Ambrose'owi, i obiecał podążyć ten temat. Obdzwonił chyba pół hrabstwa, bo wciąż go dokądś odsyłano, i wreszcie trafił na pewną rodzinę z Ballinascarthy.

– Przepraszam, ale nie wiem, gdzie to jest.

– No tak. – Merry cmoknęła i uśmiechnęła się. – Niby skąd masz wiedzieć? To miejscowość blisko dworu Argideen.

– Teraz rozumiem.

– Okazuje się, że należący do tej rodziny staruszek, Sonny, w latach pięćdziesiątych pracował w Argideen jako ogrodnik. Ma już prawie sto lat, ale chętnie opowiedział o swoich czasach we dworze.

Maja zrobiła wielkie oczy.

– Co mówił? – spytała.

Merry wzruszyła ramionami.

– Niewiele. Tylko że rzadko widywał właściciela, bo stale dokądś wyjeżdżał. Podobno było dwóch ogrodników i żadnemu nie było wolno wchodzić do domu. Cokolwiek by się działo. Pamiętał też gospodynię.

Maja uniosła brew w zamyśleniu.

– Wiesz, jak miała na imię?

– Sonny nie potrafił sobie przypomnieć. Mówił, że rzadko kiedy wychodziła z domu i nigdy do nikogo się nie odzywała. A potem pewnego dnia zapadła się pod ziemię. Po jej zniknięciu przez wiele miesięcy nie widywali już właściciela. Dostawali jednak wynagrodzenie, więc nadal pracowali.

Maja próbowała wysnuć z tego jakieś wnioski.

– Ale co to ma, na Boga, wspólnego z tobą? – spytała. – Dlaczego twoje współrzędne prowadzą do domu Eszu? Nie potrafię się w tym połąpać.

– Ja też. – Merry westchnęła ciężko.

Obie zapatrzyły się w morze.

Z zadumy wyrwał je głośny łomot w korytarzu. Wybiegły sprawdzić, co się dzieje. Zszokowane zobaczyły Ally przypierającą do ściany Georga. Mierzyła mu palcem wskazującym prosto w twarz.

– Nie żartuję, Georg. Dość tego! Już! Nie obchodzą mnie instrukcje, jakie otrzymałeś. Zdajesz sobie sprawę, że na tej łodzi są osoby, które...

Georg zauważył Maję i Merry.

– Cześć, dziewczyny – powiedział spokojnie.

Ally obejrzała się gwałtownie.

– Wszystko gra? Co tu się wyprawia? – spytała Maja.

Jej siostra zmieszała się.

– Nic – rzuciła. – Wszystko w porządku. Prawda, Georg?

– O tak – odparł prawnik. – Ally i ja rozmawialiśmy tylko... o... tym, co będzie z *Tytanem*. To wszystko.

– Właśnie. – Ally odzyskała nieco panowanie nad sobą. – Georg sądzi, że może powinniśmy wynajmować go w sezonie zimowym, bo wtedy go nie używamy.

Maja wiedziała doskonale, że siostra kłamie.

– Nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego może cię aż tak zdenerwować.

Ally zaczerwieniła się.

– Wiesz, łódzie to moja pasja.

Maja mierzyła ją jakiś czas wzrokiem, po czym podeszła do Georga i uściskała go.

– Dlaczego nigdy nie mówiłeś nam o sobie i Claudii?

Po wyrazie twarzy Georga widać było, że dotarło do niego, o co chodzi.

– Przeczytałyście o tym w pamiętniku. Wasz tata już nas spotkał?

– Owszem – odparła Maja.

– Zamieszkaliście u pary, która dawniej prowadziła dom babki Pa Salta – dodała Merry.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Hoffmanowie byli bardzo dobrymi ludźmi.

– Nic dziwnego, że ty i Pa Salt byliście sobie tak bliscy – powiedziała Maja. – Znałeś go prawie całe swoje życie. Niesamowite, co, Ally?

Ta sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

– No... tak... ja... – Kompletnie się zaplątała.

– Przeczytałaś te sto stron? – naciskała Maja. – Tak jak uzgodniłyśmy?

– Wybacz, nie... – Ally westchnęła. – Ja i Georg rozmawialiśmy o...

Tytanie.

– Aha.

– Wygląda na to, że masz trochę do nadrobienia – wtrąciła Merry. – Może zostawimy cię, żebyś spokojnie poczytała? Chodź, Maju, poszukajmy kawy. – Wzięła Maję za rękę i kiedy znalazły się na korytarzu, rzuciła: – O co mogło chodzić?

– Dziwne, prawda? Coś się tu dzieje. I nie sędzę, by miało to cokolwiek wspólnego z *Tytanem*.

*

– To okropne, co stało się z Elle, mamó. – Tiggy otarła łzę, siadając obok Mariny na miękkim siedzisku na pokładzie dziobowym.

Marina poprawiła Beara, który drzemał jej na rękach.

– Wiem, *chérie*. Ale nie zapominajmy, że gdyby nie ten splot zdarzeń, Pa Salt mógłby nigdy nie trafić na was. Ani na mnie!

Tiggy oparła głowę na dłoniach.

– Wiedziałaś o Georgu i Claudii? Że znalazł ich jako dzieci?

Marina skinęła głową.

– *Oui*.

– I wszystko o Kreegu? – dodała ze smutną miną Tiggy.

– Tak. – Marina zniżyła głos. – Nie muszę wyjaśniać, dlaczego nigdy o nim nie wspominałam. Czytałyście o tym, jaki był niebezpieczny. A po tym, co było z Zedem...

– Rozumiem. W którym momencie ty się pojawisz, mamó? – spytała Tiggy. – Pa Salt właśnie ma opuścić Australię, żeby szukać Elle. Kiedy spotka ciebie?

Marina spuściła wzrok na podsypiającego w jej ramionach chłopczyka, który był dla niej jak rodzony wnuk.

– Już niedługo, *chérie*, niedługo. Mam nadzieję, że nie ocenicie mnie zbyt surowo. Podczas tego rejsu dowiedziałyście się już, że jest wiele rzeczy, o których nie miałyście pojęcia.

Tiggy przysunęła się i objęła ją ramieniem.

– Och, mamó, czegokolwiek się dowiemy, to nic nie zmieni. Nigdy. Kocham cię. – Pocałowała czule miękkie policzki Mariny.

– Ja też cię kocham.

Przez chwilę patrzyły sobie w oczy.

– Mogę ci zadać pytanie osobiste? – odezwała się wreszcie Tiggy.

– Zawsze o wszystko możesz mnie pytać.

– Mieszkałaś z Pa Saltem tyle lat. Czy ty kiedyś... no wiesz...?

– Co takiego, kochanie? – Marina była wyraźnie zmieszana.

– Podkochiwałaś się w nim?! – Tiggy zachichotała.

– Ooo! Nie uprzedziłaś, że to będzie pytanie trochę... impertynenckie...

– Przepraszam. Ale wiesz, że zawsze potrafiłam wyczuwać różne rzeczy. I zawsze miałam wrażenie, że w twoim sercu jest wielka tęsknota.

– Naprawdę, mój mały języku? – spytała Marina, unosząc brwi.

Tiggy skinęła głową.

Marina westchnęła.

– Wasz ojciec był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Idealem pod wieloma względami. Przystojny, dobry, inteligentny... naprawdę wspaniały

człowiek. Ale możesz być pewna, że nigdy w życiu nie myślałam o nim w ten sposób.

– Poważnie? – rzuciła Tiggy, nieco zbity z tropu.

– Mówię prawdę i klnę się na Boga – oświadczyła zdecydowanie Marina.

– Zwykle nie myślę się w takich sprawach – powiedziała Tiggy.

Zażenowana Marina zarumieniła się.

– Przestań, *chérie*, przez ciebie stara kobieta się czerwieni.

– Daj spokój! Nie mów, że jesteś stara! Ale muszę się dowiedzieć, kim jest ten tajemniczy mężczyzna, do którego wzdychasz – szepnęła Tiggy.

Marina cmoknęła i kiedy już wydawało się, że coś powie, zza rogu wyłonił się Charlie.

– O, jesteś, kochanie. – Uśmiechnął się do Tiggy.

– Cześć, Charlie. Wszystko w porządku?

– Tak. Spokój na morzu... To niezamierzona metafora.

Tiggy przewróciła oczami.

– No dobrze – rzucił. – Ally wysłała mnie z misją. Mam zmobilizować wszystkich, żeby przed kolacją skończyli czytać pamiętnik.

– Przecież mamy jeszcze mnóstwo czasu, zanim dotrzemy do Delos – zauważyła Tiggy.

– Nie strzelaj do posłańca! – Charlie uniósł ręce. – Bardzo jej zależy, żeby wszyscy doczytali do tej samej strony.

– Dziękuję, Charlie. Zaraz wracam do czytania. Wszystkie inne też się zgodziły?

– Jak dotąd żadnych skarg i zażaleń. – Charlie nachylił się, by popatrzeć na Beara leżącego w ramionach Mariny. – Ten mały naprawdę rośnie jak na drożdżach.

Musnął policzek chłopczyka palcem.

– Zostawię was – rzucił. – Porozmawiamy później.

Kiedy Charlie się oddalił, Tiggy nachmurzyła się.

– Musi być jakiś ważny powód, że Ally nas pogania. Wiesz, o co może chodzić?

Marina się zaczerwieniła.

– Nie.

– Chyba powiedziałaś mi, gdyby coś się tu... działo, prawda? – nie odpuszczała Tiggy. – To okropne mieć wrażenie, że wszyscy coś przed tobą ukrywają.

– Nie okłamałabym cię, *chérie*.

– No dobrze. – Tiggy klepnęła się po kolanach i wstała. – Wiesz, wszystko we mnie aż iskrzy i buzuje. Jakbym coś wyczuwała, ale nie całkiem pojmuję co.

– Może to ze względu na Merry? – zasugerowała Marina. – Krew z krwi twojego taty, tutaj, na *Tytanie*...

Tiggy wzruszyła ramionami.

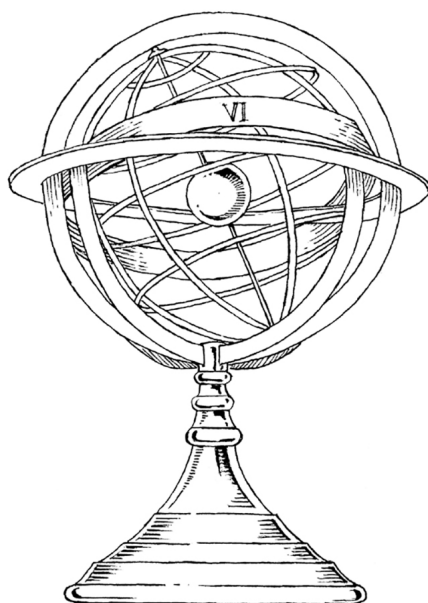
– Możliwe. Muszę chyba wrócić do kajuty i skończyć czytać pamiętnik.

– Dobrze, *chérie*. Porozmawiamy później.

Kiedy tylko Tiggy znikła z pola widzenia, Marina pospiesznie odłożyła Beara na miękkie poduchy i wysłała wiadomość do Georga Hoffmana.

Pamiętnik Atlasa

Lata 1951–1993



43

Podróż powrotną do Anglii spędziłem na układaniu listy miejsc, w których może przebywać Elle. Wiedziałem, że to szukanie igły w stogu siana. Zamierzałem pójść śladem naszej wędrówki po Europie – choć nie miałem żadnej gwarancji, że wróciła gdzieś, gdzie kiedyś byliśmy. Ale od czegoś musiałem zacząć.

Ralph McBride zachował się wzorowo, kiedy powiadomiłem go, że wyjeżdżam z Australii. Przyszedł pomachać mi na pożegnanie w porcie Adelaide, jakbym był starym przyjacielem albo bratem.

– Dziękuję, Atlasie. Właściwie sam odbudowałeś imperium Mercerów. Kopalnia opali pomogła nam się podźwignąć i odnowić zrujnowaną misję Hermannsberg, która tak wiele znaczy dla Kitty. Jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co zrobiłeś.

Uściskał mnie.

– I nawzajem, Ralph. Dziękuję ci.

– Mam nadzieję, że wracasz pierwszą klasą?

Roześmiałem się i uniosłem bilet drugiej klasy.

– Przecież dzięki dziesięciu procentom zysku jesteś teraz miliarderem.

– Pewnie stare zwyczaje nie rdzewieją. A skoro o tym mowa... będę potrzebował twojej pomocy przy przesłaniu pieniędzy do Europy.

– Oczywiście. Pomogę we wszystkim, w czym tylko mogę. Żałuję, że cię tracę, i wiem, że ludzie w Coober Pedy też. Nigdy nie zapomną dnia,

kiedy uratowałeś tych trzech górników z walącego się szybu. Jesteś bohaterem. – Ralph wydawał się bardzo wzruszony.

– Szczerze mówiąc, myślę, że to raczej oni mnie ocalili – odparłem. – A Michael na pewno doskonale sprawdzi się na moim miejscu.

– Do zobaczenia.

Ralph wyciągnął dłoń, a ja ją uścisnąłem, odwróciłem się i ruszyłem trapem na pokład *Orientu*.

Rejs pamiętam jak przez mgłę. Po raz pierwszy w życiu poddałem się znieczulającemu działaniu alkoholu. Pierwszego wieczoru wszedłem do baru, by uczcić pożegnanie z Australią szklanką whisky, przesiedziałem tam całą noc i następnego wieczoru wróciłem. I kolejnego też. Wkrótce zacząłem tam zaglądać również podczas dnia.

Co mam na swoje usprawiedliwienie? Wydawało mi się, że dzięki temu czas płynie szybciej, a dni bez Elle stawały się coraz bardziej znośne. Odzyskałem wprawdzie cel w życiu, ale póki nie mogłem szukać Elle, ból mnie nie opuszczał. Niestety, nie zerwałem z piciem, kiedy po dwóch miesiącach rejsu wysiadłem na ląd. Wiedziałem, że czeka mnie konfrontacja z duchami przeszłości, i dalej piłem, żeby łatwiej mi było się z nimi mierzyć.

Po powrocie do Anglii poszedłem do księgarni Arthura Morstona. Rupert był tak zaskoczony na mój widok, że wylał herbatę na paczkę przysłanych właśnie książek.

– O rany, stary! Mało nie padłem z wrażenia! Dobry Boże! Jak się masz?

Najkrócej, jak mogłem, opisałem, co się ze mną działo przez te dwa lata.

– Coś takiego! Biedaku... Żałuję, że nie mogę przekazać ci dobrej wiadomości i powiedzieć, że tutaj była. Niestety, nie.

– No cóż, i tak warto było wpaść.

Odwrociłem się do drzwi.

– Zaczekaj, stary, mam wrażenie, że przydałaby ci się filiżanka mocnej kawy i może wygodne łóżko na noc. Wiesz, że Louise i ja z przyjemnością...

– Kiedy się rozstawaliśmy, mówiłeś, że weźmiesz pod lupę Kreega – powiedziałem.

Zrobił taką minę, jakby poczuł się skarcony.

– I dotrzymałem słowa. Ale jak przewidywałeś, ten łajdak ulotnił się niczym duch. Nie ma o nim żadnych wzmianek w naszych raportach. Moi kumple znaleźli jego imię i nazwisko w jakimś starym rosyjskim spisie ludności, ale to nie na wiele ci się przyda.

– Nie. – Westchnąłem. – Nie wrócił tu?

– Nie, bracie. Przez wiele tygodni po twoim wyjeździe mieliśmy księgarnię pod obserwacją, ale po tym człowieku nie było śladu.

Rozejrzałem się po sklepie. Półki pomalowano na biało, przez co zrobiło się tu jaśniej. Elle by się to podobało.

– Dziękuję, Rupert. – Coś mi przyszło do głowy. – Może mógłbyś skontaktować się z Florą i zapytać, czy Elle się do niej nie odezwała?

– Jasne – odparł Rupert i ruszył na tył księgarni. – Od razu do niej zadzwonię.

Po jakimś czasie wrócił, kręcąc głową.

– Przykro mi, stary, Flora nie miała od niej żadnych wiadomości. Ale z radością by się z tobą zobaczyła. Powiedziała, że zawsze będziesz u niej mile widziany.

– Dzięki, Rupert – odparłem trochę bełkotliwie, ściskając mu dłoń.

– Może jednak mógłbym ci zaproponować filiżankę mocnej...?

Zatrzasnąłem drzwi księgarni, zanim zdążył dokończyć. Ruszyłem do hotelu Claridge, gdzie się zatrzymałem, i poprosiłem recepcjonistę, by załatwił mi formalności potrzebne do kolejnego etapu podróży. Jechałem do Szwajcarii.

*

Eric Kohler bez wątpienia nie ucieszył się na mój widok tak jak Rupert. Kiedy wszedłem do kancelarii Kohler & Schweikart na rue du Rhône, sekretarka na mój widok zrobiła wielkie oczy.

– Monsieur Tanit? – wyjąkała, nie mogąc uwierzyć, że ten wynędzniały brodaty mężczyzna to naprawdę ja.

Gdy skinąłem głową, szybko złapała słuchawkę. Kohler wybiegł z gabinetu zdumiony, po czym wciągnął mnie do środka.

– Atlas! Gdzieś ty się, człowieku, podziewał?! O co cię prosiłem? Żebyś nie zmieniał miejsca pobytu bez powiadomienia mnie o tym! A ty po prostu zniknąłeś. Naprawdę mam ochotę przekazać cię pod opiekę jakiegoś młodszego prawnika, bo rodzina Tanitów mnie wykończy...

Uniosłem dłoń, żeby przestał mówić.

– Elle... Czy kontaktowała się z tobą?

– Nie! – wybuchnął gniewnie. – Oczywiście, że nie. Masz teraz sporo do wyjaśnienia, przede wszystkim w szwajcarskim urzędzie przyznającym obywatelstwo, który przez dwa lata nie mógł się z tobą skontaktować. Gdzie ty byłeś?

Usiadłem ciężko na kanapie w głębi pokoju i opowiedziałem prawnikowi o swoim złamanym sercu i Australii. Słuchał uważnie, ale też z niedowierzaniem.

– Bardzo mi przykro, że tak się stało, ale co ci przyszło do głowy, żeby płynąć do Australii? Jeśli pragnąłeś zmiany, to dlaczego nie wróciłeś do ojczyzny?!

Przypomniało mi się, że na żadnym etapie nie wspomniałem mu nic o Kreegu, ale byłem zbyt wyczerpany, by robić to teraz.

– Zamierzam odwiedzić Hoffmanów, zobaczyć, czy z dziećmi wszystko w porządku – oznajmiłem. – Mógłbyś zadzwonić, żeby ich uprzedzić?

Westchnął.

– Oczywiście, i jestem pewien, że z radością cię powitają. Georg świetnie sobie radzi. Tak naprawdę bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Praktykuje u mnie raz w tygodniu. Jest bardzo inteligentny i chce zostać prawnikiem.

– W takim razie będę mógł cię zwolnić i zatrudnić jego! – Język mi się plątał.

– Może, pewnego dnia... Tylko że...

– Tak?

– Wiem, że nadal jesteś moim klientem, i nie chciałbym być nietaktowny. Ale chyba najpierw powinieneś wziąć zimny prysznic. I może się ogolić. Oraz wypić mnóstwo wody. Pamiętaj: dla tych dzieci jesteś zbawicielem. – Popatrzył na mnie surowo. – Nie popsuj im wyobrażenia o ich aniele stróżu.

Przekonał mnie tym.

– No dobrze. Pójdę do nich jutro z samego rana. Zadzwoni później do mnie do hotelu i daj mi znać, czy to Hoffmanom pasuje. Zatrzymałem się w Beau Rivage.

– Jak pan sobie życzy, panie Tanit. – Wskazał na drzwi.

Zawstydzony powlokłem się do hotelu i przez całą noc nie tknąłem kropli alkoholu. Nazajutrz wsiadłem rano do taksówki i pojechałem do

dawnego domu babki, nadal łatwego do rozpoznania, bo był pomalowany na różowo. Jego mieszkańcy powitali mnie bardzo ciepło.

– Dziękuję, że pan nas odwiedził! – zawołała pani Hoffman. – Pan Kohler mówił, jak bardzo jest pan zajęty interesami.

Zorientowałem się, że prawnik postanowił kłamać, żeby nie martwić dzieci. Poczulem nagle wyrzuty sumienia.

– Georg i Claudia tak się ucieszą, jak pana zobaczą!

– Ma pani wszystko, co potrzeba? – spytałem. – Chcę mieć pewność, że nie musi pani wydawać na dzieci swoich pieniędzy.

Pokiwała gorliwie głową.

– Wszystko jest w najlepszym porządku, panie Tanit. Pana babcia byłaby bardzo dumna, że tyle pan robi dla innych. Ma to pan w genach.

Dzieci powitały mnie jak dawno niewidzianego wujka. Zdumiałem się, że oboje tak wyrosli przez ten czas, kiedy mnie nie było. Nie wziąłem pod uwagę, że dla nich te lata były okresem gwałtownego dojrzewania. Zmienili się. Najwyraźniej Hoffmanowie kazali im się elegancko ubrać na spotkanie z ich dobroczyńcą. Poczulem żal do siebie, że nie uczestniczyłem bardziej w życiu tych dzieci.

– Dzień dobry, proszę pana – powiedział Georg ochrypłym głosem.

Nasze oczy były teraz niemal na tym samym poziomie, kiedy ścisnął mi dłoń.

– Wielkie nieba. Czy to młody Georg, czy jego ojciec?! – zażartowałam, zanim przypomniałem sobie, jaki los spotkał ich rodziców.

Zauważył moje zmieszanie i uśmiechnął się uprzejmie.

– Moją siostrę Claudię też pan poznaje? – Wskazał na dziewczynkę.

Ona też była o wiele wyższa, niż ją zapamiętałem, ale miała tę samą słodką twarz.

– Miło mi pana widzieć. – Dygnęła. – Mój brat i ja nie umiemy wyrazić, jak bardzo jesteśmy panu wdzięczni.

– Cieszę się, że cię widzę, Claudio. I nie ma potrzeby mi dziękować. To wszystko zasługa pani i pana Hoffmanów. Podoba wam się życie w Genewie?

Pokiwali z przekonaniem głowami.

– A jak idzie nauka?

– Mnie bardzo dobrze – zapewnił Georg.

– Słyszałem, że chodzisz do kancelarii pana Kohlera. Mówi, że chciałbyś zostać prawnikiem.

Georg przestąpił z nogi na nogę.

– To moje marzenie. Chciałbym poprawiać świat, zapewniać ludziom sprawiedliwsze życie.

Jego słowa wywołały uśmiech na mojej twarzy.

– Nie przychodzi mi do głowy cel bardziej szlachetny i odpowiedni niż to, o czym mówisz. Cieszę się, Georg, brawo. Staraj się zrobić wszystko, by spełnić te marzenia.

– Spróbuję, proszę pana. – Zawahał się i spojrzał na panią Hoffman stojącą w kącie pokoju.

Ta popatrzyła na niego surowo.

– Ale pan Kohler mówi, że opłaty za studia prawnicze są bardzo wysokie – dodał chłopiec.

– Georg! – krzyknęła pani Hoffman. – Pan Tanit jest tu zaledwie pięć minut, a ty nękasz go o więcej pieniędzy. Przecież on już łoży na całe twoje utrzymanie!

Roześmiałem się.

– Proszę go nie ganić – powiedziałem. – Prawnik musi być śmiały, pomysłowy i zadawać istotne pytania. Mam wrażenie, że Georgowi tych cech nie brakuje.

– Przyrzekam, że pewnego dnia zwrócę panu wszystkie pieniądze – oświadczył. – Co do pensa!

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Nie wątpię, że zrobiłbyś to, gdybyś mógł. Ale nie ma potrzeby. Zapewniam cię, że jeśli nadal będziesz ciężko pracował i państwo Hoffmanowie nie będą mieli z tobą kłopotów, finanse nie będą dla ciebie barierą i podejmiesz studia.

– Dziękuję, panie Tanit! Dziękuję! – Jego głos zrobił się trochę piskliwy.

– To samo oczywiście dotyczy ciebie, Claudio. Lubisz szkołę?

Dziewczynka trochę się speszyła.

– Niektóre przedmioty są dla mnie trudne. Nie mówię tak dobrze po francusku jak brat.

– Na razie. – Mrugnąłem do niej. – Nie poddawaj się. – Podniosłem rękę. – Miło było porozmawiać i zobaczyć was wszystkich, ale niestety, muszę już iść. Bądźcie dalej grzeczni i słuchajcie się państwa Hoffmanów, dzieciaki.

Uścisnąłem dłoń Georgowi, a Claudia objęła mnie na pożegnanie.

Ich opiekunowie odprowadzili mnie do drzwi. Pan Hoffman położył dłoń na moim ramieniu.

– To naprawdę wspaniałe, co pan robi dla tych dzieci – powiedział.

– Proszę, mówcie mi po imieniu, Atlas – zaproponowałem. – I chciałbym raz jeszcze podkreślić, że to wam należą się podziękowania.

– Możliwe, ale sądzę, że na tym świecie niewielu jest takich, którzy wykorzystaliby swój spadek na finansowanie życia dwójki obcych sobie sierot. Robisz to jedynie z dobroci serca i to jest coś godnego najwyższego uznania.

– Dziękuję – powiedziałem i ścisnęło mnie w gardle.

Po uporządkowaniu spraw z Kohlerem – w tym skontaktowaniu go z Ralphem McBride'em, by zorganizować bezpieczny transfer sporych pieniędzy z australijskiego konta bankowego – podpisałem wreszcie ostatnie dokumenty, które miały zapewnić mi obywatelstwo.

Czytelnik może zadawać sobie pytanie, czy nie bałem się, że natknę się na Kreega Eszu, idąc śladem swoich poprzednich kroków po Europie. Muszę jednak wyznać, że wtedy strach dla mnie nie istniał. Bez Elle nie zależało mi na własnym życiu. Pochłaniały mnie wyłącznie poszukiwania ukochanej, nic więcej. Uda mi się albo umrę, próbując ją znaleźć.

*

Prom z Newcastle do Bergen płynął po wzburzonym morzu. Dobrze, że rejs trwał krótko. Dobiliśmy do brzegu w niecałe dwadzieścia cztery godziny. Ze wszystkich moich powrotów tego bałem się najbardziej. Co mogłem powiedzieć Astrid i Horstowi po tak niewyobrażalnej tragedii, jaka ich spotkała? A do tego dochodziła perspektywa spojrzenia w oczy małemu Felixowi, skonfrontowanie się z jego bólem. Podczas rejsu znieczulałem się więc whisky.

Wiedziałem, że muszę się trzymać planu. Gdyby Elle miała dokądkolwiek wrócić, to Bergen wydawało się najbardziej prawdopodobne. Karine była jej najlepszą przyjaciółką, a Halvorsenowie traktowali nas jak rodzinę. Pokonałem z mozołem znaną drogę od portu do wzgórz, gdzie nadal stał dom, w którym niegdyś mieszkaliśmy.

Zapukałem do drzwi.

– *Ett minutt!* – padła odpowiedź.

Czekałem chwilę, zbierając siły przed trudnym spotkaniem.

Wkrótce pojawiła się Astrid. Bardzo się postarzała. Niegdyś różowe policzki zapadły się, gęste blond włosy, które pamiętałem, stały się cienkie i siwe. Kiedy po chwili uświadomiła sobie, że to ja, jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia i zalśniły łzami.

– Witaj, Bo.

– Astrid... żadne słowa nie wyrażą, jak bardzo mi przykro, że... – Nim zdołałem dokończyć zdanie, objęła mnie i uściskała tak mocno, że straciłem oddech.

– Horst! – zawołała, ciągnąc mnie za rękę do środka. – Horst!

Ojciec Pipa wyłonił się zza rogu w holu i przyjrzał mi się z niedowierzaniem.

– Niemożliwe... Bo D'Aplièse? – wyjąkał.

– Witaj, stary przyjacielu.

Horst chodził o lasce. Powoli podszedł i uściskał mnie. Cofnął się nieco i postukał laską w moją pierś.

– Dobrze cię widzieć, już nie tak młody człowieku!

– Siadajcie, proszę! – rzuciła Astrid. – Zaparzę herbatę! Nadal lubisz English Breakfast?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, pospieszyła do kuchni, a ja poszedłem za Horstem do salonu, który nie zmienił się ani trochę przez te dziesięć lat.

– Horst, nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo mi przykro... – zacząłem.

Uniósł laskę, żeby mnie powstrzymać.

– Proszę. My o tym nie mówimy. Wszyscy w Bergen wiedzą, co przeszliśmy. Kiedy mijamy ludzi na ulicy, w ich twarzach maluje się współczucie i smutek. Mamy tego dość.

– Rozumiem.

Usadowił się w fotelu i gestem wskazał drugi.

– No to opowiedz mi o swoim życiu, Bo! Jak tam twoja ręka? Jesteś wiolonczelistą w Londyńskiej Orkiestrze Symfonicznej?

Tyle czasu minęło, odkąd w ogóle pomyślałem o wiolonczeli.

– Niestety, nie, przykro mi to mówić, ale nie. Ręka już mnie nie boli, jednak po kilku minutach poruszania nią sztywnieje. Zaakceptowałem, że nigdy nie będę wirtuozem.

Wyraźnie się zmartwił.

– Jaka szkoda. Pokładałem w tobie wielkie nadzieje. Więc co w takim razie robiłeś przez te dziesięć lat?

Opowiedziałem mu o High Weald, księgarni w Londynie i o Australii.

– Mój Boże, kopalnia opali! – zawołał Horst. – Nigdy bym nie pomyślał, że nieśmiały chłopak, którego znałem dziesięć lat temu, może prowadzić takie przedsięwzięcie! Ale życie lubi zaskakiwać. Póki jesteście z Elle szczęśliwi... A właśnie, gdzie ona jest? Przypłynęła z tobą do Bergen?

Spuściłem wzrok.

– Nie. Dlatego tu jestem. Szukam jej. Z twojego pytania wnioskuję, że nie pokazywała się w Bergen przez ostatnie dwa lata?

– Nie – odparł zmartwiony. – Czy coś pomiędzy wami zaszło? Kiedy byliście tu z nami, wydawało się, że jesteście w sobie tacy zakochani. Byliśmy pewni, że niedługo będzie ślub.

Staralem się nie rozkleić.

– Też tak myślałem. Ale od dwóch lat nie mam z nią kontaktu.

Horst nie był pewien, co powiedzieć, ale na szczęście przyszła Astrid z herbatą.

– Chyba dosłyszałam końcówkę waszej rozmowy – powiedziała ze smutnym uśmiechem. – Ty i Elle nie jesteście już razem?

Pokręciłem głową.

– Wydało mi się dziwne, że nie wspomniała o tobie w liście, który do nas przysłała.

Niemal podskoczyłem na fotelu.

– List? Kiedy go dostaliście?

– Jakies pół roku temu.

– Tak niedawno? To cudownie! Mogę go zobaczyć? – spytałem. Serce waliło mi jak szalone.

– Oczywiście. – Astrid podeszła do biurka, otworzyła górną szufladę, przez chwilę przeglądała papiery, po czym wyjęła jedną kartkę. – Jest. Bardzo krótki, ale ogromnie miło było dostać od niej wiadomość.

Najdrożsi Horst i Astrid

Mam nadzieję, że ten list zastanie Was w dobrym zdrowiu. Chciałabym, żebyście wiedzieli, jak bardzo tęsknię za Wami i Bergen, i moimi kochanymi przyjaciółmi, Pipem i Karine.

Ostatnio wiele o Was myślałam, o wieczorach, które spędzaliśmy razem, grając na wzgórzu.

Te wieczory w Norwegii były magiczne i tak brakuje mi tego, co było i odeszło.

Kiedy słucham Griega, myślę o Was i pięknym kraju, który miałam szczęście przez chwilę nazywać swoim.

Minęło tyle czasu, wszystko jest inaczej, ale nadal jesteście bardzo bliscy mojemu sercu.

Nigdy nie zapomnę, co razem przeżyliśmy. Nie mogłabym zapomnieć.

Felix na pewno jest już duży!

Już nie jest ślicznym bobasem!

Wszystko przed nim.

Ale tak mi żal, że nie mogą go widzieć jego rodzice. Byliby z niego tacy dumni.

Wasza Elle

Uniosłem brwi i położyłem kartkę na kolanach.

– To dość osobliwy list, zgodzicie się ze mną?

Astrid wzruszyła ramionami.

– Tak sądzisz? Może trochę niezręczny, ale złożyłam to na karb tego, że norweski to nie wasz język ojczysty.

– Owszem, tylko że pod koniec naszego pobytu tutaj mówiła przecież płynnie jak ja. Nie potrafię tego określić, lecz w tym, jak pisze, jest coś dziwnego. To nie brzmi jak Elle, którą znam. – Popatrzyłem na Astrid. – Masz pełne prawo odmówić, ale czy mógłbym zatrzymać ten list?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się łagodnie.

Nagle mnie olśniło.

– Astrid, masz kopertę, w której przyszedł ten list? Właśnie uświadomiłem sobie, że musiał mieć stempel pocztowy!

Pokręciła głową.

– Przykro mi, Bo. Wyrzuciłam ją. Zatrzymałam tylko list.

Serce mi się ścisnęło.

– Pamiętam, że przyszedł z zagranicy – dodała.

– Skąd? Z Anglii?

– Nie, to nie była Anglia. – Zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać. – A może tak? – rzuciła po chwili. – Pamiętam, że na stemplu było coś po angielsku... tak sędzę. Nie jestem jednak pewna. Przykro mi, że nie potrafię ci pomóc.

– W porządku, Astrid. – Staralem się ukryć rozczarowanie i zmieniłem temat. – Jak się ma Felix? Musi już mieć... jedenaście lat?

Horst i Astrid popatrzyli na siebie.

– Ma już trzynaście – odparł z powagą Horst.

– Mój Boże, jak ten czas leci! Wszystko u niego dobrze?

– Felix miał trudne życie. Jest... trochę zbuntowany – powiedział dyplomatycznie Horst.

– Nieodrodny syn ojca! – skwitowałem.

Na ustach Astrid pojawił się blady uśmiech.

– Rzeczywiście. Ale Felix sprawia więcej kłopotów wychowawczych. To nie jego wina. Bardzo brakuje mu rodziców.

– Mogę sobie wyobrazić.

Usłyszałem, że drzwi frontowe się otwierają, a potem ktoś nimi trzaska. Do salonu wpadł młody człowiek, skóra zdarta z Pipa, tyle że miał ciemne włosy Karine i jej przepastne brązowe oczy.

– Felixie Halvorsen! Jeszcze nie minęła połowa lekcji. Co ty robisz w domu? – spytała Astrid.

Chłopak nonszalancko wzruszył ramionami.

– Nie chciało mi się dłużej tam siedzieć. Dziś takie nudne lekcje. – Napotkał mój wzrok. – A ty kto?

– Felix! – warknął Horst. – Nie bądź niegrzeczny!

– W porządku, pytanie na miejscu – odezwałem się. – Ten młody człowiek ma prawo wiedzieć, kto jest u niego w domu!

Wstałem i podszedłem uścisnąć mu dłoń.

– Cześć, Felix. Mam na imię Bo. Przyjaźniłem się z twoimi rodzicami. Pamiętam cię, jak byłeś malutki.

W końcu podał mi rękę.

– Znałeś Pipa i Karine? – zapytał.

– Bardzo dobrze. Byli dla mnie wyjątkowo dobrzy, kiedy najbardziej tego potrzebowałem. Nigdy ich nie zapomnę. Nie mówiąc o twoich dziadkach, którzy zgodzili się przyjąć pod swój dach i karmić obcego człowieka.

Zmierzył mnie nieufnym wzrokiem.

– Jeśli byłeś tak blisko z moimi rodzicami, to dlaczego nigdy wcześniej cię nie spotkałem?

– Na litość boską, Felix. Zachowuj się uprzejmie wobec naszego gościa, dobrze? – ofuknęła go Astrid.

– Ja tylko mówię, że najwyraźniej nie przyjaźnił się tak blisko z mamą i tatą, skoro go wcześniej nie widywałem.

Rozumiałem jego gniew.

– Masz rację – przyznałem. – Powinienem był przyjechać tu wcześniej, ale tego nie zrobiłem. Naprawdę przepraszam. Cieszę się, że wyrosłeś na obstającego przy swoim szczerego młodego człowieka. Rodzice byliby z ciebie bardzo dumni.

– Jeśli dalej będzie opuszczał szkołę, raczej nie byliby dumni – wtrącił żartobliwie Horst.

Felix zmarszczył brwi.

– Przestań, dziadku. Więcej się nauczę, jak posiedzimy po południu razem przy fortepianie. Mam zamiar ćwiczyć.

Z tupotem pognał na górę do swojego pokoju. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu – syn Pipa i Karine był taki rezolutny i tak bardzo przypominał charakterem rodziców. To, co mu powiedziałem, było szczerze: rodzice na pewno byliby z niego dumni.

– Felix też jest muzykiem?

Horst wzruszył ramionami.

– Trudno, żeby było inaczej. Ma to w genach. Mówię ci, choć chuligan z niego, to jest wybitnie uzdolnionym pianistą. Myślę, że może nawet jest bardziej muzykalny od Pipa. – Nagle bardzo się zasępił. – A to coś znaczy.

Podszedłem do starego przyjaciela i położyłem rękę na jego dłoni.

– Wiem, jaki wdzięczny byłby Pip za to, co robicie z Astrid dla jego syna. Karine też.

Oczy Horsta zaszklily się.

– Dobrze było was znowu zobaczyć – powiedziałem. – Dziękuję za herbatę, Astrid.

– Naprawdę musisz już iść? Dopiero co przeszedłeś przez próg!

– Nie chcę wam sprawiać kłopotu – odparłem. – Już dotąd mieliście ze mną dość zachodu. Starczy za całe życie.

– Co za bzdury, młody człowieku! – zaoponowała stanowczo Astrid. – Nie ma dyskusji. Zostajesz na kolacji. Gdzie mieszkasz?

– Ja...

Astrid pokiwała mi palcem.

– Na Boga, Bo! Nie mów, że nie masz się gdzie zatrzymać?

– Planowałem, że zamelduję się w Grand Hotelu, jutro rano wsiądę na prom i popłynę do Francji.

– Do Francji? – zdziwił się Horst. – Dlaczego tam?

– To ojczyzna Elle. Możliwe, że wróciła do Paryża, gdzie się poznaliśmy.

Astrid podeszła i złapała mnie za ramiona.

– Dobrze, jedź do Francji, jeśli musisz, i kontynuuj poszukiwania, ale na kilka dni zostań z nami. Horst i ja ci nie odpuścimy. – Popatrzyła na mnie błagalnie.

– Dziękuję – odparłem. – Z wielką przyjemnością.

Te kilka dni, które spędziłem w Bergen, było cudowne. Wędrowałem Bergens Fjellstrekninger, wieczorami grzałem się przy kominku i zjadałem specjalność Astrid: potrawkę z baraniny z kapustą. Pod koniec mojego pobytu chyba nawet Felix mnie polubił – zwłaszcza kiedy nastroiłem pianino, które niegdyś należało do jego ojca.

Wreszcie nadszedł czas się pożegnać i wsiadłem na prom z Bergen do Amsterdamu, a stamtąd koleją z przesiadkami dotarłem do Paryża. Z kim skontaktowałyby się Elle, jeśli tu wróciła? Z Landowskimi? Może z madame Gagnon? Miałem wielką chęć pomówić z Iwanem, ale wiedziałem, że pokazywanie się w konserwatorium nie byłoby wskazane po tym, co lata temu zaszło pomiędzy mną a Toussaintem. Musiałem zacząć od pracowni Landowskiego w Boulogne-Billancourt.

Dom wyglądał dokładnie tak jak w moich wspomnieniach. Biała kamienna fasada była może nieco spatynowana, ale nadal porastała ją bujnie fioletowa wisteria. Stałem chwilę, napawając się widokiem miejsca, które w latach chłopięcych było dla mnie domem. Mój wzrok padł na ławkę, na której siadywałem, kiedy grałem na skrzypcach. Podeszedłem i opadłem na nią: zamknąłem oczy, wracając myślami do przeszłości.

– Co pan tu robi?! – usłyszałem znajomy głos.

Uniosłem powieki, obejrzałem się i zobaczyłem bardziej siwą i tęszą Evelyn idącą szybkim krokiem przez trawnik.

– To prywatna posiadłość!

Uśmiechnąłem się szeroko na widok jednej z moich najmilszych zbawicielek. Och, jak dobrze było ją zobaczyć.

– Powtarzam, co pan wyprawia?! Bo zaraz wezmę miotłę!

Nadal siedziałem nieruchomo i na nią patrzyłem.

– Kim pan jest?

– Dzień dobry, Evelyn – powiedziałem, wstając.

Byłem od niej wyższy o co najmniej trzydzieści centymetrów. Kiedy napotkała mój wzrok, zauważyłem, że chyba mnie poznaje. Nie miała już tak srogiej miny.

– Nie może być... – szepnęła. – Bo?

Wyciągnąłem do niej rękę, a ona uściskała mnie mocno.

– Bo! Och, Bo! Nie sądziłam, że jeszcze cię zobaczę.

Oderwała się ode mnie na chwilę, żeby przyjrzeć się mojej twarzy.

– Och, kochany. Aleś ty wyrósł! Co za radość!

Po raz kolejny w oczach osoby, która wyraźnie ucieszyła się na mój widok, dostrzegłem łzy. Powinno mi to pochlebiać.

– Bardzo za tobą tęskniłem, Evelyn.

– A ja za tobą! Musisz wejść! Monsieur Landowski jest w domu. Tylko uważaj, mały, bo możesz przyprawić go o zawał! – Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez hol, który tak dobrze pamiętałem. – Większość czasu jak zwykle spędzam tu sama, bo monsieur pracuje w przeróżnych miejscach na świecie. A co u ciebie? Jesteś słynnym muzykiem? Co z tym chłopakiem, który cię prześladował? Załatwiliście to jakoś? I co z małą Elle?! Co robi?

Ta lawina pytań uświadomiła mi, że nie widziała się z Elle, odkąd lata temu opuściliśmy Francję. Staralem się ukryć rozczarowanie.

– Wiele się zmieniło, Evelyn.

– Najwyraźniej. Po pierwsze, mówisz o wiele więcej niż dawniej!

– Co to za harmider? – usłyszałem tubalny, choć lekko już ochryply głos monsieur Landowskiego.

Wyłonił się zza rogu, w tym samym kitlu, który nosił dwadzieścia pięć lat temu. Odrobina włosów, które pozostały mu na głowie, była całkiem biała, podobnie jak wąsy i broda. Przez chwilę staliśmy w korytarzu twarzą w twarz.

– Chłopcze! – odezwał się wreszcie. – A to ci dopiero! – Pokręcił głową, odwrócił się i skinął ręką, żebym poszedł za nim. – Chodź. Przyda mi się ktoś do pomocy. Evelyn, zaparzysz nam herbaty? I przynieś do pracowni.

Evelyn ścisnęła moją rękę i znikła w kuchni. Poszedłem za monsieur Landowskim do jego pracowni, gdzie na stole roboczym stała niemal gotowa kamienna rzeźba przedstawiająca tańczącą kobietę. Jej ręka była elegancko uniesiona, a głowa opuszczona.

Landowski wziął dłuto i zaczął delikatnie kuć w splotach jej rozwianych włosów.

– Podaj mi cieńsze narzędzie z ławy, dobrze?

Natychmiast wykonałem polecenie.

– No i co myślisz? – Ruchem głowy wskazał rzeźbę.

– Nadal ma pan to mistrzowskie wyczucie. To tancerka flamenco? – spytałem.

– Owszem. – Cofnął się i przez chwilę podziwiał swoje dzieło. – Jestem dość dumny z tego, jak mi to wyszło.

Odwrócił się twarzą do mnie.

– Hm... wróciłeś – mruknął. – Czy to znaczy, że wreszcie jesteś bezpieczny?

Westchnąłem ciężko.

– Trudno odpowiedzieć na to pytanie.

– Na pewno nie musisz się już martwić tym szubrawcem Toussaintem z konserwatorium. Twój dawny nauczyciel, monsieur Iwan, policzył się z nim.

Na wspomnienie Iwana uśmiechnąłem się.

– Naprawdę? Jak?

Landowski roześmiał się.

– Iwan jest Rosjaninem i się wściekł. Mam powiedzieć więcej?

Wzruszyłem ramionami.

– Może lepiej nie.

– Toussaint musiał uciekać z Paryża. Nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy. Prędzej czy później szczury wracają do rynsztoka.

– Jak się ma monsieur Iwan? Bardzo chciałbym go zobaczyć.

Landowski wsparł się na ławie.

– Przykro mi, Bo. Umarł kilka lat temu. Byliśmy w kontakcie po twoim wyjeździe do Niemiec. Często o tobie mówił i przepowiadał ci świetlaną przyszłość. – Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. – Ale widzę, że już nie grasz.

Zdumiałem się.

– Po czym pan to poznał?

– Nie ma w tobie radości życia. Duszy. Dlatego domyślałem się, że nie grasz.

Przyszła Evelyn z herbatą.

– Dziękuję – zwrócił się do niej Landowski. – Nie wiem, jak bym sobie dał radę bez niej, chłopcze. Ona zawiaduje całym moim życiem we Francji, od pościeli po kalendarz. Moja pamięć już nie jest taka jak dawniej, prawda, Evelyn?

Roześmiała się.

– Jest pan bystry jak zwykle, monsieur.

– Musisz tak mówić, bo ci płacę! Siadaj, proszę, żeby nasz stary przyjaciel opowiedział nam wszystko o swoim życiu.

Evelyn podeszła do zapyłonej starej kanapy w głębi pracowni.

– Zanim zacznę, mogę spytać, gdzie jest pana rodzina, monsieur?

– Większość nadal w Rzymie. – Pokazał na rzeźbę. – Przyjechałem do Paryża tylko dlatego, że muszę skończyć tę pracę. Zacząłem ją tutaj, kiedy w zeszłe Boże Narodzenie znudziło mnie gadanie mojej niedomagającej teściowej. – Delikatnie pogładził kamienną twarz. – To na prywatne zamówienie z Hiszpanii. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli popracuję, słuchając ciebie. Już mam spore opóźnienie. Muszę ją dzisiaj skończyć.

– Proszę pracować – odparłem.

– Dziękuję. – Podniósł dłuto. – A właśnie! Mój syn Marcel dostał się do konserwatorium. Studiował pod kierunkiem Marguerite Long i teraz zajmuje się zawodowo komponowaniem.

– Zasłużony sukces – rzuciłem. – Kiedy go pan zobaczy, proszę przekazać, że szczerze mu gratuluję.

Landowski uśmiechnął się do mnie przewrotnie.

– Na pewno bardzo się ucieszy.

Rzeźbił, kiedy opowiadałem swoją historię. Pomagałem mu, wracając do rutyny sprzed ćwierćwiecza. Prawie nie reagował na to, co mówiłem, poczynając od tego, jak zламаłem rękę, gdy Kreeg Eszu podpalił dom

w Lipsku, aż po dramatyczną akcję ratowania ludzi w kopalni w Coober Pedy. Był skupiony na pracy. Evelyn natomiast wyraźnie przeżywała koleje mojego losu. Wzdychała i załamywała ręce.

– Och, Bo – westchnęła, kiedy skończyłem. – Tak mi przykro, że cię to spotkało. Życie potrafi być tak strasznie niesprawiedliwe.

– Podejrzewam, że nawet nie mam co pytać, czy Elle kontaktowała się z wami – powiedziałem.

Landowski pokręcił głową.

– A co z panem Brouillem? Myślicie, że jest jakaś szansa, że odezwała się do niego?

– Rozmawiam z nim często – odparł Landowski. – Jest dziekanem wydziału rzeźby w École des Beaux-Arts. Zapewniam cię, że coś by mi o tym wspomniał.

– A ja nadal jestem w kontakcie z madame Gagnon – oznajmiła Evelyn. – Przeszła na emeryturę. Ale od czasu do czasu chodzimy razem na herbatę. Nic nie mówiła o Elle. Przykro mi, Bo.

– A co z Kreegiem? Nie boisz się go już? – spytał Landowski.

– Nie wiem, co jeszcze mógłby mi odebrać. Wszystko już straciłem – odparłem szczerze. – Paryż był moją ostatnią nadzieją. Nie wiem, gdzie może być Elle. Myślałem, że jeśli odwiedzę miejsca z naszej przeszłości, to w którymś z nich ją znajdę. Teraz nie mam pojęcia, co robić. – Przeczesałem palcami włosy.

Landowski wpatrywał się we mnie.

– Nie masz żadnych planów? – Klasnął w dłonie. – To może chciałbyś popracować dla mnie?

Zaskoczyła mnie ta propozycja.

– To miło z pana strony, ale nie jestem pewien, czy mógłbym asystować panu w pracowni jak dawniej.

– Myślałem o jednorazowym zleceniu, nie o czymś na stałe. Ta rzeźba musi być dostarczona do Sacromonte w Grenadzie. Jak wspomniałem, jest późno. Mógłbyś zawieźć ją tam pociągiem. Gdyby popłynęła statkiem, potrwałoby to o wiele dłużej. – Uniósł brew. – Wyświadczyłbyś przysługę staremu przyjacielowi.

Zastanowiłem się nad tą propozycją i nie znalazłem powodu, dla którego nie mógłbym spełnić prośby mistrza.

– Dobrze. Chętnie będę towarzyszył w podróży pana dziełu.

– Świetnie. Nie sądzę, żeby siedzenie z nią w wagonie towarowym było specjalnie komfortowe, ale na pewno sobie poradzisz. – Landowski wyjrzał przez okno pracowni na ławkę. – Wiesz, od czasu, kiedy Brouilly popłynął z Cristo do Brazylii, żadna moja rzeźba nie miała osobistej eskorty.

– Wydaje się, że to było wieki temu – powiedziałem.

– Bo tak jest. – Wrócił do pracy. – A więc jedź do Sacromonte i naciesz się hiszpańskim słońcem. Odpocznij, pomyśl. Podejrzewam, że tego ci właśnie trzeba.

– Dla kogo jest to zamówienie?

– Dla członków Zarządu Pałacu Alhambra. Podobno odbywa się tam jakiś konkurs tańca. Jak to się nazywa, Evelyn?

– Concurso de Cante Jondo – odparła.

– Tak, właśnie. Pewna młoda Cyganka, która w nim zwyciężyła i zdobyła wielką sławę, stała się symbolem tego regionu po hiszpańskiej wojnie domowej. – Landowski wzruszył ramionami. – Jedno jest pewne: była bardzo ładna. Patrz. – Podał mi fotografię. – To według tego pracowałem.

Zdjęcie przedstawiało oszałamiającą ciemnowłosą piękność w czerwonej sukni, uchwyconą przez aparat w połowie obrotu.

– Jak się nazywała? – spytałem.

– Zawstydzasz mnie, chłopcze! Mam w głowie galaretkę. – Pstykał palcami, starając się sobie przypomnieć. – Jakże ona się nazywała, Evelyn?

– Lucía Amaya Albaycín.

– No właśnie. Jest gwiazdą w Ameryce Południowej... podobno.

– To bardzo interesujące. To będzie dla mnie zaszczyt eskortować kamienną wersję Lucii w jej strony.

– Oczywiście zapłacę ci za to.

Uniosłem rękę.

– Nie, monsieur. Nie mogę przyjąć za to pieniędzy. Nie brakuje mi ich. Chciałbym panu zwrócić za chesne w konserwatorium i utrzymywanie mnie przez tyle lat.

Landowski westchnął i przewrócił oczami.

– Nie wygłupiaj się, chłopcze. Nie miałeś nic! Evelyn, zadzwoniłabyś do kolei towarowych i załatwiła przewóz rzeźby?

– Tak, monsieur.

Miałem wrażenie, że Evelyn trudno jest podnieść się ze starej kanapy, więc podałem jej rękę.

– Zapomniałem spytać o twojego syna – rzuciłem. – Co u Louisa?

Uśmiechnęła się smutno.

– Zrealizował marzenia. Zajmuje teraz wysokie stanowisko w Renault.

– Wspaniale! Ma rodzinę? Ożenił się?

Westchnęła ciężko.

– Tak. Jego żona ma na imię Giselle.

Zauważyłem, że rzuciła okiem na Landowskiego, a ten odpowiedział spojrzeniem pełnym współczucia.

– To pełna temperamentu kobieta, która nie zaakceptowała moich bliskich relacji z synem. Coraz rzadziej go widuję.

Serce mi się kroilo, kiedy to mówiła.

– Och, Evelyn... Tak mi przykro.

– Nawet nie poznałam jeszcze wnuczki. Ma już pięć lat, a Giselle nie pozwala mi jej zobaczyć.

Byłem w szoku. Louis i jego matka byli kiedyś ze sobą tak blisko.

– Ale przecież twój syn cię uwielbia. Nie wierzę, że pozwoliby zepsuć wasze relacje, niezależnie od tego, co mówi mu żona.

– Zakochany mężczyzna traci rozum. Niestety, Giselle kompletnie namieszała mu w głowie. – Pociągnęła smętnie nosem.

– Jak ma na imię twoja wnuczka?

– Marina – odparła z żalem Evelyn.

– Ładne imię. – Nie wiedziałem, co innego mogę powiedzieć. – Mam nadzieję, że pewnego dnia się poznacie.

– Ja też – rzuciła i zmieniła temat. – Mam ci pościelić łóżko? Twój pokój jest prawie taki sam jak dwadzieścia lat temu.

Landowski zachnął się.

– Na pewno możemy go awansować. Zamiast na poddaszu niech śpi w apartamencie gościnnym. Dobrze, chłopcze?

– Nie chcę sprawiać kłopotu. Chętnie zatrzymam się w hotelu, jeśli...

Landowski wybuchnął śmiechem.

– Tyle lat u nas mieszkales! Na pewno wytrzymamy z tobą jeszcze tę jedną noc, prawda, Evelyn?

W ten wieczór wypiliśmy parę butelek wina z Côtes du Rhône. Dowiedziałem się, jak potoczyły się dalsze losy tych, których kiedyś znałem. Landowski i Evelyn nadal mieli w sobie mnóstwo energii, choć ich ciała, jak i moje, się postarzały. Po kolacji poszedłem na górę do mojego dawnego pokoju na tyłach domu. Łóżko, które jako dziecko uważałem za

szczyt luksusu i wygody, teraz wydawało się małe i nierówne. Mimo to spałem jak zabity i nic mi się nie śniło, w czym pomogła ilość pochłoniętego czerwonego wina.

Rano przybyło trzech mężczyzn, by spakować posąg Lucii i go odtransportować, wraz ze mną, na paryski gare de Lyon.

– Wysłałam wiadomość do Alhambry, że jesteś w drodze i powinieneś tam dotrzeć za pięć dni – wyjaśniła Evelyn. – Masz przesiadkę w Barcelonie, gdzie tragarze przeniosą rzeźbę do drugiego pociągu. Jest też już załatwione przewiezienie posągu ze stacji w Grenadzie do Alhambry.

– Dziękuję, Evelyn – powiedziałem. – Po tylu latach nadal organizujesz mi życie.

Uściskałem ją mocno, a potem podszedłem uścisnąć dłoń Landowskiego.

– Miło było cię zobaczyć, chłopcze. Nieuchronne pytanie, jakie muszę ci zadać, brzmi: czy kiedykolwiek wrócisz?

– Przy sprzyjających wiatrach – odparłem. – Mam nadzieję, że nasze ścieżki przetną się znowu.

Roześmiał się.

– Cieszę się, że czasy w naszym domu wyszły ci na dobre. – Położył mi na ramieniu wątlą dłoń. – Miłość to wszystko. A teraz ruszaj i znajdź ją. Za wszelką cenę.

Uniósł palec, jakby sobie o czymś przypomniał, i znikł w głębi domu. Wrócił ze słomianą torbą, w której coś przy każdym jego kroku pobrząkiwało. Podał mi ją. Zajrzałem i zobaczyłem cztery butelki Côtes du Rhône.

– Na drogę. – Mrugnął do mnie.

– Dziękuję.

– Ale uważaj. – Położył dłoń na moim policzku i popatrzył mi prosto w oczy. – Wszystko z umiarem, dobrze?

Skinąłem głową.

– Do widzenia, monsieur.

*

Côtes du Rhône sprawiło, że podróż do Hiszpanii przebiegła niemal bezboleśnie. Pamiętam ją jak przez mgłę. Zaprzyjaźniłem się nawet ze strażnikami w pociągu. Opowiadaliśmy sobie różne historie, popijając alkohol i grając w karty. Tak się dobrze złożyło, że udało mi się wygrać od nich trochę peset, bo – jak sobie uzmysłowiłem – podróżowałem do Hiszpanii, nie posiadając tamtejszej waluty. Właściwie przywykłem do takiej egzystencji – stale w ruchu, nie zastanawiając się nad niczym za bardzo. Może tak powinna wyglądać moja przyszłość.

Przesiadka w Barcelonie poszła gładko, tak jak obiecywała Evelyn. Ostatni odcinek drogi przespałem, ukołysany bujaniem w ciemnościach wagonu.

Obudziło mnie przenikliwe jasne światło, które padło mi na twarz, gdy dwóch pracowników na dworcu w Grenadzie rozsunęło drzwi. W głowie pulsowało mi od bólu.

– *Señor? Por favor apártate del camino.*

Nie znałem niemal słowa po hiszpańsku. I – w przeciwieństwie do pierwszego razu, kiedy postawiłem stopę w Norwegii – nie miałem do pomocy dwójki przyjaciół, z których jedno znało miejscowy język.

– *Salga, por favor.* – Pokazali na migi, żebym wysiadł z wagonu.

Dźwignąłem się i wyszedłem na poranny żar, od którego zrobiło mi się niedobrze i zakręciło mi się w głowie.

– *Tiene resaca!* – zawołał jeden z mężczyzn, a drugi popatrzył na mnie i zaczął się śmiać.

Strasznie mi zaschło w ustach.

– Woda? – spytałem, co nie wywołało żadnej reakcji.

Zrobiłem taki gest, jakbym pił z butelki.

– *Agua? Sí.* – Jeden z mężczyzn pokazał mi małą fontannę, z której można się było napić na peronie, a ja z wdzięcznością skinąłem głową.

Kiedy zaspokoilem pragnienie, mężczyźni już wytaszczyli mój cenny ładunek i wieźli go do wyjścia z dworca. Poszedłem za nimi, po czym patrzyłem bezradnie, jak wsadzają drewnianą skrzynię na otwartą naczepę poobijanej starej ciężarówki.

– Alhambra? – spytałem.

– *Sí, señor. Alhambra. Treinta minutos.*

– *Gracias* – udało mi się wybąkać, nim wdrapałem się do ciężarówki.

Grenada wywarła na mnie niesamowite wrażenie. Miasto składające się z setek pobielonych budynków jarzyło się w porannym słońcu. Ponad murami miasta wznosił się łańcuch górski. Kiedy przyjrzałem się lepiej, zobaczyłem, że najbliższe zbocze jest usiane mnóstwem jaskiń. Wpatrywałem się uważnie i dostrzegłem krzątające się przy nich małe postacie. Czyżby te groty były zamieszkane?

Wkrótce zbliżyliśmy się do tego niezwykłego miejsca. Stare czerwone wieże Alhambry wznosiły się wysoko ponad ciemnozielonym lasem. Zachwyciła mnie ta architektura. Ciężarówka podjechała do wielkiej bramy i zatrzymała się. Kierowca wysiadł z szoferki, by ze mną pomówić.

– *Esto es lo más lejos que puedo ir* – oznajmił, wruszając ramionami. – Dalej nie – udało mu się dodać po angielsku i wskazał przypominający ogromną dziurkę od klucza wjazd, który prowadził na tętniący życiem plac.

Skinąłem głową i zeskoczyłem na ziemię. W głowie dalej mi pulsowało od bólu po butelce wina, którą łapczywie wypłem w nocy. Kiedy przeszedłem przez bramę, zaczęli mnie nagabywać miejscowi handlarze sprzedający wodę, pomarańcze i prażone migdały. W tym rozgardiaszu dostrzegłem mężczyznę w lnianej koszuli, który biegł do mnie od bramy po drugiej stronie placu, wskazując na ciężarówkę.

– Posąg? – zapytał po francusku.

– *Sí, señor*, posąg. Monsieur Landowski.

Dwaj mężczyźni w kombinezonach pomogli zanieść skrzynię na środek placu i uwolnić z niej rzeźbę. Kiedy usunięto kolejne warstwy szmat zabezpieczających, ukazało się dumnie dzieło Landowskiego.

– Jest fantastyczna! Wyszło lepiej, niż sobie wyobrażałem – zachwycił się mężczyzna w lnianej koszuli. – Monsieur Landowski to geniusz. Całkiem jakby młoda Lucía była tu z nami.

– Proszę wybaczyć – odezwałem się. – Mało wiem o tych stronach. Monsieur Landowski wspominał, że Lucía wygrała konkurs tańca. To prawda?

Mężczyzna zaśmiał się.

– *Concurso de Cante Jondo* to było coś o wiele więcej niż konkurs tańca, señor. To była fiesta muzyki, flamenco i życia, która odbyła się tu w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim. Przybyło cztery tysiące ludzi, żeby z nami świętować. To było coś absolutnie wyjątkowego.

– Wyobrażam sobie – wybąkałem – skoro wspomina pan to tak po upływie trzydziestu lat...

– Señor, tamtej nocy cztery tysiące ludzi było naocznymi świadkami czystej potęgi *duende*. Ta siła żyje w Lucíi – powiedział, dotykając policzka posągu.

– *Duende*? – spytałem.

– Trudno to wyjaśnić tym, którzy nie rozumieją naszej kultury. *Duende* to rodzaj pasji, inspiracji, które Lucía wyrażała poprzez rytm i taniec.

Ta kobieta musiała być fascynująca, pomyślałem.

– Bardzo chciałbym ją poznać i przekazać panu Landowskiemu, jak zareagowała na posąg.

Mężczyzna w lnianej koszuli westchnął.

– Ostatnia wiadomość o niej jest taka, że wróciła do Ameryki, by tańczyć i zarabiać pieniądze dla rodziny. Po wojnie było tu bardzo ciężko. Nie było litości dla *gitanos* z Sacromonte. – Pokręcił ze smutkiem głową. – I dlatego moi koledzy, członkowie zarządu fundacji, postanowili zamówić ten pomnik.

– Proszę wybaczyć – wtrąciłem, zażenowany, że muszę pytać o kolejne hiszpańskie słowo, którego nie rozumiem. – *Gitanos*... Co to znaczy?

– Cyganie, których niegdyś w okrutny sposób wypędzono poza mury Grenady. – Wskazał na krajobraz za bramą. – Może zauważył pan ich jaskinie na górze Sacromonte.

– No, tak. – Skinąłem głową, uświadamiając sobie, o czym mówi. – A tak przy okazji, miałby pan coś do polecenia turyście w Grenadzie? Teraz, kiedy już przekazałem bezpiecznie Lucię, nie za bardzo mam co robić.

Mężczyzna zastanowił się chwilę.

– Przede wszystkim warto wybrać się na główny plac. Tam zawsze coś się dzieje.

Uścisnął mi dłoń.

– *Gracias, señor* – rzuciłem.

Odwróciłem się i wyszedłem z Alhambry, z nadzieją, że wędrówka w dół wzgórza pomoże mi zwalczyć potężnego kaca. Zapach cyprysów

i delikatny wiatr okazały się zbawienne i nim dotarłem na plac, czułem się już nieco lepiej.

Przystanąłem chwilę, żeby podziwiać najwspanialszą budowlę przy placu – starą katedrę o otwartej wieży z dzwonami. A potem podszedłem po śliskich lśniących płytach do okazałej fontanny na środku placu. Zajrzałem do wody – dno było usiane pesetami; każda reprezentowała życzenie człowieka, który ją tu wrzucił. Sięgnąłem do kieszeni, odwróciłem się od fontanny i rzuciłem monetę przez ramię. Nie muszę chyba dodawać, że modliłem się w duchu, by odnaleźć Elle.

Robiło się coraz goręcej. Potrzebowałem czegoś dla ochłody. W poszukiwaniu kawiarni ruszyłem jedną z alejek biegnących od placu. I jak można się było spodziewać, trafiłem na mały lokalik, w którym sprzedawano lody we wszystkich kolorach, jakie można sobie tylko wyobrazić; najwyraźniej miał powodzenie wśród turystów. Kiedy się zbliżałem, dostrzegłem ciemnowłosą dziewczynkę opartą o mur, przytupującą i zapatrzoną w rozmarzeniu w przestrzeń. Chyba udało mi się zrozumieć ogólny sens rozmowy, którą usłyszałem.

– Chce señorita kulkę? – spytał właściciel kawiarni zza dużej lodówki, w której wystawiono lody.

– *Sí* – odparła dziewczynka. – Ale nie mam pieniędzy, señor.

– To odejdz! – krzyknął. – Odstraszasz mi klientów.

Dziewczynka wzruszyła ramionami i odwróciła się. Poczułem się w obowiązku jej bronić.

– Mnie nie odstrasza – powiedziałem. Podszedłem do lodówki, i zobaczyłem całą tęczę kolorów do wyboru. Wskazałem na lody, które wyglądały najbardziej pociągająco: zielone. – Poproszę dwie porcje takich – powiedziałem.

– *Sí, señor* – rzucił popędliwy właściciel kawiarni.

Gdy usłyszałem bicie dzwonów, odwróciłem się i zobaczyłem, że z katedry wylewa się tłum. Domyśliłem się, że poranna msza dobiegła końca. Podałem kilka peset właścicielowi kawiarni i wziąłem lody. Popatrzyłem na dziewczynkę, która obserwowała mnie wielkimi oczami.

– Proszę, señorita – powiedziałem, podając jej rozek.

– Dla mnie? – spytała zaskoczona.

– Sí. – Skinąłem głową.

– *Gracias a Dios.* – Polizała lody, które już topiły się w słońcu i spływały jej po palcach. – *A usted le gustaría que diciera su destino?* – zadała mi jakieś pytanie.

– *No comprendo* – odparłem z uśmiechem. – *Hablo... Inglés?* – Sądziłem, że prędzej zrozumie angielski niż francuski.

– Chcesz ci powróżyc? – spytała.

– Potrafisz przepowiedzieć przyszłość? – Spojrzałem na dziewczynkę, a ta wpatrywała się we mnie z zaciekawieniem, podnosząc głowę.

– *Mi prima, Angelina.* – Pokazała na plac. – Ona bardzo dobra – dodała, otwierając dłoń i pokazując na migi, że z niej wróży.

– Czemu nie? – Wzruszyłem ramionami, liżąc lody, i wyciągnąłem rękę w stronę placu, dając dziewczynce znak, żeby mnie prowadziła.

Ruszyliśmy wąską alejką na plac, na którym zrobiło się gwarno i tłoczno. Podszedłem za dziewczynką do niewiele od niej starszej młodej damy w jaskrawej czerwonej sukience. Siedziała na stopniach katedry i właśnie kończyła komuś wróżyć. Nie umknęło mojej uwagi, że kobieta, która jej zapłaciła, była bardzo poruszona. Zastanawiałem się, czy ze mną też tak będzie.

– *Toma, tengo un hombre para ti. Su Español no es bueno* – powiedziała dziewczynka.

– *Hola, señor* – powitała mnie wróżbitka.

O mało nie padłem z wrażenia. Znałem tę kobietę. Widziałem ją wcześniej, wiele razy. Szczęka mi opadła, kiedy patrzyłem na twarz w kształcie serca i ogromne błyszczące niebieskie oczy, otoczone ciemnymi rzęsami. Dziewczyna miała długie lśniące włosy i wianek z kwiatów na głowie.

Wyglądała dokładnie tak, jak tamtej nocy, kiedy mi się po raz pierwszy ukazała.

Podczas pożaru w Lipsku.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Dasz rękę? – poprosiła.

Zahipnotyzowany widokiem twarzy, którą – mógłbym przysiąc – rozpoznałem, gapiłem się na nią, kiedy wzięła moją dłoń i na nią spojrzała.

– Powiem ci o twojej córce.

Żołądek podszedł mi do gardła.

– O mojej córce?

– *Sí, señor* – odparła. – Proszę, usiądź koło mnie.

Dziewczynka skinęła mi głową i odeszła, żeby dokończyć lody w cieniu markizy po drugiej stronie placu.

– Twoja twarz... – wyjąkałem. – Znam ją. Pojawiałaś się... w moich snach...

Młoda kobieta zachichotała.

– Zapewniam, señor, że spotykamy się po raz pierwszy. Ale nie ty jeden mówisz, że mnie znasz. Czasami to się zdarza. Tak bywa, jeśli się jest *bruja*.

– *Bruja*? – powtórzyłem.

– *Sí*. To moje duchowe dziedzictwo. – Westchnęła. – Trudno wyjaśnić to *payo*, ale spróbuję. – Uniosła wzrok na katedrę, wyraźnie szukając

inspiracji. – Ty i ja, było nam pisane się spotkać. Nasze losy się splatają, nawet jeśli tylko trochę. I dlatego nasze dusze mogły już kiedyś ze sobą tańczyć. Rozumiesz?

Nadal miałem otwarte ze zdumienia usta.

– Nie – odparłem.

Roześmiała się.

– Tak myślałam.

– Nie pojmuję. Mówiłaś do mnie. Słyszałem twój głos.

– Jeśli tak, señor, to nieświadomie. Jestem pewna, że moja postać była jedynie środkiem, którym posłużył się wszechświat, bo chciał przesłać ci jakąś wiadomość.

Jak w jakiejś komedii resztką lodów wypadła z rożka i pacnęła na schody.

– Chcesz powiedzieć, że w ogóle mnie nie poznajesz? – spytałem.

– Nie poznaję. – Dziewczyna jeszcze raz ujęła moją dłoń. – Sny i wizje mają wielką moc, señor. Nie możemy ich kontrolować, ale one nas pochłaniają. Co ci powiedziałam, kiedy się spotkaliśmy?

Zamknąłem oczy i przypomniałem sobie tamtą okropną noc.

– Powiedziałaś, że będę żyć... że mam po co żyć.

– Ciekawe... – Zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała: – Popatrzmy, czy miałam rację.

Przyjrzała się mojej dłoni.

– Miło spotkać się z tobą bezpośrednio, Atlasie. Jestem Angelina.

Serce mi zamarło.

– Skąd znasz moje imię?

– Widzę je. Jest zapisane w gwiazdach. Podobnie jak twój los. – Podniosła wzrok i popatrzyła mi w oczy. – Nie bój się tego, co ci mówię

albo co wiem. – Uśmiechnęła się, żeby mnie uspokoić. – *Bruja* potrafi zobaczyć wszystko, co było, jest i może się zdarzyć. To dar przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Kompletnie oniemiałem.

– Nawet nie powinno mnie tu być – oznajmiłem. – Tylko przywiozłem posąg. Znalazłem się w Grenadzie przypadkiem.

– Posąg? – spytała Angelina. – Do Alhambry?

– Tak. – Skinąłem głową.

– Lucía Amaya Albaycín to moja ciotka.

– Twoja ciotka?

Angelina znowu się roześmiała.

– Tak, señor. Teraz rozumiesz, co miałam na myśli, mówiąc, że nasze losy są ze sobą splecione i że zawsze było nam pisane się spotkać? Tobie wydaje się to czystym przypadkiem. Ale według mnie to tylko część większego planu.

– Dobry Boże – szepnąłem zdumiony.

– Niestety, ciotki Lucii nie ma już na tej ziemi. Ale jest już naprawdę wolna i tańczy pośród chmur.

– Człowiek, którego poznałem w Alhambrze, uważa, że ona żyje i ma się dobrze.

– Podobnie myślą jej matka i córka.

– Córka? – spytałem zaniepokojony.

Angelina pokazała na dziewczynkę, której kupiłem lody.

– Isadora. Moja kuzynka. Ale żadna z nich nie jest *bruja*, więc nie mogą wyczuć, że Lucía odeszła.

Patrzyłem na niewinne dziecko, które na szczęście nie miało świadomości, że matka umarła. Bolało mnie, że mogłaby być narażona na

takie cierpienie.

– Dlaczego im nie powiesz? – spytałem.

Angelina westchnęła.

– Co lepsze: znać prawdę i stracić wszystko czy żyć nadzieją? Przecież tylko to trzyma nas przy życiu, señor.

W powietrzu pojawił się przyjemny cytrusowy zapach. Minął nas pełen świeżych pomarańczy drewniany wóz.

– To bardzo niezwykle, señor. Bardzo niezwykle – Angelina popatrywała to na moją dłoń, to na twarz. – Nigdy na tym placu nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Jesteś inny.

– Co masz na myśli? – spytałem i wsłuchiwałem się uważnie w każde jej słowo, gdy odpowiadała.

– Często potrafię doradzić ludziom i daję im siłę, żeby zmienili swój los. Ale twoja droga jest przesądzona, Atlasie. Nie zmieni się.

– Co to oznacza? – Byłem coraz bardziej zaniepokojony.

Uśmiech Angeliny trochę podniósł mnie na duchu.

– To znaczy, że będziesz dokonywał rzeczy wielkich. Masz odpowiednie imię. Atlas to człowiek, który dźwiga na ramionach brzemie świata, prawda?

– Tak mówi mit – odparłem.

Angelina zmrużyła oczy.

– Mitami stają się zwyczajne historie, kiedy nie żyją już ci, którzy byli ich świadkami.

– No, tak – przyznałem.

Byłem tak spięty, że aż podskoczyłem, kiedy dzwon katedry zaczął wybijać południe.

Angelina ścisnęła mocno moją dłoń.

– Wiedz jedno, Atlasie: ciężar świata zostaje powierzony jedynie tym, którzy mają siłę go udźwignąć. – Zamknęła oczy, a ja obserwowałem, jak się krzywi; najwyraźniej myślała o czymś przykrym. – Mały chłopiec w śniegu, uciekający po zbrodni, której nie popełnił...

– Tak dużo wiesz – szepnąłem.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Twoja podróż była straszna. Ale wytrzymałeś. Bo wiele osób okazało ci serce. Mam rację?

– Tak – odparłem załamującym się głosem. Nie chciałem przy niej płakać, starałem się więc skupić na tym, co działo się na placu. Obserwowałem dwóch chłopców, którzy kopali do siebie piłkę, parę zakochanych przy fontannie, trzymającą się za ręce, mężczyznę odpędzającego ptaki sprzed swojego sklepu.

– Wszechświat szykuje cię do zadania, które będziesz musiał wykonać – powiedziała Angelina.

– Zadania? Jakiego?

– Wychowania córek.

Nagle wróżbitka straciła dla mnie całą magiczną aurę.

– Chyba się mylisz – rzuciłem. – Niestety, nie mam córek.

Uśmiechnęła się.

– Ależ masz. Tylko że nie ma ich jeszcze na świecie. – Nagle zmarszczyła brwi i popatrzyła w górę na bezchmurne błękitne niebo. – Poza... jedną. – Skinęła głową, jakby to potwierdzała.

Miałem wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi.

– Powiedz mi, o co ci chodzi – poprosiłem.

Popatrzyła mi głęboko w oczy.

– Masz już pierwszą córkę, Atlasie. Chodzi po tej ziemi jak ty i ja.

Plac zawirował mi przed oczami.

– Elle... – szepnąłem. – Elle urodziła nasze dziecko? To dlatego odeszła? Obawiała się o bezpieczeństwo naszego dziecka? Mój Boże... Mój Boże! Dlaczego mi nie powiedziała?!

Angelina chwyciła mnie za ramiona.

– Uspokój się.

– Gdzie ona jest? Błagam, mów! Muszę wiedzieć!

Angelina pokręciła głową.

– Nie znam odpowiedzi – oświadczyła stanowczo. – Wiem tylko, że będziesz ojcem siedmiu córek, a pierwsza z nich już żyje.

Nie wiedziałem, czy paść na ziemię, czy wstać i tańczyć z radości.

– To... to cudowna wiadomość! Więc odnajdę Elle? I będziemy mieć jeszcze sześć córek?

Ptaki odgonione sprzed sklepu wylądowały na schodach katedry i popatrywały z nadzieją na Angelinę. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła mały kawałek chleba i rzuciła im trochę okruchów.

– Jak powiedziałam, będziesz ojcem siedmiu córek.

– Musi chodzić o to, że odnajdę Elle. Na pewno! To jedyna kobieta, którą będę kiedykolwiek kochał.

Angelina uśmiechnęła się tajemniczo.

– Jesteś zdolny do głębokiej miłości, Atlasie. I właśnie dlatego jesteś tak wyjątkowy.

Patrzyłem, jak ptaki walczą o okruchy rzucone przez Angelinę.

– Mam do ciebie inne pytanie – odezwałem się po chwili. – Powiedziałaś, że byłem chłopcem uciekającym po zbrodni, której nie popełniłem. Na pewno wiesz o Kreegu Eszu?

Angelina wzięła głęboki wdech.

– O twoim prześladowcy?

– Właśnie. Jeśli Elle odeszła, by bronić przed nim naszego dziecka, to muszę wiedzieć, czy on żyje i nadal mnie szuka.

Jej wzrok powędrował do Isadory, która patrzyła na nas oboje; bez wątpienia czekała, kiedy wreszcie kuzynka będzie wolna. Angelina pomachała jej lekko i dziewczynka odpowiedziała tym samym.

– Nie potrafię tego zobaczyć. Niektóre sprawy pozostają ukryte – odparła wróżbitka i widząc, jaki jestem przygnębiony, dodała: – Ale mogę przepowiedzieć, że twoje córki skorzystają z bezpiecznego schronienia. Ich losy będą burzliwe jak twoje. Potrzebny im będzie...

– Zaciszny zakątek, spokojna przystań? – wtrąciłem.

Angelina popatrzyła na mnie zaskoczona.

– Właśnie tak – odparła.

Przebiegł mnie dreszcz, kiedy pomyślałem o działce mojej babki nad Jeziorem Genewskim. W liście Agatha przewidywała, że mogę potrzebować takiego miejsca.

– Więc co mam robić?

Wróżbitka wskazała na plac.

– Znajdź swoje córki, Atlasie.

Skinąłem głową.

– To oznacza odnalezienie Elle. – Popatrzyłem na nią wyczekująco. – Tyle widzisz... Nie możesz mi powiedzieć, gdzie ona jest?

Ptaki ćwierkały, domagając się więcej jedzenia. Przyglądałem się uważnie twarzy Angeliny, gdy rzucała im okruchy. Była lekko nachmurzona, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Po jakimś czasie pokręciła głową.

– Nie. Jak ci mówiłam, twoja droga jest przesądzona i pójdiesz nią. Nie potrzebujesz do tego mojej pomocy.

Spojrzała na mnie i przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Miałem nadzieję, że w ten sposób wydobędę z niej coś więcej, ale na próżno.

– To koniec wróżenia, señor – oznajmiła.

– No dobrze. – Niewiele myśląc, uściskałem ją. Czułem się uskrzydłony. – Dziękuję, Angelino. Ocaliłaś mnie!

– Cała przyjemność po mojej stronie, señor, ale... – Zawahała się. – Idź ostrożnie przez świat, z otwartymi ramionami i głową.

– Tak zrobię, obiecuję. Czuję się jak Ebenezer Scrooge w bożonarodzeniowy poranek! I przestanę pić. – Mrugnąłem do niej. – Muszę być w formie, jak spod igły, na spotkanie z Elle. I moją córką!

Westchnęła.

– Señor, ja...

Wstałem ze schodów.

– Nie mogę wprost uwierzyć. Jestem ojcem. Jestem ojcem! Ha!

– Tak, ale...

– Może nazwę ją Angelina. Co ja mówię?! Przecież Elle musiała już nadać jej imię. Zastanawiam się, jakie...

Zauważyłem, że podchodzi do nas Isadora. Znalazła gdzieś czarnobiałego kotka i niosła go w kierunku katedry.

– Podziękuj, proszę, swojej małej kuzyneczce – zwróciłem się do Angeliny. – Bez niej nigdy byśmy się nie spotkali.

Skinęła mi głową i ruszyła do dziewczynki.

– Masz całkowitą rację! – zawołałem jeszcze za nią. – Nie ma potrzeby, żebyś mówiła mi więcej. Wiem, że w pierwszej kolejności muszę zbudować

bezpieczne miejsce dla Elle i mojego dziecka. Nie martw się! Wiem, co robić!

Nagle odzyskałem siły i w euforii zacząłem biec.

– Dziękuję, Angelino! Nigdy cię nie zapomnę!

Aż mi się kręciło w głowie od możliwości, pomysłów i marzeń.

Jestem bardzo dumny z Atlantis. Siedząc na pomoście, patrzę, jak za domem zachodzi słońce, i podziwiam swój projekt. Eric Kohler przedstawił mi kilkunastu architektów, nim zdecydowałem się na jednego. Chętnych nie brakowało. Okazja, żeby stworzyć coś na odludnym skrawku lądu nad Jeziorem Genewskim, pociągała wielu. Choć wizje niektórych architektów były wspaniałe, dla mnie liczyło się przede wszystkim jedno: musiałem mieć bezwzględne zaufanie do osoby, której to zlecę.

Bezpieczeństwo i odcięcie od reszty świata było dla mnie priorytetem. Ambitne plany musiały zostać wykonane perfekcyjnie. Po pierwsze, chciałem, żeby ten dom wyglądał tak, jakby stał tu od wieków. Miałem świadomość, że zaczną chodzić słuchy o ekscentryku, który buduje ogromną rezydencję nad jeziorem, nie chciałem więc, żeby wyglądała jak siedziba czarnego charakteru, jak tych z filmów z Bondem. W efekcie powstał pałacyk w stylu Ludwika XV. Gdyby ktoś chciał sprawdzać w oficjalnych rejestrach, dowiedziałyby się, że Atlantis stoi tu od osiemnastego wieku. Zdumiewające, do czego gotowi są posunąć się ludzie, kiedy zaproponuje się im odpowiednio dużo pieniędzy.

Z oficjalnych akt ciekawscy mogą się też dowiedzieć, że posiadłość jest własnością Icarus Holdings – fasadowej spółki zarządzanej przez dwóch dyrektorów: Erica Kohlera i Georga Hoffmana. Georg został doskonałym prawnikiem. Zgodnie z obietnicą opłaciłem jego czesne na studiach. Kiedy

tylko Georg zdobył dyplom, Kohler zatrudnił go w swojej kancelarii. Najwyraźniej uważał go za podopiecznego, którego wziął pod skrzydła jeszcze jako chłopca. Pięć lat temu przeszedł na emeryturę i od tej pory to Georg prowadzi moje sprawy.

Jeśli Kreeg kiedykolwiek pojawi się w Szwajcarii i będzie tu węszył, mam pewność, że przedsięwziąłem wszelkie możliwe środki, by go zmylić.

Przypadkowy obserwator nigdy nie domyśliłby się, że ta rezydencja jest nowa. Postarałem się bardzo, żeby użyto materiałów z epoki. Każda klamka, każdy kamień są autentyczne. Dzięki temu Atlantis prezentuje się elegancko i majestatycznie. W wysokich na cztery piętra blad różowych murach są smukłe okna ze szprosami. Budynek jest zwieńczony stromym czerwonym dachem z wieżami po obu stronach.

Dom z dwunastoma sypialniami oferuje wszelkie współczesne luksusy; wszędzie są grube dywany i miękkie kanapy. Z każdej strony roztacza się cudowny widok ponad drzewami na Jezioro Genewskie. Miałem nadzieję, modliłem się i naiwnie zakładałem, że do tej pory pokoje będą zajęte przez córki, które lata temu obiecała mi Angelina. Nadal jednak pozostają puste.

Nikt by się nie domyślił, że Atlantis skrywa wiele sekretów, których – postarałem się o to – nie da się wypatrzeć gołym okiem. Właśnie dlatego zależało mi, by architekt był osobą godną zaufania. Na wypadek gdyby mnie albo któremuś z mieszkańców Atlantis groziła wizyta nieproszonego gościa w rodzaju Eszu, urządziłem wszystko tak, by mieć zagwarantowaną drogę ucieczki. Z przyczyn oczywistych nie wyjawię konkretnych rozwiązań, ale jeśli ktoś musiałby szybko zniknąć z posiadłości, jest w niej sieć ukrytych wind i korytarzy, które zapewniają wydostanie się ze strefy zagrożenia.

Chciałem, żeby dom otaczały ogrody, z których byłaby dumna nawet Flora Vaughan. Atlantis ma więc piękne trawniki, ciągnące się od

rezydencji aż do brzegu jeziora. Posadziłem mnóstwo krzewów i drzew, które przez dziesięć lat urosły, tworząc ukryte przejścia i tajemne grotty. Wiosną, kiedy kwitną kwiaty, wydaje mi się, że nie ma piękniejszego miejsca na ziemi.

Pragnąłbym tylko mieć kogoś, z kim mógłbym to dzielić.

Kiedy w 1951 roku wyjechałem z Grenady, przysiągłem sobie, że następny wpis w pamiętniku będzie o szczęśliwym odnalezieniu Elle i dziecka, które – jak wiedziałem – się urodziło. Dziś złamałem tę obietnicę.

Po spotkaniu z Angeliną wróciłem do Genewy i zacząłem budowę Atlantis. Kiedy prace były już w toku, wyruszyłem w świat na poszukiwanie ukochanej kobiety. I córeczki.

To było czternaście lat temu. Moja córka, gdziekolwiek się znajduje, wkrótce będzie dorosła.

Zacząłem metodycznie. Podróżowałem najpierw po Francji, odwiedzając miasta i miasteczka, o których Elle wspominała, kiedy byliśmy razem. W Reims trafiłem na kelnerkę, która mówiła o kobiecie z niemowlęciem wybierającej się na południe Włoch, by zacząć nowe życie. I tam właśnie udałem się w następnej kolejności. Podążałem za niejasnymi tropami po Europie – byłem w Hiszpanii, Portugalii, Niemczech i Belgii.

Poprosiłem o pomoc Erica Kohlera. Miał sprawdzać wszędzie na świecie, czy w jakimś rejestrze pojawi się Elle Leopine, Tanit albo D'Aplièse, wszystkie możliwe kombinacje imienia i nazwisk. Kiedy przeszedł na emeryturę, obowiązek ten spoczął na Georgu. Ten młody człowiek jest nieoceniony. Z wielkim zaangażowaniem kontynuuje poszukiwania, które są pracochłonne i żmudne. Za każdym razem, kiedy trafia na jakiś ślad, nawet najbardziej wątry, wsiadam w samolot i lecę. Potem dokładnie wypytyuję miejscowych, póki się nie upewnię, że brnę

w ślepy zaułek. Podczas tych wypraw odwiedziłem miejsca, których nie spodziewałem się nigdy zobaczyć – Kenię, Republikę Południowej Afryki, Indie, Chiny...

Nigdy nie przestałem ich szukać. Dotarłem do wszystkich zakątków świata, przekonany, że pewnego dnia, za jakimś rogiem czy idąc plażą, zobaczę piękną twarz Elle. Ale moje starania okazały się bezowocne.

Czytelnik na pewno zadaje sobie pytanie, dlaczego postanowiłem wrócić do pisania w pamiętniku. Dziś rano Georg przekazał mi list od starego przyjaciela. Oto jego treść:

Drogi Bo

Mam nadzieję, że ten list dotrze do Ciebie poprzez kancelarię. Twoje dane kontaktowe dostałem wraz z dłutem monsieur Landowskiego po jego śmierci. „W razie gdybyście się nawzajem potrzebowali”, napisał. Był przewidujący.

Czy mógłbyś się spotkać ze mną w Paryżu? Sądząc po adresie kancelarii, domyślam się, że mieszkasz w Genewie, więc mam nadzieję, że podróż nie byłaby zbyt wyczerpująca. Zaproponowałbym, że to ja przyjadę do Ciebie, ale sześćdziesięcioletnie kości mi na to nie pozwolą.

Dobrze byłoby Cię zobaczyć, Bo, jeszcze ten jeden, ostatni raz.

*Twój przyjaciel
Laurent Brouilly*

Patrzyłem na list. Dałem Kohlerowi kontakty do wszystkich z mojej przeszłości, poczynając od Landowskiego, a kończąc na Ralphie McBridzie, na wypadek gdyby Elle pojawiła się na ich progu. To, że od czasu do czasu dostawałem wiadomości od tych, którzy przed laty tyle dla mnie znaczyli, było jedną z małych radości w moim życiu.

Monsieur Landowski zmarł w 1961 roku. Zawsze będzie mi z tego powodu wstyd, ale nie pojawiłem się na jego pogrzebie, bo wiedziałem, że byłaby to idealna okazja dla Kreega, żeby mnie dopaść. Świadomość, że mam na tym świecie córkę, obudziła we mnie pragnienie pozostania na nim i znów zrobiłem się przesadnie ostrożny. Kiedy jednak Marcel powiadomił mnie o śmierci ojca, płakałem w samotności przez trzy dni i prosiłem gwiazdy, by zatroszczyły się o niego w nowym życiu.

Jeśli chodzi o Laurenta Brouilly'ego, to nie widziałem go od tamtego dnia, kiedy razem z Elle zostaliśmy zmuszeni do ucieczki z Paryża.

*

Udałem się na adres podany w liście Laurenta i zapukałem do drzwi uroczego miejskiego domu na spokojnej brukowanej uliczce Montparnasse'u. Usłyszałem jakieś odgłosy, po czym drzwi otworzyła młoda kobieta w niebieskim stroju pielęgniarki. Popatrzyła na mnie pytająco.

– Dzień dobry. Czy dobrze trafiłem? Mieszka tu monsieur Brouilly?

Uśmiechnęła się do mnie.

– Tak, to dom profesora. Spodziewa się pana wizyty?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Nie jestem całkiem pewny – odparłem w końcu. – Zechciałaby pani mu przekazać, że przyjechał się z nim zobaczyć jego stary przyjaciel Bo?

– Oczywiście.

Zostawiła drzwi zablokowane łańcuchem. Wróciła szybko.

– Pan profesor bardzo się ucieszył, kiedy usłyszał pana imię. Proszę wejść.

Wszedłem do pięknego domu, który był równie zagracony jak przed laty małe mieszkanie Laurenta. Na korytarzu stały porzucone blejtramy, niedokończone rzeźby, leżały płachty malarskie... To była jaskinia prawdziwego artysty.

– Jest ostatnio nieco osłabiony, bez względu na to, co panu powie – powiedziała dziewczyna. – Niech pan będzie z nim ostrożny. – Skinąłem głową. – Tędy, proszę.

Otworzyła delikatnie drzwi do salonu pełnego zielonych roślin. Pomiędzy nimi zobaczyłem przerażająco chudego i postarzałego Laurenta Brouilly'ego. Siedział na dużej obitej aksamitem kanapie. Odniosłem wrażenie, że najłżejszy powiew od okna mógłby go z niej zdmuchnąć na podłogę.

– Nie mogę sobie przypomnieć – odezwał się. – Czy ty już mówisz?

Otworzyłem usta, niepewny, co powiedzieć.

– Żartuję! – zawołał i roześmiał się.

Poczułem wielką ulgę.

– Cześć, Laurent.

Podszedłem i uścisnąłem jego dłoń; wydawała się lekka jak piórko.

– Niestety, moje palce nie są już tak mocne jak dawniej – powiedział. – Z rzeźbieniem musiałem pożegnać się kilka lat temu. Ale maluję. Siadaj, proszę. – Wskazał mi wolne miejsce na kanapie. – Nadal grasz na skrzypcach? Czy na wiolonczeli?

– Czasami. Wytrzymuję około piętnastu minut, ale potem za bardzo boli mnie ręka po starym urazie.

– A, tak. Landowski wspominał mi o tym. – Wpatrywał się we mnie uważnie, a ja ucieszyłem się, że choć włosy mu posiwiały i przerzedziły się i choć jest tak wymizerowany, jego oczy nie zmieniły się ani trochę. – Dziękuję, Hélène – zwrócił się do dziewczyny stojącej w progu.

– Proszę zawołać, gdyby pan profesor mnie potrzebował – powiedziała i wyszła z pokoju.

Uniosłem brwi i popatrzyłem na starego przyjaciela.

– Profesor?

– Stopniowo awansowałem i w końcu zostałem dziekanem wydziału rzeźby w akademii. Uwierzyłbyś w coś takiego?

– Wiesz, że tak. – Umilkłem na chwilę, nim zadałem trudne pytanie. – W liście napisałeś, że chcesz mnie zobaczyć po raz ostatni. Co miałeś na myśli? Ile ty masz lat? Sześćdziesiąt jeden?

– Już sześćdziesiąt dwa, Bo. Ale nie jesteś ślepy. Choruję. Ci cholerni lekarze mówią, że nie wyzdrowieję. Nie potrafią przewidzieć dokładnie, ile to potrwa, ale nie dłużej niż kilka miesięcy.

– Laurent... Tak mi przykro.

Dzielnie wzruszył ramionami.

– Raka mimo wszystko łatwiej zaakceptować niż utratę Bel dawno temu.

Delikatnie położyłem dłoń na jego udzie i zszokowało mnie, że wyczuwam samą kość.

– Nadal o niej myślisz?

– Każdej minuty, każdego dnia – odparł nostalgicznie. – Ale... – Uśmiechnął się lekko. – Mimo wszystko miałem piękne życie. Opowiem ci teraz historię, w którą nawet tobie trudno będzie uwierzyć... – Zamknął oczy. – Wiele lat temu kończyłem zajęcia na temat Donatella. Pakowałem książki, kiedy podeszła do mnie studentka. Spojrzałem jej w twarz i... od razu wiedziałem... Bo to było tak, jakbym patrzył w lustro. Przedstawiła się jako Beatriz Aires-Cabral.

Laurent pokręcił głową.

– Aires-Cabral? – powtórzyłem. – Czy to nie nazwisko Bel?

– No właśnie – odparł, patrząc mi w oczy.

– O rany!

– Spytała, czy pamiętam, jak rzeźbiłem jej matkę na zamówienie jej ojca, Gustava. Wysłałem ten posąg statkiem do Brazylii. Miał być prezentem ślubnym. – Zarechotał. – Gdyby ta dziewczyna wiedziała... Stała przede mną w pracowni... moja rodzona córka.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, obaj ze ściśniętym gardłem.

– Po prostu... nie wiem, co powiedzieć... – odezwałem się w końcu.

– No właśnie. Mówiła, że jej matka zmarła, kiedy ona miała zaledwie półtora roku. W Rio wybuchła epidemia żółtej febry i... – Głos mu się załamał, a oczy zalśniły od łez. – Miała dopiero dwadzieścia jeden lat. Po całym tym zamieszaniu i tragedii umrzeć tak młodo... Wybacz.

Po zszarzałym policzku Laurenta spłynęła łza.

– Spytałem o jej ojca... – ciągnął – bo ona uważała go za ojca. Odparła, że ich relacje były skomplikowane i że często zaglądał do butelki. Zakazał jej rozwijać pasje artystyczne, ale umarł, kiedy miała siedemnaście lat. Po śmierci Gustava zaczęła studiować w Akademii Sztuk Pięknych, podobnie jak niegdyś jej matka, o czym Beatriz wiedziała.

– I skończyła w twojej grupie studentów – szepnąłem.

Popatrzyliśmy sobie w oczy, zanim obaj uśmiechnęliśmy się szeroko.

– Świat jest pełen cudów, Bo, prawda? Beatriz została pięć lat w Paryżu. Oczywiście wziąłem ją pod swoje skrzydła. Często mnie tu odwiedzała. Chodziliśmy co tydzień na lunch do La Closerie des Lilas, gdzie dawniej zapraszałem jej matkę. – Uśmiechnął się. – Co to było za szczęście! Wiesz, zabrałem ją nawet do atelier Landowskiego. Z dumą pokazał jej zdjęcia naszej pracy nad Cristo i opowiadał różne historie o mnie z czasów młodości.

Bardzo chciałem zadać mu pewne pytanie.

– Czy... powiedziałaś jej o tym, że jesteś jej ojcem?

Laurent spuścił głowę i pokręcił nią.

– Jakie miałem prawo wyjawiać jej, że Gustavo nie był jej ojcem? Nie, nie...

Odchyliłem się na oparcie kanapy i popatrzyłem na przykurzony sufit. Trudno mi było trzymać emocje na wodzy. Widok umierającego Laurenta i historia jego córki spowodowały, że czułem straszny ucisk w gardle. Po chwili jednak udało mi się odzyskać panowanie nad sobą.

– Nadal jesteś w kontakcie z Beatriz?

– Piszemy do siebie co miesiąc! Wiem wszystko o jej życiu, Bo. Wyszła za porządnego człowieka, który jest dla niej dobry i bardzo ją kocha. – Westchnął. – Niestety, jej pierwsze dziecko zmarło. Ale urodziła drugie, córeczkę.

– Jak ma na imię? – spytałem.

– Cristina – odparł cicho Brouilly. – Z tego, co pisała mi Beatriz, to bardzo trudne dziecko – dodał wyraźnie zmartwiony. – Choć ma dopiero siedem lat, bardzo źle traktuje matkę.

Odwrócił się i spojrzał za okno.

– Cristina jest niebywale inteligentna, ale wydaje się, że kompletnie brakuje jej wrażliwości i empatii wobec innych – dodał po chwili. – Trudno z nią wytrzymać.

– Biedna Beatriz – powiedziałem. – I tak sporo już przeszła.

– Tak. – Laurent powoli obrócił się do mnie. – I tu dochodzimy do powodu, dla którego poprosiłem cię o przyjazd.

– Mów – zachęciłem go.

Kiedy nabrał powietrza, usłyszałem, że coś mu zachrobotało w piersiach.

– Chciałbym wspierać córkę we wszystkim, na ile to tylko możliwe, nie będę już jednak długo na tym świecie, Bo. Zostawię jej wszystkie pieniądze, jakie mam, ale to niezbyt wiele. Zastanawiałem się, czy... – Głos mu się załamał. Ująłem jego dłonie. – Może mógłbyś od czasu do czasu sprawdzić, co się dzieje z Beatriz? Nie mam nikogo innego, kogo mógłbym o to poprosić, nie ujawniając tego, że jestem jej ojcem.

Skinąłem głową.

– Oczywiście, Laurent. Chcesz, żebym skontaktował się z Beatriz?

– Nie. To by tylko sprowokowało pytania. Może mógłbyś... obserwować ją z daleka i gdyby znalazła się kiedykolwiek w dramatycznej sytuacji i potrzebowała pomocy, byłoby dla mnie ogromną ulgą wiedzieć, że ktoś jej udzieli.

– Rozumiem.

Myślałem gorączkowo o tym, jak poważne zadanie powierza mi Laurent. Jego córka mieszkała w Brazylii, a ja w Szwajcarii. Trzeba będzie zmierzyć się z wieloma praktycznymi problemami, nie wspominając już o tym, że to może kolidować z poszukiwaniem Elle. Spojrzałem w patrzące na mnie błagalnie oczy Laurenta. Jego jedyną winą było to, że za bardzo kochał. Wiedziałem dobrze, jak to jest. Nie mogłem go zawieść.

– Możesz być pewien, że zrobię to, o co prosisz.

Rozpromienił się. W jego twarzy widać było wdzięczność.

– Dziękuję, Bo. Dziękuję. – Poklepał mnie po dłoni. – Jestem już wprawdzie zmęczony, ale może jest coś, co ty chciałbyś wiedzieć?

– Evelyn – odparłem po chwili zastanowienia. – Odzywa się do ciebie czasami?

Laurent skrzywił się.

– Przykro mi, Bo. Umarła wkrótce po panu Landowskim.

Serce mnie zabolalo. Była dla mnie taka dobra, a ja, zaabsorbowany bez reszty poszukiwaniem Elle, nie kontaktowałem się z nią.

– Kiedy rozmawiałem z nią piętnaście lat temu, wspominała, że nigdy nie widziała wnuczki. Czy ten konflikt został rozwiązany?

Brouilly pokręcił głową.

– Nie. Widziałem Louisa na pogrzebie. Ale ani Giselle, ani Marina się nie pokazały.

– Marina – przypomniałem sobie. – Tak ma na imię. Musi być już po dwudziestce?

– Tak. To smutna historia. Pewnie wiesz od Evelyn, że jej synowa była porywczka. Krążyły słuchy, że nadużywała alkoholu. Pomiędzy nią a Louisem zaczęło się psuć. Pewnego dnia po prostu zabrała Marinę i odeszła. Mówił mi, że od tamtej pory wiele razy próbował skontaktować się z córką, ale żona zrobiła małej niezłe pranie mózgu i nastawiła ją przeciwko ojcu.

– Straszne.

– Owszem. Ale obilo mi się o uszy, że potem Giselle strasznie kłóciła się z córką i w końcu wyrzuciła ją z domu. Podobno... – Laurent zawahał się.

– Powiedz, proszę – zachęciłem go.

– Ostatnio Marcel Landowski wspominał, że Marina bywa na rue Saint-Denis.

Patrzyłem na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Laurent westchnął.

– Podobno sprzedaje się za pieniądze, żeby się utrzymać.

Podniosłem dłoń do ust.

– O nie... – Pomasowałem sobie skronie. – Muszę jej jakoś pomóc. Dla Evelyn.

Laurent skinął głową.

– Chciałbym wierzyć, że i ja coś bym zrobił, gdybym tylko mógł. – Nabrał głęboko powietrza i przy wydechu wzdrygnął się lekko. Przyłożył dłoń do piersi. – Mógłbyś zawołać Hélène?

– Jasne.

Wstałem, ale przytrzymał moją dłoń.

– Dotrzymasz obietnicy, prawda? Przysięgasz?

– Na gwiazdy.

Uśmiechnął się do mnie na pożegnanie.

– W takim razie wiem, że mogę ci wierzyć.

45

Na rue Saint-Denis było ślisko od deszczu. Na chodniku przede mną odbijały się migające czerwone światła. Pod zniszczonymi markizami stali mocno zbudowani mężczyźni palący papierosy. Czułem na sobie ich wzrok, kiedy szedłem. Na progu zrujnowanej kafejki kulila się piękna kobieta w futrze. Zmobilizowałem się.

– Przepraszam – zagadnąłem ją, podchodząc. – Szukam kogoś.

– Niech pan nie szuka dalej. Sto franków i może pan ze mną zrobić, co zechce. – Puściła do mnie oko.

– Nie, pani nie rozumie, nie to miałem na myśli. Szukam Mariny.

Przewróciła oczami.

– Po co panu ta dziewczynka, skoro może pan mieć taką kobietę jak ja?

Przyciągnęła mnie do siebie za kłapy płaszcza.

– Nie po to tu przyszedłem. Jestem starym przyjacielem jej rodziny. Mówiono mi, że mogę ją tu znaleźć. Wie pani gdzie?

Uniosła brwi.

– Jak pan sobie życzy, monsieur – prychnęła zniecierpliwiona i pokazała na lokal nieco dalej. – Marina jest w Le Léopard.

– Dziękuję. Naprawdę jestem wdzięczny.

Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła się ode mnie, a ja podążyłem w kierunku świecącego neonu.

Kiedy próbowałem wejść do tego przybytku, zwały osiłek w skórzanej kurtce wyciągnął rękę, by mnie zatrzymać.

– Mogę w czymś pomóc, monsieur?

– Przyszedłem się z kimś zobaczyć – odparłem.

– Przykro mi. Najpierw trzeba się umówić przeze mnie. Ale bez obaw. Można się ze mną dogadać.

Obruszyłem się.

– Nie chcę nic z tych rzeczy, dziękuję. Chcę tylko pomówić z Mariną.

Popatrzył na mnie sceptycznie.

– Z Mariną?

– Tak.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Dobra. Nie wiem, po co ją trzymam. Jest wybredna. A żebracy nie powinni być wybredni, monsieur.

Trudno mi się było pohamować. Mówił z taką pogardą o doprowadzonej do ostateczności dziewczynie. Popchnął drzwi klubu, otwierając je przede mną.

– Jest na końcu sali – rzucił.

Wszedłem do tonącego w półmroku wnętrza, w którym siedziało kilku mężczyzn w garniturach, z przylepionymi do nich dziewczynami w krótkich spódniczkach. Stęchłe powietrze cuchnęło dymem papierosowym i środkami odkażającymi. Ruszyłem w głąb lokalu. Obok krętych schodów na długiej obitej skórą ławie przy ścianie zobaczyłem szczupłą kobietę. Mówiła coś czule do dziecka, które nie mogło mieć więcej niż pół roku.

– Ciii, ciii, *chéri* – uspokajała maleństwo. – Mama zaraz wróci.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jesteś Marina?

Spojrzała na mnie z lękiem w oczach.

– Pierre miał mi mówić, jak będzie ktoś do mnie.

Uniosłem rękę.

– Nie po to tu przyszedłem. Jestem starym przyjacielem twojej babci.

Marina zdumiała się.

– Nie mam babci. Obie umarły, zanim się urodziłam.

Odetchnąłem głęboko, zdając sobie sprawę, że to będzie ciężka przeprawa.

– Tak naprawdę sprawy wyglądały trochę inaczej – powiedziałem.

Zmarszczyła brwi.

– Co pan sugeruje? Kim pan jest?

Dziecko zaczęło płakać i jakiś mężczyzna ryknął:

– Uciszcie tego bachora, do cholery! Jezu, przychodzę tu, żeby uciec od takich wrzasków!

Marina pokręciła głową.

– Już niedługo, *chéri*. – Kołysała dziecko łagodnie i mruzczała mu cicho kołysankę, aż się trochę uspokoiło. – No już, już, tak lepiej. – Po chwili podniosła na mnie wzrok. – Niech pan po prostu powie, czego pan chce.

– Mogę usiąść? – spytałem, a ona skinęła głową. – To twoje dziecko?

– Nie. To synek mojej koleżanki, Celine. – Marina spojrzała na zegar na ścianie nad nią. – Jest teraz zajęta. Pewnie potrwa to jeszcze jakieś dziesięć minut.

– No tak. – Poruszyłem się skrzepowany. – Jak wspomniałem, znałem twoją babcię, Evelyn. Możesz mi wierzyć albo nie, ale opiekowała się mną, kiedy byłem mały.

– A co to ma wspólnego z pana pojawieniem się tutaj?

Skrzyżowałem ramiona na piersi.

– Dowiedziałem się o twojej sytuacji od starego przyjaciela i chciałem powiedzieć, że jest mi przykro, że tak to się potoczyło. Musiało ci być bardzo ciężko.

Marina zacisnęła usta.

– Nie potrzebuję pana litości, monsieur.

– To nie litość, ale oferta pomocy, jeśli zechcesz z niej skorzystać.

Popatrzyła mi w oczy.

– Słyszałam o takich jak pan, co to przychodzą tu i obiecują Bóg wie co. Dziewczyny z nimi odchodzą, a potem są traktowane jak własność. Dobrze mi tu, gdzie jestem. Dziękuję panu bardzo.

Byłem zażenowany.

– Nie, Marino. To zupełnie inna sytuacja. Twoja babcia, matka twojego ojca, bardzo cię kochała. Nie umarła przed twoim urodzeniem. Tak naprawdę marzyła, żeby cię poznać, ale twoja matka sobie tego nie życzyła. Myślę, że była zazdrosna.

Marina przez chwilę patrzyła mi w oczy, po czym znów skierowała uwagę na dziecko.

– W to mogę uwierzyć – rzuciła.

– Evelyn była kiedyś dla mnie bardzo, bardzo dobra. I powinienem się jej odwdzięczyć, na ile jestem w stanie. Powiedz mi, czego potrzebujesz. Jeśli chodzi o pieniądze albo kogoś, kto by cię wysłuchał, mogę ci pomóc.

Młoda kobieta przewróciła oczami.

– Nie jestem aż tak naiwna, żeby uznać to za bezinteresowną propozycję, monsieur. Zdecydowanie nie chcę pana pieniędzy.

– Jestem tylko przyjacielem, chciałbym pomóc... i tak... spłacić wielki dług.

Na schodach pojawił się korpulentny mężczyzna o czerwonej twarzy ociekającej potem. Ciężkim krokiem schodził na dół. Uchylił kapelusza przed Mariną i ruszył do wyjścia. Za nim z góry nadciągnęła wysoka szczupła kobieta o rudych włosach, w siatkowych pończochach na nogach.

– Fuj, ależ on cuchnął – zwróciła się do Mariny, kiedy klient nie mógł jej już usłyszeć. – Cześć, maleńki! Byłeś grzeczny? – spytała, biorąc synka na rękę.

– Był bardzo kochany. Jest taki śliczny.

– To terrorysta, prawda, zuch? – powiedziała Celine, całując dziecko czule w czoło. – Masz. – Sięgnęła do kieszeni i dała Marinie kilka franków. – Twoja działka.

– Dziękuję.

Celine zmierzyła mnie wzrokiem.

– Trafił ci się klient? Ma pan wielkie szczęście, monsieur. Jest pan pierwszym, na którego się zgodziła od wielu tygodni.

– Celine, proszę – próbowała powstrzymać ją Marina.

– Nie ma się czego wstydzić. Marina głównie prowadzi tu żłobek. Kilka z nas ma dzieci i ona się nimi opiekuje, kiedy my zarabiamy.

Skinąłem głową.

– To bardzo ładnie z jej strony.

Celine roześmiała się.

– Ona to uwielbia – rzuciła, po czym zwróciła się do koleżanki: – Nie rozumiem, dlaczego nie zostaniesz nianią!

– Nikt by mnie nie chciał – szepnęła Marina.

Do lokalu wparował ten wielki mężczyzna w skórzanej kurtce i skinął na Celine.

– Kolejny... Tak szybko... – jęknęła. – Najwyraźniej to mój szczęśliwy wieczór.

Podala dziecko Marinie i wróciła na górę.

– Nie będę ci się dłużej naprzykrzał – powiedziałem. – Ale wierz mi, chętnie pomogę. – Sięgnąłem do kieszeni. – To wizytówka z numerem telefonu mojego przyjaciela, Georga. Zadzwoń do niego, kiedy tylko zechcesz, a on skontaktuje cię ze mną.

Marina skinęła głową i skoncentrowała się na dziecku. Patrzyła na nie z bezbrzeżną miłością. Wyszedłem z Le Léopard, modląc się, by pewnego dnia się do mnie odezwała.

*

Po powrocie do Genewy poinstruowałem Georga Hoffmana, by nawiązał współpracę z jakąś kancelarią prawną w Rio de Janeiro. Chciałem regularnie dostawać wiadomości na temat Beatriz Aires-Cabral i jej córki. Był zszokowany moją prośbą, ale jak zwykle posłusznie przyjął polecenie, kiedy odwiedziłem go w kancelarii na rue du Rhône, która teraz nazywała się Schweikart & Hoffman.

– Z przyjemnością to załatwię – odparł. – Ale zastanawiam się, czy to najlepszy sposób wykorzystania funduszy. Zdecydowanie taniej byłoby, gdybyś raz czy dwa razy w roku poleciał do Brazylii i osobiście sprawdził sytuację.

– Dziękuję za troskę, Georg, ale proszono mnie o zachowanie dystansu. Poza tym chyba pieniędzy nie zabraknie, co?

Georg roześmiał się.

– Nie. Dziś rano odebrałem telefon od naszego maklera giełdowego z Nowego Jorku. Wartość twoich inwestycji rośnie w niebywałym tempie. – Wyjął notes z górnej szuflady dawnego biurka Kohlera. – Telex, Control

Data, Teledyne, University Computing, Itek... technologie zwyżkują. Wartość aktywów nieustannie rośnie.

Podał mi notatki, żebym je przejrzał.

– A ty, Georg, namawiałeś mnie, żebym inwestował w złoto i srebro – przypomniałem mu.

Zaczerwienił się.

– Tak. Chyba nie mam jeszcze najlepszego wyczucia, jeśli chodzi o finanse.

– Ja też nie, przyjacielu. Wiesz, dlaczego inwestuję w technologie.

Usiadłem w fotelu naprzeciwko Georga. Nadal było trochę dziwnie widzieć, jak zajmuje pokój należący kiedyś do Erica Kohlera.

– Tak – odparł. – W nadziei, że pewnego dnia pomogą nam odnaleźć Elle.

– No właśnie – rzuciłem. – Złoto może jest bezpieczne, ale nie zapewni mi komputerowych baz danych ani narzędzi pozwalających prowadzić poszukiwania. – Wzruszyłem ramionami. – Nawet jeżeli nie będę miał zysków, wolę dać swoje miliony utalentowanym i mądrym ludziom, by promować postęp.

– Racja. Ale powiedz, na co brazylijska kancelaria prawna ma zwracać uwagę, kiedy znajdzie już tę Beatriz Aires-Cabral.

Georg poruszył ważną sprawę. Laurent mówił ogólnikowo. Skrzyżowałem ramiona na piersi i popatrzyłem na jezioro za oknem.

– Niech monitorują jej zdrowie i sytuację materialną.

Skinął głową.

– Uważaj to za załatwione, Atlas.

– Dziękuję, Georg. Poza tym prosiłbym, żebyś był wyczulony na telefony z Paryża. Jest pewna młoda kobieta, którą poznałem. Ma na imię

Marina. To wnuczka Evelyn.

Georg był zaskoczony.

– Ooo...

– Dałem jej twój numer telefonu. Jeśli zadzwoni, a mam nadzieję, że tak, skontaktuj ją natychmiast ze mną. Nie trzeba jej prześwietlać dla bezpieczeństwa. – Kiedy oddałem mu notatnik, coś zapisał. – A właśnie... jak się ma Claudia?

– Nadal pracuje w piekarni. Poznała niedawno jakiegoś młodego człowieka, klienta, i kiedy o nim mówi, robi maślane oczy – powiedział. – Skojarzenie z maślanymi bułeczkami niezamierzone – dodał bardzo z siebie zadowolony.

Zaśmiałem się.

– I co ty na to, starszy bracie? – spytałem.

Odłożył pióro i zastanawiał się przez chwilę.

– Jeśli jest szczęśliwa, to ja oczywiście też – odparł.

– Wspaniale. Pozdrów ją ode mnie serdecznie. – Wstałem, żeby wyjść.

– O, a przy okazji, czy w tym tygodniu pojawiły się jakieś nowe nazwiska?

Uniósł palec i otworzył szufladę.

– Udało mi się znaleźć Eleanor Leopold w Gdańsku. Podobno mieszka tam od urodzenia, ale sam wiesz najlepiej, że jeśli się jest bystrym, można zmienić zapisy w archiwach.

Podał mi kawałek papieru z nową informacją.

– Gdańsk – powtórzyłem. – Nigdy nie byłem w Polsce. Możesz załatwić mi bilety na lot?

– Oczywiście.

– Świetnie. Dziękuję, Georg. Myślę, że to zamyka nasze dzisiejsze spotkanie. Zgłoszę się do ciebie w przyszłym tygodniu.

– Jest jeszcze... jedna sprawa.

Miałem wrażenie, że Georg – zwykle tak spokojny i opanowany – waha się i trochę denerwuje. Otworzył teczkę, wyjął z niej kartkę i przesunął ją po blacie w moją stronę.

– Co to?

– Poza poszukiwaniem Elle mieliśmy wychwytywać też każdą wzmiankę o Kreegu Eszu, zgodnie z twoją instrukcją.

Popatrzyłem na kartkę i cała krew odpłynęła mi z twarzy. Georg podał mi coś, co wyglądało na dokument rejestracji nowej firmy o nazwie Lightning Communications. W rubryce *Dyrektor* widniało nazwisko Eszu.

46

Maj 1974

Zbieranie informacji na temat Lightning Communications zajęło wiele dni. Firma powstała w Grecji i zarejestrowano ją pod adresem w Atenach. Georg i ja podjęliśmy szybkie działania: wynajęliśmy prawników i prywatnych detektywów. Wyniki ich śledztwa były denerwująco skromne. Firma istniejąca od dziesięciu lat nie podjęła żadnej działalności. Co roku składano jednak zeznanie podatkowe, w którym nie wykazywano ani obrotów, ani wydatków.

Jeśli chodzi o Kreega, to wynajęci przez nas ludzie ustalili, że mieszka w dużej ogrodzonej posiadłości na skraju miasta. Przesłano mi niewyraźne zdjęcia, na których uchwycono go podczas jego rzadkich wypraw poza bramy rezydencji. Bez wątpienia był to ten sam człowiek, który wielokrotnie próbował pozbawić mnie życia. Przez ostatnie dziesięć lat, od czasu kiedy ostatnio pisałem w tym pamiętniku, Kreeg nie próbował się ze mną skontaktować ani też – na ile udało się nam to sprawdzić – nie prowadził poszukiwań. Po prostu mieszkał w tej ogromnej posiadłości i żył swoim życiem.

W miarę upływu lat, kiedy mój zespół obserwował ruchy Kreega, początkowa panika zmieniła się w niepokój, potem nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, a dziesięć lat później czułem tylko ulgę, że wiem dokładnie, gdzie znajduje się mój prześladowca. Odkryliśmy, że ożenił się z niewiarygodnie bogatą Greczynką o imieniu Ira, która odziedziczyła

majątek po byłym mężu, potentacie naftowym. W zeszłym roku, 1973, Ira zmarła, wydając na świat ich jedyne dziecko, chłopca. Ira urodziła się w 1927 roku, czyli musiała mieć w chwili śmierci czterdzieści pięć lat. Nic dziwnego, że podczas porodu mogły pojawić się komplikacje. Chłopiec przeżył. Został zarejestrowany jako Zed Eszu.

Nadal uważnie śledzimy rozwój wypadków.

Wnuczka Evelyn, Marina, w końcu się do mnie zgłosiła. Prawie dwa lata po tym, jak widziałem się z nią w Paryżu, zadzwoniła do kancelarii i Georg przekierował połączenie do Atlantis. Zmartwiony wysłuchałem jej opowieści o nieprzyjemnym incydencie z agresywnym klientem w Le Léopard, po którym musiała zniknąć z rue Saint-Denis. Zapewniłem ją, że od razu wyślę jej pieniądze, ale nie chciała ich przyjąć. Spytała, czy nie mógłbym jej załatwić jakiejś pracy, żeby mogła wyjechać z Paryża i utrzymywać się sama. Zaprosiłem ją do Atlantis i zaproponowałem, żeby prowadziła mi dom. Niewątpliwie było to nudne zajęcie, bo tylko ja jeden tłukłem się po rezydencji. Marina sumiennie odkurzała i prasowała, ale widziałem, że nie czuje się spełniona.

– Brakuje mi dzieci – zwierzyła mi się pewnego wieczoru przy kieliszku prowansalskiego rosé.

Spytałem Georga, czy miałby możliwość załatwić Marinie pracę na niepełnym etacie w jego dawnej szkole, i poleciłem mu ofiarować w moim imieniu donację dla zachęty. Zorientowałem się, że młody Hoffman wychodzi ze skóry, byle tylko zrobić coś dla Mariny. Patrzył w nią jak w obraz, jak piesek na swoją panią – z oddaniem, gotów spełnić każde jej życzenie. Nie muszę chyba mówić, że Georg postarał się, żeby wszystko się udało. Przez ostatnich kilka lat Marina prowadzi w Genewie zajęcia pozalekcyjne dla dzieci, których rodzice pracują do późna. Jest uwielbiana przez podopiecznych.

Mieszka w Atlantis w pawilonie i odwdzięcza mi się, nadal dbając o mój dom. Gotuje dla mnie, sprząta i organizuje wszystko tak, żeby funkcjonowało, jak należy. Jej towarzystwo wiele dla mnie znaczy. W moim życiu nie ma nic, o czym by nie wiedziała. Ja również wszystko o niej wiem. Opowiedziałem jej o swoim pochodzeniu, o poszukiwaniu Elle i o tym, dlaczego boję się Kreega Eszu. Ja, ona i Georg tworzymy osobliwą komórkę rodzinną, którą bardzo sobie cenię.

A skoro już jesteśmy przy komórkach rodzinnych, to uważny Czytelnik na pewno przypomina sobie, że powierzono mi czuwanie nad Beatriz Aires-Cabral z Rio de Janeiro i jej córką. Niestety, Laurent Brouilly zmarł kilka tygodni po mojej wizycie u niego na Montparnassie. Byłem zdecydowany go nie zawieść.

Lata mijały, a wnuczka Laurenta, Cristina, sprawiała coraz więcej kłopotów. Brazylijska kancelaria prawna informowała nas, że jej rodzice przeszli z nią piekło. Jako nastolatka wpadła w złe towarzystwo i szlajała się w najbardziej podejrzanych spelunkach w Rio. Dostawałem faksem raporty policyjne. Zatrzymania kończyły się odstawieniem jej do rodziców – pijanej, w opłakanym stanie. Wreszcie wyrzucono ją ze szkoły. Zaczęła spędzać dużo czasu w fawelach. Brazylijscy prawnicy podejrzewali, że uzależniła się od narkotyków.

Wreszcie poinformowali nas, że Cristina przestała w ogóle wracać do domu; wolała mieszkać na wzgórzach Rio. Wkrótce ustalono, że zakochała się w młodym człowieku z faweli. Pomyślałem, że to dobrze. Zarówno Beatriz, jak i Cristina uniezależniły się od siebie, mogły żyć swoim życiem, nie obciążając jedna drugiej i nie raniąc się nawzajem. Tak sądziłem, póki nie przysłano mi zdjęcia Cristiny zrobionego przez teleobiektyw. Siedząc na brudnej ulicy, głaskała psa. Najbardziej rzucał się w oczy brzuch dziewczyny. Była w ciąży.

Wczoraj rano odebrałem dramatyczny telefon od Georga.

– Atlas, jest coś, o czym musisz wiedzieć.

– Mów.

– Cristina urodziła przedwcześnie. O ile wiemy, nie zgłosiła się nawet do szpitala. Dziecko, córka, przyszło na świat na ulicy faweli.

– Boże, musimy ją stamtąd natychmiast wyciągnąć. To nie miejsce dla noworodka. Możesz poprosić tych z kancelarii w Rio o wynajęcie matce i dziecku odpowiedniego lokum?

Georg westchnął ciężko.

– Jest gorzej, niż myślisz. Podobno Cristina zniosła dziecko do sierocińca. Po prostu je tam zostawiła i uciekła.

W głowie mi się kręciło, kiedy zastanawiałem się, co dalej. Kruche nowe życie miało zaczynać się w najbardziej okrutnych okolicznościach.

– Myślę, że powinniśmy skontaktować się z Beatriz. Dać jej znać, że ma wnuczkę. Jestem pewien, że będzie szczęśliwa.

– Nie wątpię – rzucił Georg. – Ale moim zadaniem jest myśleć praktycznie i muszę uświadomić ci konsekwencje takiego posunięcia.

– No to słucham.

– Po pierwsze, Cristina jest niezrównoważona. Wiesz, że zerwała z rodzicami. Podobno kradła biżuterię matki, żeby mieć na narkotyki, a uzależnienie tylko pogłębiło problemy psychiczne. Martwię się, że gdyby kiedyś odkryła, że jej matka zabrała dziecko, mogłaby...

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć: że to może nie być bezpieczne dla dziecka. Pewnego dnia Cristina mogłaby się pojawić i odebrać je, bo tak by jej pasowało. – Zacząłem nerwowo krążyć po gabinecie. – Poza tym, jeżeli skontaktuję się z Beatriz, ona może zadawać mi pytania, na które nie będę mógł odpowiedzieć, bo takie złożyłem przyrzeczenie.

– Trudno mi służyć ci radą. Mogę próbować znaleźć odpowiednią rodzinę w Brazylii, która wzięłaby dziewczynkę. Ale nie będzie to łatwe. Sierocińce w Rio są pełne noworodków z faweli. Trudno znaleźć dla nich zastępczych rodziców.

Zadrzałem na myśl o Apprentis d’Auteuil i Elle, której nikt nie chciał adoptować. Serce mi się kroilo. Nie mogłem tak tego zostawić.

– Nie, Georg. Ja sam muszę wziąć na siebie odpowiedzialność za to dziecko. – Popatrzyłem na jezioro, które skrzyło się w porannym słońcu. – Przywieziemy ją do Genewy i znajdę dla niej odpowiednią rodzinę. Tak jak kiedyś dla ciebie. Wieczorem chcę tam lecieć.

– Załatwię bilet – zapewnił Georg.

– Bilety. Marina musi polecieć ze mną. Nie mam zielonego pojęcia o dzieciach. I zrób wszystko, żebyśmy mogli zabrać stamtąd dziecko najszybciej, jak to możliwe.

Nie minęły dwie godziny, a Marina i ja byliśmy w moim prywatnym odrzutowcu. Wylądowaliśmy na paryskim lotnisku Charles’a de Gaulle’a, gdzie mieliśmy wsiąść do jumbo jeta lecącego do Rio. Marina aż otworzyła usta ze zdumienia, kiedy podchodziliśmy do boeinga 747.

– Masz pewność, że to coś może latać, *chéri*?! Jest większe niż Łuk Triumfalny!

– Wierz mi, podróżowałem w brzuchu tego ptaka wiele razy i nigdy nie zawiódł. Zawsze dotransportował mnie na miejsce w jednym kawałku. Poza tym siedzimy w pierwszej klasie. Prawie nie poczujesz, że jesteśmy w powietrzu.

Podczas lotu opowiadałem Marinie historie z mojego dzieciństwa i o tym, jacy dobrzy byli dla mnie jej babcia, Evelyn, i Laurent Brouilly.

– Jak myślisz, jak długo zostanie z nami to malutkie *bébé*? – spytała.

Od kiedy u mnie pracowała, nigdy nie widziałem jej tak podekscytowanej.

– Aż znajdę jej odpowiedni dom. To pewnie zajmie kilka tygodni. Może miesiąc.

Usiłowała nie uśmiechać się za bardzo.

Po wylądowaniu powitał nas reprezentant kancelarii prawnej, z którą przed dziesięciu laty Georg nawiązał kontakt. Zawiózł nas na Avenida Atlântica, do hotelu Copacabana Palace. Budynek wyróżniał się, górując nad najsłynniejszą plażą. Z zewnątrz przypominał mi trochę waszyngtoński Biały Dom. Nie wątpiłem, że klimatyzowane eleganckie lobby stanowi spory kontrast z fawelą, którą mieliśmy następnego dnia odwiedzić.

– Miło mi powiadomić pana, że wszystko zostało załatwione – powiedział prawnik, Fernando. – Jesteśmy szanowaną w mieście kancelarią i pana podanie, poparte naszą rekomendacją, dyrektor sierocińca uznał za wystarczające, by zgodzić się na wydanie noworodka. Szczerze mówiąc, dla wielu dzieci trudno jest znaleźć domy, a oni chętnie zwolnią miejsce. – Pokręcił głową. – W sierocińcu oczekują pana jutro i będą mogli państwo od razu zabrać dziecko.

– Dziękuję za pomoc, Fernando. I proszę przekazać moje podziękowania całemu zespołowi za rzetelną pracę przez tych dziesięć lat.

– Oczywiście, proszę pana. – Skłonił głowę i wyszedł z lobby.

Po południu Marina oprowadziła mnie po wilgotnych, upalnych ulicach Rio w poszukiwaniu śpioszków, butelek, mleka modyfikowanego, muślinowych ubranek, wszystkiego, co było potrzebne, by dowieźć maleństwo do Europy. Szedłem za nią, lekko skołowany, i tylko płaciłem za wszystko, co uznała za potrzebne. Zakupy okazały się tak wyczerpujące, że mimo różnicy czasu tej nocy spałem jak dziecko, ukołyszany szumem fal oceanu docierającym zza otwartego okna.

Następnego dnia wsiedliśmy rano do taksówki i pojechaliśmy do faweli Rocinha. Kierowca miał opory, żeby wieźć turystów do tych miejskich slumsów, ale zapewniłem go, że zdaję sobie sprawę z ryzyka.

– Patrzcie – odezwał się kilka minut po tym, jak ruszyliśmy. Wskazał na szczyt góry Corcovado, na której stała znajoma biała figura, otwierająca szeroko ramiona nad miastem. – To nasz Cristo Redentor. Pewnie znacie go już ze zdjęć.

Uśmiechnąłem się.

– Tak – odparłem i podniosłem wzrok na elegancko wyrzeźbioną przez Landowskiego jasną postać, która zdawała się bujać w obłokach niczym anielska zjawa.

Choć widywałem ten pomnik z bliska w paryskim atelier, tu robił wielkie wrażenie, aż zapierało dech w piersiach. Patrząc na starego przyjaciela w jego stałym miejscu pobytu, czułem, jak przepełniają mnie duma i zachwyt.

Im dalej zapuszczaliśmy się na wzgórza, tym mniej było betonu i cegły, a więcej drewna i blachy falistej. Po ciasnych uliczkach spływała podejrzanie wyglądająca breja. Najwyraźniej większość domostw nie miała nawet najbardziej podstawowych udogodnień, w tym kanalizacji. Po piętnastu minutach jazdy – bo tylko tyle zajęło przeniesienie się ze świata dostatku do świata nędzy – powitała nas przed sierocińcem wymizerowana kobieta. Miała podkrążone oczy, a na jej bluzce były plamy różnych kolorów i kształtów.

– Dziecko? Europa? – spytała, kiedy się zbliżyliśmy.

– Tak... *sí* – odparłem.

Skinęła głową i przez chwilę lustrowała nas wzrokiem od stóp do głów. Najwyraźniej usatysfakcjonowana, zaprosiła nas do środka.

– Dobrze. Chodźcie.

Wprowadzono nas do prymitywnego budynku. Podłogi i ściany z betonu, wewnątrz ciemnawe i brudne. Tak naprawdę przypominało to trochę więzienie. Poszliśmy za kobietą na drugie piętro. To, co zobaczyłem, zszokowało mnie. Trzydzieścioro albo i więcej dzieci w różnym wieku stłoczono w jednej sali. Obciążone ponad miarę opiekunki usiłowały zachować spokój w upale, wśród kakofonii krzyków i płaczu. Na moje oko największym problemem był po prostu brak wystarczającej ilości zabawek.

– *Mon dieu* – szepnęła cicho Marina. – Biedne dzieci.

Kiedy szliśmy przez salę, śledziło nas kilkadziesiąt par zdziwionych oczu. Wstyd przyznać, ale starałem się unikać patrzenia na nie, bo bałem się, że pęknie mi serce. Minęło ponad czterdzieści lat od czasu, kiedy przestąpiłem próg takiej placówki. Zakładałem naiwnie, że od tamtego czasu warunki się poprawiły. Więcej pieniędzy, więcej środków, więcej wiedzy... i więcej miłości. Ale zmartwiło mnie bardzo to, co zobaczyłem tu, w Rio – wyglądało to nawet gorzej niż w Apprentis D’Auteuil.

Zaprowadzono mnie i Marinę do osobnej salki, gdzie leżało około dziesięciorga niemowląt. Zajmowała się nimi jedna kobieta, która starała się zadbać, by każde dziecko było odpowiednio owinięte pieluszką. Wskazano nam łóżeczko na końcu pomieszczenia.

– Wasze dziecko – powiedziała kobieta, za którą szliśmy.

Zajrzeliśmy do łóżeczka. Zaskoczyły mnie ciemne włosy na główce dziewczynki i ogromne zdziwione oczy, które zamrugały na widok dwóch nieznajomych twarzy.

– O, *bonjour*, malutka, *bonjour*! – powiedziała Marina. – A może powinnam powiedzieć *olá*? Spójrz na jej oczy, Atlas. Jakie ogromne! I jakie bystre jak na takie maleństwo.

– Wygląda całkiem jak jej prababcia – stwierdziłem szczerze.

– Naprawdę? Jaka śliczna.

Kobieta dała znak, żeby wziąć dziecko, i Marina ostrożnie wyjęła je z łóżeczka.

Przeszliśmy znów przez zatłoczoną salę, w której panował straszny harmider. Kiedy już mieliśmy wyjść, eskortująca nas kobieta klasnęła w dłonie, jakby coś sobie przypomniała.

– *Um momento, por favor!* – zawołała i wróciła biegiem do środka.

Dziecko zaczęło płakać. Coś, co zaczęło się od delikatnego wyrazu niezadowolenia, przeszło w głośny wrzask.

– Ciii, ciii, *chérie*, wszystko będzie dobrze, obiecuję.

– Potrzebujesz butelki, Marino. – Pospiesznie sięgnąłem do skórzanej torby, którą miałem przewieszoną na pasku przez ramię.

– Tak naprawdę trochę mi słabo – wyznała Marina. – To pewnie przez ten upał i widok tych biednych dzieci. Mógłbyś potrzymać ją chwilę?

– Bardzo dawno nie miałem na rękach dziecka. Nie jestem pewien, czy...

– To łatwe, każdy to potrafi. Patrz... – Delikatnie przekazała mi dziecko. – Uważaj na główkę. Oprzyj ją w zgięciu łokcia. O tak.

Szybko ruszyła do jedyne go zdezelowanego krzesła stojącego w kącie.

Popatrzyłem na dziecko, które wpatrywało mi się w oczy. Pod wpływem jakiegoś pierwotnego instynktu zacząłem je lekko kołysać. Ku mojemu zdumieniu dziewczynka przestała płakać. Wydawała się dziwnie zadowolona.

– No widzisz, Atlas. Masz wrodzone zdolności. – Marina mrugnęła do mnie, wachlując się energicznie.

– Jest piękna – powiedziałem.

Wróciła kobieta, ściskając w dłoni coś, co wyglądało na wisiorek. Próbowwała mi to przekazać, ale niewprawy jeszcze w trzymaniu dziecka,

cofnąłem się, ostrożnie szurając nogami. Marina dzielnie wstała i podeszła do kobiety.

– Co to? – spytała mnie.

Popatrzyłem zdziwiony na pracownicę sierocińca.

– Dla dziecka. Od mamy – wyjaśniła.

– Ach, tak... – Teraz już rozumiałem. – Dziękuję. *Obrigado*.

Marina wsunęła wisiołek do tylnej kieszeni moich spodni.

– Pójdziemy już – rzuciłem. – Do widzenia.

Kobieta skinęła głową na pożegnanie.

– Opiekujcie się nią, proszę. – Złożyła błagalnie dłonie.

– Zajmiemy się nią troskliwie, przyrzekam.

Nie zatrzymaliśmy się dłużej w Rio. Jeszcze tego samego dnia byliśmy w kabinie pierwszej klasy jumbo jeta. Marina trzymała dziecko, które zadowolone spało w jej ramionach przez większość popołudnia. Kiedy wzbijaliśmy się coraz wyżej w brazylijskie niebo, przyszło mi coś do głowy.

– Marino... czy to my powinniśmy nadać jej imię?

Westchnęła i uśmiechnęła się do mnie znużona.

– Nie jestem pewna. Wszystko działo się tak szybko, że nawet o tym nie pomyślałam.

Po jakiejś godzinie lotu, kiedy tylko przygaszono światła, by pasażerowie mogli się przespać, dziecko zaczęło kaprysić; pewnie przeszkadzała mu zmiana ciśnienia. Poprawiając się w fotelu, poczułem wisiołek w kieszeni i sięgnąłem po niego.

To było coś naprawdę wyjątkowego. Przyglądałem się odcieniowi opalizującego środkowego kamienia, podziwiając, jak mieni się niebieskawym blaskiem. Byłem niemal pewien, że to kamień księżycowy.

Te kamienie łączą się zawsze z romantycznymi legendami, z miłością i ochroną. Niespodziewanie poczułem, jak ściska mnie w gardle na myśl, że Cristina zostawiła córce ten wisiołek, by ta miała coś, co będzie ją łączyło z przeszłością.

Marina dwoiła się i troiła; karmiła, kołysała i pocieszała maleństwo, ale jego krzyki stawały się coraz głośniejsze. Mimo doświadczenia Marina wydawała się bezradna.

– Może ja spróbuję? – zaproponowałem.

– Proszę – zgodziła się.

Wstałem, a ona przekazała mi dziecko.

– Chodź, maleńka. W porządku. Ja też się denerwowałem, kiedy pierwszy raz leciałem samolotem.

Wyszedłem z pierwszej klasy i ruszyłem z dzieckiem na koniec samolotu. Na szczęście zareagowało pozytywnie na ruch i zmianę otoczenia. Kiedy dotarliśmy na koniec boeinga, stewardesy szykowały właśnie kawę w słabo oświetlonym pomieszczeniu załogi.

– Przepraszam – rzuciłem. – Nie chciałem przeszkadzać.

– Ależ proszę – odparła jedna z nich. – O, jakie słodkie maleństwo! To dziewczynka?

– Tak – powiedziałem, odwzajemniając jej uśmiech.

– Jak miło widzieć ojca pomagającego przy noworodku. Większość zadziera nosa i tylko czeka na okazję, żeby się ulotnić. – Stewardesa nachyliła się, żeby przypatrzeć się buzi dziewczynki. – Jak ona na pana patrzy. Widać, że bardzo kocha tatusia.

Kiedy skończyła rozczulać się nad moją podopieczną, wróciłem na przód samolotu ze spokojnym, choć zdecydowanie obudzonym dzieckiem. Zobaczyłem, że Marina zwinęła się w kłębek i drzemie w fotelu. Nie mogłem mieć do niej pretensji. Ostatnie dwa dni były naprawdę

wyczerpujące. Fizycznie i psychicznie. Ostrożnie przeszedłem nad nią i wsunąłem się z powrotem na swoje miejsce, po czym spojrzałem na dziecko.

– A teraz oboje będziemy bardzo cichutko, żeby Marina mogła pospać. Zgoda? – szepnąłem. Maleństwo zamrugało, a ja zaśmiałem się bezgłośnie.
– Grzeczna dziewczynka.

Uświadomiłem sobie, jak bardzo uspokaja mnie trzymanie jej na rękach. Ta drobinka reprezentowała nowy początek, nadzieje, otwierające się perspektywy... Chciałem dla niej życia pełnego miłości i szczęścia. Zaczęła pojękiwać.

– Ciii, ciii, malutka – szepnąłem.

Mając przed sobą długie dziesięć godzin lotu, rozejrzałem się za czymś, co mogłoby mnie zainspirować. Mój wzrok powędrował na okno z lewej strony. Księżyc świecił jasno na chmury pod nami, wypełniając przestrzeń poświatą.

– Mam ci opowiedzieć historię gwiazd, malutka?

Delikatnie przełożyłem dziewczynkę, układając jej główkę w zagięciu prawego łokcia, tak żeby leżała buzią skierowaną w okno.

– Na niebie jest więcej gwiazd niż ziarenek piasku na wszystkich plażach świata. Zawsze trudno mi było w to uwierzyć, ale to prawda. Od dzieciństwa fascynowało mnie nieskończone mnóstwo konstelacji, z których każda symbolizuje nowe możliwości. Wiesz, malutka, gwiazdy dają życie. Zapewniają światło i ciepło na samotnym ciemnym niebie.

Dziecko zaczęło mrugać wolniej; mój głos działał na nie kojąco, tak jak zamierzałem.

– Ale jest jedna gromada gwiazd, która ma dla mnie więcej magii niż wszystkie inne razem wzięte. To Plejady. Legenda mówi, że było niegdyś siedem siostr. Ich ojciec, Atlas... jestem jego imiennikiem... był tytanem,

któremu Zeus kazał podtrzymywać Ziemię. Siostry, choć bardzo się od siebie różniły, żyły ze sobą w zgodzie, szczęśliwe na świeżo utworzonej planecie. Ale po przypadkowym spotkaniu z brutalnym myśliwym, Orionem, stały się obiektem jego uporczywych łowów. Więc uciekły na niebo. Możesz zobaczyć je dzisiaj, patrz!

Przekrzywiłem szyję, żeby wyjrzeć przez małe okienko, i dostrzegłem moje wieczne towarzyszki.

– Przez całe życie szukałem u nich pociechy i rady. To moje opiekunki i przewodniczki. Ciekawe, że dziś Maja świeci najjaśniej. Powiadają, że co noc przyćmiewa blaskiem siostry, ale pewnego razu przebiła ją Alkione. Maja w niektórych tłumaczeniach znaczy „wspaniała” albo „wielka”. Rzymianie uważali ją nawet za boginię wiosny i dlatego piąty miesiąc roku nazywa się maj.

Spojrzałem na dziecko, które usnęło w moich ramionach.

– Znudziłem cię, maleńka? – Zaśmiałem się cicho.

– Możliwe, *chéri*, ale nie mnie.

Obróciłem się i zobaczyłem Marinę patrzącą na mnie z sąsiedniego fotela.

– Przepraszam – rzuciłem. – Nie chciałem cię obudzić.

– Tylko drzemałam. – Spojrzała na dziecko. – Mój Boże, naprawdę masz na nią magiczne działanie. Uwielbia cię.

Przez usta przemknął mi uśmiech.

– Tak sądzisz?

– Ja to wiem, *chéri*. Wybawiłeś ją od bardzo smutnej, ciężkiej egzystencji.

– Razem to zrobiliśmy – sprostowałem.

Marina uśmiechnęła się.

– To ty wzięłeś na siebie obowiązek czuwania nad jej babcią i matką przez wiele lat, a potem wkroczyłeś do akcji, kiedy groziło jej niebezpieczeństwo. Nie znam nikogo, kto by zrobił to co ty. Jesteś niezwykłym człowiekiem.

– Miło, że tak mówisz.

Popatrzyła za mnie, przez okienko samolotu.

– Pytałeś mnie, czy to my powinniśmy nadać imię temu dziecku. Myślę, że już wiesz, jak ona ma na imię.

Pokazała na tonący w blasku księżyca krajobraz nieba.

– Maja... – odparłem.

Sierpień 1977

Kilka początkowych tygodni to było istne szaleństwo – pieluszki, odbijanie się, karmienie. Uparłem się, żeby Marina przeprowadziła się do głównej rezydencji, bo chciałem jej pomagać przed świtem. Myślę, że to były moje ulubione chwile – gdy byliśmy z Mają sami, pośród nocnej ciszy, kiedy towarzyszył nam jedynie łagodny plusk jeziora. Tyle mnie nauczyła, choć nie wypowiedziała jednego słowa. Przez trzydzieści lat byłem tak bardzo skupiony na poszukiwaniu Elle i pogoni za przepowiednią Angeliny, że stałem się zamknięty dla innych. Byłem skupiony na sobie i uparty; popadłem w obsesję. Malutka Maja otworzyła mi oczy. Znowu czuję, że żyję, co nie udawało mi się od lat.

Marina mówi, że kiedy po raz pierwszy spojrzałem na Maję, wiedziała, że nigdy nie zdołam się z nią rozstać. I zaakceptowałem swoje przeznaczenie, jeszcze zanim koła samolotu dotknęły płyty lotniska Charles'a de Gaulle'a. Maja zachowywała się wzorowo przez cały lot, a do tego wysłuchiwała mojego pełnego repertuaru legend o Siedmiu Siostrach. Trzymanie w moich starzejących się ramionach tak niewinnej i kruchej istoty przypomniało mi najbardziej pocieszającą prawdę tego świata – że cokolwiek się stanie, życie zwycięża.

Niepokoilem się, co będzie, kiedy powiem Marinie o swojej decyzji. Martwiłem się, że uzna mnie za mężczyznę nieprzygotowanego do roli ojca. Niepotrzebnie się denerwowałem, bo rozpromieniła się z radości.

– Tak się cieszę, *chéri*! Byłoby cudownie, gdybyś adoptował Maję. Potrzebujesz jej tak samo jak ona ciebie.

Uściskałem ją, nim dodałem to, co musiałem:

– Nie zdołam zrobić tego sam, Marino.

Roześmiała się.

– I nie musisz! Obserwowałam cię, kiedy próbowałeś założyć jej pieluszkę. Chyba orangutan lepiej by sobie z tym poradził!

– Chcesz powiedzieć, że zostaniesz i zajmiesz się Mają? – spytałem.

– Oczywiście.

Georg sfinalizował formalności. Zgodnie z jego sugestią Maja została zarejestrowana jako D’Aplièse, by przypadkiem nie zwrócić na siebie uwagi nazwiskiem Tanit.

I tak zostałem ojcem.

Dobiegam sześćdziesiątki, więc zdaję sobie sprawę, że przepowiednia Angeliny raczej się nie spełni. Oczywiście Georg nadal przeszukuje bazy danych na świecie, z nadzieją, że może gdzieś pojawi się nazwisko Elle, ale moje podróże po świecie śladem wątych tropów stały się coraz rzadsze. Zawsze kiedy wyjeżdżam, nie mogę się doczekać powrotu do Atlantis i małej Mai. Nic nie sprawia mi większej radości niż zabieranie jej na spacer do ogrodu i nad jezioro i opowiadanie jej na dobranoc długich historii o swoich przygodach.

Oczywiście to nie oznacza, że mniej boli mnie świadomość, że gdzieś na świecie jest moja biologiczna córka – która potrzebuje mnie tak samo jak mała Maja. Po prostu staram się o tym za dużo nie myśleć. Tak długo wierzyłem w moc gwiazd i przepowiednie. Może czas już zacząć żyć w prawdziwym świecie.

Tego wieczoru ktoś ostro zwrócił na to moją uwagę. Zwykle kiedy podnoszę słuchawkę, odzywa się w niej Georg. Moje telefony są filtrowane

przez jego kancelarię, by zapobiec niepożądanym kontaktom z Kreegiem Eszu, który zresztą siedzi cicho jak mysz pod miotłą.

– Dobry wieczór, Georg – powiedziałem.

– Halo! – usłyszałem głos z norweskim akcentem.

– Horst? – spytałem.

On i Astrid, podobnie jak Forbesowie i Ralph McBride, to jedyne osoby, którym pozwalałam na bezpośrednie połączenia z Atlantis.

– Dobry wieczór, Bo. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

– Nie, skąd, przyjacielu! Jak się masz? – spytałem, przechodząc bez trudu na norweski, czym muszę się pochwalić.

– Fizycznie dobrze – odparł Horst. – Astrid też.

Wziąłem telefon i usiadłem w skórzanym fotelu w gabinecie.

– Czytałem o ostatniej kompozycji Felixa w magazynie „The Instrumentalist”. Brawo! Na pewno jesteś bardzo dumny.

Chwilę nie odpowiadał.

– „Dumny” to chyba ostatnie, co bym powiedział w związku z wnukiem – oświadczył wyraźnie zasepiony.

– Och – westchnąłem zaskoczony.

– Ale zanim przejdę do tego, z czym dzwonię, powiedz mi, tatusiu, jak tam mała Maja.

– Wspaniale, aż trudno uwierzyć! Dziś rano przyłapałem ją, jak sobie czytała sama na głos *Kubusia Puchatka*. Właściwie nie czytała... ma dopiero trzy lata... ale odgrywała głosem różnych bohaterów, tak jak ja, kiedy czytam jej tę książkę. – Musiałem się pohamować, żeby się dalej nad nią nie rozplęwać.

Horst zaśmiał się.

– Dzieci to błogosławieństwo.

– Ona każdego dnia uczy mnie czegoś nowego – powiedziałem, bezwiednie okręcając sznur telefonu wokół palca. – Nawet jeśli to tylko sztuka zdrapywania czekolady z koszuli.

– Cieszę się bardzo, że tak wam ze sobą dobrze.

Nastąpiła chwila ciszy. Przerwał ją Horst.

– Mogę zapytać, co z Elle?

– Niestety, żadnych nowych wiadomości. Z każdym dniem moja nadzieja słabnie. Nigdy nie przestanę szukać, ale teraz przynajmniej mam Maję, na której mogę się skupić.

– No tak...

Ledwie go słyszałem.

– Przepraszam, Horst, mógłbyś mówić trochę głośniej?

– No... nie. Astrid śpi na górze, a to, o czym chcę porozmawiać, powinno zostać między nami.

Wyprostowałem się w fotelu.

– Wszystko w porządku?

Horst westchnął.

– Szczerze mówiąc, nie. Chodzi o Felixa. Wpakował się w dość trudną sytuację.

– Jeśli mógłbym w czymś pomóc, zrobię, co w mojej mocy.

– Jak wiesz, Felix stał się sławny w Bergen. A tak naprawdę w całej Norwegii. Ludzie znają go jako sierotę, syna genialnego Pipa Halvorsena i jego pięknej żony Karine, którzy zginęli tragicznie, kiedy był niemowlęciem. Ukazały się artykuły na ten temat i obawiam się, że Felix zaczął wierzyć we własną legendę.

– Rozumiem – odparłem, nie wiedząc, jak zareagować.

– Co gorsza, zaproponowano mu pracę na Uniwersytecie Bergen, a tam jest mnóstwo młodych kobiet...

Nie podobało mi się, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

– Młodych kobiet?

– Za każdym razem, kiedy ja i Astrid go widzimy, co ostatnio zdarza się rzadko, ma jakąś inną uwieszoną na ramieniu. I o wiele za dużo pije. – Horst westchnął ciężko.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Jest młody, dość sławny i zbuntowany. Chyba trudno byłoby się spodziewać czegoś innego – pocieszyłem Horsta. – Miejmy nadzieję, że to tylko taki etap w jego życiu. Wyrośnie z tego.

Zaśmiał się cicho.

– Nie, jeśli dalej będzie pił. Wtedy stoczy się jeszcze bardziej.

Rozwazałem, jaką pomoc mógłbym w tej sytuacji zaoferować.

– Słuchaj, w Europie jest kilka klinik cieszących się dobrą opinią. Wiesz, że pieniądze to nie problem. Może zgodziłbyś się, żebym sfinansował mu terapię?

– Dzięki, Bo. Ale rozumiem, że kluczem do sukcesu jest chęć, żeby być wyleczonym, a mogę zdecydowanie powiedzieć, że Felix jej nie wykazuje. Ale ta sprawa, z którą właściwie dzwonię, jest bardziej skomplikowana.

Wstałem zaintrygowany.

– Powiedz mi wprost, o co chodzi.

– Dwa dni temu, kiedy byłem na zakupach w Bergen, podeszła do mnie młoda kobieta. Wymizerowana, blada, jakby od wielu tygodni nie spała. Powiedziała, że ma na imię Martha i jest w ciąży, spodziewa się bliźniaków.

– Aha... – zaczynało mi świtać, w czym rzecz.

– Pogratulowałem jej i spytałem, co to ma wspólnego ze mną. Odparła, że ojcem jest Felix.

– Och...

– Mówiła, że jest jego studentką i że byli bardzo, ale to bardzo w sobie zakochani. Ale podobno mój wnuk nie reagował na jej prośby o wsparcie w jej sytuacji.

Bardzo współczułem człowiekowi, który niegdyś okazał mi tyle serca.

– To ostatnie, czego wam trzeba, tobie i Astrid – powiedziałem.

– Owszem. Ale to tylko połowa problemu. Kiedy spotkałem tę dziewczynę, wydawała się... jakaś dziwna. Sposób, w jaki mówiła... szaleństwo w oczach. Powiedziałem jej więc, żeby się nie martwiła, wziąłem jej numer telefonu i obiecałem, że skontaktuję się z Felixem. Chciałem zyskać na czasie. Wolałem nie obwiniać wnuka, póki nie sprawdzę, jak jest. Tego wieczoru poszedłem go odwiedzić. Kiedy otworzył mi drzwi, był zaskoczony. Wszedłem, a on rozpaczliwie usiłował ukryć puste butelki. Powiedziałem mu o dziewczynie, którą spotkałem.

– Jak zareagował?

– Zezłościł się. Powiedział, że Martha zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i że to przybrało formę obsesji. Spytałem, czy z nią spał, a on przyznał, że tak. Kazałem mu więc pójść ze mną i wziąć odpowiedzialność za swoje czyny.

– I co on na to?

– Odmówił. Upierał się, że Martha ma stałego partnera i że na pewno to tamten jest ojcem, a nie on.

Potarłem oczy wolną ręką.

– No tak...

– Twierdził, że Martha od dawna ma poważne problemy psychiczne. Przekonywał mnie, że jest dla niego niebezpieczna.

– Wierzysz mi? – spytałem.

Horst westchnął.

– Po konfrontacji z nim spotkałem się z Marthą w restauracji za miastem. Opisała mi swoje spotkania z moim wnukiem, nawet zbyt szczegółowo, wraz z datami, i wydaje się, że nie ma wątpliwości: to Felix jest ojcem.

Nie miałem pojęcia, co mu doradzić.

– No tak. – Tylko tyle zdołałem wydukać.

– Myślę, że Felix nie myli się co do tej dziewczyny. – Horst najwyraźniej boleśnie przeżywał tę rozmowę. – Ona ma obsesję na jego punkcie, choć byli ze sobą tylko dwa razy. To go nie usprawiedliwia, ale przynajmniej zgadzam się z nim w ocenie zdrowia psychicznego tej młodej kobiety.

Podszedłem do półki z książkami i wziąłem szczęśliwą żabę, którą podarował mi Pip na *Hurtigrutenie*.

– Czy z badań wynika, że dziecko jest zdrowe? – spytałem.

– Dzieci – przypomniał mi zasepiony. – Spodziewa się bliźniąt. Potwierdziło to USG.

– Wybacz, nie znam się na tym. To badanie pozwala zobaczyć dziecko? Albo dzieci, jak w tym przypadku?

– Tak. – Horst potrzebował chwili, żeby się pozbierać. – I tu sytuacja robi się kompletnie absurdalna. Spytałem Marthę, czy zna płeć dzieci. Skinęła głową i dumnie oświadczyła, że urodzi chłopca. A kiedy dodała, że to drugie to dziewczynka, przewróciła oczami i skrzywiła się.

Uniosłem brwi.

– Więc cieszy się z syna, ale nie z córki?

– No właśnie. Powiedziała, że będą mieli z Felixem idealnego chłopczyka, kolejnego geniusza Halvorsena. – Horst jęknął. – Kiedy spytałem ją o córkę, wzruszyła ramionami, jakby nie przyjmowała do wiadomości jej istnienia.

Ścisnąłem mocno w dłoni szczęśliwą żabę, jakby to mogło coś pomóc.

– Dlaczego? – spytałem.

– Jak ci mówiłem, ona ma poważne zaburzenia psychiczne.

– Czy Astrid wie coś o tej sytuacji?

– Nie. Nie chcę jej tym obciążać, póki nie muszę. Ale niestety, w pewnym momencie będę musiał. To moje prawnuki... wnuczęta mojego ukochanego syna. Nie mogę ignorować tej sytuacji.

Rozumiałem Horsta. Bez wątpienia na jego miejscu czułbym to samo.

– I co zamierzasz zrobić?

Westchnął ciężko.

– Nie ma szans, by Felix wziął na siebie odpowiedzialność i zrobił, co należy. Wstyd mi za niego. – Głos mu się lekko załamał. – Jego ojcu też by było wstyd. – Odchrząknął i odzyskał panowanie nad sobą. – Przepraszam, Bo, że się rozklejam. W każdym razie doszedłem do wniosku, że musimy przyjąć do siebie Marthę, kiedy urodzi. Nie jestem przekonany, że dzieci byłyby z nią samą bezpieczne. Jestem to winien synowi i Karine, muszę zadbać o ich potomków.

Czy dobroć tego człowieka nie miała granic?

– To... to bardzo szlachetnie z twojej strony, Horst – powiedziałem.

– Tylko że... mam dziewięćdziesiąt trzy lata. Moje dni są policzone. Astrid ma siedemdziesiąt osiem. Pewnie pożyje dłużej, ale kto wie? Pieniądzy mamy niewiele, bo większość poszła na edukację Felixa i ratowanie go z tarapatów, w które się pakował.

– Nie musisz mówić więcej, Horst. Zaraz wypiszę czek...

– Dziękuję, ale nie o pieniądze chciałem cię prosić.

– Więc o co, przyjacielu?

Słyszałem, jak wierci się niespokojnie po drugiej stronie linii.

– O miłość. Wiem, ile szczęścia przyniosła ci Maja przez te ostatnie trzy lata. Masz inny głos, brzmi w nim radość, coś, czego nie słyszałem od czasów, kiedy wieczorami muzykowaliśmy razem u nas w domu. Myślę, że z jednym dzieckiem damy sobie z Astrid radę. Ale nie z dwójką.

Serce zaczęło mi walić.

– Czego ode mnie oczekujesz, Horst?

– Chodzi mi o dziewczynkę. Wziąłbyś ją?

Opadłem zszokowany na fotel. Co miałem powiedzieć na taką prośbę?

– Horst... ja...

– Wiem, że nikt nie powinien nikogo do czegoś takiego namawiać – przyznał. – Ale szczerze mówiąc, nie widzę innego wyjścia. Martha jest chora, a jej córeczka nie będzie miała zapewnionej miłości i opieki, na jakie zasługuje, póki będzie istniał jej brat bliźniak. – Oddech Horsta nagle przyspieszył, wyrwał mu się szloch. – Ona na pewno odda ją do adopcji. Astrid i ja chętnie byśmy zastąpili dziecku rodziców, ale jesteśmy starzy i słabi.

Przez jakąś minutę panowało niezręczne milczenie.

– Nie wiem, co powiedzieć – wydukałem wreszcie.

– Nie ma potrzeby na razie nic mówić – odparł. – Nie spiesz się. Zastanów się, jak długo potrzebujesz, nad moją propozycją. Proszę cię, bo wiem, jaki dobry z ciebie człowiek. W dodatku jesteś dla mnie jedynym łącznikiem z Pipem i Karine. Wiem, jak cię uwielbiali i jacy byliby dumni, że zajmiesz się ich wnuczką. – Znowu załkał.

– To bardzo miłe słowa, Horst.

Strasznie było słyszeć, jaki jest załamany.

– Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie, to ja i Astrid zawsze żałowaliśmy, że nie daliśmy Pipowi siostry albo brata. Jestem pewien, że życie Mai byłoby jeszcze lepsze, gdyby miała młodszą siostrzyczkę, z którą mogłaby się bawić.

– Na pewno pomyślę o tym. Obiecuję.

– Martha lada dzień rodzi. Powiem o wszystkim Astrid, kiedy dzieci przyjdą na świat, a wtedy ta dziewczyna wprowadzi się do nas, żebyśmy mogli mieć na nią oko. – Horst wziął się w garść. – W gruncie rzeczy byłoby najlepiej, gdyby... Astrid nie wiedziała o wnuczce. Znasz ją. Bez wątplenia chciałyby wziąć oboje, a ja obawiam się konsekwencji takiego posunięcia.

Odłożyłem słuchawkę, nalałem sobie kieliszek prowansalskiego rosé i poszedłem usiąść na trawie nad jeziorem. Trudno było pojąć powagę tego, o co prosił Horst. Z całą mocą wróciły do mnie obrazy z czasów w Bergen. Myślałem o Pipie, Karine, Elle i o tym, jaki byłem tam szczęśliwy. Przypomniała mi się tęsknota w oczach Elle, kiedy patrzyła na małego Felixa, jej pragnienie, by – tak jak jej najlepsza przyjaciółka – założyć rodzinę.

Kiedyś przysiągłem, że zrobię wszystko, by odplacić Halvorsenom za ich dobroć.

Popatrzyłem w niebo.

– Poprowadź mnie, Pip. Powiedz mi, Karine. Czy tego byście chcieli?

– Tata, tata, tata! – dobiegł mnie piskliwy głosik.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem drepczącą do mnie szybko Maję, za którą szła uśmiechnięta Marina.

– Cześć, córeczko kochana! – Wziąłem dziewczynkę na ręce i przytuliłem. – Dobrze się dziś bawiłaś?

– Tak! – odparła entuzjastycznie.

– Nie mogę wprost uwierzyć, ale udało się jej przeczytać kilka pierwszych linijek *Madeline* – powiedziała Marina, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– No, no! Chyba trafił się nam mały geniusz!

– Rzeczywiście – przyznała Marina.

Spojrzałem na córeczkę, która siedziała mi na kolanach, klaszcząc w dłonie.

– Maju?

– Taaak? – odezwała się.

Uniosłem jej bródkę, żeby spojrzała mi w oczy.

– Chciałabyś mieć małą siostrzyczkę?

Poczułem, jak dłoń Mariny cofa się z mojego ramienia. Ale malutka buzia Mai aż się rozpromieniła.

– Siostrę? Byłaby moja?

– Tak. – Uśmiechnąłem się. – Tylko twoja.

Maja podniosła oczy na Marinę i moje spojrzenie powędrowało za jej wzrokiem.

Zaskoczona Marina stała nade mną, podpierając się pod boki.

– Mieszkałaby w brzuchu mamy? – spytała Maja.

Inteligencja tej dziewczynki nigdy nie przestawała mnie zadziwiać.

– Nie. Pojawiłaby się magicznie, z gwiazd. Tak jak ty. Co ty na to?

Oczy Mai zrobiły się jeszcze większe. Błyszczały.

– Mogłybyśmy razem czytać bajeczki? – spytała.

– Oczywiście, kochanie.

– To tak, proszę!

Zaśmiałem się.

– W takim razie dobrze. Pomyślimy o tym z mamą.

– No właśnie, Maju – wtrąciła szybko Marina. – Pomyślimy o tym. Chodź, *chérie*, czas na kąpiel.

Tego wieczoru zaprosiłem do Atlantis Georga i razem z nim i Mariną usiedliśmy na tarasie, żeby omówić sytuację.

– Wiem, Atlas, że czujesz się do tego zobowiązany, ale czy masz pewność, że jesteś w stanie wziąć na siebie taką odpowiedzialność? – spytał Georg. – Druga adopcja z pewnością będzie oznaczać mniej czasu na twoje wyprawy w poszukiwaniu Elle.

Pokręciłem głową.

– Wątpię, żeby jeszcze jedno dziecko miało na to większy wpływ niż teraz obecność Mai. Podstawowe pytanie jest właściwie do ciebie, Marino. Poradzisz sobie z kolejnym noworodkiem?

– Możesz dać mi setkę maluchów do karmienia i opieki – odparła. – Z radością się nimi zajmę. Wiesz, jak kocham dzieci. – Uniosła brew. – Choć następnym razem pomów o tym najpierw ze mną, zanim przedstawiś taki pomysł Mai.

Uniosłem ręce w geście poddania.

– Przepraszam. Chciałem tylko wiedzieć, jak na to zareaguje. Skoro ona się ucieszyła, to nie będę się długo zastanawiał nad prośbą Horsta.

Marina skinęła głową.

– Rozumiem. – Zapatrzyła się na jezioro. – Myślę, że twoi przyjaciele będą ci ogromnie wdzięczni – powiedziała cicho.

Następnego dnia zadzwoniłem rano do Horsta, żeby powiadomić go, że zrobię to, o co prosił. Wzruszony popłakał się z radości. Jeszcze tego

samego dnia skontaktował się ze mną znowu, by oznajmić, że Martha entuzjastycznie przyjęła ten plan. Spytałem, czy mógłbym się z nią spotkać, żeby potwierdzić to osobiście, ale Horst mi to odradził. Uważał, że w związku z jej chorobą psychiczną dla dziecka będzie lepiej, by nie wiedziała, kim jestem. Trzy dni później dostałem wiadomość, że Martha urodziła. Poleciałem z Mariną do Bergen.

Dziewczynka, którą przywieźliśmy do Atlantis, miała ognistorude włosy. Przez całą podróż widziałem, jak zaciska mocno pięści, jakby coś sobie postanowiła. Nie miałem pojęcia co.

Kiedy Maja zaglądała do łóżeczka do nowej siostrzyczki, ze wzruszeniem pomyślałem, że podjąłem słuszną decyzję. Traktowała ją delikatnie, z czułością.

– Ma na imię Alkione. Od gwiazdy – szepnąłem.

– Cześć, Ally – powiedziała Maja, starając się wymówić imię siostry.

– Tak – szepnąłem. – Cześć, Ally.

48

Maj 1980

Poza tym, że była trochę odmalowana, księgarnia Arthura Morstona zupełnie się nie zmieniła przez trzydzieści lat mojej nieobecności w Londynie. Cudownie było znów zobaczyć Ruperta Forbesa. Mocno ujął moją dłoń i uściskał mnie serdecznie na powitanie.

– Na Jowisza, wcale się nie postarzałeś! – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– O tobie mogę powiedzieć dokładnie to samo.

– Pochlebiasz mi, stary, ale kłamiesz jak z nut. – Wskazał na skronie. – Patrz na tę cholerną siwiznę. Wyglądam jak własny dziadek!

– No... nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale w końcu jesteś już dziadkiem.

Uśmiechnął się.

– O rany. Jestem?! Nie rozpuszczaj takich złośliwych plotek!

Roześmiałem się.

– Jak tam chłopcy?

– Świetnie. Właśnie obchodziliśmy piąte urodziny Orlanda. Louise podarowała mu dzieła zebrane Dickensa. Powiedziałem, że jej odbiło, ale podobno już skończył *Opowieść wigilijną*. Ma pięć lat!

– Mój Boże. Trafił się wam geniusz! A co u... wybacz, nie wiem, czy dobrze pamiętam... Owenmusa?

– Nie musisz przepraszać, stary. Mnie samemu często wypada to imię z głowy. Oenomaus. Biedaczyna. Staralem się przekonać Laurence’a, że przez to imię chłopak będzie miał kłopoty, ale Vivienne najwyraźniej się uparła. Choć z dumą powiem, że młody się nie dał. Jest kapitanem drużyny rugby w szkole.

Po tylu latach typowo brytyjska racjonalna postawa Ruperta nadal podnosiła mnie na duchu. Przybyłem tu jednak z drzeniem serca. Zaprosił mnie do Londynu, by „podzielić się ze mną ważną wiadomością”. Podejrzewałem, że chodzi o Kreega. Choć Rupert przeszedł już na emeryturę, wciąż utrzymywał kontakty z wywiadem brytyjskim. Chętnie współpracował z Georgiem, kiedy pojawiała się coś istotnego... ale tym razem nalegał na mój przyjazd.

Zamknął drzwi księgarni i obrócił tabliczkę tak, żeby z zewnątrz było widać stronę z napisem NIECZYNNNE.

– Jak tam rodzina? Wyobrażam sobie, że te małe dziewczynki dają ci do wiwatu!

– O tak. Jedna ma sześć lat, druga trzy. Dałbyś wiarę?! Marina i ja nazywamy je czasem „bandą dwojga”.

Podał mi filiżankę herbaty, którą zaparzył w mieszkaniu na górze.

– Wiesz, naprawdę cię podziwiam. Ile masz teraz lat, sześćdziesiąt?

– Sześćdziesiąt dwa – uściśliłem.

– O rany. Sześćdziesiąt dwa i jesteś adopcyjnym ojcem dwóch dziewczynek. Nie wiem, skąd bierzesz energię, staruszk!

– Wiem, że to banalne stwierdzenie, ale córki dały mi nowe życie. Czuję się młodziej niż kiedykolwiek.

– Wspaniale to słyszeć, Atlas, naprawdę.

Wskazał na dwa miękkie fotele uszaki w głębi sklepu.

– Chodź, usiądźmy.

Poszedłem za nim, mijając półki z poezją i filozofią.

– Coś niesamowitego – zauważyłem. – Tu nadal pachnie tak samo.

– To przez książki. Można na nich polegać, one się nie zmieniają. Dziwnie mi myśleć, że mogą być tu jeszcze egzemplarze, które ustawialiście na półkach razem z Elle trzydzieści lat temu, ale się nie sprzedały.

Usadowiliśmy się wygodnie.

– Dlatego mnie zaprosiłeś, Rupert? – spytałem nerwowo. – Odkryłeś coś na temat Elle?

Po tylu latach najbardziej boję się wiadomości, że ją zlokalizowano, ale już nie żyje.

Rupert pokręcił głową.

– Nie, przykro mi, stary. Nadal nic na tym froncie. – Westchnął. – Strasznie mi wstyd, że nie udało mi się nic ustalić. – Łyknął herbaty. – Gdziekolwiek jest, musi to być bardzo dobra kryjówka.

Skinąłem z powagą.

– Wiem. Nie obwiniaj się. Georg zatrudnił firmy detektywistyczne i wywiadowcze na całym świecie, żeby jej szukały. I do tej pory nikt nie wpadł na żaden trop.

Zmarszczył brwi.

– To niebywałe. Zwykle, kiedy ktoś znika, zostaje jakiś ślad, który pomaga nam go odnaleźć. A w tym przypadku odnoszę wrażenie, że twoja Elle rozplynęła się w powietrzu. Podziwiam cię. Szukasz jej już... ile to lat? Trzydzieści? I nigdy się nie poddałeś.

– Nie darowałbym sobie, gdybym przestał – powiedziałem cicho.

– Wiem. A jeśli chodzi o tego, który cię gnębi od dawnych czasów, o Kreega Eszu... – Wzruszył ramionami. – Wydaje się, że nadal nie

wychyla nosa z tej swojej ogromnej posiadłości.

– Tak. – Patrzyłem na drzwi prowadzące na górę do mieszkania, za którymi chowaliśmy się z Elle trzydzieści lat temu. – Mogę tylko przypuszczać, że kiedy jego żona umarła, stracił chęć do życia. I... po prostu... odpuścił sobie polowanie na mnie.

Rupert zmrużył oczy, zastanawiając się nad taką ewentualnością.

– Myślę, że to prawdopodobne wyjaśnienie. Ile lat może mieć teraz jego syn?

Musiałem to sobie wyliczyć.

– Jest chyba mniej więcej w wieku Mai. Ma jakieś sześć, siedem lat?

– Biedny malec. Pewnie jest ciężko stracić matkę i zostać z ojcem psychopatą... Aż trudno sobie wyobrazić, co ten chłopiec musi znosić.

Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Pewnie masz rację – przyznałem. – Nie zazdroszczę synowi Kreega.

– Nie ma czego. – Odstawił filiżankę i spodek. – A teraz przejdźmy do rzeczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Zaczynaj. Jestem zaintrygowany.

– No dobrze... – Połączył czubki palców. – Od czego by tu zacząć? Pamiętasz rozłam w rodzinie Vaughanów-Forbesów w latach czterdziestych? Kiedy zmarł ojciec Louise, Archie, i High Weald odziedziczył Teddy?

– Tak, pamiętam to dość dokładnie.

– Dobrze, to się przyda. Wiesz też, że Teddy ożenił się z Amerykanką irlandzkiego pochodzenia o imieniu Dixie? I że mieli syna Michaela?

– Coś mi się obilo o uszy. – Tak szczerze mówiąc, koligacje Teddy'ego nie należały do kręgu moich zainteresowań.

– Szczegóły nie są istotne. A przypominasz sobie może, że kiedy mieszkałeś w High Weald, była tam niejaka Tessie Smith?

Od dawna o niej nie słyszałem. Ale nie zapomniałem, w jak trudnej sytuacji znalazła się ta kobieta.

– Pamiętam. Była jedną z tych dziewczyn, które w czasie wojny zgłaszały się do pracy na wsi.

– No właśnie.

Napiłem się trochę herbaty, starając się przywołać wspomnienia.

– Tak się składa, że ta Tessie przyjaźniła się trochę z Elle – powiedziałem.

Rupert skinął głową w zadumie.

– Tak przypuszczałem. – Odetchnął głęboko. – A teraz przygotuj się. Mam tu bombę na temat rodziny Vaughanów. W gruncie rzeczy nie można tego ująć delikatnie, bo...

– Tessie była w ciąży z Teddym. A Flora dała jej pieniądze – powiedziałem, spokojnie rozbijając jego bombę.

Wyglądał na lekko zawiedzionego.

– No właśnie, a więc nie było to tajemnicą wśród służby... – Rozśmieszyło mnie trochę to protekcyjne określenie. Zawstydział się okropnie. – Przepraszam, nie chciałem cię urazić...

Uniosłem dłoń, by go uspokoić.

– W porządku, nie ma sprawy – odparłem szczerze. – Ale odpowiadając na twoje pytanie, to tak: wszyscy o tym wiedzieliśmy. Tessie nie robiła z tego wielkiej tajemnicy.

Rupert złapał się za głowę i zaśmiał.

– O rany. Niezłe ziółko z tego Teddy'ego, co? – Przez chwilę zbierał myśli. – Tessie zmarła pięć lat temu, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym

piątym.

– Przykro mi. Wiesz może, czy urodziła dziecko Teddy’ego?

– Owszem. Jej córka nazywa się Patricia Brown.

– Brown?

– To nazwisko po mężu. On też już nie żyje.

– Rozumiem.

Dość trudno było za tym nadążyć, ale bardzo się starałem.

– Chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że o tej sytuacji dowiedziałem się dopiero kilka tygodni temu, wcześniej nie miałem pojęcia o tym wszystkim. Prawdopodobnie Louise była z tym na bieżąco, ale nigdy nie przyszło jej do głowy mi o tym mówić. To była prywatna sprawa Tessie.

Uśmiechnąłem się. Louise była taka lojalna; matka byłaby z niej dumna.

– Ale po co mi to wszystko opowiadasz, Rupert?

Rozejrzał się po pustej księgarni, jakby chciał się upewnić, czy ktoś nas nie usłyszy. Nie wątpię, że takiego zwyczaju nabrał przez lata służby w wywiadzie.

– Kilka dni temu odebrałem telefon z pałacu Buckingham.

– Z pałacu Buckingham? Od rodziny królewskiej? – spytałem zdumiony.

Rupertowi wyraźnie sprawiło przyjemność, że ta wiadomość wywarła na mnie wrażenie.

– Owszem... Choć nie dzwoniła sama Jej Wysokość! Tylko ktoś z tamtejszego wywiadu.

Przerwał na chwilę i trudno było nie pomyśleć, że stara się podbić efekt.

– Żeby tego nie przeciągać, powiem, że mam pewną informację, która będzie dla ciebie nowiną.

Siedziałem jak na szpilkach.

– A mianowicie?

– Matka Louise, lady Flora Vaughan, z domu MacNichol, była nieślubnym dzieckiem króla Edwarda Siódmego.

Żeby oddać sprawiedliwość Rupertowi, jego pauza zrobiła swoje. Pokręciłem głową zszokowany.

– Coś takiego!

Uśmiechnął się szeroko. Bawiło go to przedstawienie.

– Wiem, nie do wiary. Ale taka jest prawda, jak mnie zapewniono.

Aż jęknąłem ze zdumienia.

– Niebывała sprawa. Czy Louise coś o tym wiedziała?

– Najwyraźniej nie, przyjacielu, i tak musi pozostać – oświadczył surowo.

– Czyli nadal nic nie wie?

– Nie. Ja, jako były pracownik brytyjskiego wywiadu, jestem darzony pełnym zaufaniem, zresztą mam obowiązek służbowy zachowywać tak delikatne informacje dla siebie i w pałacu to wiedzą.

Wyciągnąłem ręce i rozejrzałem się po księgarni.

– W takim razie całe szczęście, że nie pracuję dla Sowietów, co? Ale skoro nie podzieliłeś się tą informacją z żoną, to dlaczego, na Boga, mówisz to mnie?

– Zaraz do tego dojdę. – Zastanawiał się chwilę nad następnym zdaniem. – Jeśli jesteś potomkiem brytyjskiego monarchy, to oznacza, że rodzina królewska... wszystko monitoruje. – Poruszył się niespokojnie w fotelu. – Żeby... no wiesz... nie dopuścić do jakiejś żenującej sytuacji, która mogłaby...

– Zaszkozić marce? – podsunąłem.

– Właśnie. Dlatego też pałac śledził pilnie zdarzenia w rodzie MacNicholów. Obserwowali też Tessie Smith, która, jak wszystko na to wskazywało, prowadziła spokojne i raczej nieciekawe życie.

– Więc dlaczego uznali, że muszą się z tobą skontaktować? – spytałem.
Rupert odchrząknął.

– Córka Tessie i Teddy’ego, Patricia, nie jest tak cicha i wycofana, jak by sobie życzył pałac. Jest zagorzałą katoliczką, wojującą fanatyczką.

– Jak to się mówi... – szukałem w głowie angielskiego określenia – furia ogni piekielnych?

Rupert strzelił palcami.

– Otóż to. Z tego, co mi powiedziano, Patricia ma dwie córki. Pierwsza, Petula, urodziła się osiemnaście lat temu. Podobno świetnie sobie radzi. Studiuje w mojej Alma Mater, Cambridge.

– Wspaniałe osiągnięcie, biorąc pod uwagę, z czym musiała się w życiu zмагаć.

– W pełni się z tobą zgadzam. A jeśli chodzi o drugie dziecko... Różnica wieku jest pokaźna. Wygląda na to, że Patricia dopiero co je urodziła.

Próbowałem usilnie się w tym połapać.

– A nie wspominałeś, że jej mąż zmarł?

– Słuszna uwaga. Pałac nie potrafi ustalić, kto jest ojcem dziecka. W związku z tym możemy przypuszczać, że jest owocem związku pozamałżeńskiego, co zapewne wywoła oburzenie w katolickim środowisku Patricii.

– I co się dzieje z tym dzieckiem?

Rupert wstał.

– Właśnie dlatego kilka dni temu zadzwoniono do mnie z pałacu. Wygląda na to, że Patricia oddała nowo narodzone dziecko do sierocińca na East Endzie, by uniknąć hańby.

Podszedł do starego drewnianego biurka, które niegdyś było moje.

– Nadal nie potrafię zrozumieć, dlaczego skontaktowano się z tobą z pałacu. Boją się skandalu, rozumiem. Ale jak, na Boga, dziecko, które nic nie wie o swojej historii, mogłoby naopowiadać tabloidom, że ma jakieś wątpliwe prawa do tronu?!

Rupert wzruszył ramionami.

– Sam zadałem im dokładnie takie pytanie. Odpowiedzieli, że król Edward Siódmy bardzo dbał o swoją rodzinę, więc po prostu czuli się w obowiązku mnie o tym wszystkim powiadomić. – Urwał i popatrzył za okno, na ruchliwą Kensington Church Street. – Myślę, że w tym szczególnym przypadku chodzi o to, by dziecko zostało adoptowane i otoczone właściwą opieką.

Wstałem i też podszedłem do biurka.

– Ale nie poinformowaliby o tym kogokolwiek, jak podejrzewam...

– Oczywiście, że nie. Wybrali mnie, bo jestem dawnym pracownikiem MI5.

– I pałac spodziewa się, że podejmiesz jakieś działania?

Rupert, nie patrząc mi w oczy, przerzucał jakieś dokumenty.

– Jest w tym pewien kruczek, tak. – Wreszcie trafił na to, czego szukał.
– Mam tu coś dla ciebie.

Podał mi białą kopertę.

Została zaadresowana niewyrobnym charakterem pisma:

Elinor Tanit, na adres Louise Forbes z księgarni.

– Kilka tygodni temu ktoś wrzucił to do skrzynki, wraz z listem do Louise i wiadomością od prawnika Tessie. Prawnik przeproszał, że tyle czasu zajęło im ustalenie, kim jest „Louise Forbes z księgarni”.

Przyjrzałem się kopercie, która wydawała się nieotwarta.

– Czytałeś to? – spytałem.

– Nie, stary. Ale czytałem list do Louise i wyobrażam sobie, że treść jest podobna.

Rozerwałem kopertę i przeczytałem:

Witaj, Elinor

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Przepraszam, że przez tyle lat się nie odzywałam. Mam nadzieję, że mnie pamiętasz!

Ostatnio jest ze mną trochę kiepsko i wolę mieć pewność, że napisałam do wszystkich, którzy byli dla mnie dobrzy w dawnych czasach w High Weald.

Ty zawsze byłaś wyjątkowo miła. Jak wiesz, było ciężko. Nie wszyscy uważali, że słusznie powiedziałam o sobie i Teddym, i o dziecku.

Ale Ty kazałaś mi trwać przy swoim i mówiłaś, że będzie dobrze.

I wiesz, miałaś rację! Urodziłam śliczną córeczkę, Patricię, która dawała mi mnóstwo radości przez lata. Nawet jeśli bywa czasami trochę kąśliwa, ma dobre chęci. Ona i jej mąż dali mi też uroczą wnuczkę.

W końcu wszystko mi się ułożyło.

Ale nie będę się rozpisywać. Chciałam Ci tylko podziękować, póki jeszcze łapię oddech. Przekaż serdeczne pozdrowienia mężowi.

Twoja przyjaciółka

Tessie

Wsunąłem list z powrotem do koperty.

– Nie wiedziałem, że przyjaźń Elle tyle dla niej znaczyła.

– Ja też nie sądziłem, że Tessie i moja żona były tak zżyte – przyznał Rupert. – Louise bardzo się wzruszyła po przeczytaniu listu. Pięknie ze strony Tessie, że do nich napisała, co? To wiele mówi o jej charakterze.

– Racja.

– Żałuję tylko, że nie jesteśmy w stanie doręczyć tego, który właśnie czytałeś, adresatce.

– Ja też – szepnąłem.

Zapadło pomiędzy nami wymowne milczenie, gdy patrzyłem na starego przyjaciela.

– Wiem, o co chcesz mnie prosić – powiedziałem po chwili.

Skinął powoli głową.

– Zanim cokolwiek powiesz, wiedz, że rozważyłem wszelkie opcje. Jestem dziesięć lat starszy od ciebie, a Louise nie jest wiele młodsza. Oczywiście myślałem o tym, by poprosić Laurence’a i Vivienne, ale jest im ciężko, wydają całe pieniądze na szkoły z internatem dla chłopców, na które ich nie stać. Co gorsza, odkryli właśnie, że Orlando ma epilepsję. Nie daliby sobie rady z kolejnym dzieckiem.

Odetchnąłem głęboko.

– A co z rodziną Teddy’ego? W końcu przejęli ogromną posiadłość na wsi. Nie znalazłoby się tam miejsce dla dziecka?

Rupert przeczesał palcami włosy.

– Masz rację. Teddy i Dixie nadal mieszkają w High Weald. Ich syn Michael jest w porządku. Tak naprawdę właśnie urodziła mu się córka, Marguerite.

– Nie chciałyby mieć się z kim bawić? Przecież to krewne!

Rupert położył mi dłoń na ramieniu.

– Wierz mi, że przemyślałem wszystko dokładnie. Skutki uboczne podzielenia się tą informacją z Michaeliem mogłyby wywołać niezadowolenie pałacu.

– A tego byśmy nie chcieli? – rzuciłem. Jego uwaga mnie zezłościła. Dlaczego sprawy tego rozpustnika Teddy’ego miałyby być moim problemem? Oszczędłem kilka kroków, żeby się uspokoić. Patrzyłem na ilustrowane książki wystawione w dziale dla dzieci.

– Szczerze mówiąc, stary, nie, nie chcielibyśmy – odpowiedział na moje pytanie. – Powiem ci, że pałac potrafi być dość agresywny, kiedy zechce. Nie przypadkiem przetrwał tak długo.

Usłyszałem, jak nerwowo łyka herbatę.

Utkwiłem wzrok w pięknie wyeksponowanych tomach *Alicji w Krainie Czarów*, które niewątpliwie tak starannie ułożyła Louise. Wziąłem jeden, otworzyłem i zaciągnąłem się zapachem przypominającym wanilię. Odwróciłem się, popatrzyłem na księgarnię i przeniosłem się w czasie do upojnych dni, kiedy ja i Elle robiliśmy niewiele poza czytaniem i uzupełnianiem oferty na półkach. Nie mieliśmy nic poza sobą nawzajem i byliśmy szczęśliwi. To nie byłoby możliwe, gdyby nie dobroć Ruperta i Louise, a przed nimi Archiego i Flory. Podobnie jak w przypadku Halvorsenów, przysiągłem sobie, że zrobię wszystko, by odpłacić za serce rodzinie Vaughanów.

Wiedziałem już, jaka będzie moja odpowiedź, ale chciałem, żeby Rupert jeszcze trochę się pogimnastykował, by mnie przekonać.

– No tak. Rodzina Teddy’ego nie może brać na siebie odpowiedzialności za jego błąd. Ale powinienem to zrobić ja, pan Tanit, prosty ogrodnik? – Uniosłem pytająco brwi.

Moja uwaga wywołała pożądany efekt i zwykle tak opanowany Rupert nieźle się zdenerwował.

– Nie o to chodzi, mój drogi. Nie chciałem cię straszyć ani do niczego przymuszać. Ale ostatnio adoptowałeś dwie cudowne małe dziewczynki, dałeś im więcej miłości, niż mogłoby się im kiedykolwiek marzyć, zapewniłeś im wspaniałe życie. Kiedy usłyszałem, że to maleństwo potrzebuje rodziny, od razu pomyślałem o tobie. To proste.

Skinąłem głową.

– Jasne. Kiedy tak o tym mówisz, wydaje się to logiczne. – Popatrzyłem mu w oczy i milczałem.

– No i? – spytał skołowany. – Czy w twoim magicznym zamku znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej małej księżniczki?

Podszedłem do niego.

– Flora i Archie Vaughanowie zaopiekowali się mną i Elle, kiedy byliśmy w potrzebie. A ty i Louise... nie wiem, czy bez waszej pomocy dziś bym jeszcze żył. – Uśmiechnąłem się do niego szeroko. – To będzie dla mnie zaszczyt, że mogę odplacić za przysługę.

Miałem wrażenie, że Rupert jest bliski omdlenia, tak bardzo mu ulżyło.

Po południu znaleźliśmy się w sierocińcu Metropolitan and City Foundlings na londyńskim East Endzie. Rupert podzwonił, gdzie trzeba, by upewnić się, że dziewczynka będzie mogła polecieć ze mną wieczorem do Genewy.

– Pałac jest bardzo zadowolony z rozwiązania – poinformował mnie, zniżając dyskretnie głos.

– Szczerze mówiąc, mam w nosie pałac. Dla mnie ważna jest wasza rodzina. – Spojrzałem na śpiące w moich ramionach dziecko. – I moja.

49

Sierpień 1980

Przykrą stroną starzenia się jest to, że musimy patrzeć, jak odchodzą kolejno ci, których kochamy.

W lipcu zadzwonił do mnie mój najmłodszy towarzysz podróży z RMS *Orientu*, Eddie, który od ponad dwudziestu pięciu lat był członkiem rodziny McBride'ów, i nie kontaktował się ze mną w Atlantis z radosnych powodów. Załamującym się głosem powiadomił mnie, że ojciec, który go adoptował, Ralph, nie żyje.

Spędziłem godzinę na rozmowie z Eddiem. Pocieszałem go i przypominałem mu, ile zrobiła dla mnie jego rodzina. Ogromnie zasmuciła mnie wieść o śmierci Ralpa; bolałem nad stratą przyjaciela, na którym do ostatniej chwili mogłem w pełni polegać.

Tydzień później byłem w Alicia Hall w Adelaide, na nabożeństwie żałobnym za Ralpa. Dawno minęły czasy, kiedy musiałem wsiąść na pokład statku, by wybrać się w wyczerpującą podróż do Australii. Teraz każdy może znaleźć się po drugiej stronie świata w dwadzieścia cztery godziny. Z zewnątrz posiadłość wydawała się równie kwitnąca i okazała jak dawniej. Kiedy przeszedłem przez bramę, podszedł do mnie elegancko ubrany młody blondyn i uścisnął mi dłoń.

- Pan Tanit? – To był Eddie McBride. – Dziękuję, że pan przyjechał.
- Eddie! Tak mi przykro, bardzo ci współczuję.

– Dziękuję.

W tej chwili znów stał się dla mnie pięcioletnim chłopcem. Nie mogłem się pohamować i objąłem go.

– Trudno mi wyrazić, jak dobrze jest znów cię widzieć. Na pewno nie pamiętasz, ale znałem cię jako dziecko. Płynąłem tym samym statkiem, którym ty tu dotarłeś.

Eddie uśmiechnął się.

– Ojciec mi mówił. Naprawdę bardzo pana cenił, panie Tanit. Często opowiadał o tym, jak uratował pan ludzi w kopalni opali.

Tamten dramatyczny dzień wydawał się odległy, jakby to było w innym życiu.

– Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie twój tata. Tyle mu zawdzięczam.

Na nabożeństwie był tłum. Dobrze ponad sto osób zgromadziło się, by uczestniczyć w prowadzonej przez księdza ceremonii pochówku prochów Ralpa w ogrodach Alicia Hall. Po zakończeniu uroczystości wytropiłem Ruth McBride. Była bardzo wzruszona, że zadałem sobie trud i wybrałem się aż tak daleko, by oddać cześć pamięci jej męża.

Podczas pobytu w Adelaide najbardziej zależało mi jednak na tym, żeby skontaktować się z jedną szczególną osobą – z Sarah. Prawdopodobnie to, że wciąż żyję, zawdzięczam temu, że była taka troskliwa. W najczarniejszym okresie mojego życia jej optymizm i dobroć pomogły mi nie utonąć na dnie rozpacz. Dosłownie. Ale nigdzie jej nie widziałem.

– Pamiętasz ją, Ruth? – spytałem.

– Ależ oczywiście! Ona i jej mąż wiele razy odwiedzali Alicia Hall. Wyszła za jednego z Mercerów!

– Naprawdę? – spytałem podniesiony na duchu.

– Tak. To spokojny człowiek, Francis Abraham. Jego ojcem był syn Kitty, Charlie, a matką córka służącej, Alkina.

Na świecie naprawdę zdarzają się cuda. Nigdy bym się nie spodziewał, że Sarah, sierota, wejdzie pewnego dnia do jednej z najzamożniejszych rodzin na świecie. Przypomniałem sobie, jak podczas naszej pierwszej rozmowy mówiła mi o swoich ambitnych planach: „Mam nadzieję, że znajdę pracę i zarobię na siebie. I znajdę sobie faceta!”.

– To naprawdę urocza historia – opowiadała dalej Ruth. – Sarah poznała Francisę w misji Hermansburg, kiedy wybrały się tam z Kitty. I zostali razem na zawsze!

Klasnąłem w ręce z radości.

– Tak się cieszę, że los się do niej uśmiechnął. Bóg jeden wie, jak bardzo na to zasługiwała. – Zauważyłem, że Ruth skrzywiła się lekko na te słowa. – Mogę spytać, dlaczego ona i jej mąż nie pojawili się tu dzisiaj?

Ruth westchnęła.

– Wiem, że Eddie robił wszystko, by się z nimi skontaktować. Sarah była mu szczególnie bliska. Ale okazało się, że bardzo trudno ich odnaleźć.

– Dlaczego?

– Ostatni adres, jaki mieliśmy, był w Papunyi. To wspaniałe miasteczko, mieszka tam wielu lokalnych artystów. To tam Francisowi i Sarah urodziła się córeczka, Lizzie.

– Założę się, że to od imienia królowej Elżbiety! Cała Sarah – zauważyłem z ciepłym uśmiechem.

– Trafiliś. Tylko że Lizzie wyrosła na sprawiającą kłopoty młodą osobkę. Poznała w miasteczku jakiegoś malarza... Toba... Chyba tak miał na imię... Był bardzo utalentowanym aborygeńskim artystą, ale niestety, również pijakiem i awanturnikiem. Sarah i Francis nie zgadzali się, by za niego wyszła. Więc Lizzie z nim uciekła.

Pomyślałem, że dziewczyna pewnie odziedziczyła silną osobowość po matce.

– I dokąd pojechali? – spytałem.

Ruth westchnęła.

– W tym właśnie rzecz. Nikt nie wie. Podobno Francis zabiera Sarah na długie wyprawy przez odludzia w poszukiwaniu córki i właśnie dlatego trudno się z nimi skontaktować.

Biedna Sarah. Zasługiwała na samo szczęście, a wyglądało na to, że rodzona córka nie pozwala jej cieszyć się życiem.

– Tak bardzo chciałbym się z nią zobaczyć – powiedziałem. – Kiedy się spotkacie, powiedz jej, proszę, że o nią pytałem, i pozdrów serdecznie. Cieszyłbym się bardzo, gdybym mógł nawiązać z nią kontakt po latach.

– Powiem jej, na pewno. Jeszcze raz dziękuję, że przyjechałeś.

Resztę popołudnia spędziłem, kręcąc się po Alicia Hall i na pogaduszkach z pracownikami firmy Mercerów, którzy ogromnie podziwiali i szanowali byłego szefa. Niektórzy pracowali nadal w kopalniach opali i przyjemnie było powspominać z nimi dawne czasy i metody, jakie się wtedy stosowało. Gdy słońce zaczęło się zniżać na rozpalonym niebie, pożegnałem się z gospodarzami i Alicia Hall. To był zaszczyt móc odwiedzić to miejsce. Zanim wyszedłem, podbiegł do mnie Eddie.

– Panie Tanit, mama mówiła, że pytał pan o Sarah.

– Tak. Z tego, co wiem, nie udało ci się z nią skontaktować.

– Nie udało się, ale... Przyszło mi coś do głowy. Niedawno porządkowałem dokumenty taty i znalazłem testament Kitty Mercer. Podobno miała dom w Broome, który zostawiła Sarah i Francisowi, by przekazali go Lizzie, kiedy ta dorośnie. Gdybym miał więcej czasu,

poszedłbym tym tropem, żeby ich zlokalizować. Ale mam teraz przedsiębiorstwo na głowie i wszystko mi się sypie.

Biedny Eddie wydawał się przerażony perspektywą przejęcia zarządzania całą firmą.

– Ciekawe – mruknąłem. – Broome... Gdzie to jest?

– To miasteczko górnicze na północno-zachodnim krańcu kraju – wyjaśnił. – Musiałby pan tam polecieć samolotem. Ale to tam z początku spędzała wiele czasu Kitty. Może to jest jakiś pomysł. Napiszę panu adres.

– Dziękuję, Eddie.

Następnego popołudnia na malutkim lądowisku w Broome wysiadłem ze śmigłowca, którym przyleciałem z Darwin, gdzie wylądowałem po locie z Adelaide. Pojechałem autobusem wzdłuż portu do centrum, które było małe i zapyłone. Przy głównej ulicy – Dampier Terrace – stały sąd, koślawy budynek informacji turystycznej i muzeum pereł. Zdałem sobie sprawę, że to tutaj przed laty zaczęła się budowa imperium Mercerów. Patrzyłem na pomarańczową pustynną drogę i wyobrażałem sobie młodą jasnowłosą Kitty topiącą się w słońcu antypodów i tęskniącą za chłodem szkockiego wiatru.

Zajrzałem do informacji turystycznej.

– Szukam tego adresu – powiedziałem, podając mężczyźnie za kontuarem kartkę, którą dostałem od Eddiego.

– Jasne, trzeba trzymać się głównej drogi. To jakieś dwa kilometry stąd. Nie da się przeoczyć tego domu, chyba że się pójdzie naokoło, buszem!

Ruszyłem według wskazówek. Szedłem niemal godzinę w niemiłosiernym upale, nim wreszcie z ulgą wypatrzyłem zaskakująco skromne zabudowania. Dom w Broome stanowił dramatyczny kontrast z posiadłością Alicia Hall. Drewniany fronton był stary i sfatygowany. Belki wspierające daszek werandy wyglądały tak, jakby lada chwila miały

się załamać. Obok domu stał mały bungalow kryty blachą. Naprawdę nie jestem pewien, gdzie wolałbym zamieszkać, gdyby dano mi wybór.

Panowała cisza i nie robiłem sobie wielkich nadziei, że ktoś tu jest. Skoro jednak dotarłem już tak daleko, poszedłem zapukać. Wchodząc na skrzypiące schody werandy, zauważyłem, że drzwi wejściowe są uchylone. Popchnąłem je delikatnie, żeby zajrzeć.

– Halo, halo?! Jest tam ktoś?! Halo?! – Żadnego odzewu. – Sarah? Jesteś tu, Sarah? Francis?

Wszedłem do środka.

Przebiegłem hol, zatrzymałem się przy schodach i krzyknąłem na górę, ale nikt nie odpowiadał. Zrezygnowany, postanowiłem wracać do miasta. Idąc do drzwi, rzuciłem okiem na zabałaganioną kuchnię. Z kranu kapło, wszedłem więc, żeby go dokręcić. Kiedy to robiłem, dostrzegłem na kuchennym stole niedopitą filiżankę kawy. Na jej wierzchu utworzył się kożuszek pleśni. To mnie zaintrygowało. Otworzyłem lodówkę. Był tam dzbanek skwaśniałego mleka, trochę czerstwego chleba i wyschniętego sera.

Ktoś tu niedawno był. Sądząc po stanie łatwo psujących się rzeczy, być może zaledwie kilka dni temu. Odzyskując nadzieję, wróciłem do Broome i wszedłem do pierwszego baru, żeby popytać miejscowych.

Spelunka była ciemna i ponura, ale dawała wytchnienie od dzikiego upału panującego na zewnątrz. Usiadłem na zdezelowanym stołku przy barze i zamówiłem sok pomarańczowy. Kiedy zebrałem się na odwagę, spytałem barmana, czy zna Sarah albo Francisza Abrahamów.

Na chwilę przerwał wycieranie szklanek, żeby się zastanowić.

– Niestety, nie kojarzę. Przykro mi.

Westchnąłem.

– Mają taki stary dom tuż pod miastem. Myślałem, że może wpadli tu ostatnio.

Przy drugim końcu baru siedział mężczyzna nad wysokim kuflem piwa z pianką.

– Masz na myśli ten dom, w którym mieszkali kiedyś Mercerowie? – zapytał.

Obróciłem się do niego.

– Tak, właśnie.

Podrapał się po brodzie.

– Hm... Dziwne. Ostatnio ktoś tam był. Ale nie para.

Wstałem i podszedłem do niego.

– Mogę w takim razie spytać kto?

Zmarszczył brwi.

– Jakaś młoda dziewczyna. Z brzuchem.

– Była w ciąży?

– Tak, chłopie, wyglądała, jakby zaraz ją miało rozsadzić. – Pociągnął nosem i wypił łyk piwa. – Moja żona ma sklep spożywczy po drugiej stronie. Jakiś czas temu podrzucała jej to i owo.

– To bardzo pomocna informacja, dziękuję.

Mężczyzna wzruszył ramionami i znów skupił się na piwie. Zastanawiałem się, kto mógł być w starym domu Kitty. Pomyślałbym, że ktoś się tam włamał, ale w środku wszystko leżało na swoim miejscu. Poza tym nie słyszałem o złodziejkach w ciąży, które zamawiałyby sobie coś ze sklepu spożywczego i parzyły kawę. Czy to możliwe, żeby...

Dopiłem sok i wyszedłem z baru. Ostre słońce raziło mnie w oczy. Wróciłem do centrum informacyjnego dla turystów. Poprosiłem o wskazanie drogi do najbliższego szpitala. To było mało prawdopodobne,

ale miałem nadzieję, że osoba, której nie zastałem w domu, przestała pić kawę, bo zaczęła rodzić.

Muszę przyznać, że pójście do szpitala w Broome, żeby wypytywać o kogoś, kogo nie znam, było jedną z najdziwniejszych rzeczy, na jakie się w życiu porwałem. W piętnaście minut doszedłem do budynku, który wydawał się mały i prymitywny. Kiedy jednak wszedłem do środka, z przyjemnością stwierdziłem, że nie jest tu inaczej niż w jakimkolwiek ośrodku w Genewie.

Od razu pospieszyłem do recepcjonistki.

– Bardzo przepraszam, ale szukam kobiety, która dopiero co urodziła albo nawet w tej chwili rodzi.

Roześmiała się.

– Musi pan być trochę bardziej konkretny! Jak ona się nazywa?

Zastanawiałem się chwilę.

– Elizabeth.

– Elizabeth, a dalej?

– Hm... – Złapałem się za głowę. – Mercer... Nie, Abraham. Tak sądzę... Chwileczkę, przepraszam, przecież ona wyszła za mąż... Proszę wybaczyć, nie znam nazwiska.

Kobieta patrzyła na mnie jak na szaleńca.

– Należy pan do rodziny? Nie wpuszczamy tu wszystkich. Zwłaszcza kogoś, kto nawet nie jest pewien nazwiska pacjentki...

– Rozumiem. I nie proszę, żeby mnie wpuścić. Ale może byłaby pani tak dobra i powiedziała mi, czy jakaś kobieta o imieniu Elizabeth ostatnio tu rodziła.

Recepcjonistka nie zamierzała zdradzać mi takich danych.

– Naprawdę nie mam prawa tego robić.

– Szanuję to. Pytam tylko dlatego, że to córka mojej przyjaciółki i od dłuższego czasu nikt jej nie widział. Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko z nią w porządku. Kiedy tylko będę to wiedział, pójdę sobie, obiecuję.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– No dobrze. Proszę usiąść. Zadzwoń na porodówkę.

Spędziłem pewnie z pół godziny, gapiąc się w ścianę w sterylnie białej recepcji. Gorączkowo zastanawiałem się, co zrobić, jeśli okaże się, że Lizzie naprawdę jest w szpitalu. Tę gonitwę myśli przerwało pojawienie się kobiety o orzechowej cerze i mieniących się bursztynowych oczach. Podeszła do mnie. Miała na sobie niebieski kitel pielęgniarki.

– Czy to pan pytał o Elizabeth?

– Tak, ja.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Proszę za mną. – Poprowadziła mnie korytarzem do gabinetu z łóżkiem i dwoma krzesłami. – Proszę usiąść. Mam na imię Yindi. – Wyciągnęła do mnie dłoń.

– Atlas. Miło mi panią poznać, Yindi.

– Jest pan przyjacielem Elizabeth?

Potarłem oczy.

– Tak naprawdę to trochę skomplikowane. Elizabeth i ja nigdy się nie spotkaliśmy. Ale jestem... krewnym jej matki, Sarah.

Kłamałem, ale wiedziałem, że jako rodzina będę mógł wydobyć więcej informacji.

Yindi zasmuciła się.

– Lizzie dużo mówiła o matce.

– To dla niej właśnie przyjechałem do Broome. Szukałem Sarah. Byłem w jej domu, ale nikogo nie zastałem. Ktoś mówił, że ostatnio mieszkała tam kobieta w ciąży, i dlatego przyszedłem do szpitala.

– No dobrze, panie Atlas. – Yindi poklepała mnie po ramieniu. – Kilka tygodni temu trafiła tu Lizzie. Rodziła.

– Czy był z nią ktoś? Może mąż?

Pokręciła głową.

– Nie. Opowiadała mi o nim. Porzucił ją jakiś miesiąc wcześniej.

– Boże, biedna Lizzie.

– Tak. I miała trudny poród. Prawie czterdzieści godzin. – Yindi aż się wzdrygnęła na to wspomnienie. – Dziecko było uparte. Nie reagowało na nasze zabiegi. Wezwałam więc przodków.

Zdziwiony uniosłem brwi.

– Ma pani aborygeńskie korzenie?

Roześmiała się.

– Nie zauważył pan? Poprosiłam przodków, by pomogli jej dziecku. I pomogli. Ale powiedzieli mi też... – Yindi westchnęła. – Powiedzieli mi, że matka nie przeżyje.

Przeraziłem się.

– O nie... Więc Lizzie...

Yindi pokręciła głową, a mnie ścisnęło się serce. Tak strasznie było mi żal Sarah.

– A co z dzieckiem?

– Mała jest zdrowa, pełna animuszu.

– Cieszę się. Mogę zapytać, co się stało Lizzie?

– Miała groźną infekcję poporodową. Bardzo starałam się pomóc jej ją zwalczyć, ale działały tylko środki medycyny naturalnej, które nie mogą

uratować życia, poprawiają jedynie jego jakość. Lizzie przeżyła siedem dni. Przodkowie dali jej tydzień z córeczką, zanim ją zabrali. Przykro mi.

Siedziałem chwilę w milczeniu. Przyleciałem do Broome, żeby szukać starej przyjaciółki, a tymczasem odkryłem druzgoczącą dla niej prawdę.

– Gdzie jest dziecko Lizzie? – spytałem. – Czy trafiło do jakiegoś domu dziecka?

Yindi uśmiechnęła się leciutko.

– Nie. Jest tutaj.

– Naprawdę? Do tej pory?

Skinęła dumnie głową.

– Tak. Zatrzymałam ją najdłużej, jak się dało. To wyjątkowe dziecko, przodkowie mi powiedzieli. Ogniste! My, pielęgniarki, próbowałyśmy znaleźć rodzinę, która by ją wzięła, ale nie poszczęściło się nam.

Byłem zaskoczony.

– Naprawdę? To bardzo smutne, myślałem, że ludzie, którzy pragną adoptować dziecko, najchętniej biorą noworodki.

– Tak, ale to dziecko mieszanej rasy – stwierdziła przygnębiona Yindi. – Ludzie tutaj... nie chcą takich dzieci.

Skręciło mnie w brzuchu.

– Dobry Boże. To okropne.

– Dlatego tak się o nią troszcę.

– Doskonale rozumiem. To bardzo pięknie z pani strony.

– Zrobiłam, co w mojej mocy, by maleństwo pozostało pod moją opieką tak długo, jak się tylko da, zgodnie z tym, co przykazali mi przodkowie. Ale nie może zostać w szpitalu na zawsze. – Yindi zmrużyła oczy i uśmiechnęła się do mnie, jakby łączyła nas jakaś kosmiczna tajemnica. – Właśnie dzisiaj załatwiane są formalności, by oddać ją do lokalnego

sierocińca. Czy to może być przypadek? Dokładnie dziś. A tu nagle pojawia się pan Atlas. – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Tak... ciekawy zbieg okoliczności.

Yindi odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– Przodkowie mówili, że pan przyjedzie. Najwyraźniej pana znają.

Po tym, czego doświadczyłem w życiu, nie mogłem tego kwestionować, choć nie rozumiałem w pełni tych spraw.

– Mam ogromny szacunek do przodków – powiedziałem. – Wiele lat temu mieszkałem w Australii. Ngangkari uratował mi życie. Nie tylko w sensie fizycznym.

Yindi była zaszokowana.

– Ngangkari? – spytała i aż otworzyła usta za zdumienia.

– Tak.

– Pochodzę z linii Ngangkari. Moi dziadkowie byli uzdrowicielami ludu Aṅangu. Dlatego zostałam pielęgniarką.

Przebiegł mnie dreszcz.

– Coś takiego!

– Zna pan dar Ngangkari. Staram się połączyć go tu z... – wskazała na pokój – penicyliną i transfuzją krwi!

Zaśmiałem się.

– To bardzo potężna mieszanka – przyznałem.

– Nic dziwnego, że przodkowie tak wyraźnie o panu mówili! Łączy nas przeszłość, panie Atlas. Jest pan znów z Ngangkari! – Na chwilę złożyła dłonie jak do modlitwy, a potem wstała i ruszyła do drzwi. – No to idziemy!
– zawołała.

– O... – Wstałem. – Dokąd?

– Muszę przedstawić pana dziecku!

Zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, złapała mnie za rękę i poprowadziła korytarzami szpitala. Wreszcie dotarliśmy do sali pełnej noworodków, które leżały poowijane w łóžeczkach z pleksiglasu. Yindi weszła i wywiozła dziecko, które wydawało się nieco większe od innych.

– Chodźmy. – Skinęła na mnie. – Usiądziemy tutaj.

Ruszyłem za nią do małej dyżurki w pobliżu, gdzie były kanapy, czasopisma i czajnik do parzenia herbaty. Yindi wyjęła dziecko z łóžeczka.

– Chciałby ją pan potrzymać?

– Hm...

– Przecież ma pan wprawę. Już wychowuje pan trzy córki.

– Skąd pani to wie?

Wzruszyła ramionami.

– Przodkowie. Oni wiedzą wszystko!

Nie do wiary! Opadłem na starą żółtą kanapę.

– Pewnie tak – przyznałem.

Podawała mi dziecko. Dziewczynka miała bystre, badawcze spojrzenie.

– Ma pani rację. Ona jest niezwykła. – Popatrzyłem na Yindi, a ta rozpromieniła się w uśmiechu od ucha do ucha. – To głupie, że nie spytałem do tej pory, ale czy Lizzie nadała jej imię?

Yindi pokręciła głową.

– Nie. Po porodzie rzadko była w pełni przytomna.

– Serce się kroi.

Dziecko zakwiliło lekko, więc pokołysałem je delikatnie.

– Wiem, że dziś miała być oddana do sierocińca, ale jestem tu i potrafię wskazać jej dziadków – powiedziałem. – Chyba w takim przypadku mała nie musi trafić do ośrodka?

Yindi westchnęła.

– To nie całkiem tak. Już i tak bardzo nagieśliśmy przepisy, żeby ją przetrzymać w szpitalu.

– No dobrze. – Zastanawiałem się, co robić. – A jeśli zabiorą ją do sierocińca, to czy tam mogą zagwarantować, że nie oddadzą jej nikomu, póki nie zgłoszą się po nią dziadkowie?

Yindi spuściła głowę. Wydawała się zrozpaczona.

– To nie byłoby w porządku wobec dziecka, bo nie ma pewności, że oni kiedykolwiek się tu pojawią.

Broniłem swoich racji.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że przyjadą natychmiast, kiedy się o niej dowiedzą.

– A jak zamierza pan ich powiadomić? Mówił pan, że ich szukał. Dlaczego tak trudno ich znaleźć?

Wyjaśniłem jej, że Sarah najprawdopodobniej przemierza pustkowie Australii w poszukiwaniu córki.

– Panie Atlas – odezwała się zdecydowanie Yindi. – Wie pan, jak duża jest Australia? Mogą po niej wędrować latami.

– Rozumiem pani obawy – przyznałem.

Yindi położyła mi dłoń na ramieniu i poczułem, jak przenika mnie dziwne ciepło.

– Niech pan wybaczy, że będę absolutnie szczerą, ale chyba zdał pan już sobie sprawę z tego, że to nie przypadek pana tu dzisiaj sprowadził.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Przodkowie mówią, że będzie pan ojcem siedmiu córek. – Popatrzyła na dziecko.

Wstałem i odłożyłem noworodka do łóżeczka.

– Yindi, bardzo chciałbym pomóc, ale nie mogę zabrać dziewczynki do siebie, skoro wiem, że jej dziadkowie byliby w siódmym niebie, gdyby ją znaleźli.

– Ale jej nie znajdą.

Delikatnie oparłem głowę o drzwi i wziąłem głęboki wdech.

– Skąd może to pani wiedzieć?

Wskazała na górę.

– Mówiłam panu. Przodkowie. – Wzruszyła ramionami.

– Nie mogę wierzyć pani na słowo.

Yindi podeszła do mnie i położyła mi dłoń na plecach. Znow poczułem to ciepło. Uświadomiłem sobie, że doświadczyłem czegoś podobnego, kiedy Yarran przesuwiał dłońmi nad moimi połamanymi żebrami w Coober Pedy.

– Sam pan widział, co potrafią przodkowie. Powinien pan im zaufać. Nie wolno wątpić w wyznaczoną nam przez nich drogę.

– Ja...

– Jeśli to dziecko trafi dziś do sierocińca, jak tego wymaga prawo, to nie będzie szans, by dziadkowie kiedykolwiek je znaleźli. Pewnie nie dowiedzą się nawet o jego istnieniu. Ale pan może już dzisiaj zabrać tę dziewczynkę do życia pełnego miłości, bezpiecznego, do rodziny.

– Jestem w Australii tylko z powodu pogrzebu starego przyjaciela.

– Nie widzi pan tego z szerszej perspektywy. To, co wydaje się panu ciągiem niezwykłych zbiegów okoliczności, zostało zapisane w gwiazdach na długo przed pana czy moimi narodzinami. To nie przypadek, że przyjechał pan do Australii, kiedy to dziecko potrzebuje domu. Przybył pan tutaj, bo to właściwa chwila.

Słowa Yindi przemówiły do mnie. Jak mógłbym wątpić w przemyślność losu po tym wszystkim, czego byłem świadkiem w życiu? Coś mi przyszło do głowy.

– A może wziąłbym ją pod tymczasową opiekę? Zostawię w szpitalu namiary na mojego prawnika, Georga Hoffmana, żeby Sarah i Francis mogli od razu skontaktować się ze mną, jeśli się tu pojawią.

Yindi zachichotała.

– Jeśli przez to poczuje się pan lepiej, oczywiście może pan tak zrobić. Wprowadzę wszystko do naszych akt. Ale oni się tu nie pojawią. Nigdy. Przodkowie mi pokazali. Ona jest twoja. Córka numer pięć.

– Numer cztery – poprawiłem ją. – Może przodkowie nie wiedzą jednak wszystkiego.

Yindi zmieszała się.

– Nie – zaproponowała stanowczo. – Wiedzą wszystko.

50

1981

Muszę pochwalić Georga za mądry pomysł. Poza tym, że rejestrowaliśmy dziewczynki pod nazwiskiem D'Aplièse, bardzo rozsądnie doradził mi, żebyśmy byli ostrożni i nie dopuścili, by moje małe córeczki opowiadały, że ich ojciec ma na imię Atlas. To wyjątkowe imię i przez lata przekonałem się, że mocno zapada w pamięć. Bezpieczeństwo mojej rodziny to dla mnie priorytet i choć Kreeg Eszu nadal kryje się w swojej ateńskiej posiadłości, nie cofnę się przed niczym, co pomogłoby zachować naszą anonimowość.

Kiedy Georg zasugerował, że bym przy córkach posługiwał się innym imieniem, pobawiłem się anagramami od Atlas. Stworzenie czegoś w ten sposób wydawało mi się lepsze niż przyzwyczajanie się do kolejnego pseudonimu. Kocham córki najbardziej na świecie i myśl, że miałbym je okłamywać, wydawała mi się odstręczająca. Z mojego imienia nie udało się ułożyć nic, co by mnie zadowalało. Dlatego dodałem Pa (czyli tata, bo tak nazywały mnie dziewczynki), a po dłuższej chwili rozważania różnych kombinacji wpadłem na Pa Salt. Zaśmiałem się w głos.

Krótko po tym, jak w naszym życiu pojawiła się mała Ally, siedząca mi na kolanach Maja zauważyła, że pachnę morzem.

– Nie wiem, czy to komplement, Maju! – Roześmiałem się. – Przecież morze pachnie rybami i wodorostami, prawda?

– Nie – odparła zdecydowanie. – Pachnie... solą.

Znowu się zaśmiałem.

– Hm... może to dlatego, że tak dużo podróżuję.

Świetnie. Sól, czyli Salt. Od tej pory nazywano mnie w Atlantis Pa Salt. Poprosiłem Marinę oraz dwójkę nowych pracowników, którzy dołączyli ostatnio do naszej osobliwej małej rodziny na brzegu Jeziora Genewskiego, żeby tak się do mnie zwracali w obecności dzieci.

Claudia, siostra Georga, została u nas zatrudniona jako gosposia i kucharka, odpowiedzialna za karmienie coraz większej liczby domowników. Po przybyciu córki numer trzy Marina została nianią w pełnym wymiarze godzin. Claudia nie sprowadziła się do nas sama; przywiozła ze sobą nastoletniego syna, Christiana, którego ojciec zmył się krótko po jego narodzinach. Zapewniłem Claudię, że chłopiec będzie w Atlantis mile widziany. Od przyjazdu syna Claudia mówi w domu po niemiecku, żeby nie zapomniał o swoim pochodzeniu, a ja w pełni pochwalam jej starania. Dobrze, że moje córki zetkną się z różnymi językami i poznają ich jak najwięcej.

Przez kilka dni chłopiec dbał o trawniki i podlewał kwiaty. Zauważyłem jednak, że nie ma do tego serca. Za to tęsknie popatrywał na łódź zacumowaną przy pomoście.

– Lubisz wodę? – spytałem.

Skinął głową.

– Tak, proszę pana.

– Mówiliśmy już o tym, że nie musisz zwracać się do mnie per pan. Wystarczy Pa Salt, naprawdę. – Skinął głową. – Sterowałeś kiedyś łodzią? – spytałem.

– Nie, nigdy.

– W takim razie... – wzruszyłem ramionami – miałbyś ochotę spróbować?

Christian zrobił wielkie oczy.

– Jezioro tu jest bardzo spokojne – dodałem. – Chodź, rozerwiemy się trochę.

Spędziliśmy popołudnie, pływając łodzią. Zauważyłem, jak wielką przyjemność sprawia temu młodemu człowiekowi przebywanie na wodzie, i poinformowałem Claudię, że chciałbym zlecić jej synowi zajmowanie się łódkami. Miał być odpowiedzialny za transport pomiędzy Atlantis i Genewą. Nigdy nie pożałowałem tej decyzji. Christian, uprzejmy i pracowity, jest cennym nabytkiem w naszym zespole, podobnie jak jego matka.

Jak dotąd przepowiednia Yindi się sprawdza – ani Sarah, ani Francis nie odezwali się do mnie, by pytać o wnuczkę. Trudno mi to przyznać, ale właściwie się z tego cieszę, bo Asterope i Celaeno są do siebie niezwykle przywiązane. Może dlatego, że jest między nimi tak niewielka różnica wieku, wszystkim dokoła wydają się duchowymi bliźniaczkami. Gnębi mnie myśl, że może trzeba będzie je rozdzielić.

Od dnia, kiedy znalazłem się w szpitalu w Broome, nie mogę zapomnieć słów Yindi, że Celaeno będzie moją piątą córką, a nie czwartą. Choć dawno porzuciłem nadzieję, że przepowiednia Angeliny się spełni, ostatnio zacząłem się zastanawiać nad interpretacją słów wróżbitki z Grenady. Może chodziło jej o to, że moim przeznaczeniem jest adoptowanie siedmiu córek. Tylko że to się nie zgadzało z jej zapewnieniem, że moja pierwsza córka żyła już w 1951 roku.

Nie mogłem już dłużej znieść pytań krążących mi w głowie po nocach, więc zarezerwowałem lot do Grenady. Nie miałem jak wcześniej sprawdzić, czy Angelina nadal gdzieś tam jest ani jak ją odnaleźć, więc kiedy wysiadłem z samolotu, zrobiłem jedyne, co mi pozostało – wróciłem na plac, na którym przed laty ją spotkałem. Mogłem tylko mieć nadzieję, że

nadal tam wróży. Wiedziałem, że ją rozpoznam, bo jej twarz zapisała się głęboko w mojej podświadomości po tym, jak w Lipsku pojawiała się w moim śnie.

Choć wzgórze nad Grenadą zaczęły się pokrywać płaszczem jesieni, hiszpańskie słońce nadal prażyło. Kupiłem świeżą lemoniadę od sprzedawcy, usiadłem na ławce w półcieniu i zrezygnowany, obserwowałem plac. Nie zmienił się przez trzydzieści lat, które minęły od dnia, kiedy tu byłem. Dzwon katedry połyskiwał w złotawym świetle, dokładnie tak, jak pamiętałem, a fontanna tryskała i prychała w ten sam sposób co dawniej. Założyłbym się nawet, że niektóre pesety na jej dnie leżały tam i podczas mojej pierwszej wizyty.

Mijały godziny. Zacząłem zastanawiać się nad tym, jakie to głupie z mojej strony, że tu przyjechałem, nie mając żadnego planu. Zagadywałem miejscowych, ale bez rezultatów – z powodu mojego kiepskiego hiszpańskiego i niezbyt precyzyjnego opisu młodej Angeliny. Siedziałem więc dalej na ławce, gdy popołudnie przeszło w wieczór. Szmer tryskającej wody i przyjemne ciepło zachodzącego słońca sprawiły, że się odprężyłem i zapadłem w sen.

Ocknąłem się, czując dotyk czyjejs dłoni na ramieniu. Zaskoczony, przeklinałem się w duchu za to, że straciłem czujność. Angelina mogła przejść tuż obok mnie, a ja nawet bym się nie zorientował. Podniosłem wzrok na osobę, która mnie obudziła, i nie mogłem wprost uwierzyć własnym oczom. Napotkałem łagodne spojrzenie Angeliny.

– Witaj, Atlasie.

– Angelina! Dobry Boże!

Przetarłem oczy, żeby przekonać się, czy to nie sen. Ale Angelina nie znikła. To było coś niesamowitego! Minęło trzydzieści lat i choć na jej twarzy pojawiły się drobne zmarszczki, wydawało się, że wcale się nie

postarzała. Zerwałem się i wyciągnąłem do niej dłoń. Uśmiechnęła się, ujęła ją, po czym przyciągnęła mnie i ucałowała w oba policzki.

– Angelino... – Zabrakło mi słów. – Wyglądasz prawie tak samo jak dawniej.

– Jest pan bardzo uprzejmy, señor. Chciałabym móc to samo powiedzieć o tobie. Ale te siwe włosy! To na pewno przez te twoje *bébés*, co?

Nadal nie mogłem pojąć, że naprawdę stoi przede mną.

– Ja... jak to... Skąd wiedziałaś, że tu będę?

Zachichotała i usiadła na ławce.

– Spodziewaliśmy się ciebie.

Powoli zająłem miejsce obok niej.

– Spodziewaliście się? – Wskazałem na niebo, a ona skinęła głową. Siedzieliśmy chwilę, przyglądając się sobie nawzajem. – Tak się cieszę, że znów się spotykamy.

– Ja też. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko. – Ostatnim razem, kiedy cię widziałam, świat, który dźwigałeś na barkach, był bardzo ciężki. Teraz wydaje się taki lekki. Mam rację... *Padre Sal?*

Aż jęknąłem. Zdolność jasnowidzenia Angeliny przechodziła wszelkie pojęcie.

– Masz, oczywiście. I nie potrzebujesz potwierdzenia z mojej strony.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Nigdy nie wiadomo, Atlasie. Nie potrafię zinterpretować wszystkiego.

Dałem sobie chwilę, żeby się uspokoić.

– Trzydzieści lat temu – zacząłem – powiedziałaś mi, że będę ojcem siedmiu córek. Pewnie domyślałaś się, jak sobie to wtedy wytłumaczyłem: że znajdę swoją Elle i będziemy mieć razem dzieci.

Poruszyła się trochę nerwowo na ławce.

– Mówiłam, że będziesz miał siedem córek. Tylko tyle widziałam, nic więcej. A teraz jest ich pięć. Moja przepowiednia niemal się już spełniła, prawda?

– Mam cztery córki, a nie pięć – sprostowałem jak wtedy w Broome.

Angelina była zbita z tropu. Zmarszczyła brwi, a potem przysunęła się do mnie.

– Mogę popatrzeć na twoją dłoń?

– Oczywiście. – Podałem jej prawą rękę.

Przyglądała się jej chwilę, po czym pokręciła głową.

– Jestem zaskoczona, bo... – Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale się powstrzymała. – Czasami wiadomości z wyższego świata są niejasne.

– Szkoda – rzuciłem i widząc jej zmieszanie, cofnąłem rękę. – Powiedziałas mi trzydzieści lat temu, że moja pierwsza córka już chodzi po tej ziemi, prawda?

Angelina zawahała się, po czym zamknęła oczy i skinęła głową.

– Wiem, że nie mogłaś mieć na myśli Mai, bo nie urodziła się przed tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym rokiem. W takim razie o co ci chodziło? Muszę to wiedzieć.

Odetchnęła głęboko i podniosła wzrok na dzwon katedry, starając się sformułować odpowiedź.

– Rozumiem twoją frustrację. Mogłabym? – Wskazała na moją dłoń. – Tylko jeszcze jeden raz.

Powoli, z wahaniem, wyciągnąłem rękę. Skinęła w podzięcie głową. Tym razem przyjrzała się dokładnie, po czym popatrzyła mi prosto w oczy.

– Nie myliłam się, kiedy mówiłam, że twoja pierwsza córka żyje.

Serce zabiło mi mocniej.

– Nie?

– Nie... – szepnęła zakłopotana. – Choć przypuszczałam, że do tej pory się odnajdziecie. – Spuściła wzrok.

– Więc ona żyje, tylko... nie ma jej w moim życiu? Zaginęła?

Angelina zastanawiała się chwilę.

– To chyba dobrze oddaje sytuację. Tak. To Zaginiona Siostra.

Ukryłem twarz w dłoniach.

– Przyjechałem tu w nadziei, że powiesz mi, że coś ci się pomyliło. Że tak naprawdę moja pierwsza córka nie urodziła się tak dawno temu. – Pociągnąłem nosem. Czuję, jak do oczu podchodzą mi piekące łzy. – Pół życia szukam i nie zdołałem znaleźć ani jej, ani jej matki.

– Ale po drodze znalazłeś inne – odezwała się ostrożnie Angelina.

– Moje adoptowane córki? – spytałem. Łagodnie skinęła głową. Odchyliłem się na oparcie ławki i uniosłem głowę, by spojrzeć w niebo. Chmury płonęły w pomarańczowo zachodzącym słońcu. – Tak. Bardzo je kocham, Angelino. Los połączył nas przez szereg niezwykłych zbiegów okoliczności.

Rozważała moje słowa.

– Mówisz, że to były niezwykle zbiegi okoliczności – odezwała się po chwili. – Ja powiedziałabym, że nieuniknione.

– To znaczy?

W zamyśleniu zacisnęła usta.

– Ludzie są ze sobą powiązani na długo przed tym, zanim spotkają się w życiu na ziemi.

Zaschło mi w gardle. Sięgnąłem po resztkę lemoniady, która kisła się pod ławką. Wziąłem łyk ciepłego lepkiego napoju i skrzywiłem się.

– Czas to okrutna pani, Angelino. Z każdym dniem Zaginiona Siostra staje się starsza, a moje szanse na spotkanie z nią bledną. Starzeję się. Na

litość boską, ona musi być już po trzydziestce.

Angelina położyła dłoń na moim ramieniu.

– Atlasie, właśnie przyjrzałam się twojej dłoni. Zapewniam cię: z taką linią życia pozostało ci jeszcze wiele lat na tej ziemi.

Na placu przed nami pojawiły się jakieś dziewczynki i zaczęły rysować kredą po chodniku. Przypomniał mi się mój pierwszy dzień w Apprentis d’Auteuil, kiedy dzieci grały w klasy. Zaraz potem ten mały łobuz Jondrette chciał roztrzaskać moje skrzypce... ale Elle mnie ocaliła.

– Nigdy nie przestanę szukać – oświadczyłem. – Dopóki nie znajdę Elle i Zaginionej Siostry.

– Wiem – powiedziała cicho Angelina.

Z lękiem zadałem następne pytanie:

– Myślisz, że ją znajdę? Ale nie dawaj mi złudnej nadziei, jak poprzednio.

– Żadna nadzieja nie jest złudna. Nadzieja to sprawa wyboru. Oznacza, że żywimy ją nawet w najbardziej beznadziejnej sytuacji. Stawiaj na nadzieję, a wszystko może się zdarzyć. – By dodać mi otuchy, poklepała mnie po kolanie.

– W takim razie będę się tego trzymał. – Popatrzyłem na fontannę. – Może powinienem wrzucić tam kolejną pesetę.

Mój wzrok powędrował ku alejce, gdzie trzydzieści lat temu kupiłem lody.

– A właśnie, jak się ma twoja kuzyneczka? Przepraszam, nie pamiętam, jak miała na imię.

Oczy Angeliny w jednej chwili przygasły.

– Isadora. Jest już z duchami.

– Tak mi przykro. Bez niej nigdy byśmy się nie spotkali.

Angelina przeczesiała palcami włosy, które były tak jasne i lśniące jak dawniej.

– Niech ci nie będzie przykro, señor. Isadora miała życie pełne miłości i śmiechu. Wyszła za swoją miłość z czasów dzieciństwa, Andresa, którego poznała na tym placu.

– Byli ze sobą szczęśliwi?

– Nigdy nie spotkałam ludzi, którzy dawaliby sobie nawzajem tyle radości co oni, señor.

– Miłość to piękna sprawa.

Angelina popatrzyła w niebo; słońce przez chwilę grzało jej twarz.

– To prawda – przyznała. – Ale plany wyższego świata bywają dziwne. Nawet ja nie jestem w stanie wszystkiego pojąć.

– Co masz na myśli?

Angelina wstała i wyciągnęła do mnie rękę.

– Chodź. Przejdziemy się do Alhambry i po drodze opowiem ci historię Isadory.

Gdy wstałem, wzięła mnie pod ramię. Poszliśmy razem przez plac w kierunku zachodzącego słońca.

– Ona i jej mąż przez lata starali się o dziecko, ale się nie udało. Wiele razy, kiedy myśleli już, że Isadora jest w ciąży, dziecko po kilku tygodniach umierało w jej łonie.

– To musiało być dla nich straszne.

Opuściliśmy plac i ruszyliśmy na drogę, która dawniej była pełna pyłu, nieutwardzona. Teraz pokrywał ją asfalt. Niewątpliwie byłoby nią o wiele wygodniej dojechać z dworca niż w 1951 roku.

– Próbowałam pomóc, radząc się duchów, ale nie dostałam odpowiedzi.

– Angelina ze smutkiem wzruszyła ramionami. – Myślałam, że po prostu

nie jest im to pisane. I nagle dwadzieścia lat po ślubie zdarzył się cud. Isadora była w ciąży.

– Rzeczywiście brzmi jak cud – przyznałem.

Angelina skinęła głową i rozpromieniła się.

– Señor, nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak się cieszył jak moja ukochana Isadora, kiedy przyszła powiedzieć mi, że od trzech miesięcy jest w ciąży. – Westchnęła ze smutkiem. – Andrés też nie posiadał się z radości. Urządziliśmy przyjęcie w Sacromonte.

– Było co świętować.

Przed nami widać już było majestatyczne mury Alhambry. Robiły tak wielkie wrażenie jak dawniej.

– Kiedy Andrés się dowiedział – ciągnęła Angelina – traktował żonę jak cenną laleczkę z porcelany. Pracował ponad miarę, żeby odłożyć pieniądze na czas, kiedy dziecko się urodzi. Ale... – zatrzymała się i zamknęła oczy – kilka miesięcy temu zginął w wypadku. Spadł z motocykla. Drogi były śliskie po ulewie, a jego ładunek był ciężki.

Schyliła głowę, a ja poczułem, że muszę ją objąć.

– Isadora się załamała. Po stracie męża nie była w stanie nawet jeść i pić. Mówiłam jej, że musi, dla dobra dziecka, ale powoli gasła.

– Tak mi przykro.

– Dziecko urodziło się o cały miesiąc za wcześnie. Robiłam, co mogłam, by ratować kuzynkę, ale nie zdołałam powstrzymać krwotoku i nie udało się to medykom, kiedy wreszcie na wzgórze przyjechała *ambulancia*. – Po policzku Angeliny spłynęła łza. – Umarła w zeszłym tygodniu, zaledwie dzień po przyjściu na świat dziecka.

– To straszne...

– Isadora nazwała swoje dziecko Erizo. To znaczy ... – Szukała w głowie angielskiego słowa. – Taki mały... z kolcami...

– Jeż? – spytałem.

– SÍ. Jeżyk. Bo sterczą jej włosy! – Mimo wszystko Angelina nie mogła powstrzymać śmiechu. – Więc teraz Pepe i ja opiekujemy się małą Erizo.

– Pepe? – spytałem.

– Nasz wujek... brat Lucíi, której posąg przywiozłeś do Alhambry.

– Rozumiem.

Dotarliśmy do rozwidlenia drogi. Jedna odnoga prowadziła wprost do słynnego zespołu pałacowego. Z miejsca, gdzie staliśmy, jakieś dwieście metrów przed nami widziałem posąg Landowskiego pośrodku placu.

– Pójdziemy tędy – rzuciła Angelina i pociągnęła mnie w drugą stronę, na kręty szlak biegnący w kierunku jaskiń.

– Dokąd idziemy?

– Robi się późno. Musisz poznać Erizo. Ucieszy się ze spotkania ze swoim nowym...

Stanąłem jak wryty.

– Co masz na myśli? – spytałem.

Mrugnęła do mnie, jak to ona.

– Mówiłam ci, że spodziewaliśmy się ciebie.

Poddając się jej, ruszyłem za nią na wzgórze Sacromonte.

Jaskinie, które trzydzieści lat temu widziałem z oddali, z bliska robiły wielkie wrażenie. Pomyślałem o czasach, kiedy mieszkałem pod ziemią w Coober Pedy. Bez wątpienia hiszpański odpowiednik był o wiele przyjemniejszy. Po pierwsze, roztaczał się stąd zapierający dech w piersiach widok na świat w dole. Z nieutwardzonej drogi przed grotą Angeliny podziwiałem gaje oliwne, wśród których wiły się strome ścieżki między domostwami. Niżej między bujnymi drzewami, których liście właśnie

zaczynały zmieniać się z zielonych w złotawe, w łagodnym wrześnieowym słońcu płynęła rzeka Darro.

– Pepe?! – zawołała Angelina do wnętrza jaskini. – On tu jest.

Wszedłem za nią i zobaczyłem wąsatego mężczyznę, którego skóra była spieczona i pomarszczona po wielu latach spędzonych w hiszpańskim upale. Karmił z butelki niemowlę, nucąc coś pod nosem.

– *Hola, señor* – powiedział i skinął mi głową na powitanie.

– Pepe woli mówić po hiszpańsku, przepraszam – wyjaśniła Angelina.

– Nie ma za co, jestem w jego kraju, a nie znam jego języka. To ja powinienem przeproszać. Powiedz mu, że bardzo mu współczuję z powodu śmierci Isadory.

Angelina przetłumaczyła.

– *Gracias por su simpatía, señor.* – Pepe skłonił głowę.

– No... jak to mówią, czas to pieniądz – powiedziała Angelina. – Nie zwlekajmy, zacznę pakować kocyki Erizo. Ma jeden, którego używały jej matka i babka. Byłoby miło, gdyby mógł pojechać razem z nią...

Złapałem ją, nim zdążyła się ruszyć.

– Przestań, proszę – odezwałem się błagalnie. – Wiem, że potrafisz kontaktować się z wyższym światem. Ale ja nie mam prawa, a przede wszystkim nie chcę zabierać wam Erizo. Przyjechałem tu tylko po kolejną wróżbę dawnej przyjaciółki. To wszystko.

Angelina westchnęła.

– Możesz tak sobie myśleć, ale wyższy świat kazał ci tu wrócić dokładnie wtedy, kiedy byłeś potrzebny.

Ciśnienie mi podskoczyło.

– To tylko twoja interpretacja sytuacji – odparłem. – Nie rozumiesz, że nie chcę rozdzielać dziecka z rodziną?

Angelina wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na zewnątrz, żeby oszczędzić Pepe patrzenia na to, jak się bronię.

– Atlasie, twoje pojawienie się tutaj to nie przypadek. Pepe i ja nie jesteśmy w stanie zapewnić Erizo życia, na jakie zasługuje. A ty masz taką możliwość.

Pokręciłem głową.

– W ciągu ostatnich lat przeprowadzałem już wielokrotnie takie rozmowy. Błagano mnie, żebym zabrał dzieci. To stawia mnie przed okropnym dylematem moralnym.

Zaczęło mi się kręcić w głowie. Zanim mogłem cokolwiek dodać, poczułem, jak osuwam się na ziemię.

Angelina pobiegła do groty.

– *Agua!* – zawołała do Pepe.

Oparty plecami o skałę, patrzyłem na Alhambrę. Zachodzące słońce rzucało pomarańczowy blask na wieże, które zdawały się magicznie wznosić z ciemnozielonego lasu naprzeciwko jaskiń. Angelina wróciła z kubkiem wody i napiłem się. Przysiadła koło mnie na kamienistej glebie.

– Martwię się, że ludzie mogą... potępić mnie za te adopcje – wyznałem. – Co więcej, mnie samego przeraża to, że pozbawiłem te dziewczynki możliwości dorastania w ich krajach ojczystych. – Odstawiłem kubek obok siebie i oparłem głowę na kolanach.

Angelina ścisnęła moje ramię.

– Rozumiem, Atlasie. Nie byłbyś takim człowiekiem, za którego cię uważam, gdybyś nie miał takich skrupułów. Ale wyższy świat uśmiecha się do ciebie za wszystko, co zrobiłeś.

Podniosłem głowę i popatrzyłem jej w oczy.

– Przez całe życie prowadzą mnie siły, których nie pojmuję – powiedziałem. – Mówiłaś, że moja droga jest ustalona.

– Bo jest, przyjacielu. Ale mogłeś nią nie pójść. Nikt nie zmusił cię do adoptowania córek. Zrobiłeś to, bo pragniesz pomagać innym. Prawda?

Przeczesałem palcami włosy.

– Tak sędzę – odparłem.

Uśmiechnęła się do mnie ze współczuciem.

– Mówisz tak, jakbym była pierwszą osobą, która próbuje ci uzmysłować moc wszechświata. Ale oboje wiemy, że jest inaczej. Już jako mały chłopiec patrzyłeś w gwiazdy. Zapewniły ci bezpieczeństwo i prowadziły cię podczas twojej nieprawdopodobnej podróży.

– To prawda – szepnąłem.

Siedzieliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Przed naszymi oczami Alhambra stawała się coraz ciemniejsza w gasnącym świetle wieczoru. Po jakimś czasie Angelina się odezwała, tym razem łagodniej.

– Oszczędziłeś swoim córkom życia w biedzie i smutku.

– Wiem, ale mimo to zastanawiam się, czy to było w porządku, że zabrałem je z ich krajów ojczystych. Mogłem przecież finansować ich wychowanie z daleka.

– Boję się, czy nie zapominasz, że i tobie należy się trochę szczęścia. Jedną ręką wszechświat wszystko ci odebrał, ale drugą szczerze cię obdarował. Twoje córki dają ci więcej radości, niż kiedykolwiek wydawało ci się to możliwe, prawda?

– Oczywiście.

W ciszy wieczoru poświstywały jerzyki śmigające nad drzewami. Zamknąłem oczy, żeby wsłuchać się w ten dźwięk.

Angelina mówiła dalej:

– Po tym, jak spotkaliśmy się pierwszy raz, często o tobie myślałam. I konsultowałam się z wyższym światem. Jesteś dobrym człowiekiem,

Atlasie. A nawet wyjątkowym. Może nie ma ludzi, którzy by ci to powiedzieli. Dlatego ja ci to mówię. Uwierz mi.

Starąłem się powstrzymać łzy.

– Dziękuję.

– I... – zaczęła ostrożnie, biorąc mnie za rękę – odnajdziesz Zaginioną Siostrę. Mogę ci to przysiąc.

Usiadłem prosto.

– Słucham?

– Spotkacie się. Ale... będziesz potrzebował pomocy wszystkich pozostałych córek. Bez nich ścieżki twoje i Zaginionej Siostry nigdy się nie przetną. – Popatrzyła na mnie surowo. – Sześć córek zaprowadzi cię do siódmej.

– Angelino, jak mam...?

Przyłożyła palec do ust.

– Ciii. Nie mam nic więcej do powiedzenia. To wiadomość dla ciebie z wyższego świata, nie mogę więc odpowiedzieć na pytanie, które ci się nasuwa. – Ścisnęła mocno moją dłoń i obróciła się twarzą ku Alhambrze.

Moje przerażenie zastąpiła euforia. Podniosłem wzrok na płonące niebo i podziękowałem wyższemu światowi.

– Ma więc na imię Erizo? – spytałem Angelinę.

Roześmiała się.

– Nie, to tylko takie głupie przezwisko. Przecież dziewczynka nie może mieć na imię Jez! Mogę uznać, że wyjedziesz z Sacromonte z piątą córką?

Skinąłem głową, uśmiechając się szeroko.

– Świetnie! To naprawdę szczęśliwy dzień. – Angelina wstała i otrzepała spódnice. – Ona będzie piątą gwiazdą na twoim niebie. Nazwiesz ją więc...

– Tajgete.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła z powrotem do jaskini.

– Chodź, zobacz ją.

Ruszyłem za nią do Pepe. Ten uśmiechnął się do mnie serdecznie.

– Poznaj swojego tatę, Erizo – powiedziała Angelina.

Pepe podał mi dziewczynkę.

– Cześć, malutka – przywitałem maleństwo, trzymając je na rękach.

– To wyjątkowa dziewczynka, señor.

– Wiem.

– Chyba nie wiesz. Ta mała ma moc *bruja*.

– Jak ty?

Angelina skinęła głową.

– No właśnie. Jest ostatnia w tej rodzinie. – Przeszyła mnie stalowym wzrokiem. – Kiedy ta mała dorośnie, będzie widziała świat inaczej, a ty musisz to szanować.

Skłoniłem głowę.

– Tak będzie, obiecuję.

– Dobrze. – Angelina zastanowiła się. – Ona nie będzie rozumiała, czym jest *bruja*... – Popatrzyła na dziecko. – Pewnego dnia musisz przysłać ją z powrotem do mnie. Kiedy to zrobisz, pomogę jej wyzwolić w sobie to duchowe dziedzictwo.

Mój wzrok padł na drewniane krzesło w kącie pokoju. Podszedłem do niego.

– Mógłbym? – spytałem.

Skinęła głową i usiadłem.

– Prawdę mówiąc, nie rozważałem możliwości powiedzenia dziewczynkom prawdy o okolicznościach ich narodzin i tego, jak stały się

moimi córkami.

Angelina wydawała się nieco zaskoczona.

– Nie?

Popatrzyłem na niewinne młode życie. Malutka zamknęła oczy i zasnęła.

– Każda z tych dziewczynek ma w ten czy inny sposób bezpośredni związek z moją ucieczką przed Kreegiem Eszu. Martwię się, że gdybym powiedział im o ich przeszłości, mogłoby to narazić je na niebezpieczeństwo. Właśnie dlatego starałem się stworzyć nam tak cichą egzystencję, jak to tylko możliwe.

Angelina skrzyżowała ramiona na piersi, zmrużyła oczy i zastanawiała się.

– Rozumiem – rzuciła po chwili. – Mimo to musisz dotrzymać obietnicy. Pewnego dnia, w odpowiednim czasie, przyślesz ją do mnie. Przysięgasz?

Ostrożnie wyswobodziłem jedną rękę spod dziecka i podałem dłoń Angelinie.

– Tak.

Uścisnęła ją.

– Dziękuję, Atlasie. W takim razie jest twoja.

Pogładziła delikatnie puszyste włosy dziecka. Potem zaczęła nucić kołysankę po hiszpańsku. Jej przyjemny melodyjny głos wędrował z jaskini aż w dolinę pod wzgórzem.

51

1982

– Nie widzę nic, co mogłoby zwiastować niebezpieczeństwo – powiedział Georg, upijając łyk mocnej czarnej kawy, kiedy siedzieliśmy w jego biurze na rue du Rhône.

– Dzwoniłeś do księgarni Arthura Morstona?

– Tak, i Rupert Forbes przekazał mi dane kontaktowe.

– Rupert nie ma pojęcia, o co może chodzić?

– Błatego.

Rano Georg powiadomił mnie o telefonie jakiejś Amerykanki, Lashay Jones. Chciała ze mną mówić; twierdziła, że to bardzo ważna sprawa. Georg powiedział jej, że mnie reprezentuje i że można przekazać mu wszystko, ale odmówiła. Z powodów, o których pisałem w pamiętniku, bardzo niechętnie odbieram tajemnicze telefony od obcych.

– Na pewno chodziło jej o mnie? – spytałem.

Georg skinął głową.

– Na sto procent. Myślała, że pracujesz w księgarni Arthura Morstona, tak mi tłumaczyła. I nic nie wskazuje na jakikolwiek jej związek z Kreegiem Eszu. Jestem przekonany, że możesz bez obaw porozmawiać z tą kobietą.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Dziwne, że dzieje się to właśnie teraz, nie sądzisz? – powiedziałem w końcu.

– Owszem – przyznał Georg.

Miesiąc temu Lightning Communications nagle podjęło działalność. Zaczęło budować bazę klientów w Grecji i obiecywało przedsiębiorcom *rzetelność, wiarygodność i uczciwość*. Kiedy przeczytałem te słowa, nie mogłem powstrzymać śmiechu. W głowie mi się nie mieściło, że taki człowiek może na poważnie przedstawiać się jako ktoś wiarygodny i uczciwie postępujący. Logo firmy przedstawiało błyskawicę wyłaniającą się z chmury. Wyglądało na to, że Kreeg zamierza bezpośrednio kierować biznesem. Mieliśmy jego zdjęcia zrobione podczas prezentacji i lunchów biznesowych oraz artykuły z greckich gazet na temat firmy.

Jeśli przez ostatnich kilka lat Kreeg pogрузzył się w żałobie i odciął od świata, to teraz wracał na łono społeczeństwa.

– Jesteś pewien, że to nie Eszu próbuje dowiedzieć się, gdzie dokładnie jestem? – zwróciłem się do Georga.

Pokręcił głową.

– Na mojego nosa chodzi o coś zupełnie innego.

Ufałem intuicji mojego prawnika.

– No dobrze – rzuciłem. – W takim razie umów się z nią na telefon na jutro.

Następnego dnia siedziałem w gabinecie i czekałem, aż Georg przełączy Lashay Jones do Atlantis. Dla zabicia czasu przeglądałem półki, pełne pamiętek i drobiazgów z podróży po świecie. Stało tu też wiele oprawionych w ramki zdjęć dziewczynek ze mną. Podniosłem moje ulubione, na którym jedliśmy w szóstkę lody na pomoście w Atlantis. Dokładnie o dziesiątej zadzwonił telefon. Odłożyłem zdjęcie i wziąłem słuchawkę.

– Atlas Tanit.

Po drugiej stronie linii odezwał się miły aksamitny głos o amerykańskim akcencie.

– Dzień dobry, panie Tanit. Mówi Lashay Jones. Pewnie spodziewał się pan mojego telefonu?

– Witam. Tak, choć przyznam, że nie mam pojęcia, o co może chodzić. Wzięła głęboki wdech.

– Przepraszam. Dzwonię z Hale House w Harlemie. Z Nowego Jorku. Poszukałem w pamięci.

– Przykro mi, panno Jones, ale nie znam tej nazwy.

– A może słyszał pan o Matce Hale? Clarze Hale?

– Niestety, nie.

Zapadła chwila milczenia, kiedy Lashay uświadomiła sobie, że będzie musiała wyjaśnić mi więcej, niż się spodziewała.

– Rozumiem, że mieszka pan w Europie, a tam to nazwisko może być mniej znane niż w Stanach. Hale House to dom dziecka w Nowym Jorku.

Serce mi zamarło. Czy to ten telefon, którego tak się obawiałem? Z domu dziecka, który z jakiegoś powodu chce odzyskać jedną z moich córek? Starłem się zachować spokój.

– Przedwczoraj zostawiono nam na progu noworodka. Dziewczynkę. Odprężyłem się trochę.

– Czy to... coś niezwykłego dla domu Matki Hale? – spytałem.

– Niestety, nie. Ale dzwonię, bo przy dziecku coś znaleźliśmy. A konkretnie wizytówkę z pana nazwiskiem i danymi kontaktowymi.

Naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć.

– To bardzo dziwne. Nie mam w Stanach rodziny... ani przyjaciół.

– Mam przed sobą tę wizytówkę z księgarni Arthura Morstona. Wydaje się stara. Jest wytarta i pomięta.

– Nic dziwnego. Od ponad trzydziestu lat nie pracuję w tej księgarni. – Wysilałem głowę, żeby coś skojarzyć. – Pewnie nie widzieli państwo, kto zostawił noworodka?

Lashay westchnęła.

– Nie, proszę pana, ale udało się nam odczytać coś, co zostało napisane na tej starej wizytówce.

– Tak? – Naprawdę byłem zaintrygowany.

– *Dobry człowiek*, proszę pana – odparła Lashay. – To zostało napisane pod pana nazwiskiem.

Zdumiony usiadłem w fotelu za biurkiem. Stało mi w oczach spotkanie w restauracji hotelu Waldorf Astoria w Nowym Jorku i uśmiechnięta twarz Cecily Huntley-Morgan, kiedy pokazywała mi moją wizytówkę.

„Nawet napisałam tu: *Dobry człowiek!* Będę ją zawsze nosić przy sobie, na szczęście”.

– Jest pan tam jeszcze, panie Tanit? – spytała Lashay.

– Tak – odparłem. – Chyba domyślam się, z czyjej rodziny może pochodzić to dziecko. Zastanawiam się... Wie pani coś więcej o jego sytuacji?

Po drugiej stronie linii zapadła na chwilę cisza.

– Wiemy tylko jedno – odezwała się w końcu Lashay. – Hale House nie jest po prostu dla dzieci niechcianych. – Skrzywiłem się na to określenie. – Matka Hale opiekuje się dziećmi narkomanek. Z przykrością muszę panu powiedzieć, że według nas to maleństwo jest najprawdopodobniej uzależnione od kokainy.

Zakryłem usta dłonią.

– Dobry Boże.

– Wielu ludzi szokuje coś takiego, ale tutaj nie jest to rzadkością. W Harlemie pełno jest melin narkomanów. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to dziecko pochodzi z meliny w okolicy Lenox Avenue.

Lenox Avenue. Słyszałem już tę nazwę.

– Proszę posłuchać, postaram się jutro przylecieć.

*

Następnego dnia znalazłem się w Harlemie naprzeciwko domu Matki Hale – rozpadającego się budynku z brązowej cegły. Zapukałem do drzwi. Powitała mnie kobieta w niebieskim dresie, ze wspaniałą fryzurą afro.

– Pan Tanit? – spytała.

– Tak.

– Jestem Lashay Jones. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Witam, Lashay, miło mi poznać. – Podąłem jej dłoń.

– No, nieee. Tutaj ściskamy się na dzień dobry – powiedziała i mocno mnie objęła.

Zaśmiałem się zaskoczony.

– To bardzo miły zwyczaj – przyznałem.

– Przyleciał pan aż ze Szwecji?

– Tak naprawdę ze Szwajcarii.

Podparła się pod boki i uniosła jedną brew.

– To niedaleko od Szwecji?

– Hm... na tym samym kontynencie.

Lashay wybuchnęła śmiechem.

– Żartowałam. Żartowałam. Przepraszam, rano był tu taki młyn. Mamy tu dziś mnóstwo głodnych brzusków.

Od razu polubiłem tę dziewczynę za jej uroczy dystans do siebie.

– Chodźmy – rzuciła.

Poszedłem za nią. Poprowadziła mnie do drzwi po lewej stronie korytarza.

– Ona jest tam.

– Kto?

– Matka Hale!

Lashay otworzyła drzwi do małego gabinetu. Za dużym biurkiem przy oknie siedziała drobna kobieta o siwych włosach, ubrana w biały sweter. Obróciła się, kiedy wszedłem.

– To ten pan z Europy? – spytała, a Lashay skinęła głową.

Kobieta ostrożnie wstała i podeszła, by uścisnąć mi dłoń.

– Clara Hale.

– Atlas Tanit. To zaszczyt panią poznać.

– I zapewne nawzajem.

– Zostawię was – powiedziała Lashay i wycofała się na korytarz.

– Proszę usiąść. – Starsza pani wskazała mi zniszczoną skórzaną kanapę.

– Dziękuję.

– Tajemnicza wizytówka... – Otworzyła szufladę starego drewnianego biurka i wyjęła mały kartonik. – Proszę bardzo, panie Tanit.

Wziąłem od niej wizytówkę i przyjrzałem się jej.

– Tak, należała do mnie – potwierdziłem. – Ale jak powiedziałem Lashay, nie używam tych wizytówek już od kilkadziesiąt lat, od kiedy przestałem prowadzić księgarnię.

– A jednak ta trafiła na mój próg razem z radosnym zawiniątkiem. Zastanawiam się, jak to się mogło stać.

– Ja również, Claro. Przepraszam. Panno Hale... Matko Hale.

Zmarszczyła nos, po czym, tak jak przed chwilą Lashay, wybuchnęła śmiechem. Klepnęła się po kolanach.

– Wystarczy Claro. Nazywam się Matką, bo, no wiesz... – Wzruszyła ramionami i wskazała wokół siebie.

– Lashay mówiła mi trochę o tym, co pani tu robi – powiedziałem. – To wspaniałe.

– Nie wiem, czy to najlepsze określenie. Nie powinnam poświęcać życia na taką działalność. Dzieci to dar niebios. Jak można doprowadzić się do takiego stanu, żeby zostawić syna lub córkę... nie wiem...

– Ciekawe pytanie. Ale przypuszczam, że w pewnych okolicznościach dla tych dzieci lepiej jest, jeśli zajmie się nimi ktoś inny.

Clara złączyła czubki palców.

– To interesujące.

– Co?

– Opiekuję się cudzymi dziećmi od czterdziestu lat, a nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak to ujął. Zwykle ludzie zgadzają się ze mną i mówią, że to okropne.

Czułem na sobie badawcze spojrzenie starszej pani i starałem się trzymać nerwy na wodzy.

– Masz więc pewnie za sobą inne doświadczenia niż większość ludzi. Jakie?

Uderzyła mnie jej osobliwa przenikliwość.

– Jesteś niezwykle spostrzegawcza, Claro. – Roześmiałem się. – Tak naprawdę mam pięć adoptowanych córek.

Zrobiła wielkie oczy.

– Dobry Jezu, niemożliwe!

Skinąłem głową.

– No, no... – Zaśmiała się. – To z ciebie drugi taki jak ja.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Co masz na myśli?

Wzruszyła ramionami.

– Wielkie serce. I pewnie trochę głupoty na dokładkę. To nieuniknione, kiedy robi się to co my.

– Powiem szczerze: nie sądzę, że można nas porównywać. Ja mam jedynie pięć córek i jestem w stanie zapewnić im bardzo wygodne życie. A ile dzieci przewinęło się przez ten dom?

Odetchnęła głęboko.

– Setki. Opiekowałam się prawie pięćdziesięciorgiem, nim w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku dostałam oficjalne pozwolenie na prowadzenie ośrodka. Ale jedno czy tysiąc... nie ma znaczenia. Dawanie miłości niekochanemu dziecku to jedna z najszlachetniejszych rzeczy, jaką może zrobić człowiek.

Jej twarz miała w sobie tyle... ciepła. Choć ta kobieta była onieśmielająca, emanowała dobrocią.

– Też tak kiedyś myślałem, Claro. Ale córki odpłaciły mi miłością po wielokroć większą.

Znów się roześmiała.

– Na tym polega tajemnica, prawda?

Odchyliła się na oparcie biurowego fotela.

– Mój mąż zmarł, kiedy miałam zaledwie dwadzieścia siedem lat. Miałam złamane serce. Nasze dzieci również. Pogrążyłam się w smutku,

a potem podjęłam decyzję, że bez względu na wszystko po prostu... nadal będę oddychać. – Uśmiechnęła się melancholijnie. – Musiałam pracować jako woźna, żebyśmy przetrwali czasy wielkiego kryzysu. Praca była paskudna. Ale uwielbiałam uśmiechnięte buzie dzieci. Dawały mi nadzieję. Zmieniłam więc swój dom w przedszkole. I pewnego dnia odkryłam, że nie tylko oddycham, ale też znów żyję.

Opowieść Clary brzmiała znajomo.

– Dzieci potrafią to z nami zrobić – powiedziałem.

– Na pewno. – Wstała z fotela i odwróciła się, by spojrzeć za okno. – Wkrótce po tym, jak otworzyłam przedszkole, zaczęłam chodzić po ulicach, żeby pomagać bezdomnym dzieciom. Brałam je na wychowanie. Po siedmiu, ośmiu naraz. – Złapała się za głowę. – Ja jedna staruszczyzna. Niech pan to sobie wyobrazi!

– Jak dawałaś sobie radę?

– To proste! Kochałam każde z tych dzieci jak własne. Stałam się matką dla tych, które ich nie miały.

Co za wyjątkowa kobieta.

– Lashay wspominała, że... specjalizujesz się w opiece nad dziećmi, których rodzice są narkomanami.

Clara odwróciła się do mnie. Wydawała się smutna.

– Tak. Pewnego dnia, jakieś dziesięć lat temu, Lorraine, moja najstarsza córka, przyprowadziła do mnie matkę z dzieckiem. Byli uzależnieni od heroiny. – Przysiadła na brzegu biurka. – Potrzebowali specjalnej opieki. Wtedy postarałam się o oficjalne pozwolenie i kupiłam ten większy budynek. Ma pięć pięter i wszystkie są nam potrzebne, kiedy doszła ta nowa sprawa.

– Nowa sprawa?

Matka Hale pokręciła głową.

– Wirus HIV.

Czytałem o nim w gazetach w Szwajcarii.

– Czy to tutaj poważny problem?

– Bardzo. Przenosi się, o ile wiadomo, przez krew. A kiedy korzysta się z tych samych igieł... Dzieci rodzą się zarażone. Ale najwyraźniej nikt nie chce o tym mówić. Prezydent nawet nie wymienia tej nazwy. A ci ludzie potrzebują pomocy. I nie dostaną jej, póki nie zaczniemy mówić otwarcie o tym cholerstwie.

– Mogę spytać, jak zajmujesz się tymi dziećmi, które zaczynają życie w tak wyjątkowo trudnej sytuacji?

– Zwyczajnie. Trzeba je nosić, kołysać, kochać, mówić im, jakie są wspaniałe. Wyprowadzam je z uzależnienia, które dostały w spadku. A kiedy są zdrowe... a wiele, wiele z nich wraca do zdrowia... staramy się znaleźć im wspaniałą rodzinę. Osobiście upewniam się co do rodziców adopcyjnych. – Clara wyprostowała się i dodała dumnie: – Nie wstyd mi przyznać, że odrzucałam kandydatów, jeśli sądziłam, że nie zapewnią dobrych warunków dziecku. I tak – westchnęła – wygląda moja historia.

Usiadła obok mnie na skórzanej kanapie.

– A jaka jest twoja, Atlasie Tanit?

Opowiedziałem w ogólnym zarysie o swoim życiu, skupiając się na tym, jak doszło do tego, że adoptowałem pięć cudownych córek. Wspomniałem też o swojej krótkiej podróży do Nowego Jorku w latach czterdziestych i spotkaniu z Cecily Huntley-Morgan, która dostała ode mnie tę wizytówkę.

– Cecily... była czarna? – spytała Clara.

– Nie – odparłem. – Biała, z pochodzenia Angielka.

Zdziwiła się.

– To dość niezwykle, żeby młoda biała kobieta w latach czterdziestych przyjechała do Harlemu popierać walkę o prawa czarnych. Pytałam, bo wydawałoby się logiczne, że ta dziewczynka, którą podrzuciono nam kilka dni temu, należała do rodziny tej Cecily Huntley-Morgan.

Skinąłem głową. Miała rację.

– To by wyjaśniało, skąd przy maleństwie była moja wizytówka – powiedziałem.

– Może któreś z jej dzieci zakochało się w czarnym i komuś z rodziny to się nie podobało. Kto wie? Ma pan możliwość jakoś się z nią skontaktować?

Pokręciłem głową.

– Obawiam się, że nie. Poprosiłem swojego prawnika o sprawdzenie, ale... Cecily w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku zmarła na malarię.

Clara zamyśliła się.

– Miała dzieci? – spytała po chwili.

– Córkę. Mówiła mi o tym, kiedy spotkaliśmy się na lunchu lata temu... Ale to dziecko nie zostało zarejestrowane pod nazwiskiem matki. Z tego, co sobie przypominam, Cecily przygarnęła porzucone dziecko jakiejś Kenijki. Zgodnie z literą prawa nie była jego matką, dlatego trudno by było znaleźć tę dziewczynkę... teraz już kobietę.

– W takim razie... – popatrzyła na mnie bystrymi brązowymi oczami – co dalej?

– Nie rozumiem.

– Co chcesz zrobić z dzieckiem zostawionym na moim progu, panie Tanit?

– Aaa.

Zapadło niezręczne milczenie.

W końcu Clara klepnęła się w kolano i uśmiechnęła się do mnie.

– Daj spokój! Chcesz mi powiedzieć, że po jednym telefonie rzucasz wszystko i przelatujesz pół świata, żeby zaspokoić ciekawość w związku ze starą wizytówką?

Oniemiałem.

– Ja... – zacząłem.

Przysunęła się bliżej.

– Opowiadałeś mi o pięciu pięknych adoptowanych córkach, z których każda znalazła się w twoim życiu przez tajemniczy zbieg okoliczności. A teraz odbierasz telefon, dowiadujesz się o nowo narodzonej dziewczynce, której do koszyka przyczepiono kontakt do ciebie sprzed trzydziestu lat, przyjeżdżasz i chcesz mnie przekonać, że nie po to, by zabrać ją ze sobą? – Uniosła pytająco brwi.

– Naprawdę nie...

Po przyjacielsku trąciła mnie w ramię.

– Przecież po to się tu pojawiłeś, Atlasie! Daj spokój z tą fałszywą skromnością, nie wstydz się. Nie udawaj przede mną. Za dużo wiem o życiu.

– Być może tak – przyznałem. Zastanawiałem się, czy wszechświat nie stara się mi znów czegoś powiedzieć.

– Na pewno tak, skarbie. I żebyś wiedział: ja zrobiłabym dokładnie to samo co ty. Jakimś cudem ta wizytówka przetrwała trzydzieści lat. Czy to nie zdumiewające? Cecily postanowiła zachować ją na wszelki wypadek. I patrz, pewnego dnia wizytówka bardzo się przydała... Wiesz co? Lepiej chodźmy zobaczyć to dziecko.

Poszedłem za Matką Hale po schodach. Pokonywała każdy stopień powoli, ale pewnie. Kiedy znaleźliśmy się na pierwszym piętrze,

usłyszałem płacz dzieci. Na trzecim Clara odwróciła się do mnie. Miała ponury wyraz twarzy.

– Powinieneś się przygotować – powiedziała. – To może być trudne dla nowicjuszy.

Wprowadziła mnie do sali, gdzie w łóżeczkach leżało kilkanaścioro płaczących niemowląt. Przy niektórych krząły się kobiety w fartuchach.

– Te dzieci wydają się strasznie wzburzone – zauważyłem.

– Mój drogi, one są wzburzone. To te, które, jak przypuszczamy, urodziły się z uzależnieniem. Serce pęka.

Małeństwa zawodziły i wrzeszczały. Ten krzyk z głębi trzewi zrobił na mnie potworne wrażenie.

– Ten płacz... nie umiem tego wyjaśnić. Jest jakiś inny niż to, do czego przywykłem.

Clara spojrzała mi w oczy.

– Wiem. Choć trudno to pojąć, one błagają o to, co brały ich matki.

Przebiegł mnie dreszcz.

Przeszła obok jednego dziecka, które trzęsło się w łóżeczku. Całe małe ciało dygotało, drobnymi kończynami wstrząsały konwulsje.

– Nic jej nie jest? – spytałem zaniepokojony.

Matka Hale wyjęła okulary z kieszeni i zajrzała do łóżeczka.

– No już, już, malutka. – Wyciągnęła rękę i łagodnie pogładziła dziecko po włosach. – Bądź dzielna, bądź dzielna.

Delikatnie wsunęła rączki dziecka pod materiał, którym było opatulone, i poprawiła go, żeby lepiej się trzymał.

– Dzieci cierpiące na zespół odstawienia są rozdrażnione. Staramy się je lekko krępować, żeby złagodzić objawy.

Podniosła dłoń do szyi niemowlęcia, by zbadać puls. Odczekała chwilę i skinęła głową.

– Będzie dobrze. To dla nich najtrudniejszy okres. Hilary? – zwróciła się do jednej z kobiet w fartuchach, która kołysała dziecko krzyczące szczególnie przenikliwie. – Jak tam napady Simeona?

– Dziś nie miał ani jednego – odparła Hilary.

Clara rozpromieniła się.

– To wspaniała wiadomość. A u ciebie, Cynthio? – spytała inną kobietę, która nachylała się nad kolejnym łóżeczkiem. – Czy Grace zdołała dziś nie zwrócić jedzenia?

– Cztery z pięciu dzisiejszych karmień poszły dobrze, Matko Hale.

– Pięknie! – Uradowana Clara klasnęła w dłonie, po czym spojrzała na mnie. – Te dzieci potrzebują więcej kalorii, bo wiercą się i szamoczą. Kiedy już nie zwracają jedzenia, wiadomo, że najgorsze za nimi.

Poprowadziła mnie do ostatniego łóżeczka w rzędzie.

– Proszę, oto ona. – Wskazała na malutką lokatorkę.

Patrzyłem na dziewczynkę, która z całych sił starała się uwolnić z krępującego ją materiału.

– Zauważyłem, że inne dzieci mają nadane imiona. Ona też? – spytałem.

– Oczywiście. Nazywam ją Dobra, od tego, co było napisane na wizytówce: *Dobry człowiek*.

– Lashay mówiła, że sądzicie... że jej matka była uzależniona od kokainy.

Matka Hale wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie możemy być pewni. Ale ona ma lekko powiększone źrenice i przyspieszony oddech. To by pasowało. Z przykrością muszę powiedzieć,

że w tej okolicy jest mnóstwo tego świństwa. Hilary, kiedy ostatnio ta mała była karmiona?

– Jakieś dwie godziny temu, Matko Hale.

– Idealnie. – Podeszła do drewnianej komody w kącie sali, wyciągnęła dwie saszetki z mlekiem modyfikowanym, po czym zmieszała je z wodą w czystej butelce. Podała mi ją. – Proszę.

– Mam ją nakarmić?

– Byłoby dobrze.

Postawiłem butelkę w łóžeczku i nachyliłem się, by podnieść dziewczynkę. Kiedy brałem ją na ręce, zaczęła strasznie krzyczeć i wyrywać się tak, że nigdy bym się tego nie spodziewał po takim maleństwie.

– Dobrze, już dobrze. Ciii, ciii, malutka. – Kołysałem ją odruchowo, tak jak robiłem to z córkami. – Mogłabyś mi podać butelkę? – zwróciłem się do Clary.

Kiedy spełniła moją prośbę, delikatnie wprowadziłem smoczek do ust dziewczynki. Zszokowało mnie, jak zachłannie zaczęła ssać, jakby umierała z głodu i była rozpaczliwie złałniona jedzenia.

– No, nie kłamałeś – stwierdziła Clara. – Robieś to już.

– Wątpiłaś, że mówię prawdę?

– Nie. Tylko nie wiedziałam, czy potrafisz samodzielnie radzić sobie z dziećmi. Ale masz dryg. – Postukała się palcem po nosie.

Dobra była niezwyklej urody. Jej zachwycające złotawe oczy i hebanowa skóra mogły zmylić przypadkowego obserwatora, bo wydawało się, że dziewczynka jest okazem zdrowia.

– Robi wrażenie tak pełnej życia – powiedziałem.

Clara skinęła głową.

- Tak. Hil też mówiła o niej coś takiego. Jak ty to określiłaś, Hil?
- Ona jest stale pod prądem, tak nabuzowana elektryką, że aż iskry lecą.
- Hilary zachichotała, po czym skupiła się na kolejnym dziecku.

– Dobrze powiedziane – rzuciłem.

W parę minut butelka była pusta i oddałem ją Clarze.

– To teraz wróćmy do mojego pytania – powiedziała. – Co dalej?

Cecily napisała na mojej starej wizytówce *Dobry człowiek*. Wiedziałem, że nie mogę jej zawieść, skoro tak mnie określiła.

– Dziś wieczorem mogę zabrać ją ze sobą do domu – oznajmiłem.

Matka Hale otworzyła usta i znów zmarszczyła nos. Wiedziałem więc, co zaraz nastąpi. Zaczęła chichotać i po chwili zwijała się ze śmiechu.

– Nie ma mowy, Atlasie Tanit! Nie trafiło do ciebie nic z tego, co powiedziałam?

Zmieszałem się.

– Czy nie sugerowałaś, że chcesz, bym ją zabrał?

– Tak, oczywiście! Ale jeszcze dziś wieczorem? Rozum ci odjęło? Słyszałyście go, Hil i Cynthio?

Dwie kobiety zaczęły się śmiać razem z nią, a ja zrobiłem się czerwony jak burak.

– Po pierwsze, nie obchodzi mnie, że dla ciebie to już szósty raz – oświadczyła Clara. – Muszę dokładnie sprawdzić ciebie i twoją rodzinę, żeby upewnić się, czy Dobra trafi do kochającego domu.

Spuściłem wzrok. Słusznie mnie strofowała.

– Oczywiście – rzuciłem.

– Poza tym – na moment zawiesiła głos – przykro mi podkreślać to, co najbardziej oczywiste. Ta dziewczynka musiałaby u ciebie dorastać

z pięcioma białymi siostrami. Nie chciałabym, żeby przez to czuła się wyobcowana.

– Nic takiego jej nie grozi. A jeśli chodzi o ścisłość, tylko cztery są białe. Mówiłem ci o Celaeno, CeCe, mojej córce z Australii?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– No tak.

– Jej ojciec to rdzenny Australijczyk, a matka była rasy mieszanej. CeCe nie jest biała.

Matka Hale zastanowiła się.

– Większość ludzi przy adopcji wybiera dzieci o tym samym kolorze skóry – odezwała się po chwili. – Dla ciebie to nie ma znaczenia?

– Żadnego – odparłem uczciwie.

Skinęła głową.

– To dobrze. Jest jeszcze jedna kwestia: jak pomóc jej pokonać uzależnienie. Jeszcze przez kilka tygodni może wymagać naszej fachowej opieki, a potem będzie trzeba poświęcać jej szczególną uwagę w domu.

– W każdej chwili mogę wezwać do niej najlepszych lekarzy – zapewniłem.

– Cieszę się, ale z nimi też powinnam porozmawiać. Dyplom dobrej akademii medycznej to jeszcze nie wszystko. Większość lekarzy nie ma doświadczenia w radzeniu sobie z taką sytuacją.

– Oczywiście – rzuciłem. – Będziesz mogła z nimi porozmawiać. Zresztą sam bym cię o to prosił.

Podniosłem dziewczynkę i oparłem ją na sobie w pozycji pionowej, żeby jej się odbiło. Clara uśmiechnęła się.

– W takim razie dobrze. Uruchomimy, co trzeba. – Położyła dłoń na moich plecach. – Gratulacje, tatusiu.

Drogi Czytelniku, jeśli dotarłeś tak daleko, na pewno zaczynasz zadawać sobie pytanie, skąd wzięło się tyle luk w tym pamiętniku. Kiedy w latach dwudziestych zaczynałem spisywać swoje myśli, chodziło mi o wyartykułowanie tego, co czuję, bo w tamtym czasie nie mówiłem. Okazało się to tak udanym ćwiczeniem, że kontynuowałem je przez całe życie. Po pierwszym spotkaniu z Angeliną w Grenadzie postanowiłem jednak poświęcić się bez reszty poszukiwaniu Elle i mojej pierwszej córki. Pamiętnik leżał w zapomnieniu na biurku. Napędzał mnie jeden cel.

A potem, gdy adoptowałem Maję, poczułem, że Czytelnikowi należy się, bym opisał tak ważny moment. To samo powtarzało się przy Ally, Star, CeCe, Tiggy i Elektrze. Jestem świadom, że ostatnich kilka rozdziałów to kronika tego, jak to się stało, że adoptowałem kolejne córki. Chciałbym wierzyć, że pewnego dnia to przeczytają. Ale te okresy, z których relacji brakuje w pamiętniku, były pełne miłości, śmiechu i życia rodzinnego. Córki dały mi więcej, niż mógłbym wyrazić na papierze. Za każdym razem, kiedy opuszczałem Atlantis, by kontynuować poszukiwania Zaginionej Siostry, w głębi serca ogromnie tęskniłem za córkami, które zostawały w domu.

Skoro już mowa o Zaginionej Siostrze, to nie sięgnąłem do pamiętnika po to, by opisać wyczekiwane od tak dawna spotkanie z nią.

Wiem, że piszę trochę niewyraźnie, ale nie mogę opanować drżenia dłoni. Dziś rozmawiałem z najstarszą córką i to, czego się dowiedziałem, zmroziło mi krew w żyłach.

Wieczorem podczas kolacji świętowaliśmy koniec drugiego roku studiów Mai. Nadal miała przed sobą pół semestru, ale odwiedziła nas podczas tygodnia wolnego od zajęć, kiedy studenci przygotowują się do sesji. Około piętnastej poszedłem na pomost, by wypatrywać łodzi, którą Christian miał przypłynąć z Mają. Kiedy ją zobaczyłem, ścisnęło mi się serce. Moja mała córeczka jest już kobietą. Bez wątpienia coraz rzadziej będzie odwiedzać w Atlantis starego ojca.

Gdy łódź lekko stuknęła o nabrzeże, Maja wyskoczyła z niej i podbiegła do mnie.

– Cześć, tato!

– Kochanie! – Uściskałem ją mocno po raz pierwszy od prawie trzech miesięcy. – Witaj w domu. Cudownie cię widzieć.

Cmoknęła mnie w policzek.

– Ciebie też. O, patrz, już są!

Obejrzałem się i zobaczyłem, jak z domu wysypują się dziewczyny D'Aplièse i idą ze wzgórza na spotkanie najstarszej siostry. CeCe właściwie wlokła Star, Tiggy podskakiwała, a Ally szła tuż za nią, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Przodem, stawiając długie kroki, biegła Elektra.

– Maaajaaa! – wrzeszczała.

– Cześć, Elektro! – zawołała moja najstarsza córka, kiedy najmłodsza ścisnęła ją tak mocno, jakby miała ją udusić. – O, jak ja za wami tęskniłam.

– My za tobą też – wysapała Elektra. – Wiesz, Tiggy znalazła bezdomnego kota, mieszka z nią na górze, ale Ally ma na niego alergię i CeCe mówi, że to nie w porządku, więc...

– Zwolnij, Elektro. Nie mogę się doczekać, kiedy wszystko mi opowiecie. Chodźmy do domu. Możecie mi pomóc nieść torby!

Claudia przygotowała dla Mai jej ulubione chili con carne. Rozmowa przy stole skupiała się na fascynującym nowym życiu mojej najstarszej córki. Z początku z radością słuchałem o jej doświadczeniach poza Atlantis. Wyrosła na nieco wycofaną młodą kobietę, ale wiedziałem, że ma wiele do zaoferowania. Podczas dwóch pierwszych lat studiów Maja naprawdę zaczęła rozkwitać.

– Wychodzisz dokądś wieczorami? – spytała CeCe.

– Czasami – odparła Maja. – Moi współlokatorzy, Samantha i Tom, są na pewno bardziej imprezowi ode mnie.

– Kiedy pojedę na studia, codziennie wieczorem będę dokądś chodzić – oświadczyła dumnie Elektra, prostując się na krześle.

– W to nie wątpię – rzuciła z przekąsem Ally.

– Wolno tam trzymać zwierzęta? – spytała nachmurzona Tiggy.

– Nie jestem pewna. Znam dziewczynę, która ma złotą rybkę. Ale nie wiem, czy kot też byłby mile widziany. – Maja zachichotała.

Tiggy wzruszyła ramionami.

– Trudno. Najwyżej nie pójdę na studia.

– Zaopiekuję się twoim kotem, jak cię nie będzie – zaproponowała nieśmiało Star.

– O nie, nie ma mowy – warknęła CeCe. – Nie będzie spał w naszym pokoju. On śmierdzi.

– CeCe, nie odzywaj się tak do siostry – wtrąciłem. – Chciałbym zaproponować, żebyśmy wnieśli toast. Po pierwsze, za Maję, która jest na dobrej drodze, by zakończyć ten rok studiów z najlepszą lokatą. Po drugie, za Ally... – Moja druga pod względem wieku córka popatrzyła na mnie ostro. – Bo na pewno nie będzie miała mi za złe, że zdradzę wam pewną

wiadomość. Dzisiaj dostała propozycję z konserwatorium genewskiego, by podjąć studia na wydziale fletu. Chcą jej dać stypendium.

Ally zaczerwieniła się.

– Tato, dziś wieczorem mówimy tylko o Mai! – syknęła.

– Ally! – zawołała autentycznie uradowana Maja. – Nie wygłupiaj się. To wspaniała wiadomość.

– Bravo! – dodała z szerokim uśmiechem Tiggy.

– Dziękuję – wyjąkała zażenowana Ally.

– Jestem tak dumny z dwóch najstarszych córek i z młodszych również. Wypijmy więc za nas wszystkich. Jesteśmy najwspanialszą rodziną. Hip, hip...

– Huraaa! – krzyknęły chórem.

– Wszystkie bardzo przypominacie tatę, każda na swój sposób – powiedziała Marina, po czym nalała wina mnie i dwóm najstarszym córkom.

– Nie obrażaj biednych dziewczynek – rzuciłem. – Są o wiele bardziej interesujące ode mnie.

– A skoro mowa o tym, co interesujące – zagadnęła CeCe. – Masz już chłopaka, Maju? Mama podejrzewa, że tak.

– CeCe! – zaprotestowała Marina.

– Co? Przecież niedawno tak mówiłaś.

Maja uniosła brwi i spojrzała na Marinę.

– Naprawdę?

– Ja... tylko rozmawiałam z twoją siostrą... – Marina popatrzyła z naganą na CeCe – w zaufaniu.

– A skąd ten pomysł, że kogoś mam, mamu? – spytała Maja, wolno łykając wino.

Marina zarumieniła się.

– Za każdym razem, kiedy rozmawiamy przez telefon, wydajesz się... taka szczęśliwa. Więc pomyślałam, że może w twoim życiu pojawił się jakiś młody człowiek... – Wzruszyła ramionami.

– Właśnie! Masz kogoś? – naciskała CeCe.

– CeCe! – upomniała Star niedelikatną siostrę.

– Co? – rzuciła tamta. – Wszystkie chcemy wiedzieć! Nie?

To wywołało chichoty wokół stołu.

– A ja nie jestem pewien, czy chcę! – jęknąłem, co sprowokowało tylko więcej śmiechu.

– Och, powiedz nam, Maju, prosimy! – błagała Tiggy.

– Tak! Po-wiedz! Po-wiedz! – zaczęła skandować Elektra.

Maja spojrzała na Ally, a ta wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „Mleko się rozlało”.

– Dobrze już, dobrze. Tato, zatkaj uszy.

Roześmiałem się.

– W porządku, kochanie. Na pewno jakoś to zniosę. Pod warunkiem że on nie ma tatuaży. Albo nie jeździ na motocyklu.

Zapadła niezręczna cisza, po czym Ally wybuchnęła śmiechem.

– O nie – jęknąłem, zakrywając oczy dłońmi, jakbym był w czarnej rozpaczce. – No trudno, przekaż mi tę złą wiadomość. Ile ma tych tatuaży?

– Tylko jeden, tato. I myślę, że całkiem gustowny – odparła speszona Maja.

Westchnąłem.

– Na pewno. Mogę ośmielić się zapytać jaki?

– To taka mała błyskawica – odparła Maja.

– Wiedziałam, że ma chłopaka! – krzyknęła CeCe.

Wokół stołu rozległy się piski i wiwaty.

Maja uniosła dłonie, by uspokoić siostry.

– Tak naprawdę nie wiem, czy to mój chłopak – powiedziała.

– Ale się spotykacie? – dociekała przejęta Tiggy.

– Widujemy się... tak – potwierdziła cicho Maja.

CeCe skrzyżowała ramiona na piersi.

– Jeśli to nie twój chłopak, to kto?

– Po prostu... kolega.

Ally starała się wesprzeć starszą siostrę.

– Przestańcie. Dajcie jej spokój!

– Jak wygląda? – spytała Star.

– Pochodzi z Grecji i jest bardzo przystojny.

– Upolowałaś więc sobie greckiego boga? – odezwał się, łyknąwszy trochę wina. – W takim razie muszę zapytać: kiedy będziemy mieli przyjemność go poznać?

– Tato, nie przywiozę go do jaskini lwa. On by tu nie przetrwał pięciu minut, wzięty przez was w dwa ognie! Nie spytaliście nawet, jak ma na imię!

– Wybacz, kochanie. Powiedz, jak się nazywa mój przyszły zięć.

Maja uśmiechnęła się nieśmiało i spuściła wzrok na talerz.

– Zed.

Ścisnęło mnie w dołku.

– Słucham?

– Zed – powtórzyła.

– Co? Jak litera zet? – spytała Elektra.

– Mniej więcej, tylko z D na końcu.

Spojrzałem na Marinę po drugiej stronie stołu. Skinęła głową, jakby zachęcała, żebym zadał pytanie, które cisnęło mi się na usta.

– A nazwisko? – rzuciłem.

– Eszu. E-S-Z-U.

Myślałem, że zemdleję.

– Maja Eszu! – powiedziała Star. – Całkiem fajnie brzmi.

– Choć nie tak ładnie jak D’Aplièse, prawda? – dodała Elektra.

Wstałem. Wolałem oddalić się od stołu, zanim stracę przytomność.

– Przepraszam, dziewczynki. Nie czuję się najlepiej. Pójdę się na chwilę położyć.

– Co ci jest, tato? – spytała Ally.

– Wszystko w porządku. Trochę za długo pływałem *Laserem*, za dużo słońca, nic takiego.

– Oj, Maju, chyba tacie nie za bardzo podoba się, że masz chłopaka! – pisnęła CeCe.

– Nie, skąd – zaprzeczyłem stanowczo. – Nic z tych rzeczy.

Opuściłem jadalnię, poszedłem wprost do gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi i opadłem na fotel. O Boże, o Boże. To niemożliwe. To nie może dziać się naprawdę! Serce tak mi waliło, jakby miało zaraz wyrwać się z piersi. Podeszedłem do telefonu, żeby zadzwonić do Georga, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Przepraszam, dziewczynki. Muszę chwilę odpocząć.

– To ja, Marina.

Otworzyłem jej.

– Wejdz.

Zamknęła za sobą drzwi i objęła mnie.

– *Courage, chéri. Courage.*

– Nie wiem, co powiedzieć – wysapałem.

– Ja też nie. Zaczekaj, zrobię ci drinka. – Podeszła do karafki, w której była whisky Macallan, specjalnie importowana ze Szkocji. – Przypuszczam, że nie ma wielkiego sensu zastanawiać się, czy to przypadek.

– Masz rację. Pomyśl: jest tyle uniwersytetów na świecie, a syn Kreega jakimś cudem trafia na tę samą uczelnię co Maja i zostaje jej chłopakiem... To nie może być zbieg okoliczności. To było zamierzone. Jestem tego pewny.

Usiadłem w fotelu i Marina podała mi whisky.

– Na zdrowie. – Stuknąłem w jej szklankę i oboje upiliśmy po łyku.

Ciepło aksamitnego trunku dodało mi sił.

– Jaki w tym cel, Marino? Chciał dać mi coś do zrozumienia? Pokazać, że mnie obserwuje? Albo gorzej. A jeśli on zamierza skrzywdzić dziewczynki? O Boże, moja mała Maja... – Położyłem głowę na biurku.

Marina gładziła mnie po plecach.

– Staraj się nie denerwować, proszę. Na razie prawie nic nie wiemy.

– Właśnie miałem dzwonić do Georga, żeby się dowiedzieć, jakie są najnowsze doniesienia o Kreegu.

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi. Podniosłem wzrok.

– Wszystko w porządku, tato? – spytała Maja. – Chciałam tylko sprawdzić, jak się czujesz.

– Wpuść ją – powiedziała bezgłośnie Marina.

Podszedłem do drzwi, odetchnąłem głęboko i uśmiechnąłem się szeroko, zanim je otworzyłem.

– Chodź, Maju! – zawołałem z nieco przesadnym entuzjazmem. – Tak mi przykro, że musiałem wstać od stołu w pierwszy wieczór, kiedy jesteś

w domu. Zrobiło mi się trochę słabo, nic więcej. Jak mówiłem, to od słońca.

Córka weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Skoro tak mówisz... – Popatrzyła na szklanki z whisky na moim biurku. – Ale wszystkie pomyślałyśmy, że to dlatego, że wspomniałam o... swoim chłopaku.

Pokręciłem zdecydowanie głową.

– Nie. Skądże. Zachęcam was, żebyście wszystkie znalazły miłość. Jak wam zawsze mówiłem, to jedyne, dla czego warto żyć.

– Ale... czuleś się świetnie, a kiedy tylko powiedziałam o Zedzie, nagle wstałeś i wyszedłeś.

Uściskałem ją, lecz nadal nie była przekonana.

– To tylko zbieg okoliczności, kochanie, nic poza tym. Wszystko ze mną w porządku, prawda, Marino?

Skinęła głową.

– O tak. Tata zaraz będzie zdrow jak ryba. Wracaj do sióstr i jedzcie chili. Claudia przygotowała je specjalnie dla ciebie.

– Dobrze. – Maja ruszyła do drzwi, ale po chwili się odwróciła. – Przysięgam, że Zed to najmiłszy chłopak, jakiego znam. Wypytuje mnie o siostry, o ciebie i Atlantis... Nie sądziłam, że kogoś może tak bardzo interesować moje życie!

Zachichotała i wyszła.

– O rany – tylko tyle zdołałem wyjąkać.

– Chodź, siadaj, jesteś blady jak ściana – powiedziała Marina, prowadząc mnie do fotela.

Opadłem na niego i oparłem głowę na dłoniach.

– Bez wątpienia Kreeg prosił go, żeby dowiedział się od Mai jak najwięcej o Atlantis. Mam tylko nadzieję, że nie powiedziała mu dokładnie, gdzie to jest.

– Nawet jeśli tak, to pamiętaj, że przygotowałeś się na taką ewentualność.

– Masz rację. Ale nie sprawdzałem dróg ewakuacji od ponad dziesięciu lat. – Pokręciłem głową. – Myślałem, że zostawi mnie w spokoju.

– Ja też, *chéri*.

Bębniłem palcami po blacie stolika.

– Nie ma co siedzieć z założonymi rękami i panikować – zdecydowałem po chwili. – Po pierwsze, musimy przeprowadzić inspekcję wszystkich ukrytych pomieszczeń w domu. Muszę mieć pewność, że windy działają, światła w tunelach prowadzących do hangaru również. – Wstałem i nalałem sobie kolejną whisky. Zaproponowałem też dolewkę Marinie, ale odmówiła. – Każę Georgowi wzmóc obserwacje Kreega. Nie będziemy łatwym celem. Poza tym na jakiś czas zawieszę poszukiwania Elle. Bo gdyby, nie daj Boże, on się tu pojawił, muszę być na miejscu, żeby chronić dziewczynki.

– Naprawdę myślisz, że mógłby zrobić im coś złego? Twoim niewinnym córkom?

– Nie wiem, do czego jest zdolny, ale obawiam się, że wszystkiego można się po nim spodziewać.

– W takim razie to dobrze, że wolisz być ostrożny. – Marina wzięła mnie za rękę. – Będziemy je chronić. Razem.

Podczas następnych tygodni wszystkie tajemne zabezpieczenia Atlantis zostały sprawdzone i wzmocnione. Razem z Mariną przemyślałem różne scenariusze w razie pojawienia się w Atlantis Kreega i omówiliśmy, jak najlepiej przygotować na to dziewczynki. Tego najbardziej się obawiam. Jak w ogóle zabrać się do wyjaśniania im, co się dzieje? Zaczęłyby zadawać pytania i zwątpiłyby we własnego ojca. To zbyt trudne, bym potrafił się z tym zmierzyć.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu Mai na uczelnię natknąłem się na Marinę, która wychodziła potwornie blada z pokoju mojej najstarszej córki.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Nie zauważyła mnie w korytarzu i przestraszona, aż podskoczyła.

– Przepraszam, zamyśliłam się – wysapała, przyciskając dłoń do piersi.

– Widzę. Coś się stało?

– Hm... Nie, nic. Wszystko w porządku.

Kłamanie nie było mocną stroną Mariny, ale nie chciałem jej naciskać. Niechętnie odpuściłem sobie dalsze pytania.

Na Georgu Hoffmianie jak zawsze można było polegać. Wynajął w Grecji ekipę, która śledziła każdy ruch Kreega Eszu. Byłem niemal rozczarowany, że właściwie nic się nie zmieniło. Tyle że Lightning Communications rozrosło się w interes wart miliardy drachm. Poza tym Kreeg założył drugą firmę, Athenian Holdings, zajmującą się

inwestowaniem rosnących zysków z tej pierwszej. Nie miałem wątpliwości, że nazwa została wybrana, by drażnić się ze mną. Kiedy byliśmy dziećmi, często kpił sobie z tego, że tak się pasjonuję mitologią grecką. Z jakiego innego powodu nawiązywałby do Ateny, bogini wojny, jak nie po to, żeby jasno dać do zrozumienia, że o mnie pamięta?

Ale Georg co wieczór dawał mi znać, że nie widać, by mój wróg planował podróż do Atlantis w poszukiwaniu zemsty. Najwyraźniej scedował tę misję na syna.

Poprosiłem więc Georga o wzięcie pod lupę Zeda. Nie odkryliśmy nic, co by mnie zaskoczyło. Był to zepsuty i arogancki młody człowiek. Wydawał pieniądze ojca, jakby jutro nie istniało. Ja zupełnie inaczej wychowałem córki. Każdej zapewniłem dość środków, by było im wygodnie, ale nie pozwalałem na nedorzeczne ekstrawagancje. Na pewno nie zgodziłbym się na kilka lamborghini, którymi Zed Eszu rozbijał się po ulicach Aten.

Miesiąc po tym, jak Maja wyjawiała, że spotyka się z Zedem, do mojego gabinetu zapukała Marina. Kiedy tylko weszła, widziałem, że coś jest nie tak. Była przygarbiona i unikała patrzenia mi w oczy.

– Co się dzieje? – spytałem.

Nalała mi solidną porcję brandy z karafki.

– Dobry Boże, ile tego? – rzuciłem. – Jest aż tak źle?

– Trochę trudno będzie ci to zaakceptować. – Marina wahała się.

– Wykrztuś to, proszę.

– Biłam się z myślami, nie byłam pewna, czy ci to wyjawić, czy nie. Ale uznałam, że jestem ci to winna. Muszę ci powiedzieć, że... – Nie była w stanie mówić dalej.

Teraz to ja nalałem jej brandy i podałem.

– Jednym haustem – nakazałem jej.

Posłuchała mnie i wypła.

– Maja jest w ciąży.

Wychyliłem szybko swoją brandy. A potem starałem się siedzieć tak nieruchomo, jak się dało, by opadła fala ogarniającego mnie przerażenia, żebym mógł zebrać myśli.

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś – odezwałem się po chwili.

– Tak mi przykro. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co czujesz.

– Tak. – Uświadomiłem sobie, że zaciskam pięści. – Zastanawiam się, czy to było celowe. Dla ostatecznego upokorzenia mnie.

Marina z trudem przełknęła ślinę.

– Przyznam, że to niewykluczone.

– Jak mogą być tak okrutni?! – wybuchnąłem. Przygarbiłem się i rozplakałem.

Marina objęła mnie ramieniem.

– Każdy anioł ma swojego diabła, z którym musi się mierzyć – powiedziała.

Otarłem oczy chustką.

– Pewnie dlatego miałaś taką straszną minę wieczorem przed powrotem Mai na uniwersytet.

Skinęła głową.

– Tak. Zwierzyła mi się z objawów. Poradziłam jej zrobić test. Och, *chéri*, kiedy wyszedł pozytywnie, myślałam, że umrę. Ale nie mogłam okazać przy niej słabości. Musiałam być dla niej silna.

– Rozumiem. I naprawdę jestem ci za to wdzięczny. – Poklepałem ją po ramieniu. – To wszystko nie jest jej winą. – Na moment zamknąłem oczy. – Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że sytuacja jest bardzo trudna. Jak ona się czuje?

Marina westchnęła ciężko i wzruszyła ramionami.

– Wyobrażam sobie, że doświadcza tego, co każda nastolatka, która nagle dowiaduje się, że jest w ciąży. Boi się. Wstydzi. Ma poczucie winy.

– Moja biedna córeczka. Jakie to okropne. Tak bym chciał wziąć ją w ramiona i przytulić.

Marina przeraziła się.

– Nie może się dowiedzieć, że ci powiedziałam. Ona się boi, że jeśli będziesz o tym wiedział, straci twój szacunek. Nie zniosłaby tego.

Skinąłem głową.

– Serce mi pęka. – Ścisnęło mnie w gardle. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie myślałbym źle o żadnej z moich córek. Chciałbym tylko jakoś pomóc. Mai potrzeba więcej miłości i wsparcia od ojca niż kiedykolwiek dotąd. A tymczasem nie wolno mi jej tego dać. Czy Zed wie o dziecku?

Marina pokręciła głową.

– Nie. I Maja zdecydowanie nie chce, żeby się dowiedział. – Potarła czoło. – On ją głęboko zranił. Kończy studia, więc poinformował ją, że to, co między nimi było, to przygoda bez znaczenia i że nie chce się z nią więcej widywać.

Chwyciłem się za głowę. Spełniał się mój najstraszniejszy sen.

– Proszę, zajmij się nią, Marino. Zapewnij, że cokolwiek postanowi, może liczyć na twoje bezwarunkowe wsparcie.

– Pójdę zadzwonić do niej.

– Zrób to koniecznie i powiedz mi potem, jak zareagowała.

Maja skończyła ostatni semestr drugiego roku studiów w lecie 1993 roku. Wróciła do Atlantis ubrana w kilka warstw luźnych ciuchów, choć akurat był największy upał. Chciała ukryć brzuch. Tydzień wcześniej

zasugerowałem, że jako najstarsza może zamieszkać w pawilonie. To osobna willa położona dwieście metrów od głównego domu. Dawniej zajmowała ją Marina.

– Myślę, że zasługujesz na trochę więcej własnej przestrzeni, kochanie
– powiedziałem.

Miałem wrażenie, że się rozplacze.

– Naprawdę, tato? Och, dziękuję. Bardzo się cieszę.

Teraz, kiedy podeszła mnie uściskać, zauważyłem, że stara się nie dotknąć mnie brzuchem, żebym nie wyczuł, co w niej rośnie.

Jesienią nie wróciła na uniwersytet. Przekazała mi, że choruje na mononukleozę i że podejmie studia, kiedy się wyleczy. Im bardziej tyła, tym rzadziej ją widywałem, a serce bolało mnie coraz mocniej. Tak naprawdę marzyłem, żeby pójść do pawilonu, wziąć ją w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Szanowałem jednak jej autonomię. Często prosiłem Marinę, by przekonała ją, że jeśli mi powie, będę tylko jej współczuł i nadal ją kochał. Ale córka nie zdecydowała się mi zwierzyć.

Ally musiała wiedzieć. Najbliższa wiekiem siostra Mai spędzała z nią długie godziny w pawilonie. Cieszyłem się, że Marina nie musiała nieść tego ciężaru sama.

Sądziłem, że jedna z moich córek – Tiggy – domyśla się, co się dzieje. Przyłapałem ją raz, jak patrzyła na brzuch Mai, kiedy zanieśliśmy jej filiżankę herbaty i kawałek ciasta do pawilonu. Z powodu „mononukleozy” nie wolno nam było za bardzo się do niej zbliżać. Ale nawet z odległości kilku metrów oczy małej Tiggy przyciągnął brzuch siostry.

Pewnego wieczoru, gdy Maja była mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży, Marina poinformowała mnie o jej decyzji:

– Postanowiła oddać dziecko do adopcji.

Nie wiedziałem, jak zareagować.

– Naprawdę tego chce? – spytałem. – Bo jeśli robi to dlatego, że się wstydzi czy ma poczucie winy, będę musiał wkroczyć i coś powiedzieć.

Marina skinęła głową.

– Takie jest jej szczere życzenie. Nie czuje się gotowa na macierzyństwo i sądzi, że dziecku będzie lepiej, jeśli zaopiekuje się nim ktoś inny. Mówiła, że dużo myślała o swojej matce i jej decyzji. Dzięki temu, że tamta postanowiła tak, a nie inaczej, Maja stała się twoją córką.

Nie mogło mi się to pomieścić w głowie.

– Co za tragedia!

Marina objęła mnie.

– Wiem, *chéri*. Ale jeśli w tej potworności jest coś pozytywnego, to powinieneś być dumny z najstarszej córki. Jest dzielniejsza i bardziej odpowiedzialna, niżbym się spodziewała. Zadziwia mnie.

– To prawda – przyznałem. – Jako człowiek praktyczny, a wiesz, że muszę taki być, uważam, że to z Georgiem trzeba porozmawiać o tym, gdzie powinno trafić dziecko Mai. Spodziewam się, że może załatwić prywatną adopcję i znaleźć rodzinę, która kochałaby i otoczyła troskliwą opieką... mojego wnuka. – Poczulem ukłucie w sercu. – Bo przecież to mój wnuk. Musimy mu zapewnić jak najlepsze życie.

– Dopilnujemy tego – powiedziała Marina. – Obiecuję.

– Przeleję na twoje konto kilka tysięcy franków. Zaproponuj Mai, że pokryjesz wszelkie koszty. Jakikolwiek szpital czy metodę rodzenia chciałyby wybrać, musimy jej to zapewnić. Pieniądze nie grają roli.

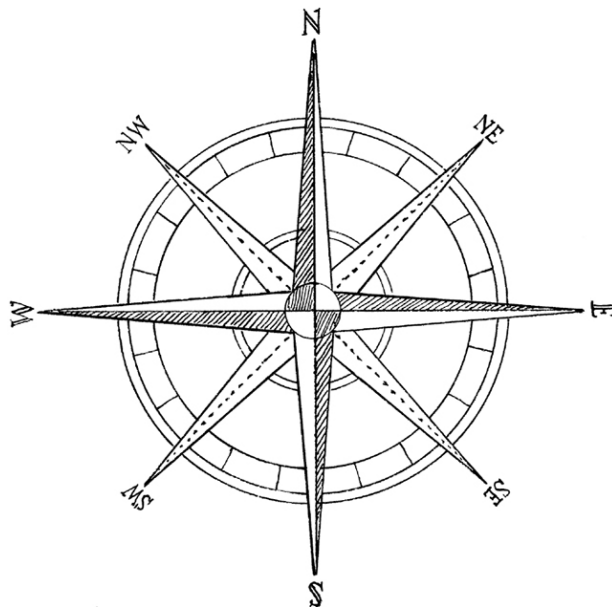
Dziecko, chłopiec, urodziło się trzy miesiące później w prywatnym szpitalu w Genewie, a Marina cały czas była przy Mai. Ja i Georg działaliśmy w tajemnicy przed wszystkimi innymi, by upewnić się, że wybrana rodzina spełnia warunki i może dać chłopcu miłość i otoczyć go opieką. Miałem nadzieję, że Clara Hale byłaby z nas dumna.

Nie widziałem córki ani Mariny przez trzy tygodnie po narodzinach dziecka. Oficjalnie wybrały się w podróż „matki z córką”, bo Maja wreszcie wyzdrowiała po długiej chorobie. Kiedy w końcu znów zawitała do Atlantis, objąłem ją i długo trzymałem w ramionach. Zastanawiam się, czy wie, że ja wiem. Mam wrażenie, że chyba tak.

- Czuję się już o wiele lepiej i jestem na siłach wrócić na studia, tato.
- Wspaniale, córeczko. Ale zrób to dopiero wtedy, kiedy będziesz naprawdę gotowa. Pawilon zawsze będzie na ciebie czekał.
- Dziękuję, tato. Kocham cię.
- Ale nie aż tak jak ja ciebie, malutka.

Tytan

Czerwiec 2008



– On cały czas wiedział. O Boże! – krzyknęła Maja i ostatnie strony pamiętnika rozsypały się po podłodze kajuty.

– Wiedział co, Maju? – zapytał zdziwiony Floriano.

– O dziecku, które oddałam. Dziecku Zeda Eszu.

Maja zauważyła, jak Floriano mimowolnie najeża się na wspomnienie tamtej sprawy. Nie miała mu tego za złe. Kiedy pierwszy raz opowiadała mu o swojej przeszłości, wykazał tyle zrozumienia i współczucia. Ale ostatnie dni ukazały nowy kontekst tego, co się stało przed laty.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedział i ją przytulił.

– Z perspektywy czasu to wszystko wydaje się takie głupie. Spędziłam tyle miesięcy w pawilonie w Atlantis, udając, że mam mononukleozę. A tata oczywiście i tak znał prawdę.

– Ale nigdy o tym nie wspomniał, bo cię kochał. Bardzo.

– I to jest w tym najgorsze. Zawiodłam go. Był moim światem, a ja go zawiodłam.

– Nie. Nie mów tak, kochanie. Nie wiedziałaś nic o tym, co zaszło między nim a Kreegiem Eszu. Zostałaś wybrana na cel. Byłaś niewinną ofiarą. Nikt nie mógłby cię za to winić. – Wstał i pozaciągał zasłony w kajucie, bo wokół *Tytana* zapadała ciemność.

– Pa Salt i Georg działali razem, by znaleźć odpowiednią rodzinę. Mogłabym sprawdzić, kim jest teraz mój syn.

Floriano nachylił się do miniaturowej lodówki i wyciągnął piwo.

– Można odnieść wrażenie, że wokół tego jachtu krążą wichry dziwnych splotów okoliczności. Masz na coś ochotę? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Naprawdę doceniam, że siedzisz tu ze mną przez ostatnie godziny, Floriano. To musi być strasznie nudne: patrzeć tylko, jak czytam.

– Kochanie, czuwałbym przy tobie, nawet gdybyś przez tydzień spała, jeśli dzięki temu czułabyś się bezpieczniej. – Pocałował ją czule w czoło. – Wiesz już to, co chciałaś?

Maja potarła oczy. Zdecydowanie nie dowiedziała się wszystkiego. Nadal nie miała pojęcia o czasach Pa Salta w Rosji czy tajemniczych okolicznościach śmierci matki Kreega Eszu.

– Pamiętnik urywa się ponad dziesięć lat temu, na roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

Floriano przysiadł obok niej na łóżku i łyknął piwa z butelki.

– Wiesz, co się stało z diamentem? – zapytał.

Wśród tak wielu dramatycznych sytuacji kwestia tego skarbu całkiem wyleciała jej z głowy.

– Po latach pięćdziesiątych nie ma już o nim wzmianek – odparła. – Kto wie, gdzie w końcu wylądował.

Floriano wyciągnął się na materacu i zastanawiał nad losami diamentu.

– Ciekawe, czy wrócił do Kreega.

– Może nigdy się nie dowiemy. – Maja wstała. – Muszę przed kolacją sprawdzić, co słyhać u sióstr.

Złapał ją za rękę i pocałował.

– Dobrze, kochanie.

– Martwię się trochę o Elektrę – wyznała. – Z tego, co wyczytałam, wynika, że była uzależniona od kokainy od urodzenia.

Floriano zrobił wielkie oczy.

– *Meu Deus!* Okropne.

– No... i jeszcze CeCe – dodała Maja. – Jej matka, porzucona przez jej ojca. umierała samotnie. Albo Ally, która zaraz po narodzinach została rozdzielona z bratem bliźniakiem, bo jej matka chciała mieć chłopca.

– Maju...

– I Tiggy... której ciotka przepowiedziała pojawienie się nas wszystkich w życiu Pa Salta.

Zszokowany Floriano aż otworzył usta.

– Widzisz, mamy sporo do przemyślenia – dodała Maja.

Otworzyła drzwi, ale zanim wyszła, rzuciła:

– A Marina była kiedyś prostytutką.

*

Ally D'Aplièse i Georg Hoffman schodzili głównymi schodami *Tytana* na niższy pokład, gdzie mieścił się gabinet Pa Salta. Kiedy zbliżyli się do drzwi, Georg wyjął z kieszeni jedyny istniejący klucz do tego pomieszczenia.

– Jeśli nie masz nic przeciw temu, wejdę sam. Chcę uszanować przynajmniej część z jego życzeń.

– W porządku, Georg. Zaczekam tu – odparła Ally.

– Dziękuję. Za chwilę wracam.

Gdy wszedł do gabinetu, Ally wyjęła z kieszeni komórkę. Cieszyła się, że Hans zrzucił kotwicę w zasięgu sieci i że dotarł do niej esemes od Jacka.

Hej, wszystko w porządku? Wydawałaś się trochę zestresowana. Jakbyś mnie potrzebowała, daj tylko znać x

Choć tyle na nią spadło, troska Jacka przynosiła jej ulgę. Zastanawiała się, co napisać... Nie mogła tego wszystkiego zawrzeć w paru krótkich zdaniach. Zresztą Jack nie powinien dowiedzieć się przed jej siostrami.

Przepraszam, jestem trochę skołowana. Wyjaśnię później, jeśli chciałbyś się spotkać w mojej kajucie po kolacji x

Odpowiedź przyszła natychmiast.

Jesteśmy umówieni x

W gabinecie Georg wdychał zapach stojących na półkach oprawnych w skórę książek, które tak mocno kojarzyły mu się z pracodawcą. Rozglądając się po pomieszczeniu, zatrzymywał wzrok na pamiątkach z podróży, które Atlas przywoził z całego świata. Był tu kapelusz z Meksyku, krążek do gry w hokeja z Finlandii, stojący na biurku – i nadal machający dobrodusznie łapą – kot na szczęście z Chin. Wszystko to boleśnie przypominało Georgowi, że zawiódł najlepszego przyjaciela. Za każdym razem, kiedy on lub jego zespół wpadali na ślad Elle Leopine, Atlas podążał tym tropem, choćby nie wiem jak wąłym.

Georg wyjął z kieszeni na piersi mniejszy klucz. Otworzył środkową szufladę biurka i wyciągnął kopertę, czego zdecydowanie nie przewidywał podczas tego rejsu. Zamknął oczy i pomyślał o tym, jak po raz ostatni byli razem w tym gabinecie.

– Końcowe strony gotowe, Georg – powiedział cicho Atlas. Oddychał z trudem i z każdym dniem stawało się to coraz bardziej wyraźne.

– Brawo, przyjacielu. W takim razie mamy już pełną historię.

Atlas zaśmiał się i zaświstało mu w płucach.

– Prawie, prawie, jak sądzę. Lekarze mówią, że może się to zdarzyć lada chwila. A już na pewno nie zostało mi więcej niż trzy miesiące.

– Ty zawsze żyłeś wbrew logice.

– Prawda, jednak nieśmiertelność to chyba nawet dla mnie wyczyn zbyt trudny. – Atlas uśmiechnął się. – Wszystko już za mną. Niedługo koniec. Tylko, Georg...

– Tak?

– Nadal bardzo niepokoi mnie sprawa Zeda Eszu – wyznał Atlas. – Choć próbowałem dobić targu, syn Kreega będzie niebezpieczny, póki chodzi po tym świecie. Moje córki są silne i będą jeszcze silniejsze, kiedy poznają prawdę o przeszłości, musisz mi jednak obiecać, że będziesz starał się za wszelką cenę ograniczać jego wpływy. Chronić je przed nim najlepiej, jak tylko potrafisz.

– Przysięgam ci to, przyjacielu.

– Dziękuję, Georg. Byłeś zawsze... nadzwyczajny. Tak wiele ci zawdzięczam. – Atlas skłonił lekko głowę.

Georga ścisnęło w gardle.

– To był dla mnie zaszczyt pracować dla ciebie – powiedział. – Wszystko, co robiłem, było tylko skromnym podziękowaniem za twoją dobroć.

– Zawsze byłem z ciebie bardzo dumny. Z Claudii też. Nikomu w świecie nie ufam bardziej niż tobie.

– I wzajemnie.

– A teraz słuchaj. Jesteś absolutnie pewien, że rozumiesz moje dyspozycje? W związku z tym nieoczekiwanym obrotem spraw chciałbym jeszcze raz wszystko po kolei omówić.

Próbował wstać i Georg wyciągnął rękę, by mu pomóc.

– Dziękuję. – Atlas podszedł do półek i rzucił okiem na swoją kolekcję.
– Powtórz mi, jaki jest nasz plan, proszę.

Georg skinął głową.

– Oczywiście. Po pierwsze, mam dać Zaginionej Siostrze oryginał twojego pamiętnika, kiedy ją odnajdziemy. Zebraliśmy już wszystkie potrzebne informacje. Znajdę ją.

Atlas uniósł pytająco brew.

– Na pewno masz rysunek pierścionka ze szmaragdami?

– Tak.

Georg dalej wymieniał z pamięci punkty.

– I współrzędne geograficzne dworu Argideen? – dorzucił jego pracodawca.

– Oczywiście.

Atlas podniósł narysowany węglem portret Elle i patrzył na niego przez chwilę.

– Czy moje listy do dziewczynek są zabezpieczone w Atlantis? I przedmioty, które będą dla nich wskazówkami?

– Są w moim biurze. Wszystkie w zapieczętowanych kopertach, czekają, żebym je przekazał, kiedy tylko wrócę.

Atlas wydawał się nieco spokojniejszy, póki nie przypomniał sobie czegoś.

– A co ze sferą armilarną? Wszystko załatwione?

– Tak. Grawerowanie ma być ukończone dziś po południu. Sam sprawdzę dokładnie napisy i współrzędne, żeby nie dopuścić do pomyłki.

– Wspaniale. A niespodzianka?

– Dopilnuję tego.

Atlas uśmiechnął się blado.

– Będę czekał z utęsknieniem na chwilę, kiedy zobaczę twarze was wszystkich razem, gdziekolwiek będę się wtedy znajdował. Dziękuję,

Georg. – Wrócił do biurka i złożył równo papiery. Popatrzył na nie ze smutkiem. – Żał mi tylko, że nie mogę tu być, żeby przeprowadzić je przez to wszystko. – Pokręcił głową. – Maja, Ally, Star, CeCe, Tiggy, Elektra... muszą dowiedzieć się tylu rzeczy o swoim pochodzeniu.

Wydawał się zgnębiony.

– Czy postąpiłem właściwie, Georg?

– Jestem przekonany, że tak. Ze szczerego serca mogę cię o tym zapewnić.

Atlas usiadł z powrotem na krześle i wyjrzał przez bulaj na morze.

– Martwię się – wyznał. – Może powinienem był powiedzieć im całą prawdę lata temu.

– To zrozumiałe, że się tego obawiałeś. Nie zapominaj, że gdybyś wcześniej przedstawił im sytuację, mogłoby je to narazić na niebezpieczeństwo.

Pokiwał powoli głową i napił się wody. Georgowi krajało się serce, kiedy widział, jak bardzo drży mu ręka, którą unosił szklankę do ust.

– Po moim odejściu, ale dopiero wtedy, dasz moim córkom jeszcze to. – Wątlą dłonią wskazał leżące na biurku świeżo spisane strony. Atrament na nich dopiero wysychał. – Jeśli dziewczynki uznają, że je w jakiś sposób zdradziłem... – urwał i przycisnął dłoń do piersi – to wszystko pójdzie na marne.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Atlas podniósł wzrok na Georga. Choć miał zmarszczki i siwe włosy, jego brązowe oczy patrzyły tak badawczo jak zawsze.

– Wiesz dokładnie, co zamierzałem – rzucił. – Nie mogłem przypuszczać, że wyjdę z tego cało.

– Ja też nie – odparł cicho Georg.

Atlas otworzył szufladę biurka i wyciągnął żółtą kopertę rozmiaru A4. Ostrożnie wsunął do niej świeżo zapisane strony, odłożył ją z powrotem do szuflady i przekręcił klucz w zamku. Potem przekazał go Georgowi.

– Dopiero wtedy, kiedy nadejdzie pora. Gdy mnie już nie będzie.

Próbował wstać, ale tym razem w ogóle nie dał rady się unieść. Georg natychmiast podał mu ramię i jego stary przyjaciel dźwignął się z trudem na nogi. Po czym objął podopiecznego i obu napłynęły do oczu łzy.

– Cieszę się, że mieliśmy trochę tego dodatkowego czasu, przyjacielu – powiedział. – To daje mi okazję, by zdradzić ci coś, czego nie mówiłem wcześniej.

– Co takiego?

Atlas uśmiechnął się tajemniczo.

– Powiesz jej to wreszcie? – spytał.

– Przepraszam. – Georg był zaskoczony. – Nie jestem pewien, o co ci chodzi.

Jego pracodawca przewrócił oczami.

– Na litość boską. O Marinę.

Georg strasznie się zaczerwienił.

– Hm...

– Kochasz ją od trzydziestu lat. Niech służyć ci za przykład, że nie wolno zwlekać, monsieur Hoffman.

To był ostatni raz, kiedy Georg widział Atlasa Tanita. Teraz wyciągnął chustkę z kieszeni i wytarł oczy. Wsunął kopertę pod ramię, zamknął szufladę i wyszedł z pustego gabinetu.

– Czy to te strony? – spytała Ally, wskazując na kopertę.

Skinął głową.

– Skopiuję je – rzucił. – Tak samo jak zrobiłem z resztą pamiętnika.

– Dobrze. Powiemy im podczas kolacji. I wszyscy będą mogli to przeczytać.

– Ally... – Georg przestępował nerwowo z nogi na nogę. – Muszę przyznać, że się boję. Nie mam pojęcia, jak zareagują twoje siostry. Sądząc po tobie, każda może chcieć mnie udusić własnymi rękami. Marinę też. Nie chciałbym, żeby miały do niej żal.

– Spokojnie, Georg. Owszem, mogą się zdenerwować, podobnie jak ja. Ale doskonale wiesz, że to szybko przejdzie. Przypuszczam, że rozmawiałeś z kapitanem Hansem.

– Tak. Skorygował odpowiednio trasę.

– Dobrze. – Ally odetchnęła głęboko. – Więc do zobaczenia przy kolacji.

*

Wieczorem siedem sióstr i ich partnerzy zgromadzili się na górnym pokładzie *Tytana*. Jak zwykle dołączyli do nich Marina i Georg Hoffman. Każdy postarał się elegancko ubrać na tę okazję. Mieli uhonorować życie Pa Salta, opowiadając ulubione anegdoty z czasów dzieciństwa.

– Och, moje kochane! – rozczuła się Marina. – Jak ślicznie wszystkie wyglądacie. Tak rzadko teraz zbieramy się w komplecie. Zachowam w pamięci ten wieczór, mimo okoliczności.

Dziewczyny starały się okazać mamie, jak bardzo ją kochają, i wesprzeć ją po tym, co odkrywał pamiętnik. Niepotrzebnie martwiła się, że będą ją oceniać za to, co zdarzyło się w przeszłości.

– Chciałabym wiedzieć jedno, mamó: czy kiedykolwiek pogodziłaś się ze swoim ojcem, Louisem? – spytała Star.

– Tak, kochanie. – Marina skinęła głową, wracając myślami do miłego wspomnienia. – Wasz tata i Georg bardzo mi pomogli w zaaranżowaniu spotkania. Atlas wysłał mnie samolotem do Ameryki, a ojciec czekał na mnie na lotnisku. Bardzo się denerwował. Jak czytałyście, moja matka była nieustępliwa i próbowała rozdzielić mnie z ojcem. Ale spędziliśmy razem cudowny tydzień w Detroit i odwiedzaliśmy się potem nawzajem przynajmniej raz w roku, aż do jego śmierci w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym. Wygłosiłam mowę pożegnalną na jego pogrzebie.

– Cudownie. Na pewno byłby z ciebie bardzo dumny – powiedziała Star.

– Mam nadzieję, *chérie*. Żałuję tylko, że nigdy nie poznałam babci Evelyn.

– Z tego, co wiemy, musiała być wspaniałą kobietą – wtrąciła Elektra.

– Opiekowała się Pa Saltem jak matka – dodała Maja.

– Zawsze mówił o niej z wielkim uczuciem – odparła Marina. – Więc w pewien sposób mam wrażenie, że ją znam. Co roku w rocznicę jej śmierci zapalaliśmy świeczkę.

Maja starała się zachowywać normalnie. Jakby nie krępowało jej to, że siostry przeczytały o synu, którego oddała. Uczestniczyła w rozmowie, reagowała żywo.

– Szczerze mówiąc, najbardziej martwię się o ten projekt Zeda o nazwie Atlas – oznajmiła w którymś momencie.

– Tej kanalii zawsze chodziło o to, żeby mieć nas w szachu, no nie? – prychnęła gniewnie Elektra. – Co za sukinsyn! – Spojrzała przepaszająco na Marinę. – Wybacz, mamó.

– Tym razem nie mam wyjścia, muszę się z tobą zgodzić, *chérie*.

– To dziwne, co czytałyśmy o matce Zeda. – Tiggy zamyśliła się. – Pamiętam, jak opowiadał mi, że była o wiele młodsza od ojca. I umarła, kiedy Zed był nastolatkiem.

– Mnie też to mówił – potwierdziła Maja.

Marina westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Wygląda na to, że zmyślał. Sądzę, że za to jedno nie można go winić. Utrata matki to traumatyczne przeżycie, zwłaszcza jeśli się ma ojca psychopatę. Nic dziwnego, że w wyobraźni stworzył sobie obraz młodej matki, która była przy nim, kiedy dorastał.

– Czy jest coś, co możemy zrobić, żeby przyhamować Zeda, Georg? – spytała Tiggy. – Wiem, że nie można zastrzec imienia, ale gdybyśmy mogli w jakiś sposób dowieść, że Zed użył go w złej wierze... Co myślisz?

Georg utkwiał wzrok w podłodze i nie odpowiadał.

– Georg?

– Hm... Przepraszam, Tiggy. Byłem myślami daleko stąd.

– W porządku – rzuciła Tiggy. – O tym możemy porozmawiać później.

– Ja też mam do ciebie pytanie, Georg – oznajmiła Star. – Ale trochę głupio mi je zadać.

– Pytaj, proszę.

– Kiedy byłam adoptowana, Pa Salt nie wiedział nic o mojej rodzonej matce, prawda? O Sylvii, która zostawiła mnie u swojej matki.

– Nie wiedział – odparł Georg. – Pałac poinformował Ruperta, że dziecko przyniosła do sierocińca Patricia Brown. Ale to, że nie była jej córką, lecz wnuczką, wyszło na jaw dopiero podczas twojego badania swoich korzeni. Pa Salt naprawdę nie miał o tym pojęcia.

– Chciałam się tylko upewnić – zastrzegła z wyraźną ulgą.

– Pewnie cudowne adoptowanie ciebie nie wyglądałoby tak pięknie, gdyby Atlas wiedział, że miałaś kochającą matkę, która wcale nie chciała cię oddać – wtrącił Mouse.

Star spiorunowała go wzrokiem i szybko się zmytygował.

– Chyba mam podobne pytanie – odezwała się CeCe.

– Pytaj, proszę – zachęcił ją Georg.

– Czy Pa Salt na pewno zostawił namiary na siebie w szpitalu w Broome? Żeby Sarah i Francis mogli się z nim skontaktować, gdyby się tam pojawili?

– Na pewno to zrobił. Sam wielokrotnie dzwoniłem do szpitala w Broome przez te lata, by sprawdzić, czy ktoś o ciebie nie pytał.

– Dobrze to wiedzieć, dziękuję, Georg – powiedziała uspokojona CeCe.

– A co z moją babką, Stellą? – spytała Elektra. – Wiem, że spotkała się z tatą. Tak naprawdę to od niego dowiedziała się o moich losach.

– Masz rację, Elektro. Mój zespół i ja odkryliśmy, że Cecily Huntley-Morgan uczyła w szkole w Harlemie, założonej po to, by umożliwić czarnym dzieciom z biednych środowisk studia na najlepszych amerykańskich uczelniach. Jak możesz sobie wyobrazić, jako jedyna biała nauczycielka była dość sławna. Ludzie ją pamiętali.

– Na pewno.

– Udało się nam skontaktować z Rosalind, przyjaciółką Cecily, która adoptowała Stellę, ponieważ Cecily jako biała kobieta nie mogła tego zrobić. To Rosalind opowiedziała nam wszystko o twojej babci, o jej studiach na Uniwersytecie Columbia, organizacji walczącej o prawa obywatelskie, karierze w ONZ... no i o jej córce Rosie.

– Mojej matce – uściśliła Elektra, żeby zebrani przy stole rozumieli.

– Zgadza się. Pa Salt opowiedział Rosalind o wizytówce znalezionej przy dziecku w domu Matki Hale. Rosalind nie mogła w to uwierzyć.

Powiedziała mu, że Cecily trzymała tę wizytówkę na szczęście przez wiele lat i kiedy wracała do Afryki, dała ją Stelli. A Stella musiała przekazać ją Rosie.

– W głowie już mi się od tego kręci – poskarżyła się Chrissie.

– Tak, to wszystko jak w kinie! – skomentowała Mary-Kate i wypła łyk rosé.

– Kiedy pytaliśmy, co się stało z Rosą, Rosalind powiedziała, że zmarła po przedawkowaniu – oznajmił Georg.

Elektra spuściła oczy. Tiggy objęła siostrę ramieniem.

– Moi ludzie w Nowym Jorku sprawdzili to i odkryli ...

– ...melinę kokainową – dokończyła za niego Elektra, by oszczędzić niezręcznej sytuacji.

– Tak, tam właśnie bywała Rosa. Powiedziano nam, że kiedy płakałaś, ktoś zabrał cię, żeby nie przyszła policja i nie zaczęła drążyć. Pewnie ostatkiem sił twoja matka wcisnęła temu komuś wizytówkę Pa Salta. I ten człowiek zostawił ją w koszyku razem z tobą. Można powiedzieć, że ta wizytówka cię ocaliła.

Wszyscy przy stole zamyślili się nad decyzją Rosy. Ciszę przerwała stewardesa, która wyłoniła się z salonu i spytała, czy można zacząć zbierać talerze po kolacji.

– Tak – potwierdziła Marina.

Maja mogłaby przysiąc, że kiedy ze stołu usuwano najelegantsze nakrycia, jakie były na *Tytanie*, dostrzegła, jak dłoń Jacka dyskretnie przesunęła się na kolano Ally pod obrusem. Spotkała się spojrzeniem z siostrą i uniosła brew. Rumieniec Ally potwierdził jej przypuszczenia. Uśmiechnęła się w duchu.

– Dolać komuś wina? – zapytał Charlie i kilka osób skinęło głową. – Świetnie. Uzupełnię czerwone. Zechciałbyś zająć się białym, Miles?

Miles posłusznie wstał, ale Charlie nagle się zmięgował.

– Rany, przepraszam, przecież ty nie pijesz, prawda? Floriano, może...

Miles uniósł dłoń, by go uspokoić.

– Nie ma sprawy – rzucił. – Na szczęście abstynencja nie przeszkadza mi nalewać innym.

Charlie zaśmiał się nerwowo.

Kiedy obaj krążyli wokół stołu z butelkami, CeCe się nachmurzyła.

– Pamiętnik kończy się w dziwnym momencie, nie?

Pozostałe siostry wyraźnie też były tego zdania.

– Tak – przyznała Star. – Georg, dlaczego wpisy urywają się na tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku?

Georg zmieszał się.

– Wasz ojciec chciał w nim opisać, jak każda z was pojawiła się w jego życiu, i wyjaśnić te osobliwe warunki, w jakich dorastałyście.

– Wypijmy za to. – CeCe uniosła napełniony kieliszek.

– Wiesz, co się stało z diamentem? – spytała Tiggy. – W pierwszej części pamiętnika Pa Salt często o nim wspomina. Ale odkąd osiadł w Atlantis, już nie.

– Słuszna uwaga – zgodziła się z siostrą Elektra. – Czy diament został zwrócony rodzinie Eszu?

– Wasz ojciec bardzo strzegł tajemnicy związanej z tym kamieniem, nawet przede mną. Nienawidził o nim mówić. Widział w nim symbol tego, co w życiu utracił. A jeśli chodzi o to, gdzie się obecnie znajduje... – Georg wzruszył ramionami.

– Może Pa Salt po prostu wrzucił go do morza? – zasugerowała Star, sącząc białe wino.

Przy stole znów zapadło milczenie, kiedy każdy członek rozszerzonej rodziny D'Aplièse dochodził do własnych wniosków co do losu tajemniczego diamentu.

Po dłuższej chwili odezwała się Merry:

– Czy po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku Atlas nadal poszukiwał mojej matki? Dalej podróżował po świecie, kiedy tylko dostawał od ciebie wiadomość o pojawieniu się nowych tropów?

– Tak, Merry. Nigdy nie przestał, dopóki po dwutysięcznym roku stan zdrowia nie pozwalał mu już na tyle lotów. To tylko dzięki jego niestrudżonym wysiłkom siedzisz tu dziś z nami.

– Ale nie udało się mu dowiedzieć, gdzie jest Elle? – spytała Maja.

Georg z trudem przełknął ślinę.

– Wasz ojciec jej nie odnalazł.

Merry ciężko westchnęła.

– Zastanawiam się, co się z nią stało.

– Jednego nadal nie rozumiem – odezwała się zamyślona CeCe. – Jak trafiliście na współrzędne, które doprowadziły nas do Merry? To jakoś mi się nie zgadza. Musieliście rok temu dostać jakąś nową informację, która pozwoliła wam wygrawerować współrzędne na sferze armilarnej.

Georg skinął głową.

– To prawda.

Star nachyliła się w jego stronę.

– No to nie trzymaj nas w napięciu. Co to była za informacja?

Zawahał się i przez dłuższą chwilę zajmował się wycieraniem czoła chusteczką.

– Czy to miało coś wspólnego z Zedem? – naciskała Maja. – Bo współrzędne prowadziły do domu, który należał do jego rodziny, prawda?

– Nie. To nie miało nic wspólnego z Zedem. – Georg nabrał głęboko powietrza i wypuścił je. – Na pewno można było to zrobić lepiej. Po raz pierwszy czuję się nieprzygotowany. Pamiętnik waszego ojca kończy się na roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim. Już więcej w nim nie pisał. Przede wszystkim dlatego, że wszystko się unormowało. Naprawdę sędzę, że ostatnie dwie dekady życia były dla niego najszcześniejsze.

– Czy mamy się spodziewać jakiegoś „ale”? – spytała Elektra.

– Po jego pierwszej wizycie u lekarza – ciągnął Georg – kiedy wiedzieliśmy, że zaczyna podupadać na zdrowiu, spytałem go, czy chce napisać coś o najwcześniejszych latach, tych przed Paryżem, gdzie zaczynał prowadzić pamiętnik. – Przerwał, by napić się wody. – Powiedział, że choć wiele razy to rozważał, wspomnienia z Rosji są dla niego zbyt bolesne. Postarał się jednak przygotować mnie na to, żebym potrafił uzupełnić luki i odpowiedzieć na pytania, które się wam nasuną.

– To dobrze, bo nadal myślę, że o wielu rzeczach nie wiemy – poskarżyła się Star. – Nawet tego, co naprawdę zaszło pomiędzy Pa Saltem i Kreegiem w dzieciństwie.

Elektra skrzyżowała ramiona na piersi.

– No dobrze, Georg. W takim razie opowiedz nam o Rosji.

– Tak właśnie zamierzałem. Ale okazało się, że Pa Salt wyjaśnił to własnymi słowami.

Wstał i na chwilę zniknął w salonie.

Maja zwróciła się do Ally.

– Wiesz, o co chodzi? Merry i ja widziałyśmy, jak napadłaś na Georga w korytarzu.

Ally nie wahała się, co odpowiedzieć.

– Po tym, jak zobaczyłyśmy Zeda w telewizji, zastałam na pokładzie Georga, który miotał się, jakby kompletnie oszalał. Chciałam wiedzieć

dłaczego.

– Czekaj, czy to dlatego chciałaś, żebyśmy wszystkie skończyły czytać pamiętnik dziś przed kolacją? – spytała Elektra.

Ally skinęła głową.

Georg wrócił ze sporym stosem białych kartek i zaczął rozdzielać je między siostry.

– Co to? Dodatkowe strony pamiętnika? – spytała Tiggy.

– Nie całkiem – odparła Ally.

Star przyglądała się kartkom.

– Popatrzcie na charakter pisma – rzuciła. – Pozostawia wiele do życzenia. Kiedy Pa Salt był starszy, dokuczał mu artretyzm w nadgarstkach od żeglowania. Czyli to musiało być napisane bardzo niedawno. Mam rację, prawda, Georg?

Prawnik z powagą skinął głową.

– Kiedy on to napisał? Tuż przed śmiercią? – spytała Merry.

Georg nie odpowiedział. Chwilę trwało, nim opanował emocje, by spełnić swój obowiązek.

– To, co macie przed sobą, to prawdziwa historia ostatnich dni waszego ojca i tego, jak odnoszą się one do początku jego życia. Muszę was ostrzec, że kiedy tylko zaczniecie to czytać, zetkniecie się z informacją, która nie pokrywa się z tym, co mówiliśmy wam ja i Marina.

– Mamo? – Tiggy popatrzyła z wyrzutem na Marinę.

– *Chérie*, posłuchaj, proszę, Georga.

– Chciałbym was zapewnić, że Marina i ja nigdy nie chcieliśmy was okłamywać. Wszystko, co robiliśmy przez ten ostatni rok, było zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach przez waszego tatę. A Marina i ja tylko działaliśmy zgodnie z rolą, jaką nam wyznaczył.

– O Boże – jęknęła Elektra.

Przy stole wyraźnie wyczuwało się napięcie. Georg z determinacją brnął dalej:

– Czytałyście pamiętnik, wiecie, że Marina i ja zawdzięczamy Pa Saltowi wszystko. Wzbudzał w nas... – zastanawiał się chwilę nad doborem właściwych słów – bezgraniczną lojalność. Jak wkrótce przeczytacie, nasze posunięcia miały służyć zapewnieniu wam bezpieczeństwa.

– Co chwila nowe odkrycia – szepnęła Maja, kręcąc głową.

– Wiem, *chérie*, wiem – powiedziała ze łzami w oczach Marina. – Ale tak to wygląda. Ostateczna prawda jest na tych ostatnich stronach.

Georg westchnął.

– Wasz ojciec surowo mi zakazał pokazywać wam te kartki aż do... określonego momentu... ale po dzisiejszej rozmowie z Ally uznałem, że powinienem to zrobić teraz.

– Georg... czego się dowiemy? – spytała zdruzgotana Star. Pokręcił głową, więc zwróciła się do siostry: – Ally?

– Ja tego jeszcze nie czytałam. Georg mówił mi o tym tylko bardzo ogólnie.

Jack jawnie już objął ją ramieniem dla dodania jej otuchy.

Georg tymczasem splótł dłonie za plecami i starał się powoli tłumaczyć, o co chodzi.

– Serce waszego taty zaczęło szwankować w połowie lat osiemdziesiątych, choć wtedy nie miałyście świadomości, że tak się dzieje. Ostatnie, czego chciał, to żebyście się martwiły.

Wszyscy przy stole siedzieli jak na szpilkach, wsłuchując się w każde jego słowo.

– Po przeczytaniu pamiętnika wiecie, że zagrożeniem był już nie tylko Kreeg Eszu, ale też jego syn. Kiedy ojciec zorientował się, że ma coraz mniej czasu i że wkrótce nie będzie go już między nami, ułożył plan, by was chronić i oszczędzić dalszych prześladowań ze strony samego Kreega lub Zeda.

– Na czym polegał ten plan, Georg? – spytała z niepokojem Tiggy.

– Postanowił skonfrontować się z Kreegiem.

– O mój Boże – jęknęła Merry.

– Umarli tego samego dnia... – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem Maja. – Ally, mówiłaś, że kiedy widziałaś tamtego dnia *Tytana*, w pobliżu był też *Olympus*...

Ally skinęła głową.

– Chwileczkę... to on nie umarł w Atlantis, jak mówiliście? – spytała zszokowana CeCe.

– Nie, CeCe.

– Cholera jasna, Georg! – krzyknęła Elektra. – I ty, mamo, też pewnie o tym wiedziałaś? Jak mogłaś nas tak zwodzić?

– Wiem, to przykre – powiedziała Ally. – Nie możecie ich jednak winić, przynajmniej dopóki nie poznacie całej historii.

– Czy Kreeg go zabił?! – zawołała CeCe. – Czy on zabił Kreega? Jezu Chryste!

– Dziewczyny, proszę, musicie to przeczytać – wtrącił błagalnie Georg.

– Nie możemy wszystkie siedzieć tu z nosami w tych zapiskach – prychnęła CeCe. – To jakaś paranoja! Star – zwróciła się do siostry – przeczytałabyś te strony nam wszystkim? Tak jak zrobiłaś to dla mnie?

– Czy wszyscy są za? – spytała Star.

Towarzystwo przy stole zgodnie potwierdziło.

Star była wyraźnie speszona powierzoną jej odpowiedzialnością. Mouse położył delikatnie dłoń na jej plecach. Wzięła głęboki wdech i zebrała się na odwagę.

– Dobrze – powiedziała.

– Słuchajcie, czy nie przeszkadza wam, że są tu wasze drugie połówki?
– spytała Chrissie. – Może lepiej byłoby, gdybyśmy się ulotnili?

– Nie, zostańcie. Zostańcie wszyscy – zdecydowała Maja. Spojrzała na Mary-Kate i Jacka. – Każdy tu jest częścią tej historii, w ten czy inny sposób. Myślę, że powinniśmy być tu razem, żeby zrozumieć zakończenie.

– Racja – rzuciła Ally, opierając się na ramieniu Jacka.

Siostry nie miały głowy, żeby zareagować na jej gest pośród zamętu, który panował.

– Miles, zanim zaczniemy – odezwała się Elektra – może skoczyłbyś na dół i przyniósł parę butelek wina? My nie pijemy, ale innym mogą się przydać.

– Ja poproszę gin z tonikiem – wtrąciła Tiggy. – Myślę, że w takiej chwili Pa Salt też by wybrał coś takiego.

– Ja również – rzuciła CeCe.

– Brzmi dobrze – dołączyła się Star.

– Już się robi – powiedział Mouse i wstał. – Trzy giny z tonikiem. Chodź, Miles!

Siostry zaczęły się szykować na to, co usłyszą. Każda miała swoje przypuszczenia co do okoliczności śmierci ojca. Czy człowiek, który tak bardzo się o nie troszczył, naprawdę pozbawiłby je możliwości pożegnania się z nim? To nie było logiczne.

Kiedy rozdano drinki i wszyscy znów zajęli miejsca przy stole, Star odchrząknęła.

– Jesteśmy gotowi?

– Tak – powiedziała Ally. – Jesteśmy gotowi.

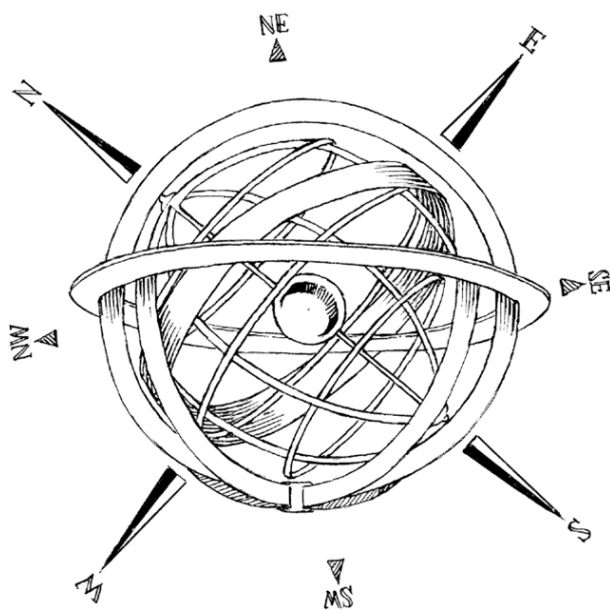
Star skoncentrowała się na leżących przed nią kartkach.

– To zaczynamy: *Moje dziewczynki, moje skarby, kochane córeczki...*

Ostatnie zapiski Pa Salta

Tytan

Czerwiec 2007



Moje dziewczynki, moje skarby, kochane córeczki.

Jeśli to czytacie, to Georg spełnił swój obowiązek. Wiecie już, że naprawdę nie ma mnie na ziemi, i czas, byście poznały w pełni okoliczności mojego odejścia z tego świata. Możecie być pewne, że patrzę na was z góry, z kolejnego życia, w które – jak zawsze mówiłem – z całego serca wierzę.

Jeżeli Georg postąpił zgodnie z moimi instrukcjami, to każda z was odbyła ostatnio szczególną podróż, by odkryć swoją przeszłość i bieg zdarzeń, który doprowadził do tego, że was adoptowałem. Wyobrażam sobie, że część tego musiała być dla was bolesna, ale mam nadzieję, że te wyprawy przyniosły wam też wiele radości. Niewątpliwie przeczytałyście już mój pamiętnik i luki w tym, jak doszło do tego, że się spotkaliśmy, zostały wypełnione. Wasze biologiczne rodziny były bardzo drogie mojemu sercu i to, kim się stałem, zawdzięczam właśnie im.

Chcę być z wami szczery. Nie planowałem, że będę pisał to, co teraz czytacie, ale wszystko nie potoczyło się tak, jak się spodziewałem... najdelikatniej mówiąc.

Dowiedziałyście się z pamiętnika, że na moich losach zaciążyły zdarzenia z życia kogoś innego. Kreeg Eszu wierzy, że ja, Atlas Tanit, zamordowałem jego matkę i ukradłem jej bezcenny diament, kiedy w latach dwudziestych zeszłego wieku głodowaliśmy na Syberii. I dlatego ścigał mnie przez całe moje życie.

Jesienią 2005 roku miałem lekki zawał serca, o którym nie wiedziałyście, bo nie chciałem was niepotrzebnie martwić. Po ostatnich badaniach w Genewie lekarze poinformowali mnie jednak, że mój najważniejszy narząd jest coraz słabszy i – choć nie mogli stwierdzić tego z całą pewnością – będę miał wielkie szczęście, jeśli dożyję dziewięćdziesiątych urodzin. Ta wiadomość mnie nie załamała. Żyłem długo, bardzo długo – dłużej, niż tego oczekiwałem. Miałem przyjemność patrzeć, jak każda z was staje się wyjątkową młodą kobietą, i dziękuję swoim szczęśliwym gwiazdom za czas, który spędziłem na ziemi.

Świadomość, że podupadam na zdrowiu, zmobilizowała mnie do podjęcia intensywnych działań. Martwiło mnie, że bez mojej ochrony możecie być narażone na prześladowania ze strony Kreega albo jego syna Zeda. Dlatego razem z Georgiem i Mariną – tak jak robiłem to przez większość życia – ułożyłem plan, który miał zapewnić, że Kreeg i jego syn przestaną mieszać w waszym życiu.

Jak się domyślacie, Kreeg Eszu pragnie wymierzyć mi sprawiedliwość, karę za czyn, którego – jak zapewne nie muszę podkreślać – nie popełniłem. Uznałem, że jeśli pozwolę wreszcie dokonać zemsty, jeśli pozwolę się zabić, to może dobijemy targu, żebym miał pewność, że zostawi was w spokoju. Wiosną 2007 roku skontaktowałem się z nim, wysyłając list na adres Lightning Communications. Napisałem mu, że bardzo żałuję tego, co się pomiędzy nami wydarzyło, i chcę dać mu okazję do wyrównania rachunków.

Nie zaskoczyło mnie, że w ciągu dwudziestu czterech godzin Georg odebrał telefon osobistej sekretarki Kreega i ustalono miejsce naszego spotkania – w odludnej zatoczce przy wybrzeżu Delos na Morzu Egejskim.

By chronić Was przed okropną prawdą – wiedząc, że i tak zmierzam ku śmierci – ustaliłem, że Marina i Georg powiedzą wam, że miałem kolejny,

tym razem śmiertelny, zawał. Kazałem Marinie poinformować was, że moje ciało zostało zamknięte w ołowianej trumnie, natychmiast zabrane na *Tytana* i pochowane w morzu.

Bez wątpienia ta część planu była najtrudniejsza do przeprowadzenia. Zdaję sobie sprawę, że to, że nie mogliście się ze mną pożegnać, sprawi wam wiele bólu. Przepraszam za to i za wiele innych rzeczy. Ale mam nadzieję, że mnie zrozumiecie – nic innego nie potrafiłem wymyślić, by nie dać wam odkryć, że zabił mnie Kreeg Eszu.

Dziewiętnastego czerwca w porcie w Nicei przejąłem dowodzenie *Tytanem* od Hansa. Powiedziałem mu, że ma za cztery dni odebrać jacht w zatoce przy Delos. Hans robił, co w jego mocy, by przekonać mnie, że to niebezpieczne i wbrew prawu, bym popłynął sam, ale nie ustępowałem i jako właściciel kazałem mechanikom i oficerom zejść z pokładu.

Płynąłem bez problemów. Wspominałem nasze wspólne życie i zapewniam was, że podczas tego rejsu – mojego ostatniego – czułem wielki spokój.

Trzeciego dnia podróży ostrożnie nakierowałem *Tytana* na umówioną zatokę i zobaczyłem czekającego tam *Olympusa*. Na jego dziobie stała samotna postać. Sterowałem tak, żeby jachty znalazły się równolegle. Zrzuciłem kotwicę i wyszedłem z mostka kapitańskiego na odkryty pokład.

Naprzeciw siebie zobaczyłem twarz, która pojawiała się w moich koszmarach sennych od osiemdziesięciu lat. Twarz, którą widziałem w najgorszym dniu swojego życia na Syberii, w kawiarni w Lipsku i pod księgarnią Arthura Morstona. Przez dłuższy czas nic nie mówiliśmy, po prostu przyglądaliśmy się sobie, czekając na to, co nastąpi.

- Witaj, Kreeg – odezwałem się w końcu.
- Witaj, Atlasie. Długo czekałem na to spotkanie.
- Wiem. Mogę wejść na twój pokład?

Kreeg uśmiechnął się, chwycił metalowy trap i podał mi jego koniec.

– Dziękuję – rzuciłem.

Ostrożnie wdrapałem się na niego i przeszedłem na *Olympusa*.

– Widzę, że nie jesteś już tak szybki jak dawniej – zauważył z pogardą.

– Nigdy nie byłem specjalnie szybki. Pamiętam, że zawsze przeganiałeś mnie, kiedy graliśmy w piłkę na śniegu.

– Jasne. – Zarechotał. – Ty za dużo czasu spędzałeś z nosem w książkach.

Przysiadłem na pokładzie.

– Możliwe – przyznałem. – Mogę spytać, czy jesteśmy sami?

Kreeg skinął głową.

– Jesteśmy – odparł i powoli sięgnął za siebie.

Wiedziałem, co się szykuje. Eszu wyciągnął mały pistolet i wymierzył mi w brzuch.

– Poznajesz to, Atlasie? – zapytał.

Pokręciłem głową i powiedziałem spokojnie:

– Obawiam się, że nie.

– To pistolet Korowina.

Uniosłem brwi.

– No tak. Pierwszy sowiecki pistolet samopowtarzalny, jeśli się nie mylę? Wszyscy strażnicy takie mieli, kiedy byliśmy dziećmi. Bolszewicy też.

– Cieszę się, że pamięć nadal ci dopisuje. – Kreeg zbliżył się niespiesznie i kiedy znalazł się centymetry ode mnie, wcisnął lufę w mój tors. – Ten zatrzymałem dla siebie. Zabrałem go martwemu żołnierzowi. Latami nosiłem go, w nadziei, że się spotkamy.

– Zanim mnie zabijesz, Kreeg, chciałbyś poznać prawdę?

– Prawdę? – powtórzył, przedrzeźniając mój ton, po czym wybuchnął niskim gardłowym śmiechem. – Jakie ciekawe słowo! Nie martw się, nie czekałem tak długo, żeby od razu cię zastrzelić. Ja też chciałbym podzielić się z tobą kilkoma informacjami. A teraz odwróć się. – Spełniłem polecenie. – I podnieś ręce.

– Jak sobie życzysz.

Dźgnął mnie pistoletem w plecy.

– Idź na rufę. Ustawiłem tam stolik i dwa krzesła, żebyśmy mogli odbyć naszą ostatnią rozmowę.

Pomału przeszliśmy przez pokład *Olympusa* i znaleźliśmy się na tyle jachtu. Mahoniowy stolik stał pomiędzy wygodnymi krzesłami.

– Siadaj.

Odsunąłem krzesło, podobnie jak on. Nadal mocno trzymając broń, oparł nadgarstek na blacie między nami, tak że mierzył mi prosto w pierś.

– Masz piękny jacht, Kreeg.

– Nie tak okazały jak twój – wycedził.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Jego były pełne wściekłości.

– I oto jestem, nieuzbrojony, siedzę przed tobą po wszystkich tych latach ucieczki – próbowałem go uspokoić. – Czekam, żebyś dokonał tego, co zawsze uważałeś za słuszny odwet. Proszę tylko o jedno, żebyś po mojej śmierci uznał, że wojna skończona. Proszę ciebie i twojego syna, żebyście zostawili w spokoju moje córki.

Kreeg znów się uśmiechnął, tym razem groźnie szczerząc wybielone zęby.

– Dla mnie, Atlasie, ta wojna skończyła się wiele lat temu.

– Naprawdę? – zdziwiłem się.

Wzruszył ramionami.

– Sądzisz, że nie mogłem w każdej chwili przez ostatnie czterdzieści lat pojawić się na twoim progu? W tej twojej bezpiecznej przystani Atlantis? Cóż za pretensjonalna nazwa! Typowe dla ciebie.

– Przez cały ten czas wiedziałeś, gdzie jestem?

– Oczywiście. Od lat siedemdziesiątych.

– Więc dlaczego się nie pojawiłeś?

Znów błysnął uśmiechem.

– Wszystko w swoim czasie.

– Dlatego, że wykorzystywałeś syna, żeby polował na moje córki?

– Niewątpliwie twoje dziewczyny... wydają mu się dość pociągające. – Uniósł lufę pistoletu. – A teraz mów, co takiego masz mi do zakomunikowania przed śmiercią.

Pokręciłem głową.

– Zaczynam się zastanawiać, czy to ma sens. Powiedziałem ci prawdę ponad osiemdziesiąt lat temu, kiedy staliśmy nad ciałem twojej matki.

Szczęki Kreega stężały. Zmrużył oczy.

– Byliśmy braćmi, Kreeg. Nie uwierzyłeś mi wtedy. Dlaczego miałbyś uwierzyć mi teraz?

– A w co tu wierzyć? Nigdy nie zapomnę, jak tam stałeś z jej ukochaną ikoną w ręce. Ikona była cała we krwi. Zatłukłeś nią moją matkę na śmierć. Skórzany woreczek z diamentem zawieszony na twojej szyi wyjaśniał, po co to zrobiłeś.

Na to wspomnienie przebiegł mnie dreszcz.

– Mówiłem ci, co się stało.

Kreeg zmarszczył brwi. Nozdrza mu chodziły.

– Powiedziałeś mi, że moja matka była prostytutką...

– Nie, Kreeg, sypiała z wyższym oficerem Armii Czerwonej, żeby było co jeść.

Aż się wzdrygnął.

– I co tam dalej gadałeś? Że pewnej nocy była pijana i powiedziała mu o diamentcie?

– To prawda. A potem ją zabił, żeby zdobyć diament.

– Gładkie kłamstewko. To ty ją zabiłeś, żeby ją okraść.

– Nie. Przysięgam, nawet nie wiedziałem, że to diament. Słyszałem tylko, jak mówiła, że ma coś bardzo cennego. Prosiła tego oficera, żeby sprzedał to w jej imieniu, żebyśmy mieli co jeść, Kreeg. Nie pamiętasz, jacy byliśmy głodni? Jak nam było zimno?

– Zawsze skradałeś się jak duch i podsłuchiwałeś pod drzwiami.

– Nie! Nie robiłem tego. Wiesz, że miałem doskonały słuch. Kiedy ty spałeś mocno na podłodze koło mnie, usłyszałem, jak ten oficer się zakrada, i...

– DOŚĆ! – wrzasnął Kreeg i walnął pięścią w stół.

– Posłuchaj. Tej nocy próbowałem dać ci dowód, że twoja matka zrozumiała błąd i poprosiła mnie, bym zaniósł tę cenną rzecz do jej krewnego w Tobolsku na przechowanie. Bała się, że bolszewicy przyjdą przeszukać dom i to znajdą. Trzymałem w rękach list od twojej matki. Miałem przekazać go jej krewnemu. Ale kiedy zobaczyłeś, co się stało, nie chciałeś go nawet przeczytać.

– Nie potrzebowałem – warknął.

– Zmiąłeś go i wcisnąłeś mi do ust...

– Kłamałeś, żeby ratować swoją żalosną skórę. Wiedziałeś o diamentcie! Nie mów, że nie! Chciałeś go sobie przywłaszczyć. Poczekałeś, aż była bezbronna, i... – Zadrżał mu głos, oczy zaszyły łzami.

– Nic nie wiedziałem o diamentach aż do tej nocy, kiedy uciekłem z domu, bo próbowałaś mnie zabić. – Mówiłem spokojnie, ale zdecydowanie. – Tylko że jakie to ma teraz znaczenie? Nigdy mi nie uwierzysz. Proszę, dokonaj zemsty, o której zawsze marzyłeś.

Kreeg oddychał z coraz większym trudem. Cały czas patrząc mi w oczy, sięgnął wolną ręką do kieszeni, wydobył stamtąd tabletkę i połknął ją bez popijania. Skrzywił się.

– Na pewno słyszałeś o mojej diagnozie. Podawali ją w wiadomościach. Skinąłem głową.

– Tak. Przykro mi było to słyszeć. Rak to najokrutniejsza choroba. Wzruszył ramionami.

– Rak to nic w porównaniu z tym, co mi tamtego dnia zrobiłeś. Westchnąłem.

– Nic ci nie zrobiłem, przysięgam. Ale jeśli chodzi ci o to, że trudno jest żyć bez matczynej miłości, to masz rację.

– Słuszna uwaga – rzucił szyderczo. – Nie zabiłeś tylko mojej matki, ale też swoją, lata przed tym!

Jego słowa wywołały przeszywający ból.

– Wiem – przyznałem. – Często o tym myślę i naprawdę żałuję, że w dniu, kiedy się rodziłem, los nie zabrał mnie, tylko ją.

Odchylił się lekko na krześle, wyraźnie napawając się moim cierpieniem.

– Nie przeżyłbyś, gdyby nie moja matka – powiedział. – To ona przyjęła poród.

– Wiem. Opowiadała mi o tym wiele razy i starałem się jej odwdziaczyć. Zawsze byłem posłuszny i pomagałem jej, na ile umiałem, zwłaszcza kiedy mój ojciec odszedł.

Kreeg nie spuszczał wzroku z moich oczu.

– A ten list, o którym mówisz... Ten od mojej matki... Szkoda, że go już nie masz.

– Mam.

– Co?!

– Postanowiłem zachować go za wszelką cenę. Chciałbyś go przeczytać?

Kreeg z wahaniem kiwnął głową.

– Mogę sięgnąć do kieszeni? – spytałem.

– Tylko powoli.

Ostrożnie wydobyłem list z kieszeni spodni i położyłem na stole.

– Proszę. Nadal jest wygnieciony i nosi ślady zębów po tamtym okropnym dniu.

Kreeg popatrzył na kopertę.

– Jest zaadresowany do Gustawa Melina – zauważył.

– Kuzyna twojej matki.

– Ty go wyjmij. Jeśli myślisz, że odłożę broń, to bardzo się mylisz.

– Jak sobie życzysz.

Wziąłem kopertę i delikatnie wyciągnąłem z niej stary strzęp papieru, po czym podsunąłem go po blacie Kreegowi. Przebiegł wzrokiem treść.

Drogi Gustawie

Mam nadzieję, że ten list zastanie w jak najlepszym zdrowiu Ciebie i Alionę. Żałuję, że nie mieliśmy ostatnio ze sobą częstszych kontaktów, na czym zawsze mi zależało. Po śmierci Cronusa jest mi jednak bardzo ciężko.

Armia Czerwona kontroluje każdy nasz ruch. I dlatego chciałabym Cię prosić o pewną przysługę.

Jeśli to czytasz, to przed Tobą stoi Atlas. Ten chłopiec to zaufany posłaniec. Przynosi pakiecik, którego zawartość ma ogromną wartość.

Poza Tobą nie mam już żadnych krewnych. Dlatego muszę Cię prosić, byś przechował dla mnie to zawiniątko, aż wszystko trochę się unormuje i nie będziemy już tak uważnie obserwowani.

Bądź tak dobry i nie odpakowuj tego, bo jeśli to zrobisz, wiem, że trudno Ci będzie oprzeć się pokusie, by samemu to sprzedać. Błagam, Gustawie, żeby nie wiem jak Cię to kusilo, miej wzgląd na to, że mam pod opieką dwóch głodujących chłopców. Kiedy będę w stanie to zrobić, sprzedam tę rzecz i nagrodzę Cię hojnym procentem.

Jestem zmuszona prosić Cię o tę przysługę, bo popełniłam błąd. Zdradziłam bolszewickiemu oficerowi, że coś takiego istnieje. Boję się, że po to przyjdą.

Jeśli powiesz Atlasowi, że mi pomożesz, przekaże Ci paczuszkę.

Dziękuję, Gustawie. Wierzę w Twoją uczciwość, Kuzynie.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami

Rhea Eszu

– Chyba nadal potrafisz rozpoznać pismo matki? – spytałem, kiedy Kreeg skończył czytać.

Skinął głową.

– Tak. Nie wątpię, że to jej list. Ale to nie jest dowód na to, że jesteś niewinny. To nic nie zmienia.

– Mam jednak nadzieję, że rzuca światło na to, co wydarzyło się tamtego dnia. Rano twoja matka dała mi ten list i skórzany woreczek. Sama

zawiesiła go na mojej szyi. Przysięgam, Kreeg, że nie wiedziałem, co się w nim znajduje.

– Bzdura! Niby dlaczego matka miałaby powierzyć tobie tak ważne zadanie? Przecież byłem silniejszy. I byłem jej dzieckiem, krwią z jej krwi.

– I właśnie dlatego wybrała mnie. Musiałem dotrzeć przez śnieg i lód do Tobolska. Nie miała pewności, czy w ogóle przeżyję tę wyprawę. Matka cię chroniła.

Kreeg zmrużył oczy.

– Wygodna wymówka!

– Po prostu taka jest prawda. Zresztą i tak nie było cię wtedy w domu. Byłeś w szkole w sąsiedniej wiosce. Tylko jeden z nas mógł do niej chodzić i matka wysłała cię. Jeśli to cię nie przekona, że leżało jej na sercu jedynie twoje dobro, to już nie wiem co.

Uniósł pistolet kilka centymetrów nad stół.

– Mów dalej – rzucił.

Przełknąłem z trudem ślinę.

– Pamiętam, jak otworzyłem drzwi domu, żeby wyruszyć w drogę. Wiatr właściwie wepchnął mnie z powrotem do sieni. Ale w końcu udało mi się wyjść. Dopiero jakieś dziesięć metrów od domu ich zobaczyłem.

– Ich?

– Żołnierzy. Bolszewików. Było ich pięciu. Wiedziałem, że ich obecność nie wróży nic dobrego. Przestraszyłem się, pobiegłem do komórki z węglem i tam się ukryłem. Kiedy zbliżali się do domu, zauważyłem, że prowadzi ich mężczyzna, z którym sypiała twoja matka. Walili do drzwi, ale nie otwierała. Przestrzelili klamkę i weszli na siłę. Słyszałem krzyk twojej matki... – Musiałem przerwać na chwilę, by się pozbierać po tym, jak przywołałem w pamięci ten straszny krzyk. – Potem zaczęli

przeszukiwać dom. Rozbijali wazony, lampy, zrzucali pościel z łóżek... pamiętasz, jak to potem wyglądało.

– Tak – odparł dopiero po dłuższej chwili.

– Miałem wrażenie, że ta rewizja trwa w nieskończoność. Ale nie mogli znaleźć tego, czego szukali, bo miałem to zawieszona na szyi. Kiedy nie udało im się zdobyć spodziewanego skarbu, wpadli we wściekłość. Wrzeszczeli na swojego przywódcę, że jest kłamcą, przeklinali go za to, że ich tam sprowadził. Więc rzucił się na twoją matkę. Krzyczała, że jest niewinna, ale nic sobie z tego nie robił. Słyszałem, jak błagała... Mówiła, że ma syna, prosiła, żeby nie robili z niego sieroty...

Miałem łzy w oczach, gdy wspominałem tamte zdarzenia.

– Usłyszałem odgłosy walenia. Krzyki twojej matki były coraz cichsze, aż wreszcie zapadła cisza. A oni wyszli z domu i zniknęli wśród śniegów, tam skąd przyszli.

Przerwałem na chwilę, by się opanować. Nie chciałem pominąć żadnego szczegółu.

– Po jakimś czasie odważyłem się wyrzeć z komórki. Strasznie się bałem... Wszedłem do domu i zobaczyłem, co zrobili. Zniszczyli wszystko. Wołałem twoją matkę, ale nie miałem nadziei, że mi odpowie. Znalazłem ją obok zakrwawionej drewnianej ikony, którą carewicz ofiarował twojemu ojcu w nagrodę za wierną służbę. To jej użyli. Niewątpliwie dając ostateczny wyraz nienawiści do cara i jego otoczenia.

Kreeg bębnił palcami po stole.

– Trzymałeś ją w ręce, kiedy wszedłem.

– Tak. Podniosłem ją z ciała twojej matki. To wszystko, przysięgam na życie moich córek.

Zaryzykował – spuścił mnie z oczu i zapatrzył się w wodę. Po chwili się odezwał:

– Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak, kiedy zbliżałem się do domu, bo drzwi były otwarte. Zakradłem się do środka najciszej, jak mogłem, nie wiedząc, co zastanę. Ale byłeś tam tylko ty. – Znów spojrzał na mnie. – Pamiętasz, co mi powiedziałeś?

Przełknąłem z trudem ślinę.

– Przykro mi... – szepnąłem.

– Nie sądziłem, że jest ci przykro z powodu tego, co zrobiłeś. Pomyślałem, że przykro ci, bo zostałeś przyłapany.

– Rzuciłeś się na mnie, Kreeg, bez zastanowienia. Do dziś pamiętam siłę, z jaką wyrwałeś z moich rąk ikonę. Byłeś taki mocny...

– Ale ty mi ją wyszarpnąłeś.

– A ty powaliłeś mnie na podłogę.

Kreeg oblizwał usta na to wspomnienie.

– Podczas szamotaniny rozdarła ci się koszula – powiedział. – I wtedy zobaczyłem skórzany woreczek. Ten, który wiele razy widziałem zawieszony na szyi matki. W tym momencie zrozumiałem, co zrobiłeś. Morderca i złodziej.

– Różnica pomiędzy nami polegała na tym, Kreeg, że ty wiedziałeś dokładnie, co zawiera ta sakiewka, a ja nie.

– Ty tak twierdzisz. Tak, wiedziałem o diamencie. Słyszałem też, jak mówiła o nim, że to będzie dla mnie ratunek. Mój bilet do ocalenia. A ty mi go zabrałeś. Zabrałeś mi wszystko. – Wolno pokręcił głową.

– Udało mi się sięgnąć do kieszeni i pomachać ci przed oczami listem. Ale ty próbowałeś mnie nim udusić – przypomniałem mu.

– Prawie się udało.

– Gdybym nie zdołał chwycić ikony...

– I zaatakować mnie nią.

– Obronić się nią... Przecież inaczej bym już nie żył.

Kreeg najeżył się.

– Zaraz to naprawimy, Atlasie.

– Kiedy byłeś oszołomiony, wybiegłem na śnieg – powiedziałem. – Byłem ubrany na długą podróż. – Wzruszyłem lekko ramionami. – Nie miałem pojęcia, ile potrwa ta wyprawa...

– Kiedy oprzytomniałem, pobiegłem za tobą do drzwi.

– I od tamtej pory prześladowały mnie słowa, które wykrzyczałeś.

– Znajdę cię, Atlasie Tanit, gdziekolwiek się ukryjesz. I zabiję cię – powtórzył Kreeg.

Skinąłem głową.

– Biegłem i biegłem, byle dalej od ciebie. Wreszcie padłem w jakiejś opuszczonej szopie. – Wspomnienia były tak wyraźne, jakbym od nowa przeżywał każdy bolesny moment. – Nie wyobrażasz sobie, jaki byłem wystraszony, Kreeg. Nie miałem nikogo. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to znaleźć ojca. I postanowiłem to zrobić.

Pogładził się po brodzie.

– Tak przypuszczałem. Myślałem, że może pochłonie cię syberyjska zima... ale przeżyłeś. Nie miałem dotąd okazji zapytać cię, jakim cudem ci się to udało.

Popatrzył na mnie badawczo.

– Nie wiem, Kreeg. Podróż przez Rosję zajęła mi osiemnaście miesięcy. Wiedziałem, że Szwajcaria jest na zachód od Tobolska, więc tam szedłem.

– Jak się orientowałeś, w którą stronę idziesz?

Pokazałem na niebo.

– Dzięki gwiazdom. Ojciec godzinami opowiadał mi o Siedmiu Siostrach. Dlatego potrafiłem określać kierunki.

Kreeg prychnął z pogardą.

– Orientacja orientacją, ale jak wytrzymałeś mróz i głód?

Zamknąłem oczy.

– Myślę, że gwiazdy czuwały nade mną. Zawsze, kiedy całkiem już traciłem siły, trafiałem na jakąś opuszczoną chatę albo ulitował się nade mną jakiś obcy człowiek. Ale ze wstydem przyznam, że musiałem też uciekać się do czynów, z których nikt nie byłby dumny.

– Kradłeś?

Skinąłem głową.

– Kradłem. Kłamałem. Manipulowałem ludźmi. Ale przeżyłem.

Przypatrzył mi się.

– Nikt nie uwierzy, że ośmioletni chłopiec mógł przetrwać osiemnaście miesięcy wędrówki przez rosyjskie pustkowia.

Uniosłem nieco za szybko ręce, by wyrazić, że i mnie bardzo to dziwi, i Kreeg od razu mocniej ścisnął pistolet.

– Doświadczyłem w życiu rzeczy, które potwierdzają, że świat fizyczny to tylko cząstka naszej historii. Nie potrafię wyjaśnić, jakim cudem przeżyłem. Ale udało się.

Kreeg mruknął coś sceptycznie, nieusatisfakcjonowany moją odpowiedzią.

– Nie dotarłem jednak do Szwajcarii. Padłem w krzakach w ogrodzie podparyskiego domu i straciłem przytomność.

Mój wróg nadal interpretował wszystko po swojemu, nie przyjmując do wiadomości oczywistej prawdy.

– A więc próbowałeś znaleźć ojca, by dać mu diament. Wiedział o jego istnieniu i kazał ci go wykraść! Uknuliście to razem.

Nie zwracałem uwagi na to, co mówi.

– Nie winię cię, Kreeg, ale jesteś zaślepiony, nie przyjmujesz faktów. Przysięgam na życie moich córek, że nie wiedziałem o diamencie. Nie wiedziałem nawet, że to diament, póki nie znalazłem się w szopie i nie zajrzałem do skórzanego woreczka, który dała mi twoja matka. A i wtedy myślałem, że to onyks albo jakiś inny kamień półszlachetny, bo twoja matka wysmarowała go czarną pastą do butów i pokryła klejem, którego używała do swoich figurek rzeźbionych w kości. Dopiero kiedy zaczął brudzić mi palce i wziąłem szmatkę, żeby go oczyścić, zorientowałem się, co się kryje pod tą warstwą maskującą. Proszę. – Powoli odpiąłem dwa guziki koszuli i zdjąłem zawieszony na szyi zniszczony skórzany woreczek.

– Co to?

– A jak myślisz? Żałuję, że nie dałeś mi szansy, by go zwrócić osiemdziesiąt lat temu, ale zamierzałeś mnie zabić, a w tamtych czasach nie chciałem umierać. Podobnie jak przy innych okazjach, kiedy mnie wytropiłeś i musiałem uciekać, żeby się ratować. W Lipsku, gdy podpaliłeś dom, w którym mieszkałem, albo w księgarni w Londynie... Przez te wszystkie lata chronilem jednak ten kamień. Miałem nadzieję, że w razie konfrontacji będę mógł ci go zwrócić w zamian za darowanie mi życia i bezpieczeństwo moich córek.

Wziął sakiewkę i próbował rozwiązać ściągający ją sznureczek jedną ręką, co okazało się niemożliwe.

– Nie ma potrzeby celować we mnie, Kreeg. Mam osiemdziesiąt dziewięć lat. Nawet gdybym chciał, nie dałbym rady uciec. Pamiętaj, że jestem tu z własnej woli.

Zastanowił się i po chwili powoli odłożył pistolet na stół. Rozwiązał sznurek i delikatnie wyjął z woreczka jego zawartość. Przyjrzał się dokładnie kamieniowi i zaczął oczyszczać go z pasty do butów, pocierając

nim o spodnie. Potem uniósł go i przypatrzył się mu. Diament mienił się pięknie w śródziemnomorskim słońcu.

Kreeg był autentycznie zdumiony.

– Dlaczego go nie sprzedałeś?

– Nie był mój, nie mogłem go sprzedać.

– A więc przyznajesz, że go ukradłeś!

– Nie. Przyznaję, że w sposób przeze mnie niezamierzony znalazł się w moim posiadaniu.

Milczał przez chwilę. Po raz pierwszy dostrzegłem w wyrazie jego opalonej twarzy cień wątpliwości.

– No tak. Przechowałeś diament. Ale nigdy nie zdołasz przywrócić do życia mojej matki.

– Nie, tego nie mogę, bracie. Ale skoro nie chodziło mi o diament, to powiedz, proszę, dlaczego miałbym życzyć jej śmierci. Tylko ją jedną mieliśmy. Wierz mi, ja też ją kochałem.

Kreeg obracał diament w dłoni.

– Kochałeś tylko to, że miałeś co do gęby włożyć.

Ukryłem twarz w dłoniach.

– Jak można dowieść miłości? To sprawa duszy, oparta na zaufaniu. Gdybyś ufał mi jak brat, którego w tobie widziałem, wiedziałbyś, że nigdy bym jej nie skrzywdził.

– Pięknie powiedziane. Zawsze miałeś gadane.

– Cudowny diament... nareszcie go zwróciłem. – Zamknąłem oczy. Moje płuca wypełniło nasycone solą świeże powietrze. Poczułem na twarzy ciepło słońca. Mimowolnie wyciągnąłem ręce nad głowę i ogarnął mnie niebiański spokój. – Kreeg... ja już nie dźwigam na ramionach brzemienia świata. Jestem ci wdzięczny, że pozwoliłeś mi opowiedzieć, jak było

naprawdę. I teraz... jestem wolny. Podnieś pistolet, bracie. Poddaję się i z radością umrę.

Zawahał się.

– Może zanim to się stanie, chcesz mnie o coś spytać?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Owszem. Jest coś takiego. Upierasz się, że wiedziałem o istnieniu diamentu. Mówiłeś, że powiedział mi o nim mój ojciec. To nieprawda. Skąd w ogóle przyszło ci coś takiego do głowy?

– No dobrze. Usłyszałem twoją historię. A teraz ja opowiem ci swoją. Zacznijmy od twoich narodzin.

56

Tiumeń, Syberia

1918

W czasach rządów cara Mikołaja II w Rosji narastało niezadowolenie społeczne, którego on sam nie potrafił złagodzić ani zdławić. Gniew ludu wynikał z niesprawiedliwego podziału ziemi, której większość należała do arystokracji.

Głęboko religijni poddani co tydzień chodzili do cerkwi, gdzie wpajano im, że Mikołaj jest carem z woli boskiej, ale ponieważ panował głód, wierni zaczęli się zastanawiać, dlaczego ich pomazaniec boży potrzebuje tyle ziemi i władzy, by wypełniać swoje obowiązki, kiedy ich rodziny mają tak mało. Ruch rewolucyjny zaczynał nabierać mocy. Skulminowało się to w lutym 1917 roku. Protesty i brutalne starcia nie pozostawiły carowi Mikołajowi II wielkiego wyboru – musiał abdykować. Przekazał władzę bratu, wielkiemu księciu Michaiłowi Aleksandrowiczowi. Lecz książe czuł, na co się zanosi, i odmówił wstąpienia na tron – stwierdził, że zrobiłby to jedynie wtedy, gdyby został wybrany demokratycznie.

W efekcie uformowano rząd tymczasowy, pod kierunkiem Aleksandra Kiereńskiego. Początkowo dobrym rozwiązaniem problemu monarchii wydawało się wygnanie. Po lutym szanse na uzyskanie azylu wyglądały obiecująco, ale po kilku miesiącach debaty Wielka Brytania i Francja wycofały ofertę przyjęcia na swoje terytorium rodziny carskiej, bo uważano, że żona Mikołaja II, Aleksandra, sprzyja Niemcom.

Rozgorzała dyskusja, co zrobić z rodziną carską, ale póki Kiereński dzierżył władzę, Romanowowie byli stosunkowo bezpieczni. Internowano ich w domu gubernatora w Tobolsku, gdzie mogli żyć w miarę wygodnie. Rząd finansował ich utrzymanie. Do Romanowów w Tobolsku pozwolono też dołączyć pewnej liczbie członków dworu. Car i jego żona wybrali do swojego otoczenia najbardziej zaufane osoby.

Kilka miesięcy później wybuchła rewolucja październikowa. Panowało ogólne niezadowolenie w związku z przedłużającym się udziałem Rosji w pierwszej wojnie światowej i rządami Kiereńskiego. Rewolucjoniści obalili rząd tymczasowy i przejęli władzę. Na czele nowego rządu stanął Włodzimierz Lenin.

Sytuacja rodziny carskiej zmieniła się diametralnie. Bolszewicy spierali się na temat ich dalszych losów. Niektórzy opowiadali się za ekstradycją, inni chcieli skazać ich na dożywotnie więzienie. Wielu jednak żądało natychmiastowej egzekucji, by raz na zawsze pozbyć się raka, który stał na drodze do prawdziwej równości ludu.

Kiedy stery przejął Lenin, czas, jaki wolno było spędzać Romanowom poza domem gubernatora, został ograniczony i wszystko odbywało się pod ścisłym nadzorem. Zabraniano im nawet chodzić w niedziele do cerkwi. Nie trzeba mówić, że dotacje, które zapewniał rząd Kiereńskiego, skończyły się i z dnia na dzień „luksusy” takie jak masło czy kawa przestały wchodzić w rachubę. Przywództwo partii uzgodniło w końcu, że najlepsze rozwiązanie to sąd pokazowy w Moskwie, co byłoby demonstracją siły nowych władz. Do tego potrzebny był jednak car, żywy. A tego nie dało się zagwarantować. Na niższych szczeblach odzywało się coraz więcej głosów krytycznych na temat postępowania z Mikołajem II i w marcu 1918 roku Tobolsk został zajęty przez rywalizujące frakcje. Rosły obawy o bezpieczeństwo rodziny carskiej, więc rząd wyznaczył

specjalnego komisarza, by przenieść Romanowów prawie sześćset kilometrów dalej, do Jekaterynburga.

Komisarz Wasilij Jakowlew i jego ludzie postanowili wyruszyć w pełną niebezpieczeństw drogę w środku nocy. Mikołaj, jego żona Aleksandra i najstarsza córka Olga zostali wywleczeni z łóżek o drugiej, podobnie jak inni domownicy. Musieli przeprowiać się przez rzeki, zmieniać powozy. Kilka razy cudem uniknęli śmierci, kiedy udaremnilo próby ich zabójstwa. Po dwustu czterdziestu kilometrach ryzykownej podróży rodzina wraz z towarzyszącymi jej osobami dotarła do Tiumenia, gdzie Jakowlew zarekwirował pociąg, by szybko odstawić ich do Jekaterynburga.

– Wsiadajcie – warknął do byłego cara.

– Dobrze – odparł Mikołaj i wziął Olgę za rękę. Aleksandra poszła za nimi.

Lapetus Tanit, osobisty astrolog cara i nauczyciel carewicza i jego siostr, objął ramieniem żonę, Clymene, damę dworu carycy. Clymene była w zaawansowanej ciąży, więc mąż całą drogę martwił się o jej zdrowie. Nie mieli jednak wyjścia, musieli wykonywać rozkazy komisarza Jakowlewa. Gdyby zostali w Tobolsku, zajęliby się nimi czerwoni.

Clymene ruszyła za Aleksandrą, ale po jednym kroku skrzywiła się z bólu.

Lapetus podtrzymał ją.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Tak – szepnęła. – On jest dziś bardzo ruchliwy.

– O, już mówimy o naszym dziecku „on”? – Lapetus zdobył się na uśmiech.

– Stać! – krzyknął Jakowlew do pary zbliżającej się do pociągu. – Tylko rodzina.

– A my co mamy robić? – zapytał Lapetus.

– Wy idziecie tam. – Jakowlew wskazał na wagon niedoczepony do lokomotywy.

– Czy... Jego Wysokość o tym wie?

Jakowlew roześmiał się.

– To nie ma znaczenia. A teraz – powiedział, unosząc broń – wsiadajcie do wagonu.

– Czy to konieczne mierzyć do ciężarnej kobiety? – zaprotestował Lapetus.

– Jak najbardziej, bo podobnie jak ty ślepo służy podłemu despotcie.

Lapetus poczuł dłoń na ramieniu.

– Chodź, przyjacielu, idziemy.

Cronus Eszu był pruskim hrabią, lojalnym członkiem dworu od czasów rządów ojca Mikołaja II. Odpowiadał za nauczanie carskich dzieci języków i wiedzy o obcych kulturach. Ponieważ Lapetus uczył muzyki i filologii klasycznej, ich lekcje często miały punkty wspólne i przez lata ci dwaj się zaprzyjaźnili. Cronus ożenił się z Rheą – która również była damą dworu Aleksandry. Mieli czteroletniego synka, Kreega.

Krążyły słuchy, że car Mikołaj II nie przepadał za Cronusem tak bardzo jak jego ojciec, po rewolucji wybrał go jednak do swojego otoczenia ze względu na małego syna nauczyciela, którego nie chciał skazywać na śmierć.

– Masz rację, Cronusie – odparł Lapetus. – Jakie mamy wyjście?

Pomógł żonie wsiąść do stojącego obok wagonu, w którym było ciemno, wilgotno i w ogóle okropnie. Potem wziął od Cronusa Kreega i postawił na deskach podłogi.

– No to jesteśmy na miejscu, mały. – Lapetus rozejrzał się po wagonie.

– Dobry Boże, ależ tu ziąb.

– Rzeczywiście. Jakimś cudem jeszcze gorszy niż na zewnątrz – zauważyła Clymene.

W sumie do wagonu kazano wsiąść siedmiu osobom z carskiego otoczenia, w tym dwóm innym damom dworu. Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, drzwi zostały zasunięte.

Usłyszeli okrzyk Jakowlewa:

– Jedziemy!

Lokomotywa z sykiem wypuściła parę, nabierając mocy. Tanitowie i Eszu patrzyli przez okienko w wagonie, jak wielkie koła zaczynają się obracać i Romanowowie odjeżdżają ze stacji w Tiumeniu.

– Myślisz, że naprawdę jadą do Jekaterynburga? – odezwała się Rhea.

– Kto wie, kochanie – odparł Cronus. – Oni stale się między sobą kłóca.

– Czy jeszcze kiedyś zobaczymy Ich Wysokości? – spytała męża Clymene ze łzami w oczach.

– Obawiam się, że nie, kochanie. Obawiam się, że nie. – Wziął żonę za rękę.

– Te biedne niewinne dzieci. To wszystko nie mieści się w głowie.

Nagle wszyscy w wagonie upadli, kiedy coś z wielką siłą uderzyło w nich z tyłu.

– Co się dzieje?! – krzyknęła z podłogi Rhea.

– Przetaczają nas! – zawołał Cronus.

Po kilku pełnych napięcia minutach wagon wreszcie zatrzymał się na buforze. Żołnierz odryglował i odsunął drzwi.

– Zostańcie na miejscu – rozkazał.

– Jest jakaś szansa na coś do jedzenia dla żony? – zapytał Lapetus. – Albo koc? Jak widzicie, jest w ciąży. Możecie potępić nas za związki z carem, ale co temu winne nienarodzone dziecko?

Żołnierz przewrócił oczami, ale chwilę później wrócił z szorstkimi wełnianymi derkami i paroma kawałkami chleba.

– Dziękuję – powiedział z wdzięcznością Lapetus.

Przez kilka kolejnych godzin w wagonie nic się nie działo, więc postanowili się przespać. Wszyscy byli wyczerpani po długiej podróży. Skulili się w kącie wagonu, jedno blisko drugiego, by dzielić się tą odrobiną ciepła, jaka w nich jeszcze pozostała.

Dość szybko Cronus Eszu i jego żona zaczęli pochrapywać, jak to im się często zdarzało.

– Lapetus? – szepnęła Clymene. – Nie śpisz?

– Nie, kochanie. Wszystko w porządku? – Sięgnął do jej dłoni.

– Tak. Ale mam ci coś do powiedzenia. Myślisz, że wszyscy inni już śpią?

Uniósł głowę i popatrzył na Cronusa i Rheę, których piersi unosiły się i opadały w powolnym miarowym rytmie. By się upewnić, cichutko gwizdnął, ale nie wywołało to żadnej reakcji.

– Tak. Możesz swobodnie mówić – powiedział.

– Dobrze. Wieczorem, nim opuściliśmy Tobolsk, caryca powierzyła mi pewne zadanie. Obawiam się, że nie zdołam go już wykonać.

– Co to za zadanie?

Clymene odetchnęła głęboko.

– Wiedziała, że w nocy Jakowlew nas przeniesie. Spytałam, czy chce zabrać coś, co by jej przypominało o przeszłości i jej prawie do tronu. Podeszła do toaletki, wyciągnęła pudełeczko z szuflady i je otworzyła. I...
– Przerwała, bo Cronus stęknął, ale po chwili znów zaczął chrapać. – Wyjęła największy diament, jaki widziałam w życiu. Powiedziała, że był w rodzinie carskiej od pokoleń i jest jej ulubionym klejnotem. Mówiła, że nie może go zabrać sama, bo wpadłby w ręce bolszewików. Więc...

– Dała ci go – dokończył za żonę Lapetus.

– Tak.

– Gdzie jest teraz?

– Bezpiecznie zaszyty w podszewce mojej spódnicy.

Lapetus westchnął.

– Mogę się tylko modlić, byś miała możliwość go jej zwrócić.

– Nikt nie może o tym wiedzieć.

– Rozumiem, kochanie. – Ścisnął mocniej jej dłoń. – I nikt się nie dowie.

W końcu zmęczenie wzięło górę i oboje usnęli.

Kiedy Clymene się obudziła, przeszył ją straszny ból w brzuchu. Całkiem jakby ktoś dostał się do jej wnętrza i je szarpał. Krzyknęła.

Jej mąż usiadł prosto.

– Kochanie, co się stało?

– Dziecko – jęknęła.

Położył delikatnie dłoń na jej brzuchu.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem. Boli... – Chwycił ją kolejny atak bólu i znowu krzyknęła.

– Co się dzieje? – zapytał półprzytomny Cronus.

– Dziecko – odparł Lapetus, uzmysławiając sobie, że jego bok jest mokry. – Kochanie, mam wrażenie, że dziecko się rodzi.

Clymene się przeraziła.

– Ale to miało być dopiero za miesiąc!

– Myślę, że odeszły ci wody. Cronus, możesz przynieść jakąś lampę?

– Oczywiście, jest jedna przy drzwiach.

Wszyscy w wagonie obudzili się i siadali. Clymene znów pisnęła z bólu.

– Będzie dobrze, kochanie, zobaczysz. Jestem tu – pocieszał ją mąż.

Cronus wrócił z lampą naftową, pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu zapalki i kiedy ją znalazł, podał Lapetusowi. Ten odsunął derkę z siebie i żony i z przerażeniem dostrzegł, że płyn nie jest czysty, ale zabarwiony na czerwono.

Clymene zauważyła wyraz jego twarzy.

– Co się stało?

– Nic, kochanie, nic – zapewnił, starając się nie panikować.

– Rhea! – krzyknął Cronus.

Jego żona odrzuciła nakrycie i podeszła do Clymene. Lapetus pokazał na krew, a Rhea skinęła głową.

– Wiera, Galina! – wrzasnęła do dwóch dam dworu. – Potrzebuję waszej pomocy.

Obie natychmiast stanęły u jej boku.

– Mama? – odezwał się cienki głosik. – Co się dzieje?

– Wszystko dobrze, Kreeg – powiedział Cronus, biorąc synka na ręce. – Chodź z tatą, pogramy w karty.

– Spać mi się chce – marudził chłopczyk.

– Wiem, ale zaraz się rozbudzisz.

– Lapetus, zbierz jakieś prześcieradła. Wiera, potrzebuję wody.

– Przecież ledwie mamy tyle co do picia...

– Na Boga, rozejrzyj się! – warknęła Rhea. – Postaraj się stopić śnieg.

Wiera wybiegła z wagonu.

Rhea zajrzała pod spódnicę Clymene, żeby sprawdzić, czy nie pokazało się dziecko. To, co zobaczyła, mocno ją zaniepokoiło.

– Clymene, wszystko będzie dobrze. Dziecko się rodzi, ale jest obrócone nie tak, jak trzeba. Nóżkami do przodu. – Odetchnęła głęboko. –

To nie będzie łatwe, ale wszyscy ci pomożemy.

– Czy to dlatego jest tyle krwi? – szepnęła zmartwiona Galina.

Rhea skinęła głową.

– Nóżki ją rozdarły.

Wrócił Lapetus z prześcieradłami.

– Co mam robić? – zapytał.

Rhea obróciła głowę, żeby tylko on mógł ją usłyszeć.

– Trzymaj ją za rękę, gładź po włosach i módl się.

Skinął głową i przykucnął przy żonie.

Poród był długi i bolesny. Wiele razy Rhea była już pewna, że Clymene straci przytomność, co oznaczałoby koniec dla niej i dziecka. Ale za każdym razem, kiedy już zdawało się, że rodząca kobieta jest bliska poddania się, jakimś cudem zbierała siły i walczyła dalej.

– Dobrze, Clymene. Przyj jeszcze raz i dziecko zaraz tu będzie. Ale przyj mocno. Daj z siebie wszystko.

Zasapana Clymene skinęła głową.

– Dobrze – rzuciła Rhea, po czym zwróciła się do Lapetusa. – Kiedy pojawi się główka, na szyi będzie pępowina. Wyciągnę dziecko, a ty wtedy jak najszybciej ją rozplącz. Rozumiesz?

Wstrząśnięty Lapetus starał się potwierdzić, kiwając głową.

– No to jesteśmy gotowi. Teraz, Clymene. Gotowa?

– Tak – wyjąkała Clymene.

– Trzy, dwa, jeden, przyj!

Krzyki Clymene przeszywały jej męża na wskroś. Nagle dziecko zostało wypchnięte, ale Rhea zręcznie je podtrzymała. Lapetus był w szoku, patrząc na sinoniebieskie maleństwo, które wydobywało się na świat.

– Lapetus! – krzyknęła Rhea. – Teraz!

Zgodnie z jej poleceniem nie wahał się. Złapał za pępowinę, która była okręcona wokół szyi dziecka.

– Nie cackaj się. Zdejmuj ją, szybko!

Wbrew temu, co podpowiadała mu intuicja, Lapetus na siłę odplątał pępowinę i uwolnił dziecko.

– Dlaczego... ono... nie płacze? – wyszeptała Clymene.

Lapetus i Rhea patrzyli na małe ciało, które jeszcze nie zaczerpnęło powietrza.

– O Boże... Proszę... tylko nie to – wymamrotał Lapetus.

Rhea złapała dziecko za nóżkę, niczym nowo narodzone ciele, i trzepnęła je mocno w pupę. Nagle noworodek ożył i gdy nad Tiumentem pojawiły się pierwsze promienie słońca, w wagonie rozległo się dziecięce kwilenie.

Rhea podała maleństwo matce.

– Proszę. Dobra robota, Clymene. Byłaś świetna.

Clymene patrzyła na dziecko. Mąż był tuż obok niej.

– Witaj, synku.

– Wiedziałaś, że to będzie chłopiec – powiedział Lapetus, czując, jak łązy podchodzą mu do oczu. – Jestem z ciebie taki dumny.

Żona uśmiechnęła się do niego, tak jak wtedy, kiedy ich oczy po raz pierwszy spotkały się na sali balowej w Pałacu Aleksandrowskim.

– Ty też nieźle się spisałeś. Bez ciebie nie dałabym rady.

– Stworzyłaś coś tak doskonałego, Clymene.

– Razem stworzyliśmy.

– Nie, on jest idealny, bo pochodzi od ciebie.

Podszedł do nich Cronus z Kreegiem na rękach.

– Moje gratulacje, przyjaciele. Im nas więcej, tym weselej w tym wagonie. I dobra wiadomość, Lapetus...

Wskazał na szafkę z zapasami.

– Jest tu butelka bimbru. Należę nam trochę na pępkowe!

– Nie ma mowy, Cronusie! – zaprotestowała jego żona. – Przynieś ją natychmiast. Trzeba zdezynfekować rany Clymene. To jest teraz najważniejsze.

Cronus zaśmiał się.

– No cóż, Lapetus. Nie powiesz, że nie próbowałem.

Gdy syberyjskie słońce wspięło się wyżej na niebie, w wagonie zapanowała cisza. Wszyscy poza nowymi rodzicami, wyczerpani po ostatnich pełnych napięcia pięciu godzinach, usnęli, a małeństwo ssało z zadowoleniem pierś matki.

– On jest taki grzeczny – szepnął Lapetus.

– Jest głodny. – Clymene uśmiechnęła się.

– Wiem, że nie pozwoliliśmy sobie na rozmowy na temat imienia, bo baliśmy się, co może nas spotkać – powiedział Lapetus. – Ale skoro on już tu jest, jak damy mu na imię?

– Czy nie obiecałeś mamie, że twoje pierworodne dziecko będzie nosić jej imię? – Clymene zachichotała.

– Rzeczywiście. Ale myślę, że do naszego syna nie za bardzo pasuje imię Agatha.

– Augustus? – spytała.

– Nie sądzisz, że trochę zbyt pompatyczne? – odparł Lapetus. – Augustus Tanit. Jakoś nie jestem przekonany.

Uniósł głowę, zastanawiając się nad możliwymi imionami.

– Byłoby jednak miło, gdyby zaczynało się na A. Aleksiej? Aleksander, na cześć cara? – zaproponowała Clymene.

Spojrzał na żonę.

– Chciałabyś, żeby nosił imię jak wyrok śmierci?

Pokręciła głową.

– Tak tylko drażnię się z tobą, kochanie. – Nagle się skrzywiła. – Auuu.

– Co jest?

– Tak mnie boli... – Sięgnęła dłonią do miejsca, gdzie czuła ból. Kiedy wyjęła ją spod spódnicy, miała całe palce we krwi.

Lapetus przeraził się.

– Nadal krwawisz...

Clymene przełknęła z trudem ślinę.

– Tak.

– Co mam zrobić? – spytał.

Popatrzyła mu w oczy i przyłożyła czule dłoń do jego policzka.

– Kocham cię całym sercem. To jedyne, czego w życiu byłam zawsze absolutnie pewna.

– Ja ciebie też, Clymene.

– Ale teraz... Jestem taka... zmęczona.

Zamknęła oczy, a mąż zaczął gładzić ją po włosach.

– Odpocznij, kochana. Nic ci nie grozi, dziecko też jest bezpieczne, jesteśmy razem.

Wkrótce matka, ojciec i dziecko zapadli w głęboki sen.

Obudził ich brutalny rozkaz:

– Wstawać!

Świeżo upieczeni rodzice, mrużąc oczy w jaskrawym świetle, które wpadło do środka zza odsuniętych gwałtownie drzwi, dostrzegli strażnika,

który wymachiwał w ich kierunku bronią.

Wkrótce wszyscy w wagonie spełnili polecenie. Wszyscy poza Clymene, która była śmiertelnie blada.

– Kochanie? – odezwał się do niej Lapetus.

Powoli zamruwała.

– Mówię: wstać, z rozkazu Armii Czerwonej!

Noworodek zaczął kwilić.

– Proszę, moja żona źle się czuje. Tej nocy urodziła. Jeśli macie odrobinę współczucia, wezwijcie lekarza – błagał Lapetus.

Strażnik podszedł do nich powoli.

– Współczucia? A gdzie było współczucie cara, kiedy ludzie umierali z głodu na polach? – syknął. – Ona ma wstać!

– Dobrze... – szepnęła Clymene. – Lapetus, weź dziecko.

Wziął syna na ręce, a Rhea Eszu podskoczyła, by pomóc Clymene się podnieść.

– Mam tu listę – warknął strażnik. – Następujące osoby pójdą ze mną: Wiera Orłowa, Galina Nikołajewa, Clymene Tanit.

– Czego chcecie od dam dworu? – zapytał Cronus. – Mają dołączyć do carycy?

Na ustach strażnika powoli pojawił się uśmiech.

– Można chyba tak powiedzieć – rzucił.

Wiera i Galina, obejmując się, zaczęły szlochać.

Lapetusa przebiegł zimny dreszcz.

– Proszę pana, żona tej nocy urodziła. Dziecko potrzebuje matki.

Strażnik popatrzył na Clymene i skinął głową.

– Dzieciaka też możemy zabrać.

– Nie! – krzyknęła Clymene. – Nie!

Jej mąż padł na kolana.

– Proszę, pozwólcie jej tu zostać. Co złego możemy zrobić w tym wagonie? Błagam. Nie rozdzielajcie naszej rodziny.

– Wasz najdroższy Mikołaj nie troszczył się o rodziny i mnie też takie rzeczy nie obchodzą. Ona ma iść z nami.

– Weźcie mnie zamiast niej.

Strażnik zaczął rechotać.

– Nie, nic z tego. Nasi byliby bardzo niezadowoleni z takiej zamiany.

Lapetus czuł, jak spinają mu się mięśnie.

– Proszę, ona jest chora.

– Widzisz tę twarz? – wycedził strażnik przez zęby, pokazując palcem na swoją gębę. – Przypatrz się jej. To twarz człowieka, któremu to wszystko jest obojętne. – Ruszył do drzwi. – Wybór jest prosty. Wychodzicie albo zostanieie zastrzelone.

Lapetus zerwał się na nogi i objął żonę.

– Clymene... – Po policzkach płynęły mu łzy.

– Już dobrze – szepnęła. – Dobrze.

– To nie może się stać – łkał. – Tak daleko zaszliśmy, kochana. Tak daleko... – Przytulił ją mocno.

– I ty, i ja wiemy, że ja i tak nie zostanę długo na tym świecie. Nie da się powstrzymać krwawienia.

– Gdybyśmy tylko mogli zawieźć cię do lekarza...

– To równie prawdopodobne jak to, że nasze dziecko zaraz wstanie i zacznie chodzić. Dla tych ludzi jesteśmy ucieleśnieniem całego zła, wszystkiego, czego nienawidzą. – Zbierając resztki sił, ujęła głowę męża i pocałowała go. – Muszę już iść, Lapetusie. Bądź dzielny. Dla naszego dziecka.

– Będę – szepnął.

– Chroń go.

– Zawsze. Kocham cię, Clymene.

– Ja też cię kocham. A teraz, maleńki... – Skupiła uwagę na synu. – Znaliśmy się tak krótko. Szkoda. Przykro mi z tego powodu, za nas oboje. Mama kocha cię bardziej niż cokolwiek na świecie. – Łza spłynęła z jej oka na policzek syna. – Nie zdążę cię wiele nauczyć. Powiem ci tylko jedno: bądź dobry, kruszynko. To sekret szczęścia.

Pocałowała delikatnie główkę dziecka.

A potem nabrała głęboko powietrza i z wysiłkiem ruszyła chwiejnym krokiem do drzwi. Wraz z dwiema pozostałymi kobietami wepchnięto ją na wóz. Lapetus patrzył na to, trzymając na rękach syna i szlochając z rozpacz. Woźnica zaciął ogiera i wóz ruszył, zabierając Clymene i jej dwie towarzyszki, i wkrótce znikł z pola widzenia.

Lapetus spojrział na noworodka, który kwilił cichutko w jego ramionach.

– Przykro mi, synu. Tak bardzo mi przykro.

I wtedy po raz pierwszy dziecko otworzyło przepastne ciemne oczy.

– Dźwigasz na ramionach ciężar świata. Dam ci na imię Atlas.

Tego dnia Cronus Eszu i jego żona robili wszystko, by pocieszyć Lapetusa, który popadał w czarną rozpacz.

– Jak ja go nakarmię? O Boże, jego też mogę stracić.

– Wczoraj widziałam kozę z młodymi – powiedziała Rhea. – Jakieś dwa kilometry stąd. Cronus przyprowadzi tu matkę. Jej mleko wystarczy.

– Gdzie się wszyscy podziiali, tato? – spytał Kreeg.

– Wybrali się na spacer. Ja też zamierzam się przejść, żeby zaprzyjaźnić się z kózką.

Lapetus złapał przyjaciela za rękę.

– To niebezpieczne – rzucił. – Nie wiem, gdzie są strażnicy, ale jak cię zobaczą...

– No to zobaczą – odparł spokojnie Cronus. – Twoje dziecko musi jeść. Jak my wszyscy. I nie mamy pojęcia, jak długo tu będziemy. Trzeba to zrobić.

– Przynajmniej pozwól, że z tobą pójdę – poprosił Lapetus.

– Sam mówiłeś, że jeśli mnie zauważą, to najprawdopodobniej zastrzelą. Mały Atlas nie zasługuje na to, by jednego dnia stracić oboje rodziców. – Cronus położył dłoń na ramieniu przyjaciela, by go uspokoić. – Nic mi się nie stanie. A teraz pomóż mi rozedrzeć prześcieradło. Będę potrzebował powrozu.

Dotrzymał słowa i dwie godziny później wrócił nie tylko z matką kozą, ale też z dużym capem i kilkorgiem młodych, które dreptały za nimi.

– Chyba rodzina nie chciała się rozdzielać – skwitował i roześmiał się.

Rhea wydoiła kozę i pokazała Lapetusowi, jak się zabrać do żmudnego procesu karmienia. Miał maczać palec w mleku i wkładać go synkowi do buzi, co mały przyjmował z entuzjazmem.

Do wieczora biedna koza nie miała już kropli mleka, a pięcioro mieszkańców wagonu po raz pierwszy od długiego czasu miało pełniejsze brzuchy.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, dobiegł ich z oddali tętent kopyt.

– Wracają – powiedziała Rhea, przytulając mocno Kreega.

Jeździec zbliżał się i wkrótce drzwi wagonu zostały gwałtownie odsunięte. Zza nich ukazał się żołnierz, którego wcześniej nie widzieli.

– Jesteście wolni – oświadczył.

Zszokowani milczeli.

– Słucham? – odezwał się wreszcie Cronus.

– Nie macie dla nas znaczenia. Możecie iść.

Cronus był zdumiony.

– Mogę zapytać, co się zmieniło?

Żołnierz westchnął.

– Biała armia wysyła posiłki w ten rejon. Wy to dla nas najmniejsze zmartwienie.

– Dokąd niby mielibyśmy pójść? – spytała Rhea. – Zabraliście nam dokumenty.

Wzruszył ramionami.

– To wasz problem, nie mój – rzucił i odwrócił się, by odejść.

– Chwileczkę – odezwał się Lapetus. – Czy tą linią znów zaczną jeździć pociągi? Czy możemy skorzystać z budynku stacji?

– Kolej transsyberyjska została przejęta przez białych. Jak myślicie? Jaką drogą będą wysyłać posiłki? Oni już tu jadą, teraz, kiedy o tym mówimy.

– Niech mi pan powie, gdzie jest moja żona – poprosił Lapetus.

Żołnierz patrzył na niego przez chwilę, ale nie odezwał się ani słowem. A potem zrobił w tył zwrot i odszedł.

– Nie mogę wprost uwierzyć – szepnął Cronus. – Oni chyba sami już nie wiedzą, kto tu rządzi.

– To co robimy? – spytała Rhea.

– Nie byłbym pewny, czy mamy wielki wybór – odparł jej mąż. – Bez dokumentów grożą nam kłopoty. Biali uznają nas za czerwonych, a czerwoni za białych.

– Oni najwyraźniej chcą, żebyśmy tu zostali – stwierdził Lapetus. – O to w tym chodzi. Doskonale zdają sobie sprawę, że nie możemy nigdzie pójść bez papierów.

– Obawiam się, że masz rację – przyznał Cronus. – Dzięki Bogu za te kozy i... – podszedł do szafki i wyciągnął butelkę – wódkę.

Następny miesiąc był trudny, ale wpadli w pewną rutynę. Rano doili kozę, a Cronus szedł polować. Choć rzadko udawało mu się coś przynieść, zdarzało się, że w jego sidła złapał się królik, i wtedy mieszkańcy wagonu zajadali się mięsem. Potrafił wyciągnąć trochę paliwa z porzuconej dreźny, więc rozpalenie ognia nie było problemem.

Po czterech tygodniach do wagonu zapukał czerwonoarmista i podał Cronusowi jakieś papiery.

– Co to takiego?

– Dokumenty.

Zszokowany Cronus zaczął je przeglądać.

– Ale tu jest tylko jeden komplet. A potrzebujemy pięć.

– Ten dokument jest wystawiony na pięć osób. – Żołnierz wzruszył ramionami. – Musicie podróżować razem.

Oddalił się równie szybko, jak się pojawił.

Tego wieczoru zastanawiali się, co robić dalej.

– To celowe – powiedział Lapetus. – Chcą, żebyśmy trzymali się razem, tak będzie im łatwiej nas śledzić.

Cronus skinął głową.

– To dokąd się wybierzemy?

Lapetus westchnął.

– Do Tobolska. To najbliższa miejscowość.

– A kiedy już tam będziemy, co wtedy? – spytała Rhea. – Może to zabrzmi dziwnie, ale tu przynajmniej mamy dach nad głową i możemy zdobyć jedzenie.

– W Tobolsku warunki będą lepsze. Wszyscy będziemy mogli zarabiać jakieś pieniądze. A co do mieszkania, jakieś znajdziemy, nie będziemy wybrzydzać.

Jak można było przewidzieć, droga piątki wędrowców do Tobolska była męką. Włożyli na siebie wszystko, co mieli, a na to narzucili derki. Lapetus zrobił sobie nosidełko dla Atlasa i przytroczył je na piersi pod futrem. Cronus prowadził matkę kozę, którą dojono wiele razy, żeby nakarmić dziecko. Kozła i młode poświęcono, by było co jeść podczas drogi. Po tygodniu morderczej wędrówki przez śniegi wyczerpani dotarli na przedmieścia miasteczka, kiedy zaczynało zachodzić słońce.

– Rozglądajmy się za domem, w którym nie pali się światło – poradził Lapetus.

Po godzinach poszukiwań i zwiadów trafili na małą chałupę, która na pewno nie była zamieszkana. Nazwanie jej zrujnowaną byłoby niedopowiedzeniem: powybijane okna, rozpadające się cegły, wyłamane drzwi.

Ale nic innego nie było.

Przez następnych kilka tygodni mężczyźni stopniowo naprawiali, co się dało. Zabili okna dyktą, nareperowali drzwi. Potem skupili się na finansach. Lapetus i Cronus przez niemal godzinę spierali się, do kogo w miasteczku się zwrócić, ale Rhea podsunęła inne rozwiązanie.

– Wiem, że mam talent do rzeźbienia w kości. Moglibyśmy spróbować sprzedawać moje prace na rynku – zaproponowała. – Choć wątpię, by łatwo było tu trafić na kły morsów.

– Racja – przyznał Lapetus. – A nie mogłabyś rzeźbić w kościach nóg piźmowców syberyjskich? W lasach ich pełno.

– Albo jenotów – dorzucił Cronus. – Czaszki też by się nadawały?

Rhea skinęła głową i cała trójka się zamyśliła; zastanawiali się, jak to możliwe, że z Pałacu Aleksandryjskiego trafili tutaj jako ludzie żerujący na kościach zwierząt, żeby przeżyć.

Cronus i Lapetus zaczęli polować, by Rhea miała w czym rzeźbić, co przynosiło podwójną korzyść gospodarstwu, bo dzięki temu mieli co jeść. Kiedy powstała kolekcja rzeźbionych figurek, osobliwa rodzina wybierała się na cotygodniowy targ w Tobolsku, by sprzedawać towar. Pewnego dnia na środku stał mężczyzna grający na skrzypcach. Lapetus obserwował go z godzinę. Ogarnęła go tęsknota za wcześniejszym życiem. Skrzypek miał talent, ale jego postawa była fatalna, co obudziło w Lapetusie dawnego nauczyciela. W chwili śmiałości podszedł do samotnego muzyka.

– Proszę wybaczyć – powiedział. – Jest pan niezwykle utalentowany, ale gdyby inaczej trzymał pan łokieć, byłoby o wiele łatwiej poprawnie

zagrać wszystkie nuty. Mogę?

Mężczyzna nieufnie pozwolił mu skorygować rękę, nim znów zagrał.

– Od razu lepiej – rzucił. – Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Lapetus uśmiechnął się do niego szeroko i odwrócił się, by wrócić do stoiska z rzeźbami.

– Daje pan lekcje? – zapytał skrzypek. – Nie jestem taki zadufany w sobie, by uważać, że nie mógłbym lepiej grać.

– Ośmielę się zauważyć, że na pewno mógłby pan. – Lapetus westchnął. – Byłem kiedyś nauczycielem. Ale już nie jestem.

– Szkoda. – Skrzypek wzruszył ramionami. – Wziąłbym u pana parę lekcji. Nie mogę zapłacić wiele, ale chętnie oddałbym jedną trzecią tego, co zarabiam w dni targowe.

Lapetus rozpromienił się tak, jak mu się to nie zdarzało od wielu miesięcy.

Kilka tygodni później po Tobolsku rozeszła się wieść o jego talencie. Zaczął dawać lekcje każdemu, kto mu płacił. W ten sposób cała piątka mogła się utrzymać i tak to było przez jakieś pięć lat.

Starali się wmieszać dyskretnie w społeczność Tobolska. Ich egzystencję zdominowały niepokój o bezpieczeństwo, zwłaszcza że nie byli pewni, kto obecnie rządzi. Wiele razy rozmawiali o ucieczce z Rosji i powrocie do ojczystych krajów: dla Lapetusa byłaby to Szwajcaria, dla Cronusa i jego żony – Prusy. Wszystkie ich plany wydawały się jednak zbyt niebezpieczne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że mieli dwójkę małych chłopców.

Atlas rósł, a jego ojciec poświęcał wiele godzin podczas długich, mroźnych zim, ucząc syna gry na skrzypcach, które dostał od jednego z uczniów. Atlas wykazywał niezwykły talent. Lapetus zawsze się wzruszał, słuchając gry syna.

– Słowo daję, Rhea – powiedział po skończonej lekcji. – Od kiedy uczę gry, nigdy nie spotkałem dziecka, które byłoby tak uzdolnione. Mój syn ma zadatki na wirtuoza! Clymene byłaby z niego taka dumna.

– Lepiej poszedłby z Cronusem i Kreegiem uczyć się polować – skwitowała brutalnie Rhea. – Ta umiejętność bardziej by się przydała nam wszystkim.

Lapetus nie wziął sobie do serca jej słów.

– Wiesz, z wielką chęcią pouczyłbym też Kreega – powiedział. – W końcu Cronus uczy Atlasa języków. Może tylko musielibyśmy wybrać mu odpowiedni instrument...

Rhea przewróciła oczami.

Mimo wysiłków Lapetusa Kreeg wykazywał niewielkie zainteresowanie muzyką, zresztą nie lubił też lekcji języków obcych z ojcem. Lapetus uważał, że to smutne. Widział błysk w oczach Cronusa, kiedy ten uczył Atlasa podstaw francuskiego, angielskiego czy niemieckiego. To była namiastka ich dawnego życia. Ale jedynym wspólnym zajęciem z ojcem, w które angażował się Kreeg, było, tak jak zauważyła Rhea, polowanie.

Kiedy tylko Atlas nauczył się formułować zdania, zaczął pytać o mamę i o to, gdzie ona jest. Lapetus bał się tego najbardziej, ale był przygotowany. Wziął syna na ręce i wyniósł z chaty pod nocne niebo.

– Jest tam, pomiędzy gwiazdami, Atlasie.

– Dlaczego? – zapytał chłopiec.

– Bo to tam trafiają ludzie, kiedy opuszczają ziemskie ciała. Stają się... gwiezdny pyłem.

Syn zamyślił się, patrząc wielkimi oczami na ogrom nieba.

– Mogę zobaczyć mamę?

– Możliwe, jeśli dobrze się przypatrzysz. – Lapetus pokazał w górę. – Chyba jest gdzieś tam, pomiędzy Siedmioma Siostrami z Plejad.

– Siedmioma Siostrami? – zapytał Atlas.

– Tak. Widzisz te gwiazdy? O tam... trochę jaśniejsze od innych.

Chłopiec skinął głową, a ojciec się uśmiechnął.

– Opowiem ci ich historię...

Od tamtej chwili Atlasa Tanita fascynowało niebo i to, co się tam znajduje. Ojciec przekazał mu wiedzę o mitach greckich i legendy, które opowiadały o powstaniu konstelacji gwiazd, a także to, co mówi astronomia o tych świecących cudach.

– Nigdy nie zabłądzisz, póki widzisz gwiazdy, synu.

– Naprawdę?

– Tak. Gwiazda Polarna zatacza mały krąg wokół bieguna niebieskiego. Wydaje się nieruchoma na nocnym niebie, więc zawsze, kierując się nią, będziesz mógł znaleźć drogę.

Pokazywał synowi wykresy i mapy, które kupował za marne kopiejki od znajomych na targu. Fascynacja Atlasa była czymś wyjątkowym jak na tak małe dziecko. Lapetus kochał go nad życie i poświęcał wszystkie wolne godziny na rozwijanie jego pasji i poszerzanie wiedzy syna.

Tych godzin zrobiło się więcej, kiedy w 1922 roku w kraju zapanował głód. Rynek opustoszał. Ludzie nie mieli pieniędzy na kupowanie figurek z kości czy lekcje muzyki. Lapetusowi, jego synowi i przyjaciom powodziło się coraz gorzej. Cronus podupadał na zdrowiu, bo często rezygnował z posiłków, żeby inni mogli zjeść więcej. Teraz głównie Kreeg zastawiał sidła.

Lapetus Tanit zaczął myśleć o diamencie, który jego żona ukryła pod podszewką spódnicy. Jakże inaczej mogłoby wyglądać życie jego, syna i przyjaciół, gdyby miał ten klejnot. Jedyne szansa na ucieczkę od

potworności, jakie działy się w Rosji, przepadła wraz z jego żoną i teraz na pewno znajdowała się już w rękach bolszewików.

Kiedy zbliżała się zima 1923 roku, sytuacja zrobiła się tragiczna. Atlas miał pięć, a Kreeg dziewięć lat. Brzuchy coraz bardziej puchły im z głodu.

– To nie do wytrzymania – poskarżył się Cronus, osuwając się na krzesło. – Wszyscy tu umrzemy.

– Nie dopuszczę do tego. Tyle już przetrwaliśmy.

– Musimy zadbać o chłopców. Nadchodzi dzień, kiedy będziemy zbyt słabi, żeby ich wyżywić. Trzeba zacząć działać.

– Co proponujesz, Cronus?

– Mówiłeś mi o swojej bogatej rodzinie.

– Owszem, moi rodzice mają pieniądze, ale są w Szwajcarii. Pisałem do nich wiele razy, by dać im znać, że żyję i że mają wnuka, ale nie wiem, czy te listy w ogóle do nich dotarły.

Cronus skinął głową, a potem z ponurym wyrazem twarzy popatrzył na przyjaciela.

– Myślę... że powinieneś iść.

– Dokąd?

– Musisz przedostać się do Szwajcarii. Zorganizować pomoc. To jedyne, co mi przychodzi do głowy, jeśli mamy przeżyć.

Lapetus nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie cofnąłbym się przed niczym, żeby nas ratować – odezwał się po chwili. – Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że nie przetrwałbym takiej wyprawy?

Cronus uniósł wątlą dłoń do czoła.

– Szanse na powodzenie są... nikłe – przyznał. – Ale jeśli będziemy czekać z założonymi rękami, zginiemy tu wszyscy: twój syn, Kreeg,

Rhea... Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby ich ocalić.

Lapetus utkwił wzrok w płomieniach tańczących na żelaznym palenisku.

– Racja – rzucił.

– Chciałbym pójść z tobą. Ale nie sądzę, żebym miał dość sił.

– Masz rację. Tylko ja mogę spróbować. – Oczy Lapetusa zaszyły łzami.

– Proszę, opiekujcie się Atlasem. To wyjątkowe dziecko.

– Zatroszczymy się o niego. Obiecuję. – Cronus dźwignął się na nogi i zebrał siły, by uściskać przyjaciela. – Musisz wierzyć, że znów go zobaczysz.

Następnego ranka o brzasku Lapetus obudził syna i wytłumaczył mu, że wyrusza w drogę w poszukiwaniu pomocy.

– Dlaczego, tato? – zapytał chłopiec z lękiem w oczach.

– Synku, nadeszła chwila, kiedy nie mam wyboru. Muszę pójść. Nie da się tak dalej żyć. Muszę spróbować poszukać pomocy.

Atlasowi ścisnęło się serce. Był przerażony.

– Proszę, tato. Nie możesz iść. Co my zrobimy bez ciebie?

– Jesteś silny, synu. Może nie fizycznie, ale jesteś mądry. Dlatego dasz sobie radę, kiedy mnie tu nie będzie.

Chłopiec rzucił się w ramiona ojca i poczuł ich ciepło – jak się okazało, po raz ostatni w życiu.

– Ile to potrwa? – wyjąkał, szlochając.

– Nie wiem. Kilka miesięcy.

– Nie przeżyjemy bez ciebie.

– Gdybym nie poszedł, żadne z nas nie miałyby przed sobą przyszłości. Przysięgam na pamięć twojej matki, że po ciebie wrócę... Módl się za mnie i czekaj na mnie.

Atlas skinął potulnie głową.

– Pamiętaj słowa Laoziego: *Jeśli nie zmienisz kierunku, w którym podążasz, możesz skończyć tam, dokąd zmierzasz.*

– Proszę, wróć – szepnął Atlas.

– Synku najukochańszy, nauczyłem cię, jak się orientować według gwiazd i nie zabłądzić. Gdybyś kiedyś potrzebował mnie znaleźć, niech Siedem Sióstr cię prowadzi. Maja, Alkione, Asterope, Celaeno, Tajgete i Elektra będą cię chronić. I Merope, której gwiazda jest wyjątkowa, bo można ją widzieć tylko czasami. Kiedy ją zobaczysz, będziesz wiedział, że jesteś na dobrej drodze do domu.

58

Tobolsk

1926

Kreeg Eszu przesunął swojego skoczka na F3.

– Szach-mat. – Błysnął w uśmiechu zębami.

– Co? – spytał oszołomiony Atlas. – Jak tyś to zrobił?!

– To się nazywa hipopotam, brachu. Pozwala wygrać w sześciu ruchach. – Wzruszył ramionami. – Przykro mi.

– Nauczyłbyś mnie tego? – poprosił Atlas.

– A czemu miałbym ci zdradzać wszystkie swoje sekrety? – odparł drwiąco Kreeg. – Jaka przyjemność grać z tobą w szachy, jak nie można wygrać?

– Przestań, Kreeg! Chciałbym wiedzieć!

– Zastanowię się nad tym... Może gdybyś poszedł narąbać za mnie drewna.

Atlas przewrócił oczami.

– Dobra.

– Chłopcy! – zawołała Rhea, która zataczając się, weszła do izby. – Za pół godziny przychodzi Maksym. Musicie uprzątnąć szachy. Wiecie, że nie lubi bałaganu.

Kreeg spiorunował matkę wzrokiem.

– Czy Maksym musi dziś przychodzić? – jęknął. – Stale u nas przesiaduje.

– Musi, jeśli chcecie jeść – wymamrotała pod nosem.

– Co? – spytał Kreeg.

– Nic. Maksym musi przyjść. Lepiej zejździe mu z oczu. Dawno nie byłeś u ojca, Kreeg. Idź, złóż mu uszanowanie.

Starszy chłopiec nachmurzył się.

– To mnie tylko dołuje.

– Może Atlas cię rozweseli. Jest w tym dobry, prawda? – zwróciła się do młodszego chłopca i potargała mu czuprynę. – Weź może skrzypce.

Pociągnęła duży łyk z niemal pustej już butelki, którą trzymała w dłoni.

Cronus Eszu zmarł jakieś cztery miesiące po tym, jak Lapetus Tanit wyruszył w drogę do Szwajcarii. Niedożywiony i słaby, po prostu padł na śniegu, kiedy sprawdzał jedno z sideł, które zastawił na zające... lub szczury. To Atlas go znalazł. Nigdy nie zapomniał krzyku Kreega, kiedy pobiegł do domu po pomoc.

Od Lapetusa, od kiedy w 1923 roku wyruszył w drogę, nie było żadnych wieści. Atlas strasznie tęsknił za tatą. Choć cała trójka – Atlas, Rhea i jej syn – mówiła o nim tak, jakby mógł wrócić lada dzień, wszyscy wiedzieli, jaki musiał go spotkać los.

Niedługo po śmierci Cronusa sytuacja się poprawiła. Rhea wzięła sobie kochanka, bolszewika o imieniu Maksym, który zapewniał im pożywienie (choć niewiele) i – co ważniejsze – wódkę, bez której Rhei coraz trudniej byłoby przetrwać.

Chłopcy włożyli futrzane botki, szaliki, czapki i rękawice i ruszyli na wzgórze, gdzie ponad dwa lata temu pochowali ojca Kreega.

Atlas wiedział, jak trudne dla jego przybranego brata są te wyprawy, i starał się nawiązać rozmowę.

– Jak myślisz, kim zostaniesz, kiedy dorośniesz? – zagadnął.

Kreeg pociągnął nosem.

– Wszystko mi jedno, bylebym zarabiał kupę forsy. Chcę mieć duży ciepły dom i żeby spiżarnia była pełna jedzenia.

– Byłoby fajnie – rzucił Atlas. – Ja chciałbym być kapitanem statku. Mógłbym wozić nas po całym świecie.

– A sądziłem, że chcesz zostać muzykiem.

– Pewnie, że chcę! – potwierdził z entuzjazmem Atlas. – Może mógłbym być i jednym, i drugim!

Kreeg lekko zachichotał, co ucieszyło młodszego chłopca.

– Może i tak. Mówią, że kiedy *Titanic* tonął, orkiestra grała do końca. Więc jak twój statek będzie szedł na dno, będziesz mógł przygrywać pasażerom.

– Mój statek nigdy nie zatonie – oświadczył dumnie Atlas.

– To samo mówiono o *Titanicu*...

– Tak, ale ja będę o wiele bardziej przezorny niż kapitan Smith.

– Skoro tak twierdzisz...

Szli dalej, aż dotarli do grobu Cronusa, który Kreeg oznaczył dużym kawałkiem znalezionej drewna. Chwilę stali w milczeniu. Kreeg niezręcznie przestępował z nogi na nogę.

– Nigdy nie wiem, co powiedzieć – przyznał.

– Tęsknisz za nim? – zapytał Atlas.

– Jasne.

– No to po prostu mu to powiedz – zaproponował łagodnie Atlas.

Kreeg zakaszłał.

– Tęsknię za tobą, tato. – Obejrzał się na młodszego towarzysza. – Wiesz, słyszałem, jak poza domem mówisz do swojego ojca – dodał cicho.

– Czasami brzmi to tak, jakbyś z nim naprawdę rozmawiał.

– Bo chyba tak jest.

Kreeg skinął głową.

– Szczęściarz z ciebie. Ale chodźmy już.

Ruszył w dół wzgórza.

Atlas pospieszył, żeby go dogonić.

– Myślałem, że nienawidzisz Maksyma.

– Nie znoszę go, ale wolę iść do domu, niż stać tutaj.

– Wiesz, że twoja matka go nie kocha, prawda? – powiedział Atlas, a Kreeg wzruszył ramionami. – Ona robi to dla chleba.

– No to szkoda, że ten chleb nie jest lepszy. – Kreeg uśmiechnął się krzywo.

Kiedy weszli do domu, Maksym przypierał Rheę do ściany i całował ją zachłannie, jakby miał ją pożreć.

– Chłopcy, chyba mówiłam wam, że macie wyjść – wysapała, poprawiając spódnice.

– My tu mieszkamy – odparł Kreeg. – Nie możesz nas wypędzać.

– Stawiasz się matce? – zapytał Maksym.

– Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Szanuję ją. Tylko nie podoba mi się towarzystwo, z jakim przestaje.

– Kreeg... – jęknęła błagalnie Rhea.

Maksym powoli przeszedł przez kuchnię i stanął twarzą w twarz z chłopcem.

– Powiedz mi, dziecko: dlaczego nie podoba ci się to towarzystwo?

– Bo jest jak świnia przy korycie.

Po chwili napiętego milczenia Maksym odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Jestem świnia?! Ja?! Słyszałaś, Rhea? Twój syn nazwał mnie świnia!
– Błyskawicznie rąbnął Kreega w twarz tak mocno, że chłopak wylądował na podłodze.

– Kreeg! – krzyknęła przerażona Rhea.

– Spokojnie – rzucił Maksym. – Dzieci muszą nauczyć się grzeczności wobec starszych. – Obrócił się i spojrzał na nią. – Nie sądzisz?

– Tak – szepnęła, spuszczać wzrok. – Kreeg, bierz przykład z Atlasa. A teraz, chłopcy, kładźcie się do łóżka.

Atlas podbiegł do przyjaciela i pomógł mu wstać. O dziwo, po policzkach Kreega płynęły łzy. Atlas widział coś takiego u niego tylko raz w życiu, w dniu, kiedy umarł jego ojciec. Chłopcy szybko poszli do swojego wspólnego pokoju, który był przekształconą w sypialnię spiżarnią. Maksym zdobył gdzieś stary podwójny materac, na którym mogli razem spać. Kreeg rzucił się na posłanie i dalej płakał w milczeniu.

Atlas przysiadł na drugim końcu materaca. Podkulił kolana i objął je rękami.

– Nic ci nie jest? – spytał. – Strasznie mocno cię uderzył.

– Nic mi nie jest.

– Byłeś bardzo odważny. Chyba nigdy nie widziałem nikogo, kto by był taki dzielny.

Kreeg przewrócił oczami.

– Naprawdę?

– Tak! Nazwałeś Maksyma świnia. – Atlas uśmiechnął się.

Jego przyjaciel otarł nos rękawem.

– Dobrze mu powiedziałem, co?

– To było niesamowite!

– E, tam, nic wielkiego. – Kreeg wzruszył ramionami.

– Myślę – zaczął ostrożnie Atlas – że tata byłby z ciebie dumny.

Starszy chłopiec spuścił oczy i przez dłuższą chwilę milczał.

– Może jutro nauczę cię zagrywki hipopotama.

– Byłoby wspaniale!

– Dobra. Ale teraz jestem zmęczony. Pośpijmy trochę.

Chłopcy wyciągnęli koce z za materaca i położyli głowy na poduszkach.

Jakiś czas potem Kreeg się obudził. Zaszło mu w ustach, język nabrzmał. Chłopiec przeciągnął się i uzmysłowił sobie, że nie pił nic, od kiedy grał w szachy z Atlasem. Potwornie chciało mu się pić. Ziewnął i postanowił pójść do dzbana z wodą, który stał w kącie izby, gdzie urządzili prowizoryczną kuchnię. W maciupieńkim pokoiku chłopców było ciemno choć oko wykol, ale Kreeg kierował się światłem docierającym ze szczeliny przy drzwiach. Wstał i ostrożnie przeszedł nad Atlasem, żeby go nie obudzić. Kiedy już miał przekręcić gałkę, usłyszał ściszony głos matki. Zmarszczył brwi. Nie miał zamiaru ryzykować kolejnego starcia z Maksymem. Ale przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał.

– To jak, zrobiłbyś to dla mnie, Maksymie? – Rhea bełkotała bardziej niż kiedykolwiek. Musiała być okropnie pijana.

– Wyjaśnij mi raz jeszcze. Chcesz, żebym coś dla ciebie sprzedał? – mruknął Maksym. Jego głos też brzmiał inaczej. Najwyraźniej oboje raczyli się wódką, od kiedy chłopcy się położyli.

– To diament Romanowów. Największy, jaki widziałam w życiu!

– Dlaczego sama go nie sprzedasz?

– Wiesz, że nie mogę. Gdybym próbowała go sprzedać w Tobolsku, zdradziłabym się, że mam związki z białymi. Ludzie dowiedzieliby się o moich relacjach z rodziną carską. A jeśli sprzedasz go ty, czerwony, pomyślą, że go ukradłeś.

– Powiedz mi, jakim cudem masz ten diament.

– Nadarzyła się okazja, więc go wzięłam.

– A dokładnie?

– Kiedy zabierano carycę i cara, kilkoro nas zostawiono w wagonie na pustkowiu. Była z nami kobieta w zaawansowanej ciąży. Tej nocy zaczęła rodzić i to ja przyjąłem jej dziecko, Atlasa.

Maksym beknął.

– Mów dalej.

– Kiedy odbierałam poród, wyczułam coś twardego w podszewce spódnicy matki. Złapałam, zobaczyłam, co to jest, i schowałam do kieszeni.

– Ukradłaś?

Rhea westchnęła.

– Tak.

– Nie bałaś się konsekwencji?

– Mieszkam w Rosji. Boję się kary za wszystko. Zrobiłam tylko to, co wydawało mi się słuszne, żeby przetrwać. Poza tym ta kobieta mocno krwawiła. Nie miała szans przeżyć.

– A co się stało z ojcem chłopaka?

– Mówiłam ci, zostawił nas i poszedł szukać pomocy. Ma rodzinę w Szwajcarii.

– Idiotyczny pomysł. Przecież nie mogliśmy przetrwać nawet trzech dni na tym zimnie.

– Zastanawiałam się – ciągnęła Rhea – czy nie zwrócić mu diamentu, ale zakładałam, że jeżeli żona mu o nim powiedziała, to sądzi, że diament przepadł razem z nią, kiedy wieczorem po urodzeniu dziecka zabrano ją z wagonu.

– No i gdybyś mu go dała, wiedziałby, że go ukradłaś.

– Tak.

– Gdzie go masz? – spytał Maksym.

– To tajemnica. Wyjawię ci ją tylko wtedy, kiedy zgodzisz się go dla mnie sprzedać. Oczywiście dam ci godziwy procent. I... dodatkowo opłacę wszelkie koszty, co tylko powiesz.

– Pokaż mi go.

– Maksym, nie mogę...

– Powiedz, gdzie on jest!

– Nie wierzysz mi?

– Chciałbym go tylko zobaczyć.

– Nie ma go tutaj.

– Nie?

– Nie. Trzymam go poza domem, żeby było bezpieczniej.

– Szkoda. Chciałbym go sobie obejrzeć. No dobrze... Późno już. Muszę iść.

Kreeg usłyszał, jak Maksym wstaje.

– To zostanie między nami, prawda? – odezwała się Rhea. – Nie powiesz nikomu o diamencie?

– Jasne. Niedługo się zobaczymy.

Zadudniły kroki i po chwili trzasnęły zamykane drzwi.

Kreeg postanowił darować sobie picie wody. Cichutko wrócił do łóżka. W głowie mu wirowało od tego, co właśnie usłyszał. Nagle uświadomił sobie, że wyrwanie się z tego życia jest możliwe i nawet bardzo prawdopodobne, jeśli to, co mówiła matka, było prawdą. Popatrzył na twarz śpiącego chłopca, którego uważał za młodszego brata. Pierś Atlasa unosiła się i opadała powoli i miarowo.

Choć Kreeg miał w głowie zamęt, jedno było pewne.

Atlas w żadnym wypadku nie powinien dowiedzieć się o tym, co zrobiła Rhea.

59

Olympus

Czerwiec 2007

Kiedy Kreeg skończył opowiadać, obaj siedzieliśmy w milczeniu, zapatrzeni w błękit Morza Egejskiego. Woda delikatnie chlupała przy burcie *Olympusa*.

– Mój ojciec zawsze mówił, że matka zmarła, kiedy mnie rodziła – zdołałem wreszcie wykrztusić.

– Kłamał – potwierdził moje przypuszczenie Kreeg.

– Żeby mnie chronić... – Ścisnęło mnie w gardle. – Pamiętasz chwilę, kiedy ją zabierali?

Skinął głową.

– Bała się? – spytałem.

Kreeg zawahał się.

– A ty byś się nie bał?

– Racja – szepnąłem. Nastąpiła kolejna długa przerwa; mój wzrok powędrował do ogromnego kamienia leżącego na stole. – Tyle lat miałem ten diament i byłem przekonany, że należał do twojej matki. Tymczasem to moja go miała.

– Był własnością carycy – uściślił Kreeg.

– Która przekazała go mojej matce. A potem został ukradkiem przywłaszczony przez twoją matkę.

– A potem odebrany siłą przez ciebie – warknął Kreeg.

– Nadal upierasz się, że mój ojciec wiedział o tym, że Rhea ukradła go mojej matce, i kazał mi go odzyskać?!

– Tak.

– Przecież gdyby wiedział, że twoja matka zabrała go mojej, kiedy ta rodziła, sam by go jej odebrał dużo wcześniej, nie sądzisz?

Kreeg zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Całe to gdybanie... To było tak dawno temu. Po tamtej nocy, kiedy usłyszałem, jak matka mówiła o diamencie, wyczekałem, aż gdzieś pójdiesz, i spytałem ją o niego. Powiedziała mi, że trzyma go, żeby zapewnić nam przyszłość, kiedy uciekniemy z Rosji. Nie mogła sprzedać go w Tobolsku.

Odniosłem wrażenie, że podczas opowiadania tej historii kilka razy ogarnęły go wątpliwości.

– Kreeg – odezwałem się łagodnie. – Mam prośbę. Zgodziłbyś się na ostatnią wieczerzę? Może u mnie na *Tytanie*? Moglibyśmy zjeść razem, jak dawniej. Nie mam kucharza, bo przyplłynąłem sam, ale w lodówce jest kawior, o którym tak kiedyś marzyliśmy, i znajdzie się też najlepsza wódka.

Zastanawiał się.

– Czemu nie? – rzucił po chwili. – Dorastaliśmy jak bracia i co wieczór dzieliliśmy się chlebem, jeśli go mieliśmy! – Zarechotał ponuro. – Możesz opowiedzieć mi o swoim życiu i o tym, jak to się stało, że wybrałaś sobie córki z różnych zakątków świata... jak kolekcję znaczków pocztowych.

Jego ironiczne słowa wcale mnie nie zabolaly.

– Mogę wstać? I zaprowadzić cię na pokład *Tytana*?

Skinął głową. Powoli podniosłem się i podszedłem do trapu, którym Kreeg połączył nasze jachty. Przeczółgałem się po nim na czworaka

i znalazłem się na pokładzie *Tytana*. Kreeg wahał się jednak; nie był pewien, co zrobić z pistoletem.

– Daj go. Potrzymam ci – powiedziałem.

– Myślisz, że rozum mi odjęło? – burknął.

– W porządku. Ale jak nie chcesz mi go dać, to zostaw go na *Olympusie*. Przysięgam, że nie stanowią dla ciebie zagrożenia. Nigdy nic ci z mojej strony nie groziło.

Łypnął na mnie podejrzliwie, nim ostrożnie wsunął broń do tylnej kieszeni spodni. Potem wspiął się na trap, co wyraźnie sprawiło mu trudność. Kiedy przeczołgiwał się na moją stronę, ręce zaczęły mu się trząść, być może z wysiłku. W efekcie trap zaczął się bujać i Kreeg stracił równowagę. Mimowolnie wyciągnął rękę, ale nie miał się czego przytrzymać. W mgnieniu oka chwyciłem ją i pomogłem mu wsiąść na pokład *Tytana*.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

– Wszystko w porządku – odparł, wyszarpując dłoń i prostując się. – Ładną masz łódź. Wykończenie jest może trochę... staromodne jak na mój gust, ale doskonale do ciebie pasuje.

Wsunąłem rękę do kieszeni i nonszalancko wzruszyłem ramionami.

– Starąłem się połączyć tradycję z nowoczesnością, czas przeszły z teraźniejszym.

– Dokładnie to miałem na myśli.

Zaśmiałem się lekko i powiedziałem:

– Chodź za mną.

Zaprowadziłem go do stołu na pokładzie rufowym.

– Siadaj, proszę. Przyniosę coś do jedzenia.

Poszedłem do kuchni i położyłem na tacy różne rodzaje kawioru, wędzonego łososia, sery, wędliny i bliny, a do tego butelkę wódki Russo-Baltique, którą trzymałem na specjalne okazje. Kiedy wróciłem do stołu, pistolet znowu leżał obok Kreega.

– Widzę, że polubiłeś luksusy – zauważył kpiąco.

– I to mówi człowiek, z którego jachtu za wiele milionów euro właśnie zeszliśmy.

Kreeg nalał nam obu wódki.

– *Wasze zdrowie* – powiedział, unosząc kieliszek.

– *Wasze zdrowie* – odparłem.

Nie ruszał się; patrzył, jak opróżniam swój kieliszek, nim zrobił to samo.

– Gdybym zamierzał cię otruć, możesz być pewien, że posłużyłbym się o wiele tańszą wódką – oświeciłem go.

Zarechotał.

– Takiego cię lubię – rzucił.

Raczyliśmy się kawiozem i powoli opróżnialiśmy butelkę stojącą między nami.

– Mówiłeś, że doświadczyłeś w życiu rzeczy, które potwierdzają, że świat fizyczny to tylko cząstka naszej historii – przypomniał mi Kreeg. – Wytłumacz, co miałeś na myśli.

Przełknąłem kęs łososia i otarłem usta lnianą serwetką.

– Podczas jednej z moich podróży po świecie znalazłem się w Grenadzie w Hiszpanii. W tamtym czasie byłem załamany, bliski poddania się. Na wielkim placu przed katedrą spotkałem młodą Cyganę, Angelinę; obejrzała moją dłoń i przepowiedziała mi przyszłość. Była... nadzwyczajna. Mówiła mi o różnych sprawach w moim życiu, o których

nie mogła mieć pojęcia. Wiedziała o tobie i twoim niestrudzonym pościgu. Powiedziała mi, że pewnego dnia będę ojcem siedmiu córek... i że jedna z nich już czeka na to, bym ją odnalazł. Ale... – Głos mi się załamał. – Może wystarczy już tych zwierzeń.

Kreeg nalał nam obu następną kolejkę i wypiliśmy.

– Odnalazłeś ojca? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– Nie... Choć szukałem go wiele lat. W końcu dostałem informację, że zmarł podczas ucieczki. Dotarł tylko do Gruzji. Próbowala jednak skontaktować się ze mną moja babka mieszkająca w Szwajcarii. Kiedy zmarła, zostawiła mi cały swój majątek wraz z ziemią na brzegu Jeziora Genewskiego; to na niej zbudowałem Atlantis. Zaczęło się od spadku, ale potem stopniowo zdobywałem coraz większy majątek. – Uśmiechnąłem się smutno. – Wszystko, czego dotknąłem, zmieniło się w złoto, ale dla mnie to nic nie znaczyło.

Kreeg nałożył wędzonego łososa na bliny, po czym ostrożnie odłożył nóż.

– A ja musiałem patrzeć na to wszystko z boku.

Poprawiłem się na krześle.

– Lepiej opowiedz mi o swojej żonie.

Chwilę milczał.

– O Irze?

– A o kim innym?

– Poznaliśmy się niedługo po pogrzebie jej męża. Była w żałobie, a ja ją pocieszałem. Co można dodać? – Wsunął blin z wędzonym łososiem do ust.

– Ożeniłeś się z nią dla pieniędzy?

Przełknął jedzenie i pokręcił głową.

– Nie. Kochałem ją.

– W takim razie przykro mi, że umarła tak wcześnie, współczuję. Zznałeś najgorszego bólu, jakiego może doświadczyć człowiek.

Nalał sobie znów wódki.

– Możliwe. Ale śmierć matki zahartowała mnie na nieszczęścia, jakie niesie życie. I pewnie właśnie tobie mogę za to podziękować. Ale odbiegamy od tematu. Powiedz, jak znalazłeś córki.

Przez następne dwie godziny opowiedziałem mu o wszystkim, co doprowadziło do adopcji dziewczynek, poczynając od tego, jak Bel znalazła mnie przy żywopłocie u Landowskich, a kończąc na wizytówce, którą Cecily Huntley-Morgan nosiła na szczęście.

– Prześladowałeś mnie od czasów mojej młodości, ale dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że moja wieczna ucieczka przed tobą dała mi coś najcenniejszego: moje córki. I za to ci dziękuję. – Uniosłem kieliszek i wypilem za Kreega, ale nie odwzajemnił tego gestu. Z jakiegoś powodu historia o tym, jak znajdowałem córki, wywołała jego niepokój. Gdybym nie znał go lepiej, uznałbym nawet, że w pewien sposób wstrząsnęła moim dawnym bratem. – Żałuję tylko jednego – dodałem.

– Czego? – zapytał powoli.

– Nie odnalazłem siódmej córki. Mojej rodzonej... Nie wiem... – Zastanawiałem się przez chwilę. – Może ta Cyganka w Grenadzie myliła się i w ogóle nie było siódmej córki.

Kreeg nie odzywał się; bez pośpiechu dolał sobie wódki, popatrując na mnie.

– Poznałem swoją Elle w Paryżu, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi – powiedziałem. – Może pamiętasz, widziałeś ją, kiedy siedzieliśmy z przyjaciółmi w kawiarni w Lipsku. Wszedłeś tam i czułem, że mnie poznałeś. Powiedziałem Elle, że musimy natychmiast wyjechać, ale jak

wiesz, nie wyjechaliśmy dość szybko i podpaliłeś dom, w którym mieszkałem. Musiałem wyskoczyć przez okno, żeby się ratować. Złamałem rękę i nigdy już nie mogłem grać na wiolonczeli, choć muzyka była dla mnie taka ważna.

– Wybacz – powiedział. – Miałeś talent. Ale udało ci się uciec.

Pod wpływem wódki mówiłem bez ogródek.

– Wiedziałem, że twój ojciec pochodził z Prus, ale to był szok, kiedy zobaczyłem cię w mundurze SS... mój stary przyjaciel, brat... nazistą!

– Bieda i głód budzą rozgoryczenie, które może odebrać serce, Atlasie.

– Mnie nie odebrało.

Kreeg skrzyżował ramiona na piersi.

– Elle była bardzo piękna.

– Co do tego obaj jesteśmy zgodni. – Łyknąłem wódki. – Jak uciekłeś z Niemiec po wojnie?

– Już w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku czułem, co się szykuje, i ulotniłem się tam, gdzie nie sięgały łapy Hitlera, do Londynu. Udawałem rosyjskiego emigranta. Dzieciństwo spędzone na dworze carskim dawało mi idealną przykrywkę. Przypadkiem poznałem księżną, która w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku uciekła z Rosji do Londynu. Była stara i bogata, a moje zainteresowanie bardzo jej pochlebiało. Wprowadziłem się do jej mieszkania, cuchnącego kotami, które rozpieszczała jak dzieci. Wkrótce zaciągnęła mnie do łóżka. Uciekałem do barów w Soho, kiedy tylko mogłem, i tam spotkałem tego wstrętnego gościa, Teddy'ego. Możesz sobie wyobrazić, jak się zdziwiłem, kiedy w rozmowie z nim padło nazwisko Tanit.

– I nasze ścieżki znów się przecięły.

– Nigdy nie zapomnę strachu w twoich oczach, kiedy zobaczyłeś mnie po drugiej stronie ulicy. – Kreeg błysnął obleśnym uśmiechem. – Sprawilo

mi to wielką przyjemność.

– Po twoim pojawieniu się w księgarni podjęliśmy decyzję o opuszczeniu Europy. Mieliśmy zacząć nowe życie po drugiej stronie świata, zniknąć na ogromnych pustkowiach Australii jak wielu innych imigrantów. Chcieliśmy... potrzebowaliśmy... spokoju.

Kreeg prychnął z pogardą i wypił kolejny kieliszek wódki.

– Potrzebowałeś spokoju po tym, jak odebrałeś go mnie?!

– Mieliśmy popłynąć statkiem – ciągnąłem. – Umówiliśmy się z Elle, że spotkamy się na pokładzie, ale... nie pojawiła się. Kiedy przeszukałem statek i odkryłem, że jej nie ma, odbiliśmy już od brzegu.

Nagle opadłem z sił.

– Wcześniej też bywało mi bardzo ciężko – kontynuowałem po chwili – ale ten rejs do Australii był dla mnie najczarniejszym okresem w życiu. Nawet w drodze z Syberii do Francji nie czułem takiej rozpacz. Straciłem resztki nadziei.

Kreeg milczał, ale patrzył na mnie zdecydowanie uważniej.

– Moje życie uratowała osierocona dziewczynka – dodałem. – Przywróciła mi wiarę w człowieka. Gdyby nie dobroć obcych ludzi, nie siedzielibyśmy dziś tutaj przy ostatniej wspólnej kolacji.

– Ja straciłem wiarę w człowieka dawno temu – powiedział Kreeg.

– A moją odbudowali ludzie... Ale zawsze byliśmy inni, ja i ty.

– O tak! – Kreeg niespodziewanie rąbnął kieliszkiem o stół. – Ty, ten idealny, dobry synek. Ja wiecznie sprawiający kłopoty. Zły. Od początku było jasne, że moja matka bardziej niż rodzonego syna kocha ciebie. Cichego, inteligentnego, słodkiego chłopczyka... Rozczulała się nad tobą, dawała ci najlepsze kąski z tego, co skombinowała do jedzenia... I to tobie zaufała, a nie synowi, kiedy ktoś musiał zanieść diament Gustawowi!

Byłem autentycznie zszokowany jego interpretacją zdarzeń.

– Masz wypaczone pojęcie o tym, jak było – powiedziałem. – To, co mówisz, jest nieprawdą. Tłumaczyłem ci już, że twoja matka wybrała mnie na posłańca, żeby nie narażać ciebie. Przecież to ciebie wysłała do szkoły!

– Żeby móc spędzać więcej czasu z tobą! – Kreeg złapał butelkę i pociągnął z niej kilka wielkich łyków.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, ile urazy nagromadziło się w nim w czasie naszego dzieciństwa. Naprawdę mnie nie znosił.

– Po prostu byliśmy inni, Kreeg. Żaden z nas nie był lepszy od drugiego.

– Nienawidziłem cię za tę twoją niezachwianą wiarę w człowieka. I teraz też nienawidzę.

Pokręciłem głową.

– Tego jednego nigdy nie mógłbyś mi odebrać. Tego i mojej Elle. Prędzej bym cię zabił, niż pozwolił ci ją skrzywdzić.

Wybełkotał coś.

– Co mówisz?

Popatrzył na mnie szyderczo. Najwyraźniej był bardzo pijany.

– Powiedziałem, że ją też ci zabrałem.

– Co?!

Zastanawiał się przez chwilę. Kiedy znów się odezwał, jego głos był niższy, niczym pomruk.

– Zabrałem ją, Atlasie. Odebrałem ci ją.

Choć krew uderzyła mi do głowy, starałem się za wszelką cenę zachować spokój.

– Co przez to rozumiesz? Mów, natychmiast!

– Nie dołączyła do ciebie na statku płynącym do Australii, bo ci ją ukradłem.

Chciałem coś powiedzieć, ale zabrakło mi tchu.

– Śledziłem was od księgarni do portu. Nie powinieneś być nawet na chwilę się z nią rozstawać. To był twój błąd.

Przycisnąłem dłoń do piersi, bo serce waliło mi jak szalone.

– Ty... ty... kłamiesz.

Uniósł palec, jakby coś sobie przypomniał.

– Chciałbyś zobaczyć nasze zdjęcie ślubne? Na pewno mam je tu gdzieś...

– Nie. Proszę, nie. Proszę, Boże, nie...

Kreeg sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela wyblakłą czarno-białą fotografię. Był na niej patrzący bez uśmiechu młody Kreeg i... twarz, której nie widziałem od sześćdziesięciu lat. Zdruzgotany, nie mogłem wprost uwierzyć: miała na sobie suknię ślubną. Myślałem, że zemdleję.

– Nie rozumiem – rzuciłem. – Ona wiedziała, kim jesteś i co mi zrobiłaś... Nigdy nie zgodziłaby się zostać twoją żoną. Przecież...

Nachylił się i powiedział cicho:

– Wyjaśniłem jej, że jeśli nie pójdzie ze mną, udam się na pokład i zastrzelę cię na miejscu. Wiedziałem wszystko o planowanym przez was wyjeździe...

60

Port Tilbury, hrabstwo Essex, Anglia

1949

Dla Kreega Eszu to była długa noc. Pojechał za samochodem Ruperta Forbesa i śledził Atlasa Tanita z jego ładną dziewczyną, kiedy meldowali się w hotelu Voyager, a potem spacerowali po mieście, zaglądając do sklepów. Obserwował ich, kiedy siedzieli razem na nabrzeżu i Atlas rysował portret dziewczyny, najwyraźniej bezgranicznie w niej zakochany. Potem para wróciła do hotelu, a Kreeg zajął pozycję na ławce nad morzem, nie dalej niż trzydzieści metrów od wejścia do Voyagera.

Przesiedział tak do rana.

Było jasne, że tamci wybierają się do Australii, bo za kilka godzin z portu wyruszał RMS *Orient*. Długa noc pozwoliła Eszu rozważyć, jakie ma opcje. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że tak łatwo natknie się na Tanita. Przede wszystkim dawny kolega lekkomyślnie posługiwał się własnym nazwiskiem. Dziwne i nietypowe dla niego, że był tak nieostrożny.

Prawdę mówiąc, Kreeg nie prowadził wtedy aktywnych poszukiwań. Skupiał się na uwodzeniu rosyjskiej księżnej i starał się zadomowić w Londynie. Los jednak zdecydował – jak zwykle, kiedy dotyczyło to Atlasa – i ich ścieżki znów się przecięły, szybciej, niż można się było spodziewać.

Przez wiele lat marzył, by zobaczyć odbicie swojej twarzy w gasnących oczach Atlasa. Ale podczas wojny tak często patrzył na śmierć... Wielokrotnie widział, jak z ludzi uchodzi życie i padają jak kostki domina. Czasami zazdrościł tym, którzy ginęli. Przynajmniej byli już wolni od otaczającego ich chaosu i destrukcji.

Uznał więc, że śmierć to dla Atlasa za mało – życie byłoby dla niego cięższą karą. Pragnął, by przyjaciel z dzieciństwa zaznał rozpacz takiej jak on, kiedy została mu odebrana matka. Tamten ból wciąż był męką nie do zniesienia. I Kreeg chciał, żeby Atlas też go poczuł.

Miał tylko nadzieję, że zdoła się zemścić, zanim Tanit i jego kobieta wejdą na pokład *Orientu*... Jeśli nie, będzie musiał wsiąść na statek i podążyć za nimi do Australii. Wzdrygnął się na tę myśl.

Około dziewiątej w porcie Tilbury zrobiło się gwarno. Kreeg wstał z ławki, kupił gazetę i zajął pozycję na rogu ulicy biegnącej równolegle do hotelu. Z bijącym sercem czekał na rozwój wydarzeń. Próbował się uspokoić. Potrzebował tylko, żeby tamci choć na chwilę się rozdzielili. To mu wystarczy. Dwadzieścia pięć po dziewiątej dostrzegł wysokiego muskularnego Tanita z walizką, opuszczającego hotel. Obserwował go uważnie. Był zachwycony, bo blondynka nie pojawiła się za nim. Tanit ruszył do trapu i wszedł na pokład.

Pięć minut później ukazała się blondynka z walizką i papierową jasnoniebieską torbą. To była jego szansa. Kreeg szybko podążył za kobietą. Osłaniając dłoń gazetą, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął pistolet Korowina. Trzymając go mocno, ułożył gazetę tak, by idealnie zakrywała broń. Był coraz bliżej i w końcu blondynka znalazła się w zasięgu jego ręki.

Miał całą noc na ułożenie planu i realizował go dokładnie. Złapał kobietę za ramię i przytknął lufę pistoletu do jej pleców. Jęknęła.

– Krzyknij, to cię zastrzelę – szepnął jej do ucha.

Skinęła głową.

– Idź ze mną.

Obrócił ją i spojrzał w jej przerażone niebieskie oczy.

– Witaj, kochanie! – zawołał. – Jak miło, że się spotykamy! – Objął ją, trzymając broń przytkniętą do jej piersi.

– Proszę, nie rób tego – powiedziała cicho Elle.

– Za późno – szepnął.

Jeszcze raz ją obrócił, tak by widziała statek. Mocno trzymał ją za rękę.

– Pójdiesz ze mną.

– Dokąd, Kreeg?

– Wyjaśnię ci później.

– A jeżeli zacznę krzyczeć? Dookoła jest tylu ludzi.

– Nie byłoby to mądre. Zanim przestałabyś wrzeszczeć, byłbym już na pokładzie i pakował kulkę w łeb Atlasowi. Nie mówiąc o tej, która będzie tkwić w twoich plecach.

– A jeśli nie pójdę z tobą?

– Wejdę po trapie na statek i zastrzelę Atlasa na miejscu.

– Cokolwiek planujesz, on cię odnajdzie. Wiem, że to zrobi.

– Niech spróbuje. Idziemy, moja droga.

– Czekaj. Daj mi coś do niego napisać.

Kreeg zachnął się.

– Napisać?! Wyjaśnić, co się z tobą stało? Czy on ci mówił, że jestem idiotą? To by mnie zresztą wcale nie zaskoczyło.

– Nie. Chcesz, żeby cierpiał, prawda? I dlatego nie pozwalasz mi wsiąść na statek.

Uniósł brew.

– Jakaś ty domyślna.

– Co mogłoby być dla niego bardziej bolesne niż to, że porzucam go z własnej woli? Napiszę mu list pożegnalny. Wtedy zamknę ten okres życia... a on będzie cierpieł podwójnie.

Kreeg rozważył jej propozycję.

– Możesz uznać to za moje ostatnie życzenie – powiedziała Elle.

– Sądzisz, że cię zabiję?

– Trzymasz pistolet przy moich plecach.

Zarechotał ponuro.

– Pisz ten swój cholerny liścik.

Elle nachyliła się i wyciągnęła z torby kawałek papieru, który wzięła z hotelu, i pióro. Kreeg patrzył jej uważnie przez ramię, kiedy pisała.

– Proszę – rzuciła. – To ci odpowiada?

KOCHANIE, NIE MOŻEMY ZOSTAĆ
RAZEM. TO BYŁOBY Z MOJEJ STRONY
EGOISTYCZNE. ZNISZCZYŁABYM TWOJĄ
EGZYSTENCJĘ, A TEGO ZA NIC NIE CHCĘ.
GDYBYM TYLKO MOGŁA TO ZMIENIĆ...

Na zawsze Twoja

Elle

PS Żyj swoim życiem, jak ja muszę żyć swoim.

Kreeg skinął głową.

– Dobrze. Czekał, zaraz znajdę kogoś, kto mu to zanieś.

– Co? Nie – zaprotestował Kreeg. – Chodź. Idziemy. To było bez sensu.

Chwycił mocniej jej rękę i powłókł Elle za sobą.

– Ała!

Upuściła bladoniebieską papierową torbę z satynową suknią, ale udało się jej wsunąć do niej liścik.

Gdy Kreeg odciągał Elle od tłumu, spojrzała w górę na pokład. Po raz ostatni popatrzyła na mężczyznę, którego kochała. Atlas rozglądał się nerwowo po nabrzeżu w dole.

– Do widzenia, najdroższy – szepnęła. – Znajdź mnie.

Kreeg poprowadził ją kilka ulic dalej do czarnego rolls-royce’a.

– Siadaj z przodu, ze mną – rzucił, wpychając ją do samochodu.

Gdy zajął miejsce za kierownicą, zdjął gazetę z pistoletu.

– Jeśli spróbujesz uciekać, zastrzelę cię.

Elle oddychała ciężko, ale nie traciła ducha.

– Mogę zapytać, dokąd jedziemy?

Parsknął śmiechem.

– Zdziwi cię, jeśli powiem, że nie planowałem aż tak daleko naprzód?

– Chyba tak – odparła.

Kreeg uruchomił silnik i ruszył. Pistolet leżał na jego kolanach.

– On nie zrobił tego, co myślisz – odezwała się Elle. – To dobry człowiek. Najlepszy.

Zmierzył ją wzrokiem.

– A więc opowiedział ci, kim jestem i dlaczego go ścigam?

– Oczywiście. Znamy się od dziecka.

– Naprawdę? W takim razie wiesz, jakim był aroganckim, podstępny intrygantem.

Coś jej przyszło do głowy.

– Wiesz, on nadal ma ten diament – powiedziała. – Chce ci go zwrócić. Jeśli zatrzymasz samochód, możemy pójść do niego i weźmiesz sobie ten skarb.

Kreeg uniósł brew.

– Wciąż ma diament?

– Przysięgam na życie.

Chwilę się wahał, ale potem ścisnął mocniej kierownicę.

– To, że go nie sprzedał, nie oczyszcza go z winy. Popęłnił morderstwo.

– Nie zabił twojej matki. Zrobili to bolszewicy, żołnierze...

– Cicho bądź! – warknął. – Widzę, że namieszał ci w głowie swoimi kłamstwami. Atlas Tanit jest równie niewinny, jak ty jesteś brzydka.

– Co chcesz ze mną zrobić? – spytała.

Kreeg milczał.

– Jeśli zamierzasz mnie zabić, zrób to szybko – poprosiła.

Pokręcił głową.

– Dość już widziałem śmierci. Nie ma sensu mordować bez potrzeby.

– To co planujesz?

– Mówiłaś wcześniej, że chcę, by Atlas cierpiał.

– No i?

– Nie zabiję cię. Tylko zatrzymam.

61

Tytan

Czerwiec 2007

Nie wstyd mi przyznać, że po prostu szlochałem.

– Spełniłeś swoje życiowe marzenie. Odebrałeś mi wszystko – powiedziałem.

– Wiem – odparł chłodno.

– Czy ona nie rozumiała, że odchodząc z tobą, i tak mnie zabiła?

– Możliwe, ale to był jej wybór. Przysiągłem, że jeśli za mnie wyjdzie, nie będę cię już ścigał. I dotrzymałem słowa.

– Ale twój syn już nie! – wybuchnąłem. – Prześladował moje córki, jakby były zwierzyną łowną... – Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl. – Boże! Powiedz mi, że twój syn nie jest ze mną spokrewniony.

– Nie. Zed jest dzieckiem Iry.

W głowie mi wirowało.

– Ten list od Elle... Zawsze nosiłem go przy sobie. – Drżącymi dłońmi sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem niewielką kartkę.

Kreeg wyglądał na zaskoczonego.

– Co?! Skąd to masz?

– Rozpoznałem niebieską papierową torbę, którą Elle musiała upuścić w porcie. Jakiś chłopiec rzucił mi ją na pokład, kiedy statek odpływał.

Wyrwał mi list i przyglądał się mu, wysilając wzrok w gasnącym świetle dnia. Po dłuższej chwili jego wąskie usta wykrzywił uśmiech.

– Myślę, że przez te lata miałem o tobie zbyt wysokie mniemanie. Ten list to wiadomość. Popatrz na pierwsze litery słów w kolejnych liniach: KOCHANIE, RAZEM, EGOISTYCZNE, EGZYSTENCJĘ, GDYBYM... Jak je połączysz...

Ścisnęło mnie w dołku.

– Wychodzi: KREEG.

Skinął głową.

– Ale to znaczy... Wysłała list do Horsta i Astrid, naszych przyjaciół w Norwegii. Czy w nim też była jakaś zakodowana informacja? O Boże, co jeszcze przeoczyłem przez te lata? – Zacisnąłem pięści i uderzyłem nimi o kolana. – Błagam, powiedz, co się stało z Elle.

Kreeg odchylił się na oparcie krzesła.

– Umarła. Jakieś trzy lata po naszym ślubie.

Poczułem przeszywający ból.

– Jak?! – krzyknąłem. – Powiedz mi wszystko. Muszę wiedzieć.

Skrzywił się.

– Nigdy już nie była taka sama po tym... jak urodziła. Gasła w oczach. W końcu zabiła ją zwyczajna grypa. Lekarz mówił, że chora osoba musi mieć wolę, żeby wyzdrowieć. Ona jej nie miała.

– Po tym, jak urodziła? Więc mieliście dziecko? O nie... – Złapałem się za głowę. – To koszmar.

Kreeg ani drgnął.

– Nie, nie mieliśmy dzieci.

Podniosłem wzrok.

– Co? To znaczy, że...

– Tak. Niedługo potem, jak ci ją zabrałem, odkryła, że jest w ciąży. Spodziewała się twojego dziecka. Twoja Cyganka się nie myliła.

Z napięciem czekałem na każde jego słowo.

– Co się stało z naszym dzieckiem?

– Elle uwierzyła, że zmarło przy urodzeniu. Robili jej cesarskie cięcie w szpitalu, więc nic nie pamiętała. A ja ułożyłem plan. Chyba się domyślasz, że nie chciałem mieć na głowie twojego bękarta.

– Zamordowałeś moje dziecko? Gołymi rękami?! Mój Boże, mój Boże... Co z ciebie za potwór?

– Daj spokój. Nie jestem całkiem bezduszny. Nawet ja nie zabiłbym z zimną krwią dziecka. Zostawiłem je na progu tamtejszej plebanii. Oddałem ją twojemu ukochanemu Panu Bogu, żeby się nią zaopiekował.

– To była ona? Dziewczynka?

– Tak.

– Zaginiona Siostra. Moja Merope...

– Obmyśliłem sposób, by cię dręczyć. Włożyłem do koszyka z dzieckiem pierścionek, który kupiłeś Elle. Miałem nadzieję, że pewnego dnia na niego trafisz i uświadomisz sobie, co straciłeś.

– Pierścionek z brylantem? Jak gwiazda? Z siedmioma szmaragdami?

– Właśnie ten.

Chwyciłem pistolet leżący na stole po stronie Kreega i wstałem. Mierzyłem mu w głowę. Nie wstyd mi przyznać, że moja wściekłość nie miała granic.

– Gadaj, gdzie był dom tego księdza, bo jak nie powiesz, to przysięgam, że cię zastrzelę.

Kreeg podniósł ręce. W jego oczach nagle pojawił się lęk. Dotarło do niego, że popełnił fatalny błąd.

– Nie pamiętam dokładnie... Ja...

Poruszyłem bronią, gotowy do strzału.

– To było w Irlandii – wyjąkał. – Na zachodzie hrabstwa Cork. To tam zabrałem Elle, kiedy wyjechaliśmy z Tilbury.

– Dlaczego do Irlandii? Po co ją tam wywiozłeś? POWIEDZ!

Rozłożył ręce.

– Zależało mi na odludnym miejscu, gdzie nigdy nie przyszłoby ci do głowy węszyć... Co mogłoby być lepsze niż kraniec Europy? Tamte strony w latach pięćdziesiątych były zacofanym rejonem rolniczym. Nie mieliśmy nawet elektryczności. Było idealnie.

– Idealnie... – szepnąłem, ściskając mocniej pistolet.

– Kupiłem zrujnowany dom na odludziu za pieniądze, które ukradłem księżnej.

– Gdzie był ten dom?

– Niedaleko miasteczka Clonakilty.

– Jak się nazywał?

– Dwór Argideen.

– Zabrałeś mi wszystko... Wszystko, co miałem!

Kreeg zerwał się na nogi i popatrzył mi w oczy.

– Ty zabiłeś mi matkę!

– W głębi duszy wiesz, że to nieprawda. Używałeś tego jako usprawiedliwienia, bo od początku mnie nienawidziłeś. Sądziłeś, że skradłem ci uczucia, które należały się tobie jednemu.

Oczy Kreega zaczerwieniły się.

– Wszyscy cię kochali – rzucił. – Takie idealne dziecko!

– A ja kochałem cię, bracie. Podziwiałem cię, chroniłem, kiedy miałeś kłopoty, kryłem...

Teraz to Kreeg szlochał.

– Atlas bohater! Atlas silny! Atlas dzielny! I Atlas ten dobry...

– Nie. – Pokręciłem ze znużeniem głową. – Zniszczyłeś Atlasa, którym niegdyś byłem. Pozwoliłeś, bym dźwigał na barkach ciężar całego świata. Ukarłeś mnie za to, jaki byłem. I jeszcze ci nie dość?

– Nigdy nie będę miał dość, póki nie przestaniemy oddychać tym samym powietrzem. Teraz ty trzymasz broń. Zastrzel mnie i skończmy z tym wreszcie! – Kreeg zaczął dygotać. – Rozumiem już, że masz po temu powody. Przecież nawet ty nie będziesz w stanie wybaczyć mi tego, o czym ci dziś powiedziałem.

Przestąpiłem z nogi na nogę, rozważając opcje.

– Trudno mi – przyznałem. – To prawda.

– Więc zrób to! – wrzasnął. – Bądź raz człowiekiem! Ukarz tych, którzy zgrzeszyli wobec ciebie i chcieli cię zniszczyć! Pociągnij za spust!

Przez jakiś czas trzymałem pistolet przytknięty do jego głowy, ale po chwili ręka zaczęła mi drżeć i upuściłem broń na stół.

– Nie, nigdy w życiu – powiedziałem.

– Co? Nie pojmuję...

– Nie zmienisz mnie. Nie jesteśmy tacy sami. – Ukryłem twarz w dłoniach i oddychałem głęboko. – To już skończone, Kreeg.

– Skończone?

– Tak. Ja... ci wybaczam. A teraz idę spać. Jestem już stary i bardzo, bardzo zmęczony.

– Co ty wyprawiasz?! – warknął.

A ja po prostu odwróciłem się i powoli ruszyłem.

– Wracaj, Atlas! To ma się skończyć dziś wieczorem, tak czy inaczej.

– To już się skończyło, Kreeg. Koniec. Wszystko skończone.

Poszedłem na dół i padłem na łóżko.

Obudziło mnie jasne greckie słońce świecące mi w twarz. Obróciłem się na bok i zdałem sobie sprawę, że zasnąłem w ubraniu, co nie zdarzyło mi się od czasów, kiedy byłem dzieckiem. Ostrożnie usiadłem. W piersiach czułem znany ucisk. Zganiłem się za to, że pozwoliłem sobie na tak długi odpoczynek, bo w Atlantis na pewno wcielano już w życie mój plan. Marina dzwoni do dziewczynek z wiadomością, że miałem zawał i nie żyję.

Kreeg powinien mnie przecież zabić.

A jednak żyłem. Oddychałem. Wiedziałem, że powinienem jak najszybciej skontaktować się z Georgiem. Zwlokłem się z łóżka, wyszedłem z kajuty i zacząłem się wspinać głównymi schodami na górę. Wyszedłem na pokład, ale nie dostrzegłem śladu mojego przeciwnika.

– Kreeg?! – zawołałem. – Jesteś tu?!

Przeszedłem od dziobu do rufy. Świeciło cudowne słońce wiszące nad horyzontem. Wreszcie znalazłem się przy trapie, który łączył *Tytana* z *Olympusem*. Pewien, że Kreega nie ma na moim jachcie, przeczołgałem się po trapie na pokład *Olympusa*, mimo narastającego bólu w piersi.

– Hej, Kreeg! To ja, Atlas!

Żadnej odpowiedzi. Zszedłem pod pokład i nadal go nawoływałem. Przeszukałem kajuty mieszkalne, biura, część przeznaczoną dla załogi i kambuz, ale nikogo tam nie było. Wreszcie wspiąłem się na mostek kapitański i rozejrzałem się po wnętrzu. Coś przyciągnęło moją uwagę. Na

stole leżał znajomy skórzany woreczek. Podeszedłem. Obok była biała koperta z napisem *Atlas*.

Rozluźniłem sznurki przy sakiewce i ku mojemu zdumieniu zobaczyłem, że w środku nadal jest diament. Zaintrygowany otworzyłem kopertę; w środku była kartka.

*ZWYCIĘŻYŁEŚ, ATLASIE. ODSZEDŁEM. ODDAŁEM SIĘ
MORSKIM FALOM. NARESZCIE KONIEC.*

Powoli wsunąłem kartkę do kieszeni na piersi i zawiesiłem na szyi woreczek. Przed chwilą przeszukałem *Olympusa* i wiedziałem już, że Kreega na jachcie nie ma. *Oddałem się morskim falom...* Czy wyskoczył za burtę? Z góry mostka kapitańskiego popatrzyłem na wodę. Ale nie widać było ciała ani nic szczególnego. Czy to jakaś sztuczka?

Czułem, że nie.

Kreeg zostawił diament. Jeśliby uciekł, na pewno zabrałby go ze sobą.

– Żegnaj, Kreeg. Mam nadzieję, że mimo wszystko odnajdziesz spokój – szepnąłem.

Co miałem zrobić w tej sytuacji? Na pewno moim obowiązkiem było powiadomienie straży przybrzeżnej. Nie mogłem jednak ryzykować, że zastaną mnie tu z bronią leżącą gdzieś na pokładzie. Kiedy wzbierała we mnie panika, wpadłem na pomysł. Podeszedłem do panelu z przyrządami i wybrałem odpowiednią częstotliwość radiową.

– Straż przybrzeżna, tu jacht motorowy *Olympus*. Nasza pozycja to trzydzieści siedem stopni dwadzieścia trzy minuty szerokości północnej i dwadzieścia pięć stopni szesnaście minut długości wschodniej. Podejrzenie: człowiek za burtą. Odbiór.

Nastąpiła chwila przerwy, nim uzyskałem odpowiedź.

- *Olympus*, wiadomość przyjęta, potwierdź lokalizację. Delos?
- Potwierdzam.
- Widzicie człowieka za burtą?
- Nie. Jacht stracił jednego pasażera.
- Potwierdzam, *Olympus*. Pomoc w drodze – zaskrzeczał głos w odpowiedzi.

Odłożyłem radio na miejsce i natychmiast wróciłem na pokład *Tytana*, zabierając ze sobą trap. Nie mogłem pozwolić, by straż zauważyła, że obok *Olympusa* stał inny jacht. Kiedy znalazłem się na pokładzie *Tytana*, pospieszyłem na dziób i wciągnąłem kotwicę. Wysilek okazał się nadmierny dla mojego serca. Czułem coraz silniejszy ból w piersi. Szybko jednak włączyłem silniki i zacząłem manewrować jachtem, by skierować go na pełne morze. Nagle usłyszałem głośny sygnał od strony prawej burty. Zatrzymałem łódź i wyjrzałem. Ku mojemu przerażeniu dostrzegłem pełen młodych ludzi mały katamaran, który musiał zrobić gwałtowny unik, by uniknąć kolizji. Uniosłem dłoń, żeby przeprosić, ale nie mogłem tracić ani chwili. Dodałem silnikom mocy. Katamaran odpłynął na bok. Jego załoga pewnie przeklinała luksusowy jacht za brak poszanowania dla innych użytkowników dróg wodnych.

Tytan płynął na pełne morze, a ja zastanawiałem się, co dalej. Potrzebowałem cichej przystani, by zacumować i ułożyć spokojnie nowy plan. Niestety, kosztujący wiele milionów funtów superjacht nie pozwala ulotnić się bez zwracania na siebie uwagi. Kiedy tak rozmyślałem, zaskrzeczało radio.

- Wzywam *Tytana*. *Tytan*, czy mnie słyszysz?

Zmroziło mi krew. Skąd straż przybrzeżna może wiedzieć, że jestem w pobliżu? Zastanawiałem się, czy po prostu nie wyłączyć silników i nie wyskoczyć za burtę jak Kreeg.

– Wzywam *Tytana*. Tu jacht *Neptun*. Proszę, odezwij się.

– *Neptun*... – szepnąłem do siebie. – Kto to może być?

Wziąłem lornetkę i popatrzyłem za lewą burtę, za prawą i w kierunku dziobu. Nic nie dostrzegłem, więc na chwilę opuściłem mostek, by sprawdzić za rufą. W oddali zobaczyłem białą plamkę. Uniosłem do oczu lornetkę i rozpoznałem mały jachcik, który zbliżał się do mnie ze sporą szybkością.

Wróciłem na mostek i włączyłem pełną moc, wiedząc, że niesamowite możliwości silników Benetti są poza zasięgiem jednostki, która za mną płynęła. Ale kto mógł mnie ścigać?

– Powtarzam, *Tytan*, odezwij się. *Neptun* ma drogi ładunek na pokładzie!

– Drogi ładunek? – szepnąłem do siebie.

– Potwierdzam – zaskrzeczało radio. – Mamy pana córkę, *Ally*, na pokładzie. Zastanawia się, czy nie chciałby pan zatrzymać się na wspólną herbatę.

O mało nie padłem z wrażenia. *Ally*? Co ona tu, do licha, robi? Nie, nie, nie, nie...Wszystko, co sobie tak starannie zaplanowałem, sypało się jak domek z kart.

– Dawaj, staruszku – szepnąłem, zachęcając *Tytana*, by przyspieszył.

Radio znów się odezwało.

– Pa? Tu *Ally*! Widzimy cię! Co byś powiedział na egejskie rendez-vous? Odbiór.

Głos *Ally* był jednocześnie balsamem i trucizną. Czułem wielką ulgę, że ją słyszę, ale bolało mnie strasznie, że nie mogę odpowiedzieć.

Zawibrowało mi w kieszeni. Wyjąłem smartfon. Wyświetlał się nieznany numer. Wiedząc, że najprawdopodobniej dzwoni *Ally* z *Neptuna*, nie odebrałem. Za chwilę telefon piknął, powiadamiając mnie, że mam

wiadomość na poczcie głosowej. Szybko ją włączyłem i znów usłyszałem głos córki.

„Cześć, tato! Tu Ally. Słuchaj, nie uwierzysz, ale jestem tuż za tobą. Jestem tylko z... przyjacielem... więc może byś się zatrzymał. Nie masz ochoty na wspólny lunch? Daj mi znać, co myślisz, Kocham cię, pa”.

– Ja też cię kocham, Ally – szepnąłem.

Ze łzami w oczach wyłączyłem telefon. Naprawdę niczego nie pragnąłem bardziej, niż zatrzymać *Tytana*, uściskać córkę i opowiedzieć jej wszystko. Ale w głębi serca wiedziałem, że byłoby to głupie. Spodziewałem się, że tego dnia umrę, a Kreeg przeżyje. Stało się odwrotnie. Moje córki powinny wierzyć, że odszedłem z tego świata. Tak będzie dla nich bezpieczniej. Gdyby Zed kiedykolwiek zorientował się, gdzie byłem tego dnia, gdy zginął jego ojciec... Zadrżałem na myśl, jakie mogłoby to mieć konsekwencje dla moich córek.

Tytan przez niemal godzinę płynął na maksymalnej prędkości i wreszcie mały jacht, na którym była Ally, zniknął z pola widzenia. Zmniejszyłem moc silnika, znów wyjąłem telefon z kieszeni i zadzwoniłem do jedyne go człowieka, któremu zawsze mogłem zaufać – do Georga Hoffmana. Odebrał natychmiast.

– Atlas?! Żyjesz?

– Tak, Georg, żyję. Ale jak się pewnie domyślasz, to poważny problem.

– A co z Kreegiem?

– Nie żyje. Musimy wdrożyć plan B. Natychmiast.

– Tak jest. Zrozumiałem.

*

Moje kochane dziewczynki. Tutaj historia naprawdę się kończy. Z pomocą Georga, Mariny, Claudii, kapitana Hansa i wielu osób z załogi *Tytan* wrócił do Nicei. Was powiadomiono o moim zawale oraz cichym pogrzebie i dostałyście listy razem ze współrzędnymi na sferze armilarnej.

Bez wątpienia palącym pytaniem dla was jest: gdzie się podziałem?

Wróciłem na wyspę Delos, by przeżyć swoje ostatnie dni w spokoju i wśród piękna krajobrazu wybrzeży Grecji. Z pomocą Georga kupiłem pobielony mały dom z cudownym widokiem na morze i czekałem, aż nadejdzie mój czas. Moje ostatnie dni były wypełnione radosnymi wspomnieniami o naszym wspólnym życiu w magicznym miejscu nad brzegiem jeziora, w Atlantis.

Teraz wiecie wszystko.

Znacie historię Atlasa.

Historię Pa Salta.

Wasze historie.

Największym darem w czasie mojego przedłużonego życia były relacje Georga, który opowiadał mi, jak wyruszałyście na poszukiwanie swoich korzeni. Nie mógłbym być z was bardziej dumny. Choć żadna z was nie ma w sobie mojej krwi, pozwalam sobie myśleć, że odziedziczyłyście po mnie pasję do podróży, ducha przygody i przede wszystkim głęboką miłość do ludzi i wiarę w ich wrodzoną dobroć. Ogromnie mi przykro, że musiałem was zwodzić. Wierzę jednak, że teraz, kiedy znacie okoliczności, wybaczycie mi to.

Przede wszystkim mam nadzieję, że Georg zdołał odnaleźć Zaginioną Siostrę. Wiem, że pracował niestrudzenie, by ją odszukać, po tym, jak dałem mu nazwę dworu Argideen i rysunek pierścionka, który niegdyś ofiarowałem jej matce.

Mam jednak przeczucie, że Georg będzie potrzebował waszej pomocy. Kiedy ją znajdziecie, bądźcie dla niej dobre. Powiedzcie jej, jak bardzo ją kocham. Jak bardzo pragnąłem ją odnaleźć. Powiedzcie, że nigdy się nie poddałem i że jestem wdzięczny losowi za taką córkę, podobnie jak za was.

Nie mam już do dodania nic, co nie zostałoby do tej pory powiedziane. Ale wiedźcie, że dzięki wam moje życie było warte przeżycia. Choć doświadczyłem tragedii i bólu, każda z was dawała mi więcej nadziei i szczęścia, niż możecie to sobie wyobrazić. Jeśli czytanie mojej historii czegoś was nauczyło, to mam nadzieję, że przede wszystkim tego, co zawsze starałem się wam wpajać:

Chwytajcie dzień!

Cieszcie się chwilą!

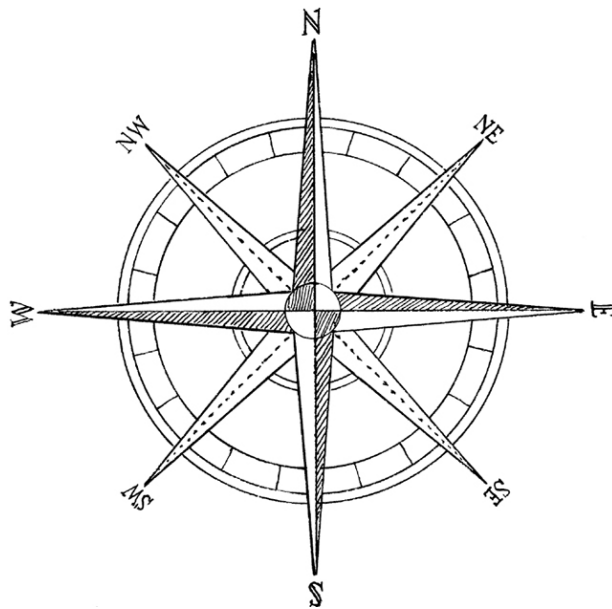
Rozkoszujcie się każdą sekundą życia, nawet w jego najtrudniejszych momentach.

Kocham was.

Wasz tata, Pa Salt

Tytan

Czerwiec 2008



63

Star odłożyła ostatnią kartkę i rozejrzała się wokół stołu. Większość jej sióstr otwarcie płakała, pocieszana przez partnerów. Poczwała dłoń Mouse'a na plecach.

– Po prostu nie wiem, co powiedzieć – wyjąkała Ally.

– Ten łajdak... – szepnęła Elektra. – Zabrał mu Elle.

– Merry... dobrze się czujesz? – zapytał Miles z troską.

Przełknęła z trudem ślinę.

– Chyba... – Głos się jej załamał i załkała. – O Boże, przepraszam. – Zaczęła machać dłonią przed twarzą.

– Och, mamó, chodź. – Mary-Kate wstała i ją objęła.

– Tak mi przykro, Merry. To okropne, co spotkało twoją matkę – dodała Tiggy.

– I biedny tata – dorzuciła Maja. – Dowiedzieć się czegoś takiego pod koniec życia... – Ścisnęło ją w gardle.

– Trudno mi to sobie nawet wyobrazić... – Ally pochlipywała. – Nie do wiary, że znalazłam się tak blisko niego. Gdyby tylko łódź Theo była nieco szybsza...

– Ochranił nas, do samego końca – powiedziała Star. – Chciał poświęcić życie, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Cały on.

– Rozumiecie, dlaczego musieliśmy utrzymywać, że on nie żyje? – zapytał Georg. – Był przerażony, że Zed zrobi wam krzywdę, jeśli odkryje,

że był blisko Kreega, gdy ten umierał.

Dziewczyny pokiwały głowami.

– Kiedy Pa Salt umarł, Georg? Tak naprawdę? – spytała Elektra.

– Właśnie! – CeCe pociągnęła nosem. – Ile czasu spędził na Delos, zanim... odszedł?

Georg zawahał się.

– Ostatni raz widziałem go trzy dni po jego spotkaniu z Kreegiem. Pomogłem mu w kupnie posiadłości. Jak pewnie wiecie, wyspa jest bardzo mała, choć znana z mitologii. Jest tam tylko parę domów. Gdy zaoferowaliśmy właścicielowi cztery razy tyle, ile była warta jego posiadłość, natychmiast wyprowadził się stamtąd ze swoimi kozami.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Elektra nie miała zamiaru odpuścić. – Kiedy umarł Pa Salt?

Georg pokręcił głową i popatrzył błagalnie na Ally. Ta spojrzała na Marinę.

Marina wstała, odetchnęła głęboko i zaczęła mówić:

– Dziewczynki, musicie być dzielne. Wasz ojciec jeszcze nie umarł.

Tiggy zrobiła wielkie oczy.

– Wiedziałam...

Elektra jęknęła.

– Nie... niemożliwe... Chcesz powiedzieć, że Pa Salt żyje? Teraz?

– Tak – odparła Marina.

Nad stołem czuło się morski powiew.

– Zataiłaś to przed nami... – szepnęła Star. – Jak mogłaś być tak okrutna?

– *Chérie*, przecież...

– Nadal jest na Delos? – spytała Maja.

Georg skinął głową.

– Tak. Ale jest już bardzo słaby.

– Te telefony... – rzuciła cicho CeCe. – To z nim rozmawiałeś, Georg?

– Nie całkiem. W ostatnich tygodniach była z nim Claudia. To dlatego wyjechała z Atlantis. Zdaje mi regularnie sprawozdania. Atlas szybko gaśnie.

– O mój Boże! – krzyknęła CeCe.

– Teraz wszystko układa się w logiczną całość – odezwała się Star.

– Nikt nie mógł przewidzieć, że wasz ojciec przeżyje tak długo – powiedział Georg. – Przyjmowaliśmy, że spędzi na Delos tylko kilka tygodni. Ale wbrew rokowaniom lekarzy nadal się trzyma.

– Cały on – wybąkała Ally.

– Nie zgadza się na żadne leczenie. Nie bierze lekarstw, nie daje się badać czy podłączać kroplówki.

– Więc jakim cudem jeszcze żyje? – zastanawiała się na głos Elektra.

Georg popatrzył na Marinę, a ta uśmiechnęła się do Merry.

– Myślę... nie, wiem, że przy życiu trzymała go nadzieja na odnalezienie Zaginionej Siostry.

– Wielka siła wiary. – Tiggy skinęła ze zrozumieniem głową.

Star spojrzała na Ally.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Od dzisiejszego popołudnia. Uparłam się, żeby Georg powiedział wam o tym i dał nam ostatnie strony tego, co napisał tata, chociaż miały leżeć schowane aż do śmierci Pa Salta.

Georg popił wody ze szklanki. Ręce mu się trzęsły.

– Wierzcie mi, bardzo chciałem wyjawić wam prawdę. Ale wiecie, co zrobił dla mnie wasz ojciec. Przysiągłem, że do ostatniego tchu będę wobec

niego lojalny.

– Jest jakaś różnica pomiędzy lojalnością a okrucieństwem – stwierdziła CeCe.

Skinął głową.

– W głębi serca wiedziałem, że powinienem wam powiedzieć – przyznał przez łzy. – Ile by to dla niego znaczyło, gdyby zobaczył was wszystkie przed końcem...?

Zapadło milczenie. Przerwała je Elektra.

– To dlaczego nie płyniemy, do cholery? Jeśli on umiera, to nie ma czasu do stracenia. Nie mam zamiaru czekać do rana, skoro jest szansa, że jeszcze się z nim spotkamy. Czy wszyscy są za?

– Ja tak – odparła Maja, wstając. – Mamy teraz dwa wyjścia. Możemy wściekać się i czuć żal. To łatwe. Albo zaakceptować to, co się stało, i nie dać sobie odebrać miłości. Możemy być dla siebie dalej dobrzy, mimo że czujemy się skrzywdzeni. Pomyślcie... co wybrałby Pa Salt?

Wyciągnęła rękę do Tiggy, ta ją ujęła i drugą dłoń podała Ally; w końcu wszystkie siostry trzymały się za ręce, tworząc krąg.

– Georg – odezwała się Ally. – Słyszałeś, co powiedziała Elektra. Zawiadom Hansa. Płyniemy zobaczyć się z Pa Saltem. Natychmiast.

Georg szybko wstał i wybiegł.

Wszyscy przy stole byli w szoku. Partnerzy sióstr nie odzywali się, bo nic, co mogliby powiedzieć, nie złagodziłoby burzy emocji, jakich doświadczały. W końcu głos zabrała Ally.

– Czy ktoś pamięta, jak wydawało mi się, że słyszałam tatę na linii, kiedy odebrałam telefon w jego gabinecie? – spytała. – I okazuje się, że może to nie było złudzenie.

To nasunęło pewną myśl Elektrze.

– Mamo? – zagadnęła. – Kiedy wpadłam na Christiana w Paryżu, pewnie załatwiał coś dla Pa Salta?

Marina skinęła głową.

– Tak, *chérie*. Szukał Manon Landowski, wnuczki tego rzeźbiarza.

– Po co?

– Chciał przed śmiercią jeszcze raz podziękować rodzinie, która go ocaliła u progu jego życia. Żeby ich dobry uczynek nie został zapomniany przez następne pokolenia.

– Christian znalazł tę Manon?

Marina znowu skinęła głową.

– Tak. Śpiewa i pisze piosenki! Kiedy Christian dał jej list, powiedziała mu, że jej ojciec, Marcel, często z sentymentem wspominał „milczącego chłopca”.

– Z sentymentem?! – krzyknęła Maja. – No, no, kto by pomyślał!

Silniki *Tytana* zaczęły pracować głośniejsze. Wrócił Georg.

– Hans przewiduje, że dotrzemy do Delos przed świtem. Zadzwoń do Claudii i poinformuj ją o naszym przybyciu. – Urwał na moment. – Jesteście pewne, że to dobra decyzja?

Mężczyzna, który przez ostatni rok dawał siostrom niezachwiane wsparcie, był roztrzęsiony.

– Na sto procent, Georg – potwierdziła Star.

– Mogłybyśmy porozmawiać z nim przez telefon, teraz? Na wypadek gdyby coś się stało? – spytała Ally.

Georg ze smutkiem pokręcił głową.

– Trudno byłoby mu mówić do słuchawki. Nie ma już sił. Żeby oszczędzić jego serce, będzie chyba lepiej, jeśli Claudia nie powie mu o tym, że przyplływamy.

- O Boże. A jeśli on nie przetrzyma tej nocy? – spytała Star.
- Przetrzyma. Na pewno – zaręczyła zdecydowanie Tiggy.

Gdy *Tytan* zbliżał się do Delos, mała wyspa była skąpana w delikatnej poświacie nadchodzącego świtu. Na skalistym wzgórzu rosły tu i ówdzie kępy zielonej i żółtej trawy. To wraz ze starymi greckimi kolumnami stwarzało magiczną atmosferę starożytności.

Nie było szans, żeby wprowadzić jacht do małej zatoczki, więc Hans Gaia zrzucił kotwicę najbliżej, jak się dało, i przygotował małą łódź. Gdy Ally prowadziła motorówkę, do której wsiedli też Georg i Marina, w oddali na pomoście pojawiła się znajoma postać. Claudia pomogła dziewczynom wysiąść, po czym wszystkie uściskała. Najdłużej obejmowała brata, Georga. Zwykle tak zdystansowana, rozkleiła się w jego ramionach.

– Dziewczynki, wasz ojciec to anioł stróż – powiedziała, łkając.

– Zaprowadź nas do niego – poprosiła Maja.

Claudia dała znak, by za nią szli, i ruszyła połą dróżką z przystani do stóp dużego zielonego wzgórza, gdzie ścieżka była tak wąska, że musiały iść gęsiego. Gdy byli już blisko szczytu, ujrzeni pobielony dom. Widok na starożytną wyspę i otaczające ją morze był tak cudowny, jak pisał Pa Salt.

– Jak tata się czuje, Claudio? – spytała Ally.

– Nawet on nie jest niezniszczalny. W zeszłym tygodniu przeszedł kolejny zawał. Myślałam, że to jego ostatni dzień. Powiedziałam mu, że wreszcie odnalazłyście Merry i że wszystkie razem płyniecie złożyć wieniec na wodzie ku jego czci. To dodało mu sił. Przez całe życie nie

chciał się poddać... ale teraz... – Claudia odwróciła się do Merry i wzięła ją za rękę. – Może pozwól siostronom przygotować go na twoje przybycie. Jest taki słaby.

Merry skinęła głową.

– Oczywiście.

– Mamo, weszłabyś pierwsza i powiedziała mu, że tu jesteśmy? – spytała Maja.

– Oczywiście, *chérie*. – Marina uśmiechnęła się smutno. – Pójdę i go uprzedzę.

– Coś mi mówi, że on już wie – szepnęła Tiggy.

Claudia poprowadziła Marinę do chłodnego zacienionego domu i dalej korytarzem do sypialni na tyłach.

– Jesteś gotowa? – spytała.

Marina skinęła głową i otworzyła drzwi.

Na podwójnym łóżku w kącie pokoju leżał podparty kilkoma poduszkami Atlas. Drzemał. Gdy podeszła, powoli uniósł powieki i obrócił głowę, by na nią spojrzeć. Miał poszarzałą cerę i zapadnięte oczy. Ale w brązowych tęczęwkach był ten sam blask co zawsze.

– *Bonjour, chéri* – powiedziała cicho, ujmując jego wątlą dłoń. – To ja, Marina.

Atlas uśmiechnął się.

– Witaj.

Uściskała go delikatnie. Przeraziło ją to, jak bardzo schudł. Potem podsunęła do łóżka drewniane krzesło i usiadła.

– Marino... tak bardzo mi... przykro. Przepraszam. Za wszystko – szepnął.

– Ciii, *chéri*. Nie masz za co przepraszać.

– Dziewczynki... Wszystko z nimi w porządku?

– Tak.

Na tę wiadomość wyraźnie się odprężył.

– Wiedzą, że żyję?

– Wiedzą. Są za drzwiami, chcą cię zobaczyć.

Atlas przygarbił się.

– Przypląnęły? Dla mnie?

– Tak. Są wszystkie – odparła Marina z naciskiem na ostatnie słowo.

– Chcesz powiedzieć... – Skinęła głową. – Ona... – Głos mu się załamał. – Ona tu jest? Moja pierwsza córka?

– Tak.

Atlas próbował się opanować; wyraźnie walczył o oddech.

– Wiedzą, że umieram?

– Przestań, *chéri*. Tak jakbyś kiedykolwiek mógł zrobić coś tak zwyczajnego jak umrzeć!

– Marino – powiedział, ściskając nieco mocniej jej dłoń. – Mów otwarcie. Czy one wiedzą?

Z trudem powstrzymała łzy. Atlas do ostatniej chwili myślał o tym, by oszczędzić córkom bólu.

– Tak. Chcą się pożegnać. Ja też, kochany. – Pogładziła go delikatnie po głowie. – Miałeś takie ciężkie życie.

– Ciężkie? – Zdołał pokręcić głową. – Nie. Po prostu życie. Doświadczałem w nim tego, co dobre i co złe, przez długie dziewięćdziesiąt lat.

– Zanim wejdą dziewczynki, chcę ci podziękować za to, że powierzyłeś mi ich wychowanie. Za to, że przyjąłeś mnie, choć nie miałam odpowiednich kwalifikacji...

– Marino... – uśmiechnął się – widziałem, jak troszczyłaś się o to dziecko w Paryżu. Wiedziałem, ile jest w tobie miłości.

– Robiłam też okropne rzeczy... których się wstydę.

Poklepał jej dłoń.

– Wiele razy powtarzałem dziewczynkom, żeby nie sądziły nikogo po tym, co robi, ale po tym, kim jest. Czy Georg przypłynął z wami? – Westchnął, gdy Marina skinęła głową. – Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego nigdy nie zdobył się na to, by wyznać ci miłość, choć przez wszystkie te lata było jasne, że cię kocha?

Zaśmiała się cicho.

– Kłamałabym, gdybym powiedziała, że nie. W końcu nie wie tylu rzeczy o mojej przeszłości. Boję się, że gdyby się dowiedział... wstydziłby się za mnie.

– Porozmawiaj z nim, proszę. Oboje musicie zapomnieć o tym, co było. Życie jest takie krótkie... Obiecuj mi, że spróbujesz. – Popatrzył błagalnie na starą przyjaciółkę.

– Obiecuję. – Chwilę trwało, nim zapanowała nad emocjami. – Masz dość sił, żeby je zobaczyć?

Uśmiech powrócił na jego twarz.

– Nawet jeśli nie, to je znajdę. Czy one jakoś to zniosą?

– O, tak. Wychowaliśmy naprawdę silne kobiety. – Marina wstała, wzięła dłoń Atlasa i pocałowała ją. – Zaraz je przyślę.

Oparł się o poduszki i starał się wykrzesać z siebie resztki energii. Na chwilę zamknął oczy i wzniosł je do nieba.

– Dziękuję, że je przysłałyście.

A potem drzwi pokoju znów się otworzyły i po policzkach Atlasa płynęły łzy, kiedy witał się kolejno z sześcioma córkami. Każdą przytulał

i całował lekko w czubek głowy, tak jak w czasach ich dzieciństwa. Wszystkie płakały, ale były to łzy radości, nie bólu. Choć tak długo go nie widziały, los sprawił, że spotkali się jeszcze ten jeden, ostatni raz.

Usiadły wokół łóżka ojca, a on nie posiadał się z radości, że otaczają go osoby, które najbardziej w świecie kochał.

– Moje dzielne, mądre, piękne córeczki. Zawsze chciałem was chronić.

– Wiemy, tato, wiemy – uspokoiła go Star.

– Jesteśmy... takie szczęśliwe, że możemy cię widzieć – wyjąkała Ally, szlochając.

Atlas spojrział w sufit.

– To długa historia. Nie spodziewałem się, że przeżyję... – Popatrzył na córki. – Ale wszystko spisałem i dałem Georgowi. Poznacie prawdę.

– My już wszystko wiemy, tato – odezwała się cicho Elektra. – Georg dał nam to do przeczytania, zanim tu przyплыliśmy.

– Ach... Już to zrobił? – Atlas uniósł brwi. – Przypomnijcie mi, żebym go wylał z roboty.

Rozległy się stłumione chichoty przez łzy.

– Ale skoro o nim mowa, to gdzie on jest?

– Został na zewnątrz – odparła CeCe. – Mam go zawołać?

Atlas uśmiechnął się.

– Tak, zrób to, kochanie.

Maja nachyliła się do ojca.

– Tato, twoja „śmierć” sprawiła, że wszystkie dojrzałyśmy i odnalazłyśmy się w życiu. Teraz jesteśmy dorosłe, takie, jak chciałeś.

Atlas lekko skinął głową.

– Jestem z was dumny. Georg mówił mi, że każda z was odnalazła swoją biologiczną rodzinę.

– Tak – potwierdziła z czułością Maja. – Ale co najważniejsze, znalazłyśmy swoją przyszłość. I szczęście.

– To jest największy dar, jaki mogłem wam kiedykolwiek przekazać – powiedział ledwie słyszalnym głosem.

– Mam jedno pytanie, tato – odezwała się Ally. – W tym roku każda z nas przynajmniej raz miała wrażenie, że cię słyszy albo widzi.

– Albo wyczuwa twój zapach – szepnęła Elektra.

– Czy ty w tym czasie byłeś kiedyś w Atlantis? – spytała Ally.

– Albo w Bergen? – dodała Star. – Wydawało mi się, że zobaczyłam cię na koncercie Ally.

Ojciec uśmiechnął się.

– Niestety, nie. Choć śledziłem uważnie to, co robicie. Towarzyszyłem wam duchem i tak już będzie zawsze... Wystarczy, że popatrzyacie na Siedem Sióstr z Plejad, a ja tam będę. Atlas, wasz ojciec, czuwający nad wami z góry.

– Dla nas zawsze pozostaniesz Pa Saltem. – Tiggy załkała.

Uśmiechnął się.

– Pewnie. Dalej pachnę morzem, Maju?

Dziewczyny znowu się zaśmiały. Nie poddawał się słabości. Był silny dla nich.

Ktoś lekko zapukał do drzwi i po chwili do pokoju wszedł Georg Hoffman.

– Witaj, Atlasie – powiedział do starego przyjaciela.

– Cześć, Georg. Miło, że pofatygowałeś się tu, by pożegnać się ze mną po raz trzeci. – Mrugnął do niego porozumiewawczo. – Dziewczynki, mogłybyście zrobić mu trochę miejsca?

Maja i Ally przesunęły się, żeby Georg mógł dojść do łóżka. Wziął Atlasa za rękę, ale ten delikatnie przyciągnął go i uściskał. Siostry patrzyły, jak coś mu szepcze do ucha. Georg pokiwał zdecydowanie głową, po czym się wyprostował.

– Dziękuję, przyjacielu, że sprowadziłeś je wszystkie – powiedział Atlas. – To dla mnie najpiękniejszy prezent.

– A skoro mowa o prezentach – podchwycił Georg. – Ally, jest tu już Bear.

– Tato... chciałbyś poznać wnuka? – spytała.

– Twojego synka? Jest na Delos?

Skinęła głową.

– Kapitan Hans właśnie przyплыł z nim łódką z *Tytana*.

Atlasowi zabłyśły oczy.

– Proszę, przynieście go...

Ally na chwilę znikła i po chwili pojawiła się z synem na rękach.

– Tato, to jest Bear. Bear, poznaj swojego dziadka.

– Witaj, skarbie – powiedział Atlas. – Mogę go potrzymać?

Zawahała się.

– Proszę, nigdy żadnej z was nie upuściłem. I nie mam zamiaru próbować tego teraz!

Uśmiechnęła się i ostrożnie ułożyła chłopca w ramionach Pa Salta.

– Bear... wspaniałe imię. Mój Boże, Ally... – Podniósł wzrok na córkę.
– Wygląda całkiem jak ty.

Sześć sióstr patrzyło, jak ich ojciec rozczuła się nad niemowlakiem. Zdawało się, że chłopczyk ożywił go, jakby dodało mu sił młode życie – i przyszłość – które do siebie tulił. Atlas odzyskał energię na tyle, że był w stanie zapytać córki o ich ukochanych, o których opowiadał mu Georg,

i usłyszeć z ich ust relacje o dalszych losach rodzin, które znał w przeszłości.

Po jakimś czasie Maja porozumiała się wzrokiem z każdą z sióstr. Wszystkie czuły, że nadeszła właściwa chwila.

– Tato – powiedziała Maja. – Jest tu jeszcze ktoś, kto chce cię zobaczyć. Czeka na zewnątrz.

Oddech Atlasa przyspieszył. Tiggy wzięła ojca za rękę.

– Nie bój się. To twoja nagroda od wszechświata.

Dziewczyny jedna po drugiej wstały, a on posłał każdej na pożegnanie pocałunek.

Chwilę po tym, jak drzwi się za nimi zamknęły, bardzo wolno się otworzyły i do pokoju weszła Merry.

– Witaj, tato – powiedziała z uśmiechem.

Podeszła i delikatnie pocałowała go w czoło.

Atlas wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Elle... – szepnął.

Merry pokręciła głową.

– Niestety, nie. Moja rodzina w Irlandii nadała mi imię Mary. Ale wszyscy nazywali mnie Merry, szczęśliwa, bo zawsze byłam wesoła. Twoje córki mówiły mi, że dałbyś mi na imię Merope, gdybyś odnalazł mnie wcześniej.

– Merope... Merry. – Atlas rozpromienił się. Wpatrywał się w córkę z zachwytem. – Czy to możliwe, że to naprawdę ty?

– To ja, na pewno. Krew z twojej krwi, twoja córka.

Był zbyt wzruszony, by mówić. Łzy spływały mu po policzkach. Wyciągnął dłoń i Merry ją uścisnęła. Wkrótce i ona zaczęła płakać. Dłuższy czas milczeli – ojciec i córka przyglądali się sobie po raz pierwszy.

– Wyglądasz jak twoja matka – zdołał wreszcie wyszeptać Atlas. – Była taka piękna. Widzisz? To ona.

Pokazał na szkic węglem z Atlantis, który teraz wisiał przy jego łóżku.

– Widziałam kopię, którą ma Georg – powiedziała Merry. – Dziewczyny twierdzą, że poznały mnie od razu, kiedy tylko weszłam na pokład *Tytana*. – Wskazała na rysunek. – Wszyscy się zastanawiali, gdzie się podział oryginał.

– Poprosiłem Claudię, żeby go tu przywiozła. Tylko tyle mi po niej zostało... – Atlas patrzył na córkę wzruszony. – A teraz tu jesteś. Jej częśćka jest ze mną. To cud. Wybacz, kochanie, że nie było mnie przy tobie, by cię chronić. Szukałem cię tyle lat, po całym świecie. Nigdy bym nie przypuszczał, że możesz być w Irlandii i...

Merry widziała jego rozpacz.

– Ciii, ciii, nic się nie stało, tato. Już wszystko dobrze. Ale opowiedz mi o niej, o Elle. Opowiedz mi o mojej matce.

Uśmiechnął się szeroko.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

Trzymając Merry za rękę, opowiedział jej o Elle. Jego najstarsza córka widziała, jak błyszczą mu oczy, kiedy wspominał miłość swojego życia i mówił, kim była dla niego jej matka. W końcu zmęczył się. Zasnął, nadal trzymając dłoń Merry. Powoli uścisk jego palców się rozluźnił i Merry poczuła, jak ojciec odpływa. Szybko wstała, wyszła i zawołała siostry, by mogły się pożegnać.

Każda pocałowała Pa Salta w czoło. Usiadły wokół jego łóżka i trzymając się mocno za ręce, cicho płakały.

Wreszcie, gdy nad Delos nastał świt, na twarz Atlasa padły promienie słońca. Uniósł powieki i uśmiechnął się do nich ciepło, z miłością.

– Widzę ją – powiedział. – Czeka na mnie. Elle na mnie czeka...

I potem, po życiu pełnym piękna, bólu i dobroci, Atlas Tanit zamknął
oczy po raz ostatni.

Epilog

Atlantis

Rok później

Choć było ciasno, siedem sióstr zdołało się usadowić w małej łodzi motorowej Christiana, którą woził je zwykle na drugi brzeg i z powrotem.

– Jesteś pewna, że poradysz sobie ze wszystkimi urządzeniami, Ally? – zapytał.

– Jasne – odparła, zajmując miejsce przy sterze.

Maja odwróciła się twarzą do pomostu i wyciągnęła ręce.

– No dobrze, mamó, jesteśmy gotowe – powiedziała.

– *Oui, chérie.*

Marina podała Mai ozdobną mosiężną urnę z prochami Atlasa, po czym się cofnęła. Georg z czułością położył dłonie na jej ramionach.

– Na pewno nie chcecie popłynąć z nami? – spytała Elektra. – Christian może bardzo szybko przygotować drugą łódź.

– Nie, kochanie – odparła Marina. – To wy, jego córki, powinnyście odprowadzić go na miejsce spoczynku.

– Będziemy tu na was czekać – zapewnił je Georg.

Ally skinęła na Christiana i ten zwolnił linę przymocowaną do pomostu. Uruchomiła silnik i powoli wypłynęła na środek jeziora. Czerwcowy dzień był słoneczny. Szklista tafla mieniła się w ciepłym blasku. Ally rozejrzała

się, by upewnić się, że w wybranym miejscu nikogo nie ma, po czym wyłączyła silnik. Wszystkie napawały się widokiem spokojnej wody i gór.

O dziwo, żadna z nich nie czuła smutku. Przepełniało je poczucie spełnienia, bo w końcu mogły pożegnać ojca tak, jak odmówiono im tego za pierwszym razem. Łódź dłuższą chwilę kołysała się na delikatnych falach wśród ciszy.

– Ally, mogłabyś...? – odezwała się Maja.

Jej młodsza siostra skinęła głową i wyciągnęła spod jednej z ławek futerał z fletem. Wyjęła instrument, podniosła do ust i zaczęła grać. Siostry wybrały część suity symfonicznej *Planety* Gustava Holsta, zatytułowaną *Jupiter* – jeden z ulubionych utworów Pa Salta.

Piękne dźwięki fletu płynęły łagodnie nad wodami jeziora aż do Atlantis. Wszystkie córki zamknęły oczy i przemawiały w myślach do ojca. Dziękowały mu, że uchronił je przed losem, który mógł je spotkać, i za bezwarunkową miłość, jaką je darzył.

– Dziękuję, Ally – powiedziała Star, kiedy siostra skończyła grać.

– No, dobrze – odezwała się Maja i ostrożnie otworzyła urnę. Wzięła garść prochów i delikatnie rozsypała je na jeziorze. – Żegnaj, tato – powiedziała dzielnie.

Urna wędrowała z rąk do rąk między siostrami. Niektóre coś mówiły, inne milczały. Wreszcie przyszła kolej Merry.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się i nabrała głęboko w płuca powietrza. – Tato, choć tak krótko cię znałam, jestem dumna, że mam takiego ojca. – Wysypała ostatnią garstkę prochów do wody.

Po jakimś czasie Ally uruchomiła silnik i pewnie sterując łodzią, popłynęła w stronę Atlantis. Na trawniku przy pomoście zebrało się sporo osób – członkowie rodziny i przyjaciele – by wznieść toast za niezwykle życie Atlasa Tanita. Christian przywiązał linę i podał dłoń Mai. Gdy

wysiadła na drewniany pomost, podbiegła Valentina i objęła ją mocno. Floriano, który trzymał na rękach Bel, ich trzymiesięczną córeczkę, przekazał ją Mai.

– Cześć, słodka – powiedziała Maja. – Odsuńmy się, żeby i inni mogli wysiąść.

Siostry wpadły w objęcia czekających na nie bliskich. To był naprawdę wyjątkowy dzień: spotkanie rodzin, które zjechały się z czterech stron świata do Atlantis.

– Chodź tu, Al – powiedział Jack, biorąc ukochaną w muskularne ramiona.

Po śmierci – tej prawdziwej – Pa Salta Jack stał się dla Ally niezawodnym wsparciem. Nigdy w życiu nie czuła, żeby ktoś tak się o nią troszczył. Kiedy wszystko trochę się uspokoiło po tamtym dniu na Delos i wrócili do Atlantis, Merry wzniosła toast za związek jej syna z Ally:

– Skoro trzymamy kieliszki szampana, chciałabym bardzo pogratulować Jackowi i Ally! Widzę, że jesteście parą, i bardzo się cieszę, że jesteście szczęśliwi.

– Racja, racja! – zawołała Mary-Kate, co wywołało serię wiwatów ze strony sióstr i rumieniec na policzkach Ally.

Teraz Jack pocałował ją czule.

– Słyszeliśmy stąd, jak grałaś. To było piękne.

– A co ty możesz powiedzieć innego? – Roześmiała się.

– Nie, on mówi prawdę – wtrącił bliźniak Ally, Thom, który był następny w kolejce, by ją uściskać. – Grałaś wspaniale.

– Jak mój syn coś mówi, to szczerze – wsparł go ojciec, Felix, który w kieliszku miał sok pomarańczowy zamiast Veuve Clicquot. – Mnie nigdy nie daruje, wypomina mi każdy spaprany dźwięk. – Zaśmiał się. – Naprawdę było pięknie. Pa Salt na pewno jest z ciebie bardzo dumny.

– Dziękuję, Felix.

– Mama! – zawołał Bear, który wyrywał się do Ally, trzymając z jednej strony za rękę Marinę, a z drugiej Georga.

Marina próbowała nieco przyhamować chłopca.

– Wolniej, to za szybko dla babci, *chéri!*

– Wygląda na to, że i dla dziadka też – dodała Ally, uśmiechając się do Georga. Porwała synka na rękę. – Cześć, Bear.

– On tylko próbował nie dać się zakasować swojemu nowemu kumplowi – żartował Jack. – Rory lata tu, jakby się ścigał!

– Mogę nalać ci szampana, Ally? – zapytał Thom.

Zawahała się i spojrzała na Jacka.

– Chyba jak Felix pozostanę przy soku pomarańczowym – odparła.

– Już się robi – powiedział Thom i ruszył w stronę domu.

Nieco dalej na trawniku Orlando Forbes zachwycił się niezwykłą architekturą Atlantis.

– Jest znakomita! – powiedział rozpromieniony. – Znakomita! Ten dom naprawdę został zbudowany nie wcześniej niż w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku?! Po prostu nie do wiary, panno Star. Ja mam oko do takich rzeczy i typowałbym, że z pewnością pochodzi z osiemnastego wieku. – Podparł się pod boki. – To architektoniczne cacko.

– Tacie byłoby bardzo miło, że tak chwalisz jego dzieło – powiedziała Star. – Ale nie zdołałby dojść do tego wszystkiego bez twoich dziadków.

– Bez poczciwego dziadka Rupesa? – spytał Orlando.

– Najwyraźniej odwaga i uczciwość to u Forbesów cechy dziedziczne – żartował Mouse.

– Szkoda tylko, że w jednym pokoleniu to się nie sprawdziło. – Star zachichotała.

– Och! Jakże mnie pani zraniła, panienko Star! – zawołał Orlando, łapiąc się teatralnie za pierś.

– Wiesz, jeślibyś zachowywał się, jak należy, może nawet pozwoliłabym ci przejrzeć bibliotekę Pa Salta – powiedziała jakby nigdy nic Star.

– Jak śmiesz insynuować, że kiedykolwiek zachowywałem się niewłaściwie – oburzył się Orlando.

– Nie trzeba nic insynuować, jeśli chodzi o ciebie, braciszku drogi. – Mouse wychylił szampana.

Star spojrzała przez jego ramię na odnalezioną siostrę.

– Właśnie przyszło mi coś do głowy, Orlando. Czy ty zostałeś już oficjalnie przedstawiony Merry?

Merry obejrzała się na dźwięk swojego imienia.

– Czy słusznie pałą mnie uszy? – spytała, podchodząc do nich. – No, no, no... Czy to nie wicehrabia we własnej osobie? Jak tam sprawy w dziennikarstwie winiarskim?

Orlando skulił się i zrobił się o dobre kilka centymetrów niższy.

– Och, Merry, pokornie przepraszam za tamten mały podstęp. Ale na pewno rozumiesz, że działałem w dobrej wierze... – Skłonił się i wyciągnął dłoń.

Merry ją uścisnęła. Po chwili Mary-Kate dołączyła do ich kółka.

– O mój Boże, to ty jesteś Orlando? Ten, który udawał wicehrabiego? Jesteś legendą w mojej rodzinie!

– O, naprawdę? – Orlando nadął się lekko.

– Tak! Stale się z tego śmiejemy. Kiedy tylko ktoś próbuje ściemniać, mówimy: „Nie rób nas w Orlanda!”.

Mouse wybuchnął śmiechem, widząc, jak z napuszonego brata zeszło powietrze niczym z balona przekłutego szpilką.

Podszedł do nich Georg.

– Wybaczcie, że wam przerwę – rzucił. – Właśnie sobie przypomniałem, że potrzebuję podpisu na kilku dokumentach spadkowych. Mogę cię na chwilę poprosić? – zwrócił się do Merry.

– Jasne! – Pomachała towarzystwu i poszła za nim do domu.

– Tak się cieszę, że wreszcie wyruszyłaś w swoją wymarzoną podróż dookoła świata – powiedział.

– Ja też – przyznała. – Choć trochę inaczej planowałam jej trasę! Wczoraj przyleciałam tu prosto z Grenady.

– Słyszałem. Moim zdaniem to piękne, że postanowiłaś odwiedzić wszystkie miejsca, w których był twój ojciec.

Skinęła głową.

– Chciałam zobaczyć je na własne oczy. Jego historia to najbardziej zdumiewająca opowieść, jaką kiedykolwiek czytałam.

– Udało ci się dotrzeć wszędzie tam, gdzie on?

– O, tak – odparła dumnie. – Widziałam stację kolejową w Tiumeniu, starą pracownię Landowskiego, port w Bergen, Coober Pedy... Lista jest długa. Teraz czuję się tak blisko niego.

Georg otoczył ją ramieniem.

– Jestem pewien, że jest przy tobie. A skoro o tym mowa... słyszałem od Ally i Jacka, że w podróży do kilku miejsc w Europie towarzyszył ci pan Peter.

Uniósł brew, a Merry cmoknęła.

– Georg, przez ciebie się czerwienię.

– Wybacz. Ale ucieszyłem się, kiedy się o tym dowiedziałem – powiedział szczerze.

– Tak jak ja z ciebie i Mariny!

Na twarzy Georga pojawił się uśmiech.

– Kochamy się od ponad trzydziestu lat. Zawsze widziałem, ile ma wdzięku, jaka jest piękna, cierpliwa... ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by coś powiedzieć. I jak się okazało, ona też...

Georg zaprowadził Merry do gabinetu Atlasa. Była tu tylko raz i przebiegł ją dreszcz, kiedy poczuła obecność ojca w tym miejscu. Choć szereg komputerów i monitorów robił wielkie wrażenie, jej oczy powędrowały do osobistych skarbów leżących na półkach za biurkiem. Uśmiechnęła się na widok kilku Griegowskich żab na szczęście, sfatygowanych skrzypiec i kawałka opalu, nadal tkwiącego w skale, która go otaczała.

Podeszła za Georgiem do blatu i przedstawił jej dokument.

– Twój podpis tam, gdzie pokazuję, oficjalnie włączy cię do zarządu powierniczego Atlasa, tak jak tego chciał.

– To bardzo miło ze strony dziewcząt, że się na to zgadzają. Nigdy nie oczekiwałam, że...

Georg przerwał jej.

– Wszystkie nalegały, żebyś była traktowana na równi z nimi.

Merry skinęła głową i wzięła do ręki długopis.

– Czy naprawdę musisz dzisiaj wyjechać, Merry? – spytał Georg. – Wszystkim nam będzie cię brakowało.

Westchnęła.

– Niestety, muszę. Ale przecież tylko ja wyjeżdżam. Moje dzieci zostają, Ally też. Obiecałam Ambrose'owi, że przyjadę do Dublina. –

Merry miała zmartwioną minę. – Coraz gorzej się czuje. Tyle dla mnie zrobił. Muszę być teraz przy nim.

Georg ze współczuciem skinął głową.

– Jestem pewien, że wszyscy to rozumieją.

– Poza tym... – Merry skończyła podpisywać dokumenty i usiadła w głębokim skórzanym fotelu Atlasa przy oknie.

– Tak?

– Przypominasz sobie, że w pamiętniku ojciec pisał o bracie Elle... O moim wuju. Podobno został adoptowany jako niemowlę i zabrany do jakiegoś innego kraju w Europie.

– Pamiętam. – Georg oparł się o biurko.

– Próbowałam się dowiedzieć, co się z nim stało. Trochę pokopałam.

Na wargach Georga pojawił się lekki uśmiech.

– I coś odkryłaś?

Merry wzruszyła ramionami.

– Kilka drobiazgów. Zaczęłam drażnić temat razem z Ambrose'em. Po prostu chciałam, żeby miał się czym zająć. Ale teraz sama za wszelką cenę chcę się dowiedzieć, co się stało z bratem mamy. Mało prawdopodobne, żeby mi się udało, ale... – W oczach Merry pojawił się błysk. – Nie można wykluczyć, że on wciąż żyje.

Georg skinął głową.

– Widzę, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, Merry. Nie muszę mówić, że gdybyś kiedyś chciała skorzystać z moich usług, będzie to dla mnie zaszczyt ci pomóc.

Wyjrzał na zewnątrz i popatrzył na grupę, którą przed chwilą opuścili.

– Wyobrażam sobie, że w tego typu sprawach bardzo przydatny może być Orlando Forbes – powiedział.

Merry roześmiała się.

– Naprawdę?

Georg skinął głową. Ich rozmowę przerwały głosy CeCe i Chrissie, które właśnie mijaly otwarte drzwi gabinetu.

– Chciałabym wiedzieć, gdzie są tu te wszystkie tajemne korytarze! – powiedziała Chrissie.

– Trzymamy je teraz zamknięte – odparła CeCe. – Czas na nowy rozdział. – Dostrzegła w gabinecie Georga i Merry. – Hej, wy tam! Nie widzieliście przypadkiem gdzieś dziadka Francisa?

Georg skinął w kierunku okna.

– Jest na tarasie.

– Świetnie, dzięki!

Ruszyły do kuchni i wyszły przez ogromne szklane przesuwane drzwi na taras. Znalazły Francisa Abrahama siedzącego przy zabytkowym stole ogrodowym z brązu. Przyciągnęły sobie krzesła.

– O, jesteście! – zawołał na ich widok. – Już zacząłem się zastanawiać, gdzie się podziałyście. Chciałem wam jeszcze raz podziękować za to, że mnie zaprosiłyście. To dla mnie zaszczyt zobaczyć twój dom i uczcić pamięć twojego ojca, CeCe.

– A ja dziękuję, że przyjechałeś, dziadku! Tak się cieszę, że jesteś tu z nami.

Ujęła jego dłoń i uścisnęła mocno.

– Bardzo chciałbym namalować to jezioro. Sądzisz, że byłoby to możliwe? – zapytał.

– Oczywiście. Mam płótna i farby na górze. Załatwimy to później.

Po drugiej stronie stołu Zara, córka Charliego, rozplýwała się w zachwytach nad Atlantis.

– Słuchajcie, naprawdę moglibyśmy tu mieszkać?! Ale jazda!

Usiadła, a Charlie i Tiggy poszli w jej ślady.

– Nie wiem, czy tak by ci się tu podobało – powiedziała Tiggy. – Za każdym razem, kiedy miałabyś ochotę trochę pobalować, musiałabyś wsiadać na łódź.

Zara roześmiała się.

– W takim razie trzeba byłoby urządzać imprezy tutaj!

– Nie jestem pewien, czy biedna stara Claudia wytrzymałaby twoje domówki. – Charlie zmierzwił włosy córki.

– Przestań, tato – warknęła dziewczyna.

– Właśnie, przestań – wsparła ją Tiggy i potargała wijące się kasztanowe włosy Charliego.

– Dobrze już, dobrze. Dotarło. – Coś sobie przypomniał. – Mogę was na chwilę przeprosić? Obiecałem, że porozmawiam chwilę z Ally. Pamiętasz, gdzie położyłem swoją dużą torbę, Tigs?

– Chyba w kuchni.

– Zaraz wracam! – Charlie wstał i wszedł do domu.

Zara spojrzała pytająco na Tiggy, lecz ta wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

Elektra na prośbę Stelli Jackson oprowadzała ją po jednym z otoczonych murem ogrodów Pa Salta. Miles towarzyszył im, słuchając uważnie każdego słowa.

– Pamiętam, jak opowiadał o swoich kwiatach, kiedy spotkaliśmy się na kolacji – powiedziała Stella. – Był z nich taki dumny. Teraz rozumiem dlaczego!

– Miał wiele talentów – rzuciła Elektra.

– Rzeczywiście! Tyle tu osób zgromadzonych przez jednego człowieka... – Stella uśmiechnęła się. – To wyjątkowy dowód uznania.

– Masz rację. Choć, o dziwo, większość z nich nigdy go nie poznała! Należysz do mniejszości, babciu.

Stella przyłożyła dłoń do piersi.

– To dla mnie wielki zaszczyt. Był tak ciepłym człowiekiem, tak niezwykle... prawym. Trudno to wyrazić.

– Wiem dokładnie, co masz na myśli. – Elektra skinęła głową.

– Jak sądzisz, co się stanie z tym miejscem? – zapytał Miles, wskazując ręką na dom.

– Z Atlantis? Zatrzymamy go. Na zawsze. Kiedy tylko będzie nam ciężko, będziemy miały dokąd wracać.

– To urocze. – Stella uśmiechnęła się. – Tego właśnie z pewnością by chciał.

– A co teraz z Mariną, Claudią i Christianem? – pytał dalej pragmatyczny jak zawsze Miles.

– Ally i Maja rozmawiały z nimi. Wszyscy chcą zostać. Atlantis to ich dom, tak samo jak nasz. Poza tym, kiedy mama i Georg... cokolwiek ich łączy... w każdym razie nie martwię się już, że mama zostanie sama, kiedy nas tu nie będzie.

*

Georg i Merry usłyszeli pukanie do uchylonych drzwi gabinetu.

– Proszę! – zawołał prawnik.

Do środka zajrzała Maja.

– Przepraszam, nie przeszkadzam?

– Nie, skąd – rzuciła Merry.

– Czy mogłabym zamienić kilka słów z Georgiem?

– Oczywiście! – odparła Merry. – Ja jestem chyba gotowa na jeszcze jeden kieliszek szampana. Dokończymy naszą rozmowę potem, Georg.

Zanim wyszła, pocałowała Maję w policzek.

– Do zobaczenia za chwilę.

– Dziękuję, Merry. – Maja delikatnie zamknęła za nią drzwi. – No i... – Przyglądała sukienkę. – Jest jakiś postęp?

Georg skinął głową.

– Miałem powiedzieć ci później. Wiem, że to był wyczerpujący emocjonalnie dzień...

– W porządku, Georg. Jakie masz wiadomości?

– Dostałem odpowiedź od rodziców. Cieszę się, że jest tak, jak na to liczyłaś. Matka i ojciec rzeczywiście powiedzieli swojemu... twojemu... synowi, że jest adoptowany.

Maja poczuła nerwowe ściskanie w brzuchu.

– No dobrze – powiedziała.

– Ale – kontynuował Georg – mówili mi, że chcą, by to on zdecydował, czy chce poznać twoją tożsamość w dniu, kiedy stanie się pełnoletni, czy później. Do tej pory nie wykazywał zainteresowania biologiczną matką i pewnie słusznie nie chcą zakłócać jego spokoju.

Maja skinęła głową.

– To wydaje się rozsądne – przyznała.

Georg położył dłoń na ramieniu Mai, by ją pocieszyć.

– Zawsze byłaś taka mądra jak tata. Nie robiłaś nic pochopnie. Byłby z ciebie dumny.

Mai zaszkliły się oczy.

– Mam nadzieję. Zdecydowałam, że napiszę do syna list, kiedy skończy osiemnaście lat, i pozostawię mu wybór, czy chce, czy nie chce wiedzieć o tym, jak to było. Tak właśnie zrobił z nami Pa Salt.

– Zapewniam cię, że w razie czego chętnie będę twoim posłańcem.

– Dziękuję, Georg.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

Dwa piętra nad nimi, w sypialni Ally z czasów dzieciństwa, doktor Charlie Kinnaird patrzył na małe urządzenie, które przywiózł ze szpitala na prośbę Ally.

– Zrobione – powiedział.

Jack siedział koło Ally na łóżku i mocno ścisnął jej dłoń.

– No i? Co pan doktor stwierdza?

Charlie uśmiechnął się.

– Potrzebuję chwili, żeby się upewnić.

Ally oparła głowę na ramieniu Jacka.

– Jak się ma ten twój biały jeleń, Charlie?

– Rzadko go widzimy, ale kiedy już... zawsze dostajemy gęziej skórki. Nasz zarządca, Cal, chciał założyć mu nadajnik, ale... – Charlie wzruszył ramionami. – Pomyślałem, że to zniszczyłoby część magii.

Lekarz zauważył niepokój w oczach pary. Widywał to już tyle razy.

– A jak winogrona, Jack?

– W tym roku mieliśmy dość dobre plony – odparł. – Musimy za miesiąc pojechać i sprawdzić nowe pączki.

Charlie uśmiechnął się.

– Życie podzielone na Norwegię i Nową Zelandię... Zazdroszczę wam!

– Tak naprawdę powinniśmy dziękować Mary-Kate – uściśliła Ally. – Wspaniale spisuje się, doglądając winnicy w zimie.

Popatrzyła na Charliego wyczekująco. A on podszedł ze swoim urządzeniem do okna, by przyjrzeć się wynikom w świetle.

– Potwierdzam oficjalnie, że tak. Gratulacje dla was obojga.

Jack i Ally wybuchnęli śmiechem i uściskali się.

– Dziękuję, Charlie! Dziękuję! – Ally wstała i przeszła przez pokój, by go ucałować.

– Nie ma za co! To wspaniała nowina. Na pewno na dole wszyscy bardzo się ucieszą.

– Mam nadzieję. Zastanawiam się, czy... – Ally przerwała bo z zewnątrz dobiegł głośny warkot motorówki na jeziorze.

Charlie obrócił się, by wyrzecć.

– Wygląda na to, że mamy gościa – powiedział.

– Kto to? – spytała Ally, przypatrując się zbliżającej się do pomostu łódce.

Jack przyłączył się do nich przy oknie. Na trawniku zbierali się wszyscy, zaskoczeni tajemniczą wizytą. Kiedy motorówka przybiła do pomostu, trójka stojąca na piętrze rozpoznała, kto to.

– O nie – szepnęła Ally.

Na zewnątrz Tiggy nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– To niemożliwe... – wyjąkała.

– Przykro mi, Tiggy – powiedziała Elektra, która pojawiła się przy niej.

– Myślę, że wzrok cię nie myli.

Ubrany w modny szary garnitur, w ciemnych okularach Aviator na nosie, z włosami przylizanymi do tyłu, Zed Eszu przycumował łódź i wolnym krokiem ruszył w kierunku domu.

– A niech to cholera – mruknął Miles i natychmiast pomaszerował mu na spotkanie.

Floriano i Mouse od razu do niego dołączyli.

– Zatrzymaj się, proszę – powiedział Mouse.

– Kto ci pozwolił tu się pokazywać? To teren prywatny! – krzyknęła z tarasu Marina.

– Cóż za serdeczne powitanie! – odparł z obleśnym uśmiechem Zed. – Po prostu wpadłem zobaczyć się z moimi ulubionymi siostrzyczkami i złożyć hołd ich ojcu. Dowiedziałem się przez media społecznościowe, że dziś rozsypywałyście jego prochy.

Maja śmiało wyszła naprzód, by stawić mu czoło.

– Zabieraj się stąd, Zed. – W jej głosie nie było cienia lęku. – Nie ma tu nic dla ciebie. Przypłynąłeś, żeby nas terroryzować. Ale to już nie działa.

– Terroryzować? Ja, stary, słaby człowiek? Jak twój były kochanek mógłby coś takiego zrobić, moja słodka? – Floriano zacisnął pięści. – Chciałem się tylko upewnić, czy u was wszystko w porządku po tak... traumatycznych przeżyciach.

– Czekaliśmy, kiedy się odezwiesz – syknęła Elektra. – Ale co zabawne, po tym, jak twój projekt Atlas nie wypalił, było o tobie cichutko. Trafiłam w gazetach tylko na to, że Lightning Communications ma ogłosić upadłość.

Zed najeżył się.

– Prawda. Muszę przyznać, że przebudowa światowej infrastruktury internetu w dobie kryzysu gospodarczego nie była trafionym pomysłem. – Cmoknął. – Zwłaszcza że byliśmy finansowani przez... Berners Bank.

– Który padł – przypomniała mu z satysfakcją Star.

– Tak. Najwyraźniej nie mam takiego drygu do interesów jak ojciec.

– Nie boimy się już ciebie – powiedziała Tiggy, biorąc Maję za rękę.

– Nie? – spytał, wpatrując się w nią intensywnie.

– Nie. Nie masz nad nami żadnej władzy – stwierdziła Maja. – A teraz opuść Atlantis i nie wracaj tu nigdy więcej.

– Jak sobie życzysz, moja droga. – Zed już odchodził, ale się odwrócił.
– Czy mogę podzielić się z wami wiadomością, której nie przeczytacie w gazetach? – Uśmiechnął się jak jadowity wąż. – Otóż poszczyło mi się, kiedy zmarł mój partner biznesowy, David Rutter.

– Poszczyło się mimo jego śmierci? – Merry pokręciła głową.

– Tak. Nie chciałbym, żebyście niepotrzebnie martwiły się, że Zed Eszu jest zrujnowany.

CeCe uniosła brwi.

– David Rutter... Przysięgłabym, że znam skądś to nazwisko.

Zed parsknął pogardliwie.

– Może dlatego, że chodzisz po tym świecie. Wszyscy o nim słyszeli. David był dyrektorem generalnym Berners Bank.

– O mój Boże, tak... – powiedziała sama do siebie CeCe. – On nie żyje?

Zed skinął głową.

– Tak. Zmarł na udar. Niedawno. Bardzo zaskakująca sprawa. Wydawał się całkiem zdrowy. Miał trenera osobistego, dietetyka, a tu nagle pewnego dnia... trach. I koniec.

– Podobnie jak dla imperium Eszu – dodała Ally, która wysunęła się naprzód.

– Nie całkiem, moja droga. Bo dobry stary David... zapisał mi coś w testamencie.

Zed sięgnął do kieszeni.

Jakimś cudem CeCe już wiedziała, co zaraz pokaże.

Zed podniósł największą perłę, jaką siostry widziały. Jej jasnorożowy kolor mienił się w słońcu.

– Wiecie, ile jest warta ta piękność? – zapytał.

CeCe przełknęła ślinę.

– Dobrze ponad milion euro – powiedziała, siląc się na obojętny wyraz twarzy.

– Może nie jesteś tak głupia, jak sądziłem, CeCe! Masz rację. Bo to nie jest zwyczajna perła. To słynna Różowa Perła.

Na dźwięk tej nazwy siostry popatrzyły na siebie wielkimi oczami.

– Zaginęła w Australii wiele lat temu, ale ekipa Davida ją odnalazła. I kiedy umarł, zostawił ją mnie! Dałybyście wiarę?! Zawsze myślałem, że stary łajdak mnie nienawidził. Winił projekt Atlas za bankructwo banku.

– Cóż za wspaniałomyślny przyjaciel – mruknęła pod nosem CeCe.

– Więc daleko mi do ruiny, nadal jestem milionerem. – Zed popatrzył tęsknie na perłę. – Odbuduję wszystko, zapewniam was. Projekt Atlas ruszy z miejsca. W hołdzie dla mojego ojca.

– Czas na ciebie, Zed – powiedziała Maja, podchodząc bliżej.

Zrobił smutną minę.

– Jesteś pewna, że nie mógłbym zostać na kieliszek szampana, Maju? Jak za dawnych czasów? – Puścił jej oko.

W jednej chwili pięść Floriana wylądowała na jego twarzy, wydając dźwięk, który aż poniósł się echem na jeziorze.

– Słyszałeś, co powiedziała. Wynoś się stąd! – krzyknął.

Zed cofnął się chwiejnie, trzymając się za krwawiący nos.

– Oskarżę cię o ciężkie uszkodzenie ciała!

– Jako prawnik zapewniam, że wtargnięcie na teren prywatny i odmowa opuszczenia go oznacza, że mój przyjaciel występował w obronie własnej –

zagrzmiał Miles. – A teraz zabieraj tyłek na tę cholerną łódź i zmywaj się stąd!

Wściekły Zed ruszył przez trawnik na pomost, wsiadł do łodzi, uruchomił silnik i szybko odpłynął.

– Wszystko w porządku? – spytała Ally. – Maju?

– Czuję się świetnie – powiedziała szczerze Maja i podbiegła do Floriana. – Mój ty bohaterze!

– Mam wrażenie, że pogruchotałem sobie palce – przyznał, tłumiąc śmiech. – Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyłem.

– Floriano, dziękujemy, że wzięłeś na siebie to, co my od lat mieliśmy ochotę zrobić z tym gościem – powiedziała Elektra. – Nie do wiary, że się tu pojawił.

– Ta perła... – wyjąkała CeCe. – On ma tę perłę...

Tiggy położyła dłoń na plecach siostry.

– Co się dzieje, Cee?

– Jest przeklęta, Tigs. Mówi się, że... Może niektóre z was pamiętają...

– O mój Boże – odezwała się Star. – To ta przeklęta perła, o której nam opowiadałaś? Z Australii? To ta?

– Tak. Wprost nie do wiary... – wybąkała CeCe.

– Cokolwiek by przeciwko nam planował, to damy sobie z nim radę – powiedziała Maja. – Prawda?

– Tak – potwierdziła Ally. – Poradzimy sobie.

– Naprawdę nie musicie się martwić tym, że znów go kiedyś zobaczycie... – szepnęła CeCe.

Tiggy popatrzyła w dal na wodę.

– Masz rację, CeCe. Nie ma obawy.

– Słuchajcie – przerwała im Ally. – Skoro jesteśmy tu wszyscy razem...
– Spojrzała na Jacka, a ten skinął głową. – Chcecie usłyszeć nowinę?

Wyciągnęła rękę do swojego partnera, a on ją ujął.

– Szykuj się, mamó, to może być dla ciebie wstrząs – zwrócił się Jack do Merry.

Ally zwróciła się do wszystkich, którzy patrzyli na nią wyczekująco.

– Przed chwilą razem z Jackiem konsultowaliśmy się z Charliem i on potwierdził, że będziemy mieć dziecko.

Rozległy się piski i wiwaty; wszyscy, na czele z nieposiadającą się z radości Merry, ściskali Ally i Jacka.

– Gratulacje, gratulacje, gratulacje!!! O mój Boże. Będę babcią – mówiła ze łzami w oczach Merry. – Gdyby tylko twój ojciec mógł tu być z nami. Tak by się cieszył. – Popatrzyła w oczy Ally. – Obaj tak by się cieszyli.

– *Oh, mon dieu, chérie!* – pisnęła Marina. – Wiesz, co to znaczy, prawda?

Ally skinęła głową.

– Tak, mamó.

– Pa Salt i Elle będą mieli kolejnego potomka – powiedziała Maja z szerokim uśmiechem. – Cudownie.

– Idę po więcej szampana! – zawołała Claudia. – Choć Ally nie wolno pić...

Pobiegła do domu.

– Co za wspaniała wiadomość. Pięknie! – zawołał Georg. – Sądzę, że to idealny moment, by załatwić ostatnią sprawę... Czy mógłbym poprosić na chwilę wszystkie siedem sióstr? – spytał i nie czekając na odpowiedź, ruszył przez trawnik.

Popatrzyły po sobie i poszły za Georgiem. Obeszli bok domu i dotarli do idealnie przyszytych cisów, które stały u wejścia do ukrytego ogrodu Pa Salta. Gdy weszły do środka, powitał je słodki zapach lawendy emanujący od zadbanych klombów. Wróciły myślami do czasów dzieciństwa. Ich oczy powędrowały do stopni, które prowadziły do kamienistej zatoczki, gdzie latem pływały w przejrzystej chłodnej wodzie.

Zadbany ogród tego dnia robił wyjątkowe wrażenie. Wychodził dokładnie na jezioro, roztaczał się z niego cudowny widok na słońce, które za chwilę miało się zniżyć między górami. Nic dziwnego, że to było ulubione miejsce Pa Salta.

– I tak, dwa lata później znowu tu jesteśmy – powiedział Georg.

Przed nimi błyszczała jasno sfera armilarna. Misterne metalowe okręgi otaczały i osłaniały symbolizującą glob ziemski malutką złotą kulkę w centrum, osadzoną na cienkim pręcie zakończonym strzałką.

– To ostatnia rzecz, jaką muszę wam pokazać. – Georg z namaszczeniem podszedł powoli do sfery armilarnej. – Dostałem od waszego ojca dokładne instrukcje co do tego, jak ma wyglądać ta rzeźba.

Wsunął dłoń między kręgi i chwycił złotą kulkę. Zaczął nią mocno kręcić, napinając nadgarstek. Dziewczyny patrzyły zszokowane, jak kulka wreszcie daje się ruszyć. Georg kręcił dalej, aż wreszcie górna połowa została w jego dłoni.

A w środku ukazał się ogromny skrzący się diament, który posyłał odbłaski tańczące po całym ogrodzie. Dziewczyny milczały. Wszystkie wiedziały dokładnie, na co patrzą.

– Ojej... – szepnęła wreszcie Maja.

– Jest niesamowity – powiedziała Ally.

– Jak już wiecie – odezwał się Georg – wasz ojciec przez wiele lat nosił ten diament zawsze przy sobie. Nawet kiedy głodował. Mógł go sprzedać,

ale nigdy tego nie zrobił.

– Wszystkie zastanawialiśmy się, gdzie mógł zniknąć. – Tiggy zaśmiała się. – Myślałam, że po ostatecznej rozgrywce Pa Salta z Kreegiem leży na dnie Morza Egejskiego.

– Ja też. – Star skinęła głową.

– A on cały czas był tutaj... – szepnęła Merry.

– No właśnie – potwierdził Georg. – Kiedy pojechałem zobaczyć się z Atlasem po raz, jak się okazało, przedostatni, dał mi go na przechowanie i poinstruował mnie, jak mam go umieścić w sferze armilarnej. Miałem przekazać go wam w odpowiedniej chwili. Dziś poczułem, że nadszedł właściwy czas.

– Ostatni gest... – mruknęła Maja.

– Co z tym zrobimy? – spytała Ally.

Georg zastanawiał się chwilę, zanim powiedział:

– Wasz ojciec pozostawił decyzję w tej sprawie wam. Wierzył, że jesteście szlachetne i mądre.

– Ile on jest wart, Georg? – spytała CeCe.

– Zaginiony diament rosyjskiej carycy? – Roześmiał się. – Nie jestem ekspertem, ale kiedy zostanie wyceniony, a zostanie, ostrożnie szacowałbym, że jakieś dziesięć milionów euro.

– Za takie pieniądze mogłybyśmy pomagać... – odezwała się Maja.

Ally popatrzyła na siostrę.

– Odmienić życie bardzo wielu ludzi – dodała.

– Może to głupie – wtrąciła Star – ale kiedy dorastałam, CeCe i ja często mówiłyśmy o tym, że chciałybyśmy założyć organizację charytatywną. Pamiętasz, Cee?

Jej siostra uśmiechnęła się.

– Masz na myśli Fundację Dobroczynną Siedmiu Sióstr?

– No właśnie! – Star roześmiała się. – Marzyłyśmy... żeby pomóc każdej sierocie na świecie znaleźć rodzinę tak idealną jak nasza.

Dziewczyny w milczeniu zastanawiały się nad tym pomysłem. Każda wiedziała, że właśnie to chciałyby zrobić.

– Fundacja Dobroczynna Siedmiu Sióstr. Myślę, że to piękna idea – powiedziała Maja. – Jestem za.

Wzięła za rękę Ally, a ta Star, która podała dłoń CeCe, aż wreszcie otoczyły kręgiem sferę armilarną. Georg wycofał się powoli i wymknął ukradkiem z ogrodu.

Siostry stały wokół sfery armilarnej jakiś czas, dając sobie nawzajem poczucie bezpieczeństwa. Powoli ich kółko zaczęło się poruszać, aż wreszcie krążyło coraz szybciej, a ogród wypełnił się śmiechem.

*

Merry przytrzymała się wyciągniętej dłoni Christiana i wsiadła do łodzi.

– Do szybkiego zobaczenia! – zawołała, kiedy odpływali od pomostu, na którym zebrała się jej nowo odnaleziona rodzina.

Wszyscy do niej machali, a ona do nich i posyłała pocałunki, komu tylko mogła. Christian skierował łódź na jezioro i zaczął okrążyć półwysep, by płynąć w stronę Genewy. Siostry Merry i Atlantis nikli w oddali.

Pozwoliła sobie odprężyć się na miękkim skórzanym siedzeniu motorówki. Zamknęła oczy. Na twarzy czuła ciepły powiew wiatru. Kiedy uniosła powieki, dostrzegła skalisty występ. I wyraźnie, jak w jasny dzień, zobaczyła wysoką postać w białej koszuli. Mężczyzna machał do niej. Bez namysłu odmachała i uśmiechnęła się szeroko. Patrząc na niego, zdała sobie sprawę, że zna tę twarz.

A potem obok niego pojawiła się piękna kobieta o jasnych włosach i wzięła go za rękę.

– Mama... – szepnęła oszołomiona Merry. – Christian! – krzyknęła. – Christian! Zatrzymaj się! Stój!

Christian bez wahania wyłączył silnik.

– Wszystko w porządku, Merry?

– Proszę, podpłyn tam... – Pokazała na parę, która nadal do niej machała.

– Oczywiście – odparł Christian i zaczął powoli zbliżać się do występu.

– Kocham cię! – wołał mężczyzna.

– Ja też cię kocham – szepnęła Merry.

Christian podprowadził łódź najbliżej, jak się dało, do skał. Merry długo nie odrywała wzroku od rodziców, ale po jakimś czasie ich obraz zaczął się powoli rozmywać.

I wiedziała, że już odeszli.

Podziękowania

Zaraz po śmierci Lucindy poczuliśmy presję czytelników, którzy pytali, co będzie z obiecany ósmym tomem. Mama prosiła mnie, żebym dokończył cykl, ale nie było gwarancji, że wydawcy w kraju i za granicą zgodzą się na takie rozwiązanie.

Na szczęście moje pierwsze spotkanie z Jeremym Trevathanem i Lucy Hale z Pan Macmillan upewniło mnie, że wierzą w ten plan, a wydawcy w innych krajach poszli w ich ślady. Jestem szczególnie wdzięczny cudownej, mądrej Lucy, która przez cały czas była dla mnie nieocenionym wsparciem. Tak naprawdę cały zespół Pan Macmillan był fenomenalny. Dziękuję zwłaszcza Jayne Osborne, Samancie Fletcher, Lorraine Green i Becky Lloyd.

A wydawcom Lucindy z innych krajów... cóż mogę powiedzieć? Mama była w dość wyjątkowej sytuacji – przyjaźniła się z Wami wszystkimi i wiem, że chciałaby wyrazić, jak bardzo była wdzięczna za Wasz wkład w spopularyzowanie *Siedmiu Sióstr*. Wielu z Was zaczynało ten projekt razem z nią dziesięć lat temu, a *Atlas* to zwieńczenie tej wyjątkowej wspólnej podróży. Dziękujemy tym, którzy przysyłali nam słowa otuchy podczas pracy, szczególnie Claudii Negele, Grusche Juncker, Fernandowi Mercadante i Sanderowi Knolowi. A także Knutowi Gørvellowi, który otwarcie przyznawał, że we mnie nie wierzy, ale był najbardziej entuzjastyczny po przeczytaniu mojej wstępnej wersji! Chciałbym też

uhonorować wspaniałych tłumaczy, którzy przez te lata troskliwie zajmowali się przekładami serii *Siedem Sióstr*. Wasza rola jest często niedoceniana, ale nie przez Lucindę czy przeze mnie.

Wiedziałem, że będzie mi potrzebny doskonały redaktor, a Susan Opie jest właśnie kimś takim. Odkryłem, że życie pisarza bywa samotne, zwłaszcza w mojej sytuacji, a pomysły, uwagi i spostrzeżenia Susan były bezcenne. Bez Ciebie nie dałbym rady! *Atlas* nie zamyka historii Siedmiu Sióstr, tylko ją rozszerza. Miniony rok okazał się wielką lekcją w świecie kreacji i chcę podziękować Seanowi Gascoine'owi, Benjaminie Mirnik-Voges, Faye Ward i Caroline Harvey za ich cierpliwość i fachowe rady.

Dziękuję Jacquelyn Heslop, Nathanowi Moore'owi, Charlesowi Deane'owi, Matthew Stallworthy'emu, Jamesowi Gamblinowi, Ellie Brennan, Davidowi Dunningowi, Cathalowi i Mags Dineenom, Kerrie Scot, Kirsty Kennedy, Tory Hardy, Annie Evans, Martynowi Westonowi i Richardowi Staplesowi, którzy, każdy na swój sposób, wspierali mnie w tym roku.

Okres między czerwcem 2021 a czerwcem 2022 roku okazał się dramatyczny dla naszej rodziny. W tym czasie poza Mamą pożegnaliśmy niespodziewanie dwie bliskie osoby. W styczniu 2022 roku zmarła moja babcia (mama Mamy), Janet Edmonds. Była uroczą, pełną życia, zawsze wesołą. A potem, w maju 2022 roku, straciliśmy moją siostrę przyrodnią Olivię. Była nie tylko cudowną siostrą, ale też przez wiele lat osobistą asystentką i kierowniczką wydawniczą Lucinda Riley Ltd, pierwszym ogniwem kontaktu z czytelnikami, i cudownie sprawdzała się, nawiązując z nimi relacje. Bardzo sprawnie prowadziła całe biuro. Nie mogę nie wspomnieć tu o jej ogromnym wkładzie we wszystko, co działo się za kulisami, włączając w to również przygotowanie tej ostatniej książki. Dziękuję, Livi.

Szczególne podziękowania należą się ode mnie mojemu ojczymowi, Stephenowi, który jest agentem i zajmuje się od strony biznesowej tym, z czym ja po prostu nie potrafiłbym sobie poradzić. Wziął na siebie odpowiedzialność za sprawy praktyczne w czasach największej próby. Nie wiem, co bym bez niego zrobił. Kolejne podziękowania kieruję do Jess Kearton, która nauczyła się bardzo szybko tajników swojej obejmującej mnóstwo różnych elementów roli w Lucinda Riley Ltd i na której zawsze można w pełni polegać.

Moja dozgonna wdzięczność należy się mojej partnerce Lily, która niewzruszenie wspierała mnie przez ostatnich osiemnaście miesięcy (przepraszam, że przez pięć lat musiałaś znosić moje artystyczne rozterki). Dziękuję również mojej kotce Tiggy, bo przekonała mnie, wielbiciela psów, że i jej pobratymcy są zdolni do miłości. I wreszcie dziękuję bratu i siostrze – Isabelli za jej wspaniałą pracę przy zbieraniu niezbędnych informacji o realiach, Leonorze za jej autentyczny entuzjazm dla tej książki, a Kitowi za to, że potrafi rozbawić mnie jak nikt inny. Mama byłaby z Was ogromnie dumna.

Ostatnie słowa muszą należeć do Lucindy Riley. Mam nadzieję, że nie będzie miała mi za złe, że wyjąłem je ze stron poprzednich tomów *Siedmiu Sióstr*:

Na koniec dziękuję Wam, Czytelnicy,

Wasza serdeczność i wsparcie, kiedy podróżuję po świecie i słucham Waszych historii, są dla mnie inspiracją i nauką pokory. W roku 2012 planowanie siedmiu tomów serii wydawało się szaleńczym pomysłem. Nigdy nie spodziewałabym się, że moje siostry przemówią do tak wielu ludzi w tylu różnych krajach. A Wy otworzyliście przed nimi serca, śmialiście się,

kochaliście i płakaliście razem z nimi, tak samo jak ja, kiedy o nich pisałam.

Jeśli przez ten rok czegoś się nauczyłam, to tego, że tak naprawdę mamy tylko chwile. Starajcie się, jeśli to tylko możliwe, cieszyć się każdą z nich, niezależnie od okoliczności, i nigdy nie porzucajcie nadziei – to jej płomyk trzyma nas, ludzi, przy życiu.